

ZDANIE

„Trzech na jednego”
ze ZDZISŁAWEM SADOWSKIM

KU HISTORYCZNEMU KOMPROMISOWI

- sympozjum „Kuźnicy”

J.Hausner, RAPORT O SAMORZĄDZIE

Z. Madej, KRYZYS LEWICY

A.Mencwel, O STANISŁAWIE BRZOWSKIM

A.Komorowski, O POWIEŚCI MYŚLIWSKIEGO

Z.Bauer, POŻEGNANIE Z „PRZEKROJEM”

J.Tazbir, POŻYTECZNI IDIOCI

J.Łoziński, ZAPISKI CZŁOWIEKA APOLITYCZNEGO (proza)

3-4 (158-159) 2013



Roman Wysogład

NEKROLOG

kładąc głowę pod szafot
za jednym zamachem pozbywasz się wszystkiego
a przede wszystkim siebie

zamiast się cieszyć
tak zwani mędrcy lamentują

a niby z jakiej okazji?
przecież kolejnemu znowu się udało
uciec z niedoskonałości w nieistnienie
czyli
cudowne poczucie pustki
którego już nikt (i nigdy)
ci nie odbierze

ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

3–4 (158–159) 2013

OD REDAKTORA

Od kilku lat „ZDANIE” ukazuje się regularnie, wiosną i jesienią, w postaci podwójnych numerów (nominalnie jest kwartalnikiem) i można je kupić w salonach empiiku. W związku z tym internetowy Katalog Czasopism przestał nas anonsować jako nieregularnik. Ten skromny sukces, polegający na utrzymaniu ciągłości wydawniczej oraz częstotliwości ukazywania się kolejnych numerów okazał się możliwy dzięki wsparciu Czytelników, którzy je kupują, Sympatyków, którzy przekazują na ten cel 1 proc. od podatku, władz miasta, które pomagają nam finansowo oraz Zakładów Graficznych „Zapolex”, które „Zdanie” drukują.

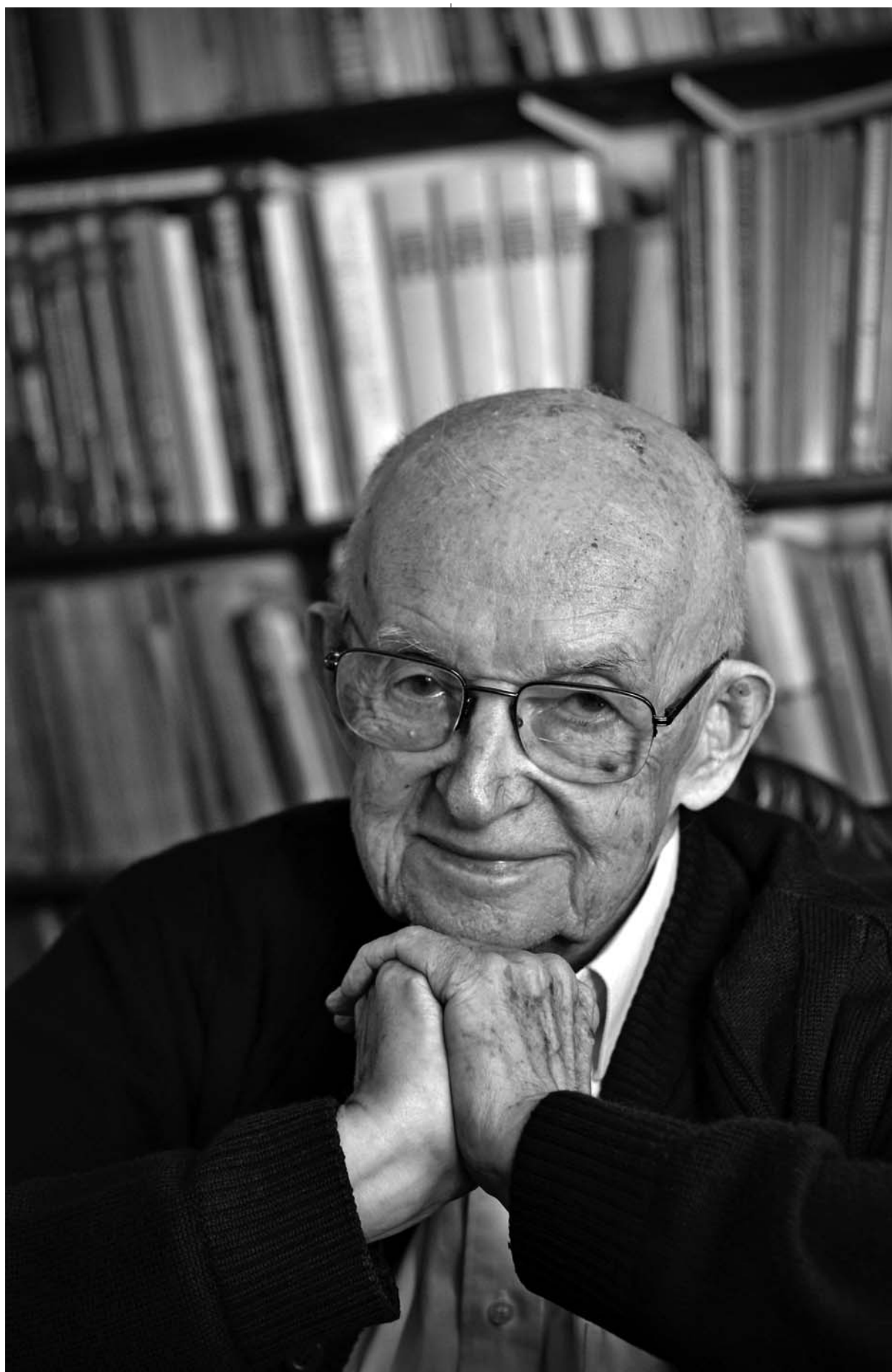
Rekomendowany przeze mnie numer cechuje duża różnorodność problemowa i gatunkowa. Znajdują się

w nim materiały o tematyce ekonomicznej, społecznej, historycznej i kulturalno-literackiej, prezentowane w formie artykułów problemowych, esejów, szkiców, recenzji i felietonów. Jest także poezja i proza oraz danie firmowe „ZDANIA”, czyli rozmowa z cyklu „Trzech na jednego” z prof. Zdzisławem Sadowskim. Ponadto prezentujemy tegorocznych laureatów „Kowadła”.

A ponieważ nasz „człowiek z nadziei” zainicjował akcję mającą wykazać wyższość „święta polskiego robotnika”, czyli 31 sierpnia nad świętem 1 maja, w czym poparł go urzędujący minister kultury, więc o tym też w numerze.

EDWARD CHUDZIŃSKI

ZDZISŁAW SADOWSKI ZMNIJSZENIE ROZPIĘTOŚCI DOCHODÓW BYŁOBY IMPULSEM PROOROZWOJOWYM „Trzech na jednego”	3	80	Józef Łoziński ZAPISKI CZOWIEKA APOLITYCZNEGO (proza)
KU HISTORYCZNEMU KOMPROMISOWI. SYMPOZJUM „KUŹNICY”: Andrzej Kurz, Janusz Reykowski, Jan Widacki, Jerzy Urban, Stanisław Ciosek, Wojciech Garstka	17	89	Andrzej Mencwel KULTURA I REWOLUCJA. O Stanisławie Brzozowskim
Jerzy Hausner SAMORZĄDNOŚĆ TERYTORIALNA W POLSCE	34	97	Jacek Hajduk POCHODNIE SIENKIEWICZA
Ignacy Józwiak KARPATY, CISA, RUS I UKRAINA, CZYLI CENTRUM EUROPY	40	100	Jacek Wojciechowski NAD WOŁGĄ, MOSKWĄ I NEWĄ
Zbigniew Madej GOSPODARCZE PODŁOŻE KRYZYSU LEWICY	44	105	Lidia Geringer de Oedenberg DZIEŁA SIĘROCE
Edward Karolczuk O SOCJALIZMIE W NOWEJ PERSPEKTYWIE	53	108	Roman Wysogład WIERSZE
Władysław Markiewicz LUDOBÓJSTWO USYSTEMATYZOWANE	59	110	Adam Komorowski RATIO OBSCURATUR. O powieści Wiesława Myśliwskiego
Marcin Kula CO ZOSTAŁO Z TYCH BOJÓW?	61	115	Marian Stepien INNE ZYCIE JAROSŁAWA IWASZKIEWICZA
Andrzej Kurz KSIĘGA NA DZIEWIĘDZIESIĘCIOLECIE GENERAŁA	65	121	Kowadła „Kuźnicy”: dla ALEKSANDRA KRAWCZUKA – Rafał Skąpski, laudacja dla JÓZEFA TEJCHMY – Józef Klasa, laudacja
Zbigniew Bauer POŻEGNANIE Z „PRZEKROJEM” I KOTAMI	67	128	Listy: Michał Głowiński, „JEŚLI MA SIĘ MASŁO NA GŁOWIE...” Andrzej Lam, „DODATKOWE WYJASNIENIA”
Stanisław Gębala GWIAZDOZBIÓR TVN	70	130	Paweł Kozłowski DZIENNIK PROFESORA NADZWYCZAJNEGO (III)
Marta Zabłocka SEKRETY DIANE ARBUS	73	133	Krzysztof Komornicki ODSZEDŁ OD NAS SIR CHARLES
Janusz Tazbir POŻYTECZNI IDIOCI	77	134	Tomasz Goban-Klas KRA, KRA, KRA... HA. HA. HA
		135	Sceptyk NIECH SIĘ ŚWIĘCI...



Fot. Krzysztof Żuczkowski

trzech na jednego

JEDEN:
ZDZISŁAW SADOWSKI
TRZECH:
PAWEŁ DYBICZ
PAWEŁ KOZŁOWSKI
FILIP RATKOWSKI

ZMNIEJSZENIE ROZPIĘTOŚCI DOCHODÓW BYŁOBY IMPULSEM PROROZWOJOWYM

FILIP RATKOWSKI: Zdjęcie Pana Profesora mogłoby być ilustracją do każdej klasycznej pracy analizującej pochodzenie polskiej inteligencji. Pański dziadek, Janusz Nałęcz SADOWSKI, skoro „Nałęcz” to z rodziny wywodzącej się z Wielkopolski, był jednym z dyrektorów lwowskiej opery. A więc entuzjasta opery i zapewne po trosze globtroter, skoro ożenił się z brytyjską Irlandką z Belfastu, panną O'Regan...

ZDZISŁAW SADOWSKI: To stare dzieje. Dziadków moich nie znałem, wiem tylko, że mój ojciec, Sydney Jan Władysław, urodził się w Paryżu i coś z tej międzynarodowej atmosfery widocznie w nim zostało, bo po studiach prawniczych we Lwowie dobrych kilka lat pracował w Hamburgu, a potem w niemieckich firmach w Rosji.

PAWEŁ DYBICZ: I tam dopadła go rewolucja?

SADOWSKI: Najpierw jako poddany austriacki został z wybuchem pierwszej wojny światowej zesłany na Syberię. Potem rodzice poznali się i pobrali w Moskwie tuż przed rewolucją. Moja matka, z domu Malewska, opowiadała, jak po rewolucji zdobyła posesję urzędniczką w centralnym Biurze Zaopatrzenia Armii Czerwonej. Jej szefem był Rykow, a pojawiał się tam jakiś brunet, którego nazywali – Stalin.

W Rosji było wówczas wielu Polaków, którzy, gdy tylko otworzyła się taka szansa, wrócili do Polski. Moi rodzice dotarli do kraju w 1919 roku...

RATKOWSKI: W carskiej Rosji Polak miał szansę na dobrą pracę, byle służył poza *Priwisłańskim krajem*. I do kraju wróciło wielu doskonałych fachowców, w tym inżynierów – jak ojciec powieściowego Cezarego Baryki, czy oficerów – jak Anders, późniejszy generał...

SADOWSKI: Miałem takiego w rodzinie – pułkownika Konstantego Hallera, żonatego zresztą z Rosjanką, później już bardzo spolonizowaną. Nie był krewnym znanego generała, ale po zamachu 1926 roku pozostał wierny rządowi i wkrótce Piłsudski wystąpił go na emeryturę...

W naszej rodzinie był zdecydowanie negatywny stosunek do zamachu majowego. Ojciec był niewątpliwie „państwowcem” zachłyśniętym polskością i niepodległą ojczyzną. Miał niemal nabożny stosunek do konstytucji marcowej. Tak więc nie mógł gloryfikować zamachowca.

Dość szybko po powrocie do kraju został urzędnikiem państwowym. Wylądował w Ministerstwie Przemysłu i Handlu. Kadra była wtedy nieliczna. Było tylko dwóch wiceministrów, dyrektorów czterech, a ojciec

był naczelnikiem jakiegoś wydziału, chyba Traktatów Zagranicznych. W jego zespole znaleźli się wybitni potem ekonomiści, po wojnie profesorowie Bobrowski i Łychowski... Ojciec miał doświadczenie w handlu i doskonale znał języki – angielski, francuski, rosyjski i oczywiście niemiecki, choć tego języka nie lubił. Z racji międzynarodowych kontaktów trzymał w szufladzie całą kolekcję zagranicznych orderów, które oglądałem po kryjomu. Jeden był szczególnie piękny – japoński.

DYBICZ: Jako syn wysokiego urzędnika państwowego miał Pan dzieciństwo spokojne, w miarę zasobne, obracaliście się państwem w kręgach ziemiańsko-urzędniczych. A jaki wpływ na Pana wywierała ówczesna szkoła?

SADOWSKI: Znaczny. Do szkoły poszedłem wcześniej, najpierw w Londynie, gdzie ojciec został radcą handlowym. Po powrocie do kraju byłem w szkole już zawsze o dwa lata młodszy od większości kolegów z klasy. Jak dziś oceniam, miało to pewne minusy, bo fizycznie nie dorównywałem kolegom, a to jest dla chłopca w tym wieku problem. Gimnazjum Batorego na Czerniakowie to była dobra szkoła, jednocześnie reprezentacyjna i dzielnicowa, łączyła chłopców z bardzo różnych środowisk. Uważam, że było to bardzo pożyteczne dla późniejszego rozumienia się w społeczeństwie.

PAWEŁ KOZŁOWSKI: Nie chcemy się za długo zatrzymywać nad dzieciństwem, ale ciekaw jestem, jak wówczas wyglądały Pańskie przeżycia natury, powiedzmy, ideowej?

SADOWSKI: Wyniosłem z domu nastrój przejęcia się głęboko polsnością, a szkoła to podtrzymała z tym, że lansowany wtedy usilnie kult Piłsudskiego śmieszył mnie i złościł. Od znajomych państwa dostałem na jakieś imieniny księgę *Mały Piłsudczyk*, Była dla mnie nieodparcie śmieszna. Z podobnymi nastrojami zetknąłem się po latach, w czasach stalinowskich, tak, że i tej drugiej „hagiografii” nie mogłem traktować poważnie.

RATKOWSKI: Mało kto zdaje sobie dziś sprawę jak wyglądała II Rzeczpospolita. Kto pamięta, że trzecią część ludności stanowiły mniejszości narodowe, że drobny handel był w znacznej mierze w rękach żydowskich, co budziło różne, niemiłe emocje.

SADOWSKI: W pewnej chwili i ja sam znalazłem się pod ich wpływem. Jako dwunastolatek wdałem się w organizowanie w szkole grupy Obozu Narodowo-Radykalnego i te związki zostały mi na dobrych parę lat.

KOZŁOWSKI: I stał się Pan prawdziwym narodowcem?

SADOWSKI: Nie wiem, chyba niezupełnie. Mnie do ONR pociągnął raczej deklarowany społeczny radykalizm. Wiedziałem już sporo o dramatycznej biedzie wsi... Człon „narodowy” mniej mnie interesował. Bodaj wcale.

RATKOWSKI: A gdyby spojrzeć okiem psychoanalityka, to mógł być w tym jeszcze kompleks dwunastolatka, który musi dorównać starszym o dwa lata kolegom. Choćby dorównać, czy prześcignąć ich w radykalizmie.

SADOWSKI: Może i tak było, choć w szkole w relacjach z kolegami zaliczałem się raczej do czołówki intelektualnej, byłem ceniony i przez kilka lat wybiera-

ny na wójta klasy. Przerwała to wojna. Małą maturę, w 1939 roku zdałem mając lat 14. Po udanych wakacjach przyszła pamiętna ewakuacja z Warszawy i tutajżka wrześniowa u boku rodziców, a potem trudny powrót do domu.

DYBICZ: Klęska wrześniowa to był szok?

SADOWSKI: Ogromny. Tym mocniej utwierdziłem się w antysanacyjnych nastrojach, jakie zawsze panowały wśród moich przyjaciół z ONR. Mieliliśmy też ogromnie niechętny stosunek do całej spuścizny piłsudzkowskiej.

Już w nowej sytuacji musiałem zdecydować się na jakąś dalszą drogę i wybrałem szkołę chemiczną, dziś powiedzielibyśmy technikum chemiczne. Skończyłem tę szkołę, ale chemia, szczególnie organiczna zbyt kojarzyła mi się z „kucharzeniem”. Wolałem kwestie społeczne, więc ostatecznie wybrałem się do Miejskiej Szkoły Handlowej – szkoły Lipińskiego. Trafiłem wówczas na ciekawego wykładowcę ekonomii, Aleksego Wakara, którego specjalnością była matematyczna teoria przedsiębiorstwa. Lubiłem matematykę, więc spodobała mi się i ekonomia.

DYBICZ: A za murami domów, w których odbywały się komplety, trwała okupacja...

SADOWSKI: W tych samych mieszkaniach, w których na kompletach uczyliśmy się do matury, odbywaliśmy zajęcia podziemnej podchorążówki. Skoro utrzymywałem związki polityczne z moimi przedwojennymi kolegami, to i należałem do narodowej organizacji wojskowej.

KOZŁOWSKI: I pewnego dnia wybuchło powstanie.

SADOWSKI: Po czterech długich latach zmagania. Pamiętam euforię pierwszych dni powstania, a równocześnie gorzkie poczucie, że uczestniczę w jakimś teatrze absurdu. To niesłychanie trudne do zdefiniowania – czym innym jest moja ocena wydarzenia historycznego, a czymś zupełnie innym kwestia własnego wspaniałego przeżycia! Dyskutowałem kiedyś na ten temat z profesorem Gieysztozem i zupełnie nie umiałem mu przekonująco wytłumaczyć moich odczuć. Do powstania przyłączyłem się w pierwszych godzinach i dołączyłem do oddziału AK, bo koledzy walczyli w innej części miasta. Wtedy praktycznie rozstałem się z moimi narodowcami.

Mam kilka ciekawych epizodów z dni powstańczych, ale przyszedł i taki poranek, kiedy dostałem odłamkami granatu w tętnicę prawego ramienia i w nogę. Straciłem masę krwi. Pamiętam zupełnie miłe uczucie odchodzenia i potem, jak mnie już opatrzyli i położyli w pościeli, a ja wreszcie otwarłem oczy, słowa sanitariuszki: – Zdzisiu, to ty żyjesz? – Potem dostałem ostatnie namaszczenie...

RATKOWSKI: Podobno to już obowiązuje do końca życia?

SADOWSKI: Podobno.

DYBICZ: Był Pan już wyłączony z walki i pewnie usłyszał, co o powstaniu mówi ludność cywilna?

SADOWSKI: To sprawa znana. W miarę upływu czasu, od pierwotnego entuzjazmu nastroje się zmieniły radykalnie. Ja zostałem ranny po trzech tygodniach, ale już wcześniej, kiedy już przebiegaliśmy przez piwnice, w których chronili się warszawiacy, pojawiały się wrogie reakcje.

KOZŁOWSKI: Jak może Pan dziś zdefiniować swój stosunek do kierownictwa powstania?

SADOWSKI: Zetknąłem się osobiście tylko z Bo-rem Komorowskim i tylko o nim mogę cokolwiek powiedzieć. To było po wojnie, w Genewie, kiedy przyjechał tam w 1957r. na spotkanie z Polonią. Mówił o powstaniu i zapamiętałem z tego niemal dosłownie dwie frazy. Jedna brzmiała: „Proszę Państwa, myśmy mieli wtedy dwóch wrogów, ale byliśmy zupełnie pewni, że Armia Czerwona przyjdzie nam z pomocą!” To pamiętam, tak powiedział! I dodał: „A myśmy broni mieli na trzy dni!” Sala reagowała na te słowa nabożnie, a mnie szlag trafił. Pewnie żona jeszcze pamięta, że z tego spotkania wróciłem roztrzęsiony.

RATKOWSKI: Jak wyszedł Pan z tego piekła?

SADOWSKI: Z zagłębionej dwa piętra pod ziemią piwnicy płonącego domu przy ul. Konopczyńskiego 5-7 wyprowadziła mnie sanitariuszka i pamiętam, jak leżałem koło dwóch grobów usypanych na ulicy, a wokół wszystko stało w ogniu. Potem była epopeja wyjścia z walczącej wciąż Warszawy w gronie cywilów pod opieką dzielnych sanitariuszek, i wreszcie dość przypadkowa ucieczka do Milanówka.

DYBICZ: I wkrótce przychodzi Armia Czerwona. Czekają Pana nowe emocje...

SADOWSKI: Zaznałem ich już wcześniej, bo w trakcie ewakuacji wrześniowej trafiliśmy do Lwowa, już sowieckiego. Nawet przez kilka tygodni chodziłem tam do szkoły i pamiętam 7 listopada akademię „ku czci Rewolucji”. Odbываło się to w kinie, a zamiast ekranu była wielka plansza, na której, jak *trojka koni* wymalowana była *trojka* lokomotyw i napis „ZSRR – żelaznodarozna dzierzawa”. Pamiętam moje zdumienie, że chwalą się zwykłymi kolejami! Potem jakiś prelegent opowiadał o sukcesach gospodarki i ciągle odwoływał się do danych rosyjskich z 1913 roku. Dla mnie to była prehistoria i nie rozumiałam zupełnie, o co chodzi.

RATKOWSKI: A ja bym rozumiał, bo u nas w Krakowie często mówiło się, jak to było dobrze za Franza Józefa. Tyle że to były uwagi raczej prywatne i zupełnie przeciwne w tonie...

DYBICZ: A tuż po wyzwoleniu co się mówiło o nadchodzących zmianach?

SADOWSKI: Po powstaniu odnaleźliśmy się z rodzicami w Itzy i tam zastał nas front. Pamiętam kanonadę dochodzącą zza góry zamkowej, nagłe ukazanie się w opłotkach żołnierskiego hełmu nieznanego mi kroju i koloru oraz nieprawdopodobne uczucie satysfakcji na widok tego, jak Niemcy najpierw odjeżdżali ciężarówkami, potem szli w kolumnach na zachód, a potem, już indywidualnie, pierzchali w panice! To było piękne doznanie – koniec czarnej nocy okupacyjnej.

Nadchodził ktoś nowy, niezbyt mile widziany, ale jednak nie tak dramatycznie groźny jak hitlerowcy. Wkrótce pojawili się też żołnierze z orłami na czapkach i pamiętam, że dobrze przyjmowali te orły – piastowskie, choć inne od przedwojennych, które kojarzyły się z sanacją.

RATKOWSKI: Wkrótce zobaczył Pan spaloną Warszawę i przede wszystkim trzeba było ją odbudować.

SADOWSKI: To było oczywiste. Wprawdzie zaczęli nami rządzić jacyś dziwni ludzie, ale po okupacji to była prawdziwa ulga. Wiedziało się oczywiście, że trwa woj-

na domowa, że po lasach strzelają i że są różne aresztowania, ale w moim otoczeniu nie czuło się zagrożenia, nie było też intencji podejmowania jakiegoś ruchu oporu. Owszem, spotykałem się parę razy z kolegami z czasów okupacji, dyskutowaliśmy, co będzie dalej, ale to było wszystko.

KOZŁOWSKI: A jaki miał Pan stosunek do tych, którzy siedzieli w lesie?

SADOWSKI: Od początku uważałem, że to nie ma sensu. W tym czasie mój ojciec, po całkowitej utracie dobytku warszawskiego, w poszukiwaniu jakiegoś nowego punktu zaczepienia ruszył na Ziemię Odzyskane i zatrzymał się w Opolu, a potem ściągnął tam rodzinę. Piękne Opole robiło wtedy szczególne wrażenie, bo było miastem zupełnie wyludnionym i rozszabrowanym przez wojska sowieckie, które wywoziły wszystkie niemieckie maszyny i urządzenia na wschód. Ale już wiedziało się, że to jest Polska, było w miarę spokojnie, kwitły magnolie, więc ojciec postanowił tam zostać – i został, już na zawsze.

RATKOWSKI: Ale trzeba było się uczyć.

SADOWSKI: Miałem już zaliczone dwa lata studiów w Szkole Głównej Handlowej, więc zostawiłem rodziców w Opolu, a sam wróciłem do Warszawy. Biblioteka SGH ocalała – były więc książki i tam odbywały się zajęcia. Byli ważni profesorowie. Wakar był naszym głównym preceptorem, z obozu jenieckiego wrócił też prof. Jan Drewnowski, który potem wykładał w Ghanie i mnie tam sprowadził, a sam po różnych funkcjach w Szwajcarii i Holandii ostatecznie osiadł w Anglii i współorganizował Polski Uniwersytet na Obczyźnie.

KOZŁOWSKI: To naprawdę wybitni profesoria!

SADOWSKI: **Trudno wymienić wszystkich.** Wówczas system studiowania był podobny jak dziś. Atmosfera była znakomita. Udzielałem się mocno, byłem szefem Bratniaka, robiliśmy sporo różnych imprez, żyło się intensywnie. Po trzecim roku zrobiłem dyplom. Po ostatnim egzaminie złożyłem indeks z wszystkimi zaliczeniami w sekretariacie i poczułem się wolny, szczególnie że dostałem posadę w Instytucie Gospodarstwa Narodowego, którego szefem był sam Profesor Edward Lipiński.

Wróciłem do swojego pokoju w Instytucie, a tu nagle przychodzi do mnie jakiś pan i powiada, że zaprasza mnie do siebie dyrektor taki-i-taki z Ministerstwa Przemysłu. Zdziwiłem się niemało i poczułem, że coś jest nie tak, więc po drodze wstąpiłem do kolegi i na wszelki wypadek zostawiłem u niego złoty zegarek, który miałem od ojca. Już raz zegarek zabrali mi Niemcy...

I rzeczywiście. Pod bramą budynku czekał na mnie jakiś porucznik i stało auto. Zawieźli mnie na ulicę Koszykową do ministerstwa... całkiem innego.

Porucznik, który mnie aresztował, od razu przystąpił do przesłuchania. Ku memu zdumieniu zachowywał się w sposób nad wyraz cywilizowany, a przesłuchanie okazało się inteligentną rozmową. Nie poczułem więc do niego wrogości, raczej współczucie, bo pomyślałem, że gdyby nasza przedwojenna organizacja doszła do władzy, to ja bym mógł siedzieć na jego krześle, a on na moim... Po kilku latach zetknąłem się z nim znowu, na SGH – był asystentem i ja byłem asystentem, on

z czasem został profesorem, ja też. Wiktor Herer okazał się dobrym i solidnym ekonomistą, byliśmy z nim potem w dobrych stosunkach zawodowych.

Na razie jednak jesteśmy jeszcze w 1945 roku. Po paru tygodniach przewieziono mnie do więzienia mokotowskiego, gdzie prowadzono śledztwo i było już znacznie mniej sympatycznie. Najpierw siedziałem sam, potem dość długo z dwoma jeszcze panami. Był tam Wladek Januszkiewicz, skoczek z Anglii – „cichociemny”, który opowiadał o swoich okupacyjnych przeżyciach, a drugi to był Stanisław Kaliciński strasznie gnębiony karcerem. Pojęcia nie mam, z jakiego powodu. Potem zabrali mnie do celi z byłym szefem akowskiego Kedywu Józefem Rybickim. Siedziałem też z b. mistrzem Francji w boksie w wadze lekkiej, ale też z ludźmi skazanymi na śmierć...

DYBICZ: A o co chodziło w tej sprawie?

SADOWSKI: O działalność w NSZ. Na końcu okazało się, że przygotowywano głośny wówczas, opisywany szeroko w prasie w 1946 roku, proces „13 studentów”. Kilku moich kolegów z ONR i ja naturalnie, zostaliśmy oskarżeni o próbę obalenia przemocą ustroju, co brzmiało ponuro. Ja byłem prezesem Bratniaka na SGH, kolega Linowski na Politechnice, Zaorski był wiceprezesem na medycynie. To już kazało bezpiecie podejrzewać, że jakaś *jaczejka* ONR opanowała Bratniaki i jest w tym tajny zamysł! Doczepili do tego jakichś ludzi, których w ogóle nie znałem. Głównym oskarżonym był Antoni Symonowicz, z profesji specjalista od gospodarki wodnej, który potem działał w tym charakterze jako znany ekspert i profesor.

KOZŁOWSKI: Czy wyrok był surowy?

SADOWSKI: Symonowicz dostał 10 lat. Ja miałem szczęście. Dostałem z przydziału adwokatkę, do której nie miałem cienia zaufania, bo wyglądała mi na kogoś z bezpieki, ale ostatecznie okazała się bardzo pomocna. Poprzez ówczesnego młodego dziennikarza piszącego sprawozdania z procesu dla „Gazety Ludowej”, Władysława Bartoszewskiego, znalazła świadka, działacza ONR, który wcześniej się ujawnił. Był wtedy współpracownikiem Bolesława Piaseckiego, miał więc niezłą pozycję i zgodził się zeznawać na moją korzyść. Ostatecznie po długich miesiącach siedzenia dostałem wyrok „dwa lata w zawiasach”. Dwóch nas dostało wyroki w zawieszeniu – ja i Jerzy Regulski, potem profesor dobrze zapisany w dziejach naszej reformy samorządowej.

RATKOWSKI: Jak czuł się w tamtych strasznych czasach człowiek, który cudem wyszedł z kryminalu?

SADOWSKI: Najpierw bardzo źle, bo dostałem cios w postaci wiadomości o śmierci ojca. Ale potem dość normalnie. Sprawa „13 studentów” była głośna, były jakieś protesty, nawet studentów czeskich, a koledzy nam mocno kibicowali. I oto profesor Lipiński zaproponował mi, żebym zostałem jego asystentem. Poczuję, że niebo się przede mną otwiera!

DYBICZ: Profesor nie miał poczucia, że ryzykuje? Czy bezpieka się Pana czepiała?

SADOWSKI: Co do profesora, to nie wiem, taki zresztą był. Odważny. A bezpieka przez parę lat czepiała się mnie, zapraszała kilkakrotnie na „rozmowy” i jak się niedawno okazało, IPN ma dowód, że nawet zapisali mnie jako TW. Ale po kilku spotkaniach zapra-

szuć przestali, a ja się tym zapisem nie zajmuję, bo wiem, że żadnym TW nie byłem.

KOZŁOWSKI: I powoli wrastał Pan w nową rzeczywistość. Obywatelem stał się Pan w czasie wojny, a teraz stawał się ekonomistą.

SADOWSKI: Ekonomistą stawałem się, gdy Lipiński zlecił mi asystenturę. To był ciekawy czas, okres Planu trzyletniego – lata 1946-49. Wiadomo było, że dominującą siłą jest PPR, jak to dość powszechnie wówczas określano „Płatne Pacholki Rosji”. I ja też wówczas zaliczałem się do tych, którzy do PPR-owców odczuwali żywą niechęć. Jednak wydawało się wówczas, że mamy ciągle jakiś margines swobody stanowienia swego nowego ustroju. Był to okres, kiedy nawet Gomułka stwierdzał, że budujemy ustrój kapitalistyczno-socjalistyczny, za co później niemal postawili go pod ścianą. Dominował PPR, ale PPS zachowywał samodzielność intelektualną i ta właśnie partia dysponowała wybitnymi kadrami. Był tam Lipiński, Lange, Bobrowski, Hochfeld, Żuławski. Byli też, najsilniejsi społecznym poparciem, ludowcy. Zdecydowanie opozycyjni...

KOZŁOWSKI: A rząd londyński?

SADOWSKI: No nie, nikt go poważnie nie traktował, szczególnie od chwili, gdy wrócił Mikołajczyk.

DYBICZ: Od momentu powstania Rządu Tymczasowego sytuacja była jednoznaczna!

SADOWSKI: Faktem jest, że Mikołajczyk wrócił do Warszawy w nimbie bohatera narodowego. Pamiętam, jak mieszkańcy stolicy, wtedy dość nieliczni, zebraли się wzdłuż Alei Jerozolimskich, żeby witać Mikołajczyka. Jechała kawalkada aut, a w pierwszym jakiś oficer pokazywał dwa palce, co miało oznaczać „drugi samochód”. A w drugim samochodzie stał jakiś facet i machał, ale to nie był Mikołajczyk, tylko Bierut! Mikołajczyk był gdzieś ukryty w środku kolumny, a Bierut przy tej okazji pozdrowiał społeczeństwo.

Takie to odbywały się wówczas podchody, ale dominowało przekonanie, że ciągle stanowimy o sobie sami, że dyskutujemy żywo, że ta dyskusja jest autentyczna: jaki to ma być ustrój, jak zbudować to wszystko. Trwało tak przez trzy pierwsze powojenne lata, choć mieliśmy przecież pewną ograniczoną wojnę domową.

KOZŁOWSKI: I nie było jeszcze autocenzury? Dyskutowało się swobodnie?

SADOWSKI: Nie wiem czy całkiem swobodnie, ale wychodziły różne gazety o bardzo odmiennych profilach ideologicznych i różnice między „Robotnikiem” a „Głosem Ludu” były aż nadto wyraźne. Owszem – Londyn już twierdził, że znaleźliśmy się pod nową okupacją, ale my tutaj mieliśmy poczucie, że zostaliśmy wyzwoleni i mamy swój kraj, który przede wszystkim trzeba odbudować. Wszyscy moi zwierzchnicy, wybitni ekonomiści, z którymi wówczas i potem współpracowałem, zabrali się rażno do roboty, i atmosfera była taka, że bez względu na to, jaki polityczny układ powstaje, to jest nasz kraj, i musimy robić wszystko, by podnieść go z gruzów.

RATKOWSKI: A te gruzy w Warszawie widoczne były szczególnie!

SADOWSKI: Właśnie, nie było więc żadnych wątpliwości co do konieczności konstruktywnego działania.

RATKOWSKI: A potem był Plan sześcioletni. Pamiętam moje wrażenia z przedszkola: stanęła tam świąteczna choinka, cała obwieszona „szóstkami”!



Fot. Filip Ratkowski

SADOWSKI: Plan sześcioletni miał być niejako dalszym ciągiem poprzedniego. Chodziło o budowanie podstaw nowej gospodarki i w pewien sposób nawiązywano do wylansowanego przed wojną hasła uprzemysłowienia kraju. Przecież przed wojną budowano Gdynię, COP, ale wtedy daleko nam było do prawdziwie wielkiego przemysłu. A tu się nagle formułuje wielki plan uprzemysłowienia – ogromnie ambitny i optymistyczny...

KOZŁOWSKI: Jednak między jednym planem a drugim była „bitwa o handel”. Sygnał co najmniej niepokojący.

SADOWSKI: To już była zapowiedź stalinizmu, czyli wejścia na drogę pełnej sowietyzacji. Poprzedziła ją toczona przez PPR na wielu frontach batalia z PPS, batalia, która się zakończyła porażką PPS – wykopaniem z rządowych stanowisk członków PPS – Lipińskiego, który do tamtej chwili był prezesem Banku Gospodarstwa Krajowego, Bobrowskiego, którego wysłano do Sztokholmu, i innych. PPR otwarcie przeszedł do wprowadzania sowieckiej koncepcji gospodarki, co było odczytane przez ekonomistów, także tych młodych, do których ja się wówczas zaliczałem, jako bardzo zły sygnał. Spór między ekonomistami formalnie dotyczył sposobu obliczania dochodu narodowego „z usługami, czy bez usług”, a faktycznie chodziło o strategię rozwoju.

Jednak Plan 6-letni zapowiadał się bardzo ciekawie i wyglądał na program zrównoważony. Niestety załamał się, w połowie z przyczyn politycznych. Wybuchła wojna koreańska, trzecia wojna światowa rzeczywiście wisiała w powietrzu i cały wysiłek ZSRR oraz krajów

satelickich został skierowany na zbrojenia. Po latach, kiedy pojechałem do Genewy, miałem sposobność brać udział w opracowywaniu pod auspicjami ONZ oceny Planu sześcioletniego, z której jasno wynikało jak destrukcyjną rolę odegrały tamte konflikty.

RATKOWSKI: Kiedy powstaje plan, tworzą go w założeniach politycy, ale formułują ekonomiści. Czy ekonomista ma poczucie, że jest demurkiem gospodarki? Wrażenie, że coś stwarza?

SADOWSKI: Niewątpliwie. Taki nastrój panował wówczas, ale równocześnie w środowiskach ukształtowanych przez przedwojenną polską myśl ekonomiczną zaznaczało się przekonanie, że to nie jest to, o co chodzi. Że błędem jest stawianie wszystkiego na przemysł ciężki.

KOZŁOWSKI: Minc miał wówczas powiedzieć, że „nie będziemy oddawać guzików”. To było przecież echo katastrofy wojennej, odwołanie się do głęboko zinternalizowanego poczucia wrześnieowej klęski.

DYBICZ: Ale Plan 6-letni to był także element programu zmiany struktury społecznej.

SADOWSKI: Oczywiście, tak. Ta struktura zmieniła się już w okresie Planu 3-letniego, bo masy ludzi ze wsi ruszyły do wyludnionych i zrujnowanych miast, do Warszawy, ale i na Ziemię Zachodnie, jednak wielki zwrot nastąpił w 1949 roku... Zaczął się okres stalinizmu.

KOZŁOWSKI: Profesor Bobrowski powiedział mi kiedyś, że i Planowi 3-letniemu, ale w nie mniejszym stopniu 6-letniemu towarzyszyło przeświadczenie, „że w Polsce już nie będzie wiejskiej nędzy”.

SADOWSKI: I rzeczywiście, to nastąpiło. Plaga gospodarki polskiej, czyli utajone, wiejskie bezrobocie, została zlikwidowana. Powstała szeroka warstwa chłopo-robotników, która przyniosła wsi postęp cywilizacyjny.

RATKOWSKI: Co paradoksalne, wbrew nadziejom rządzących przyczyniła się do wzmocnienia na wsi gospodarki indywidualnej, bo pojawiało się alternatywne źródło utrzymania. To także jedna z przyczyn dzisiejszych kłopotów i trwającego ciągle rozdrobienia gospodarstw.

DYBICZ: W tym czasie następuje też prawdziwy skok edukacyjny.

SADOWSKI: Widać to było na wsi, ale też w naszej Szkole Głównej Handlowej, przekształcanej właśnie – to nie tylko zmiana nazwy, ale i głównej idei – w Szkołę Główną Planowania i Statystyki. Przełom 1949 i 1950 roku to napływ młodzieży chłopskiej, może kiepsko przygotowanej, ale w większości ogromnie pracowitej i żadnej wiedzy. Pamiętam wielu ówczesnych studentów. Wspomnę jednego, bardzo solidnego, niewątpliwie chłopskiego pochodzenia. Wpadł do mnie do domu, co mnie nieco zaskoczyło, ale zapraszam go do środka, a ten z pewnym wahaniem powiada: „Mam do pana pytanie: Czy ten Stalin to naprawdę jest taki mądry?”

KOZŁOWSKI: No tak, pytanie w owym czasie z gatunku kluczowych!

SADOWSKI: W pierwszej chwili pomyślałem, że może to być prowokacja, ale skończyło się na długiej rozmowie, z której wynikało, że chłopiec miał prawdziwe wątpliwości. Wypadało je podtrzymać, ale tłumacząc, że chwilowo nie należy ich ujawniać.

Ja zostałem z SGPiS po pewnym czasie wyrzucony, ale że kadry przygotowanej brakowało, dostałem pracę na Uniwersytecie Warszawskim. Najpierw zresztą na Wydziale Dziennikarstwa.

KOZŁOWSKI: A jeśli zechciałby Pan na gospodarkę tego okresu spojrzeć z pewnej perspektywy...

SADOWSKI: Jedną z ważniejszych prac, jakie zrobiłem, była wspomniana już analiza tamtego okresu, przygotowana w Genewie pod przewodnictwem Wacława Micuty, który był wówczas najznaczącą polską postacią w tym środowisku, skądinąd znanego z powstania z piosenki o poruczniku Wacku.

W Genewie znalazłem się po październikowym przełomie wysłany przez Polskie Towarzystwo Ekonomiczne na staż naukowy do Europejskiej Komisji Gospodarczej przy ONZ. A kierował nią wybitny szwedzki ekonomista, potem noblista, Gunnar Myrdal. I właśnie tam z Micutą analizowaliśmy Plan 6-letni i zgodnie doszliśmy do wniosku, że koncepcja była bardzo ciekawa, obiecująca. Załamanie przyszło w wyniku wojny, a kompletna zmiana kierunku wypaczyła jego ideę. I paradoksalnie – tamto załamanie dało powód do rozpoczęcia w 1957 roku pierwszej w Polsce głębokiej i poważnej dyskusji nad reformą systemową.

RATKOWSKI: A sam plan skończył się wydarzeniami poznańskiego czerwca i to chyba najlepsze podsumowanie Planu 6-letniego.

KOZŁOWSKI: Objawił się wtedy skrajny brak równowagi.

SADOWSKI: Ten brak równowagi miał potem cechować cały okres PRL. Właśnie ta nierównowaga nie pozwalała realizować aspiracji społeczeństwa w sferze

konsumpcji. To zresztą bardzo wyraźnie ujawniło się już w okresie października'56 w hasłach Naczelnej Organizacji Technicznej: „Nie wolno pozwalać, żeby wszyscy byli w nędzy”!, choć w całym okresie PRL nędzy w literalnym rozumieniu nie było, bo i nie było bezrobocia. Była jednak ogólna niewydolność, niesprawność i mieliśmy tysiące przykładów czegoś, co nazwano „gospodarką niedoboru”.

RATKOWSKI: I różne jej konsekwencje: trwające całe dni kolejki po meble, „dojścia”, „załatwianie”... Każdy sprzedawca stawał się ważnym „urzędnikiem dystrybucji towarów”.

SADOWSKI: Pamiętam, jak to na warszawskim osiedlu Za Żelazną Bramą w zimie pojawiało się dziwne zjawisko – łazienki wylewały z powrotem wodę. Okazało się, że rurki były za wąskie, bo z powodu „przejściowych niedoborów” stalowe zastąpiono cementowymi, które z zewnątrz miały ten sam obwód, ale w środku – mniejszy!

KOZŁOWSKI: Ale to już były lata sześćdziesiąte. Wróćmy do Października i hasła reformy.

SADOWSKI: Przyszedł rok 1956 roku, bardzo pamiętny. Wyraziście zapisał się wówczas prof. Lipiński, a ja byłem przecież w gronie jego współpracowników, pojawiałem się też często w Klubie Krzywego Koła. Poznałem wówczas m.in. Bronisława Geremka, który zrobił na mnie bardzo korzystne wrażenie.

Także od naszej profesjonalnej strony działały się rzeczy ważne, bo wydawało się, że mamy szansę na gruntowną reformę systemu. Koryfeusze – właśnie Lange i Lipiński – podchodzili do sprawy dość oględnie, lansowali autonomizację przedsiębiorstw w dziedzinie realizacji zadań stawianych przez plan centralny. Okazało się szybko, że tak się nie da zrobić, bo nie można pogodzić samodzielności ze sztywnym, odgórnym stanowionym, systemem cen, a więc i kosztów.

RATKOWSKI: Ale już wtedy mówiło się o „modelu jugosłowiańskim”, który będzie potem wielokrotnie powracał. W dyskusjach tylko.

SADOWSKI: Samorządność robotnicza, która – jak wydawało się nam wtedy – stanowiła podstawę tego systemu, była dla władzy czymś bardzo niepokojącym. Byłem w Jugosławii badać ten system, ale nie bardzo mi się to podobało. Odebrałem Jugosławię jako kraj „przegadany”. Tam odbywały się tysiące zebrań, na których tylko, jak byśmy to dziś powiedzieli, „biło się pianę”.

RATKOWSKI: Mieliśmy taki zalew gadulstwa i u nas, w 1980 roku.

KOZŁOWSKI: Ale model jugosłowiański bardzo lansował Bobrowski, artykuł o tym systemie napisał wówczas Kalecki...

SADOWSKI: To było, zgadzam się, interesujące zjawisko, które trochę pomogło nam w reformie lat 80. ale ostatecznie i to się nie sprawdziło!

DYBICZ: Potrzeba zmian była oczywista, pojawiały się różne pomysły. Potem, w epoce Gierka tworzone np. wielkie organizacje gospodarcze – tzw. WOG-i, które przez swą wewnętrzną efektywność miały racjonalizować cały system gospodarczy. Ale czy przypadkiem nie rodziło się wśród ekonomistów podejrzenie, że gospodarki nakazowo-rozdzielczej reformować się po prostu nie da?

SADOWSKI: Nie było takiego przeświadczenia wśród ludzi, którzy podjęli zadanie reformy. Bo idea reformowania się zmieniała. Początkowo wydawało się, że chodzi o istotną, ale bardzo ograniczoną korektę. To się nie sprawdziło i w tym sensie Pan ma rację. Ale w reformie lat 1980. chodziło już o zasadniczą zmianę systemu. Oczywiście, reżim nie był już tym, czym był wcześniej. Pozostał autorytarny, ale coraz dalej mu było do totalitaryzmu, a ideologia marksizmu-leninizmu nie odgrywała takiej roli jak przedtem, kiedy Stalina cytowano w każdej książce i w każdym artykule. Jednak związek między polityką i gospodarką był ciągle oczywisty. Cały czas ekonomiści mieli świadomość, że powinno się gospodarkę popychać w stronę efektywności. Już WOG-i były taką koncepcją reformy, która wyciągała konsekwencje z niezadawalających efektów reform końca lat 50. i 60. Skoro nie można było dać przedsiębiorstwom samodzielności w wykonywaniu zadań planowych, to uznano, że można ją zapewnić zjednoczeniom branżowym nazwanym WOG-ami. Tym razem jednak powstał od razu inny kłopot – oto te Wielkie Organizacje Gospodarcze stawały się po prostu monopolami wykorzystującymi swoje monopolistyczne pozycje bez troski o efektywność! Mocno trzymały swoje branże w rękę i nie pozwalały na żadne „rynkowe mrzonki”.

RATKOWSKI: A czy nie ma Pan wrażenia, że przedsiębiorstwa choćby po to, by umocnić swoją pozycję, zaczęły może nawet podświadomie produkować „pod plan”. Po to, żeby korzystnie, poza rynkiem, wymieniać swoją szynkę na telewizory, ubrania na elektroluksy... Gdyby tego było dość na rynku, ich pozycja by malała!

SADOWSKI: Przedsiębiorstwa musiały wykonywać zadania planowe. A gospodarka dalej pozostała nakazowo-rozdzielcza. Władza polityczna wierzyła w nakazy, a nie w wymianę rynkową. Wyciągnęliśmy z tego wnioski dopiero w latach 80., kiedy centralne planowanie zostało zniesione. To dopiero była wielka zmiana, której dziś nikt nie pamięta, bo została przestonięta stanem wojennym.

KOZŁOWSKI: Czy ta permanentna „niepełność” naszych reform miała za przyczynę niedostatki intelektualne ekonomistów, czy bariery były na wewnątrz? W świecie polityki, w kraju, poza nim?

SADOWSKI: Mieliśmy cały czas świadomość, że bariera polityczna zmuszała do utrzymywania centralnego planowania, które było doktryną obowiązującą w całym obozie. I dopiero w latach 80. po trosze dzięki stanowi wojennemu mogliśmy sobie powiedzieć: „A ucho! Zlikwidujemy obligatoryjne centralne planowanie, bo ono nie jest do niczego potrzebne”!

KOZŁOWSKI: Ale to wszystko zmierzało do ograniczenia roli partii. Przynajmniej w sferze gospodarczej.

SADOWSKI: Niewątpliwie, ale mnie to nie bolało. Tylko że głośne mówienie o tym było niewskazane, bo władze tej partii popierały wtedy reformę.

DYBICZ: A czy gierkowscy technokraci też już nie osłabiali roli partii?

SADOWSKI: Nie, wtedy komitety partyjne w przedsiębiorstwach i zjednoczeniach miały duże uprawnienia i wpływ na zarządzanie. Początkiem zmian stały się ustawy z października 1981 roku, które wprowadza-

ły dla przedsiębiorstw państwowych samodzielność i istotną rolę samorządu załogi. Komitety partyjne utraciły wiele ze swego znaczenia. Jednak w poszczególnych przedsiębiorstwach było różnie, praktyka zależała od konkretnego układu personalnego i zmieniała się powoli. Firmy ucieszyły się samodzielnością, ale do zasady samofinansowania nie mogły się łatwo przystosować. Dotąd pracowały przecież na podstawie cen i wskaźników stanowionych przez władze, a teraz zostały skazane same na siebie. To też prasa pisała ze zdumieniem, że oto ceny, np. tych samych kosmetyków w jednym sklepie są takie, a w innych inne! Jaki absurd! Jak żyć? Ludzie chcieli swobodnej gospodarki, ale bali się wprowadzanego rynku!

W przedsiębiorstwach kłopot polegał na tym, że dyrektor był uzależniony od trzech instancji – wewnątrz miał samorząd i komitet partyjny, z którym się musiał liczyć...

RATKOWSKI: A także związek zawodowy „Solidarność”, który od początku usiłował wejść w buty PZPR! Do dziś niektóre komisje zakładowe urzędują w lokalach po partyjnych komitetach.

SADOWSKI: To później. Wtedy był jeszcze jako trzecia siła tzw. organ założycielski, czyli ministerstwo. Relacja wzajemna między tymi instancjami układała się rozmaicie. Do realizatorów reformy należało wspieranie dyrektorów. Pamiętam w Sejmie wielką konferencję samorządową, na której wystąpiłem w rzadkiej dla siebie roli mówcy wiecowego. Tak pobudził mnie nastrój sali. Tłumaczyłem samorządowcom, że to oni są od podejmowania decyzji – nie komitety, nie organy założycielskie, ale samorządy! Nikt o to do mnie nie miał pretensji, bo w istocie nikt nie wiedział, co trzeba robić... Poza dwiema osobami – Baka był jedną, a ja drugą!

Miałem taką zabawną rozmowę z Urbanem, który jako rzecznik rządu zapytał mnie o jakieś rozwiązanie w tej dziedzinie. Odpowiedziałem, że to zależy od Biura Politycznego. Spojrzał na mnie „spod oka” i stwierdził: „Ależ będzie tak, jak pan powie”. Ale ani nie czułem się dyktatorem, ani nim nie byłem. Wiedzieć, to nie znaczy decydować.

KOZŁOWSKI: Może szkoda? Ale nierównowagi gospodarczej pokonać się nie udało. Nieważne teraz, z jakiej przyczyny. Czy jednak ta nierównowaga to immanentna cecha systemu? Czy Kornai ma rację w swojej głośnej analizie *Gospodarka niedoboru*? Przecież aż takiej nierównowagi nie było na Węgrzech?

SADOWSKI: Nasza Rada Ekonomiczna w końcu lat 50. opracowała pewną koncepcję reformy, dość łagodną jeszcze, ale istotną. Ale w Polsce nie była ona nigdy realizowana. Na Węgrzech Kadar ją przystosował do tamtych warunków...

RATKOWSKI: Wynika z tego paradoksalnie, że dramatem polskiej reformy gospodarczej było to, iż Gomułka miał masowe poparcie społeczne i mógł się nie liczyć z trudnymi realiami. A Kadar, przyniesiony na bagnetach, tego poparcia nie miał i musiał je uzyskać przez „gulaszowy socjalizm”.

SADOWSKI: Potem u Węgrów to się kompletnie zamroziło i dopiero w latach 80. oba kraje ruszyły w tę samą stronę. Pamiętam brytyjskiego dziennikarza, który próbował stawiać mi za wzór rozważaną wtedy na

Węgrzech ideę samorządności załóg, gdy u nas dawno już ona funkcjonowała. Z Węgrami byliśmy w ścisłym kontakcie, wielokrotnie omawialiśmy te sprawy i stąd wiem, że oni byli choćby w sprawie samorządów mniej zaawansowani.

RATKOWSKI: Panie profesorze... Wychodzi z Pana niepoprawny socjalista! Miłość do samorządu robotniczego? Dzisiaj?

SADOWSKI: Ba! Dzisiaj to są wspomnienia. Ale w tamtych czasach to odgrywało ogromną rolę. A socjaldemokratyzmu się nie wypieram.

KOZŁOWSKI: Cóż, faktem jest, że wszystko co nie było opozycją i co nie było „Solidarnością”, było w tamtych czasach traktowane jako reżimowe.

SADOWSKI: Pamiętam rozmowę z pewnym włoskim dziennikarzem, który po dłuższym wywiadzie na temat reformy gospodarczej powiedział: – To pan jest komunistą? – Nie, nie jestem komunistą – odpowiedziałem. – A dlaczego? – spytał...

RATKOWSKI: I ja też pytam! Ale wróćmy jeszcze na moment do próby modernizacyjnej Gierka. Ważnej, dziś często wspominanej i to z sentymentem.

SADOWSKI: Gierek objął władzę w sytuacji trudnej, w dodatku popełnił błąd na samym początku, bo wycofał się z podwyżki cen...

DYBICZ: Czy mógł się nie wycofać?

SADOWSKI: Powiedzmy o połowę? Mógł. To był błąd. Ważne, co działo się potem. Ruszył dalej z polityką gospodarczą opartą na fachowcach z Bożykiem na czele, w bardzo sprzyjającym okresie, bo wtedy stały się dostępne kredyty międzynarodowe. Aby pobudzić swoją gospodarkę, różne kraje starały się dawać kredyty na swoje wyroby, jak banki obecnie. Zaczęliśmy brać kredyty i to nie bez koncepcji! A koncepcja była dobra. Planowano kupowanie nowych technologii, które pozwolą na modernizację przemysłu. Dzięki temu rozwiniemy eksport, spłacimy kredyty i zostaniemy na najlepszym ze światów. Taka była koncepcja, której logikę wypada i należy bronić.

KOZŁOWSKI: W dodatku przesunęlibyśmy zależności gospodarcze i polityczne ze Wschodu na Zachód.

SADOWSKI: No właśnie. Radzieccy towarzysze od początku podejrzewali nas o takie intencje. Ale pojawił się problem. Nie doceniono sztywności systemu centralnego planowania, który nie umiał sobie poradzić z realizacją tej strategii. Okazało się, owszem, że technologie są kupowane, częściowo nawet wprowadzane w życie, ale tylko częściowo. I wiele mieliśmy przykładów potem, że maszyny leżały bezużytecznie...

RATKOWSKI: Jak teraz niektóre nowoczesne urządzenia w szpitalach, bo kupiono je dlatego, że jakiś dyrektor dostał w łapę. I były też dziesiątki nietrafionych zakupów, jak sławna fabryka tarcz telefonicznych dla Radomia, gdy cały świat przechodził na przyciski, albo koncepcja zakupu fabryk chleba, po skandalu w Warszawie, gdy pieczywa w sobotę zabrakło i rozwścieczeni warszawiacy dzwonili do pani Stasi: – Jak ten twój Edek rządzi?!

SADOWSKI: Inny przykład to proszki do prania oparte na siarczanie sodu. Mieliśmy go i mamy mnóstwo, ale jego jakość była nie tak dobra, więc trzeba było importować...

RATKOWSKI: Dziś coś podobnego robią Chiny importując nie technologie, ale całe firmy. Czy Gierek nie mógł zaryzykować takiego kroku? Wtedy ryzyko byłoby po stronie kapitału zagranicznego.

SADOWSKI: Przyznam, że nie wiem. Ale proszę zauważyć, że to było blisko pół wieku temu, i że byliśmy wtedy mocno osadzeni w systemie sowieckim. Chińczycy wystartowali znacznie później, nader ostrożnie w swoich specjalnych strefach i wiem, że pilnie studiowali nasze doświadczenia. A myśmy zaczęli od nieśmiałego sprowadzania kapitału polonijnego.

U nas rozwijający się przemysł, modernizowany na zachodnich technologiach, wygenerował zamiast eksportu ogromny wzrost importu.

KOZŁOWSKI: A czy była jakaś szansa, czy ta droga od początku była skazana na porażkę? A może to był, jak sądzi dziś wielu zwolenników spiskowych teorii, celowy krok Zachodu do obalenia systemu socjalistycznego?

SADOWSKI: Spiskowych teorii staram się unikać, ale faktem jest, że na kredyty rzuciliśmy się w owym czasie bez umiaru, że użyję przedwojennego określenia „jak chamy na lody pingwin”. Dość wcześniej obserwatorzy i analitycy zaczęli ostrzegać przez życiem na kredyt i nawet sam zrobiłem odpowiednie obliczenia, z których wynikało, że nastąpi spadek dochodu narodowego. Trudno było w to uwierzyć, sam w to nie wierzyłem, wezwałem współpracowników, żebyśmy razem poszukali błędu. Błędu nie było!

KOZŁOWSKI: Miałem potem bliski kontakt z Bobrowskim, a i z Panem, i pamiętam, że nie tylko ostrzegaliście przed kryzysem, ale i przed pułapką zadłużeniową, z której nie uda się wyjść.

SADOWSKI: Pułapka była bardzo groźna, ale zostawiała szansę wyjścia. Można było negocjować ulgi. Ale przycisnęło nas to bardzo.

DYBICZ: A co mówili ekonomiści wówczas bliżej władzy?

SADOWSKI: Ogromnie trudno było dotrzeć z ostrzeżeniami do władzy, a jej ekonomiści nie widzieli tego, nie wierzyli! Próbowano wykorzystać do sformułowania ostrzeżeń Komitet Polska 2000 Polskiej Akademii Nauk, a także konwersatorium Doświadczenie i Przyszłość.

RATKOWSKI: Co z tego, kiedy rządzący czuli się demiurgami! Jak Hilary Minc.

SADOWSKI: Bronili Gierka, postaci, strategii, kierunku...

DYBICZ: Nie rozumieli, co się dzieje i stąd ich pierwotna polityka – damy po 2 tysiące podwyżki i będzie spokój?

SADOWSKI: Akurat jakoś wtedy zaprosił mnie ambasador Szwecji na kolację, i pyta, co się dzieje w Lublinie, a ja nie miałem pojęcia, co się dzieje. A tam właśnie zaczęły się pierwsze akcje robotnicze. Zachodni dyplomaci bardzo pilnie śledzili rozwój sytuacji u nas i przewidywali, co się może stać. W końcu tu były ich pieniądze.

KOZŁOWSKI: Strajki zawsze były w PRL tradycyjnym, sprawdzonym mechanizmem zmiany politycznej.

SADOWSKI: Pod warunkiem, że podpalono kilka komitetów – wtedy zmieniał się pierwszy sekretarz.

RATKOWSKI: Po takiej zmianie mieliśmy okres uspokojenia i znowu, mniej więcej po dwóch kolejnych zjazdach PZPR zaczynało się od nowa. To szeroko dyskutowany kiedyś problem systemu, który sam generuje kryzysy.

SADOWSKI: A po porozumieniach sierpniowych wyglądało na to, że znów wchodzimy w tę samą spiralę, bo tak jak Gierek wycofał się z podwyżek cen, tak po Sierpniu zdarzyło się coś, co w historii świata było bez precedensu – przy istotnym spadku produkcji nastąpił znaczny wzrost płac! Wywalczona przez strajki powszechna podwyżka, „wałęsówka” wynosiła 25 proc. zarobków! I tu trzeba uprzytomnić współczesnym czytelnikom, że prywatny, drobny przemysł i rzemiosło to był wówczas margines, więc podwyżki objęły właściwie całe społeczeństwo.

Pamiętam, jak przyszedł do mnie człowiek z kręgu ówczesnej, rodzącej się opozycji, z KiK-u i z kręgów kościelnych, Andrzej Wielowiejski i powiedział „Mój szef chciałby się z panem spotkać”. Nie od razu zrozumiałem, o kim mowa, ale po chwili okazało się, że chodziło o Wałęsę. Oczywiście wyraziłem gotowość. Powstał jednak problem, gdzie to spotkanie ma się odbyć. Byłem wtedy postacią oficjalną, szefem Komisji Planowania, więc zaproponowałem lokal Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego, miejsce neutralne. Oni zaproponowali kościół i do spotkania nie doszło.

DYBICZ: Nie lubiąc PZPR przyjmuje Pan w istocie partyjną postawę.

SADOWSKI: O nie. To nie była postawa „partyjna”, to była postawa lekarza, którego wezwano do pacjenta i on ma go leczyć nie pytając jak się nazywał! I taka była moja postawa od samego początku, wynikająca nie tylko z moich własnych doświadczeń, ale i z tego, że wszyscy moi przywódcy intelektualni przed dziesiątkami lat tak właśnie zareagowali na koniec okupacji niemieckiej, na początek PRL i zajęli się tym „prypadkiem” z całą energią. I nieważne teraz, że ostatecznie odsunęto ich od łóża chorego...

DYBICZ: Czy od razu nie było wiadomo, że ta choroba jest śmiertelna? Pacjent nie tylko miał tę zwykłą, ekonomiczną chorobę, ale w dodatku zapalenie płuc w postaci „Solidarności”!

SADOWSKI: Wszyscy widzieliśmy po kolejnych kryzysach, że ten chory chce, żeby go leczyć, i rusza się całkiem żwawo. Poza nim, poza PZPR, były jeszcze miliony ludzi w jakiś sposób od tego chorego uzależnionych. Zresztą wiem, że Jaruzelski, z którym spośród przywódców partyjnych kontakty miałem najbliższe, chciał reformy.

Już w okresie, kiedy blisko władzy był Baka, wiedziałem, że dyskusja o gospodarce jest serio. Zresztą Baka był kiedyś moim studentem i znaliśmy się niezłe. Potem, gdy zaproponowano mi stanowisko wicepremiera i przygotowanie drugiego etapu reformy, zabrałem się do tego bardzo poważnie. Powstał program, z którego byłem dumny. Wszystkie punkty, a było ich około 150, miały swoje terminy realizacji i szczegółowe opracowania. Postanowiliśmy, że będziemy informować prasę o realizacji tych kolejnych kroków po to między innymi, żeby cały aparat mobilizować i żeby zapewnić rodzaj społecznego nadzoru czy nacisku na realizację reformy. To zostało całkowicie wykopane

na aut przez ludzi Rakowskiego, ale takie było zamierzenie.

Kiedy dokument powstał, posłałem go generałowi Jaruzelskiemu i ten wezwał mnie po kilku dniach, chyba na godzinę 22. Wszyscy padali na nosy, a on się wtedy rozkręcał... Kiedy się zjawiłem, miał przed sobą ten dokument, jak ze zdumieniem zauważyłem, cały pokreślony notatkami. Dosłownie cały, a tego było ponad 150 stron. Zaczęła się rozmowa i z najwyższym uznaniem stwierdziłem, że tyle energii włożył w rozpoznawanie niełatwych problemów gospodarczych. Siedzieliśmy do czwartej rano i dokument się obronił. Przynajmniej przed Jaruzelskim.

DYBICZ: Ale nie przed „Solidarnością”, która już wtedy rozdawała karty.

SADOWSKI: Myślę, że kręgi „solidarnościowe” nawet nie próbowały go analizować. Ja zresztą popełniłem poważny błąd. Jedną z części reformy była reforma cenowo-dochodowa, mniej więcej to, co potem zrobił Balcerowicz nie pytając nikogo o zgodę. Myśmy mieli bardzo dokładnie rozpisaną reformę i to musiało być przedmiotem niepokoju. Rakowski wymyślił więc referendum, które miało być przygotowane tak, żeby dokładnie wyjaśnić społeczeństwu o co tu chodzi i jak to będzie przebiegało. Przyznam się, byłem przeciwny referendum, bo uważałem intuicyjnie, że to nie pomoże, ale rozumiałem argument, że nie można zaskoczyć społeczeństwa podwyżką cen, bo znowu ludzie wyjdą na ulicę. I pamiętam, że jeden z sekretarzy KC przekonał mnie ostatecznie do tej sprawy.

Przygotowaliśmy bardzo proste wyjaśnienia całego problemu, które powinno dotrzeć do każdego. Było powiedziane, że przed nami trzy trudne lata i dokładnie wytuszczono dla kogo będzie to trudniejsze, a dla kogo mniej trudne. Wszystko to było opisane precyzyjnie i bardzo przejrzystie. Ustąpiłem nie zdając sobie sprawy, że przepisy o referendum wymagają co najmniej 50 proc. uprawnionych do głosowania, a przekroczenie tego progu było niemożliwe! To był nieosiągalny w praktyce przepis wprowadzony za czasów Gierka w obawie przed tym, że referendum może obalić władzę PZPR. Co gorsza, nie wiedział też tego Generał.

KOZŁOWSKI: Ale w tej ekipie ktoś powinien to wiedzieć.

SADOWSKI: Jaruzelskiego poinformowano *post factum*! I było już za późno. Wynik w zasadzie kapitalny: 12 milionów głosujących „za”, a 5 „przeciw”, jednak brakło frekwencji i Rakowski od razu ogłosił klęskę referendum. No cóż, chciał zostać jak najprędzej premierem. Niestety. Bywają takie sytuacje.

Klęska referendum była jednak jeszcze głębsza, czego rzeczywiście nie wziąłem pod uwagę. Oto gdy się mówi o możliwości podwyżek cen i w dodatku poddaje się to pod referendum, to ludzie zaczynają wykupywać wszystko, co jest w sklepach. Ruszył nagły run na rynek i w efekcie zwyciężyła teza, że trzeba podwyżkę cen „zrekompensować”. Dziś, gdy patrzę na tę sytuację, wiem, że powinienem był zrezygnować wówczas ze stanowiska. Ale czasy były inne i wydawało mi się, że nie mogę rejterować z placu boju. Zostałem, i to było niepotrzebne.

DYBICZ: I co z tego programu, przygotowanego przez Pana i Pański zespół, przejęła ekipa Rakowskiego i Wilczka?

SADOWSKI: Reforma była kontynuowana i dwie koncepcje, które przygotowałem, a potem ustępując wręczyłem Rakowskiemu bardzo się, jak widziałem potem, przydały. Nastąpiła programowana przez nas likwidacja systemu kartkowego rozdzielnictwa mięsa, a po drugie reforma systemu bankowego. Rakowski zresztą od razu powiedział, że zamierza to zdyskontować jako osiągnięcie swojego rządu. Jak powiedział, tak zrobił. Natomiast co mnie ubodło to fakt, że przypisał nie tyle sobie, ile Wilczkowi bardzo ważną ustawę o swobodzie gospodarczej, z którą wcześniej wystąpił Messner. To nasz zespół przygotował Messnerowi hasło, że „co nie jest zabronione – jest dozwolone”, co było tezą rewolucyjną, choć z prawnego punktu widzenia dość wątpliwą, bo nie można tak działać. Jednak wówczas wydawało się to bardzo korzystne.

Teza znana dziś jako teza Wilczka była wcześniej w Sejmie, ale niepotrzebnie do projektu wstawiono wówczas punkt o swobodzie zrzeszania się przedsiębiorstw. Pamiętam, że tuż przed postawieniem jej na forum publicznym, w nocy zadzwonił do mnie Tadeusz Witold Młyńczak, wówczas szef Stronnictwa Demokratycznego reprezentującego interesy rzemiosła, a raczej izb rzemieślniczych. Tłumaczył, że wraz z wprowadzeniem takich przepisów upadną izby, a wraz z nimi całe rzemiosło. Tłumaczyłem mu, że jeśli izby są rzeczywiście potrzebne, to rzemieślnicy i tak będą się w nich zrzeszali, ale dowiedziałem się, że nie można tak stawić sprawy.

Zrodziło się wokół tego wielkie napięcie i ustawa została wstrzymana, a potem Wilczek wyrzucił ten cały rozdział. To akurat było moim zdaniem słuszne, bo te sprawy powinny być rozpatrywane rozdzielnie, ale ja wiem to *ex post*.

KOZŁOWSKI: Wypada więc teraz zapytać o sprawy chyba najważniejsze. Nigdy nie należał Pan do PZPR, był – wprawdzie przed wojną i w dzieciństwie – ale jednak na drugim biegunie sceny politycznej, siedział Pan w kryminale, nigdy nie był związany z partią, a nawet wręcz przeciwnie, i oto znajduje się Pan we władzach państwowych. Zgoda, że na etacie „lekarza”, ale czy nie był to jakiś paradoks? Absurd czy fragment czegoś, co możemy nazwać „polskim losem”?

SADOWSKI: Herrer, który w początkach PRL był w UB i przesłuchiwał mnie na Koszykowej, w czasach, o których mówimy, wstąpił do „Solidarności” i kiedy zdarzało nam się spotykać, mieliśmy okazję do żartów. Nigdy nie było między nami wrogości, bo każdy z nas działał, jak umiał najlepiej dla dobra kraju. Teraz on chodził po kościołach, a ja jako wicepremier po partyjnych komitetach. – Wie pan co? – mówił Herrer. – Powinniśmy nagrać w telewizji rozmowę o polskich drogach, bo to rzeczywiście dziwne.

Okres festiwalu „Solidarności”, a potem stan wojenny, to była niezwykła epoka, pełna paradoksów. Pamiętam jednego z ważnych profesorów, który zresztą był wysunięty przez „Solidarność” na szefa instytutu, w którym wówczas pracowałem, a który był w Łodzi działaczem „Solidarności”, zaś w Warszawie działaczem partyjnym.

Najdziwniejszym dla mnie przeżyciem było pierwsze zaproszenie na posiedzenie Biura Politycznego KC PZPR. Samo wejście do „Białego Domu” już było

przeżyciem, bo gmach KC utrwalił się w mojej świadomości jako swego rodzaju forteca. Może nawet „wroga forteca”, a tu nagle zacząłem uczęszczać do tego „Białego Domu” co parę dni, by spotykać się z różnymi ludźmi. Potem wreszcie zaprosili mnie na Biuro Polityczne!

RATKOWSKI: Podobno nudne były te posiedzenia?

SADOWSKI: Gdy patrzę na to z punktu widzenia ekonomisty, to atmosfera była dość szczególna. Siedziało tam kilku zakapiorów, takich partyjnych betoniarzy, ale oni nie wychylali się i nie mówili właściwie nic. Widać było, że mają wszystko wszystkim za złe, ale wiedzieli, że pierwszy sekretarz, Jaruzelski popiera reformę, więc co mieli mówić? W każdym razie atmosfera była napięta. Był reprezentant ZSL, czyli marszałek sejmu Roman Malinowski, który zawsze zabierał głos, ale ograniczał się do uwag, że z analizy dochodu narodowego wynika, iż dochód rolnictwa spada w porównaniu do przypadającego na nie paritetu, więc powinno się sytuację rolników poprawić. Ten głos zresztą odgrywał poważną rolę. W sprawach gospodarczych miałem oczywiście swoje zdanie, ale czekałem najpierw, co powie premier Messner. Premier jednak miał to do siebie, że nic nie mówił. Więc mówiłem ja z reguły coś, co spotykało się z miernym zainteresowaniem.

Pamiętam jedno drobne wydarzenie. Oto w jakimś momencie nie wytrzymałem i powiedziałem, że pora skończyć wreszcie z określeniem „sektor nieuspołeczniony”, i nazwać go właściwą nazwą „sektor prywatny”. Zapadła martwa cisza, jedna z tych „martwych ciszy”, o jakich wspomina literatura... Już wiedziałem, że popełniłem błąd. Niewybaczalny, jak puszczenie bąka w salonie.

DYBICZ: Ale były tam także przynajmniej dwie inne, niekonwencjonalne postacie – Urban, Główny...

SADOWSKI: Nie, Urbana tam nie spotykałem. Główny siedział ciągle zapatrzony w swoje statystyki i dowodził jakichś swoich racji, ale nie był bardzo wyrazisty, Nie popierał nas specjalnie, ale też nie przeszkadzał reformie.

RATKOWSKI: Był okres, kiedy jego „Życie Gospodarcze” było ciekawsze od „Polityki”. Czytałem je namiętnie i potem niemiło zaskoczył mnie jego konserwatyzm, gdy został sekretarzem ekonomicznym Komitetu Centralnego.

SADOWSKI: Mam wrażenie, że on miał głębokie poczucie, że owszem, reformę trzeba robić, ale tak, żeby partia na tym nie ucierpiała. Miał więc duszę rozdartą w tym względzie, ale reformy nie zwalczał, tylko dbał o interes PZPR. Generalnie „na Biurze” atmosfera była sprzyjająca reformie, ale z takim poczuciem, że jest to ważne, jednak lepiej, by robili to inni ludzie. Nie oni!

DYBICZ: A więc lepiej było oddać władzę?

SADOWSKI: No nie. Rakowski chciał to robić i posłużył się do tego Sekułą. Sekuła to była szczególna postać, psycholog z wykształcenia, co mu pomagało. Był najpierw prezesem ZUS, a potem wszedł do rządu jako minister pracy i opieki społecznej. W tym charakterze zapraszano go na „ekonomiczne” posiedzenia Biura. Dał się wcześniej poznać w sferach rządowych



Fot. Filip Ratkowski

jako człowiek, który tworzy tak zwaną „pułapkę Sekuły”. Przemawiał w taki sposób, że stwarzał wrażenie, iż oto nareszcie jest człowiek, który wie, co należy zrobić. Był w tym świetny. My, którzy znaliśmy i jego, i problematykę, dobrze wiedzieliśmy, że on nie ma pojęcia, co należy zrobić, ale był przekonujący. W trakcie posiedzeń Biura Politycznego siadywałem z reguły obok innego wicepremiera, Zbigniewa Szałajdy. To był taki sympatyczny inżynier ze Śląska, z początku bardzo niechętny wobec reformy, ale w końcu dał się przekonać i pozostawaliśmy w dobrych stosunkach. Komentowaliśmy niekiedy różne wypowiedzi i zdarzało nam się pośmiać, co Generał kwitował nader niechętnie – jak nauczyciel śmiechy w klasie. Ale kiedyś, jak Sekuła wystąpił ze swoim typowym przemówieniem wobec Generała, Szałajda szepnął mi, że oto mamy następnego wicepremiera! I tak się stało.

DYBICZ: A gra toczyła się ciągle wokół miejsca partii w gospodarce...

SADOWSKI: To był delikatny problem, choć po stanie wojennym PZPR była już poważnie osłabiona. Nigdy oczywiście nie podkreślałem, że należy partię wycofać z zakładu pracy, ale reforma, o której mówiłem szczegółowo, nie przewidywała dla niej w zakładach żadnej roli. Co inteligentniejsi partyjni działacze, także ci „twardogłowi” zdawali sobie z tego sprawę. Miałem zresztą ciekawe spotkanie na Śląsku, dotyczące przemysłu węglowego. Wtedy jeszcze byłem zastępcą Baki. Kopalniami rządził minister górnictwa, gen. Piotrowski i miał swojego zastępcę, Głanowskiego. Obaj robili wszystko, żeby ograniczyć zasięg reformy w tej dziedzinie.

RATKOWSKI: Trudno zresztą wymagać od wojskowego, żeby wierzył w coś, co nie jest rozkazem!

SADOWSKI: Pewnego dnia zadzwonił u mnie, chyba po raz pierwszy, specjalny telefon rządowy, który miałem na biurku. – Mówi generał Piotrowski – usłyszałem. – Profesorze, co wy nam chcecie zrobić? – powiedział i zaczął zjeżdżać reformę od początku do końca. Ja się nie poddawałem, więc ostatecznie zaproponował: – Pojedźcie na Śląsk, spotkajcie się z dyrektorami kopalń, to zobaczycie, jak to jest.

Pojechałem do Katowic, gdzie zorganizowane zostało wielkie spotkanie dyrektorów kopalń i zjednoczeń. Ja powiedziałem swoje, minister Głanowski swoje, a potem była tak zwana dyskusja. Zabierali głos po kolei dyrektorzy i mówili na jedną nutę: górnictwa nie ruszać! Mocno straszili załamaniem wydobycia, eksportu, gospodarczą zapaścią, słowem – wszystkim. W końcu wystąpił jeden i powiada: – Myśmy tu wczoraj z ministrem Głanowskim omawiali te sprawy... Prawdopodobny się znalazł.

RATKOWSKI: Zupa się wylała! W takiej sytuacji trudno było przekonać panów dyrektorów.

SADOWSKI: No i w ustawie o samorządzie przedsiębiorstw pojawiła się koncepcja „przedsiębiorstw szczególnego znaczenia”. Wszystkie kopalnie zostały poddane temu innemu „szczególnemu” trybowi.

KOZŁOWSKI: Pomijamy tu cały czas ważny wątek, czyli relacje ze światem. A przecież Polska była już ogromnie zadłużona.

SADOWSKI: Zachodni partnerzy traktowali mnie zyczliwie, nawet powiedziałbym, niebezpiecznie

życzliwie. Po jakimś moim odczycie w Szwajcarii, przysłano mi wycinek z gazety, która tłustymi czcionkami donosiła, że „Sadowski chce wprowadzić kapitalizm do Polski”. Tak dalekich ambicji nie miałem, chciałem kapitału i gospodarki rynkowej, ale miałem trochę kłopotu, zanim wyjaśniłem to moim kolegom z rządu. Pamiętam dobre przyjęcie w Austrii, Wielkiej Brytanii...

DYBICZ: A w krajach „demokracji ludowej”?

SADOWSKI: Węgry robili niemal taką samą reformę, więc rozumieliśmy się dobrze, choć długo jeszcze nie chcieli godzić się na prywatne inwestycje. Pamiętam rozmowę z czeskosłowackim premierem Strugalem, który był bardzo podejrzliwie nastawiony do reformy i dopytywał się szczególnie, czy partia nie utraci w jej wyniku swojej pozycji. Miałem doświadczenie z takimi rozmówcami w Polsce, więc nie było mi trudno. Inna rzecz, że jakiś czas później, na posiedzeniu delegatów RWPG powiedział mniej więcej tak: „Towarzysze! Popatrzcie na kraje zachodniej Europy. U nich jest dobrze, a u nas nie. Dlaczego? Bo oni mają kapitalizm!”

KOZŁOWSKI: A Rumunia?

SADOWSKI: Zależy, o jakich spotkaniach mówimy, na jakim szczeblu. Ceausescu, z którym spotkaliśmy się w Warszawie, był kompletnie niekomunikatywny, natomiast rumuńscy działacze niższego szczebla byli ogromnie chłonni i powiadali, że patrzą z dużym zainteresowaniem na to, co my robimy. Ciekawe spotkania miałem też w NRD. Przyjmował mnie wicepremier o polskim nazwisku, Nowakowski

DYBICZ: Jak u nas może być Miller, to tam może być Nowakowski.

SADOWSKI: No właśnie. A z Nowakowskim spotkanie było całkiem udane. Bardzo różnie rozmawiało się z Rosjanami. Mieliśmy, pamiętam, spotkanie z przedstawicielami Gosplanu, którzy siedzieli u nas dość długo. Rozmawialiśmy z nimi o różnych rzeczach i różnych aspektach reformy. I tak jak z początku byli ogromnie sceptyczni, wręcz niechętni czy zgoła wrody, to wyjeżdżali w znacznie lepszym nastroju. Potem przyjechał Gorbaczow i Jaruzelski specjalnie przygotowany przez Bakę wprowadzał go szczegółowo w sprawy reformy. Jak nam mówiono, Gorbaczow wyjeżdżał w nastroju bardzo dobrym i potem zaczął swoją *perestrojkę*. Tu mi się przypomina poseł Bender, który jeszcze w sejmie peerelowskim, właśnie w tym okresie zaawansowanej reformy gorąco zachęcał nas, żebyśmy się wzorowali na Związku Radzieckim”, gdzie wtedy zaczynała się *perestrojka*...

DYBICZ: Stan wojenny możemy sobie chyba darować, bo w gospodarce nic optymistycznego się wówczas nie działo, natomiast może przeskoczmy od razu do reformy Balcerowicza. Czy ona musiała tak wyglądać, jak wyglądała?

SADOWSKI: Najpierw przypomnę, że w okresie obowiązywania stanu wojennego, w roku 1982 nastąpiło ustawowe zniesienie obligatoryjnego planowania centralnego, więc się działo w gospodarce. Natomiast odpowiedź na Pana pytanie z punktu widzenia intelektualnego czy modelowego będzie brzmiała: „Nie”. Można było to zrobić inaczej, były inne możliwości, żeby do podobnych efektów dojść spokojniej, bez takiego ataku na stopę życiową obywateli. To zresztą nie tyl-

ko moje zdanie. Nawet na jakiejś naradzie w Brukseli zorganizowanej pod auspicjami NATO pojawił się podobny głos reprezentanta USA, który też był zdania, że można to było przeprowadzić spokojniej. Natomiast z punktu widzenia realiów społeczno-politycznych, odpowiedź będzie brzmiała: „Tak”, bo nie było alternatywy. Społeczeństwo uwierzyło Balcerowiczowi, że po trzech miesiącach czy choćby po pół roku będzie lepiej, a gdyby nawet nie uwierzyło, to tak było spragnione zmiany władzy, że na tej fali można było zrobić wszystko. Przemiana polityczna została przyjęta euforycznie i ludzie byli gotowi za to zapłacić. I bardzo dobrze, że Balcerowicz to zrobił.

Trzeba przede wszystkim zauważyć, że udało się wówczas wykreować prawdziwy pieniądz, realny miernik wartości, którego przez cały okres PRL praktycznie nie było.

RATKOWSKI: Pamiętam moje wrażenia, kiedy bodaj już za czasów Gierka rozpisano przedpłaty na samochody. Pomyślałem wtedy, że to oznacza walkę o stabilizację złotego i że będzie on w gospodarce centralnie sterowanej autentycznym miernikiem wartości. Niestety, okazało się to wówczas przedwczesne. Zresztą i koszty reformy Balcerowicza były ogromne.

SADOWSKI: Cena reformy była ogromna i moim zdaniem można było uniknąć kosztów w tej skali. Tu, w tym pokoju rozmawialiśmy ze Stanisławem Gomułką, który był rzecznikiem reformy Balcerowicza, zanim została wprowadzona. Był u nas w domu na kolacji i pamiętam, zwróciłem mu uwagę, że będą mieli 25-procentowe bezrobocie! – No, może tyle nie – odpowiedział – ale 20 procent może być. Trudno!

Uważałem, że to nie jest odpowiedź, bo sądziłem, że trzeba iść oględnie, ale czy ja wiem – może trzeba było tak zrobić? Pójść na całego?

KOZŁOWSKI: Tak zwany plan Balcerowicza można analitycznie rozdzielić na dwa składniki. Pierwszy, to szokowe zrównoważenie gospodarki, a właściwie rynku towarów konsumpcyjnych, drugi, to struktura gospodarki. Od początku widać było, że brak jakiejs strategii zastępowała wiara w rynkową samoregulację.

SADOWSKI: Jednak ogromnym sukcesem było, że udało się w tak krótkim czasie zmienić ustrój. Koszt wielki, ale zwycięstwo też ogromne! Przemiana była wymodlona przez naród na klęczkach i to się stało. Wszyscy widzieli, że kraje kapitalistyczne pływają się w dobrobycie i w sklepach wszystko jest... Ostrzegaliśmy moich rozmówców z kręgów „Solidarności”, że „tam” w sklepach jest pełno wszystkiego, bo ludzi oddziela od tych sklepów bariera cen! – Jeśli my się taką barierą oddzielimy, to i u nas też będzie pełno w sklepach. Polacy nie wierzyli!

Dalszy ciąg wyglądał jednak tak, że ten kapitalizm jest dziś przez wielu znienawidzonym...

RATKOWSKI: ...kapitalizmem!

SADOWSKI: No właśnie. W dodatku mamy taką „nibyprawicową”, a w istocie populistyczną partię polityczną, która codziennie dowodzi, że mamy sytuację najgorszą z możliwych na przestrzeni całych dziejów Polski. W dodatku ta sytuacja powstała wskutek spisku. I „spiski”, i ocena ogólna to oczywiście kłamstwo, bo na tle tego wszystkiego co się dzieje naokoło nas,

mamy całkiem niezłą sytuację. Dziś premierowi wypomina się, co na początku 2008 roku zapowiadał, zapomina się jednak, że ten rząd niemal natychmiast po dojściu do władzy stanął w obliczu bardzo groźnej sytuacji wywołanej przez wielki kryzys światowy i z tą sytuacją nieźle dał sobie radę.

Można powiedzieć, że to nie jego zasługa... Nieprawda, bo przecież było wielu takich, co proponowali zupełnie odmienne strategie. Ja zaliczam się do tych, którzy od początku poparli linię rządową i mam prawo mówić, że bardzo dobrze się stało. Nie podzielałem np. poglądów mojego przyjaciela profesora Grzegorza Kołodko, który chciał, żeby rząd wykładał pieniądze dla pobudzenia popytu.

RATKOWSKI: I dobrze, że nie wykładał, bo został mu w rękawie taki as. Do wyciągnięcia, gdy będzie trzeba. A tak nawiasem mówiąc, czy nie powinniśmy sterować raczej w stronę systemu szwedzkiego? Różnice dochodowe w Polsce są dziś porażające. Jak w XIX wieku!

SADOWSKI: Dzisiejsza sytuacja jest pod względem gospodarczym stosunkowo dobra, choć nastąpiło poważne spowolnienie wzrostu, a z nim nieuniknione kłopoty. Natomiast sytuacja społeczna, polaryzacja dochodów, jaka powstała w wyniku transformacji, jest rzeczywiście aż absurdalna, a przede wszystkim szkodliwa.

DYBICZ: Czy nie hamuje ona w istocie tempa rozwoju kraju?

SADOWSKI: Na spowolnienie wzrostu gospodarczego, a z nim i tempa rozwoju, wpłynął u nas przede wszystkim ogólny kryzys i sytuacja zewnętrzna.

DYBICZ: Więc powiada Pan profesor, że gdyby nie było kryzysu, a polaryzacja dalej postępowała, to i tak nie byłoby źle?

SADOWSKI: Polaryzacja oznacza, że znaczna część społeczeństwa nie korzysta z rozwoju i to jest źle w każdych warunkach. Kłopot polega na tym, że nie udało się zlikwidować powstałego przecież w wyniku reformy Balcerowicza zjawiska endemicznej biedy i masowego bezrobocia. W dodatku jeśli tempo wzrostu spada poniżej 2 proc., społeczeństwo odczuwa to jako pogorszenie sytuacji. Zauważyliśmy to z profesorem Bobrowskim jeszcze w czasach PRL-u. Obecny rząd starał się utrzymać powyżej tego progu i dopiero w tym roku okazało się, że spadliśmy niżej, choć może sytuacja zacznie się poprawiać. I powtarzam – w porównaniu do całej Europy jesteśmy wręcz w dobrej sytuacji.

KOZŁOWSKI: Ale ciągle istnieje problem, czy zły rozkład dochodów nie hamuje postępu? Bezrobocie wśród młodych przekłada się wprost na zahamowanie budownictwa mieszkaniowego, a to z kolei ma dalsze konsekwencje w meblarstwie, dietności społeczeństwa, w produkcji wyrobów dla niemowląt i tak dalej...

SADOWSKI: Mechanizm działania rynku jest dobrze rozpoznany, a w nim rola popytu. W gospodarce są zawsze węzły różnych zależności i popytu tak łatwo się nie tworzy. Ale są rozmaite możliwości. Podobało mi się rozwiązanie, jakie poznałem w Nowym Jorku, gdzie całe dzielnice tanich mieszkań były budowane przez towarzystwa ubezpieczeniowe w ich własnym dobrze rozumianym interesie. Ale cóż, w konkretnej

sytuacji jest pełno ograniczeń. Powstaje więc pytanie o drogi wyjścia. Przychodzę tu na panów podwórko i przyznaję, że gdyby udało się zmniejszyć te rozpiętości dochodów, a przy okazji (bo to nie przekłada się bezpośrednio, niestety) podnieść poziom życia najgorzej sytuowanych, to byłby niewątpliwie impuls prorozwojowy.

Ale tu się pojawia coś, co stanowi jedną z istotnych słabości nauki ekonomii, znaną zresztą i innym naukom, mianowicie brak twardych kryteriów rozstrzygnięcia zbiegu przeciwstawnych wątków rozumowania. Tu właśnie mamy do czynienia z takim zbiegiem wątków w kwestii płacy minimalnej lub w ogóle płac najniższych grup dochodowych. Według jednego rozumowania podniesienie tych płac zniechęci przedsiębiorców do zatrudniania ludzi, bo cena pracy będzie za wysoka, a więc efektem będzie wzrost bezrobocia. Według drugiego, jeśli podniesimy te płace, to poziom spożycia najgorzej sytuowanych natychmiast wzrośnie, a rosnący popyt zacznie napędzać wzrost gospodarki i zatrudnienia. To zresztą teza nie moja, ale wielkiego polskiego ekonomisty Michała Kaleckiego.

RATKOWSKI: Wszystko zależy od tego, czy nasze firmy będą na tyle elastyczne, by nie zwalnając ludzi doczekać się zwiększenia popytu i rozwijać działalność, czy też przyduszone ceną pracy zaczną się zawijać?

SADOWSKI: Należę do tych ekonomistów, którzy za Kaleckim uważają, że potrzebne jest podniesienie płacy minimalnej i będą tego pozytywne efekty. Tylko dodaję zaraz – nie na takiej zasadzie, jak tego żądają teraz związki zawodowe, uprawiające zwykłą demagogię. Jestem za podniesieniem płacy minimalnej zróżnicowanej regionalnie, bo koszty utrzymania w różnych regionach są różne. Jest też drugi element, który Brytyjczycy dawno u siebie wprowadzili, mianowicie niższy poziom płacy minimalnej dla młodych ludzi wchodzących dopiero na rynek pracy. Na pewien czas. Powiedzmy trzy lata. Zamiast umów „śmieciovych”. To będzie zachęta i dla przedsiębiorców, i dla młodych ludzi, a bezrobocie się zmniejszy.

Nie twierdzę, że muszę mieć rację, ale sądzę, że to coś, co warto sprawdzić i zobaczyć, jakie będą tego efekty.

RATKOWSKI: A może jednak obciąć te najwyższe kominy? Gdy mi różni tłumaczą, że prezesi PKP, LOT czy innego Stadionu Narodowego muszą zarabiać krocie, bo inaczej tych wybitnych fachowców podkupi sektor prywatny, to powiadam „i chwała Bogu”, niech się ludzie sprawdzają i awansują.

SADOWSKI: Popieram!

DYBICZ: A system podatkowy? Czy Pana zdaniem nie ma tu miejsca na jakąś korektę?

SADOWSKI: O, z pewnością. System podatkowy nie był właściwie nigdy w Polsce dobry, a uległ jeszcze dodatkowo deprawacji za rządów PiS, kiedy zlikwidowano najwyższą grupę zarobkową obciążoną podatkiem 40-procentowym. PiS jak wiadomo występował w agitacji wyborczej przeciw podatkowi liniowemu, bardzo słusznie zresztą, bo podatek liniowy to bzdura, natomiast zrobił coś bardzo podobnego i dorzucił grosza bogatym. Logiczny system podatku

dochodowego to system zdecydowanie progresywny, który powinien zawierać więcej przedziałów, niż było u nas kiedykolwiek. To powinna być drabinka pnąca się do góry – nie widzę przeszkód, by był podatek 50 proc., a może i 60 proc. od najwyższych części dochodów. Za bardzo dobrą koncepcję uważam system francuski, w którym dwie rzeczy odgrywają rolę: poziom dochodów i wielkość rodziny – każdy może swoją kratkę łatwo znaleźć. Jednak gdy Hollande wprowadził 50-procentową progresję, ma bunt, bo ludzie wyobrażają sobie, że cały dochód będzie takim podatkiem obłożony. Nieprawda, bo dotyczy to tylko szczytowej części dochodu.

Jestem za podatkiem progresywnym, silnie progresywnym, ale wiem, że nie jest to łatwa sprawa. Mamy też jeszcze inny czynnik, mianowicie Unię Europejską. Dla Unii byłoby pożądane, aby systemy podatkowe zostały ujednolicone, jednak społeczeństwa europejskie są różne i takie zmiany wymagają lat! Kiedyś zresztą, pewnie do tego dojdzie, ale to bardzo długa droga.

Mamy więc mnóstwo trudności, ale w kwestii perspektyw na poprawę jestem jednak optymistą. Sądzę, że świat znacznie z kryzysu wychodzi, choć na razie tendencje stagnacyjne jeszcze się utrzymują.

KOZŁOWSKI: Jest taka prognoza dotycząca Polski, która mówi, że czeka nas długie brnięcie w mule...

SADOWSKI: Potwierdzać te obawy mogłoby doświadczenie wielkiego kryzysu z lat 30. XX wieku, który był potężny i wszyscy to silnie odczuli. Wtedy dochód narodowy USA skurczył się o połowę i była to ogromna trauma dla całego pokolenia Amerykanów, którzy wspominali to przez dziesięciolecie. Bezrobocie światowe sięgnęło 20 milionów ludzi. Ale świat był o wiele mniejszy... Teraz to 70 milionów!

RATKOWSKI: Wtedy bezrobotnych Chińczyków nikt nie liczył. Zresztą być może bezrobocie będzie immanentną cechą przyszłej gospodarki i będziemy się musieli do tego przyzwyczaić.

SADOWSKI: Wtedy było znacznie mniej ludzi na świecie, więc procentowo bezrobocie było groźniejsze, ale liczyła się naprawdę tylko gospodarka krajów wysoko rozwiniętych Ameryki i Europy. Tam w latach trzydziestych rzeczywiście dawała się na serio odczuwać długotrwała stagnacja. Do tego stopnia, że pojawiły się teorie stagnacji sekularnej, dowodzące, że nie ma z niej wyjścia. Ostatecznie okazało się, że tak być nie musi, ale przykro o tym mówić, bo pomogła II wojna światowa, która stworzyła wielkie zapotrzebowanie na uzbrojenie. Przemysł amerykański zaczął masowo produkować czołgi, samoloty i co kto chce, potem był Plan Marshalla, a to w sumie ożywiło gospodarkę do tego stopnia, że nie tylko zapomniano o stagnacji, ale zaczął się silny ruch w górę. Wszędzie!

RATKOWSKI: Mogą mi Amerykanie sprezentować czołg, albo coś tańszego, jakiś samochód...

SADOWSKI: Panu nie sprezentują, bo nie mają odpowiedniego bodźca, ale przecież ludzie biją się gdzieś na świecie przez cały czas! A my brniemy w mule. Pojawia się więc teoria „kryzysu ciągłego”, i to Balcerowicz takie teorie wygłasza. Ja jednak nie widzę powodów po temu.

To zresztą dla mnie problem główny, którym zajmuję się od wielu lat. Perspektywy światowe. A te w dłuższym okresie są rzeczywiście słabnące i to z różnych przyczyn. Jedną z nich to trwający ciągle przyrost ludności świata o 70 mln osób rocznie! Czyli o 70 mln bezrobotnych.

DYBICZ: Ale też konsumentów!

SADOWSKI: No tak, ale ci ludzie nie mają pieniędzy i mogą najwyżej zginąć z głodu. Z siedmiu miliardów ludności świata, miliard to głodujący, kolejny miliard to niedożywieni. Trzeci miliard też nie cieszy, bo to przejedzone tłuszciochy. Nie wiadomo co będzie dalej, bo wśród demografów istnieją rozbieżne opinie. Jest taka szkoła, która twierdzi, że około roku 2040 nastąpi kulminacja i potem liczba ludności będzie spadała. Prawdę mówiąc nie jestem przekonany. Gdyby w krajach słabo rozwiniętych nastąpiła radykalna zmiana poziomu życia i edukacji – to tak. Poziom edukacji, jak stwierdzono w badaniach, ma tu szczególnie istotne znaczenie, bo sam fakt umożliwienia dziewczętom przejścia przez szkołę podstawową podnosi tempo wzrostu gospodarczego. Jakoś to pomaga. Tylko że to jest długi proces...

RATKOWSKI: *Post hoc, non est propter hoc!* Edukacja kobiet może być tylko czynnikiem współtowarzyszącym postępowi. Zresztą diabli wiedzą, jak to jest, gdy patrzy się na postsowieckie islamskie pseudorepubliki w Azji Środkowej.

SADOWSKI: W każdym razie jeśli taki postęp nie nastąpi, to liczba ludności będzie dalej rosła, a żywności po prostu nie ma.

DYBICZ: I znów pojawia się problem maltuzjański?

SADOWSKI: Akweny z rybami są coraz bardziej przetrzebione, arealty żywnościowe się wyczerpują, brakuje wody. Zwiększenie podaży żywności nie jest łatwą sprawą, a klimat się zmienia. Nawet jeśli nie zawinił człowiek, to temperatura rośnie, a to utrudnia nam życie. Przeciwdziałanie ze strony przemysłu jest ułamkiem tego co niezbędne, a Chiny wraz z USA powiadają, że ich to nie obchodzi.

KOZŁOWSKI: Nie mówiliśmy jeszcze o tym, że Pana spojrzenie na świat wynika z wieloletnich badań prowadzonych także za granicą, w Genewie czy w Afryce, gdzie Pan wykładał, i że właśnie wiedza kumulowana i konfrontowana z tym, co widział Pan po powrocie do kraju, dawała impuls kolejnym koncepcjom reformatorskim.

SADOWSKI: Ostatni mój powrót, to powrót ze szpitala, a właściwie z drugiej strony. Osobiście jestem więc coraz mniej zainteresowany rozwojem sytuacji, ale niezmiennie zachowuję równowagę ducha i odpowiednią dozę optymizmu. Także w tych podstawowych, gospodarczych sprawach.

Rozmawiali:

**PAWEŁ DYBICZ
PAWEŁ KOZŁOWSKI
FILIP RATKOWSKI**

Warszawa, 23 maja 2013 r.

KU HISTORYCZNEMU KOMPROMISOWI

Porozumienia sierpniowe - stan wojenny - Okrągły Stół

ANDRZEJ KURZ

WPROWADZENIE

Nasze doroczne sympozjum majowe poświęcamy tematowi porozumień sierpniowych, stanu wojennego i Okrągłego Stołu jako drogi ku historycznemu kompromisowi.

Zapowiadało się duże grono referentów. Ale profesor Andrzej Walicki nie mógł wybrać się do Krakowa w tym czasie, a jego fundamentalna dla tematu naszego spotkania książka przygotowana w „Bibliotece Kuźnicy” *Od projektu komunistycznego do neoliberalnej utopii* ukaże się dopiero za kilka tygodni, spóźniona z przyczyn biurokratyczno-finansowych. Profesor Walicki przysłał nam za to ważny list. Profesor Andrzej Werblan, ze względu na wiek (zbliża się do dziewięćdziesiątki) i siły także nie mógł podjąć się podróży do Krakowa, a profesor Jerzy Wiatr zasiedział się w Petersburgu.

Zamierzaliśmy jeszcze, wspólnie z profesorem Andrzejem Romanowskim, zarejestrować wypowiedź ciężko chorego naszego przyjaciela Krzysztofa Kozłowskiego, jednego z najwybitniejszych wśród twórców Okrągłego Stołu i mężów stanu III Rzeczypospolitej, ale już nie zdążyliśmy. Możemy tylko oddać dziś cześć Jego pamięci.

Referentów będzie więc pięciu. Na ich czele zawsze przez nas z radością oczekiwany profesor **Janusz Reykowski**, przy Okrągłym Stole współprzewodniczący (wraz z profesorem Bronisławem Geremkiem) głównego stolika – politycznego, profesor **Jan Widacki**, działacz „Solidarności” i wiceminister (przy Krzysztofie Kozłowskim) rządu III Rzeczypospolitej, ministrowie w gabinetach premierów Wojciecha Jaruzelskiego i Mieczysława Rakowskiego: **Jerzy Urban** i **Stanisław Ciosek** oraz pułkownik **Wojciech Garstka**, jeden z animatorów przemian przełomu lat 80. i 90. w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, bliski współpracownik ministrów Czesława Kiszczaka i Krzysztofa Kozłowskiego.

Prof. Andrzej Walicki w liście do prezesa „Kuźnicy” ostrzega nas, że „kompromis jako zasada jest po stokroć słuszny, ale dzisiaj, kiedy jesteśmy świadkami nieustannej ofensywy coraz skrajniejszej prawicy, hasło kompromisu głoszone przez stronę o tyle słabszą i w dodatku podzieloną wewnątrz, nie bardzo wiedzącą czego chce, wydaje się przeciwskuteczne. Trze-

ba raczej starać się o wyrazistość ustalając m.in. granice kompromisu”.

Pamiętając o tych przestrożkach pogrążmy się w nasze rozważania – historyczne, ale zapewne nie tylko historyczne. Proponujemy m.in. analizę prób porozumienia między działającą od połowy lat 70. opozycją antysystemową, głównie jej częścią lewicową, a władzami PRL, czy może raczej działającymi w jej systemie siłami partyjnego rewizjonizmu, nurtem bliskim ideom europejskiej socjaldemokracji.

Okrągły Stół stał się polem rzeczywistego politycznego kompromisu, ale jak się okazało, o ograniczonej trwałości. A założony był na okres pełnej prezydentury Wojciecha Jaruzelskiego, co było tego kompromisu jednym z najważniejszych wyznaczników i gwarancji. Wraz z jego ustąpieniem ze stanowiska głowy państwa, czyli mniej więcej po półtora roku, porozumienie okazało się dla prawicowych zwycięzców nieważne – *pacta nie sunt servanda*.

W okresie późniejszym następowały próby powrotu do porozumienia na gruncie kompromisu między siłami postsolidarnościowej lewicy i postpezetperowskimi liberałami widoczne np. we wspólnym artykule programowym Włodzimierza Cimoszewicza i Adama Michnika pod wymownym tytułem *O prawdę i pojednanie* opublikowanym we wrześniu 1995 r. równocześnie na łamach „Trybuny” i „Gazety Wyborczej”. Obie strony potraktowały tę próbę jako przedwczesną.

Szczególnym rodzajem porozumienia na gruncie kompromisu i to porozumienia o trwałej wartości historycznej okazała się przyjęta w roku 1997 w ogólnonarodowym referendum Konstytucja RP, a jej projekt przygotowało dwóch głównych architektów – Aleksander Kwaśniewski i Tadeusz Mazowiecki.

Jednak o kilka lat późniejsza, inspirowana przez tych samych polityków próba utworzenia wspólnego ugrupowania parlamentarnego i partii – Lewica i Demokracja okazała się nietrwała, zakończona niepowodzeniem.

To tylko kilka przykładów inicjatyw wielkich porozumień i kompromisów wywodzących się z Okrągłego Stołu.

Dysponujemy już podstawowym zrębem dokumentów i świadectw oraz fundamentalnymi opracowaniami historycznymi wydarzeń i procesów zachodzących głównie po opozycyjnej stronie konfliktu i potencjalnego kompromisu, przede wszystkim w ogromnej wartości dziełach Andrzeja Friszkego. Dysponujemy też wielką i imponującą intelektualnie analizą procesów odchodzenia od komunizmu i wszelkiej ideowości w PZPR i obozie PRL-owskiej władzy po Październiku'56 w książkach Andrzeja Walickiego.

Jednakże w sprawie wewnętrznych procesów ideowo-politycznych i personalnych oraz walk grupowych w PZPR i PRL-owskim obozie władzy mamy więcej pytań niż odpowiedzi, choć dysponujemy dziełem niezwykle i niezastąpionym, dotyczącym okresu po Październiku – dziesięcioma tomami *Dzienników politycznych* Mieczysława F. Rakowskiego oraz dotyczącymi powstania i pierwszego okresu Polski Ludowej – do Października 1956 znakomitymi analizami Andrzeja Werblana.

Oto niektóre z nurtujących zagadnień i pytań:

Czynnik komunizmu i nurt narodowy, serwilizm i stalinowska agentura, plebejskość i inteligencja w Polskiej Partii Robotniczej.

Odbudowa i przemiany ideologiczne i polityczne w powojennej Polskiej Partii Socjalistycznej i postać Józefa Cyrankiewicza.

Co działo się w pozornym monolicie PZPR po Zjednoczeniu'48 i po Październiku'56.

Spór Władysława Gomułki i Romana Zambrowskiego oraz źródła sukcesu „partyzantów”.

Kryzys czynnika ideowości w PZPR widoczny choćby w policyjnej reakcji na wewnątrzpartyjny list Kuronia i Modzelewskiego, a zwłaszcza w antysemitkich i antyinteligentkich przejawach marca 1968.

Jakie siły i tendencje stały za grudniową zmianą polityczną roku 1970 ?

Polityczny układ sił w PZPR przed i po IX Zjeździe. Droga Wojciecha Jaruzelskiego do władzy.

Polityczny i moralny sens porozumienia Michnika i Kuronia z Kiszczakiem i Jaruzelskim.

Postać i rola Mieczysława Rakowskiego w porozumieniu Okrągłego Stołu i zmianach ustrojowych.

Przyczyny rezygnacji z reform gospodarczych Władysława Baki i Zdzisława Sadowskiego i z polityki kulturalnej Mieczysława Rakowskiego i Hieronima Kubiaka w sytuacji załamania wpływów „Solidarności” w pierwszej połowie lat 80. oraz powody sięgnięcia po nomenklaturowych karierowiczów typu Szałajdy, Nieckarza i wielu innych w ekipie gospodarczej oraz wydzwignięcia ignorowanych przez swe środowiska profesorów-frustratów czy sterowanego przez „służby” arywisty Waldemara Świrgonia w polityce kulturalnej ?

Skąd wzięło się wyraźne cofnięcie polityczne X Zjazdu PZPR już w okresie dojścia Gorbaczowa do władzy?

Stawiam te pytania, różnej przecież wagi i gatunku, bo się nad nimi od lat zastanawiam i nie dojrzałem, mimo zaawansowanego wieku, do zbernej odpowiedzi.

Mam nadzieję, że na wiele z nich odpowiedzą jeszcze świadkowie i uczestnicy wielkich wydarzeń w polskiej historii XX wieku z Wojciechem Jaruzelskim i Andrzejem Werblanem na czele. Na inne odpowiedzą zapewne młodzi historycy, politolodzy i socjologowie wolni od neobolszewickiego politycznego zacietrzewienia i nienawiści partyjnej, od agresywnej frustracji polskiej populistyczno-nacjonalistyczno-klerykalnej prawicy, która nie może przeboleć, że na 50 lat zniknęła zupełnie ze sceny władzy, a od 20 z górą lat nie może do niej powrócić jako autorytarny monopolista.

Wiele ważnych pytań postawią dziś i podejmą próbę odpowiedzi nasi referenci i ci, którzy zechcą naszą dyskusję przenieść na łamy „Zdania”. Taki bowiem jest zamysł redakcji tego kwartalnika, który ukazuje się już regularnie co pół roku w podwójnej objętości i jest głosem „Kuźnicy” w publicznej rozmowie ludzi myślących. ■

JANUSZ REYKOWSKI

O STANIE WOJENNYM*

Nazwisko Wojciecha Jaruzelskiego jest na zawsze bardzo ściśle związane z dwoma przełomowymi momentami w historii naszego kraju w drugiej połowie dwudziestego wieku – z wprowadzeniem stanu wojennego w 1981 roku i zawarciem porozumień Okrągłego Stołu w 1989 roku. Oba te wydarzenia miały wielkie znaczenie nie tylko dla Polski. Pierwsze także dla całej chyba Europy, a drugie, dzięki procesom, które przez nie zostały zainicjowane – także dla świata.

Znaczenia stanu wojennego dla Europy można się tylko domyślać, wyobrażając sobie „historię alternatywną” – co by się mogło stać, gdyby stan wojenny nie został wprowadzony. Wybuch zamieszek i destabilizacja polskiego państwa? Wkroczenie wojsk radzieckich

i krwawe rozprawienie się ze społecznym oporem? Zwycięstwo „Solidarności” i przejęcie przez nią pełnej lub prawie pełnej władzy? Załamanie gospodarcze w Polsce, masowy niedobór żywności i środków opałowców oraz związana z tym klęska humanitarna? Każdy z tych ewentualnych scenariuszy musiałby wywrzeć poważny wpływ na inne kraje europejskie i stosunki polityczne w regionie. Z możliwością ich wystąpienia musieli się liczyć amerykańscy przywódcy, skoro mając od płk. Ryszarda Kuklińskiego pełną wiedzę o zamiarach kierownictwa państwa polskiego nie zrobili najmniejszego kroku, aby tym wydarzeniom zapobiec, a choćby ostrzec swych europejskich sojuszników i polskich przyjaciół. Chyba że liczyli na niepowodzenie stanu

wojennego i na rozwój wypadków, który doprowadziłby do wielkiej kompromitacji „komunistycznego przeciwnika”. Niemniej na obrazie Wojciecha Jaruzelskiego w oczach wielu obywateli kładzie się wielkim cieniem jego osobista odpowiedzialność za wprowadzenie stanu wojennego. Wielu nie może mu tego darować. Warto więc poddać głębszej analizie ocenę tej decyzji.

Kryteria oceny. Ocena decyzji podejmowanych przez politycznych przywódców, a właściwie wszelkich decyzji, których ludzie muszą dokonywać w sytuacji niepewności i które mają ważne konsekwencje dla nich samych, jest trudnym zadaniem poznawczym. Bez względu na to, czy chodzi o wprowadzenie stanu wojennego w Polsce przez Generała Jaruzelskiego, czy ratowanie pożyczkami banków amerykańskich przez rząd prezydenta Baracka Obamy, albo o wysłanie polskich wojsk do Afganistanu i utrzymywanie ich tam przez wiele lat (o czym decydowały różne rządy), ocena tych i podobnych przypadków bywa dokonywana na podstawie różnych kryteriów. Jednym z najczęściej stosowanych jest koncentracja na kosztach i stratach, jakie w związku z daną decyzją zostały poniesione – przez kraj oraz przez poszczególne, dotknięte tą decyzją, osoby czy grupy.

Jeśli chodzi o stan wojenny, to na jego ocenę rzutuje fakt drastycznych ograniczeń wolności, którego doświadczyli właściwie wszyscy obywatele, w szczególności zaś ci, którzy znaleźli się w obozach internowania. Te ograniczenia wolności związane były z użyciem przemocy na szeroką skalę. Ścisłej biorąc, była to głównie bezpośrednia groźba użycia przemocy. Realna przemoc użyta była dość rzadko i na ogół, choć nie zawsze, w ograniczonym zakresie. Wszakże zetknięcie z przemocą jest dla wielu ludzi traumatycznym doświadczeniem, toteż rzutuje ono w ogromnym stopniu na ocenę stanu wojennego.

Na ocenę tej decyzji rzutuje także wyobrażenie alternatywnych scenariuszy. Wyobrażamy więc sobie, co władza mogła i powinna zrobić i z tej perspektywy oceniamy jej czyny. Skoro nie robiła tego co, jak myślimy, powinna, to znaczy, że brakowało jej kompetencji albo dobrej woli – miała inne cele niż pomyślność obywateli i interes państwa. Najczęściej posądzana bywa, że realizuje interesy własne lub interesy jakichś szczególnych bliskich sobie grup (na przykład nomenklatury, bankierów).

Innym jeszcze kryterium oceny decyzji politycznych jest wielkość kosztów społecznych, jakie ona za sobą pociągnęła lub ustalenie, kto jest głównym ich beneficjentem. Są to oczywiście bardzo zasadne pytania, jednakże pod pewnymi warunkami. Oceniając społeczne koszty podjętej decyzji nie można pomijać ewentualnych czy prawdopodobnych kosztów społecznych, które zostałyby poniesione, gdyby decyzja nie zaistniała. Tych dwóch spraw nie należy rozpatrywać osobno. Rzutuje to także na kwestię, komu ta decyzja służyła. To, że mogła służyć komuś innemu, wcale nie musi wykluczać, że służyła właśnie nam.

Podstawowym warunkiem sprawiedliwej oceny decyzji politycznej jest prawidłowe odtworzenie sytuacji w momencie jej podejmowania (a nie po jej podjęciu), ponieważ jest ona reakcją na tę sytuację. Oceniając decyzję o wprowadzeniu stanu wojennego trzeba więc przede wszystkim wziąć pod uwagę sytuację kraju,

z którą decydenci i obywatele mieli w owym czasie do czynienia.

Sytuacja kraju

Główną, oficjalnie przedstawianą przestanką decyzji o stanie wojennym było stwierdzenie, że kierownictwo państwa znalazło się w sytuacji wyższej konieczności, polegającej na szybko narastającym zagrożeniu jego zewnętrznego i wewnętrznego bezpieczeństwa. Analizując ówczesną sytuację można stwierdzić, że zagrożenie to wynikało z następujących okoliczności:

Zewnętrzna presja. Polska znajdowała się pod nieustanną presją polityczną i militarną ze strony wszystkich swoich sąsiadów. Według informacji, jakie posiadało ówczesne kierownictwo, na polskich granicach oraz w garnizonach wojsk radzieckich stacjonujących na polskim terytorium koncentrowano znaczne siły, gotowe do natychmiastowego wkroczenia. „Groźby wkroczenia” nie można było lekceważyć. Stało za nią ideologiczne uzasadnienie w formie tzw. doktryny Breżniewa oraz tragiczne doświadczenie dwóch krajów – Węgier i Czechosłowacji. Ale także i naszego kraju – w październiku 1956 roku pancerne dywizje radzieckie bez żadnego ostrzeżenia wyruszyły na Warszawę z ich miejsc stacjonowania w Polsce. Zatrzymały się i cofnęły dzięki porozumieniu Władysława Gomułki z Nikitą Chruszczowem.

Jest prawdą, że istniały poważne polityczne powody, które powstrzymywały militarną akcję sąsiadów, ale podobne powody występowały także w przeszłości i nie przeszkodziły interwencji na Węgrzech i w Czechosłowacji. A ponadto poprzednie doświadczenie wskazywało, że taka decyzja może zapaść nagle i zniemacka w wąskich kręgach kierowniczych ZSRR. Na przykład w ten sposób decydowano o wkroczeniu do Afganistanu.

Prowadzone są, *post factum*, rozważania o tym, że interwencja była nieprawdopodobna, ponieważ nie ma zapisanych dowodów, iż kierownictwo radzieckie wyrażało taki zamiar; są też pewne świadectwa, że niektóre osoby z radzieckich kręgów kierowniczych zdawały się być jej przeciwnie. Rozważania te nie mają nic do rzeczy z dwu powodów. Po pierwsze dlatego, że decyzja musiała być podejmowana na podstawie ówczesnego, a nie obecnego stanu wiedzy – napływające wówczas informacje tworzyły zupełnie inny obraz niż ten, jaki niektórzy analitycy przedstawiają dzisiaj. Po drugie, brak formalnych zapisów dotyczących decyzji o inwazji o niczym właściwie nie świadczy. Zapisy te mogłyby pojawić się w momencie, w którym uznano by, że interwencja jest konieczna.

Tak czy inaczej ówczesny stan wiedzy o polityce i zamiarach grup przywódczych krajów tzw. socjalistycznego obozu kazał liczyć się z taką możliwością jako perspektywą wysoce prawdopodobną.

Zaostrzający się wewnętrzny konflikt polityczny. W tym czasie w Polsce ukształtowały się bardzo wyraźnie dwa wrogi obozy: obóz władzy i obóz „Solidarności”. W obu narastały nastroje walki, przede wszystkim wśród aktywistów. Bezpośrednie niebezpieczeństwo nie polegało jednak na tym, że „Solidarność” przygotowywała powstanie zbrojne (choć taką możliwość rozważały niektóre grupy polityczne – wydaje się, że myśl ta krążyła w kręgach Konfederacji Polski Niepodległej).

Tym, czego należało się obawiać, była żywiołowa eskalacja nastrojów buntu. Jak dobrze wiemy z historii różnych krajów, a także z najnowszej historii naszego własnego (lata 1956, 1970, 1976), masowe protesty w pewnych okolicznościach łatwo mogą przerodzić się w krwawe zamieszki. Biorąc pod uwagę te nastroje oraz skalę konfliktu, trzeba było się liczyć z tym, że ewentualne zamieszki mogą okazać się znacznie większe od wszystkich, jakie zdarzały się do tej pory. Tym bardziej że nie istniały żadne możliwości zapobieżenia ewentualnym prowokacjom, co, jak pokazał *casus* bydgoski, było zupełnie realną możliwością. Rozmiary nieszczęść, które byłyby konsekwencją takich zamieszek, trudno przecenić.

Gwałtowne pogarszanie się sytuacji gospodarczej. Gospodarka funkcjonowała coraz gorzej, co miało bezpośrednie przełożenie na stan zaopatrzenia sklepów i na warunki bytowe szerokich rzesz obywateli. Jakiś czas temu pewien krytyk stanu wojennego wspominał o danych Głównego Urzędu Statystycznego, z których jakoby ma wynikać, że zmniejszenie produkcji związane z jej zatrzymaniem przez akcje strajkowe było niewielkie – poniżej jednego procenta. Jest kwestią do osobnego wyjaśnienia, jak powstały te liczby. Ale bez względu na to, jak powstały, nie ukazują one rzeczy najważniejszej – wpływu masowego konfliktu w zakładach pracy na cały proces zarządzania produkcją i jej organizowania.

Można powiedzieć, że jedną z głównych konsekwencji rozwijającego się konfliktu było rozstrojenie większości mechanizmów koordynacji zarządzania całym życiem gospodarczym – na poziomie makro i mikro. Chaos, który panował, owocował nie tylko załamaniem dostaw rynkowych, ale godził również w energetykę i transport. Niosło to szczególnie duże niebezpieczeństwa w okresie zimowym. Wobec ogólnego rozprężenia władze nie były w stanie zapanować nad procesem gospodarczego rozkładu.

Groźba ekonomicznej blokady. Ze strony ZSRR dochodziły przekonywujące sygnały, zapowiadające poważne ograniczenie dostaw surowców strategicznych, co miałyby niszczyć wpływ na polską gospodarkę i odbiłyby się bezpośrednio na sytuacji ludności. W szczególności niebezpieczne następstwa wynikałyby z ograniczenia dostaw paliw i surowców, od których zależała znaczna część krajowej produkcji. Zatrzymanie produkcji w wielu zakładach pracy, deficyty dóbr mających znaczenie żywotne dla ludności były same przez się faktem niezmiernie szkodliwym. Ale groźne też mogły być dalsze tego konsekwencje. Powstające na tym tle wybuchy społecznego niezadowolenia i destabilizacja państwa stanowiłyby dobre uzasadnienie dla zbrojnej interwencji sąsiadów, którym najbardziej zależało na zdławieniu „Solidarności” traktowanej jako potencjalny rozsądnik niepokojów w innych krajach regionu. Interwencja podjęta w takich okolicznościach mogłaby wywołać znacznie słabsze reakcje Zachodu. Było oczywiste, że Związek Radziecki powstrzymuje się przed interwencją, aby nie zrujnować swej polityki międzynarodowej. Ale interwencja dla opanowania chaosu miałyby niezłe uzasadnienie.

Trudno z dzisiejszej perspektywy ocenić realność tej groźby. W owym czasie wydawała się ona możliwa do urzeczywistnienia. Byłoby ogromną lekkomyśl-

nością ze strony odpowiadających za państwo groźbę taką zlekceważyć.

Biorąc pod uwagę wszystkie wskazane okoliczności wydaje się niewątpliwe, iż w owym czasie istniały bardzo ważne powody aby uważać, że żywotne interesy państwa i społeczeństwa są poważnie zagrożone. Wprawdzie z czasem powaga groźb, które się nie spełniły (bo podjęto kroki zapobiegawcze) bardzo błędnie, ale i dziś nie mamy podstaw do twierdzenia, że ich ocena była przesadna czy zdeformowana.

Z powagi tych grób zresztą zdawano sobie sprawę nie tylko w Polsce. Dostrzegało je również wielu polityków Zachodu, w tym także wybitne autorytety polityczne. Taka też opinia przeważała i zdaje się dotąd przeważać w polskim społeczeństwie, którego większość uznaje, że w ówczesnych warunkach wprowadzenie stanu wojennego było uzasadnione.

Pamiętając o powadze ówczesnej sytuacji i groźących niebezpieczeństwach można jednak pytać, czy nie było innych, lepszych niż stan wojenny, sposobów im zapobieżenia?

Czy były alternatywne scenariusze?

Krytycy stanu wojennego zdają się zakładać, że ówczesną sytuację, której główną cechą był zaostrzający się konflikt społeczny w bardzo dużej skali, można było rozwiązać inaczej. Jak? Na to pytanie sugerowane są różne odpowiedzi. Wydaje się, że najważniejsze z nich przedstawiają się następująco:

Okazanie cierpliwości. Nie można przecież wykluczać, że po pewnym czasie konflikt zacząłby wygasnąć. Być może stopniowo wyłoniłyby się jakieś nowe możliwości układania stosunków w kraju. Nasuwa się jednak pytanie: Jak długo należałoby czekać na takie rozwiązanie? Właściwie cały rok 1981 można rozpatrywać jako oczekiwanie – władz i społeczeństwa – na jakieś cudowne rozwiązanie istniejącego konfliktu. Ale takie rozwiązanie nie pojawiał się. Podejmowane w tym czasie próby znalezienia *modus vivendi* kończyły się fiaskiem, przy czym odpowiedzialnością za fiasko każda ze stron obarczała stronę przeciwną. Upiętywający czas nie poprawiał sytuacji – przeciwnie, pogarszał ją coraz bardziej.

Stawało się oczywiste, że ówczesne władze tracą kontrolę nad sytuacją w państwie. Żadna odpowiedzialna władza nie może do tego dopuścić. Utrata kontroli w państwie to sytuacja charakterystyczna dla tzw. państw upadłych. We współczesnym świecie jest kilka takich krajów. Są one nieszczęściem dla samych siebie, a także dla swych bliższych i dalszych sąsiadów. Rządy, które dopuszczają do tego, że państwo staje się „niesterowalne”, sprzeniewierzają się swym podstawowym obowiązkom.

Oddanie władzy. Takie rozwiązanie okazało się możliwe, ale dopiero w roku 1989. Z tego nie można jednak wyciągać wniosku, że było do przyjęcia w roku 1981. Nie było, ze względu na kilka istotnych okoliczności. Przede wszystkim trzeba mieć świadomość, że w roku 1981 nie istniały politycznie zorganizowane siły gotowe do natychmiastowego przejęcia władzy. Rozwijał się potężny ruch społeczny, który z trudem, „w bólach”, wypracowywał formy i zasady swego działania. Nie dysponował w owym czasie kadrami gotowymi do natychmiastowego przejęcia władzy nad skompliko-

wanym mechanizmem państwowym. Oddanie władzy w ręce przywódców i aktywistów takiego ruchu musi niemal nieuchronnie wiązać się z wprowadzeniem – na dłuższy czas – chaosu w kraju. W rzeczy samej, zdarzało się czasem w historii, że bardzo silny ruch społeczny obalał przemocą istniejącą władzę druzgocąc jej mechanizmy. Budowa nowych to czas wielkich turbulencji i wielkich społecznych kosztów.

Przejęcie władzy przez „Solidarność” w roku 1989 dokonało się na zupełnie innych zasadach. Przede wszystkim w okresie około ośmiu lat krzepły i krystalizowały się formacje opozycyjne jako zorganizowane struktury politycznego działania. Można powiedzieć, że był to czas politycznego dojrzewania kadr „Solidarności”. Sam proces przejmowania władzy przebiegał w sposób uregulowany, co zapobiegało destruktywnym zmianom. Zmiany miały charakter rewolucyjny, ale dokonywały się bez rewolucyjnego chaosu. Stwarzało to przesłanki do budowania demokratycznych instytucji.

Ale niemożność „oddania władzy” w 1981 roku wynikała z innych ważniejszych jeszcze powodów – zewnętrznych i wewnętrznych.

Jeśli chodzi o powody zewnętrzne to, jak dobrze wiadomo, rozwiązanie takie było kompletnie nieakceptowalne dla wszystkich sąsiadów. Próba jego realizacji zostałaaby, co pewne, uznana za *casus belli*. Innymi słowy, była to najlepsza droga do sprowokowania zbrojnej interwencji.

Powody wewnętrzne to przede wszystkim istnienie licznych i silnych środowisk związanych z władzą stanowiących przeciwnych jej oddaniu. Dysponowały one kadrą i uzbrojeniem. Decyzja o oddaniu władzy mogła sprowokować zbrojny opór tych środowisk – narażała Polskę na wojnę domową. Trzeba pamiętać, że osiem lat później sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Nie tylko dlatego, że proces oddawania władzy dokonywał się stopniowo, ale w dużym stopniu dlatego, że patronował mu Generał Jaruzelski, człowiek, który dzięki posiadaniu autorytetowi i posiadanej władzy był w stanie zapanować nad siłami sprzeciwiającymi się tego rodzaju zmianom.

Warto przy tym mieć świadomość, że autorytet Generała nie był taki sam w roku 1981, jak w roku 1989. Stał się on bardzo wysoki, w dużej mierze właśnie dzięki stanowi wojennemu. Autorytet ten umożliwił mu przeprowadzenie w latach 80. takiej polityki kadrowej, która doprowadziła do zmiany układu sił w kierownictwie – do zasadniczego osłabienia tych kręgów, które były przeciwne porozumieniu z opozycją.

Nie można tu pominąć jednak jeszcze jednej ważnej okoliczności – stanu świadomości kręgów kierowniczych, w tym samego Generała Jaruzelskiego. W roku 1981 wyobrażenia dotyczące zakresu i głębokości koniecznych zmian były zupełnie inne niż w roku 1989. Wprawdzie było zrozumiałe, że kraj nie może być rządzony tak jak dotychczas, ale nie istniała wizja gruntownych zmian gospodarczych i politycznych – nie wyobrażano sobie kształtu nowych demokratycznych mechanizmów politycznych i nowych mechanizmów gospodarczych. Wyobrażenia takie kształtowały się stopniowo. Wymagało to przezwyciężenia schematów myślowych, na podstawie których dotychczas ujmowano świat. Ludziom, którzy potrafili zrewidować te schematy, w tym przede wszystkim samemu Generałowi

Jaruzelskiemu należy się wielkie uznanie. Doświadczenie lat 80. przyczyniło się w ogromnym stopniu do wyzwolenia z dotychczasowych schematów.

Wszystkie przedstawione tu okoliczności sprawiają, iż w 1981 roku postulat przekazania władzy w ręce solidarnościowej opozycji uznać należy za nierealistyczną mrzonkę.

Podzielenie się władzą. Jak się wydaje, w owym czasie niewiele było osób, które wierzyły w realność oddania władzy przez rządzącą PZPR, dość częsty jednak był postulat, aby dopuścić „Solidarność” do udziału w realnej władzy. To rozwiązanie miało podobne wady jak pomysł przekazania władzy, a ponadto opierało się na założeniu, które trudno uznać za realistyczne. Czy rzeczywiście można wyobrazić sobie, że w sytuacji rewolucyjnej (lub choćby, jak wtedy mówiono, w warunkach samoograniczającej się rewolucji) możliwe jest zgodne współdziałanie antagonistycznie nastawionych do siebie sił? Podzielenie się władzą wymaga minimum wzajemnego zaufania i zdolności do kooperacji. Tego nie wykazywała żadna ze stron – toczyła się między nimi nieustanna, zacięta walka. Każdy z obozów dopatrywał się w drugim wrogich zamiarów. Każdy widział tylko swoje racje, nie dostrzegając racji drugiej strony. Jeśli jedna ze stron wykazywała gotowość do ustępstw w jakiejś sprawie, druga traktowała takie zachowanie jak podstęp lub też jako dowód słabości i okazję do nowych żądań.

Nie warto przytaczać tu przykładów tych poczynań ówczesnej władzy, które uważane były przez nią jako wyciąganie ręki do zgody. Strona solidarnościowa nigdy ich tak nie interpretowała. Uznawano je raczej za fałszywy czy niewiele wart gest. Środowiska popierające władze tak samo traktowały poczyny „Solidarności”, kiedy chciała ona przyczynić się do obniżenia istniejących napięć.

W takiej sytuacji postulat zawarcia kompromisu i podzielenia się władzą pozbawiony jest wszelkiego realizmu.

I znów wypada zauważyć, że kilka lat później, gdy opadło napięcie, ucichł „zgiełk bitewny”, gdy wykrywały się projekty politycznych warunków współdziałania, porozumienie dotyczące podzielenia się władzą okazało się możliwe. Wprawdzie owo podzielenie się było dość krótkotrwałe, ale stworzyło pomost dla całkowitego przejęcia władzy przez nową formację. Przejęcia dokonywanego zgodnie z demokratycznymi regułami.

Wspólna walka. Można spotkać inny jeszcze pogląd dotyczący tego, jak należało postąpić w ówczesnej sytuacji. Chodzi o to, jak powinni postąpić „prawdziwi patrioci”, którym zależy na dobru kraju, a nie na własnych interesach.

Zgodnie z tym poglądem, gdyby Polską rządili ludzie godni, przeniknięci duchem patriotyzmu, to działaliby na rzecz zjednoczenia narodu przeciw wspólnym wrogom. Mobilizacja społeczeństwa wokół takiego celu odsunęłaby na bok istniejące konflikty. Taki rząd „narodowej jedności” mógłby realizować „postulaty narodu”, będąc gotowy do przyjęcia walki choćby z dużo silniejszym przeciwnikiem.

To przekonanie wyrażane przez niektórych, głównie młodszych aktywistów ruchu nawiązuje do wielkich polskich tradycji, przede wszystkim do roku 1939. Odzywa

się w nim dobrze nam znany „powstańczy duch” czy to powstania styczniowego, czy warszawskiego. Ten sposób myślenia nie uwzględnia kosztów społecznych, nie liczy strat, jakie może ponieść naród. Zniszczenia, rany i śmierć nawet tysiące ludzi nie są tu najważniejsze, ważna jest godność narodowa – walka chroni przed upodleniem. A przy tym, jak wyraził się jeden z obrońców tego stanowiska, przecież przy najgorszym nawet obrocie spraw może zginąć kilkadziesiąt tysięcy ludzi, „ale naród pozostanie”. W imię takich wartości ginęli żołnierze września, powstańcy warszawscy, partyzanci.

Uważam, że ten sposób myślenia nie może być przez odpowiedzialnych przywódców państwowych zaakceptowany. Racjonalni przywódcy wtedy podrywają naród do walki, kiedy kalkulacja sił każe im wierzyć, że mają realistyczne szanse na zwycięstwo. Jeśli jednak walka miałaby skończyć się druzgocącą klęską, ogromem strat i nieszczęść, to na jej podjęcie mogą decydować się tylko ludzie lekkomyślni, nieodpowiedzialni, także ci, których fundamentalistyczne myślenie zamknięte jest na wszelkie inne wartości oprócz tych, jakie sami wyznają.

Polska w roku 1981 na takiej walce mogła tylko stracić. I byłyby to nie tylko straty istnień ludzkich i zniszczenia materialne. Byłyby to także strata tego troskliwie pielęgnowanego obszaru samodzielności, dzięki któremu w naszym kraju panowały stosunki tak różne od stosunków u naszych sąsiadów. To one właśnie tworzyły szanse dla naszej kultury, nauki, chroniły polską wieś przed bezmyślną kolektywizacją, dawały Kościołowi katolickiemu poszerzający się obszar swobody działania. Bez względu na to, jak oceniamy ten zakres niezależności, jak skromnym może się wydawać, stanowił on cenną wartość, której nie wolno było zaprzepaścić.

* * *

Analiza powyższa opiera się na założeniu, że wprowadzenie stanu wojennego było „operacją ratunkową”, bez której nasz kraj mógł znaleźć się w bardzo nieszczęśliwej sytuacji zagrażającej wielu istnieniom ludzkim i utratą obszaru wolności, wprawdzie ograniczonych, ale niezmiernie cennych. Nie zmienia to jednak politycznej oceny tego faktu, a w szczególności nie zmienia oceny sposobu rządzenia, który do tej sytuacji doprowadził. Podstawowym, można powiedzieć elementarnym obowiązkiem władzy politycznej jest zapewnienie warunków pokojowego rozwiązywania sprzeczności i konfliktów, jakie pojawiają się w każdym społeczeństwie. Nawet w dobrze zorganizowanych demokratycznych krajach dochodzi okazjonalnie do wybuchów, dla opanowania których konieczne okazuje się użycie na większą skalę przemocy fizycznej – tak zdarzało się w ostatniej dekadzie na przykład we Francji czy w Anglii. Nie można jednak wydarzeń w tych państwach porównywać ze stanem wojennym w Polsce, gdzie środki przemocy miały charakter masowy – dotknęły całe społeczeństwo. Sparaliżowały na dłuższy czas życie społeczne, ograniczając drastycznie prawa i wolności wszystkich obywateli.

Konieczność zastosowania przemocy w tak rozległym wymiarze była dowodem, że system polityczny panujący w Polsce okazał się niezdolny do realizacji swych podstawowych funkcji – nie posiadał politycznych narzędzi dla rozwiązywania poważnych konfliktów

społecznych. Tym samym poniósł wielką klęskę moralno-polityczną. Była to jego katastrofa.

W tym kontekście jedno tylko jest pozytywne – w porównaniu do innych krajów, w których dla rozwiązywania społecznych konfliktów użyto przemocy na tak szeroką skalę, liczba ofiar stanu wojennego w Polsce była bardzo niewielka. Rzecz jednak nie sprowadza się do porównywania liczby ofiar, bo nie o liczby w takim przypadku chodzi przede wszystkim. Najważniejsze jest to, że śmiertelne ofiary stanu wojennego powstały wskutek nadużycia władzy przez niektórych jego wykonawców, podczas gdy w innych przywoływanych niekiedy dla porównania krajach były one zamierzonym celem podjętych działań. Ale były ofiary, a także cierpienia kilku tysięcy ludzi pozbawionych na dłuższy czas wolności. Nie mówiąc o cierpieniach wiążących się z trudnymi warunkami życia obywateli.

W tej całej sytuacji rola Generała Jaruzelskiego jest bardzo złożona. Jako człowiek pełniący wysokie funkcje państwowe przez wiele lat poprzedzających stan wojenny jest w pewien sposób współodpowiedzialny za defekty systemu. Tę współodpowiedzialność dzieli jednak nie tylko z innymi prominentnymi postaciami systemu, ale też z bardzo wielu obywatelami, którzy ów system w ten czy inny sposób wspierali. Jest to współodpowiedzialność tragiczna, ponieważ okoliczności historyczne i geopolityczne nie dopuszczały poważnych korekt systemu. Na poważną jego korektę czy w ogóle zmianę nastawiony był ruch „Solidarność”. Mamy wszakże wszelkie podstawy by sądzić, że w ówczesnych okolicznościach takie usiłowania skazane były na klęskę.

Kiedy jednak oceniamy rolę Generała Jaruzelskiego i skupiamy się na jego odpowiedzialności za wprowadzenie stanu wojennego, musimy wziąć pod uwagę trzy niezmiernie ważne cechy jego działalności:

– że zdecydował się podjąć osobistą odpowiedzialność za tę w rzeczy samej tragiczną decyzję – tragiczną, bo każde podejmowane w owym czasie działanie lub brak działań, groziło katastrofalnymi skutkami;

– że kierowana przez niego ta nieszczęsna operacja poprowadzona była w taki sposób, aby spowodować stosunkowo jak na jej skalę, jak najmniej nieszczęść ludzkich (trafność tej oceny możemy osądzić porównując przebieg i koszty społeczne stanu wojennego w Polsce z rezultatami poczynań ekip wojskowych w innych krajach, gdy usiłowały zdusić społeczne konflikty i uzyskać kontrolę nad sytuacją);

– że wyciągając wnioski z doświadczenia stanu wojennego zrozumiał, iż doszło do bankructwa systemu oraz przyczynił się do ostatecznej jego likwidacji.

Nie nastąpiło to natychmiast. Zrozumienie to narastało w nim przez całe lata 80. Wtedy jednak, gdy okoliczności historyczne okazały się sprzyjające (pięriestrojka i Gorbaczow), wszedł konsekwentnie na drogę zmiany systemu.

Myślę, że zapewni mu to godne miejsce w historii naszego kraju. ■

* Tekst niniejszy stanowi fragment rozprawy przygotowywanej do książki pamiątkowej dedykowanej *WOJCIECHOWI JARUZELSKIEMU*.

JAN WIDACKI

CZY W 1981 ROKU BYŁO MOŻLIWE JAKIEŚ POROZUMIENIE?

Nie jestem ani zawodowym historykiem, ani politologiem, więc nie wiem, czy mógłbym odpowiedzieć kompetentnie na pytania, jakie rodzą się, gdy przyglądamy się historii lat 1980-90. Jestem natomiast świadkiem tych wydarzeń i z pozycji świadka mogę o tym mówić, bez skrępowania metodologią tych nauk. Myślę, że godna uwagi będzie zmiana oceny tamtych wydarzeń, jaka zachodziła w mej świadomości na przestrzeni lat. Przybywało mi doświadczenia i wiedzy na temat funkcjonowania państwa, jego mechanizmów. Moja obecna ocena tamtych wydarzeń, a szczególnie stanu wojennego jest zupełnie inna niż ówczesna.

W środowisku akademickim ówczesne moje pokolenie, pokolenie 30-latków odbierało ówczesny system nie jako groźny i to co powiada się dziś na ten temat, to bzdury, ale przede wszystkim jako śmieszny i krępujący. Chcieliśmy wówczas rzeczy oczywistych – wolności słowa, w ogóle wolności i ów „festiwal »Solidarności«” zmierzał w tym kierunku.

Byliśmy w euforii. Można było mówić, co się chciało, cenzura, jeśli chciała dokonać ingerencji, musiała to zaznaczyć w druku, zażywaliśmy swobody i wolności, jakiej przedtem nie było. Ale gdybyśmy wówczas przemyśleli sprawę głębiej, to musielibyśmy zauważyć, do czego to musi doprowadzić. Wolność słowa jest bezgraniczna, a zatem ktoś w końcu napisze bardzo krępujące dla „wielkiego sąsiada” rzeczy o Katyniu, ktoś zechce posunąć się jeszcze dalej... A przecież żyliśmy wówczas w trudnych realiach politycznych, czy geopolitycznych.

Gdy Generał wprowadzał stan wojenny, to niejako jednym ruchem ręki przerwał, zburzył nasze marzenia, więc byliśmy na niego wściekli. Zburzył wspaniałe wizje i zniszczył drogę, która, jak się nam wydawało, wiodła prosto ku wolnej Polsce, ku wolności a tak naprawdę, niestety, prowadziła zupełnie gdzie indziej.

Często powtarzane jest pytanie, czy stan wojenny musiał być wprowadzony, czy było możliwe już wtedy, w 1981 r wypracowanie jakiegoś porozumienia? Nie trzeba głębokiej analizy politologicznej czy historycznej, by natychmiast odpowiedzieć, że nie! W 1981 roku nie było żadnej szansy na porozumienie, żadnej szansy na żaden „okrągły stół”.

Okrągły Stół moim zdaniem był jednym z największych osiągnięć polskich w dziejach, czymś porównywalnym do Konstytucji 3 Maja, bo oto w bardzo trudnej sytuacji dokonana się bezkrwawo nie tylko zmiana władzy, ale rzecz znacznie głębsza bo zmiana systemu społeczno-ekonomicznego i w gruncie rzeczy zmiana geopolitycznej mapy tej części Europy. I ten Okrągły Stół jest dziś przez prawicę ośmieszany, opluwany,

przedstawiany jako akt narodowej zdrady, porozumienie „czerwonych z różowymi” czy wręcz „ubeków z agentami”!

Jestem dziś najgłębiej przekonany, że w 1981 roku porozumienie było absolutnie niemożliwe. Aby bowiem osiągnąć porozumienie, musi być spełnionych kilka warunków – warunek pierwszy, muszą być strony, które chcą porozumienia; jest jeszcze bodaj ważniejszy warunek drugi – muszą być obiektywne możliwości aby te strony mogły je zawrzeć. W 1981 takich warunków nie było, bo ani strona „solidarnościowa”, ani „partyjno-rządowa” do porozumienia gotowe nie były. Z jednej strony był partyjny beton, który nie rozumiał zachodzących, głębokich procesów i sądził, że można się im przeciwstawić siłą, po stronie „solidarnościowej” byli ludzie, których później zaczęliśmy nazywać „oszołomami”. W trampkach na Moskwę chcieli maszerować, chcieli tak „rąbnąć”, by moskiewskie kuranty zagrały Mazurka Dąbrowskiego... trudno sobie wyobrazić, by w takich warunkach strony mogły się porozumieć.

Nie jest prawdą, jak niekiedy się dziś mówi, że była wola porozumienia po stronie „Solidarności”. Nie było jej ani po jednej, ani po drugiej stronie. Pamiętam zresztą własne nastroje... Nawet gdyby jednak tak się zdarzyło, że strony zechciałyby rozmawiać wykazując dobrą wolę?... Polska nie jest wyspą na oceanie odległą o tysiące kilometrów od sąsiadów, byliśmy członkiem Układu Warszawskiego co warunkowało naszą sytuację polityczną i militarną, obowiązywała doktryna Breżniewa o ograniczonej suwerenności krajów satelickich. Co więcej, nie była to doktryna teoretyczna i tak jak amerykańska doktryna Monroe dotycząca państw Ameryki Łacińskiej, była ona dwukrotnie realizowana! Najpierw na Węgrzech w 1956 roku a potem w Czechosłowacji w 1968.

Różni mnożący się „spóźnieni kombatanci”, którzy teraz barwnie opowiadają, jak to konspirowali w przedszkolu, twierdzą to trzeba było wówczas „dobić komunę”. Ja tymczasem pamiętam rok 1988, gdy nie udawały się strajki, gdy społeczeństwo było zmęczone i zmęczone, a przecież równie zmęczona była i druga strona...

Gdyby szukać historycznych analogii, trzeba by sięgnąć do wojen kozackich, kiedy pod Żwańcem spotkały się armia koronna z wojskami kozackimi. Obie strony nie miały już siły, po kilku latach bojów, walczyć ze sobą. Jedni i drudzy zatrzymali się, postali, postali i rozjechali się z dwie różne strony. Taka była właśnie sytuacja w 1988 roku. Wtedy mądrzejsza część strony solidarnościowej zroszczyła, że w tym momencie nie

jest w stanie obalić panującego porządku, a i po stronie partyjno-rządowej znaleźli się ludzie, którzy uświadomili sobie, że tak dalej rządzić się nie da!

Został w ten sposób spełniony pierwszy warunek, który jest niezbędny dla jakiegokolwiek porozumienia. Po obu stronach znaleźli się w gremiach kierowniczych ludzie, którzy uznali, że porozumienie jest konieczne. Ale w tym okresie nastąpiła też ogromna zmiana warunków zewnętrznych. W Związku Radzieckim zaczęła się *pieriestrojka* i *glasność*, procesy demokratyzacyjne w całym obozie socjalistycznym spowodowały, że doktryna Breżniewa przestała obowiązywać dopiero w 1989 roku, obie strony, które zmierzały do porozumienia, zyskały obiektywne warunki, w których swoje zamysły mogły zrealizować.

I taka jest geneza Okrągłego Stołu, tego moim zdaniem największego polskiego osiągnięcia minionego stulecia, choć wielu spóźnionych kombatantów będzie twierdzić jeszcze długo, że to „stół narodowej zdrady” choć z bliźniaczym stanowiskiem spotkałem się i po drugiej stronie, bo są środowiska, które uważają, że to była zdrada socjalizmu ze strony Jaruzelskiego i jego ekipy.

Inaczej więc dziś postrzegam i sam proces dochodzenia do porozumienia, i osobę generała Jaruzelskiego, którego niegdyś serdecznie nienawidziłem, a dziś doceniam i uważam za jednego z największych polskich mężów stanu, a przy tym postać tragiczną. Tak tragiczną, jak tragiczne były dzieje naszego narodu. ■

JERZY URBAN

GDYBY JARUZELSKI NIE ZDECYDOWAŁ SIĘ...

Przeciw wprowadzeniu stanu wojennego, jak i za taką koniecznością powiedziano już wszystko. Zawsze dobierano dokumenty i inne świadectwa do założonej z góry tezy. Dyskutanci z góry znali konkluzję. Ja też. Byłem uczestnikiem tego sporu, gdy się zaczął i nie zmieniłem zdania przez 32 lata. Teraz zastanowię się publicznie, jak mogły potoczyć się wypadki, gdyby Wojciech Jaruzelski nie zdecydował się na operację z grudnia 1981 r.

Przeciwnicy ówczesnej władzy dyskusji na ten temat raczej nie chcą podejmować. Na to „co by było, gdyby” nie ma oczywiście dowodów, dokumentacji. Wyrażam swoje przypuszczenia, co do rzeczy, które się nie zdarzyły.

W końcu 1981 r. większość społeczeństwa odczuwała niezadowolenie z materialnych warunków życia, z braku szans na poprawę, a także zmęczenie napięciami wewnętrznymi i niepewnością, co przyniesie przyszłość. Wśród szeregowych członków „Solidarności” nastroje te wywoływały uwiad początkowego zapału. W szeroko pojętych masach beneficjentów PRL przeważało oczekiwanie, że władza upora się ze strajkami i zapewni jakiś porządek.

Niezadowolenie, zmęczenie, rozczarowanie powodowało jednak przeciwstawne sobie skutki. Z jednej strony depolityzację zarówno przeciętnych zwolenników „Solidarności” jak i członków PZPR, z drugiej zaś wzmożony radykalizm wielkich mimo wszystko politycznie aktywnych środowisk obu orientacji.

W „Solidarności” polityczną skrajność pobudzało poczucie, że przeciwnik jest bardzo słaby i po roku dwu-władzy w Polsce bezradny. Nie warto się z nim liczyć. W obozie władzy to samo postrzeganie bezradności rządu rozwijało tęsknotę za ekipą twardszą, bardziej zdecydowaną na rozprawę z opozycją, bardziej zaradną i skuteczną niż ludzie Kani i Jaruzelskiego.

Nastawienia antyjaruzelskie wzmacniane były w gronie twardych komuchów z zewnątrz kraju i to nie tylko z Moskwy. Ta nie dążyła do obalenia lawirującej ekipy Jaruzelskiego, ale pchała ją do zdecydowania i ryzyka w grze z „Solidarnością”. Podgrzewano więc płytę, na której skakało polskie kierownictwo.

Nacisk ten był polityczny, czyli publicznie okazywany, oraz tajony, militarny i intrygancki. Kierownictwo PZPR wiedziało o dyskretnym formowaniu przez sojuszników przyszłego konkurencyjnego ewentualnego zespołu rządzącego, złożonego z „prawdziwych komunistów” zdecydowanych nie prowadzić polityki kompromisów z opozycją.

Po drugiej stronie Wałęsa i skupieni wokół niego politycy mieli alternatywę: radykalizować dążenia i sposoby walki o przewagę ich mocy w systemie dwu-władzy, na co zgodnie naciskała większość aktywu „Solidarności”, albo spodziewać się obalenia przywódców „Solidarności” i przejęcia całego związku przez mniej ostrożnych, bardziej politycznie zdeterminowanych działaczy. Dlatego zresztą sam Wałęsa przyjął stan wojenny z mieszanymi uczuciami gniewu i ulgi.

Generał Jaruzelski stał przed podobną alternatywą przejęcia całej władzy w kraju siłą kosztem „Solidarności”, albo stopniowego lub nagłego jej stracenia na rzecz twardszej i bardziej bezwzględnej ekipy.

Za rządów Breżniewa generał Jaruzelski nie mógł (mniejsza o to, że nie miał chęci) oddać władzy „Solidarności”. Ani też tworzyć socjalistycznej fasady dla panowania ludzi Wałęsy. Kierownictwo „Solidarności” chciało takiego właśnie rządu PZPR, który niczego sam nie może ale za wszystko odpowiada. „Solidarność” chciała wypłukać władzę PZPR, a pozostawić ją jako dekorację. Taki teatrzyk nie miał widowni za bliską zagranicą. Wojska radzieckie stały w Polsce i wokół wszystkich jej granic. Moskwa zaś zapowiedziała

ograniczenie dostaw paliw i surowców, czyli dążyła do przesilenia politycznego w Polsce poprzez szantaż ekonomiczny pogłębiający nasz krach gospodarczy.

Niewprowadzenie stanu wojennego oznaczałoby w praktyce zrzeczenie się odpowiedzialności kierownictwa PZPR za kraj i przyniosłoby skutki bardziej dramatyczne niż stan wojenny. Aspiracje opozycji do rządu były bowiem w epoce Breżniewa przedwczesne.

Jesienią 1981 r. głosiłem w kameralnym gronie „hipotezę pijanego motocyklisty”. Moja wyobraźnia działała tak: upity milicjant na motorze zabija dziecko. Gapie linczując milicjanta i niosą trupa dziecka przez miasto. Doprowadza to nastroje do wrzenia. Tłum rozwała różne małe magazyny broni i zaczyna się rozpętywać stopniowo wojna domowa.

Pod koniec 1981 r. stan konfliktu „Solidarność” – władza był zapalny pomimo politycznej apatii większości ludzi i słabnięcia obu antagonistycznych sił. Wybuch wojny domowej był jednak możliwy, bo słabnące ugrupowania szukają sposobu przydania sobie mocy. A kiedy leje się krew, następuje aktywizacja szerokich rzesz ludności. Nie wmamiam nikomu takiej intencji, ale ryzyko istniało.

Wojna domowa w Polsce mogłaby być zrazu podsycana przez ZSRR, ponieważ leżałoby w jego interesie stworzenie wrażenia, że Polacy sami się zabijają. Taka sytuacja stanowiłaby ostrzeżenie przed polską zarazą dla innych krajów Układu Warszawskiego. Byłaby też politycznie korzystną dla Moskwy alternatywą dla zbrojnej interwencji w Polsce na wzór tej na Węgrzech w 1956 czy w Czechosłowacji w 1968 r. Związek Radziecki nie chciał militarnie okupować Polski ze względu na swoje interesy międzynarodowe. Wolał to uczynić, gdyby zaszła taka konieczność, dopiero przy cichej aprobacie Zachodu.

Między nie chcieć interwencji, a nie zrobić jej jest znacząca różnica.

Gdyby Leonid Breżniew jeszcze żył, na pytanie czy nastąpiłaby interwencja wojskowa w Polsce, odparłby nam: nie chcieliśmy i nie zrobiliśmy tego. Ale gdyby nie stan wojenny, wszystko zależałoby od dalszego rozwoju sytuacji w świecie i w Polsce. Nikt z góry nie wyklucza zastosowania siły, którą ma. Użylibyśmy jej, jeżeli w inny sposób nie można by było zabezpieczyć radzieckich interesów w Europie Środkowej.

Ewentualne krwawe zmagania wewnątrzpolskie uznane byłyby zaś przez Zachód, a szczególnie Europę Zachodnią, za niebezpieczną destabilizację w miejscu newralgicznym. Moskwa otrzymałaby co najmniej milczące przyzwolenie na uspokojenie sytuacji zagrażającej równowadze na kontynencie. Ówczesnej równowadze!

Gdyby półmilionowe uzbrojone siły PRL (jeśli policzyć wszystkie uzbrojone formacje i założyć, że będą działały po tej samej stronie) wygrały walkę militarną z choćby milionową rewoltą formacji „Solidarność”, ale o marniejszej sile ognia i gorszym dowodzeniu, efekt byłby taki, jak stanu wojennego, ale mającego okrutną formę. Z powodu zacierzenia, jakie powoduje przelana krew.

Gdyby przewagę w walce zyskała „Solidarność” wkroczyłoby wojsko Układu Warszawskiego. Jeżeli krwawy epizod skończyłby się kompromisem, Mo-

skwa nie mogłaby się z nim pogodzić nawet otrzymany gwarancję respektowania jej interesów strategicznych. Obawiała się powstania podobnych do „Solidarności” ruchów w innych krajach Układu Warszawskiego i rozpadu powojennego porządku politycznego na całym obszarze satelickim, co trudne byłoby do opanowania przez schyłkowy Związek Radziecki.

Odpowiednik Okrągłego Stołu nie był możliwy po stanie wojennym, już w roku 1982 czy 1983. Władze radzieckie odmawiały w latach 1980 i 1981 wszelkich rozmów z „Solidarnością”, a przeciw zasadą polityki mocarstwowej jest kontaktowanie się na wszelki wypadek z opozycją nabierającą znaczenia w sąsiednim kraju. Brak takich rozmów politycznych (co należy odróżnić od rozmów dla zyskania informacji) dowodził tego, że Moskwa wyklucza oparcie się o innego niż PZPR gwaranta swoich interesów. Rozumowanie prowadzi do wniosku, że alternatywą stanu wojennego mogła być tylko krwawa, a w każdym razie tragiczna w formie rozprawa z „Solidarnością”.

Od 13 grudnia 1981 r. wojsko straszło tylko bronią, ale jej nie używało. Prowadziło operację psychologiczną. W rezultacie tego realnego stanu wojennego, który został wprowadzony, „Solidarność” została odczarowana. Po ogłoszeniu stanu wojennego nie podziałał jej apel o strajk generalny, tworzenie grup samoobrony, barykadowanie się w fabrykach i domach. Związek działał potem w podziemiu bardzo osłabiony. Znikły 10-milionowe struktury, bowiem każda konspiracja jest elitarna.

Władze poprzez stan wojenny nie wzmocniły jednak swego wizerunku w społeczeństwie i nie stały się adresatem dobrych nadziei. Silnie zwyżkowało za to pyszne teraz samopoczucie obozu władzy. Skutki tego były fatalne. Partia, która musiała odwołać się do wojska, osłabiła swą rolę w strukturze władzy i w oczach społeczeństwa. Rządzący mówili w pustkę. Ideologiczne racje partii umarły.

Aparat władzy tego nie dostrzegał. Uznawał stan wojenny za zwycięstwo w polskim sporze politycznym, wręcz za zamknięcie konfliktu. Szeroko pojęte siły władzy stały się bardziej zachowawcze i arogantkie. Uważały umacnianie swojego rządu za wystarczającą rację istnienia. Ideałem stał się powrót do stosunków sprzed 1980 r.

Pamiętam, że w rządowej jadalni generałowie będący ministrami czy komisarzami, gorączkowali się, że za stan wojenny Jaruzelskiego należy awansować na marszałka. Minister Stanisław Ciosek, który miał prowadzić rozmowy z umiarkowanymi solidarnościowcami na temat odtworzenia tego związku na nowych warunkach, skarżył się, że w tym pośredniczy Służba Bezpieczeństwa i podsyła mu samych swoich agentów.

Bazapolityczna Jaruzelskiego naciskała najbardziej zdecydowane rozprawienie się z resztkami opozycji, a przywódcy PZPR bali się przeciwstawić swojej wątej bazie. Obóz władzy po stanie wojennym był osłabiony, a sądził, że się wzmocnił, niczym człowiek chory na raka, któremu lekarze znieczulają objawy choroby.

Złudzeniu partii, że jest silna, sprzyjało osłabienie „Solidarności”. Konspiracyjnie działający związek miał świadomość swej słabości, ale głosił moc. Twierdził,

że zachował wpływ na społeczeństwo choć w rzeczywistości sprzyjała mu już tylko niewielka jego część. Realnie w społeczeństwie dominowała apatia, niezdecydowanie i wyczekiwanie. Nadziei nie wiązano już z władzą, ale też w nikłym stopniu z konspiracją. Wzięcie miał Kościół.

Przywódcy PZPR i rządu nadzieje na poprawę sytuacji upatrywali w reformach gospodarczych i politycznych, w gestach łagodzących, np. w amnestiach. Reformy opracowywali ekonomiści starający się godzić gospodarkę planową i jej właściwości z rynkiem. Była to praca beznadziejna, gdyż koncepcje półrynkowe rodziły nowe sprzeczności, były niekonsekwentne.

Po stanie wojennym reformatorzy pod wodzą prof. Baki działali w pustce politycznej. Opozycja nie uczestniczyła w tych wysiłkach, gdyż czekała już na załamanie się socjalizmu i przejęcie władzy, chciała dowodzić bezradności PZPR i rządu, nie zaś wspierać jego pomysły na zmiany gospodarcze. Kierownicy organizmów gospodarczych wszystkich szczebli traktowali reformatorskie poczynania jako politycznie niezbędną grę pozorów przeszkadzającą w pragmatycznym zarządzaniu.

Próby politycznej liberalizacji uderzały o ścianę. Po stanie wojennym wicepremier Mieczysław Rakowski ogłaszał w Sejmie wolność dla kultury, ale nawet

postowie go nie słuchali, bo oglądali przez okna manifestację antyrządową.

Później, po latach gen. Jaruzelski przykładał ogromne znaczenie do Rady Konsultacyjnej, którą mozolnie tworzył, choć takie grona debatujące odległe były od społecznego zainteresowania. Dla partii były lekko irytujące, dla opozycji śmieszące.

Aż tu w Moskwie nastał Gorbaczow, a wraz z nim radykalnie inne ramy dla polskiej polityki wewnętrznej. Wówczas my zaczęliśmy się spóźniać, ale to już jednak inny temat.

Próbowałem przedstawić pogląd, że stan wojenny w 1981 r. był rozwiązaniem niezbędnym, że nie było lepszej alternatywy. Koszty stanu wojennego były dla władzy rujnujące, uwypuklały historyczną przegraną realnego socjalizmu, mniejsze jednak były te koszty dla społeczeństwa niż skutki ewentualnej bierności Jaruzelskiego u krańca 1981 r. Bez stanu wojennego nie zebrałyby się Okrągły Stół, co nastąpiło już w epoce Gorbaczowa i schyłku ZSRR. Do tego stołu zasiadły dwie siły, które czuły się osłabione: organizacja „Solidarność” oraz władze PRL. Niemożliwym byłoby bowiem porozumienie silnego ze słabeuszem – zmiana ustroju dokonałaby się inaczej, a model polski nie stanowiłby łagodzącego przykładu przemian dla całej Europy Wschodniej. ■

STANISŁAW CIOSEK

„W OGÓLE BYŚCIE NIE ZAUWAŻYLI, ŻE WAS BIERZEMY...”

O kilku rzeczach chciałbym opowiedzieć obrazkami, bo po analizach prof. Reykowskiego i ministra Urbana pozostała mi tylko ilustracja wydarzeń.

Najpierw stan wojenny. Byłem w Moskwie przez 7 lat i bardzo gnębiła mnie sprawa, czy by „weszli”, czy „nie weszli”. Przeprowadziłem kilkaset rozmów i za każdym razem moje naiwne pytanie budziło zdumienie. Po stronie rosyjskiej nie spotkałem ani jednego rozmówcy, który miałby cień wątpliwości. Oczywiście ten „polski eksperyment” za starego Breżniewa nie miał najmniejszych szans. Konający, zmurszały system, zmurszały, a więc groźny, bo mogący w panice uderzyć, musiał zrobić wszystko, by ta „polska zaraza” nie rozlała się na inne kraje sojuszu. Pozostawał tylko problem, jak to powinno być zrobione, aby stało się jak najtaniej, najlepiej siłami własnymi Polaków... I weszliby w ostatecznym rozrachunku, w taki, czy inny sposób.

Czy zwróciliście uwagę na to, że Generał nigdy nie użył argumentu, że „radzieccy by weszli” jako zagrożenia głównego, przesądzającego o wprowadzeniu stanu wojennego, nie powiedział też nigdy, żeby się bał. Tyl-

ko Rakowski przebąkiwał w pamiętnikach o rozmowie z Generałem, że ten miał broń i gotów był w razie rosyjskiej interwencji użyć jej przeciwko sobie. Jako oficer niemal urodzony w mundurze, nigdy by nie powiedział, że się „boi”, bo to specyficzny rodzaj wojskowej godności, oficerskiej etyki, ale jestem święcie przekonany, że się bał. Każdy z nas się bał tej interwencji. Wkroczą i krew się poleje. Takie myśli i uczucia organizowały nasze działania. Ten strach temperował do pewnego czasu i „Solidarność”.

To był rok 1981. W 1985 r. sytuacja zaczęła zmieniać się radykalnie. Wcześniej polski eksperyment szans nie miał – to było oczywiste.

Powiedział mi kiedyś, były dowódca Białoruskiego Okręgu Wojskowego, wtedy już szef sztabu rosyjskiej armii, generał Dubynin: „W ogóle byście nie zauważyli, że was bierzemy. Wszystko mieliśmy gotowe, potrzebny był tylko rozkaz, nic więcej”. Warto to potraktować poważnie, bo właśnie Białoruski Okręg Wojskowy był odpowiedzialny za to „wejście”. I wszelkie gadanie, że w 1981 roku była szansa na porozumienie i że to ówczesni „radzieccy” by zaakceptowali, to bzdury totalne!

I jeszcze jeden obrazek. Profesor Pichoja, szef rosyjskich archiwów za czasów Jelcyna, ten sam, który przywiózł do Warszawy pierwsze dokumenty katyńskie z sowieckiego archiwum, sprezentował mi kserokopię decyzji Biura Politycznego KPZR o wkroczeniu armii radzieckiej do Afganistanu. To była kartka papieru wielkości koperty, a na niej ręcznie pisany tekst „Po diełu A (w domyśle Afganistanu) – za”. I trzy podpisy. Partia, wojsko i KGB. Pytam więc Pichoja: – Panie profesorze, a jakby tak było „po diełu P”, to trzeba by na większym kawałku papieru? – Nie, powiedział Pichoja. Tak wówczas Biuro Polityczne KPZR decyzje podejmowało, choć oczywiście później taka decyzja uzyskiwała tak zwane „oformienie”, czyli sekretariat to ubierał w odpowiednie słowa i zwroty, naturalnie już po wszystkim, po wkroczeniu.

Dowódcy Białoruskiego Okręgu Wojskowego brakowało więc tylko tej decyzji, tego świstka „Po diełu P – za” i nie chcę mówić ile krwi by się polało.

Zresztą wojsko nie było w istocie potrzebne. Bajbakow, radziecki szef Komisji Planowania Gospłanu zapowiedział naszemu rządowi, że o połowę czy zgoła o 60 proc. obetną nam dostawy ropy i gazu. To znana depesza, którą Jaruzelski już przytaczał. Data to koniec listopada, a przed nami grudzień, styczeń, luty... Zima! I teraz w trakcie posiedzenia Rady Ministrów zastanawiamy się nad sposobami wyjścia z sytuacji. Może to naiwne i głupie, ale akurat ja zaproponowałem, żeby ludność masowo przesiedlać z miast, gdzie ludzie mogą w zimnych, kamiennych blokach zwyczajnie powymierać, wysyłać z dziećmi na wieś, gdzie można jakoś chrustem się ogrzać. Może to naiwne i głupie, ale świadczy to o stanie ducha, o panice, jaka nas ogarniała...

Straszili nas radzieccy towarzysze nie raz i nie dwa, na różnych szczeblach, nic więc dziwnego, że Generał zachowywał się jak kierowca autobusu pełnego ludzi, któremu ktoś z tyłu przystawia coś twardego do głowy i każe zmieniać kurs... Pierwszy lepszy policjant powie, że w takiej sytuacji trzeba posłuchać, a potem kombinować, jak się wydostać z matni.

A teraz drugi cykl obrazków: Okrągły Stół. Pewien naukowiec z Ameryki, znawca technik wyborczych, napisał do mnie po wyborach czerwcowych list, że gdybyśmy zastosowali inną technikę wyborczą, to moglibyśmy wygrać. Ale przecież nawet gdybyśmy jakoś tam za pomocą różnych kruczków i technologii wygrali wybory 4 czerwca, to co byśmy z tym zwycięstwem zrobili? Czy mielibyśmy sposób na Polskę, na polską gospodarkę, na ludzi, którzy wymówili posłuszeństwo PZPR i rządowi?

Kolejne eksperymenty i próby – rząd Messnera po rządzie Jaruzelskiego... nawiasem mówiąc premier Messner ciągle uważa, że miał szansę. Napisał nawet książkę *Kuglarze i księgowi*, w której „księgowi” to ludzie od ówczesnej gospodarki a „kuglarze” to Urban i Ciosek głównie, którzy sprzedali władzę za *bezdušno*, a jego zdaniem była szansa wyprowadzenia Polski na prostą.

Nie było takiej szansy. Ani Messner, ani Rakowski jej nie mieli.

Polska musiała przejść przez rządy „Solidarności”, Polska musiała przejść przez plan Balcerowicza. Pytałem zresztą wielokrotnie Mazowieckiego, skąd się wzięł ten plan, przecież nie było tego w umowach Okrągłego

Stołu. Nie uzyskałem odpowiedzi wprost, ale rzecz była oczywista. Taka była ideologia owych czasów, neoliberalna doktryna Sachsa. Tylko ona leżała na światowym stole jako recepta na takie sytuacje jak u nas. Od tego uzależnione były pieniądze dla Polski, więc trzeba było to brać! I nie obwiniam absolutnie Balcerowicza i jego ekipy. Notabene, za tym planem karnie, po obywatelsku głosowało także PZPR. I dobrze, że głosowało choć wiele rzeczy można było zrobić inaczej, na przykład inaczej rozwiązać problem PGR. Nie tylko ten problem przecież. Wtedy nie byliśmy tacy mądrzy, mądrość przyszła później, do samego G. Sachsa też – stosunkowo niedawno porzucił neoliberalną religię. Ale wtedy z wyborem drogi nie mogliśmy przecież czekać. Tak głębokie i trudne przemiany musiały się odbyć pod osłoną „Solidarności”, która pełniła wówczas w Polsce niepodzielnie rząd dusz.

Gdybym wówczas wierzył w wygraną, to nigdy bym nie wymyślał kontraktowego podziału mandatów 65:35 proc., tylko wolne wybory! W tej konstrukcji mieściła się przecież założona przegrana. Formalnie musieliśmy wygrać choć z góry było wiadomo, że w starciu z rzeczywistością nie mamy szans. Zresztą na przedwyborczych konsultacjach w KC apelowałem do towarzyszy „wstańcie z kolan i walczcie”. I nic, nic! Partia odwykła od walki wyborczej, wieloletnie rządzenie, monopol na władzę, całkowicie ją rozbroiły.

To musiało się więc zdarzyć, podobnie jak musieliśmy przejść przez prezydenturę Lecha Wałęsy. Kombinowaliśmy przy Okrągłym Stole, co zrobić z Wałęsą, pisaliśmy notatki do Generała jak go „zagospodarować”... On się sam zagospodarował! Musiał dojść do Belwederu – to się też musiało w Polsce stać.

Nie powiem, że przy Okrągłym Stole chcieliśmy oddać władzę. Tu byłbym nieuczciwy. Nie chcieliśmy, ale też nie byliśmy manipulatorami i nie trzymaliśmy się jej kurczowo. Po przegranych wyborach minister Urban natychmiast napisał komunikat, który Generał Jaruzelski zaakceptował bez zmużenia oka, że uznajemy wyniki, choć różni ludzie na zapleczu władzy mieli różne pomysły, które mogły zakończyć się rozlewem krwi. I właśnie z tego powodu wcześniejsze plenarne posiedzenie Komitetu Centralnego PZPR, otwierające proces polskiego kompromisu, zostało przeprowadzone w dwóch etapach, pod groźbą podania się do dymisji Generała, m.in. po to, żeby nie mogło podjąć decyzji, które mogłyby odwrócić bieg zdarzeń. Pamiętam ten wielki spór na plenum, które zdecydowało o legalizacji „Solidarności”. To był prawdziwy bój. Generał miał taki zwyczaj, że co jakiś czas w trakcie posiedzenia dokonywał cząstkowych podsumowań i ja notując te podsumowania na projekcie uchwały wpisywałem ołówkiem i wymazywałem decyzję – w efekcie mam niemal dziurę w tym papierze, tak często konkluzje były skrajnie różne.

I tu obrazek dotyczący sytuacji po Okrągłym Stole.

Pełniłem wówczas funkcję ambasadora w Moskwie i w pewnym momencie Rosjanie postanowi odbudować zburzoną przez Stalina, cerkiew Chrystusa Zbawiciela, ogromny chram postawiony zresztą na pamiątkę zwycięstwa nad Napoleonem. I zwrócono się do wszystkich krajów chrześcijańskich, nie tylko prawosławnych, żeby pod kamień węgielny włożyły coś znaczącego od swoich narodów.

Miałem problem! W końcu co ja, były członek Biura Politycznego PZPR, w dodatku z kraju katolickiego, mogłem tu wymyślić? Ponieważ jednak już wówczas mocno się w Rosji chmurzyło, zanosilo się na konfrontację, na bitwę, w której pioruny potem rzeczywiście uderzały, bo przecież strzelano do parlamentu, postanowiłem włożyć Porozumienia Okrągłego Stołu jako symbol tego, że można się jakoś dogadać, zamiast brać się za bary, czy, co gorsza, do siebie strzelać. Pojechałem specjalnie do Warszawy i po raz pierwszy przeczytałem ten dokument do końca, bo znałem go dokładnie w części podstawowej, nie czytałem uważnie ustaleń poszczególnych „podstolików”, podzespołów, protokołów rozbieżności, całej tej przerażająco opasłej księgi. Przeczytałem to wszystko i postanowiłem nie wkładać jednak jej Rosjanom w kamień węgielny. Treścią tych dokumentów był naiwny, choć bardzo piękny socjalizm. Czysty socjalizm! Waloryzacja płac, emerytur, mieszkania, żłobki, ale jak to zrobić, nie napisano.

Ani razu nie padły słowa: gospodarka rynkowa, kapitalizm. Dopiero później pojawił się neoliberalizm jako jedyne wyjście... Mówiłem już o tym, ale powiem dobitniej. Mam duże uznanie dla tamtej „Solidarności”, bo przez plan Balcerowicza i te inne ciężkie problemy transformacji ustrojowej ona spłonęła. W istocie spłonęła na stosie ofiarnym ojczyzny. Przecież dzięki temu udało się bezkolizyjnie przeprowadzić tak gigantycznie trudne operacje socjalne. Polacy się nie zbuntowali, widać warto było tę cenę zapłacić i kłaniać się jej za to. Inna rzecz, że oni wtedy nie mieli świadomości, że płoną. Do tej pory ich przywódcy nie mają o tym pojęcia.

Bardzo wiele zrobili na rzecz reformy Rakowski z Wilczkiem i do dziś ciągle kolejne ekipy rządowe wycofują się z podjętych w tamtym czasie swobód gospodarczych, ale zabrakło wówczas Rakowskiemu rzeczy podstawowej – osłony politycznej. Pytałem go, gdy uwolnił ceny żywności i przygotowywał się do uwolnienia wszystkich pozostałych cen, czy jest jakaś siła, która zatrzyma nacisk na płace. Bo było jasne, że ludzie to sobie odbiorą – przez „Solidarność”, przez związki branżowe czy wreszcie przez PZPR. To było

naturalne i oczywiste. Na dylemat czy wytrzymamy ten nacisk?, także i Rakowski nie miał odpowiedzi. Byliśmy słabi.

Rozmawiałem przed laty z Michaiłem Gorbaczowem. Nie był już prezydentem, zjawił się w Warszawie, bo „Polityka” wręczała mu nagrodę i ja towarzyszyłem mu jako rodzaj przewodnika. Zapytałem go m.in. o to, czy w warunkach, kiedy mieli potężną armię, wielki choć słabo wydolny przemysł i armię urzędników, nie można było zmieniać systemu jakimś „chińskim sposobem”? Odpowiedział: – Rozważaliśmy to nawet, ale po to, żeby chiński model wprowadzić w ZSRR, trzeba by zamiast Rosjan mieć Chińczyków! Coś w tym jest.

Także u nas stosunkowo daleko zaszły procesy deregulacyjne i fakt, że wielka część społeczeństwa wymówiła władzy posłuszeństwo. Tego nie było w Chinach, bo ich władze miały liczne przykłady, w tym także nasz, a ponadto te tysiące lat doświadczeń konfucjańskich. Wyciągnęli wnioski, nie zniszczyli struktury partyjno-administracyjnej i mogli wprowadzić fundamentalne reformy gospodarcze.

Gdy już opuszczałem placówkę w Moskwie, przeprowadziłem bardzo ciekawą, długą rozmowę z Aleksandrem Jakowlewem. Gdy za pomocą znakomitego koniaku otwartą się nasze dusze, spytałem, dlaczego tak łatwo się poddali? To był człowiek niezwykły, przez lata ambasador ZSRR w Kanadzie, którego Gorbaczow ściągnął do Moskwy i który był w istocie intelektualnym autorem pieriestrojki i głośności. Człowiek o wielkim umyśle i wielkiej miłości do Rosji – dobry prorok rosyjskiego ludu. I on powiada: – Byłem tym ambasadorem w Kanadzie przez 10 lat i ten kapitalizm kanadyjski w odróżnieniu od agresywnego i okrutnego amerykańskiego jest ludzki, przyjazny. I ludzie tam są dla siebie dobrzy i Kanadyjczykom żyje się dobrze nie tylko w materialnej sferze. Przyroda ponadto jest niemal taka jak u nas, piękna... Ale u nas taka *nieszczęta*, a u nich *takoje szczęście*... Czy naiwne to? Może tak, jak naiwna była radziecka pieriestrojka, tak naiwna jak marzenia naszego Okrągłego Stołu. Marzeniem nie było kruczowe trzymanie się władzy, marzeniem było wyjście z tej *nieszczęty*. ■

WOJCIECH GARSTKA

„TAK JAK WYŚCIE NAM POMOGLI W 1968...”

Jak mnie poinformował prezes Kurz, do udziału w dzisiejszym spotkaniu rekomendował mnie senator Kozłowski. Miałem przyjemność pełnić rolę jego rzeczownika prasowego jeszcze przez dwa tygodnie po odejściu Kiszczaka i on sam, osobiście, zaprosił mnie do nowych służb, abym pomógł je organizować. W UOP spędziłem dwa lata i zostałem bardzo, niezwykle uprzejmie wyrzucony przez pana Naimskiego.

To doceniam, bo moich kolegów wyrzucano bardziej brutalnie.

Zacznę jednak od pamiętnego sierpnia. Byłem wówczas członkiem „rozszerzonego sekretariatu” szefa Służby Bezpieczeństwa, którym był wtedy generał Ciastoń, nawiasem mówiąc doktor inżynier informatyk. Zostaliśmy z kolegą wystani do Gdańska, żeby pomóc tamtejszym kolegom, szczególnie

z Wydziału III w opracowaniu materiałów, które tam powstawały.

To był jakiś 23 czy 22 sierpnia, a na terenie stoczni było kilkudziesięciu funkcjonariuszy SB różnych pionów – III, IV i V, było też kilku ludzi ze służb wojskowych i wszyscy opracowywali swoje materiały. To była dawka wpływająca do Warszawy w postaci sztyrogramów – były to i informacje, i opracowania, a centrala chciała, żeby ten potok ująć w jakieś karby. Koledzy z Gdańska się nie wyrabiali, więc jako analitycy pojechaliśmy im pomóc. Jednak koledzy nie dopuścili nas do tej współpracy. Zawsze dowiadywaaliśmy się, że materiał został właśnie wystany do Warszawy...

Cóż mieliśmy robić? Ja wyglądałem jeszcze młodo, w dżinsach, wszedłem do stoczni jako student z Warszawy, poszedłem do sali BHP, do wydawnictwa, którym rządził nieoceniony Krzysztof Wyszowski. Przywitałem się serdecznie, wziąłem pół kilo „bibuły”, dałem cegiełkę na pomnik stoczniovców i uznałem w efekcie, że ani ja ani kolega nie mamy tu już nic do roboty. Wróciliśmy do Warszawy jakimś 40, z wicepremierem Jagielskim.

Napisałem z tej podróży raport oficjalny, ale w rozmowach nieformalnych, z moimi przełożonymi stwierdziłem, że jest to wydarzenie, które na pewno nie jest banalne i nie skończy się na niczym. Zauważyłem oto, że gdy przechodziłem przez słynną bramę nr 2 stoczni, wchodził tam też właśnie jakiś uczestnik strajku z torbą, a członek straży robotniczej z opaską na ramieniu, zajrzał do środka, zobaczył półlitrowkę wódki i wielkim łukiem wyrzucił ją do pobliskiego kanału. „No, jeśli takie rzeczy się dzieją tu u nas, w Polsce, to rzecz musi być bardzo poważna!” – powiedziałem, wzbudzając pewne zrozumienie u słuchaczy.

I wtedy mój szef, naczelnik Wydziału I Departamentu III, powiedział lekko chrypiąc: – „Ciebie powieszają w drugiej kolejności, mnie w pierwszej. Pamiętaj, tak to się skończy!” Wprowadzenie stanu wojennego stało się ratunkiem nie dla nas, ale i dla kraju. Strzelanina w Polsce musiałaby odbić się szerokim echem.

Z czasem jednak to wszystko się przewaliło, i w zupełnie nowej Polsce generał Jaruzelski został prezydentem, jak to się mówiło „wybrany półgłosem”. Wtedy, jako współpracownik generała Kiszczaka, bywałem dość często w Belwederze. Na jednej z narad rozważano problem stosunku do kolejnej rocznicy stanu wojennego i wtedy powiedziałem wprost, że trzeba oficjalnie stwierdzić, że istniało poważne zagrożenie interwencją radziecką. Na to generał Jaruzelski, spokojnie, ale bardzo kategorycznie, odrzucił taką argumentację. Dlaczego? Mogę tylko przypuszczać, że nie chciał używać argumentu, który jego przeciwnikom pozwoliłby twierdzić, że „zastania się cudzą przemocą”.

Moim zdaniem to był błąd, szczególnie że wiedzieliśmy wiele, bodaj wszystko o przygotowaniach do takiej interwencji. Pracując w Sekretariacie szefa SB, a potem organizując grupę operacyjno-sztabową, która była pierwszym „białym wywiadem” w Polsce, często miałem okazję spotykać się z przedstawicielami „bratnich służb”. Ponieważ miałem wówczas czeską żonę, to nader często nawiedzał mnie przedstawiciel czeskiej służby, który informował, jakie to mają wspaniałe rozwiązania propagandowe, jak to w Pradze jest cała ekipa rozgłośni, która będzie nadawała po pol-

sku. Wspominał też gdzie, na jakich falach można to już w radiu znaleźć. Mówił zawsze, że „braci Polaków nie zostawimy samych” i „tak jak wyście nam pomogli w 1968 r., tak my wam pomożemy!” I proszę się nie śmiać, on to mówił nie tylko serio, ale i szczerze. To nie była perfidia z jego strony – chciał dobrze!

Wiedzieliśmy też i nie trzeba nam było do tego amerykańskich satelitów, ile dywizji stało na naszych granicach, za Bugiem, na granicy południowej i zachodniej. Zwłaszcza te z zachodu nas niepokoiły.

I jeszcze jedna historyjka. Tuż przed stanem wojennym podejmowaliśmy różne zabiegi w celu ochrony gmachu na Rakowieckiej. Jako dawny plutonowy podchorąży po studium wojskowym studentów i egzaminie oficerskim na poligonie otrzymałem wtedy zadanie obrony czwartego piętra. Dostałem dwa rkm Deigtiariewa i nieco worków z piaskiem, z których zbudowaliśmy barykady – od strony okna, i od strony schodów. Kiedy pojawił się dowódca piętra i spytał: – Po cholere ci te okopy?, odpowiedziałem: – A kto wie, skąd „oni” przyjdą? Szczególnie, że powyżej był już tylko dach, a na dachu mogą lądować śmigłowce! Choćby te radzieckie Mi 48...

Ale zostawmy ciekawostki. Stan wojenny oczywiście nie był przygotowywany z dnia na dzień, tylko od dawna i to bardzo solidnie. W to była zaangażowana i SB, i wojsko, i inne instytucje. Natomiast ani my, ani nikt inny nie wiedział, kiedy ktoś naciśnie ten spust...

2 grudnia wyjechałem z delegacją Komitetu Warszawskiego PZPR do Moskwy, żeby „wymieniać się doświadczeniami”. Byłem wówczas lektorem różnych partyjnych szczebli i zdarzało mi się spotykać ze środowiskiem robotniczym, w ZWARze, na lakierni w FSO... Jakoś udawało mi się rozmawiać z ludźmi. Z tego tytułu znalazłem się w Moskwie. Traktowano nas z atencją, spotkał się z nami nawet sam towarzysz sekretarz Giszin. Na różnych zebraniach sporo usłyszałem o potrzebie „wzmocnienia siły polskiej partii”, o potrzebie „oczyszczania szeregów”, więc w zakładzie „Okriabska” poprosiłem o pokazanie dokumentów – jak oni usuwają ludzi z partii i za co? Po chwili konsternacji – pokazali. Nie było tam nic interesującego. W każdym razie nic ze sfery „ideologicznej”, raczej obyczajowej.

Do Warszawy wróciłem 12 grudnia. Dzieci się cieszyły, bo dawali mi tam w Rosji mnóstwo prezentów, a tu o piątej rano zapukał do moich drzwi dyrektor III Departamentu, który był moim „kontaktem alarmowym” i stwierdził „zbieraj się, idziemy do roboty”. Wróciłem za pięć dni.

Mówi się wiele o terrorze wprowadzonym przez Jaruzelskiego, Kiszczaka i SB, o strachu na ulicach i w zakładach pracy, tymczasem ja już trzecim dniu stanu wojennego, dostałem polecenie od generała Ciastonia przejrzania dekretu o stanie wojennym i sprawdzenia, jakie restrykcje w nim zapisane można natychmiast zawiesić lub cofnąć! Z tego sposobu myślenia można było wnioskować, że stan wojenny nie był sposobem na rewanz, nie był zemstą czy pacyfikacją, ale był czymś, co ma zahamować tempo wydarzeń i ma dać bazę i podstawę do kolejnych kroków. Jakich? Tego wówczas nie mogliśmy wiedzieć.

Gdy mowa o stanie wojennym, to trzeba podkreślić rzeczywiste i całkowite odsunięcie na bok PZPR. Na ich miejsce weszli wojskowi. I tu uwaga – potem

wielu z nich, w tym generał Jaruzelski, było przekonanych, że dokonała się w stanie wojennym istotna reforma gospodarcza. Ja wiem, że żadnego postępu w tej dziedzinie nie było. Nastąpiło uładzenie i uspokojenie, ale żadnych głębszych przemian nie było i było oczywistym, że stan wojenny tych aspektów rozwiązać nie może.

Spójrzmy teraz na etap przygotowań do Okrągłego Stołu, w których brałem udział jako członek grupy operacyjno-sztabowej szefa Służby Bezpieczeństwa, nazwanej dla kamuflażu Zespołem Analiz MSW. Korzystaliśmy z rozmaitych materiałów, z OBOP-u, z nasłuchu, analizowaliśmy materiały ściągane przez nasz wywiad. I pamiętam jeden z materiałów uzyskanych z USA, a pochodzących z jednego z tamtejszych *think-tanków* pracujących na rzecz prezydenta Reagana. Brzmiało to mniej więcej tak: Tak zwany socjalizm przegrał absolutnie na linii gospodarczej. Dalsza przegrana jest tylko kwestią czasu, pozostaje pytanie, czy będzie to miało krwawe konsekwencje, czy nie.

Z czasem zdałem te wszystkie materiały pieczołowicie i są tam zapewne gdzieś w piwnicy na Rakowieckiej, a razem z materiałami ktoś kiedyś odnajdzie i nasze wnioski, że te amerykańskie analizy trzeba potraktować poważnie i że trzeba szukać pilnie jakiegoś alternatywnego rozwiązania. Jest to gdzieś pewnie w zasobach IPN.

I oto pytanie, kiedy pojawiły się pierwsze pomysły stworzenia jakiejś formy uładzenia stosunków z ówczesną opozycją? Otóż zaczęło się to gdzieś w 1985-86 roku, gdy metodami operacyjnymi i przez różnych pośredników władza próbowała dotrzeć do ludzi decydujących o zachowaniu środowisk opozycyjnych i starała się wy badać ich ewentualną gotowość do podjęcia rozmów.

Wtedy powołutku, bardzo powoli, narastało przekonanie, że trzeba tworzyć płaszczyznę do rozmów. Niestety cechą immanentną sytuacji w Polsce była głęboka nieufność wszystkich stron, a i wewnątrz, w obu obozach zarysowały się silnie zaznaczone, mocne podziały i nieufność między poszczególnymi odłami obu stron. W tej sytuacji budowany był, z trudem, Okrągły Stół. Popchnęły do niego majowe strajki, które uzmysłowiły obu stronom, że konflikt może tylko doprowadzić do nieszczęścia. Tu na marginesie można przypomnieć wystąpienie ówczesnego premiera Mieczysława F. Rakowskiego, którego decyzje o likwidacji Stoczni Gdańskiej zostały przez wielu potraktowane jako próba podłożenia miny pod Okrągły Stół. Choć wierzę, że jego intencje nie były destrukcyjne, to jednak tak były z wielu stron odbierane.

I znów zapytam, czy ktoś w 1981 roku mógł przypuszczać, jak sytuacja rozwinie się ostatecznie? Nie! Zaważyły na sytuacji dwa czynniki: determinacja ekipy generała Jaruzelskiego, który umiał się przeciwstawić przeciwnikom stabilizacji we własnych szeregach i pojawienie się w ZSRR Gorbaczowa. To były konstytutywne elementy tego, że porozumienie się udało.

Dziś wiele mówi się np. o roli Jana Pawła II w tworzeniu atmosfery porozumienia i o wzorowanej na Gandhim strategii naszej opozycji.... Powiem tak – rola papieża jest rzeczywiście spora, co widać, gdy powoli ujawniana jest treść rozmów między Jaruzelskim a Wojtyłą. Doceniam tę rolę, ale na pewno nie

była to rola konstytutywna. To nie papież przyniósł nam zmiany polityczne w Polsce.

A jaka była rola opozycji? Myślę, że ślęcząc po nocach nad opracowaniami intelektualnych liderów opozycji jeszcze długo przed powstaniem „Solidarności” - przecenialiśmy w istocie ich intelektualny poziom i realne znaczenie. Chcieliśmy – co śieszne – wierzyć, że tam czai się myśl głęboka i odkrywca. Bardzo szybko przekonaliśmy się, że była to przesada. Dowodem na to może być fakt, że nagle oto, mózg tego środowiska, Mazowiecki, przegrywa wybory prezydenckie, a na drugie miejsce wskakuje przybłąda z Peru! Prawda, działo się to w warunkach specyficznego konfliktu między „legendą” protestu, a „liderem intelektualnym” środowiska opozycyjnego – co nigdy w Polsce jakoś nie wzbudza estymy, ale fakty mówią same za siebie. Nie brak przecież i innych dowodów na płyciznę intelektualną wielu spośród liderów „Solidarności”.

Jaką więc rolę odegrała w tym procesie opozycja? Okazało się, że była to jedyna siła, której naród mógł w tym historycznym momencie zaufać, była to więc z jednej strony dla władzy przynęta pozyskania obiektu zaufania i uczenia go odpowiedzialnym za reformy, kłtrych władza kompletnie nie była w stanie dokonać, a z drugiej obiektywna okoliczność zmuszająca do dialogu. Trzeba przyznać też, że hasła opozycji spełniały ważną rolę etyczną i wspomagały proces przemian w mentalności – przynajmniej w sferze haseł. Natomiast skutki tych przemian byłyby żałosne gdyby nie Jaruzelski i jego ekipa. Oraz Gorbaczow, naturalnie.

Jest jeszcze inna sprawa, podtrzymywana ciągle sprawa „agentury”. Oto w swoim czasie minister Urban i jego ekipa zaproponowała, by ujawnić, niejako urzędowo, fakt, że Lech Wałęsa był agentem. Kategorycznie sprzeciwiliśmy się tym propozycjom, bo tajemnica operacyjna, szczególnie gdy chodzi o tak zwane „źródła osobowe” jest warta tyle, ile tajemnica spowiedzi! Dziś nie zostało to docenione, ale to już jest inna sprawa, która nas nie obciąża. Natomiast stwierdzam spokojnie - agenci, gdziekolwiek jesteście: „zaprawdę powiadam Wam, nie lękajcie się! W IPN siedzą gówniarze, którzy nie umieją czytać dokumentów i pojęcia nie mają o pracy służb. Dam swój własny przykład. Oto od 1970 do 1973 roku byłem kadrowym oficerem polskiego wywiadu naukowo-technicznego pod innym nazwiskiem, o którym wiedziały trzy osoby, wszystkie te osoby dziś nie żyją, a dokumentów nie ma, bo rzecz była prowadzona profesjonalnie. Nikt się dziś o tym nie dowie ode mnie – więc szczegółów nikt znać nie będzie.

W 1974 roku poszedłem do Akademii Spraw Wewnętrznych jako wykładowca logiki, ale wcześniej, jako doktoranta UW, dopadł mnie funkcjonariusz z wydziału III Komendy Stołecznej i usiłował pozyskać jako agenta SB. Zapytałem przełożonych, co mam robić w tej sprawie – odpowiedzieli: – Daj się pozyskać, a potem napisz opinię na temat jego profesjonalizmu. Jestem więc zarejestrowany. Zabawę miałem przednią. Opinię wystawiłem pozytywną – kolega z SB był profesjonalnym oficerem.

Zresztą tej swojej pracy i współpracy wcale się nie wstydzę, bo to była praca dla kraju, czym innym jest jednak sytuacja, gdy ktoś zrobił komuś świństwo. To już kwestia osobowości i charakteru – a tego w papierach nie ma. ■

DYSKUSJA (wybór)

Andrzej Kurz

Gdy jednak mowa o czasie, który dzielił porozumienia sierpniowe od Okrągłego Stołu, nie wolno zapominać, że wtedy był także X Zjazd PZPR, który stanowił zdecydowany krok wstecz. Był już wówczas u władzy w Moskwie Gorbaczow, a zjazd był w istocie poddaniem się tym, którzy nie wierzyli w powodzenie *perestrojki*. Myślę, że Jaruzelski uwierzył w Gorbaczowa i reformy jako zjawiska nieodwracalne dopiero w roku 1988. Wcześniej duża część aparatu była przekonana, że wróci porządek typu Janajewa, czyli pijany porządek, i wszystko co się na tym zjeździe działo – i rząd Messnera – to był krok wstecz, wtedy gdy się miało siłę i wszystkie atuty w ręku, by robić prawdziwe zmiany szczególnie w gospodarce, czyli trochę tej chińszczyzny, bez chińszczyzny.

Druga uwaga dotyczy Balcerowicza. Nie wiem, czy mam rację, ale Balcerowicz, jeszcze w połowie lat 80., jak to się mówiło w ZSRR „starszy pracownik naukowy” w Instytucie Podstawowych Problemów Marksizmu-Leninizmu u Jerzego Wiatra, napisał opracowanie gospodarcze, w którym pewne załączki jego planu są, i byłby to wtedy istotny krok naprzód, gdyby nie to, że wobec postawy władz partyjnych była to wówczas abstrakcja.

Marian Stępień

Na pamiętnym, dwuczęściowym plenum KC (grudzień 1988 – styczeń 1989) Biuro Polityczne po raz pierwszy wystąpiło o akceptację swojego programu reform i w imieniu Biura prezentował je, po raz pierwszy, Mieczysław Rakowski. Był tam cały program, sposób dochodzenia do porozumienia w tym legalizacji „Solidarności” i Okrągłego Stołu. To była duża niespodzianka dla zebranych, wśród których przeważał aparat partyjny. Nie krył zaskoczenia Miodowicz, który przypominał wcześniejsze decyzje o tym, że tylko jeden związek ma funkcjonować w zakładzie pracy. Jaruzelski widząc, że dyskusja zmierza przeciw tym tendencjom, zdecydował o przerwaniu plenum, a w czasie kilkutygodniowej przerwy członkowie KC mieli przeprowadzić w swoich organizacjach konsultacje.

Na drugą część wielu członków KC przyjechało umocnionych w swoim krytycyzmie wobec nowych pomysłów. W tej sytuacji Jaruzelski zaproponował głosowanie nad wotum zaufania dla Biura Politycznego. Członkowie BP i Sekretariatu KC wyszli do sali obok, obradom przewodniczył prof. Henryk Jabłoński jako senior KC i ostatecznie wotum zaufania zostało przyjęte.

Michał Rościszewski

Niedługo po wprowadzeniu stanu wojennego wpadł mi w ręce egzemplarz „Newsweeka” ze sporym artykułem generała Aleksandra Haiga, który był w latach 1974-79 dowódcą NATO w Europie. Wspominał

tam, że w generalnym bilansie, liczonym w cenach światowych, wymiana gospodarcza między Polską a ZSSR, daje Polsce efekty dodatnie, innymi słowy ZSRR dopłaca do Polski ze względów politycznych. Uwagę zwracało też stwierdzenie (jak dziś wiemy głęboko nieprawdziwe), że USA zostały kompletnie zaskoczone wprowadzeniem stanu wojennego, przez cały czas były nastawione na wkroczenie wojsk radzieckich i z zainteresowaniem czekały na hekatombę, która byłaby największą możliwą kompromitacją socjalizmu na skalę światową.

Inna moja uwaga dotyczy pewnych postaci, które obecnie są obiektem szczególnej uwagi ze strony prawników. Pierwsza to śmierć ks. Popiełuszki, każdy myślący człowiek ma świadomość, że był to polityczny cios w generała Jaruzelskiego, kolejny problem to śmierć Przemyska. Jest oczywiste, że durni zomowcy zachowali się haniebnie i pobili człowieka bez litości. Ale wiadomo, że żadna policja, nasza obecna też, nie chce przyznawać się do błędów. Inną sprawą są haniebne działania rządu, który także zaczął tych milicjantów bronić, przekraczając na pewno granice przyzwoitości. Ale jest rzeczą oczywistą, że głęboko nieprawdziwy jest passus uchwały sejmu i senatu o „inspiratorach” tego zabójstwa i z całą mocą trzeba podkreślać, że żadnej „inspiracji” tu nie było, co jest oczywiste dla każdego nieuprzedzonego obserwatora.

Nawiązania do historii są potrzebne, szczególnie kiedy prawica określa PRL jako okres „zaprzaństwa” i „zdrady narodowej”. A przecież „Polska jałtańska” była wówczas jedyną możliwą, że popierała ją nie tylko „agentura sowiecka”, ale gros myślących ludzi z tak wybitnymi postaciami jak wicepremier Kwiatkowski, twórca Gdyni i COP-u, oraz wielu członków AK, mimo że przez kilka stalinowskich lat byli przez propagandę opluwani. Warto też mieć na uwadze, że rotmistrz Pilecki rzeczywiście był szpiegiem, że zorganizował całą siatkę i mimo kilku wyroków śmierci, dość oczywistych w tamtych czasach napięcia międzynarodowego, ostatecznie tylko on zapłacił głową, choć starał się współpracować ze śledczymi...

Ja sam byłem sierżantem podchorążym AK odznaczonym Krzyżem Walecznych i nikt mi nigdy nic nie zrobił. Owszem, pół dnia spędziłem kiedyś na UB, ale że Polski Ludowej nie zwalczałem, skończyło się na tej jednej wizycie.

Andrzej Kurz

Jest absolutnym nonsensem twierdzenie, że zabójstwo Przemyska było celowym aktem władzy, jednak nie do zaakceptowania są późniejsze działania tejże władzy w celu zacierania śladów zbrodni w dodatku znajdując do tego fałszywych sprawców!

To zresztą stała metoda obrony „obrońców władzy”. Mogę tu tylko przypomnieć jak to w bardzo przeciętnym „Raportie Kubiaka”, niezujący już wówczas towarzysz Stanisław Józwiak „Witold” brał udział w budo-

waniu skierowanej przeciw Gomulce teorii „odchylenia prawnicowo-nacjonalistycznego w PZPR” i wyciągnięciu z tej teorii zbrodniczych konsekwencji.

Wówczas najwyższe władze powiadały „jakże tu wspominać tak Józwiaka w tym raporcie, kiedy jego imię nosi szkoła MO w Szczytnie, i co jej kadra i wychowankowie na to powiedzą?” Są rzeczy, których usprawiedliwić nie można i co jest świadectwem głębokiego znieprawienia ówczesnego naszego ustroju.

Mamy tu jednak, w wypowiedzi profesora Rościszewskiego, żołnierza AK, odznaczonego medalem „Sprawiedliwy wśród narodów świata” i wybitnego fachowca, który bardzo wiele osiągnął, świadectwo o wiele szersze, ogólniejszej prawdy. Kto nie wdawał się w wojnę z ustrojem, (choćby z najszlachetniejszych pobudek, to inna sprawa), ten nie był prześladowany, a nawet był głaskany jako „brat nawrócony”. Przypomnę tu Michała Isakiewicza, tego, który wykonywał wyrok na hitlerowskim kacie Warszawy – Kutscherze, jednego z najdzielniejszych żołnierzy AK. Po wojnie był przez lata wybitnym dyrektorem warszawskich firm, działaczem PZPR szczebla wojewódzkiego, choć owszem, były wcześniej w latach stalinowskich zakusy, żeby go prześladować.

Radostaw Czarnecki

Wiem, że kompromis jest clou demokracji, ale mam pytanie, czy ówczesne parcie obu elit do kompromisu było tylko wypadkową tamtej sytuacji? Bo jeśli tak, to ten kompromis był nic niewart. Miał znaczenie tylko wtedy, i tylko w tamtym momencie. Bo popatrzymy na nasze obecne społeczeństwo. Elity obojętnie jakiej proveniencji, stają się przykładem „anty-kompromisu”! To znaczy, że kompromis Okrągłego Stołu albo się wypalił, albo był posunięciem koniunkturalnym.

W początkach roku 1980 w „Polityce” ukazał się znamieny artykuł Mieczysława F. Rakowskiego *Dobry fachowiec, ale bezpartyjny*. Jak to zadanie, i wnioski wtedy wysuwane, jak są realizowane dziś po kilkunastu latach, gdy osiągnęliśmy polityczny kompromis, który powinien być nas wszystkich czegoś nauczyć.

Hieronim Kubiak

W takiej rozmowie jak dzisiejsza istnieją dwie możliwości. Jedna z nich, to kroczenie po ścieżce życia, bo każdy z nas ma jakieś swoje przeżycia, czemuś towarzyszył, o czymś sądził... Jednak w moim przekonaniu takie wspomnienia nadają się na partyzanckie ognisko, a nie do żadnej intelektualnej rozmowy, w której chodzi o zrozumienie rzeczywistości. Ta druga perspektywa jest znacznie trudniejsza i tym bardziej trzeba ją podjąć. Ta druga perspektywa zawiera się w tym, co dziś wiemy o sprawach ubocznych „problemu Przemyska” o pogotowiu, o lekarce, o ludziach, którzy skazani zostali „w zastępstwie” za to, co się stało z Przemyskiem. To przecież jeden z największych skandali etycznych, jakie można sobie wyobrazić, jakiego nie da się niczym wytłumaczyć. I nie mówię tego jako ojciec syna w tym wieku, w jakim wówczas był Przemysk, ale ze zwykłej, ludzkiej rzetelności. Tego się niczym usprawiedliwić nie da.

I kto to zrobił? Niestety nasi partyjni przywódcy. Ten cały proces mataczenia przygotowali zapewne

oficerowie SB, ale potem, z alternatyw, które były do wyboru, wzięli te, które wydawało im się, że są słuszne. I teraz zobaczmy co tu jest najtrudniejsze? To konieczność sformułowania odpowiedzi na pytanie jak to właściwie jest z tym „biegiem rzeczywistości”. Jak to naprawdę jest z tym socjalizmem? To był jedyny ustrój, który wynikał z jakiejś hipotezy intelektualnej, gdzie była wyraźna wizja tego, co partie będą robiły, żeby zapewnić szczęście ludzkości, ale już sam Karol Marks w jednym z listów napisał: gdybym wiedział jacy ludzie będą powoływali się na mnie i twierdzili że są „marksistami” to bym natychmiast zmienił nazwisko!

To jest cała sprawa. Jeśli weksel, jaki wystawia się tym, którzy nas popierają, nie jest do wykupienia, to potem kryzys następuje po kryzysie.

Proszę mnie zwolnić od wymieniania ich wszystkich, ale najpierw mamy 1956 rok, rodząca się znakomita myśl intelektualna w tak zwanym warszawskim Oksfordzie. I co? Dwa trzy lata i zaczyna się „mała stabilizacja”, polegająca w istocie na powrocie do tego co było. Na niczym więcej!

Przychodzi rok 1970 i od początku zaczyna się wielka nadzieja: „Pomożecie”? I te ogromne tłumy „pomagające”. I co? Okazuje się, że „wielka reforma ekonomiczna” musi być po trzech latach wycofana, bo nic z tego nie wychodzi. I po kolei mierzymy się z takimi zdarzeniami, i zamiast zastanowić się co to wszystko w istocie znaczy, znów „wracamy do systemu”. Kluczowych pytań nie da się podjąć poważnie, jeśli nie zapytamy, jaka wizja w ogóle jest możliwa.

Kolejne programy nie stawiały pytania „jak to zrobić”, tylko mówiły: co „zrobić trzeba” nie stawiając pytania czy jest to w ogóle wykonalne. Na takie pytania padała odpowiedź „to się okaże”, jeszcze zobaczymy...

Jeśli mówimy o socjalizmie, to on nie musi mieć radzieckiej twarzy. Jeśli nawet przyznamy, że ta hipoteza była błędna jako rachuba, to przecież szwedzkie społeczeństwo wygląda inaczej. Była w tym jakaś społeczna idea i realizowali ją konkretni ludzie.

Przyszedł kiedyś do mnie jako sekretarza KC jeden z wysoko postawionych pracowników radzieckiej ambasady i powiada: *Nu tawariszcz Kubiak, wy dopiero sekretar Centralnowo Komiteta, skażicie pa-żausta, kak wy choticie zaszcziszczać socjalizm?* Popatrzyłem na niego i odpowiedziałem całkowicie prawdziwie, tak jak wówczas myślałem: Spróbujemy uzyskać poparcie w wyborach! *Nu kak?* – spytał towarzysz...

Właśnie! Cała zabawa polega na tym, żeby nie zawieść tych, którym lewica jest potrzebna, ale nie taka z suffitu, przekonana, że i tak nie będzie za nic odpowiedzialna, bo wszystko jakoś się rozmyje? Trzeba odpowiedzieć, jaki ma być ten stan przyszłości. Z tego wszystkiego, co się da przeczytać w różnych książkach wynika, że nie da się wyeliminować wolnego rynku inaczej jak połączyć wolny rynek z wrażliwością na krzywdę społeczną, na biedę tych sześciu milionów Polaków, którym wedle danych GUS żyje się gorzej niż minimum przyzwoitości, to już nie jest zabawa w harcerskie czy kombatanckie ognisko nawet najpiękniej pomyślane.

To prawdziwe intelektualne wyzwanie i jeśli lewica sprostą temu wyzwaniu, jeśli odpowie, jak to zrobić, to

mamy coś do powiedzenia i wtedy warto się spotkać niekoniecznie w Muzeum historycznym, ale gdziekolwiek i poważnie porozmawiać.

Wizji przyszłości nie da się ot tak, napisać, do niej można tylko dochodzić, jeśli jest to jakaś racjonalna analiza. Odwaga krytycznej analizy, nie lęk przed myślą, która unika standardów.

Czy coś się tutaj ważnego stanie? Pewnie tak, bo nie wierzę, aby ludzie nagle zrezygnowali ze swego prawa do szczęścia.

Józef Klasa

Chciałbym zwrócić uwagę na to, że Jaruzelski, gdy był prezydentem, stanowił wzór kohabitacji. Odbył na przykład 21 niezwykle ważnych spotkań z liczącymi się postaciami w Europie i namawiał swoich rozmówców, by zechcieli współpracować z tymi, których nie znali. Światowi przywódcy bardzo się bali w istocie procesu zmian w Polsce.

Po drugie, Rakowski jest postrzegany przez część osób, że był nie tylko sceptykiem, ale wręcz przeciwnikiem Okrągłego Stołu. Myślę, że wynikało to z jego pragmatyzmu, bo wiedział, że przy Okrągłym Stole jedna strona będzie się starała oszukać stronę drugą, bo znał środowisko, w którym się wychował i wyrósł. Nie miał pewności, czy obietnice Okrągłego Stołu zostaną zachowane.

I jeszcze jedno: czy Jan Paweł II miał wielki wpływ na to, co się działo w Polsce – nie ma dowodu, ale myślę że w tych rozmowach, jakie prowadził z Jaruzelskim, dawał mu zielone światło, a to było bardzo ważne.

Józef Czyrek w książce *Rozmowy z synem* daje wymowny przykład. Oto Jaruzelski zabrał na Wawel, na rozmowy z papieżem, Milewskiego i Czyrka. Rozmowa odbyła się jednak w cztery oczy i wybrali salę, której nie można było wcześniej przygotować podsłuchu. Gdy Jaruzelski wyszedł, Czyrek zapytał: jak wypadła rozmowa? Jaruzelski ocenił to bardzo pesymistycznie, że został przeciwczony i był strofowany przez Jana Pawła II. Chwilę później, gdy Milewski się oddalił, Czyrek zmartwiony powiedział: myślałem że Wojtyła podtrzyma cię na duchu... Tak było, powiedział Jaruzelski, ale nie mogłem powiedzieć tego przy Milewskim!

W sumie, szczególnie gdy przypomnę sobie stanowisko prymasa Wyszyńskiego i jego wystąpienie do portowców w Gdańsku, myślę, że rola Kościoła w powstrzymaniu rozlewu krwi w Polsce była nie do przecenienia.

Stanisław Ciosek

Nie ulega wątpliwości, że realny socjalizm przegrał na polu gospodarczym. Ale spójrzmy, jak sytuacja wygląda dziś. Wedle zdania pewnego, nie byle jakiego eksperta, jeden dolar produkcji materialnej generuje 700 całkowicie wirtualnych dolarów buszujących, dzięki oszukańczym instrumentom „inżynierii finansowej”, w światowej sieci! To się nie może dobrze skończyć, bo rządy się nie liczą, organizacje międzynarodowe nie mają na to wpływu, tylko buszują po świecie korporacje finansowych oszustów.

Nie tylko zresztą finansowych. Czytam oto reklamę, że pakiet szczepień dla noworodków, specjalny, tańszy, kosztuje 3800 zł!

Rozmawiając o Okrągłym Stole nie wiedzieliśmy, pod jakim kształtem przyszłej Polski podpisujemy się. Zresztą to neoliberalowie doprowadzili świat na skraj nieszczęścia i ani Miller, ani Kołodko nie mogą zaproponować rozwiązania dla mechanizmów światowych, Boje się nie tylko o przyszłość Polski, ale o przyszłość całej gospodarki światowej, bo jesteśmy i będziemy jej częścią. Żadna złotówka ani żaden izolacjonizm nas przed tym nie uchroni.

Odebrano nam poczucie bezpieczeństwa i ja sam się boję o los mojej córki, gdy widzę ile jej udało się zebrać na przyszłą emeryturę. Jeśli nic się nie zmieni – będzie głodować!

I jeszcze kilka słów o roli Kościoła. Nie ulega wątpliwości, że w fazie przygotowań do Okrągłego Stołu, a i później, w trakcie obrad Kościół zapisał się bardzo dobrze wspierając porozumienie Polaków. Zresztą świadczą o tym choćby kolejne spotkania Jana Pawła II z Jaruzelskim, a także kilka tych spotkań, kiedy Jaruzelski nie był już prezydentem. Generał nic nie chce mówić na ten temat, podziwiam niezwykłą lojalność tego człowieka, ale sam fakt, że zawsze, gdy zechciał, był przez papieża przyjmowany, świadczy sam za siebie.

I jest jeszcze drugi moment, kiedy Kościół polski zapisał się w najnowszej naszej historii złotymi zgłoskami. To referendum akcesyjne popierane przez Kościół na wyraźne żądania Jana Pawła II, który świetnie rozumiał, że miejsce Polski jest w Europie i musiał kościół parafialny do takich zachowań.

Wojciech Garstka

Obrona zomowców podjęta z taką siłą była dla mnie w tamtym czasie czymś dziwnym, ale faktem jest, że generał Kiszczak znalazł się pod niestychanie silnym ciśnieniem całego stada różnych „dopadaczy”... Była to jeszcze jedna okazja, by przypomnieć mu, że w istocie nie jest milicjantem, a wojskowym i nie rozumie „specyfiki tej trudnej służby”.

Podobnie w sprawie Popiełuszki. Podejrzewam, że źródła tej tragedii były takie same jak w przypadku Przemyka i ci czterej faceci po prostu sami nie wiedzieli, co robią! Natomiast jak rzeczywistość wyglądała ta sprawa, nigdy się chyba nie dowiemy.

I w wielu innych tragediach, z którymi władze nie miały nic wspólnego, a o które są do dziś oskarżane, jak choćby śmierć ks. Suchowolca, który zatrał się czadem, widać wyraźnie manipulacje propagandowe zdumiewająco podobne do manipulacji Macierewicza przy okazji tragedii smoleńskiej. Propagandyści z PiS wyciągają na przykład jako argument, że inny był poziom tlenu w hemoglobinie psa, który też się tam zatrał, niż we krwi księdza, choć oczywiście inny jest metabolizm zwierzęcia niż człowieka. Natomiast nikt nie pamięta, jak to w czasie strajku w Hucie Stalowa Wola, odkrytego tam funkcjonariusza SB zastrzelono z jego własnego pistoletu. Zabójców chronił skutecznie ksiądz Frankowski, który zyskał potem za to tiarę biskupią! Od Jana Pawła II – żeby nie było wątpliwości. ■

JERZY HAUSNER

SAMORZĄDNOŚĆ TERYTORIALNA W POLSCE

Problemy ustrojowe, operacyjne, legislacyjne i kulturowe

Prezes Andrzej Kurz poprosił mnie, żebym przedstawił syntetycznie narastające dysfunkcje, zasadnicze dylematy, podstawowe działania uwzględnione w raporcie o stanie samorządności terytorialnej w Polsce. Raport został ogłoszony w styczniu i jest w tej chwili w fazie bardzo intensywnej – jak na moje doświadczenia – dyskusji. Sam miałem okazję uczestniczyć dotąd w dwudziestu kilku spotkaniach, m.in. wczoraj byłem w Kielcach, gdzie praktycznie rzecz biorąc cała czołówka samorządowa dyskutowała na ten temat. Uczestniczyłem w spotkaniu, które zorganizowali moi studenci w Krakowie. Oprócz tego były spotkania bez mojego udziału. Bardzo duże ogólnopolskie spotkanie zorganizował konwent przedstawicieli samorządu terytorialnego – oni nawet przyjęli pisemne stanowisko bardzo mocno wspierające tezy tego raportu.

Krótko: raport został przygotowany przez grupę jedenastu osób¹ – wszyscy jesteśmy nauczycielami akademickimi, reprezentujemy siebie, pochodzimy z różnych uczelni. Ta grupa osób sama się skrzyknęła; my nie przygotowaliśmy tego raportu na czyjekolwiek zamówienie, tu nie ma jakiegokolwiek strony zamawiającej. Sam raport traktujemy jako dobro publiczne, a ten rodzaj działalności jako przejaw rozumienia roli uniwersytetu, który powinien być generatorem wiedzy społecznej, powinien ją po prostu dostarczać.

Wyjaśnię, co rozumiem pod określeniem narastające dysfunkcje, jakie są te podstawowe dylematy i o jakie działania w tym momencie chodzi – postaram się zaprezentować całość tego opracowania. Ale chcę od razu powiedzieć, że raport zaczyna się od zdania, które tu zacytuję dlatego, że jego wymowa może być uznana za krytyczną. Ten krytycyzm jest w raporcie bardzo widoczny, ale trzeba go analizować w odniesieniu do owego pierwszego zdania: „Samorząd terytorialny stanowi silny filar Rzeczypospolitej, ale istnieją zjawiska i procesy, które niekorzystnie rzutują na funkcjonowanie jednostek samorządu terytorialnego. I o tym chcemy w tym raporcie powiedzieć, i zmienić ten stan chcielibyśmy”.

Co to są dysfunkcje? My to opisaliśmy starając się dać jakąś definicję, może trochę akademicką, ale także posługując się pewną analogią, metaforą. Dysfunkcja

systemu to brak zdolności lub niedostateczna umiejętność adaptacyjna, co w konsekwencji prowadzi system do zastoju i skostnienia. System funkcjonuje, ale traci stopniowo rozwojową moc. Dysfunkcje systemu społecznego są podobne do choroby organizmu – w porę nierozpoznane, nieleczone, z czasem prowadzą do trwałej degeneracji organizmu.

Mówimy zatem w raporcie o zjawiskach i procesach, które powodują, że to, czym jest samorząd terytorialny, nie działa efektywnie. Ale też, co jest ważniejsze, że coraz większym kosztem uzyskujemy coraz mniejsze efekty. Widać zatem nie tylko słabości, lecz także ich pogłębianie się. Tak rozumiane pojęcie dysfunkcji jest bardzo pomocne w opisywaniu bardzo wielu stanów, które nie są jeszcze chorobowe, ale trzeba jednak je dostrzegać, to znaczy dostrzegać objawy, symptomy, bo wtedy można zareagować. Najczęściej właśnie brak reakcji powoduje, że coś jest nie do usunięcia, nie do naprawienia, bowiem gdy się spóźnimy, nie wystarczą już działania zachowawczo-rehabilitacyjne, potrzebna jest interwencja chirurgiczna.

Bardzo szczegółowo, wręcz technicznie opisujemy każdy obszar działania samorządu, aby uchwycić i możliwie precyzyjnie określić owe dysfunkcje. Zidentyfikowaliśmy osiem takich dysfunkcji. Postaram się przystępnie, w sposób prosty powiedzieć, co się za tym kryje.

Pierwsza – to dysfunkcja etatystyczna. Definiujemy ją jako postępujące upaństwowienie samorządu terytorialnego. Żeby wyjaśnić ten problem, trzeba wyraźnie stwierdzić: każdy samorząd terytorialny ma w istocie rzeczy dwa źródła swojej siły. Po pierwsze, zawsze jest jakąś formą decentralizacji państwa. Czyli jest częścią państwa. Ale, po drugie, jeśli przyjmujemy, że jest samorządem terytorialnym, to jest wyrazem autonomii wspólnoty lokalnej, wyrazem zorganizowania się tej wspólnoty. Jest nie tylko reprezentacją formalną, a rzeczywistą swoją siłą czerpie ze wspólnotowości. Jeżeli nie ma równowagi pomiędzy tymi dwoma odniesieniami, to występujący przechyl zawsze będzie prowadził do negatywnych zjawisk – albo do dezintegracji państwa, albo do sytuacji, w której nie będzie obywatelskości.

Nasz samorząd ze względów historycznych powstał jako wyraz decentralizacji zadań państwa, nie jako oddolna organizacja. Są takie społeczeństwa jak szwajcarskie, w których ów proces wyglądał inaczej. U nas samorząd powstawał odgórnie, został ustanowiony odgórnie jako wyraz decentralizacji państwa. Dobrze, że się tak stało, tyle tylko, że ten drugi silnik nigdy do końca nie został dobudowany i szczerze powiedziawszy – jest coraz słabszy. Mamy w związku z tym do czynienia z czymś, co jest przechyłem i to przechyłem pogłębiającym się. Nasz samorząd terytorialny jest sukcesywnie upaństwowiany.

Druga – to dysfunkcja autokratyczna. Chodzi o stopniowe osłabianie demokracji samorządowej. Samorząd jest tak skonstruowany, że ma swoje władze – ustawodawczą i wykonawczą. Powinien między nimi istnieć rodzaj równowagi. Problem pojawia się zawsze wtedy, gdy jej nie ma, gdy następuje przechył w którąkolwiek stronę. My dokonaliśmy korekty wzmacniając władzę wykonawczą – przechodząc na poziomie gminy do bezpośrednich wyborów władzy wykonawczej. Przypominam, że wyściowa konstrukcja była taka, że przewodniczący rady miał być prezydentem – tej konstrukcji nigdy nie przyjęto. Stworzyliśmy quasi-prezydencki system. Efekt jest taki, że liczy się tylko władza wykonawcza (mówię tu o sytuacji przeciętnej, co jest stanem, a nie każdym przypadkiem, stanem, w którym rady *de facto* są bez znaczenia).

Właśnie władza wykonawcza bardzo silnie dominuje nad radami, które są coraz słabsze i w istocie rzeczy coraz mniej mogą. Oczywiście, są takie rady, które ze względów politycznych stanowią problem i wyzwanie dla prezydenta, który jest zmuszany do jakiegoś rodzaju współpracy, ale w ostateczności każdy prezydent sobie z tym poradzi. Co najważniejsze, w istocie rzeczy i kontrola nad tym działaniem, i korekta są bardzo ograniczone. Ktoś powie – referendum. Jest pewna liczba przykładów, w których referendum było skuteczne, ale jest ich bardzo niewiele. Ja znam przypadek skrajny. Byłem w tej miejscowości na spotkaniu samorządów. Radni, i to wszystkich opcji zgodnie mówili, że pan prezydent *de facto* nie urzęduje. Nie przychodzi do pracy, nie spotyka się z nikim, wpada na kilkanaście minut dziennie, wydaje kilka poleceń, pozatłatwia kilka spraw, poobsadza kilka stanowisk i znika. Tam spróbowano zrobić referendum, ale ze względu na „kompetencje” nie odwołano prezydenta. Dla jakiejś grupy osób – mówię o Dębicy – jest dosyć wygodny i nikt w tym systemie nie jest w stanie tego skorygować.

Kolejna dysfunkcja to biurokracja. niesprawność administracyjna powiązana z urzędniczą dominacją nad funkcjonowaniem jednostek samorządu terytorialnego. Jednym problemem jest słabość rad, a także – chcę to wyraźnie powiedzieć – coraz poważniejszy brak kompetencji, niski poziom kompetencji radnych. Piszemy o tym w raporcie – że „radny-bezradny”. Wraca coraz częściej ten syndrom. Nie mówię tego na żadnych spotkaniach z samorządowcami, ale w „Kuźnicy” mogę – coraz częściej słyszę określenie: „radny dietetyczny”, czyli radny tylko ze względu na otrzymywane diety, a takich jest coraz więcej. Przecież ci radni nie spełniają żadnych funkcji kontrolnych.

Niesprawność biurokratyczna polega także na tym, że radni są zdominowani nie tylko przez władzę wykonawczą. W istocie rzeczy po stronie władzy wykonaw-

czej coraz silniejsza jest rola aparatu urzędniczego, który bardzo skutecznie opanowuje działanie organów wybieralnych.

Kolejna – to dysfunkcja finansowa. Chodzi o wskazane powszechnie ograniczenie jednostek samorządu terytorialnego. Ograniczenie – tak czy owak – od samego początku niewielkiej samodzielności. Tak naprawdę nigdy nie wyposażyliśmy odpowiednio wszystkich poziomów samorządu terytorialnego, a szczególnie samorząd powiatowy nie ma w ogóle własnych dochodów...

Kolejna – to dysfunkcja absorpcji środków unijnych. To oznacza, że nierzadko przedsięwzięcia inwestycyjne i rozwojowe jednostek samorządu terytorialnego zależą od pozyskania środków unijnych. Wykorzystywanie środków unijnych to zasada dodawalności: finansujesz coś ze środków własnych, a uzupełniająco ze środków pozyskanych, czyli podpierasz swój rozwój korzystając z własnych zasobów, a pozyskujesz dodatkowe, żeby ten rozwój był intensywniejszy. W wielu przypadkach gdyby nie środki unijne, nie mielibyśmy działalności rozwojowej, byłaby także bardzo ograniczona działalność inwestycyjna. Słucham uważnie opinii wyrażanych na różnych spotkaniach, w których brałem udział, a spotkałem się m.in. z Unią Metropolii Polskich z Komisją Wspólną Rządu i Samorządu Terytorialnego, Komisją Sejmową Samorządu Terytorialnego i Rozwoju Regionalnego.

Często słyszałem od przedstawicieli samorządu terytorialnego: – Panie profesorze, pan przesadza, my naprawdę dobrze wydajemy te pieniądze. Wówczas odpowiadam: – Proszę państwa, przyjmijmy, że każdy projekt, który zrealizowaliśmy za nasze czy unijne pieniądze był od strony technicznej zrobiony poprawnie, choć to nieprawda, ale przyjmijmy dla uproszczenia, bo nie w tym tkwi problem. Problem polega na tym, że nie uzmysławiacie sobie, że w istocie rzeczy sfinansowaliście to bądź inne przedsięwzięcie za pieniądze, które zostały znalezione. Zrozumiecie problem, jeżeli zrozumiecie, że pieniądze, które wykorzystaliście na inwestycje, uznacie za znalezione.

Co to znaczy? Że ich więcej nie będzie, bo nie możecie drugi raz ich znaleźć. To oznacza, że cokolwiek zrobicie za znalezione, musicie utrzymywać za wypracowane. Jeżeli te pieniądze znalezione nie służą zwiększaniu dochodów własnych – wypracowanych, jesteście przegrani. Oczywiście, nie będziemy mieli tego problemu, który mieliśmy w drugiej części epoki gierkowskiej, bo nikt za pieniądze unijne nie buduje fabryk. Ale ten problem ma tylko inną twarz, a skala jest podobna, bo za te pieniądze zbudowaliśmy wodociągi, mnóstwo obiektów akademickich, wiele laboratoriów, a nawet Operę Podlaską, której budżet jest większy niż cały budżet województwa na kulturę. Dobrze, ale właśnie rzecz polega na tym, że przypomina stadiony zbudowane na Mistrzostwa Europy w Piłce Nożnej. Nie myślę w tej chwili o błędach, które popełniono, chodzi mi tylko o to, z czego te i inne stadiony utrzymamy. A przecież trzeba je utrzymać ze środków wypracowanych, bo inaczej się nie da.

Kolejna – to dysfunkcja wspólnotowości. Określamy ją jako sytuację, w której tak naprawdę rozwija się pewien typ relacji w układzie samorządowym, w którym, z jednej strony, jest patron, najczęstszym wójt, prezydent, burmistrz, a z drugiej – jego klientela. W małych ośrodkach to jest klientela rodzinna, klanowa. I mamy tam oczywiście do czynienia z mechanizmami konsultowa-

nia rozwiązań, przekazywania informacji, choć to jest w rzeczywistości fikcja, bo samorząd jest dla „naszych”. My wygraliśmy wybory, to się nam należy; mamy więc tylko pozory wspólnotowości.

Bardzo często odtwarzamy ten typ kapitału społecznego – socjologowie określają go mianem kapitału wiążącego, a nie pomostowego. To oznacza, że w społecznościach lokalnych umacniany jest kapitał społeczny, który jest kapitałem przetrwania. My – swoi – musimy się pilnować. To nie jest kapitał, który służy rozwojowi, zmianie, a jedynie utrwalaniu pewnej struktury społecznej.

Kolejna, siódma już, to dysfunkcja przestrzenna. To zostało przez nas zdefiniowane jako nieuporządkowane i niekontrolowane gospodarowanie przestrzenią, prowadzące do patologicznego kształtowania się relacji przestrzennych w strefach zurbanizowanych. Sięgnę do przykładu naszego miasta, aby to zobrazować. Jak się popatrzy na przestrzeń miasta, to zobaczymy bardzo intensywny proces komercjalizacji przestrzeni. To niewątpliwie generuje krótkookresowe dochody, ale taka komercjalizacja, której symbolem są przede wszystkim galerie handlowe i nowe apartamentowce, zamknięte osiedla, w istocie rzeczy z czasem doprowadzi do obniżenia wartości ziemi, doprowadzi w ogóle do obniżenia wartości Krakowa i zdolności do generowania zysków długookresowych.

To jest po prostu naturalna konsekwencja sytuacji, którą obserwujemy: co się dzieje naprzeciw mojej uczelni, przy ulicy Rakowickiej, gdzie mamy tereny po wojskowych zakładach remontowych, mamy tam muzeum i apartamentowce, nieco dalej, przy Lubicz mamy browar i znowu apartamentowce. I cały układ komunikacyjny, który był planowany za prezydenta Gajewicza, a wykonywany częściowo za Salwy, który dzisiaj dopiero oddajemy. Jego symbolem jest podziemne przejście pod dworcem. Ow układ nie ma sensu, jeżeli tu, w centrum, dodatkowo zamieszka kilka tysięcy ludzi, nie mówiąc o tych, którzy dodatkowo bywają w galerii koło dworca.

W istocie rzeczy, taki model w długim okresie obniża możliwości rozwojowe. Ta ekstensywna komercjalizacja przestrzeni miasta rodzi również coraz poważniejsze skutki: jest ono postrzegane jako produkt – dla kogo? – coraz częściej dla turystów. A przecież siłą Krakowa są mieszkańcy, szczególnie ci, którzy tworzą elementy uzupełniające jego kulturę, dziedzictwo. To wszystko ma długofalowe znaczenie. Jak popatrzemy na historię miasta w dłuższym horyzoncie czasowym, to pamiętamy tych prezydentów, którzy myśleli o przestrzeni publicznej, o parkach, instytucjach publicznych, o szkołach, uniwersytetach i wtedy widać, co miało długofalowe znaczenie dla rozwoju.

Ten problem jest w Polsce bardzo poważny. Podajemy dane, które mówią, że w istniejących planach miejscowych pod budownictwo mieszkaniowe przewidziane są tereny, na których można zbudować mieszkania dla osiemdziesięcimilionowego narodu. W tempie, w jakim dzisiaj wykorzystujemy te tereny, będziemy je wykorzystywać przez kilkaset lat. W dodatku przepisy mówią, że gdy zaprojektujesz osiedle, to ludzie, którzy w nim zamieszkają, mają prawo upomnieć się o infrastrukturę publiczną. Jeżeli ją wyznaczysz, a musisz to uczynić, to jeżeli właściciel chce, musisz tereny pod nią wykupić. Według naszych obliczeń, dzisiaj samorządy terytorial-

ne są w ukryty sposób zadłużone na stokilkadziesiąt miliardów złotych właśnie z tytułu tych rozwiązań i presji deweloperów na zagospodarowanie przestrzeni. To dotyczy wszystkich dużych miast i problem nie jest tylko teoretyczny, bo mamy coraz więcej postępowań sądowych. Jeszcze nie ma wyroków, ale obecnie ten proces gwałtownie postępuje.

I ostatnia – to dysfunkcja braku podmiotowości rozwojowej. Mówimy o tym, że samorząd owszem, nieźle wykonuje różnego rodzaju usługi publiczne, można dyskutować, które lepiej, które gorzej, ale nie wypełnia funkcji rozwojowych. Czyli to, co jest częścią organizmu państwowego jest wykonywane różnie, przyzwocie – ogólnie rzecz biorąc. To natomiast, do czego samorząd jest powołany jako właśnie siła rozwijająca własny teren – w tym jest zdecydowanie słaby. Nawet jeżeli podejmie działania rozwojowe, to tak jak w przypadku opisywanej już gospodarki przestrzennej – są to działania niezrównoważone.

Tyle na temat dysfunkcji.

Teraz, jeżeli mamy rację, chcemy wyraźnie powiedzieć, że to nie jest sytuacja prosta, ale złożona i trudna. Proszę zauważyć, że te zjawiska pochodzą z bardzo różnych obszarów: częściowo są to problemy ustrojowe, częściowo operacyjne, legislacyjne, częściowo kulturowe. Są to bardzo różne zagadnienia z różnych poziomów funkcjonowania. Dlatego mówimy, że tutaj nie ma żadnych prostych reguł. Jeżeli chcielibyśmy to zmienić, czyli usunąć dysfunkcje, podjąć działania korygujące czy rehabilitujące, to musimy zdać sobie sprawę z tego, że żadne działania odcinkowe, punktowe czy przedsięwzięcia pomyślane jako niecałościowe, nie mogą dać pozytywnego efektu.

Szczerze powiedziawszy, jak popatrzemy na historię samorządu, zastanawiamy się, skąd i dlaczego się te różne dysfunkcje pojawiły; czy to był błąd konstrukcji, czy to jest kwestia praktyki. Oczywiście możemy powiedzieć, że samorząd powiatowy nigdy nie był dobrze „domyślany”. Tak naprawdę nie wygospodarowano dla niego ani środków własnych, ani nigdy nie „wygospodarowano” dla niego zadań...

Źródło tych problemów nie tkwi w tym, że popełniono jakieś istotne błędy konstrukcyjne, ale w tym, że później ten system poprawiano metodą chałupniczą – tak jak w Polsce bardzo wiele rzeczy się poprawia – czyli taką „dłubaniną” systemową. Gdy uczestniczyłem w spotkaniu z przedstawicielami Komisji Wspólnej Rządu i Samorządu Terytorialnego (brał w nim udział minister Boni i przedstawiciele rządu oraz szefowie tych korporacji – prezydenci miast, marszałkowie), któryś z panów marszałków powiedział: – Proszę państwa, czym my się zajmujemy na tych wspólnych komisjach? Raz w miesiącu na każdym posiedzeniu opiniujemy kilkanaście lub kilkadziesiąt nowelizacji różnych przepisów. Na ogół jesteśmy przeciwni, wydaje nam się, że to jest bez sensu. W końcu pod presją rządu na zmiany się godzimy. A potem wychodzą takie rzeczy, jak teraz z odpadami, z tą ustawą śmieciową...

Przecież to tak trwa od lat. My się na tę „dłubaninę” godzimy dla świętego spokoju. Chcę powiedzieć, że tego nikt nie spałał za pomocą jednego posunięcia, że to jest „paprane” – jak większość systemów społecznych – za pomocą doraźnych ruchów, bez systemowej refleksji, bez monitorowania...

W Polsce np. nie ma w ogóle elementarnej wiedzy na temat kosztów wykonywania różnych usług publicznych. Gdybyście państwo chcieli uzyskać szczegółowe informacje i porównać wykonywanie podstawowych zadań samorządu o różnych funkcjach, to nie otrzymacie informacji. Możecie dowiedzieć się czegoś w danym mieście, ale nie ma pełnej informacji. Zatem jeżeli ktoś chce monitorować samorząd porządnie, to będzie miał do dyspozycji raporty, w których gromadzimy informacje z drugiej ręki.

Nie ma więc żadnego systemu monitorowania takiej instytucji ustrojowej, jaką jest samorząd. W związku z tym to oczywiste, że działamy trochę intuicyjnie, na ślepo – tak jak w bardzo wielu kwestiach. Zatem postawmy sprawę tak: Jeżeli chcemy to skorygować, musimy zadziałać całościowo, spójnie. Mówimy: to nie jest nasza rola, by powiedzieć, jakie ma być rozwiązanie. To są dylematy do rozstrzygnięcia, czyli poważne problemy.

Taki problem ujmujemy systemowo, zaś jego rozwiązanie nie polega na tym, że wybieramy „a” lub „b”, ale zastanawiamy się, jak pogodzić „a” i „b” według pewnej reguły, zasady. Trzeba sprecyzować zasadę. Na ogół chodzi o to, że to i to, ale w jakich proporcjach, według jakiej ścieżki postępowania? Często mamy do czynienia ze skrajnościami i musimy je pogodzić, a więc znaleźć właściwą ścieżkę ich pogodzenia. Właśnie wtedy, kiedy stykamy się z modyfikowaniem złożonego systemu społecznego myślenia kategoriami dylematu i rozstrzygnięciem łącznym, ich wspólne przemyślenie ma sens.

Jakie to są dylematy?

– Samorząd terytorialny jako element systemu zarządzania państwem, czy forma wspólnoty mieszkańców-obywateli? I to, i to. Ale jeżeli mówimy, że u nas jest jedno, a drugiego nie ma, to od razu widzimy, że nie powiemy, iż ma być częścią organizmu państwowego, tylko zastanowimy się, jak wzmocnić drugi element podmiotowości, czyli funkcję wspólnoty mieszkańców-obywateli. Jak to uzyskać, skoro go nie ma lub jest za słaby?

– Samorząd terytorialny jako dostawca usług publicznych, czy podmiot odpowiedzialny za rozwój danego terytorium? I to, i to. Ale jeżeli mówimy, że to pierwsze działa jako tako, zaś drugiego nie ma, to znów pokazujemy, co należy zrobić, aby nie niszczyć tamtego, rozwiązać ten drugi problem.

– Samodzielność i ochrona prawna samorządu terytorialnego, czy silny nadzór państwowy nad jego funkcjonowaniem? I jedno, i drugie, ale im więcej samodzielności, tym skuteczniejszy nadzór. Jak zorganizowany jest nadzór? Mamy szesnaście regionalnych izb obrachunkowych i tyle samo wykładni różnych przepisów. Mamy sytuację, że to co częściowo egzekwuje wojewoda, egzekwuje także RIO i często są to bardzo sprzeczne oczekiwania.

– Resortowość i terytorializacja podejścia do samorządu terytorialnego. Wiele rzeczy w Polsce powinno podlegać stopniowej terytorializacji, jeżeli chcemy mieć samorząd terytorialny, a nie tylko szczebla podstawowego. Co w związku z tym zrobić, aby przesuwać się od resortowości w kierunku terytorializacji.

– Głównie zadania zlecone przez władzę, czy własne? Na pewno zlecone, ale jeżeli samorząd, to głównie zadania własne. Jeżeli zlecone, to czy je standaryzujemy? Zaś jeżeli chcemy, by dominowały zadania własne, to jak je wystandaryzujemy? Prawdopodobnie powiemy,

że to jest poziom, który musicie wykonać i na to macie zabezpieczone środki. Ale możecie wykonać ponadstandardowo. Jest pewne minimum, które obowiązuje w skali kraju, bo to daje spójność terytorialną państwa.

– Samodzielność finansowa samorządu terytorialnego, czy międzysamorządowa wyrównawcza redystrybucja dochodów? Na pewno potrzebna jest redystrybucja dochodów, zwłaszcza jeżeli nie chcemy ruszać organizacji terytorialnej państwa. A to jest taka organizacja, w której mamy nierówność w sensie podziału podmiotów jednostki samorządowej. W takim razie ten mechanizm wyrównawczy jest nieracjonalny, bo zachęca do tego, aby biednieć, a nie bogacić się. Nazywany jest on mechanizmem janosikowego – wytwarza rozwojowe antybodźce.

– Jednolitość czy kategoryzacja jakiegoś celu? Generalnie jednolitość, ale jeżeli chcemy mieć obszary metropolitalne, a my pokazujemy koncepcje tych obszarów i mówimy, że to nie może być tylko dobrowolna współpraca, lecz jednak pewien typ tworów kształtowanego przez państwo i z silnymi wpływami państwa na funkcjonowanie takich obszarów, to w takim razie trzeba spytać, jak mając podstawowy system gminny, jednocześnie dobudować do niego podstawowy element metropolitalności.

– Menedżerski czy obywatelski model samorządności terytorialnej? W niektórych aspektach menedżerski, ale generalnie obywatelski, bo tak nam się wydaje – będzie lepiej i rozsądniej z punktu widzenia innych dylematów i ciągu rozwojowego samorządu.

– Samorząd terytorialny jako administrator i wykonawca usług publicznych, czy gospodarz terytorium, właściciel i podmiot prowadzący działalność gospodarczą? Otóż samorząd może być właścicielem i prowadzić działalność, ale powinna ona być bardzo ograniczona. Dzisiaj bardzo często samorządy mają majątek, którym źle gospodarują, nie służy on do wypełniania żadnych funkcji, a czasem umożliwia jakiś rodzaj spekulacji w utrzymywaniu stanowisk – w każdym razie nie służy temu, czemu taka własność komunalna powinna służyć.

– I ostatni dylemat: potrzebujemy zasadniczej zmiany legislacyjnej, czy tylko nowelizacyjnej korekty uzupełniającej działania pozalegisłacyjne? Mówimy: potrzebujemy pewnych zmian ustawowych, ale – naszym zdaniem – nie tylko zmiany ustawowe są ważne.

Kto ma odpowiedzieć na te dylematy? Powinni odpowiedzieć ci, którzy dzisiaj za nie odpowiadają. Adresatem jest Komisja Wspólna Rządu i Samorządu Terytorialnego. Tam są przedstawiciele korporacji samorządowych, tam są przedstawiciele rządu. Gdy rozmawialiśmy z komisją sejmową, przedstawiciel opozycji mówił: – Panie profesorze, my pana szanujemy, ma pan rację, mówicie rozsądne rzeczy. Ale widzi pan, no z kim my tu mamy się dogadywać, z kim rządzić?

Mówię mu: – Proszę pana, nieważne, że pan reprezentuje tę czy inną partię opozycyjną, ja chcę tylko na podstawie swojego doświadczenia uzmysłowić panu następującą kwestię: jeżeli będziecie dyskwalifikowali przedsięwzięcia rozsądne z punktu widzenia rozwoju kraju, czyli uznacie swoją opozycyjność za opozycyjność totalną, to z takimi ludźmi nie można rozmawiać, bo będziecie uniemożliwiali wprowadzenie rzeczy, które są potrzebne. *De facto* uniemożliwicie sobie skuteczne rządzenie – w przyszłości będzie wam gorzej rządzić. Każda rozsądna opozycja musi mieć świadomość, że

może przejąć władzę i stanie wobec odpowiedzialności. Nie chodzi o to, że w rewanżu inni zrobią to samo, ale o to, że rządzenie jest pewną ciągłością, a sukcesja dzięki demokratycznym mechanizmom sprzyja sukcesorom.

Nie wiemy, czy wygramy wybory, ale musimy to przyjąć. W moim przypadku doszło do takiej sytuacji: między innymi Szejnfeld i inni politycy klepali mnie po ramieniu i mówili: – Jurek, ty się nie martw, to są bardzo dobre projekty ustaw, my je teraz obalimy, bo SLD nie może wygrać wyborów, ale potem to wszystko przeprowadzimy. Ty się nie martw, my to zrobimy, bo to jest dobra ustawa...

Dzisiaj bardzo wielu ludzi mówi: gdzie bylibyście dziś jako rządzący, gdybyście pomogli wówczas SLD i Hausnerowi to przeprowadzić? Tej refleksji nie było i tej refleksji nie ma. Oczywiście opozycja nie może się zgadzać na coś, jeżeli uważa, że ma lepsze rozwiązanie, ale jeżeli proponowane jest rozsądne rozwiązanie, to powinno się je popierać, umożliwić wprowadzenie w życie. W jaki sposób odniesiesz się do tego propagandowo, to inna sprawa. Ważne, że wzmacniamy państwo, czyli dajemy sobie większe szanse na skuteczne rządzenie. Byśmy – w rezultacie negocjowania wszystkiego – nie musieli rządzić masą upadłościową.

A z drugiej strony... na Komisji Wspólnej Rządu i Samorządu Terytorialnego jeden z prezydentów dużych miast mówił tak: – Panie profesorze, ja się w 90 proc. z panem zgadzam, a sędzę, że w tych pozostałych 10 proc., gdybyśmy chwilę pogadali, też się dogadamy. Pan do nas apeluje, byśmy odpowiedzieli na te dylematy i zbudowali plan dokonywania potrzebnych zmian. Powtarzam, pan ma rację, tak powinno być, ale my się tu nie dogadamy, nie ma żadnej szansy, byśmy się dogadali. Nie jesteśmy do tego zdolni... Otóż chcę wyraźnie powiedzieć, że nie można dokonać korekty tego, o czym mówimy, jeżeli nie zostanie to zrobione właśnie w takim porządku:

– musimy odpowiedzieć wspólnie na te dziesięć dylematów i zbudować plan czegoś, co nazywam trzecim etapem reformy samorządowej.

Na wszystkich posiedzeniach zachęcam ludzi do tego, aby powiedzieli: słuchajcie, naprawdę jest nam potrzebny dzisiaj trzeci etap reformy samorządowej. Nie dlatego, że ktoś coś świadomie zepsuł, nie dlatego, że ktoś coś świadomie „spartolił”, ale dlatego, że to działa coraz gorzej i będzie działało jeszcze gorzej. I albo teraz dokonamy korekty, i wtedy rzeczywiście będziemy mogli nadal mówić, że samorząd terytorialny jest silnym filarem Rzeczypospolitej, albo kiedyś będziemy się wstydzili za to, co jest, bo to po prostu narasta. A jest taki moment, taka chwila. Właśnie dlatego, że jest kryzys, że jest mniej pieniędzy, trzeba umieć sobie poradzić, a nie szukać winnych. To ten moment, w którym trzeba dokonać tej korekty.

Wcale się nie upieram, aby wszystko zrobić naraz. Chodzi o to, że jeżeli chcemy zrobić jeden, drugi, trzeci czy czwarty krok, to ustalmy, że dzisiaj jesteśmy w stanie zrobić pierwszy krok i wiemy, jakie będą następne. Reakcja ministerstwa jest taka: – Pan proponuje rewolucję, a w rządzie jesteśmy zwolennikami małych kroków. Odpowiedziałem: – Droga pani minister, nie chodzi o to, ile kroków wykonamy i nie chodzi nawet o to, czy one będą duże czy małe, tylko aby były w jednym kierunku. Bo to, co obecnie robicie, to jest „chocholi taniec”. Krok

do przodu i krok w bok, i tak się kręcicie wokół własnego ogona. Tak się kręci większość naszego kraju w tej chwili. Więc chodzi o to, żebyśmy ustalili, a jeżeli nie możecie się dogadać z korporacjami samorządowymi, to przypominam, że jesteście rządem, a pani jest przedstawicielem tego rządu odpowiedzialnym za problematykę samorządową. Więc zgłoście własne propozycje, poddajcie je formalnym konsultacjom i przeprowadźcie w parlamencie, bo macie większość. Jeżeli nie jesteście w stanie rzeczywiście się dogadać, to tak zróbcie. Na tym polega wasza odpowiedzialność i nikt was od tego nie zwolni.

Czy dojdzie do trzeciego etapu reformy samorządowej? Nie wiem, przy czym optymistą nie jestem. Ale – po pierwsze – w styczniu ogłosiliśmy raport. Ja i jedenastu współautorów-sygnatariuszy raportu jeździmy po kraju. Uruchomiliśmy stronę w internecie, na której można zgłaszać i komentarze, i propozycje rozwiązań. To jest wszystko widoczne, powstało już kilkanaście dużych opracowań autorstwa poważnych ludzi, np. bardzo duży elaborat napisał profesor Jerzy Regulski, bardzo duże opracowanie przygotował prof. Stanisław Prutis, był on jednym z tych, którzy na początku pomagali Kuleszy i Regulskiemu w projektowaniu tej reformy. Powiedział mi: – Profesorze, jestem dzisiaj sędzią w stanie spoczynku i proszę mnie traktować jako wolontariusza. Jeżeli trzeba przygotować dobry projekt ustawy, to siadam i piszę, nie ma sprawy, nie potrzebuję żadnych pieniędzy. (...)

Jeżeli jesienią nic się nie stanie, to chcę wyraźnie powiedzieć, że z tymi ludźmi, których potrafiłem zaangażować i z wieloma osobami, które się w to zaangażują, zaczniemy pisać propozycje rozwiązań, łącznie z projektami ustaw i będziemy je ogłaszać. Nie będziemy zbierać podpisów, to nie nasza rola. My nie jesteśmy politykami w znaczeniu ludzi, którzy budują dzisiaj presję; jesteśmy od generowania i dostarczania wiedzy. Dostarczyliśmy wszystkim potrzebną wiedzę. Jeżeli jest jeszcze nieuszczegółowiona, możemy ją uszczegółowić. Chodzi o to, aby nikt, żadna osoba, która jest odpowiedzialna, nie mogła powiedzieć: myśmy nie wiedzieli, myśmy nie dostrzegali.

Powtarzam jeszcze raz: słyszę na ogół opinie, że to bardzo dobre opracowanie, obejmujące wszystkie istotne wątki funkcjonowania samorządu terytorialnego. (...) To nie znaczy, że wszystko jest tam doskonałe. To jest po prostu porządnie zrobione: porządna diagnoza i sposób myślenia. (...) Uważam, że teraz wszystko jedno czy wskutek presji od dołu czy raczej będzie to decyzja władzy, która nie jest w stanie dogadać się z samorządem, ale jest władzą, czy też będzie to, tak jak chciałbym, rzeczywiste partnerstwo i podjęcie wysiłku dla dokonania korekty – powinniśmy i możemy to zrobić. Jeżeli nie, to oczywiście świat się nie zawali, ale jakiś ważny filar naszej Rzeczypospolitej, na którym są rysy – skruszeje.

Chcę jeszcze powiedzieć kilka słów na koniec. Otóż jeżeli zastanowimy się nad historią różnych narodów i popatrzymy, jak reagują na różnego rodzaju zagrożenia, wyzwania i problemy różne władze państwowe, to można powiedzieć, że te, które rzeczywiście są światło reagują wtedy, gdy pojawiają się rysy, dysfunkcje, gdy ujawniają się symptomy. Nie ma takich systemów społecznych, w których coś, co kiedyś działało znakomicie,

nadal działa doskonale i nie psuje się. Szwedzi musieli swój system wielokrotnie korygować, a korygowali go zawsze w jakimś kierunku, zachowywali tożsamość tego kierunku. Te mądre społeczeństwa mają władze, które rzeczywiście rozpoznają dysfunkcje i reagują właśnie tak, jak mądry lekarz, w ogóle człowiek, który widzi, od czuwa, że coś jest nie tak i podejmuje działanie.

Ale może dzisiaj potrzebna jest jeszcze inna filozofia sprawowania władzy, czyli myślenie o 20–30 lat do przodu i reagowanie na czekające nas wyzwania. Są takie obszary funkcjonowania naszego państwa, gdzie nie wystarczy stwierdzić, że coś nie działa. Trzeba stwierdzić, co się stanie... Co się dzieje w Chinach, co się dzieje na Dalekim Wschodzie, w Rosji, Unii Europejskiej, co się dzieje w Stanach Zjednoczonych. Trzeba umieć odpowiedzieć sobie na pytanie, co będzie z naszą gospodarką, jeżeli nie przejdziemy od konkurencyjności budowanej przez niskie koszty i niskie wynagrodzenia do innego modelu konkurencyjności. Tego nie da się obserwować tu i teraz, to trzeba umieć sobie wyobrazić. I trzeba umieć przesunąć „ten statek” na inny tor.

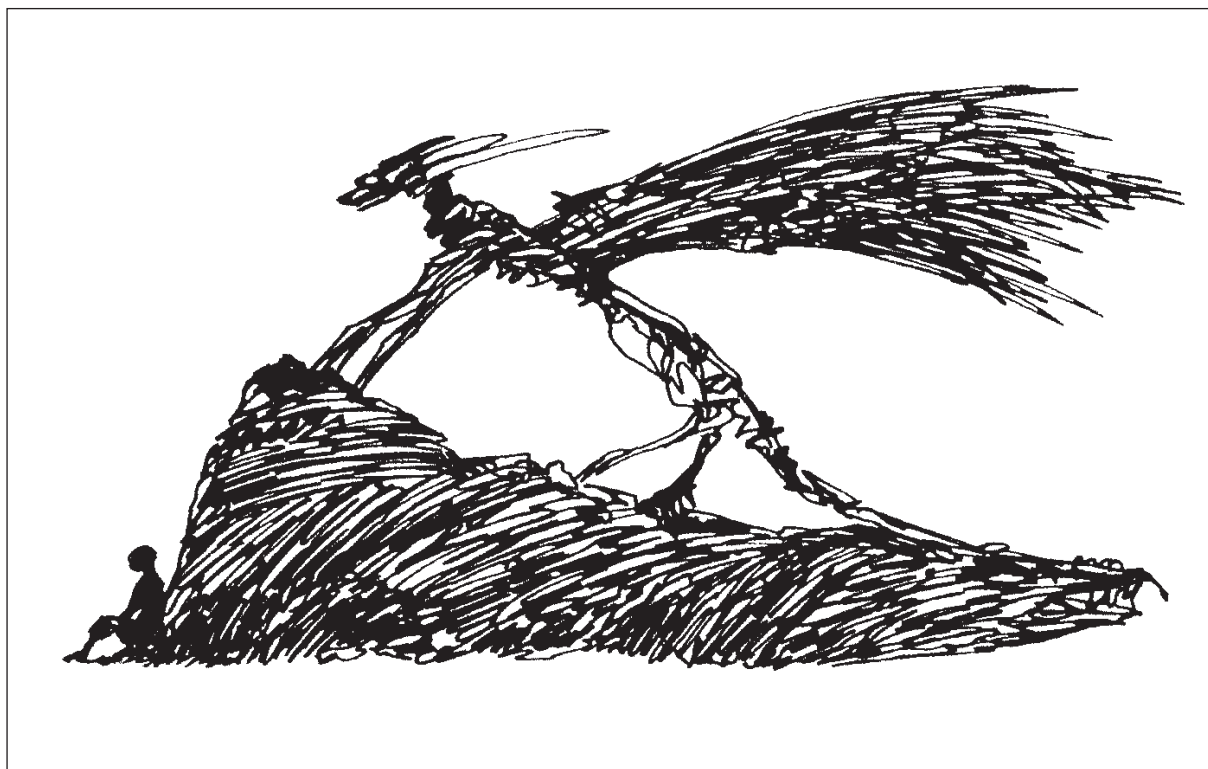
Tak działają społeczeństwa, które historycznie wygrywają. A jak my reagujemy na problemy systemowe? Najczęstsza metoda to wzniesienie afery medialnej. Minister Artukowicz dostrzegł, że ma problem w systemie opieki ratunkowej wtedy, kiedy Owsiak przyszedł i powiedział: więcej pieniędzy nie dam i całą Orkiestrę zwinę. Nie wiedział, że ma problemy i inaczej by się nie dowiedział... To jest najczęstsza reakcja w naszym systemie sprawowania władzy.

Jeszcze jedna sprawa: zabieramy się do poprawiania czegoś, jak to coś przestanie działać, jak np. mamy serię wypadków na kolei. Wtedy zabieramy się za na-

prawianie, mimo iż często jest już za późno na naprawę. Otóż wydaje mi się, że cała ta rozmowa, którą z kolegami rozpocząłem kilka miesięcy temu, dotyczy nie tylko samorządu terytorialnego, który skądinąd wcale tak źle nie funkcjonuje. Nie znaczy to oczywiście, że problemy, które opisaliśmy – przerysowaliśmy. One po prostu tak wyglądają. Ta rozmowa ma sens, kiedy dostrzeżemy, że są takie obszary naszego funkcjonowania, jak opieka zdrowotna oraz wiele innych, których stan jest bardzo poważnym stanem chorobowym. W związku z tym musimy podejmować działania korygujące i modyfikować to co trzeba, bo nie ma idealnych systemów i rozwiązań, i musimy dokonywać dostosowań, bo po prostu będziemy przegrywali jako naród, społeczeństwo, jako Polska.

JERZY HAUSNER

¹ Raport został przygotowany przez zespół: dr Jarosław Bober (Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie), prof. dr hab. Jerzy Hausner (Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie), koordynator prac i redaktor raportu; prof. dr hab. Hubert Izdebski (Uniwersytet Warszawski), Wojciech Lachiewicz (Regionalna Izba Obrachunkowa w Krakowie), dr hab. Stanisław Mazur (Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie), dr Aleksander Nelicki (Uczelnia Łazarskiego w Warszawie), dr Bartłomiej Nowotarski (Uniwersytet Ekonomiczny we Wrocławiu), dr Włodzimierz Puzyna (Wyższa Szkoła Administracji Publicznej w Szczecinie), prof. UEK dr hab. Krzysztof Surówka (Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie), dr Igor Zachariasz (Uczelnia Łazarskiego w Warszawie), dr Marcin Zawicki (Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie).



Tomasz Bohajedyn, *Odpowiedź* (rysunek)

IGNACY JÓŹWIAK

KARPATY, CISA, RUŚ I UKRAINA CZYLI CENTRUM EUROPY W DOBIE INTEGRACJI I SEPARACJI

W CENTRUM EUROPY

Co najmniej jedenaście punktów na mapie Europy aspiruje do miana geograficznych centrów kontynentu, tyle jest wymienionych w dokumentalnym filmie *Środek Europy* Stanisława Muchy (2004). Hasłowo Wikipediimówi o dziewięciu. Jeden z nich ma znajdować się we wsi Diłowe, niedaleko miasta Rahów w Zachodniej Ukrainie. Oficjalnie uznali go urzędnicy austro-węgierscy, a następujące po nich władze czechosłowackie, radzieckie i ukraińskie status ten utrzymywały. Centrum Europy, bilet autobusowy do którego nabyć można między innymi w kasie biletowej stacji Rahów (tak nazywa się przystanek), stanowi dziś jedną z głównych turystycznych atrakcji ukraińskich Karpat. Miejsce oznaczone jest pomnikami i tablicami informacyjnymi, z których jedna zatytułowana jest „Ukraina – państwo w Centrum Europy”.

Wieś Diłowe położona jest na granicy z Rumunią, zaś stanowiący lokalne (*raion* – odpowiednik polskiego powiatu) centrum administracyjne Rahów znajduje się około 15 kilometrów na północny wschód. Z kolei obwodowe (*Obwód – Oblast* – odpowiednik polskiego województwa) centrum administracyjne w Użhorodzie znajduje się na granicy ze Słowacją – 180 kilometrów na zachód. Jadąc ze środka Europy do Użhorodu podążamy wzdłuż granic z Rumunią i Węgrami, mijamy miasteczka i wsie zamieszkałe przez Ukraińców, Rusinów, Węgrów, Rumunów, Romów i Słowaków. W wielu miejscach telefony komórkowe lepiej odbierają sieci sąsiadujących krajów niż operatorów ukraińskich, zaś terytorium Unii Europejskiej momentami znajduje się dosłownie w zasięgu rzutu kamieniem.

...I JEGO GRANICE

Trudno zrozumieć fenomen Zakarpacia bez zrozumienia procesów kształtujących granice Ukrainy (1918–1991) oraz roli jej zachodnich terytoriów, w szczególności Karpat, w budowaniu narodu i państwa ukraińskiego. Górskie grzbiety oraz rzeki Cisa, Borżawa i Už odegrały swą rolę nie tylko wyznaczając granice, ale także je kwestionując. Dziś granice Ukrainy „uczestniczą” w ruchu transgranicznym, handlu wahałowym i migracjach zarobkowych

obywateli tego kraju mając pośredni wpływ na jego demografię.

Granice Ukrainy z Rumunią, Węgrami i Słowacją rozdzielają terytoria o wspólnej historii, dziedzictwie kulturowym oraz kompozycji etnicznej, które w latach 1867–1918 składały się na węgierskie komitaty Marmaros, Bereg i Ung. Administracyjne granice pomiędzy obwodami Zakarpackim, Lwowskim i Iwano-Frankowskim pokrywają się z austro-węgierskimi granicami Galicji i Królestwem Węgier, w okresie międzywojennym, Polski i Czechosłowacji. Dziś ukraińskie Zakarpacie wraz z obwodami Lwowskim, Iwano-Frankowskim i Czerniowieckim współtworzy tak zwany Makroregion Karpacki, zaś na poziomie międzynarodowym Euroregion Karpaty – największy z tego rodzaju tworów, do którego należą także pograniczne regiony Polski, Ukrainy, Słowacji, Węgier i Rumunii. Korzystając z relatywnie taniej siły roboczej oraz bliskości Unii Europejskiej i strefy Schengen, a także przywilejów ze strony władz lokalnych oraz państwowych, funkcjonują specjalne strefy ekonomiczne w Użhorodzie, Mukaczewie i Berehowie, w których działają firmy z kapitałem węgierskim, niemieckim i japońskim produkujące kable i sprzęt elektroniczny.

RYS HISTORYCZNY¹

Judy Batt, brytyjska badaczka Europy Środkowej i Bałkanów w swoim artykule o fenomenie Zakarpacia przytacza anegdotę o starszym mężczyźnie, który zapytany o swoje życiowe perypetie odpowiada: „Urodziłem się w Austro-Węgrzech, do szkoły poszedłem w Czechosłowacji, służbę wojskową odbyłem na Węgrzech Horthy’ego, następnie wylądowałem w radzieckim więzieniu. Teraz dożywam starości w niepodległej Ukrainie”. Rozmówca rzecz jasna wyraża zdumienie nad tak bogatym doświadczeniem i kawałem świata, jaki starszemu panu przyszło zo-

¹ Zainteresowanych historią regionu odsyłam do prac amerykańskiego historyka Paula Roberta Magocsi: *The shaping of a national identity: Subcarpathian Rus’, 1848-1948*, Harvard University Press, Cambridge MA, 1978; *The people from nowhere: an illustrated history of Carpatho-Rusyns*, V. Padiak Publishers, Uzhgorod, 2006 oraz pracy zbiorowej ukraińskich i węgierskich naukowców: *1919 – 2009 rokiiv: istorija, politika, kultura*, Lira, Uzhgorod 2010.

baczyć, na co ten odpowiada: „Ależ skąd, ja nigdy nie opuściłem tej wsi”.²

Nazwa Zakarpacie, często używana jest równoległe z terminami Zakarpacka Ruś, Podkarpacka Ruś, Ruś Karpacka. Oficjalna nazwa regionu to Obwód Zakarpacki (ukr. *Zakarpatska Obl'ast'*) z centrum w Użhorodzie. Od X wieku n.e. terytorium wchodziło w skład Węgier i Austro-Węgier, i w odróżnieniu od sąsiedniej, podlegającej Wiedniowi Galicji, w okresie monarchii dualistycznej pozostawało częścią Królestwa Węgier. Okres międzywojnia (1919–1938) to przynależność do Czechosłowacji poprzedzona narodowymi i społecznymi zrywami Ukraińców, Rusinów i Węgrów. Po II wojnie terytorium przyłączone zostało do Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej.

Kwestię sporną wciąż stanowi historia osadnictwa słowiańskiego, którego początek umiejscawiany jest przez jednych w V, przez innych dopiero w XII wieku. W myśl rozmaitych koncepcji Zakarpacie stanowić miało historyczną część Państwa Wielkomorawskiego, Rusi Kijowskiej, czy też niezależne państwo *Marhia Ruthenorum*, zaś w jego słowiańskich mieszkaniach widziano zarówno autochtonów, forpoczty węgierskiego osadnictwa, jak i protoplastów węgierskiej państwowości. Zwolennicy orientacji ukraińskiej podkreślali bliskie związki Zakarpacia z Galicją, co miało zbliżyć je do reszty ziem etnicznie ukraińskich. Przychylna Ukraińcom była na tym polu także historiografia radziecka.

W drugiej połowie XIX wieku ludność słowiańska wystawiona była na działania madziaryzacyjne związane z kursem na tworzenie państwowego narodu węgierskiego. Podkreślano obecność Rusinów w doniosłych momentach węgierskiej historii, oraz lansowanie narodowości „węgro-rusińskiej”. Niektórzy przedstawiciele ukraińskiej-rusińskiej inteligencji z tego okresu (np. Tyvodar Lehocki, Antal Hodinka) swoje dzieła pisali po węgiersku, nierzadko poczuli się do węgierskiej wspólnoty, której podstawowym wyznacznikiem była lojalność wobec Budapesztu oraz kompetencje w języku i kulturze. W kontrze do tej tendencji rozwijały się sympatie prorosyjskie, których początek datuje się na okres Wiosny Ludów oraz proukraińskie, które zinstytucjonalizowaną formę przybrały pod koniec XIX wieku. Orientacja ukraińska nie zyskała wówczas większej popularności, gdyż ruch ukraiński sam w sobie uwikłany był w spory dotyczące swojej kultury, języka i etnogenezy. Był on wówczas słabo wykształcony, zaś odrębność Ukraińców od narodu wielkoruskiego wciąż była przedmiotem dyskusji.

Daleko idące zmiany zaczęły się wraz z pierwszą wojną światową, rozpadem Austro-Węgier, niestabilną sytuacją w Galicji i wojną domową w Rosji. Wojenna pożoga w Rosji i niepewna polityczna przyszłość tego kraju nie czyniły go atrakcyjnym sojusznikiem w walce o wszechsłowiańską emancypację. Równie niepewnym partnerem była, tocząca dwufrontową wojnę z Polską i Rosją, niepodległa Ukraina.

Wśród rusińskiej/ukraińskiej inteligencji oraz politycznych liderów coraz większą popularność zaczęła zdobywać idea przyłączenia terenów dzisiejszego Zakarpacia do Czechosłowacji, co oficjalnie nastąpiło

w roku 1919. Region po raz pierwszy w historii uzyskał odrębny administracyjny byt jako Podkarpacka Ruś wchodząca w skład państwa Masaryka. W 1938 roku Czechosłowacja formalnie przyznała Rusi autonomię, której premierem został najpierw Andrii Brodi, a następnie Augustyn Wołoszyn. W tym samym roku na podstawie arbitrażu wiedeńskiego południową Słowację wraz z Zakarpaciem zajęły Węgry.

W 1939 roku, w związku z rozpadem Czechosłowacji i utworzeniem faszystowskiego Kraju Słowackiego, Podkarpacka Ruś pod przywództwem Wołoszyna ogłosiła niepodległość jako Karpacka Ukraina, która przetrwała kilka dni, zanim zajęły ją Węgry. W marcu 1944 r., na skutek odsunięcia regenta Horthyego i przejścia na Węgrzech władzy przez strzałokrzyżowców, na Zakarpaciu stacjonowały wojska niemieckie, zaś w listopadzie tego roku wkroczyła Armia Radziecka formalnie traktując te tereny jako fragment Czechosłowacji.

W roku 1945, na podstawie umowy Benesz–Mołotow terytorium przyłączone zostało do ZSRR jako autonomiczna republika – Zakarpacka Ukraina, w ramach Ukraińskiej SRR. W 1946 r. przekształcono ją w obwód (*oblast'*) i w tym kształcie *Zakarpatska Oblast* funkcjonuje po dziś dzień w składzie Ukrainy.

ZNACZENIE KARPAT

Same Karpaty mają duże znaczenie nie tylko dla historii i kultury Ukrainy, ale także dla jej górskich i podgórszych sąsiadów. Wspólne elementy tradycyjnej architektury, muzyki, tradycji pasterskich, kuchni oraz językowe zapożyczenia znajdujemy tak na Ukrainie, jak i w Polsce, na Słowacji, Węgrzech czy Rumunii.

Ukraiński ruch narodowy na przełomie XIX i XX wieku najbardziej dynamicznie rozwijał się w nazywanej Ukraińskim Piemontem Galicji, w której następnie doszło do regularnej polsko-ukraińskiej wojny. Z kolei w miejscowościach Jasinia (dziś na Zakarpaciu) i Sighet (dziś w Rumunii) „węgierskiego” Maramureszu ukraińskie rady narodowe w 1919 roku uchwałyły zjednoczenie z Zachodnioukraińską Republiką Ludową, zaś w 1938 na terenach dzisiejszego Zakarpacia powstała efemeryczna, ale ważna dla współczesnej historiografii ukraińskiej, wciśnięta pomiędzy Węgry Horthy'ego i Słowację Tisy wspomniana Karpacka Ukraina, której wojskom klęskę zadała armia węgierska we wsi Krasne Pole koło Husta (dzisiejszego centrum administracyjnego na poziomie *raionu*).

Ukraińskie Karpaty, wraz z przygranicznymi terenami w Rumunii, Słowacji i Polsce stanowią macecznik regionalnych kultur i folkloru Hucułów, Łemków i Bojków, które od pokoleń stanowią kanwę karpackich legend, artystycznej twórczości oraz niekończących się polemik pomiędzy zwolennikami narodowej orientacji ukraińskiej i rusińskiej. W sporach oprócz argumentów merytorycznych ze strony rusińskiej pojawiają się oskarżenia Ukrainy o łamanie praw człowieka, a nawet ludobójstwo, na które strona ukraińska odpowiada oskarżeniami o separatyzm i podminowywanie państwowości.

WSPÓŁCZESNE GRANICE I ICH PRAKTYCZNY WYMIAR

W Związku Radzieckim od przekraczających granice obywateli, nawet jeżeli udawali się tylko do krajów

² J. Batt, *Transcarpathia: Peripheral region at the "Centre of Europe"*, w: *Region, State and Identity in Central and Eastern Europe*, edited by J. Batt and K. Wolczuk, Routledge, London, pp. 155 – 177.

ościennych, wymagano specjalnych zezwoleń, od których następnie zależało otrzymanie paszportu. W drugą stronę wyglądało to znacznie prościej – przynajmniej dla obywateli Czechosłowacji i Węgier – jednak w dalszym ciągu komunikacja łatwiejsza była pomiędzy odległymi od granic miastami niż pomiędzy miejscowościami położonymi po sąsiedzku, lecz rozdzielonymi rzeką lub wzgórzem, przez które przebiegała granica. Lokalne inicjatywy transgraniczne praktycznie nie istniały, do nielicznych wyjątków zaliczyć można na przykład spotkanie węgierskiej i radzieckiej młodzieży w Czopie w roku 1955, otwarcie na obydwu brzegach stanowiącej radziecko-węgierską granicę rzeki Borżawa Sadu Przyjaźni w 1960. Przez wychodzące zarówno na Węgry jak i Czechosłowację przejście graniczne w Czopie przemieszczały się radzieckie wojska tłumiące rewolucję węgierską w 1956 r. oraz praską wiosnę w 1968 r..

W okresie pierestrojki i rozpadu ZSRR regulacje paszportowe zostały zliberalizowane, kraje ościenne stały się łatwiej dostępne, mieszkańcom stref przygranicznych do przekraczania granic wystarczał dowód osobisty (paszport wewnętrzny). Na zakupy, handel i wymianę waluty jeżdżono z Zakarpacia nie tylko na Węgry i do Czechosłowacji, ale także do Polski, Jugosławii i Turcji. Z dworca autobusowego w Użhorodzie uruchomiono bezpośrednie połączenia do Pragi, Bratysławy, Nyiregyhazy i Suboticy, zaś przy granicy z Rumunią uruchomiono wahadłowy pociąg Tereswa (Ukraina) – Sighet (Rumunia) – Rahów (Ukraina). To środkowoeuropejskie *dolce vita* skończyło się na przełomie lat 1990. i początku XXI wieku, kiedy kraje ościenne podążając za wytycznymi Unii Europejskiej stopniowo likwidowały kolejne przywileje i ułatwienia dla ukraińskich podróżnych, aż w końcu wprowadziły wizy.

Dziś Ukraińcy, obok innych „obywateli państw trzecich”, masowo zasilają rynki pracy Unii Europejskiej, przede wszystkim Włoch, Polski, Portugalii, Czech. Brak w tej materii dokładnych statystyk, lecz według różnych danych szacunkowych możemy mówić o milionach osób. Innym popularnym celem migracji jest Rosja (znów jest to trudna do określenia liczba wahająca się między 500 000 a 1 000 000). To właśnie Federacja Rosyjska oraz Republika Czeska stanowią najbardziej popularny cel wyjazdów mieszkańców Zakarpacia, którzy stanowią zarazem największy odsetek pracujących w Czechach obywateli Ukrainy, wśród których są również zakarpaccy Węgrzy i Rumuni. Miejscowości Rahów, Byczkowo, Sołotwino, Tiacziw, Hust i Użhorod leżą na trasie kursującego trzy razy w tygodniu autobusu Rahów – Praga.

Popularność Czech daje się wytłumaczyć, oprócz relatywnie stabilnej sytuacji gospodarczej tego kraju, dziedzictwem wspólnej historii i wynikającej z niej sieci kontaktów rodzinnych i kulturalnych³. Wśród osób powracających z ojczyzny lub jeżdżących tam sezonowo popularne jest sprowadzanie samochodów z czeskimi numerami rejestracyjnymi i używanie ich na Ukrainie bez przerejestrowania, dzięki czemu kierowcy omijają podatki nakładane na rejestrowanie sprowadzanych z zagranicy pojazdów.

³ Uherek Z., *Immigrants from Ukraine in the Czech Republic: Foreigners in the Border Zone*, in: Kurti L. and Skalik P. (eds), *Postsocialist Europe. Anthropological Perspectives from Home*, New York – Oxford 2009, 270-294.

Tym, co pod względem kierunku zarobkowych emigracji wyróżnia Zakarpacie od innych regionów Ukrainy, są wyjazdy na Węgry. W kraju Viktora Orbana, gulaszu i czardasza osoby pochodzące z Zakarpacia mają niemal pełny monopol na ukraińskie pochodzenie. Chociaż większość z nich to etniczni Węgrzy lub osoby z mieszanych rodzin płynnie posługujące się językiem węgierskim, często noszące węgierskie imiona i nazwiska, przez obywateli Węgier traktowani są jak cudzoziemcy i popularnie nazywani „Ukraińcami”.

KWESTIA OBYWATELSTWA

Pytanie o obywatelstwo jest kolejnym trudnym do uniknięcia tematem na współczesnych pograniczach. Ukraińskie prawo zabrania co prawda swoim obywatelom posiadania obywatelstwa innych krajów, nie posiada jednak na tym polu odpowiednich środków kontroli i zapobiegania.⁴ W praktyce nie można więc ustalić liczby Ukraińców nielegalnie posiadających dodatkowe paszporty.⁵ Równie ważna lub nawet ważniejsza jest polityka innych krajów i jej wpływ na Ukrainę i jej mieszkańców. Zakarpacia nie ominięły następstwa zmian w węgierskim obywatelstwie ze stycznia 2011 (Akt XLIV 2010), w wyniku których mieszkańcy dawnych węgierskich terytoriów mogą się ubiegać o obywatelstwo tego kraju.⁶ Perspektywie zdobycia upoważniającego do podróżowania i podejmowania pracy w krajach UE węgierskiego paszportu nie zawsze towarzyszą plany pracy lub zamieszkania nad Dunajem. Podobny mechanizm działa w przypadku osób upoważnionych do występowania o obywatelstwo Rumunii. Zgodnie z prawem tego kraju obywatelstwo przysługuje osobom posiadającym w Rumunii krewnych oraz obywatelom przedwojennego Królestwa Rumunii i ich rodzinom.⁷ Unijne paszporty ułatwiają nie tylko podróżowanie po Europie, ale również odwiedziny krewnych i znajomych po drugiej stronie granicy (z Rumunią, Węgrami, Słowacją), zakupy, handel wahadłowy i inne formy transgranicznej aktywności.

MOZAIKA: WĘGRZY, RUMUNI I ICH „ZAGRANICZNE OJCZYZNY”

Ze zwartym osadnictwem Węgrów na Zakarpaciu mamy współcześnie do czynienia w okolicach miast Berehowo, Mukaczewo, Użhorod i Wynohradiw. To tam największą aktywnością wykazują się węgierskie towarzystwa kulturalne, których „oczko w głowie” stanowią rejony beregovski (*Beregszászi járás*) i winohradowski (*Nagyszőlősi járas*). Węgierskim matecznikiem jest miasto Berehowo (węg. *Beregszász*), w którym stanowią oni względną większość (48 proc. mieszkańców) oraz otaczający je rejon berehowski (*beregivskyj rajon*), w 76 proc. zamieszkały przez Węgrów. W Wynohradowie (*Nagyszőlős*) i wspomnianym rejonie wy-

⁴ Shevel O., *EUDO Citizenship observatory. Country Report: Ukraine*, San Domenico di Fiesole, 2010.

⁵ Shevel O., *EUDO Citizenship observatory...; Popescu G., The conflicting logics of cross-border reterritorialization: Geopolitics of Euroregions in Eastern Europe*, „Political Geography” 27/2008.

⁶ M. Kovacs M. and J. Toth, *EUDO Citizenship Observatory. Country Report: Hungary*, European University Institute, San Domenico di Fiesole, 2010; J. Toth, *Changes to Hungarian Citizenship Law*, European Union Democracy Observatory, 2010 (www.eudo-citizenship.eu).

⁷ Iordachi C., *EUDO Citizenship observatory. Country Report: Romania*, San Domenico di Fiesole, 2010.

nohradowskim jest to 26 proc. W rejonie tiaczewskim (*Técsői járás*), gdzie stanowią oni 2,9 proc. mieszkańców, Węgrzy zamieszkują niemal wyłącznie Tiaczew (*Técső*) i Sołotwino (*Aknaszlatina*). W sąsiednim rejonie hustskim ze skupiskiem ludności węgierskiej mamy do czynienia w miejscowości Wyszkowo (*Vísk*).⁸ Te trzy „wyspy” (Wyszkowo, Tiaczew i Sołotwino) położone są przy samej granicy z Rumunią, w pobliżu zamieszkałego przez Węgrów rumuńskiego miasta Sighetu Marmatiei (*Máramarossziget*), w którym Węgrzy stanowią 16 proc. przy blisko 80 proc. Rumunów i 3 proc. Ukraińców.⁹

Pamięć o węgierskiej przeszłości kultywowana jest zarówno przez poszczególne osoby, jak i całe rodziny stanowiąc częsty temat dyskusji na różnych płaszczyznach – w domu, pracy, w czasie wolnym, wśród samych Węgrów, jak i w obecności osób innej narodowości. Niezależnie od wykształcenia, wykonywanego zawodu i pełnionej funkcji społecznej węgierskie historyczne mapy, fotografie i innego rodzaju gadżety spotkać można w wielu domach, podobnie jak usłyszeć wypowiedzi odwołujące się do historii znanej z relacji starszych pokoleń. Zróżnicowany jest natomiast stopień „zażyłości” z państwem węgierskim, zaś stosunek do Węgrów z Węgier często charakteryzuje rezerwa, dystans, a nawet niechęć.

Na Zakarpaciu, podobnie jak w Siedmiogrodzie, Wojwodinie czy na południu Słowacji w miejscowościach zamieszkałych przez Węgrów oficjalnie stosowane są dwujęzyczne nazwy miejscowości, ulic, także napisy na tablicach pamiątkowych i pomnikach odnoszących się do węgierskiej tradycji i przeszłości tych terenów. Dopuszczalne jest także umieszczanie na budynkach publicznych – nie tylko związanych z działalnością Węgrów – flagi węgierskiej, która pozbawiona herbu uchodzi tu za flagę narodu, a nie państwa węgierskiego. Podobnie jest z flagami i inną symboliką rumuńską.

Osadnictwo rumuńskie na Zakarpaciu ogranicza się do rejonów Tiaczewskiego (*Raionul Teceu*) i Rahiwskiego (*Raionul Rahău*). Większość (blisko 60 proc.) mieszkańców stanowią Rumuni we wspomnianym Sołotwino (*Slatina*), niemal czysto rumuńskie (97-98 proc.) są wsie Dibrova¹⁰, Bila Cerkwa (*Biserică Alb*), Seredne Vodiane (*Apsa de Mijloc*) i Gluboki Potik (*Strâmtura*).¹¹ W miejscowościach bez trudu zauważymy rumuńskie (obok ukraińskich) flagi i dwujęzyczne napisy, zaś w Sołotwino oficjalne inskrypcje sporządzone są w trzech językach (ukraińskim, rumuńskim¹² i węgier-

skim), podobnie jak trzy flagi wywieszane są na miejscowym urządzie. W miejscowości odbywają się imprezy kulturalne z okazji Dnia Unii (Rumunii z Siedmiogrodem – 1.XII) i Dnia Zjednoczenia (Mołdawii i Wołoszczyzny w Królestwo Rumunii – 24.I), chociaż żaden z tych aktów nie objął zasięgiem terytorialnym terenów dzisiejszego Zakarpacia. Maramuresz pełni jednak symboliczną rolę jako kraina pochodzenia księcia Dragosza, protoplasty rodu, który dał początek księstwu Mołdawii oraz wydał na świat Stefana Wielkiego i Świętego – mołdawskiego hospodara, narodową ikonę tego kraju. Według niektórych koncepcji rodzina księcia pochodzić miała z terenów dzisiejszego rejonu tiaczewskiego, co dało podstawę do postawienia w „rumuńskim” Sołotwino, pierwszego i jak dotąd jedyne na Ukrainie, pomnika monarchy.

Podobnie jak w przypadku zakarpackich Węgrów i ich kontaktów z państwem węgierskim, także wśród tutejszych Rumunów unijna „żelazna kurtyna” oraz przechodząca w pogardę wyższość rumuńskich służb celnych i granicznych sprawia, że wielu z nich powściągliwie traktuje swoją „zagraniczną ojczyznę” i jej mieszkańców, co nie oznacza że transgraniczne kontakty rodzinne i towarzyskie są zupełnie nieobecne. Bez popadania w generalizację można jednak stwierdzić, że są one mniej intensywne i emocjonalnie słabsze od kontaktów pomiędzy „swoimi” czyli miejscowymi „Ukraińcami” niezależnie od tego, czy w domu i na ulicy mówią po ukraińsku, rosyjsku, rumuńsku czy węgiersku.

CZEGO NAS UCZY POGRANICZE

Pogranicza i regiony przygraniczne pełnią funkcję papierka lakmusowego dla procesów zachodzących lub mogących zajść w skali narodowej, międzynarodowej i globalnej. Granice i pogranicza, niezależne jak „stare” bądź „nowe” stanowią nie tylko miejsca, gdzie relacje i wzajemne powiązania pomiędzy ludźmi (obywatelami), państwem i kapitałem dają się łatwo zaobserwować. Są to również pola, na których terytorium, gospodarka i tożsamość ulegają przeobrażeniom w ramach społecznych i ekonomicznych interakcji. Wpływ granicy na lokalnych mieszkańców zależny jest między innymi od sytuacji ekonomicznej w sąsiadujących krajach oraz ich obustronnych regulacjach dotyczących polityki paszportowo-wizowej, przepisów celnych, dozwolonej ilości transportowanych przez granicę towarów.

* * *

Historia oraz etniczna różnorodność czynią Zakarpacie wyjątkowym w skali Ukrainy, podobnym natomiast do innych regionów Kotliny Karpackiej czy Europy Środkowo-Wschodniej, takich jak Siedmiogród, Wojwodina, Burgenland czy Karyntia. Procesy zachodzące nad Cisą i Użem są interesujące nie tylko z punktu widzenia Ukrainy, Słowacji, Węgier i Rumunii, ale również dla wielu innych etnicznie różnorodnych państw i regionów przygranicznych. Z kolei kwestia bezrobocia i migracji zarobkowych naprowadza nas na bieżące problemy społeczne nie tylko w Europie.

⁸ Dane demograficzne za: I. Molnár, J. Molnár, *Kárpátalja népessége és magyarsága a népszámlálási és népmozgalmi adatok tükrében*, Kárpátaljai Magyar Pedagógusszövetség, Beregszász, 2005, ss. 29-30.

⁹ Ethnocultural Diversity Research Center, *Ethno-demographic Structure of Romania*, 2002 (www.edrc.ro).

¹⁰ Oficjalna nazwa wsi to Nyżna Apsa (*Apsa de Jos*), jednak w powszechnym użyciu wśród okolicznych mieszkańców, kierowców autobusów czy bileterów na dworcach to obowiązująca w okresie radzieckim „Dibrova” – nazwa używana jest zarówno w językach rosyjskim i ukraińskim jak i rumuńskim czy węgierskim.

¹¹ Dane demograficzne za: N. Boar, *Interrelații Transfrontaliere Maramureșene*, Presa Universitară Clujeană, Cluj-Napoca 2006, s. 131.

¹² W okresie radzieckim chociaż mieszkańców oficjalnie nazywano „Rumunami”, obowiązywało szkolnictwo „mołdawskie”, a nauczycieli kształcono w Mołdawskiej USRR. Konsekwencją było między innymi zapisywanie języka rumuńskiego cyrylicą. Pokolenie wykształcone w ZSRR do tej pory ma problem z czytaniem i pisanem w standardowym języku rumuńskim.

ZBIGNIEW MADEJ

GOSPODARCZE PODŁOŻE KRYZYSU LEWICY

1. Fascynacja pracą produkcyjną

Lewica przeżywa głęboki kryzys, ponieważ znalazła się w punkcie zwrotnym całej cywilizacji. Sama przyczyniła się do tego zwrotu, ale bez przesady. Nawet gdyby chciała, nie byłaby w stanie tego dokonać, a przecież nie chciała. Ma własnych grzechów dosyć i nie trzeba przypisywać jej cudzych. Tradycyjna lewica – ta upadająca, ukształtowała się w industrialnej epoce stworzonej przez kapitalizm. Działo się to w dwóch minionych wiekach, a logikę następstw można by przedstawić w takich oto punktach:

1. Pierwsza rewolucja przemysłowa w Anglii z przełomu XVIII i XIX wieku zamknęła okres manufaktury i otworzyła industrialną fazę rozwoju kapitalizmu.

2. Wtedy właśnie zaczął kształtować się proletariát przemysłowy, który stał się z czasem społeczną bazą dla ugrupowań robotniczych (partii, związków zawodowych itp.) podatnych ze względów ekonomicznych (wzrost) na radykalne idee.

3. W połowie XIX wieku ten radykalizm zaczął już krążyć nad Europą jako marksowskie widmo komunizmu (do praźródła radykalizmu i lewicy nie sięgam w tym tekście).

4. Od tego czasu, jak przypomniał nam Zygmunt Bauman, świat musiał już liczyć się z lewicą i robić wszystko, by zmierzyć się z tą alternatywą.¹

Lewica od wieków chodzi w parze z pracą, ale kreatywną rolę pracy, jej zdolność tworzenia wartości rynkowej i smithowskiego bogactwa narodów, dostrzegli najpierw wybitni przedstawiciele rodzącego się kapitalizmu. Ludzie lewicy przejęli od nich ten dorobek, łącznie z ówczesną skłonnością do gloryfikowania pracy produkcyjnej, i takie wiano przekazali potom-

nym. Nikt nie mógł wówczas przewidzieć, że ów dar stanie się w przyszłości kłopotliwym brzemieniem. Na niwie ekonomicznej zaczęło się to wszystko od wybitnego fizjokraty francuskiego François'a Quesnaya, który tylko rolnictwo traktował jako dziedzinę produkcyjną. Pozostałe dziedziny: rzemiosło, transport, handel jedynie przetwarzały dobra pochodzące z rolnictwa i z tego powodu cała klasa ludzi zajmujących się taką działalnością była, zdaniem Quesnaya, klasą jałową. Smith włączył do dziedzin produkcyjnych przemysł. Miał natomiast zastrzeżenia do handlu zagranicznego, zwłaszcza do eksportu. Ricardo postąpił inaczej. Powiększył obszar działalności produkcyjnej o handel zagraniczny i wewnętrzny oraz wyeksponował podział rezultatów pracy².

Od Marksa zaczął się nowy rozdział tej problematyki. Przejął on dorobek Smitha i Ricardo, ale dodał wiele. Główną kwestią dodaną była koncepcja pracy społecznie niezbędnej jako twórczyni wartości i dochodu narodowego. Nie ustawił pracy obok kapitału, jak czynili inni, lecz wysunął ją na czoło całego procesu reprodukcji. Praca w jego koncepcji była również twórczynią samego kapitału³. Podtrzymał jednak opinię swoich poprzedników, że wyłącznie praca zastosowana w działach produkcyjnych posiada takie walory. Nie wchodziły zatem w rachubę usługi niematerialne takie jak obrót pieniężny, oświata, turystyka, administracja państwowa itp.

W reasumpcji można zatem stwierdzić, że różnica zdań między myślicielami z tamtej epoki sprowadzała się do większej lub mniejszej liczby dziedzin zaliczanych do sfery produkcyjnej, a nie do istoty i roli pracy produkcyjnej. Musiała to być praca widoczna, namacalna, tworząca dobra materialne, a nie jakieś ulotne

usługi. Wysoka ocena pracy produkcyjnej była znakiem tamtych czasów i swoistą reakcją na nihilistyczny stosunek do pracy myślicieli świata antycznego, i na *vita contemplativa* z okresu średniowiecza. W takich warunkach właśnie powstawało materialne i duchowe podłoże tradycyjnej lewicy.

W koncepcjach lewicowych intelektualistów praca zdobyła wkrótce drugie wcielenie. Stała się nie tylko twórczynią wartości rynkowej i wszelkich dóbr, ale również twórczynią samego człowieka. Engels pisał przecież o roli pracy w procesie ucłowieczenia małpy⁴, a inni dowodzili, że człowieka od zwierząt różni praca świadoma. Sceptyków jednak nie brakowało. Sam Marks pisał o pracy niszczącej istoty ludzkie, o ciężkiej pracy dzieci i o ogłupiającej monotonii taśmy montażowej, ale ideę pracy dzierżył wysoko. Była ona już wtedy emblematem lewicy i lewicowości, symbolem lepszej części ówczesnego świata i nadzieją na wspaniałą przyszłość. Hannah Arendt pozostawiła inną ocenę. Epoka nowoczesna rzeczywiście wyniosła pracę na wyżyny ludzkiej aktywności, ale w krótkim czasie sprowadziła ją do poziomu najniższego. Zdegradowała także jej twórcę – człowieka. Przekształciła bowiem myślącego – *homo sapiens* w sprawnego wykonawcę – *homo faber*, a z niego uczyniła *animal laborans*.⁵

Socjalizm obiecywał wyzwolenie pracy, ale praktyka pokazała, że nie jest to łatwe. Nie udało się w każdym bądź razie socjalizmowi wschodniemu. Zostawmy jako kwestię otwartą pytanie: obietnica była nierealna czy praktyka nieudolna? Zostawmy tym bardziej, że wyzwoleńcy się znalazł. Pozaustrojowy, ale skuteczniejszy niż rewolucja październikowa. Jest nim automatyzacja. Sęk w tym, że wyzwała inaczej niż ludzie oczekują i inaczej niż obiecywał socjalizm. Pozbawia ludzi pracy i spycha ich do roli wykluczonych. Dziś na domiar złego doświadcza tego przede wszystkim młodzież. Na koniec 2012 roku bezrobocie wśród osób do 25 roku życia wynosiło (w procentach): Grecja – 57, Hiszpania – 56, Portugalia – 39, Włochy – 37, Irlandia – 30, Cypr – 29, Polska – 28, UE – 23. Po recesji liczby te zmniejszą się zapewne, ale o ile i na jak długo?

Przyszłe modele świata opisuje się formułami 30:70 i 20:80, co oznacza, że 30 proc. lub 20 proc. zdolnych do pracy będzie w stanie wytworzyć tyle dóbr i usług, ile potrzebuje cała populacja⁶. Istnieje jednak obawa, że mimo spodziewanej obfitości dóbr problem nie zostanie rozwiązany, ponieważ nie sprowadza się do zasobności materialnej. Współczesne społeczeństwa są społeczeństwami ludzi pracy. Status pracownika jest czymś powszechnym, występującym pod każdą szerokością geograficzną. Chodzi zatem nie tylko o losy pojedynczych osób i grup zawodowych, lecz o losy całych społeczeństw, o losy ludzkości żyjącej w takich, a nie innych strukturach społecznych. Hannah Arendt tak oto ujmuje ten problem: „Mamy przed sobą perspektywę społeczeństwa pracowników bez pracy, czyli bez jedynej aktywności, jaka im jeszcze pozostała. Z całą pewnością nie ma nic gorszego”⁷. Jeremi Rifkin idzie dalej. Skoro zbliża się koniec pracy, trzeba szukać innych form aktywności, takich jak zdobywanie wiedzy, twórczość artystyczna, pomoc sąsiedzka, opieka nad chorymi itp.⁸

Wszystkie problemy przedstawione wyżej znajdują się w polu widzenia lewicy. Zarówno minione, jak i spo-

dziewane. Sądzę, że cały ten długi okres trzeba mieć na uwadze dyskutując o losach lewicy, niezależnie od tego, czy mówi się i pisze o problemach wczorajszych, dzisiejszych, czy jutrzejszych.

W następnym rozdziale zajmę się industrialnym podłożem lewicy, a w trzecim wejść w okres serwicyzacji. Są to oczywiście dwa różne okresy w sensie gospodarczym. Losy lewicy także będą różne. Czy można zatem zakładać, że okres industrialny ukształtował jakąś przemysłową lewicę, a dominacja usług już zaczęła tworzyć lewicę serwicyzacyjną? Na pierwszą część pytania można odpowiedzieć twierdząco, na drugą – nie.

2. Epoka industrialna – złoty wiek lewicy

Kapitał przemysłowy rodził się wtedy, gdy w strukturze gospodarczej krajów, nawet tych najbardziej rozwiniętych, dominowało rolnictwo. Fabryki, manufaktury, warsztaty rzemieślnicze wytwarzały niewielką część bogactwa narodów. Po upływie około stu lat, w ostatnich dekadach XIX wieku kraje wysokorozwinięte zaczęły równoważyć wartość produkcji wytworzonej w rolnictwie z wartością produkcji przemysłowej. Wystąpiło to najpierw w Anglii, a później w innych krajach Europy Zachodniej. Około pół wieku później, na przełomie lat 20. – 30. wieku XX równowaga taka wystąpiła już w skali świata. Odnotujmy przy tej okazji, że epoka agrarna trwała tysiące lat, a przemysł zrównał wartość swojej produkcji z wartością produkcji rolniczej w ciągu stu pięćdziesięciu lat. Stworzył nowe oblicze świata, które dzisiejsza nomenklatura opisywałaby formułą 50:50 dając wyraz temu, że przemysł i rolnictwo miały równy udział w produkcji światowej.

Ta symetria jest wymowna, łatwa do zapamiętania, a jednocześnie podstępnie fałszywa. W realnym świecie nie było żadnej równości. Przemysł koncentrował się na półkuli północnej, głównie w Europie Zachodniej i w Stanach Zjednoczonych, a rolnictwo na półkuli południowej i to właśnie sprawiło, że od industrializacji świat zaczęto dzielić na bogatą północ i ubogą południe. Serwicyzacja jeszcze pogłębiła ten podział. Statystyczne średnie światowe elegancko miksują bogactwo i nędzę.

W tym czasie, gdy świat rolniczy i świat przemysłowy można było opisać formułą 50:50 zachodnioeuropejskie kraje wysokorozwinięte były już krajami przemysłowymi o formule 70:30. Anglia przodowała osiągając relację 87:13 na korzyść przemysłu. Tuż za nią znajdowała się Francja z relacją 73:27 oraz Niemcy z relacją 71:29. Poza klubem znajdowała się bogata dzisiaj, a uboga wtedy Irlandia z relacją 24:76 na korzyść rolnictwa. Podobna sytuacja występowała w całej Europie Wschodniej, nazywanej wtedy Europą rolniczą. W Polsce zaliczanej do krajów częściowo objętych gospodarką kapitalistyczną, relacje te mieściły się w formule 32:68 na korzyść rolnictwa.⁹

Łącznie ze zmianą w strukturze wytworzonego bogactwa występowała zmiana w strukturze zatrudnienia. Wielkie rzesze ludzi przepływały z rolnictwa do przemysłu i zasiedlały miasta. Dodatkowych badań wymagałaby odpowiedź na pytanie, jakie relacje liczbowe występowały wówczas między strumieniami napły-

wających pracowników do przemysłu a wzrostem liczebności związków zawodowych i partii robotniczych, w tym związków i partii lewicowych. Na podstawie przytoczonych liczb można jedynie powiedzieć, że gospodarcze trendy były korzystne dla lewicy zarówno w ujęciu wertykalnym, jak i horyzontalnym. Gdzie wcześniej rozpoczęła się industrializacja – egemplum Anglia – tam przewaga produkcji przemysłowej nad rolniczą była większa i udział proletariatu przemysłowego w strukturze społecznej był także większy. Konsekwencją tych zmian była geografia industrializacji i proletaryzacji. Europa Zachodnia zdecydowanie wyprzedzała pod tym względem Europę Wschodnią i resztę świata. Hieronim Kubiak pisze, że na lata 1880 – 1960 przypada okres powstawania i rozwoju masowych partii lewicowych. Liczebność niektórych z nich w końcu XIX wieku przekraczała milion członków rekrutujących się głównie z szeregów klasy robotniczej¹⁰. W przodujących krajach Europy Zachodniej ten okres właśnie był już okresem przewagi produkcji przemysłowej nad produkcją rolniczą.

W drugiej połowie XX wieku przemysł oddał palnę pierwszeństwa usługom. Zostawił jednak olbrzymi spadek w sferze kultury materialnej i duchowej. Trzy elementy tego spadku zasługują na specjalną uwagę:

1. Kapitalizm przemysłowy stworzył większe szanse niż poprzednie epoki. Jednym dał fortuny, innych wyrwał z krańcowej biedy, a jeszcze innych w krańcową biedę wpędził. Jednak jego wkład w cywilizacyjny postęp jest wyjątkowo duży, ale postęp ten został okupiony wyczerpaniem zasobów nieodnawialnych i zniszczeniem naturalnego środowiska. Do odwiecznych przeciwieństw klasowych doszło przeciwieństwo człowieka i przyrody. Muszą sobie z tym radzić przyszłe pokolenia niezależnie od tego, czy wypadnie im żyć nadal w kapitalizmie, czy w jakichś formacjach postkapitalistycznych. Wchodzą bowiem w okres zagrożenia dla rodu ludzkiego, a nie tylko jakiegoś kapitalistycznego społeczeństwa.

2. Kapitalizm przemysłowy emigruje z krajów wysokorozwiniętych na peryferia. Tam szuka taniej siły roboczej, mniej rygorystycznych przepisów o ochronie środowiska naturalnego oraz nowych konsumentów. Deindustrializacja Zachodu wzmacnia, rzecz oczywista, industrializacyjne procesy w reszcie świata¹¹. Wytłania się jednak pytanie, czy przesiedlony kapitał przemysłowy będzie w stanie wchłonąć podobne rzesze ludzi poszukujących pracy, jak jego poprzednik na Zachodzie. W krajach słabiej rozwiniętych lokuje się z reguły mniej skomplikowaną produkcją przemysłową, ale nikt nie będzie wracał do pracochłonnych technologii, aby zatrudnić więcej robotników. Przy dzisiejszych powiązaniach kooperacyjnych w ramach transnarodowych korporacji, a także poza nimi, byłoby to całkiem bezsensowne z technologicznego i ekonomicznego punktu widzenia. Automatyzacja i współczesna organizacja wytwarzania będą ograniczać zapotrzebowanie na pracę pod każdą szerokością geograficzną. Małe są zatem szanse, że kraje słabo rozwinięte powtórzą tradycje przemysłu i proletariatu europejskiego.

3. Kapitalizm przemysłowy pozostawił wyjątkowo trwałe ślady w sferze struktur społecznych i ludzkiej świadomości. W czasie jego panowania ukształtowała się instytucja państwa narodowego i wielopartyjna de-

mokracja. Rozwinęły się opiekuńcze funkcje państwa, które swą szczytową formę znalazły w instytucjach *Welfare State*. Powstała i rozwinęła się powszechna oświata oraz wiele innych fenomenów właściwych tej epoce. Niektóre z nich już utraciły związek ze sferą realną. Zginęły bowiem lub giną ich desygnaty, a one same pozostały jedynie w ludzkiej pamięci. Taki los spotkał proletariacką lewicę zachodnią, socjalizm wschodni i inne. Pamięć o nich może pomagać lub przeszkadzać w szukaniu rozwiązań przyszłościowych. Ujawni się to na pewno przy konstruowaniu modeli lewicy ponowoczesnej. Ujawniło się już zresztą przy tworzeniu posocjalistycznych partii lewicowych w byłym bloku wschodnim.

3. Serwicyzacja zamknęła złoty wiek lewicy

3. 1. Pierwszy etap serwicyzacji

Serwicyzacja jest wielowarstwowym procesem, który tworzy określony typ kultury materialnej i duchowej różny od wcześniejszej industrializacji i jeszcze wcześniejszej agraryzacji. Stanowi zatem kolejny, dziś mówimy współczesny albo najnowszy etap w cywilizacyjnym rozwoju świata. Czym się cechuje? Aby to wyjaśnić, postaram się odpowiedzieć na trzy pytania:

- jak serwicyzacja zabiegała o poczesne miejsce i przez jakie etapy przeszła do tej pory,
- jakie zmiany wywołała w strukturze zatrudnienia i bogactwa narodów,
- jak wpłynęła na losy lewicy.

O uznanie serwicyzacyjnych idei zaczęli walczyć Amerykanie na przełomie lat 20. i 30. XX wieku¹². Zadanie mieli trudne co najmniej z dwóch powodów. Po pierwsze – trzeba było odrzucić przesłanie wielkich luminary myśli ekonomicznej z XVIII i XIX wieku, którzy kategorycznie twierdzili, że usługi nie tworzą bogactwa narodów. Po drugie – trzeba było znaleźć teoretyczne uzasadnienie problemu – oraz opracować metody ewidencji i pomiaru usług. Robiono to łączni z poszukiwaniem sposobów liczenia dochodu narodowego, który od tego czasu stał się skwantyfikowanym symbolem bogactwa narodów. Pół wieku później tę samą funkcję powierzono produktowi krajowemu brutto.

Niemal równolegle z poszukiwaniami Amerykanów dwaj Polacy Michał Kalecki i Ludwik Landau podjęli podobną próbę i stworzyli pełną koncepcję liczenia dochodu narodowego (nazywali go dochodem społecznym). Na tej podstawie oszacowali wielkość polskiego dochodu narodowego w latach 1929 i 1933. Całość opublikowali w 1934 roku¹³ z nadzieją, że po próbach wdrożeniowych ich koncepcja znajdzie praktyczne zastosowanie, ale wojna przerwała tę nadzieję. Odżyła po wojnie, gdy pod przewodnictwem prezesa Centralnego Urzędu Planowania, Czesława Bobrowskiego¹⁴ przygotowywano koncepcję trzyletniego planu odbudowy i rozwoju na lata 1947–1949. Nie udało się jednak tego osiągnąć, ponieważ w Związku Radzieckim stosowano już wtedy inne metody liczenia dochodu narodowego. Wyrastały one wprost z dziewiętnastowiecznej koncepcji Marksa na temat pracy produkcyjnej, w której nie mieściły się, jak już pisałem, usługi niematerialne, a nasi planiści chcieli je uwzględnić. Tę rozbieżność wykorzystano wówczas jako kolejną okazję do umoc-

nienia radykalnego nurtu myśli i czynów na polskiej drodze do socjalizmu¹⁵.

Reprezentowali ten nurt liderzy Polskiej Partii Robotniczej, zaś nurt umiarkowany liderzy Polskiej Partii Socjalistycznej. W taki oto sposób apolityczne na pozór usługi znalazły się w centrum wielkich sporów polityczno-ideologicznych¹⁶. Umocniły one stare rozbieżności w polskiej lewicy i stanowiły „nasz wkład” do wielkiego sporu o usługach między realnym socjalizmem a Zachodem. Na Zachodzie wliczano usługi niematerialne do dochodu narodowego. Na Wschodzie nie. Socjalizm wschodni, nie tylko w tej sprawie, chciał uchodzić za jedyne prawowitego spadkobiercę Marksa, podobnie jak dawne księstwa moskiewskie, które od połowy XVI wieku chciały być jedynymi spadkobiercami tradycji chrześcijańskich, a sama Moskwa miała ambicje stać się trzecim Rzymem.

Socjalizm wschodni do końca swoich dni był wierny idei pracy produkcyjnej zakutej w materii i jedynie jej przypisywał zdolność tworzenia dochodu narodowego. Ta wiara znalazła również odbicie w prymacie przemysłu wobec innych działów gospodarki, w prymacie przemysłu ciężkiego wobec lekkiego oraz w kulcie pracy o znamionach znoju.

Taki stosunek do rzeczywistości sprzyjał pionierskiej fazie industrializacji, która dźwignęła kraje słabo rozwinięte, sprzyjał także wojennej strukturze gospodarki. Związek Radziecki wyprzedził przeciw Stany Zjednoczone w ekspansji pozaziemskiej (Gagarin), ale zbyt długo utrzymywał takie priorytety. Ciągłe hołdował industrializacji, nawet wtedy, gdy serwicyzacja wkraczała do krajów Trzeciego Świata. W tym czasie właśnie ujawniły się w pełni mankamenty socjalizmu. Były one mniej widoczne i mniej dotkliwe na wcześniejszych etapach. Kapitalizm przemysłowy i socjalizm znajdowały się po dwóch stronach barykady ustrojowej, ale żyły i działały w tej samej epoce cywilizacyjnej: w świecie fabryk, taśm produkcyjnych i pracy akordowej. Serwicyzacja rozcięła tę jedność. Zmieniła oblicze Zachodu, a Wschód została na przemysłowym etapie. Ścisłej – nie serwicyzacja zostawiła Wschód, lecz Wschód pozostał poza serwicyzacją z powodów doktrynalnych. W finansowej fazie serwicyzacji stało się to już, jak zobaczymy później, zabójcze dla socjalizmu.

Na Zachodzie serwicyzacja zaczęła się wcześniej, ale makroekonomiczne szacunki dochodu narodowego zaczęto stosować później niż w Związku Radzieckim i w większości przypadków od razu zaliczono do niego usługi. W Stanach takie prace podjęto w latach 40. XX wieku, a w Europie zachodniej w latach 50.

Pierwszy etap serwicyzacji, który umownie można umieścić między latami 40. lub 50. XX wieku, a latami 80., był już początkiem nowej epoki, ale miał jeszcze znamiona industrializacji. Struktura ówczesnego sektora usług była tradycyjnie poprawna, Wszystkie rodzaje usług: finanse, oświata, kultura, turystyka itp. zajmowały należne im miejsce nie przyćmiewając innych i nie naruszając proporcji zapewniających względną równowagę.

Serwicyzacja dopisała kolejny rozdział epopei o wielkiej wędrówce ludów poszukujących pracy. Jej poprzedniczka przekształciła ogromne rzesze ludzi wychodzących z rolnictwa w robotników przemysłowo-

wych. Ona sama kontynuowała ten proces, ale inaczej. Otworzyła drzwi zarówno tym, którzy nosili niebieskie kołnierzyki, jak i białokołnierzykowcom. Uczyniła z nich nową grupę ludzi zawodowo czynnych, którzy z biegiem czasu stali się zbiorowością liczniejszą niż proletariaty przemysłowy. Nie kontynuowali tradycji proletariackich, nie tworzyli lewicowych partii politycznych i niezbyt często wstępowali do starych. Nawet do związków zawodowych nie szli masowo. Pretendowali i pretendują nadal do klasy średniej. Można ich nazwać generacją poprzemysłową i poproletariacką, ale nie antyproletariacką. Zastąpili proletariaty w sztafecie cywilizacyjnego rozwoju, ale ta zmiana nie była, po pierwsze, transformacją szokową, a po drugie – nie poszła tą samą trajektorią. Przypominała bardziej, jeśli uciec się do przerośni Thurowa, spokojne przesunięcie wielkiej płyty tektonicznej na cywilizacyjnej mapie świata, niż pęknięcie lub nagły wstrząs.¹⁷ Serwicyzacja raczej łagodziła procesy rozwojowe, obniżała progi na drodze ewolucji i ułatwiała transfery. Była łodzią ratunkową dla ludzi wyrzuconych przez industrializację, a ściślej – przez jej późniejsze etapy – automatyzację i robotyzację.

Dziś już jest inaczej. Usługi automatyzują się, powstają wielkie centra przetwarzania danych organizowane na wzór transnarodowych korporacji przemysłowych, obsługujące firmy na całym świecie. Specjalizacja sprawia, że wydajność pracy w takich centrach jest o wiele większa niż w przykładowych ośrodkach. Polska aktywnie uczestniczy w tych działaniach i zaczyna rywalizować z Indiami. Inne rodzaje usług po prostu giną, gdyż przemysł wytwarza masowo tanie wyroby, których nie opłaca się naprawiać. Przy poprzednich wielkich transferach dziedziny przekazujące i przyjmujące ludzi stały naprzeciw siebie. Dziś nie ma zmiennika, sztafeta urywa się nagle, gdyż automatyzacja sprawia, że praca żywa staje się zbyteczna. Z tego powodu w dalekosieżnych projekcjach przyszłościowych szuka się zastępczych form aktywności. Szuka się zajęć pozapłacowych, a nie pracy zarobkowej¹⁸. Następczyni automatyzacji przemysłowej, niezależnie od tego, czy nazwiemy ją elektronizacją, cyfryzacją, czy informatyzacją nie poszła w ślady swojej poprzedniczki. Nie stworzyła zapotrzebowania na sektory oparte na pracy ręcznej lub na sektory mniej zautomatyzowane. Doprowadziła do takiego stanu, że praca w dotychczasowym rozumieniu staje się niepotrzebna. Dotyczy to zarówno gloryfikowanej kiedyś pracy produkcyjnej, wytwarzającej dobra materialne, jak i pracy wytwarzającej usługi. Ginie praca jako taka, odwieczny atrybut człowieka i symbol lewicy. Historia znów wraca do swego ulubionego wyzwania: *Hic Rhodus, hic salta*.

3.2. Drugi etap serwicyzacji

Od lat 80. XX wieku datuje się drugi etap serwicyzacji, nazwany finansyzacją. Bywa on traktowany jako odrębny etap w rozwoju kapitalizmu, ale są argumenty przemawiające za trzymaniem go w ramach serwicyzacji. Etap ten odznacza się czterema cechami.

Po pierwsze – tym, że udział sektora finansowego, czyli banków, towarzystw ubezpieczeniowych, funduszy inwestycyjnych itp. w tworzeniu PKB jest większy niż udział sektora przemysłowego. Zmienia to całą

konfigurację sektorów i tworzy nową hierarchię inną niż ta, którą w XIX wieku ustanowił przemysł, zajmuje miejsce ówczesnego lidera, jakim było rolnictwo.

Po drugie – tym, że kapitał finansowy wyrażony w akcjach, obligacjach, skryptach dłużnych oraz walorach pochodnych jest zdecydowanie większy od kapitału rzeczowego, który winien, historycznie rzecz ujmując, być podstawą kapitału finansowego. Wynika to głównie z wydłużającego się łańcucha walorów pochodnych (sekuratyżacja).

Po trzecie – tym, że obroty na światowych rynkach finansowych przewyższają wielokrotnie globalną wartość PKB. Wynika to ze wzrostu masy kapitału finansowego, jak i z wyjątkowo dużej szybkości krążenia tego kapitału, spowodowanej rozwojem środków łączności.

Po czwarte – tym, że finanse wyszły poza ramy rynków lokalnych, właściwych dla okresu państw narodowych, utworzyły korporacje o zasięgu globalnym i wypracowały metody działania ma skalę światową. Stały się dzięki temu silną strukturą ponadnarodową, nie mającą ani globalnej przeciwwagi politycznej, ani globalnego partnerstwa politycznego. Anthony Giddens pisał swego czasu, że do takiego stanu rzeczy przyczyniły się również państwa narodowe¹⁹.

Drugi etap serwicyzacji należący do finansów oddalił nas od industrializacji znacznie bardziej niż etap pierwszy. Można nawet mówić o kilku długościach. Pierwszy etap był etapem przemysłu-pochodnym i przemysłu-podobnym. Drugi stworzył nową rzeczywistość. W kapitalizmie finansowym nie ma wielkich nazwisk reprezentujących sferę przemysłową, ale ten fakt nie dziwi zbyt mocno. Kapitalizm z czasów Henry Forda, Alfreda Kruppa, Louisa Chevrolete'a już dawno przeszedł do historii. Nawet wcześniej niż proletariatu i nie on go zgubił. Zrobił to jego następca – kapitalizm usług. Dziś już nie ma obydwu biegunów kapitalizmu przemysłowego, nie ma firm rodowych, sławetnej pozostałości feudalnych struktur i nie ma cienkich, bo cienkich, ale występujących przeciw elementom paternalizmu.

Zdziwienie może jednak budzić fakt, że nie ma również nazwisk wielkich bankierów, jak kiedyś Morganowie lub Rothschildowie, mimo że dopiero teraz żyjemy w kapitalizmie finansowym. Czy mamy zatem kapitalizm bez kapitalistów? Trafne pytanie. Władcami kapitału są dziś menedżerowie, którzy stanowią część składową pracowników najemnych. Prawda, że część specjalną, ale jednak są pracownikami, a nie członkami wielkich rodów kapitalistycznych. Pełnią funkcje kierownicze i otrzymują wynagrodzenie kilkaset razy większe od przeciętnych krajowych. W Polsce też są tacy, a niektórzy z nich zarabiają ponad milion złotych miesięcznie. Dziennikarze pytają, czy są oni kilkaset razy wydajniejsi od swoich podwładnych i kilkaset razy mądrzejsi (nie mam wiarygodnych danych na temat współczynników inteligencji menedżerów). Nie ma nic niestosownego w takich pytaniach. Stosuje się je przeciw powszechnie wobec pracowników najemnych.

Wysokie wynagrodzenia menedżerów doprowadziły do *oligarchizacji dochodów pracowniczych*. Sam termin nie upowszechnił się jeszcze, a szkoda, bo odpowiada rzeczywistości i stanowi doskonałe uzu-

pełnienie ukutego przed kilkoma dekadami pojęcia *demokratyzacja kapitału*. Ową demokratyzację zawiądzamy głównie spółkom akcyjnym, zmierzającym do rozproszenia udziałów. Zapewnia ono dopływ dochodów nawet od ludzi niezamożnych, a jednocześnie ułatwia menedżerom lawirowanie wśród drobnych posiadaczy akcji śmieciowych. Dziś dosłownie za grosze można kupić akcje na Warszawskiej Giełdzie Papierów Wartościowych (podobnie jest na innych giełdach). Za jednomiesięczną przeciętną pensję kupi się pakiet liczący tysiące akcji. Oznacza to, że o wiele łatwiej stać się kapitalistycznym współwłaścicielem takiej lub innej firmy, niż pracownikiem najemnym z najwyższej, a nawet ze średniej półki. Gdzie w takiej scenerii znajdziesz opastego burżuja, a gdzie najmitę? Gdzie znajduje się elektorat partii lewicowych i skąd mają napływać ich członkowie?

Świat finansów, zwłaszcza ten równoległy do przemysłowej fazy kapitalizmu, był czymś obcym dla robotnika, dla jego związków zawodowych i organizacji partyjnych. Dzisiaj już jest inaczej. Na Zachodzie od dziesięcioleci ludzie pracy uczestniczą aktywnie w przepływie kapitału. Kupują i sprzedają akcje, mają swoje ulubione biura maklerskie, wiedzą, które fundusze inwestycyjne dawały najwyższe stopy zwrotu w ostatnich pięciu lub piętnastu latach i próbują odgadnąć (z tym już jest gorzej), które z nich dadzą najwięcej zarobić w przyszłości. Podręczniki pouczają ich, że z rynkiem nie da się wygrać, ale wielu próbuje i niektórym się udaje. Wygrani i przegrani, a także ci, którzy stoją z boku i powierzają swoje pieniądze graczom zawodowym tworzą skomplikowany mechanizm napędzający rozwój gospodarczy, decydujący o podziale dochodów i kształtujący nastroje społeczne. Sfera finansowa wysunęła się na czoło układu gospodarczego. Rynki finansowe zawładnęły światem i wkraczają w sferę polityki. Decydują o dymisji rządów i o „demokratycznym” wyborze nowych. Deklarują leseferyzm, ale nie do końca. Prywatyzują bowiem zyski, lecz wymuszają nacjonalizację strat strasząc rządy, że ich główne podmioty, a zwłaszcza banki są zbyt duże, żeby upaść²⁰.

Socjalizm wschodni otarł się lekko o serwicyzację, gdyż uwzględnił usługi materialne (transport, łączność, handel), ale finansyzacja całkowicie go ominęła. Istniały co prawda banki, kasy oszczędnościowe, pożyczki i kredyty, ale nie było rynku kapitałowego stanowiącego sól soli rynkowych form gospodarowania. Ekspozyturami takiego rynku są giełdy papierów wartościowych, biura maklerskie, fundusze inwestycyjne itp. Jego wnętrze, sama istota polega na rynkowej alokacji czynników produkcji, a jeszcze ściślej na kupnie i sprzedaży tytułów własności. Socjalizm wschodni nie miał giełd i nie tolerował handlu tytułami własności na środki produkcji. Jedynym głównym właścicielem podstawowych czynników produkcji: ziemi, fabryk, środków komunikacji było państwo. Przedsiębiorstwa państwowe handlowały wprawdzie niektórymi z nich, ale nie miało to nic wspólnego z kupnem i sprzedażą tytułów własności. Pozostawały one nadal w rękach jednego monopolistycznego podmiotu – państwa. Firmy krajowe nie były takimi podmiotami, firmy zagraniczne nie mogły kupić lub sprzedać fabryki, ziemi itp.

Prażródło takiego stanu rzeczy tkwiło w marksowskiej doktrynie o bezrynkowym komunizmie²¹. Życie zmusiło wprawdzie twórców socjalizmu wschodniego do licznych ustępstw na rzecz rynku, ale tytuły własności podstawowych czynników produkcji nie stały się przedmiotem rynkowej alokacji. Liczne reformy prorynkowe nie przekroczyły bariery rynku kapitałowego. Brus i Łaski uznali ten fakt za główną przyczynę słabej efektywności gospodarki socjalistycznej i główną sprawczynią jej upadku²². Podobnie pisali inni. Dlaczego nie przekraczano tej bariery? Zaważyły względy doktrynalne. Społeczna własność podstawowych czynników produkcji i pozarynkowa alokacja stanowiły konstytutywną cechę socjalizmu. Po jej odrzuceniu socjalizm stałby się kapitalizmem i dlatego nie chciano jej przekraczać.

Dotyczyło to jednak ówczesnej wersji socjalizmu wschodniego, a nie socjalizmu w ogóle. Już wtedy, a nawet wcześniej istniało wiele koncepcji innego socjalizmu, które dopuszczały rynkową alokację czynników produkcji. Chodzi tu o liczne nurty socjalizmu rynkowego, nie mówiąc już o socjalizujących koncepcjach szerokiego pasma trzech dróg. Założenia polskiej reformy z lat 80. XX wieku także przewidywały elementy takiego rynku. Był to czas wielkiej próby dla socjalizmu wschodniego i dla teoretycznych modeli innych odmian socjalizmu. W skali globu zapanował wtedy kapitalizm amerykański, którego główną cechą jest tzw. giełdycyzacja gospodarki. Polega ona na tym, że firmy zdobywają kapitał głównie przez emisję akcji, a nie przez zaciąganie kredytów bankowych. Ten drugi – bankowy sposób dominował wówczas w Europie i do dziś odgrywa tu większą rolę niż w Stanach Zjednoczonych. Jego znamionami, nie wchodząc w szczególność, są: większa stabilność, przewidywalność, a nawet swoiste dostojenie. Amerykański model jest natomiast dynamiczny, wrażliwy na impulsy wewnętrzne i zewnętrzne. Dziś taki model panuje na rynku globalnym i trzęsie nie tylko gospodarką, ale także całym systemem.

Za modelem bankowym – europejskim, socjalizm wschodni próbował nadać. Kredyty można zaciągać bez zmiany tytułów własności. Do amerykańskiego nie miał w ogóle dostępu z powodu ustrojowych barier własnościowych. Cały świat kapitalistyczny, łącznie z krajami słabiej rozwiniętymi, modernizował się wówczas przez napływ kapitału w formie bezpośrednich inwestycji zagranicznych i w formach pokrewnych, dopuszczających kupno i sprzedaż tytułów własności plus menedżmentu. Socjalizm wschodni nie mógł zdobyć się na to. Ostatnią wielką próbą kredytowej modernizacji Wschodu było polskie otwarcie się na Zachód w latach 70. XX wieku (epoka Gierka). Jednak i w tym przypadku pod koniec dekady sięgnięto już po BIZ, gdyż kredytowa droga nie dawała oczekiwanych rezultatów.

Chińczycy wypróbowali wówczas inną metodę. Tworzyli wielkie enklawy dla firm zagranicznych, a z czasem przeszli do BIZ i do prywatyzacji rodzimego potencjału gospodarczego. Utworzyli kapitalistyczną bazę gospodarczą, ale zachowali socjalistyczną nadbudowę polityczną. Oficjalnie nazywają swój system socjalizmem rynkowym lub ustrojem z chińską specyfiką²³. Taka hybryda nie mieści się w tradycji europejskiej,

ale Chińczykom nie przeszkadza. Podkreślają, że są pragmatykami (sławetna anegdota o kocie) i dziwią się, że Europejczycy tak wiele uwagi przywiązują do idei.

Chińczycy sami wymyślili taki system i konsekwentnie wcielają go w życie²⁴. W Europie Środkowej i Wschodniej myślano o wielu wariantach transformacji, ale międzynarodowy układ sił sprawił, że wybrano neoliberalny wariant kapitalizmu. Polskę i inne kraje, nazywane kiedyś krajami demokracji ludowej, taka „pomoc” w wyborze ustroju spotkała dwukrotnie w ciągu jednego półwiecza.

Nokautujący cios ze strony rynków finansowych nie był jedyną przyczyną upadku socjalizmu wschodniego. Poważną rolę odegrały także inne przyczyny: start z niskiego poziomu gospodarczego i konfrontacyjna rywalizacja z najsilniejszym układem na kuli ziemskiej. Niewykluczone, że w takiej konkurencji musiałaby paść nawet cała Europa zachodnia, która była matką rynkowej gospodarki i kolebką kapitalizmu. Zatem nie tylko brak rynku przeszkadzał socjalizmowi. Nie zmienia to jednak faktu, że ostatnie uderzenie otrzymał od rynków finansowych.

Statystyka nie pozostawia złudzeń, że współczesny świat gospodarczy definitywnie zawojowała serwicyzacja. Udział usług w światowym wolumenie PKB wynosił w 2012 roku 63,3 proc., udział rolnictwa zaledwie 5,9 proc., zaś udział przemysłu 30,5 proc. (**patrz tabela na następnej stronie**). Same usługi mają zatem ponad dwukrotnie większy udział w całym bogactwie narodów niż przemysł oraz prawie dwa razy większy niż obydwa pozostałe sektory policzone łącznie. Przewaga usług nad rolnictwem i przemysłem trwa już kilka dekad i zwiększa się nadal. W krajach wysokorozwiniętych jest ona zdecydowanie większa niż w pozostałych, ale niegdyś różnice między uprzemysłowioną Europą i Ameryką a rolniczą resztą świata były bardziej krzyżące. Usługi równomierniej rozkładają się w świecie. Można by zatem przypuszczać, że ten usługowy egalitaryzm przyczyni się do łagodzenia różnic w zasobności majątkowej krajów. Na razie wystąpiło to na nielicznych obszarach.

Największy udział usług, sięgający 80 proc. PKB występuje dziś w Stanach Zjednoczonych, we Francji i w Anglii. W przedziale między 70 a 79 proc. mieści się Japonia, Niemcy, Dania, Hiszpania, Holandia, Szwajcaria, Szwecja, Belgia, Grecja. W niższym decylnie występują: Brazylia, Rosja, Indie, Kanada, Australia, Meksyk, Turcja, Tajwan, Austria, Afryka Południowa, Polska. Jest wreszcie trzecia grupa z udziałem poniżej 60 proc., a więc i poniżej średniej światowej. Należą do niej: Tajlandia, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Argentyna, a także Norwegia (59 proc.) oraz Indonezja, Korea Południowa, Arabia Saudyjska, Iran. Wśród nich są kraje z bardzo niskim udziałem usług wynoszącym od 30 do 40 proc. PKB. Warto zwrócić uwagę, że udział rolnictwa spadł do symbolicznej wielkości. W Stanach Zjednoczonych wynosi 1,2 proc., w Niemczech 0,8 proc., w Anglii 0,7 proc., podobnie w Belgii. Natomiast w Danii sięga do 4,5 proc. i stanowi rekordową wielkość w Europie Zachodniej.

Czy takie podłoże gospodarcze można nazwać podłożem sprzyjającym lewicy, albo obojętnym lub nieprzyjaznym? Przede wszystkim

Struktura sektorowa PKB w 2012 roku w milionach USD i w procentach

#	Kraj	PKB nominalny	Rolnictwo	Przemysł	Usługi	Rolnictwo	Przemysł	Usługi
0	Świat	71.707.302	5.9%	30.5%	63.6%	4.230.731	21.870.727	45.605.844
1	Stany Zjednoczone	15,684,750	1.2%	19.1%	79.7%	188,217	2,995,787	12,500,746
2	Chiny	8.227.037	10.1%	45.3%	44.6%	830.931	3.726.848	3.669.259
3	Japonia	5.963.969	1.2%	27.5%	71.4%	71.568	1.640.091	4.258.274
4	Niemcy	3.400.579	0.8%	28.1%	71.1%	27.205	955.563	2.417.812
5	Francja	2.608.699	1.9%	18.3%	79.8%	49.565	477.392	2.081.742
6	Wielka Brytania	2,440,505	0.7%	21.1%	78.2%	17,084	514,947	1,908,475
7	Brazylia	2.395.968	5.4%	27.4%	67.2%	129.382	656.495	1.610.090
8	Rosja	2.021.960	3.9%	36%	60.1%	78.856	727.906	1.215.198
9	Włochy	2.014.019	2%	23.9%	74.1%	40.280	481.351	1.492.388
10	Indie	1.824.832	17%	18%	65%	310.221	328.470	1.186.141
11	Kanada	1.819.081	1.8%	28.6%	69.6%	32.743	520.257	1.266.080
12	Australia	1.542.055	4%	26.6%	69.4%	61.682	410.187	1.070.186
13	Hiszpania	1.340.266	3.3%	24.2%	72.6%	44.229	324.344	973.033
14	Meksyk	1.162.891	3.7%	34.2%	62.1%	43.027	397.709	722.155
15	Korea Południowa	1,151,271	2.7%	39.8%	57.5%	31,084	458,206	661,981
16	Indonezja	894.854	14.3%	46.9%	38.8%	127.964	419.687	347.203
17	Turcja	783.064	8.9%	28.1%	63%	69.693	220.041	493.330
18	Holandia	770.224	2.8%	24.1%	73.2%	21.566	185.624	563.804
19	Arabia Saudyjska	657,049	2%	66.9%	31.1%	13,141	439,566	204,342
20	Szwajcaria	622.855	1.3%	27.7%	71%	8.097	172.531	442.227
21	Szwecja	538.237	1.8%	26.9%	71.3%	9.688	144.786	383.763
22	Polska	513.821	3.4%	33.6%	63%	17.470	172.644	323.707

Źródło:
http://en.wikipedia.org/wiki/List_of_countries_by_GDP_sector_composition (dostęp 12 września 2013 r.), za:
 International Monetary Fund, World Economic Outlook Database, April 2012: Nominal GDP list of countries. Data for the year 2012. – IMF,
<http://www.imf.org/external/pubs/ft/weo/2012/01/weodata/index.aspx>
 Field Listing - GDP composition by sector. - CIA World Factbook, <https://www.cia.gov/library/publications/the-world-factbook/fields/2012.html>

trzeba je znać. Stanowi bowiem ważny element całego środowiska cywilizacyjnego, w którym działają lub mają działać takie lub inne ugrupowania polityczne. Po drugie, warto pamiętać, że podłoże jest tylko jednym z elementów. Żyją i królują przecież monarchowie (i monarchinie), choć nie ma tradycyjnych monarchii. Są partie chłopskie również tam, gdzie nie ma już chłopów. Lewica podlega takim samym prawidłowościom. Działają przecież lewicowe partie polityczne, lewicowe związki zawodowe i lewicowe skrzydła w partiach centrowych²⁵, choć od kilku dziesięcioleci nie ma pogody dla lewicy. Łatwiej będzie powiedzieć, jaki typ lewicy jest dzisiaj wykluczony lub – mniej stanowczo twierdząc – wysoce wątpliwy, niż sugerować, że taki, a nie inny na pewno się pojawi. Otóż niemożliwe jest odrodzenie lewicy proletariackiej, gdyż nie ma proletariatu i nie ma klimatu dla tradycji proletariackiej. Sądzą nawet, że nie ma czegoś więcej. Nie ma już warunków dla organizacji skupiających przedstawicieli określonych zawodów i warstw społecznych, ponieważ nie ma takich wy-

rażnych granic między zawodami, jak kiedyś bywało. Warstwy i klasy społeczne też nie są czymś zwartym. Głównym spoiwem łączącym dzisiejsze, a zapewne i przyszłe organizacje lewicowe są poglądy polityczne i cały system wartości.

* * *

W końcowej części artykułu chciałbym odnieść się do trzech pytań związanych z przyszłością lewicy:

Pierwsze pytanie – gdzie szukać inspiracji? Bez wątplenia w przeszłości. Tam bowiem i tylko tam znajduje się wiedza zakodowana na wszelkich nośnikach informacji oraz wiedza niekodowana tkwiąca w ludzkich umysłach. Innej wiedzy nie ma. Jest natomiast gotowość do poszukiwań i nadzieja na nową wiedzę. Powstaje ona na gruncie dotychczasowego dorobku teoretycznego i zdobytych doświadczeń praktycznych.

Trzy sposoby zdobywania tej wiedzy odgrywają największą rolę: 1/ prosta kontynuacja rozpoczętych wcześniej poszukiwań, 2/ odwracanie obowiązujących

poglądów na zasadzie teza – antyteza, 3/ konfrontowanie wiedzy z niewiedzą najczęściej w formie pytań. Wszystkie trzy sposoby zawierają elementy kontynuacji. Nie powstałaby przecież antyteza czegoś, co nie istniało i nie stawia się nowych pytań bez świadomości, że nie dano na nie wcześniejszej odpowiedzi. Jedynie wszechmocny kreator mógłby stworzyć coś z niczego, działając w całkowitej pustce. Ludzie nie są w stanie tego dokonać. Nie róbnymy sobie zatem nadziei, że stworzymy całkiem nową lewicę, ale nie myślimy, że jesteśmy skazani na działania tradycyjne. Między tymi skrajnościami znajduje się szerokie pole wyboru i od woli poszukujących, a także od innych okoliczności zależy to, co faktycznie zostanie wybrane.

Największe zasoby lewicowych fenomenów posiada Europa. Przez wieki całe była najwydajniejszą kuźnią myśli lewicowej i najsprawniejszym laboratorium doświadczalnym. Są kraje i całe kontynenty lepsze od Europy pod względem demograficznym, bogatsze w sensie materialnym i silniejsze militarnie, ale nigdzie nie ma zasobniejszych skarbów idei lewicowych i bogatszej praktyki lewicowej. Utrwaliło się przekonanie, że Europa ma bogatą wiedzę, ale Ameryka wie lepiej, jak wiedzę wykorzystać. Dużo w tym prawdy, ale nie odnosi się to do spraw lewicy i lewicowości. Doświadczenia Skandynawii, Austrii, Niemiec, Francji, Anglii i innych krajów świadczą o tym najlepiej. Bardzo dobrze odmalował tę cechę europejskości Jeremi Rifkin w swej znakomitej książce *European Dream*. Trudno jednak uciec od pytania – czy cały ten dorobek nie jest przestarzały, dziś nieprzydatny, a może nawet przeszkadzający? Wiadomo przecież, że kryzys lewicy jest częścią składową kryzysu Europy i europejskości. Wielu nawet twierdzi, że lewicowe ideały doprowadziły Europę do obecnego stanu i one właśnie ciągną ją w dół. Tkwi w tym twierdzeniu duża przesada, ale nawet gdyby tak było, to tym dokładniej trzeba by studiować przeszłość i tam szukać odpowiedzi, które segmenty zużyły się, dlaczego tak się stało i jakie z tego wynikają wnioski.

Drugie pytanie – jak lewica winna korzystać z krytyki oponentów?

Odwoływałem się już parę razy do żartobliwego, ale pouczającego zapisu Oskara Lange, który proponował ustawić posąg Ludwiga von Misesa w paradnej sali Ministerstwa Gospodarki Uspołecznionej lub Centralnego Urzędu Planowania jako dowód wdzięczności za jego druzgocącą krytykę socjalizmu, obiecującego lepszą przyszłość bez rynku, bez cen i bez rachunku ekonomicznego²⁶. Gdyby po transformacji taki posąg pojmany dosłownie lub w przenośni ustawiono gdzieś w Polsce, na Węgrzech lub w Czechach, to cały mój zamysł spaliłby na panewce, bo nie chodzi mi o stawianie pomników „przez swoich dla swoich”. Takimi pomnikami uświetniono całą historię. Chodzi mi o pomniki stawiane oponentom, przeciwnikom, a nawet wrogom. Wielu z nich zrobiło dla sprawy znacznie więcej niż gorliwi zwolennicy.

Lewica wschodnia dokonała wiekopomnego dzieła współtworząc z opozycją pokojową transformację ustrojową. Nie udało się to ponad dwa wieki wcześniej w Paryżu, ani ponad 90 lat temu w Piotrogradzie. Dziś warto podjąć dalsze działania. Trzeba sięgnąć do dawnej i współczesnej krytyki ze strony prawicy. Ta oponentka jest od dawna znana i niezawodna. Nie

przechwytuje ideałów lewicowych, nie tworzy sojuszków z lewicą (choć wyjątki były), jest jawnie krytyczna i bezpardonowa. Jej krytyka ma zatem wyjątkową wagę. Kto ze współczesnej lewicy zaproponuje grupowy pomnik dla Milтона Friedmana i jego młodszych kolegów ze szkoły chicagowskiej? Oni naprawdę zasługują na to. Są mądrzy, konsekwentni i *nolens volens* uczynili dla lewicy może nawet nie mniej niż Mises. Obawiam się, że nie podejmą takiej próby nawet dalecy od lewicy keynesiści, bo oni także uczestniczą w tej upraszczającej grze zerojedynkowej: „albo my, albo oni”.

Współczesna lewica wschodnia ma jeszcze jedną okazję do wykorzystania wskazań Langego. Chodzi o pomijany kiedyś ze względów doktrynalnych, a dziś zapoznany cały reformatorski ruch, poczynając od Bernsteina przez dorobek powojennej socjaldemokracji, rewolucję goździków, dzieci kwiaty i eurokomunizm. Polska lewica ma ponadto rodzime zasoby. Powinna sięgnąć do dorobku własnych rewizjonistów i do wyznań dawnych ukąszonych. Większość z nich tworzy przecież ciąg dalszy bogatej lewicowej tradycji europejskiej. Zinstytucjonalizowana lewica polska zagląda do ich dorobku, ale nieśmiało, anonimowo i nie śpieszy się, by skorzystać z sugestii Langego.

Trzecie pytanie – o czym dyskutować?

Tematów jest wiele, ale wydaje się, że w tym tekście, dotyczącym lewicy i świata, godny uwagi będzie kapitalistyczny model ustrojowy. Od początku lat 90. XX wieku kapitalizm jest jedynym władcą sceny globalnej. Z taką sytuacją świat współczesny nie miał do czynienia bodaj od czterech wieków. W młodości kapitalizm zmagał się bowiem z ustępującym feudalizmem, a w wieku dojrzałym musiał zmagać się z socjalizmem wschodnim. Relacje wewnętrzne również najeżone były przeciwnościami.

Dziś nie ma ustrojowej opozycji zewnętrznej, zaś lewicowa opozycja wewnętrzna zdecydowanie osłabła. O wiele słabszy jest także opór pracowników najemnych. Prekariat, wykluczeni, Occupy Wall Street nie dorównują pod tym względem proletariatu przemysłowemu. Można odnieść wrażenie, że ten ustrojowy monopol kapitalizmu nie wywołuje obaw i nie jest pierwszoplanowym tematem w dyskursie o współczesnym świecie. Ginie gdzieś między takimi tematami, jak rosnąca potęga Chin²⁷, nieład światowy wynikający z pojawiającej się wielobiegunowości i groźba ocieplenia. Nie kapitalizm jako taki jest zatem przedmiotem troski, lecz pęknięcia wewnątrzustrojowe. Mało kto dzisiaj twierdzi, że kapitalizm jest doskonały. Mimo to umacnia się teza Margareth Thatcher o bezalternatywności kapitalizmu. Ekonomiści piszą, że rządzi rynek i tylko rynek²⁸, a biznesmeni i politycy przyjmują taki stan rzeczy jako coś naturalnego i bezdyskusyjnego.

Marzenia o takiej sytuacji są równie stare, jak sam kapitalizm. Marzyli o niej kiedyś europejscy kolonizatorzy, a później ich następcy. Socjaliści i komuniści zachowywali się podobnie. Rewolucja zaczęła się w Rosji, ale miała pójść dalej. W 1920 roku już trasa była wyznaczona: najpierw Warszawa, potem Berlin, Paryż i Londyn, a w końcu cały świat. Każda ze stron uważała, że jedynie ona winna zostać na polu walki. Nikt wówczas nie myślał o wadach monosystemu. Dostrzegano wyłącznie zalety, choć znano wady monopolu gospodarczych i jedynowładztwa politycznego.

Bieg wydarzeń sprawił, że na scenie globalnej zostały dwa megasystemy. Walczyły ze sobą na różne sposoby, ale uczyły się także koegzystencji. Kształtowała ona obydwa ustroje i wywarła wpływ na ich systemy gospodarcze, polityczne oraz na sektory militarne i pozostałe. Było nawet przenikanie. Kapitalizm socjalizował się, zwłaszcza w dziedzinie praw pracowniczych, a socjalizm przejmował pewne elementy mechanizmu rynkowego i niektóre zwyczaje dyplomatyczne, a z pozasystemowych elementów – nowoczesną technikę. Gdyby kapitalizm lub socjalizm działał wówczas jako monosystem, to bez wątplenia każdy z nich wyglądałby inaczej, niż faktycznie wyglądał.

Koegzystencja i przepływy międzyustrojowe sprawiły, że Jan Tinbergen wysunął śmiałą tezę o konwergencji ustrojów. Podchwyciło ją wielu teoretyków i choć do połączenia nie doszło, to sama idea jest ciągle żywa i dla lewicy w dalszej perspektywie niezmiernie ważna. Na razie jednak są pilniejsze sprawy. Istnieją poważne obawy, czy kapitalizm kształtowany w ciągłych starciach potrafi grać solo. W latach 50, XX wieku Galbraight wysunął tezę, że kapitalizm potrzebuje sił przeciwstawnych²⁹. Kiedyś miał je na zewnątrz i wewnątrz. Czy dziś osłabiona lewicowa opozycja wewnątrzustrojowa zdoła udźwignąć cały ciężar tej przeciwstawności? Jakie będą jej własne losy i losy całego świata skazanego na monosystem kapitalistyczny? Wszelki monizm zamraża, usztywnia, eliminuje rywalizację, zabija demokrację. Tadeusz Kowalik pisał, że młody, pionierski kapitalizm posiadał wewnętrzne siły napędowe, ale taki kapitalizm należy do przeszłości. Współczesny, dojrzały kapitalizm wymaga, jak wykazał wiek XX, stymulacji z zewnątrz i od wewnątrz³⁰.

Przypomnieć warto, że kiedyś przewidywano automatyczny krach kapitalizmu. Nie ziściły się te przewidywania. Nie znaczy to jednak, że kapitalizm będzie wiecznotrwały. Wysoce prawdopodobne jest powolne i długotrwałe przekształcanie kapitalizmu w jakąś formację postkapitalistyczną. Przyszłe pokolenia ustalą, jak można sądzić, nową cezurą międzyustrojową i wybiorą nazwę dla przyszłej formacji. Czy będzie ona strukturą demokratyczną, wrażliwą na ludzkie losy, zwłaszcza na losy ludzi słabszych, wymagających pomocy, zależy w dużym stopniu od dzisiejszych i przyszłych ugrupowań lewicowych, od ich ideałów i mądrej polityki. Dyskusja o tych sprawach jest w gruncie rzeczy dyskusją o tożsamości lewicy³¹.

ZBIGNIEW MADEJ

Przypisy:

1. Bauman Z., *Czy przyszłość ma lewicę*, „Zdanie” 3-4 (154-155) 2012.
2. Ricardo D., *Zasady ekonomii politycznej i opodatkowania*, Warszawa 1957, s. 81 i następane.
3. Marks K., *Kapitał* t. 1. Dział 2, 3, 4 i 5. Warszawa 1951.
4. Engels F., *Rola pracy w procesie ucłowieczenia małpy* [w:] Marks, Engels, *Dzieła wybrane* tom II, Warszawa 1949.
5. Arendt H., *Kondycja ludzka*, przeł. Anna Łagodźka, Warszawa 2000, s. 160 i następane.
6. Martin H.P., Schuman N.N., *Putapka globalizacji. Atak na demokrację i dobrobyt*, przeł. Marek Zybura, Wrocław 2001, s. 8.

7. Arendt H., op.. cit, s. 9.
8. Rifkin J., *Koniec pracy. Schyłek siły roboczej na świecie i początek ery posttrynkowej*, przeł. Ewa Kania, Wrocław 2001.
9. *Mały rocznik statystyczny 1939*, s. 60. Nakładem GUS.
10. Kubiak H., *Przyszłość partii lewicowych*, „Zdanie” 3-4 (154-155) 2012, s. 23.
11. Zakaria F., *The Post - American World*, W.W. Norton & Company, New York 2008.
12. Bowley A., Stamp J., *The National Income*, Oxford 1927.
13. Kalecki M., *Szacunek dochodu społecznego w roku 1929. Dochód społeczny w roku 1933 i podstawy periodycznych badań nad zmianami dochodu*, [w:] Michał Kalecki, *Dzieła* t.6, Warszawa 1988, s. 234-333.
14. Bobrowski Cz., *Wspomnienia ze stulecia*, Lublin 1985; s. 144-200.
15. Jagiełło J., *O polską drogę do socjalizmu. Dyskusja PPR i PPS w latach 1944-1948*, Warszawa-Kraków 1984.
16. Bobrowski wielokrotnie podkreślał, że był to spór wyolbrzymiony: „bardzo wielu niemarksistowskich ekonomistów – w Polsce nie tylko Bigeleisen, ale np. Taylor – nie zaliczali usług do dochodu narodowego, nie stając się przez to marksistami. Mniejszość marksistowskich ekonomistów jest za liczeniem usług w dochodzie narodowym. Takie stanowisko – z powodów politycznych – zajął Oskar Lange, wycofując się, co prawda, z niego później... Włączenie usług w latach czterdziestych pozwalało na porównanie poziomu dochodu i dynamiki wzrostu z opracowaniami przedwojennymi”. Cz. Bobrowski op. cit. s. 195 i 196.
17. Thurow L. C., *Przyszłość kapitalizmu. Jak dzisiejsze siły ekonomiczne kształtują świat jutra*, Wrocław 1999.
18. Schaff A., *Dokąd prowadzi droga. Skutki społeczne drugiej rewolucji przemysłowej*, Szczecin 1988.
19. Giddens A., *Trzecia droga*, przeł. Hanna Jankowska, Warszawa 1999, s. 34.
20. Stiglitz J.E., *Freefall. Jazda bez trzymanki. Ameryka, wolne rynki i tonięcie gospodarki światowej*, tłum. Anna Gąsior-Niemiec, Warszawa 2010.
21. Marks K., *Krytyka programu gotajskiego*, [w:] Marks, Engels, *Dzieła wybrane*, tom II, Warszawa 1949.
22. Brus W., Łaski K., *Od Marksa do rynku*, Warszawa 1992, s. 117-186.
23. Huang Y., *Capitalism with Chinese Characteristics. Entrepreneur and State*, Cambridge University Press, Cambridge 2008.
24. Góralczyk B., *Chiński Feniks. Paradoksy wschodzącego mocarstwa*, Warszawa 2010.
25. Walicki A., *Czy możliwy jest liberalizm lewicowy*, „Zdanie” 3-4 (154-155), 2012.
26. Lange O., *O ekonomicznej teorii socjalizmu*, [w:] O. Lange, *Dzieła. Socjalizm* t. 2, s. 233, Warszawa 1973.
27. Jacques M., *When China Rules the World. The End of Western World and the Birth of the New Global Order. The Penguin Books*, New York 2009.
28. Thurow L.T., op.cit., s. 9.
29. Galbraith J.K., *American Capitalism. The Concept of Countervailing Power*, Boston 1952.
30. Kowalik T., *Urynkowanie bez modernizacji*, [w:] *Dwudziestolecie polskich przemian. Konserwatywna modernizacja*, red. nauk. Paweł Kozłowski, Warszawa 2011.
31. Reykowski J., *Oczywiste pytania, trudne odpowiedzi*, „Zdanie” 3-4 (154-155), 2012.

EDWARD KAROLCZUK

O SOCJALIZMIE W NOWEJ PERSPEKTYWIE*

Kiedy ¹ neoliberalni filozofowie, politycy i dziennikarze pocę się nad tym, aby wmówić społeczeństwu, że historia walki o obalenie kapitalizmu dobiegła kresu i nie ma potrzeby rozwoju przeciwnej mu filozofii, ukazała się książka Jerzego Kochana pt. *Socjalizm*. Słowo to na pracowników IPN działa jak płachta na byka. Tu jednak jest jednocześnie protestem wobec istniejącej rzeczywistości, programem oraz wezwaniem do dyskusji akademickiej i walki. Kiedy po 1990 roku wielu filozofów porzuciło marksizm lub uciekło się do mimikry i w imię korzyści osobistych realizuje tematy zastępcze w ramach dominującego neoliberalnego paradygmatu naukowego, Kochan jasno przedstawia motywy napisania tej książki. Jest ona ukoronowaniem jego wieloletnich zainteresowań materializmem dialektycznym i historycznym, i chęcią podzielenia się z czytelnikami umiejętnością stosowania tej metody do analizy aktualnych problemów: globalizacji, alterglobalizacji, wielkiego kryzysu współczesnego kapitalizmu, bezrobocia, rozwarstwienia społecznego, blokowania demokracji. Widzi bowiem bezradność teoretyczną parlamentarnej lewicy, wielu obecnych polityków i uczestników buntów społecznych. Autor odwołuje się do *Manifestu Partii Komunistycznej* i *Kapitału*. Książka jego jest próbą przybliżenia tej tradycji teoretycznej i jednocześnie jej aktualizacji oraz stosowania do analizy postmodernistycznej rzeczywistości.

Kategorie „socjalizm” i „komunizm” mają w tradycji marksizmu określone znaczenie. Kochan, jak sam pisze, traktuje „je czasem zamiennie jako dotyczące społeczeństwa bezklasowego, postkapitalistycznego, nie wchodząc głębiej w różnice między pierwszą i drugą fazę formacji komunistycznej”. Również tytuł jego książki „opiera się na takim założeniu” (s. 12). Nie wchodzi również w spory terminologiczne z czasów „realnego socjalizmu”. Określenia „proletariat”, „klasa robotnicza”, „pracownicy najemni”, podobnie jak „burżuazja”, „kapitałiści”, „właściciele własności prywatnej” używa „w pewnym sensie synonimicznie” (27.).

Treść pojęcia socjalizmu nie jest wynikiem wymysłu jakiegoś geniusza. Pojęcie socjalizmu konstruowane jest przez Kochana w opozycji do pojęcia kapitalizmu, rezultatem odkrycia prawa ruchu formacji kapitalistycznej, przewidywanym efektem ewolucji samego kapitalizmu. Uważa, że nie można socjalizmu sprowadzać do analizy niezależnych od stosunków społecznych stosunków władzy, panowania, demokracji czy praw człowieka. W obecnej dobie, kiedy w dominującym nurcie propagandy obowiązuje doktryna o wyższości własności prywatnej, Kochan krótko określa istotę socjalizmu jako likwidację własności prywatnej i ogólnospołeczne korzystanie z owoców produkcji. „Zatem nie są socjalizmem »serca po lewej stronie«, »sprawiedliwość«, »sprawiedliwość społeczna«, »równość«, »brak wyzysku«, demokracja, ludowładztwo, szczęście, system wartości, brak homofobii, rasizmu etc. Nie jest socjalizmem działalność charytatywna, pomoc głodującym i co tam jeszcze kto chce. Wiele tych rzeczy jest pożytecznych, pożądanych, ba, wartych zaangażowania się w ich realizację i upowszechnienie..., ale to nie socjalizm, a ludzie poświęcający się takim problemom nie są automatycznie socjalistami czy marksistami. Socjalistami i marksistami stają się wraz z akceptacją socjalistycznego sposobu produkcji i działania na rzecz realizacji socjalistycznych stosunków produkcji, socjalistycznych stosunków własności” (s. 34).

„Lewica” prawicę

Niektóre środowiska lubią etykietować się jako „lewica” lub „prawdziwa lewica”. Prawdę powiedziawszy, to pojęcia te są puste, ponieważ swoją lewicę ma każdy ruch społeczno-polityczny, łącznie z Kościołem katolickim. W niektórych kręgach politycznych zachowuje jednak ono pewną nośność ideologiczną. Wyznacznikiem „prawdziwej lewicowości” ma być stosunek do kwestii kobiecej, homofobii, środowiska naturalnego, dochodu gwarantowanego nawet dla niepracujących, niechęć do tworzenia partii politycznych. Jednym z zadań, jakie stawia sobie Kochan, jest zdefiniowanie „nowoczesnego polskiego lewicowego patriotyzmu” i „polskiej lewicowej europejskości” (s. 187). Dla Kochana „prawdziwą

* Rozważania na marginesie książki Jerzego Kochana pt. *Socjalizm*

lewicą”, jeśli posługiwać się tą kategorią, jest historycznie ukształtowany ruch antykapitalistyczny, stojący na gruncie walki klas społecznych, zajmujący stanowisko w kwestii rewolucji socjalistycznej, religii, opowiadający się za tworzeniem antykapitalistycznych partii politycznych. „Wszelka lewica socjalistyczna zaś to ruch społeczny, polityczny, teoretyczny na rzecz stworzenia socjalistycznego sposobu produkcji i zastąpienia nim kapitalistycznego sposobu produkcji” (s. 25).

Kochan bezlitośnie odstawia niekonsekwencje i słabości metodologiczne wielu popularnych na „lewicy”, czy nawet uznawanych za „lewicowych” teoretyków i filozofów: Zygmunta Baumana, Tadeusza Kowalika czy Antonio Negriego. Postać Zygmunta Baumana jest ilustracją wielu bogatych i wstrząsających krytyk współczesności, które tak naprawdę nie są krytykami doli człowieka, losu, nowoczesności czy postnowoczesności, chociaż wzruszające, ale są „kryptokrytykami kapitalizmu”. Kryptokrytykę kapitalizmu większość uprawia nieświadomie, albo z premedytacją, gdyż w tej formie zapewnia „bezpieczną społeczną mimikrę”.

Ilustracją tych autorów, którzy prowadzą krytykę współczesnych stosunków społecznych z pozycji lewicowych, ale nie przekraczają horyzontu społeczeństwa kapitalistycznego, są prace Tadeusza Kowalika. Jego książka o polskiej transformacji będąca oskarżeniem „planu Balcerowicza”, nie odrzuca krytykowanych „reform” ani społeczeństwa kapitalistycznego, ale zarzuca jedynie „ich zbyt przyspieszenie, za duże tempo” (s.125). Kowalik wprost neguje konieczność zastąpienia kapitalizmu przez socjalizm. „To na czym mu zależy, to kapitalizm demokratyczny, bardziej egalitarny, rozumniejszy i bardziej humanitarny” (s. 125-126). Nawet liberałowie mogliby podpisać się pod tymi przewodnimi poglądami.

Przy okazji analizy roli marksizmu w Polsce poświęcił nieco uwagi Andrzejowi Walickiemu, który w kręgach partyjnej lewicy i lewicowych intelektualistów jest uważany za lewicowego guru. Gruba książka Walickiego *Marksizm i skok do królestwa wolności. Dzieje komunistycznej utopii* wydana w 1996 roku, jest „ostateczną rozprawą z totalitarnymi konsekwencjami marksizmu, bardziej ostateczną niż ta Kołakowskiego, bo znajdującą źródło zła już w młodomarksowskiej teorii alienacji”. Zdaniem Kochana „W Polsce specjalistą od Marksa zostaje się, będąc tylko antymarksistowskim marksologiem z pierwszego frontu walki ideologicznej prawicy”. „To marksologiczne zarabianie na znęcaniu się nad skopanym trupem Marksa i jego teorii jest odbierane jako lewicowa refleksja teoretyczna. To tak, jakby hyci brać za miłośników psów, bo tyle czasu poświęcają pieskom” (s. 215).

Nie mniej pryncypialnie Kochan potraktował będącego dla wielu marksistów autorytetem rzekomo uwzględniającym nowe tendencje współczesnego kapitalizmu i swoistym guru na arenie międzynarodowej, Antonio Negriego. Choć Negri deklaruje się jako komunista, który widzi przyszłość komunizmu, to jednak Kochan nie pozostawia żadnych złudzeń co do swego stanowiska wobec jego twórczości. Negriemu w jego książce *Goodbye Mr Socialism* „Chodzi o destrukcję Marksowskiego i marksistowskiego rozumienia zarówno socjalizmu, jak i komunizmu, destrukcję fundamentów naukowego socjalizmu”. Negri „odsyla socjalizm na

złom” (s. 127). Mamy u niego do czynienia ze sprzecznością pomiędzy deklarowanym komunizmem a pozostałymi poglądami, „z totalnym odrzuceniem »realnego socjalizmu« i entuzjastyczną radością z jego podboju przez zniechęcony (?) przez niego kapitalizm” (s. 127). Negri zapominając o tym, czyje rynki były silniejsze i jaki jest obecnie kierunek transferu zysków, cieszy się z obalenia „muru berlińskiego”, gdyż oddzielał on realny socjalizm od „światowych rynków”. Kochan nie zapomina o tym, że Negri w młodości był oskarżony i więziony za porwanie i zamordowanie przez Czerwone Brygady Aldo Moro, premiera Włoch. Pisze pełną pasji uwagę przeciwko terroryzmowi: „Czy »prawdzy« socjalizm to ten związany z Brigate Rosse i terroryzmem, który we Włoszech ostatecznie pogrzebał ideę »kompromisu historycznego«, kosztował lewicę dziesiątki tysięcy uwięzionych i kryzys całej włoskiej lewicy na wiele lat? Kryzys, z którego nie podniosła się ona do dzisiaj, i nad którym swoją »dyktaturę medialną« sprawował Silvio Berlusconi” (s. 127).

Obecnie Negri wydaje się wyzwolony z lewackich poglądów swej młodości. Nadzieje pokłada jednak w wyzwolaniu się „jednostkowości” przez nowe formy komunikowania się i współdziałania w sieci, zwłaszcza dzięki internetowi. Zdaniem Kochana czyni to nieistotnym podziały kapitalista-pracownik i problem wyzysku społecznego. Ale z marksizmem nie ma to nic wspólnego – „liczenie na cuda techniki i dobrą wolę kapitalistów cofa teorię socjalizmu do końca wieku osiemnastego. Infantylizuje i ośmiesza w sposób obezwładniający wszelką poważną dyskusję o alternatywie dla kapitalizmu” (s. 128).

W mistrzowski sposób Kochan przeprowadza krytykę działalności SLD w pełnym pasji artykule *Miller kiler, Wałęsa kupa mięsa...²*. Odziera SLD z wszelkich lewicowych masek. Daje przykład aktualności i umiejętnego zastosowania kategorii materializmu historycznego i dialektycznego do analizy bieżących wydarzeń i procesów politycznych...

Kapitalistyczna transformacja przyszłością komunizmu

Mianem kapitalistycznej transformacji określa się proces przejścia od „realnego socjalizmu” do kapitalizmu. Dla pravicowych naukowców i publicystów kapitalistyczna transformacja dowodzi utopijności socjalizmu i komunizmu, bezużyteczności marksizmu, nieistnienia klasy robotniczej i jej wiodącej roli. Francis Fukuyama wyciągnął z tego wniosek o trwałości liberalnej gospodarki kapitalistycznej i „końcu historii” obalania kapitalizmu.

J. Kochan przedstawia inną interpretację okresu transformacji kapitalistycznej. Odrzuca „lewicowe” jej rozumienie jako wyniku oszukania klasy robotniczej zarówno przez warstwę zarządzającą w realnym socjalizmie, jak i zdrady ideałów pierwszej „Solidarności” przez jej działaczy i dogadania się obu elit przy „Okrągłym Stole”. Odrzuca też „prawicowe” interpretacje o tym, że była ona wynikiem spisku układu, cywilnych i wojskowych służb specjalnych. Żeby transformację właściwie zinterpretować, proponuje odrzucenie trzech mitów: po pierwsze, że istotą transformacji w Polsce jest walka o jej niepodległość, czego mają dowodzić wszystkie powstania narodowe i bunty. Przeczy bo-

wiem temu mitowi wyprzedaż majątku narodowego zagranicznemu kapitałowi, przekazanie międzynarodowym koncernom mediów komunikacji społecznej, podporządkowanie gospodarki narodowej międzynarodowym instytucjom finansowym, wstąpienie do Unii Europejskiej i NATO, przyzwoleń na obce bazy wojskowe w Polsce. Po drugie, odrzuca mit o powszechnym solidaryzmie Polaków i przyzwoleniu na transformację ponad podziałami i konfliktami społecznymi, zwłaszcza wobec zagrożenia zewnętrznego. Wygenerowanie władzy w drodze „demokratycznych” wyborów nie usuwa istniejących sprzeczności. Po trzecie, odrzuca mit, że można analizować sprzeczności i procesy ich przemian w oderwaniu od kontekstu europejskiego czy światowego. Uważa, że uleganie jemu jest „patriotyczną nekrofiliją” (s. 158).

Wpływ własności siły roboczej na stosunki polityczne

Do analizy problemu transformacji J. Kochan stosuje nie tylko kategorię własności prywatnej środków produkcji, ale włącza również kategorię prywatnej własności siły roboczej, której jakoś stanowi o strukturze stosunków własności i strukturze interesów wśród pracowników najemnych i wpływa na układ sił politycznych. To właśnie tłumaczy, dlaczego przy stosunkowo dużym bezrobociu występuje niski współczynnik oporu społecznego (m.in. strajków). Najbardziej korzystnie ulokowana w rynku właścicieli siły roboczej część pracowników najemnych poparła i popiera kapitalistyczną transformację, wyciągając z niej korzyści. Dojście do rynków światowych odbyło się kosztem pauperyzacji i degradacji większości społeczeństwa. „W tym sensie zryw »Solidarności« był jak najbardziej klasowo zorientowanym ruchem dominujących elementów, najbardziej uprzywilejowanych części pracowników najemnych, które były w stanie podporządkować sobie w dużym stopniu inne jej odłamy” (s. 159).

Jak to w dialektyce bywa, rozwiązanie jednych sprzeczności doprowadziło do powstania kolejnych. Jest tylko gospodarka polska stała się częścią gospodarki globalnej z właściwymi jej sprzecznościami, ale również polska klasa robotnicza została zintegrowana z klasą robotniczą najbardziej rozwiniętych gospodarek świata. Jest to powodem optymizmu J. Kochana, położono bowiem w ten sposób praktyczny kres „idei »budowy socjalizmu w jednym kraju« i przywrócono problemowi socjalizmu wymiar europejski i światowy; peryferyjny partykularizm został tym samym zastąpiony przez alterglobalistyczny uniwersalizm. Uwolniono problem socjalizmu od bezpośredniego związku z podziałem świata na dwa militarne bloki, między którymi konflikt groził wojną atomową i zagładą ludzkości. Zlikwidowana została sytuacja, w której to co lewicowe i socjalistyczne wiązano z zacofaniem cywilizacyjnym i peryferyjnym kapitalizmem, przyspieszoną akumulacją pierwotną, czy czasem wręcz z przechodzeniem od feudalizmu do komunizmu z pominięciem kapitalizmu” (s. 160).

Kapitalistyczna transformacja w skali globalnej mogła dlatego dojść do skutku w sposób bezkrawy, bez wojny jądrowej, że sprzeczności realnego socjalizmu miały powszechny charakter, niezależnie od tego, jak wysoki stopień rozwoju socjalizmu deklarowano w poszczególnych krajach. Zwolennicy kapitalizmu są dziś

pełni triumfu. Muszą jednak pamiętać, że również kapitalizm, zanim zwyciężył w skali globalnej, doświadczył porażek wielu rewolucji burżuazyjnych. Jest więc drugie dno tego procesu – kapitalistyczna transformacja „położyła [...] kres rozbięciu Europy i przywróciła na nowo, po stu latach, aktualność powstałego w ramach europejskiej lewicy programu powołania *Socjalistycznych Stanów Zjednoczonych Europy*” (s. 161).

Kochan odkrywa klasowy sens wystąpień klasy robotniczej w 1980 roku i będących jego następstwem przemian po roku 1989. Między bajki wkłada opowieści o narodowym zrywie wolnościowym, zaśługach anarchistów, syndykalistów, trockistów, papieża, Lecha Wałęsy czy Jurija Gorbaczowa. Transformacja kapitalistyczna nie była wynikiem zaskakującego spisku elit czy knoń imperializmu. Siłą napędową przemian była klasa robotnicza i wszystko poszło jak mogło i jak miało iść z punktu widzenia interesów jej uprzywilejowanej części. Klasa robotnicza walczyła o dostęp do najbogatszych rynków sprzedaży siły roboczej i cel ten w zasadzie osiągnęła. Kochan nie kokietuje i nie schlebia klasie robotniczej, jak to czyniono w czasach PRL, i nie neguje jej istnienia i roli, jak to czynią obecnie neoliberałowie. „Sojusz wielkiej części klasy robotniczej (tej najkorzystniej ulokowanej w społecznym podziale pracy – lokalnym i międzynarodowym), olbrzymia większość kadry zarządzającej, bogatego chłopstwa i kapitalistów związanych z gospodarką rolną, część administracji państwowej i samorządowej poprowadził do masowej prywatyzacji własności społecznej. Na jej gruzach doszło do rabunkowego podziału części gospodarki narodowej. Udział w tym miała kadra zarządzająca, przekształcająca się ochoczo w kapitalistów bądź agentów międzynarodowej własności korporacyjnej, ale z równym zacięciem w procesie prywatyzacji i dewastacji własności społecznej brała udział część klasy robotniczej i pracowników najemnych, która przez odprawy, udziały w prywatyzowanych zakładach, horrendalne dofinansowanie całych gałęzi przemysłu, była ekonomicznie *przekupywana i prostytuowana* w celu utrzymania spokoju społecznego. Szerokie procedury prywatyzacyjne, podobnie jak postępujące zadłużenie kraju, były przecież źródłem ratowania budżetu, który asekurował transformację własnościową odprawami, zasiłkami, wcześniejszymi emeryturami” (s. 188).

Kapitalistyczna transformacja doprowadziła do udostępnienia europejskiego rynku pracy wszystkim polskim właścicielom siły roboczej, zintegrowała polską klasę robotniczą z tą w najwyżej rozwiniętych krajach świata. Ale najczęściej przypadły jej stanowiska niszowe, małowartościowe, niskokwalifikowane, zmuszające do porzucenia zdobytych wcześniej kwalifikacji. Do niektórych działań napłynął też, uciekający się do delokalizacji i szukający tańszej siły roboczej, kapitał zagraniczny. Kochan zachęca pracowników tych zakładów do klasowej solidarności i walki: „Nie ma powodów, aby polska siła robocza zatrudniona w wielkich międzynarodowych koncernach była opłacana inaczej, gdy pracuje w Polsce, a inaczej, gdy zatrudniana jest w Paryżu, Berlinie czy Kopenhadze. Jeśli walczone kiedyś o dostęp do rynku pracy, to o dostęp równoprawny i na poziomie coraz bardziej egalitarnym w ramach całej Unii Europejskiej” (s. 194). Ewentualna realiza-

cja tego postulatu doprowadzi do powstania nowych sprzeczności w łonie klasy robotniczej.

Wbrew twierdzeniom neoliberalistów o niewtrącaniu się państwa do gospodarki, o jego ideologicznej i politycznej neutralności, zaangażowało owo państwo w proces prywatyzacji wszystkie swoje aparaty ideologiczne, ze szkołą, mediami i Kościołem katolickim włącznie. „Co więcej, państwo polskie po 1989 roku *otwarciem głosiło swoją klasową politykę*, mówiąc m.in. o konieczności stworzenia, także w wyniku bezpośredniej działalności aparatu państwowego, »licznej klasy średniej« czy o »racjonalności« likwidacji państwowych i spółdzielczych form własności na wsi. Spekulacyjny i rabunkowy charakter tego procesu był tak publiczny i ostentacyjny, że ulubionym okrzykiem protestujących demonstrantów stało się zawołanie: »Złodziej! Złodziej!«» (s. 189).

Totalitaryzm środkiem tematyizacji świata

Kochan konsekwentnie występuje przeciwko postęgowaniu się pojęciem „totalitaryzmu”. Już w swej książce *Życie codzienne w matriksie. Filozofia społeczna w ponowoczesności* wskazywał, że problem totalitaryzmu rozpatrywany jest przez naukowców i dziennikarzy dominującego nurtu w taki sposób, iż prowadzi do „tematyizacji świata”. Wyjaśniając ten problem pisał, że „tematyizacja jest formą określania w świadomości społecznej sposobu mówienia o jakimś wydarzeniu, tworzenia i zamykania pewnego słownika, zmiany narzucających się określeń z języka potocznego na inne, maskujące, przesuwające znaczenie, kryjące niewygodną rzeczywistość pod skrótem, zamieniające pojęciowość na zbiór działań, na pozbawioną niebezpiecznej metafizyki konkretność i pragmatyczność. [...] Jej celem jest skonstruowanie języka postrzegania danego zdarzenia, konkretnego faktu, a zarazem zakreślenie granic tego co językowe, co dopuszczalne, co możliwe”³. Tematyizacja może więc służyć kształtowaniu tolerancji wobec określonych zjawisk i procesów, które powinny budzić powszechne oburzenie, albo kształtowaniu nietolerancji wobec tego, co jest powszechnie akceptowane i afirmowane.

Przykładem tematyizacji historii XX wieku jest przyjęcie i powtarzanie tezy, że główne nieszczęścia owego wieku spowodowały dwa totalitaryzmy: faszystowski i komunistyczny, a kres im położyły kraje „normalnego i demokratycznego kapitalizmu”. Zdaniem J. Kochana nie jest prawdą założenie wyjściowe, głoszone bez dowodu, że główne nieszczęścia zostały wygenerowane przez totalitaryzmy, gdyż w rzeczywistości oba były wynikiem I wojny światowej. Dojście bolszewików do władzy było możliwe m.in. dzięki temu, że zaproponowali natychmiastowe wyjście Rosji z imperialistycznej wojny, bez względu na stanowisko „starych demokracji”, które próbowały nawet w wyniku zbrojnej interwencji wymusić na Rosji zmianę stanowiska i dalszy udział w wojnie.

Również sukces Hitlera związany był ze skutkami I wojny światowej, rozwojem rewanżyzmu w Niemczech, nastrojów nacjonalistycznych i militarystycznych po narzuceniu im przez „stare demokracje” poniżających warunków w traktacie wersalskim. Hitlerowi pomógł również wielki kryzys liberalnej gospodarki kapitalistycznej lat 1929-1933. Zdaniem J. Kochana „objęcie

rządów przez oba wspomniane ruchy było formą reakcji społecznej na okropieństwa, potworności i niesprawiedliwości wojny światowej będącej w klinicznie czysty sposób wynikiem sprzeczności społeczeństw nietotalitarnych: przede wszystkim Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec i Rosji. Ponieważ druga wojna światowa była w zasadzie tylko kontynuacją [...] walk z czasów pierwszej wojny, toteż prawie cały wiek dwudziesty z jego kataklizmami można uznać za konsekwencje sprzeczności, które doprowadziły do wybuchu wojny po zamordowaniu arcyksięcia Franciszka Ferdynanda”⁴.

Według J. Kochana zwalanie win na totalitaryzmy za okropieństwa XX wieku służy ukryciu „rzeczywistych sprawców wojen”, którymi były „stare demokracje», monarchie i republiki, będące krajami najbardziej rozwiniętego kapitalizmu”. Wojna była również wynikiem klęski „pacyfistycznie nastawionej europejskiej lewicy”. W związku z tym „wskazywanie na totalitaryzmy nie tylko odwraca uwagę od rzeczywistych sprawców wojen, ale ogranicza również możliwości poszukiwania źródeł wojen i kryzysu w mechanizmach ekonomicznych i w klasycznych sprzecznościach społecznych modyfikowanych przez kapitalistyczny sposób produkcji”⁵. Wysłunięte przez zwycięskie demokracje oskarżenie przybrało postać nietolerancyjnego teoretycznego stygmatu – broni „przed odpowiedzialnością panujące w Europie systemy religijne i odpowiadające im Kościoły. Kamuluje kompromitujący fakt, że po dwóch tysiącach lat panowania chrześcijaństwa głęboko chrześcijańskie narody, jak Francja i Niemcy, mordują się za przyzwoleniem swoich kapłanów i Kościołów. Jesteśmy ostatnio świadkami prób rozwinięcia oskarżenia systemów totalitarnych przez wzbogacenie go o tezę, że były to reżimy totalitarne i ateistyczne i że to właśnie ich domniemany ateizm stał się przyczyną zła dwudziestego wieku”⁶.

Według J. Kochana tematyizowanie historii przez narzucenie totalitarnych perspektyw interpretacyjnej służy do „kompromitowania i blokowania języka, słownika, teorii związanych z tradycją lewicową jako skompromitowanych przez związek z totalitaryzmem i za totalitaryzm odpowiedzialnych”⁷. W ostateczności wylansowanie problematyki totalitaryzmu przez Hannah Arendt posłużyło stygmatyzacji na całe dziesięciolecie badań naukowych, publicystyki w duchu nietolerancji poszukiwań rzeczywistych wewnątrzsystemowych źródeł totalitaryzmu, jeśli przyjąć w ogóle płodność poznawczą tego bardzo ogólnego pojęcia.

W książce *Socjalizm* Kochan kontynuuje swoje rozważania o koncepcji totalitaryzmu i jej współczesnej roli. Koncepcja społeczeństw totalitarnych związana z upowszechnianiem się manichejskiej wizji stosunków społecznych razi swą fałszywością, tworzy „ideologiczne zasłony epistemologiczne”, utrwała przekonanie, że „każda forma zanegowania kapitalizmu i religii musi prowadzić do ludobójstwa, zbrodni i historycznej kompromitacji”. Głóscielom tej koncepcji chodzi o „destrukcję poznania naukowego, tabuizowanie pewnych pojęć, kategorii, teorii, wyprodukowanie teoretycznych warunków uniemożliwiających rozpoznanie różnego typu sprzeczności i antagonizmów społecznych, fundamentalnych tragedii epoki późnego kapitalizmu i epoki globalizacji”. „Chodzi zatem nie tylko o wyprodukowanie »końca historii«, lecz także o »koniec teorii«, który byłby tamtego końca potwierdzeniem” (s. 19-20).

Wpływ uspołecznienia formalnego i realnego na politykę

Kochan jest zwolennikiem ekonomiczno-socjologicznej koncepcji własności. W przeciwieństwie do innych swoich publikacji⁸ tym razem nie odwołał się w tej sprawie do poglądów cenionego przez siebie Stanisława Kozyra-Kowalskiego. Podejmując problem dialektyki uspołecznienia środków produkcji pisze o uspołecznieniu formalnym i realnym. Uspołecznienie *formalne* występuje wówczas, gdy różne rodzaje prac produkcyjnych podporządkowane są kapitałowi organizacyjnie i architektonicznie oraz podzieleniu jej na etapy, gdy powrót do prywatnego wytwarzania jest jeszcze możliwy. Samo podporządkowanie pracy kapitałowi (np. w systemie nakładczym lub w manufakturze) daje możliwość rozerwania tego związku i produkcji na własną rękę. Natomiast przy uspołecznieniu *realnym* powrót do samodzielnego wytwarzania produktu jest już niemożliwy. Przy uspołecznieniu realnym produkcja zostaje podporządkowana kapitałowi w systemie fabrycznym.

Uspołecznienie w wymiarze techniczno-organizacyjnym polega na uspołecznieniu wytwarzania, na zastępowaniu i marginalizowaniu prac prywatnych, w wyniku czego samodzielne wytwarzanie gotowego produktu przez jednostkę staje się praktycznie niemożliwe, co znajduje swój wyraz w fabrycznej organizacji produkcji. Drugi wymiar uspołecznienia polega na uspołecznieniu prywatnej własności środków produkcji. Pomiędzy uspołecznieniem produkcji i uspołecznieniem własności występuje sprzeczność. Zanim nastąpi dostosowanie uspołecznienia formalnego do uspołecznienia realnego, występuje podstawowa dla kapitalizmu sprzeczność pomiędzy społecznym charakterem procesu produkcji i prywatnym sposobem zawłaszczania. Dążenie burżuazji do maksymalizacji zysku i wartości dodatkowej sprawia, że powstaje sprzeczność pomiędzy organizacją pracy w poszczególnej fabryce a anarchią w całej gospodarce. Dążenie kapitału i burżuazji do maksymalizacji zysku nie pokrywa się z maksymalizacją produkcji i maksymalizacją zaspokojenia potrzeb. Sprzeczność pomiędzy społecznym charakterem produkcji a prywatnym zawłaszczaniem ma usunąć uspołecznienie własności.

Uspołecznienie własności w okresie przejścia od kapitalizmu do socjalizmu oznaczało ogromny krok naprzód. Często miało jednak charakter formalny, ponieważ nakładało się na odziedziczony po kapitalizmie społeczny podział pracy, a zatem zawierało potencjalną możliwość reprivatyzacji. Kochan w związku z tym pisze: „skok w uspołecznieniu własności jest szokiem społecznym w każdych warunkach. Nie przypadkiem wiąże się on z wojnami, ofiarami i zniszczeniami. W warunkach dużego rozziwu między uspołecznieniem produkcji a społeczną formą własności kłopoty wszelkie muszą być szczególnie nasilone i to tym bardziej, im większa zachodzi różnica. Tym też dłużej te drastyczne sprzeczności będą trwały. Wiąże się to w całym tym okresie z możliwością pojawienia się reakcji odrzucenia nowych form własności i restytucji starych. Uspołecznienie własności bez podbudowy w rozwiniętym podziale pracy i rozbudowanym podziale pracy, posługując się kategoriami dialektyki, możemy określić jako przypadkowe z uwagi na poziom sił wytwórczych” (s. 65). Formalny charakter uspołecznienia własności

w okresie przejściowym od kapitalizmu do socjalizmu, chociaż sam w sobie odegrał ogromną rolę polityczną i kulturową, sprawił, że uspołecznienie to mogło być zlikwidowane i zastąpione powrotem do form wcześniejszych. Można było tego uniknąć w wyniku walki klas i aktywnej roli tzw. czynnika subiektywnego, zachowania jedności i hegemonii klasy robotniczej, pracy politycznej i agitacji, ale partie komunistyczne w krajach „realnego socjalizmu” nie chciały i nie były już w stanie tego zrobić ze względu na daleko posunięty stopień wewnętrznego rozkładu. Po upadku „realnego socjalizmu” na własność uspołecznioną atak przypuściło również państwo podważając znaczenie planu centralnego, który był m.in. wyrazem pewnego uspołecznienia własności, a także wzywając do tworzenia „klasy średniej” i powszechnej prywatyzacji oraz paraliżując walkę wymiaru sprawiedliwości z przestępczością gospodarczą.

Sprzeczność pomiędzy formalnym i realnym uspołecznieniem opisywana jest również przez autora *Socjalizmu* jako pewne niedoskonałości funkcjonowania uspołecznienia w „realnym socjalizmie”. Już „socjalistyczne” państwo polskie przyczyniło się do podważenia własności ogólnospołecznej ogłaszając realizację tzw. planu otwartego. Otworzyło to drogę do przekształcania własności społecznej w grupową własność załogi fabryki, a następnie poszczególnych osób prywatnych. Taka własność grupowa nie podlegała planowi centralnemu, ogólnospołecznemu zarządzaniu, regułom gospodarowania w sensie zatrudnienia, podatków, kredytów, handlu, eksportu. Taki podmiot gospodarczy, będący formalnie własnością ogólnospołeczną, stawał się prywatną własnością grupową, często poprzez więzi kooperacyjne pasożytując na własności ogólnospołecznej dążył do maksymalizacji korzyści jedynie danej załogi. Do tego dochodziło zwyczajowe „wynoszenie” z zakładów pracy różnego rodzaju surowców, narzędzi a nawet gotowych wyrobów. „To grupowe uprzywilejowanie własności społecznej jest przejawem różnych form sprzeczności w łonie własności społecznej, źródłem konfliktów, walki, a czasem i katastrofy” (s. 68).

Prywatyzacji sprzyjały dodatkowo braki towarów. Sprzeczność pomiędzy społecznym charakterem produkcji a prywatnym (grupowym) zawłaszczaniem uległa zaostrzeniu, przy czym w odróżnieniu od kapitalizmu korzyści odnosiły nie poszczególne osoby (właściciele), lecz poszczególne kolektywy pracownicze lub prywatne osoby zatrudnione i kierujący daną fabryką. „Oba te zjawiska, brak towaru i »plan otwarty«, oznaczały, że sprzeczności w ramach własności społecznej, konflikt interesów, prywatyzowanie własności ogólnospołecznej grupowo i indywidualnie doprowadziły do wielkiego kryzysu i w konsekwencji do upadku realnego socjalizmu. Formalna własność społeczna została zniszczona przez realne procesy prywatyzacyjne w jej własnych ramach” (s. 68). Konflikt miał więc jak najbardziej wewnętrzny charakter, o klęsce „realnego socjalizmu” nie rozstrzygało więc powstanie „Solidarności” czy imperialistyczny spisek i dywersja. Wszyscy ci, którzy świadomie lub nieświadomie dążyli do prywatyzacji i reprivatyzacji gospodarki, mitologizowali swoje cele i podnosili niczym zasłonę dymną kwestie „wolności”, „demokracji”, walki z „biurokracją”.

Fazy formacji komunistycznej

Kochan, podobnie jak jego mistrz i nauczyciel Jarosław Ładosz, epokę postkapitalistyczną dzieli na okres przejściowy od kapitalizmu do socjalizmu, socjalizm i komunizm. Tytuł książki *Socjalizm*, zapewne nie jest przypadkowy i nawiązuje do książki Ładosza *Socjalizm i komunizm*⁹. Być może w najbliższych czasach możemy spodziewać się drugiej książki Kochana pt. *Komunizm* – byłoby to logiczne. Kochan zastrzega, że terminy socjalizm i komunizm są przez niego używane zgodnie z materializmem historycznym i tradycją stworzoną przez Marksa. Słusznie, że odszedł od dyskusji toczonej szczególnie w latach 70. XX wieku nad granicami między nimi, gdyż przestały one mieć praktyczne znaczenie. Kochan pisze nawet, że traktuje je czasem zamiennie. Podaje jednak w formie tabeli kryteria kapitalizmu, aktu rewolucji, okresu przejściowego, socjalizmu i komunizmu w dziedzinie stosunków własności, podziału dóbr, klas społecznych i państwa (s. 112-113). Szkoda, że Kochan nie odnotował dyskusji, jaka swego czasu odbyła się między J. Ładoszem i Kazimierzem Mijalem na łamach *Przeglądu Krytycznego*¹⁰. Kazimierz Mijał zakwestionował zgodność z marksizmem tego trójpodziału formacji komunistycznej. Jego zdaniem Marks mówił o okresie przejściowym od kapitalizmu do komunizmu, stanowiącym niższą fazę formacji komunistycznej. Pogląd mówiący o okresie przejściowym od kapitalizmu do socjalizmu jako o okresie poprzedzającym pierwszą fazę jest odrzuceniem stanowiska Marksa. Dla teorii okresu przejściowego od kapitalizmu do komunizmu nie ma decydującego znaczenia *Manifest Partii Komunistycznej*, lecz *Krytyka Programu Gotajskiego*, którą Marks napisał będąc „dojrzałym marksistą”, po napisaniu *Kapitału* i po przeanalizowaniu doświadczeń Komuny Paryskiej 1871 roku. Być może udało by się wówczas Kochanowi uniknąć powtarzania niektórych cech przy kryteriach socjalizmu i komunizmu, i nie musiałby posługiwać się pewnym wewnątrznie sprzecznym eufemizmem: „W odróżnieniu od historycznych zawartości tych terminów [socjalizm i komunizm – E.K.], pojęć u Marksa i Engelsa – niezależnie czy mowa jest o komunizmie, czy socjalizmie – chodzi o to samo: o społeczeństwo pozbawione własności prywatnej i ufundowane na bazie społecznej własności środków produkcji, społeczeństwo bezklasowe, a więc o socjalistyczny sposób produkcji. Świadomość historycznej elastyczności pojęć i ich zmiennej historycznej treści jest niezwykle ważna, gdyż bez precyzyjnego ustalenia czym jest socjalizm i komunizm, niemożliwa jest sensowna wymiana myśli na temat społeczeństwa postkapitalistycznego” (s. 46).

J. Kochan analizuje liczne problemy polityki międzynarodowej. Daje m.in. wielokrotnie wyraz swemu oburzeniu z powodu udziału wojsk polskich w inwazji na Irak i Afganistan. Przytacza artykuły *Konstytucji RP* i *Kodeksu karnego*, które dowodzą ich bezprawnego i przestępczego charakteru. Polska w 2003 roku stała się największym na świecie importerem broni amerykańskiej, wyprzedzając nawet Egipt, Japonię, Arabię Saudyjską i Izrael (s. 192).

* * *

Książka Kochana jest dla tych, co chcą się czegoś nauczyć, dla tych, którzy szukają inspiracji i odniesień do współczesności, także dla tych, którzy wychodząc

z tych samych założeń metodologiczno-teoretycznych chcą sprawdzić, czy dochodzą do podobnych wniosków. Dzięki książce Kochana mogą się przekonać, że w poszukiwaniach swych nie są osamotnieni, a w kłęsce „realnego socjalizmu” dostrzec warunki odrodzenia się ruchu komunistycznego i przesłanki zwycięstwa komunizmu. Czytając tę książkę trzeba mieć się na baczności, aby nie ulec paradoksowi awangardy, żeby potwierdzenia własnych racji nie szukać w byciu w osamotnieniu, aby swojej społecznej izolacji nie brać za poświadczenie prawdziwości głoszonych tez. Trzeba być aktywnym politycznie i w odpowiednim momencie stworzyć rewolucyjną partię.

Książka Kochana jest godna polecenia także dla przeciwników socjalizmu. Mogą się tu zmierzyć z nowym, akademickim ujęciem socjalizmu i przesłankami komunizmu, kształtującymi się we współczesnych warunkach. Nie będą musieli wówczas odwoływać się, w ideowo-politycznej mobilizacji swoich stronników i sojuszników, do wygodnych sobie ale przestarzałych koncepcji socjalizmu i komunizmu z okresu komunizmu wojennego, dyskusji lat trzydziestych czy czasów stalinowskich z pierwszej połowy lat pięćdziesiątych. Dla nich naukowy socjalizm zatrzymał się w tamtych latach i nie chcą dostrzegać tego, że podlegał ciągłemu rozwojowi. Jeśli chcą podnieść poziom swej krytyki, nie mogą książki Kochana pominąć milczeniem. Rzeczywistość już dzisiaj stawia ich przed teoretycznymi i praktycznymi problemami, których przyczyn i natury właśnie nie rozumieją.

Książka J. Kochana, chociaż pisana przez zdeklarowanego marksistę, spełnia wszelkie warunki, aby stać się podstawą dyskusji naukowej w środowisku akademickim.

EDWARD KAROLCZUK

Przypisy:

- 1 Jerzy Kochan, *Socjalizm*, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2013.
- 2 Jerzy Kochan, *Miller kiler, Wałęsa kupa mięsa...*, <http://socjalizmteraz.pl/archives/2904>, 19.08.2013.
- 3 Jerzy Kochan, *Życie codzienne w matriksie. Filozofia społeczna w ponowoczesności*, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2007, s. 109-110.
- 4 Tamże, s. 115.
- 5 Tamże, s. 116.
- 6 Tamże, s. 116.
- 7 Tamże, s. 116.
- 8 Np. Jerzy Kochan, *Studia z teorii klas społecznych*, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2011.
- 9 Jarosław Ładosz, *Socjalizm i komunizm*, Iskry, Warszawa 1985.
- 10 Jarosław Ładosz, *Słowo wstępne* do książki N. Bucharina, *Ekonomika okresu przejściowego*, Książka i Wiedza, Warszawa 1990; Kazimierz Mijał, *Okres przejściowy od społeczeństwa kapitalistycznego do komunistycznego*, „Przegląd Krytyczny. Pismo niezależne” 1996, nr 3 (17), s. 1-9; Jarosław Ładosz, *Mijał o okresie przejściowym*, „Przegląd Krytyczny. Pismo niezależne” 1997, nr 1 (18), s. 7-10; Rafał Sakowicz, *O potrzebie dyskusji. Na marginesie dyskusji J. Ładosza z K. Mijalem*, „Przegląd Krytyczny. Pismo niezależne” 1997, nr 1 (18), s. 11-16.

WŁADYSŁAW MARKIEWICZ

LUDOBÓJSTWO USYSTEMATYZOWANE

Pierwszy odruch, jaki wzbudził we mnie tytuł książki Lecha Nijakowskiego to przekonanie, iż ma on wydźwięk ewidentnie beletrystyczny. Zakładam, że autor był świadom tego, że w ten właśnie sposób zareaguje przeciętny czytelnik. I dlatego zapewne bardzo obszernie i precyzyjnie dowodzi zasadności naukowo-teoretycznej określenia „rozkosz zemsty”. Po zapoznaniu się z jego wywodami uznałem tytuł pracy za bardzo trafny.

W ogóle na wstępie mojego omówienia chciałbym z uznaniem stwierdzić, iż autor przywiązuje ogromne znaczenie do, eufemistycznie się wyrażając, nienaganności i skrupulatności metodologicznej oraz warsztatowej swojej rozprawy. Pod tym względem jego książka o niebo góruje nad prawie tysięczstronicowym dziełem *Wiek ludobójstwa* D.J. Goldhagena, jeśli nie najznakomitszego, to z pewnością najbardziej znanego w świecie eksperta od spraw problematyki ludobójstwa. Ponieważ niedawno napisałem recenzję pracy Goldhagena, w niniejszym tekście będę od czasu do czasu odwoływał się do amerykańskiego uczonego.

Otóż w rozdziale pierwszym, poświęconym omówieniu stosowanej metodyki Nijakowski sytuuje ją na przecięciu dwóch socjologicznych subdyscyplin: socjologii historycznej i studiów nad ludobójstwem. Jego wykład na temat socjologii historycznej i jej podstawowych założeń uważam za wzorcowy dla tego typu opracowań. W przypadku studiów ludobójczych (*genocide studies*), jednym z głównych zaleceń obowiązujących badaczy jest unikanie wartościowania, które narzuca się spontanicznie z racji emocjonalnego ładunku obciążającego zbrodnie ludobójstwa. Kolejną metodą stosowaną w badaniach nad ludobójstwem jest komparatystyka, bez której niemożliwe byłoby skonstruowanie uniwersalnego modelu tego przestępstwa. Dodatkowym przedsięwzięciem badawczym zastosowanym przez autora były pogłębione wywiady biograficzne. Przyjęto próbę celową złożoną z 60 osób urodzonych w latach 1913–1939. W pracy wykorzystano pamiętniki, dzienniki i wspomnienia, a także wyniki badania *Druga wojna światowa w pamięci współczesnego społeczeństwa polskiego* oraz bogate zbiory materiałów audiowizualnych. W sumie zyskujemy raczej wierny, prawdziwy w swoim okrucieństwie obraz życia w warunkach ludobójstwa, chociaż niektóre przeżycia – jak słusznie zauważa autor – uznawane za intymne są przez respondentów przemilczane. Jeśli idzie o omawiane przez autora stosunki seksualne w obozach koncentracyjnych, to wiem z autopsji, iż tzw. puffy istniały we wszystkich większych KL-ach, a nie tylko w Auschwitz-Birkenau. Dostęp do nich mieli wyłącznie więźniowie prominencji, a między więźniami zawiązywały się także trwałe stosunki partnerskie, które kontynuowano po wyzwoleniu.

Po rozdziale poświęconym metodyce opracowania, następuje część pierwsza pt. *Socjologia historyczna*

masakry, czystki etniczne i ludobójstwa, obejmująca sześć rozdziałów. W rozdziale drugim autor zajmuje się podstawowymi pojęciami i definicjami. Zaczyna od zbiorowej przemocy, która występuje w trzech łatwych do rozróżnienia typach: masakry, pogromu i linczu. Następnie przechodzi do definicji ludobójstwa (totalnego i częściowego), quasi-ludobójstwa, elitobójstwa i politobójstwa, co jest zabiegiem wielce skomplikowanym, gdyż w praktyce często różnice między wyróżnionymi typami działań ludobójczych, na przykład ludobójstwa totalnego i częściowego, zacierają się lub zgoła zastępują się miejscami.

Z kolei autor zajmuje się problemem narodzin i rozwoju studiów nad ludobójstwem. Jego zdaniem dopiero okrucieństwo Holocaustu i zbrodniczy charakter II wojny światowej wpłynęły na masowy rozwój studiów nad ludobójstwem. Za pierwsze socjologiczne studium ludobójstwa można uznać pracę Rafała Lemkina. Dużą zasługę w upowszechnieniu badań nad ludobójstwem miał również Theodor Adorno, dzięki swoim koncepcjom dotyczącym osobowości autorytarnej. Nijakowski przypisuje także dużą rolę książce Hannah Arendt *Eichmann w Jerozolimie. Rzecz o banalności zła*, którą na przekór powszechnej opinii skrytykował moim zdaniem słusznie D.J. Goldhagen. Nijakowski z satysfakcją odnotowuje fakt bujnego w ostatnich latach rozwoju badań nad ludobójstwem oraz instytucjonalnej ich obudowy. Również w Polsce jego zdaniem wzrosła znacznie liczba prac poświęconych Shoah, aczkolwiek odczuwa się brak ośrodka akademickiego, który wyłącznie zajmowałby się tą problematyką.

Rozdział czwarty to świetne, chociaż zarazem przerażające studium na temat masakry, w którym jako główni aktorzy występują Japończycy mordujący Chińczyków w Nankinie oraz Filipińczyków, Holendrzy i Amerykanie szlachtujący ludność cywilną w My Lai w czasie wojny w Vietnamie. Dochodzą do tego niebawale obustronne okrucieństwa w okresie buntów kozackich przeciw polskim magnatom, które po wiekach odrodziły się w postaci krwawych rzezi polsko-ukraińskich w czasie II wojny światowej. Wówczas również na froncie wschodnim swoją katowską robotę odstawiały specjalizujące się w masowych mordach łotrowskie Einsatzgruppen.

W kolejnym rozdziale autor opisuje wojny oraz czystki i masakry religijne prowadzone przez papieństwo, rycerstwo i możnowładców z „poganami” i „heretykami” przy użyciu krucjat i mechanizmu inkwizycyjnego. Od XI wieku chrześcijańska Europa wdała się w długotrwały konflikt ze światem islamu, któremu towarzyszyły liczne rzezie, pogromy i masakry, m.in. nastąpiło wygnanie Żydów z Hiszpanii. Nie były to jeszcze ludobójstwa, ale już zapowiedzi ich nadejścia w związku ze zmianami, jakie nastąpiły po odkryciu przez Europejczyków kontynentu amerykańskiego.

Z czasem, wraz z rewolucją francuską pojawiła się nowa forma ludobójstwa, której wzorcowym przykładem było masowe wymordowanie ludności departamentu Wandei przez ekspedycję rządu centralnego. Nastąpiło to w roku 1793. Autorowi chodziło o ukazanie prawdy, iż zanim doszło do wybuchu masowych przedsięwzięć ludobójczych, już znacznie wcześniej stosowano wiele rozwiązań organizacyjno-instytucjonalnych, które wykorzystywano w ludobójstwach, na przykład tworzone pierwsze obozy koncentracyjne na Filipinach i w Afryce Południowej.

Rozdziały szósty i siódmy odgrywają w rozprawie Nijakowskiego centralną rolę. Chodzi już o historię najnowszą, czyli o Goldhagenowski *wiek ludobójstwa*. Autor omawia w rozdziale szóstym akty masowej przemocy, które uznaje za czystki etniczne lub ludobójstwa z myślą o tym, aby w wyniku analizy komparatystycznej zbudować model wyjaśniający zaistniałą mobilizację ludobójstwa.

Autor kolejno przedstawia następujące czystki etniczne w XX wieku: 1. polsko-ukraiński konflikt na Kresach Południowo-Wschodnich w latach 1943–1947 – niewiarygodnie wyuzdane mordy dokonywane często przez ludzi dziesiątki lat współżyjących ze sobą jako sąsiedzi; 2. czystki etniczne w Jugosławii w latach 1992–1995 – autor w sposób niezwykle wyważony przedstawia skomplikowany przebieg konfliktów na Bałkanach, których ofiarami stały się setki tysięcy zdezorientowanych i ogłupiałych ludzi; 3. Wielki głód w Ukraińskiej SRR w latach 1932–1933 jako quasi-ludobójstwo – autor przychylił się do tych opinii, które nie kwalifikują ukraińskiej katastrofy jako ludobójstwa totalnego czy częściowego, a raczej coś pośredniego między nimi.

Do ludobójstw częściowych zalicza autor: 1. ludobójstwo Aborygenów w XIX i XX wieku – haniebne przykłady niewolenia, bezwzględnego eksploataowania, masowego odbierania dzieci dokonywanego w sposób „pełzający” w ciągu całego XIX i części XX stulecia; 2. ostateczną pacyfikację Indian Północnej Ameryki w latach 1866–1890 – zapoczątkowana już w momencie kolonizacji akcją eksterminacji ludności rodzimej po wojnie secesyjnej przybrała postać planowej kampanii ludobójczej; 3. lokali – Wolne Państwo Kongo 1880–1908 – nie mieszcząca się w głowie historia osobistego zawłaszczenia olbrzymiego kraju przez króla Belgów Leopolda II, w którym ten uchodzący za dobrotliwego monarcha doprowadził do masowego mordu 5 do 15 mln rdzennych mieszkańców; 4. zagładę ludów Hetero i Nama w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej (Namibii) w latach 1904–1905 – przykład paranoicznego barbarzyństwa, jakiego dopuszczono się na stosunkowo nielicznej społeczności (z 80 tys. w 1904 roku, w 1912 pozostało ok. 12 tys.); 5. ludobójstwo w wydaniu Niezależnego Państwa Chorwackiego w latach 1941–1945 – eksterminowano ludność serbską z wyjątkowym okrucieństwem; poległo ok. pół miliona; 6. rzeź Hutu w Burundi w 1972 roku – w 1994 doszło do potwornego rewanzu, Hutu dokonali masowego mordu na Tutsi; 7. autoludobójstwo w Kambodży (1975–1979) – obrzydzenie budzi stosunek do masakry, w której zginęło ok. 1/3 całego narodu, wielkich mocarstw: Chin, ZSRR, a zwłaszcza Stanów Zjednoczonych; 8. pacyfikację Majów w Gwatemali w latach 1981–1983 – wyjątkowo

bezsensowny wyrok na ludności rodzimej z pobudek rasowych; 9. rzezie w Timorze Wschodnim 1975–1999 – na oczach świata, tzn. kompletnej bierności wielkich mocarstw i ONZ Indonezja zagłodziła lub wyrznęła pół miliona mieszkańców.

Na koniec L. Nijakowski zajął się ludobójstwami totalnymi: 1. masakrowaniem Ormian – pierwsze takie ludobójstwo w XX wieku dokonane przez Turków w Imperium Osmańskim, w latach 1915–1916 zabito 1,2–1,4 miliona osób. Po dziś dzień rząd turecki zaprzecza temu, jakoby popełnił ludobójstwo; 2. Shoah i Porajmos – eksterminację Żydów i Romów, uznane za wzorcowe ludobójstwa totalne; 3. Ludobójstwo Hutu na Tutsi w Rwandzie w 1994 roku.

Przeanalizowane przypadki ludobójstw totalnych i częściowych miały posłużyć autorowi do skonstruowania ogólnego modelu mobilizacji ludobójczej. Zastosowanie procedury porównawczej miało wskazać czynniki wspólne dla rozmaitych form masowej przemocy. Zadanie to w dość dużym wymiarze udało się autorowi wykonać. Przede wszystkim dowiódł, iż przy całej swej osobliwości ludobójstwo jest jednak efektem działania typowych procesów społecznych i to zarówno w sferze instytucjonalnej, jak i habitusów.

W przygotowaniu wszystkich ludobójczych aktów bardzo istotną rolę spełniał poprzedzający je i usprawiedliwiający dyskurs ideologiczny, a także dyskurs nacjonalistyczny zmierzający do wykształcenia jednolitej tożsamości narodowej. Ścisłe związany jest z nim dyskurs *Real-politic*. Złowieszczą rolę w lansowaniu ludobójstwa spełnił dyskurs rasistowski, m.in. usprawiedliwiający brutalne niszczenie ludów skolonizowanych. Do dyskursów wspomagających mobilizację ludobójczą zalicza autor jeszcze dyskurs medyczo-epidemiologiczny, fundamentalistyczno-religijny, spiskowy oraz użyteczności i pasożytnictwa.

Wszystkie ludobójstwa, zwłaszcza totalne, należy traktować jako wielkie i skomplikowane przedsięwzięcia organizacyjne, wymagające zaangażowania znakomitych ekspertów, co z góry wyklucza rzekomą tzw. banalność zła. Do przeprowadzenia masowego zabójstwa potrzebni byli specjaliści od spraw ideologii, księgowości, transportu, medycyny, prawa, religii itp., nie mówiąc o konieczności zatrudnienia rzeczoznawców od spraw zabijania, dbających o stałe podnoszenie wskaźników śmierci i zacierania śladów. Okoliczności sprzyjające ludobójstwu stwarzają wojny oraz rewolucje i wszelkie wydarzenia praktykujące zbiorową przemoc. Nieprzypadkowo ofiarami ludobójstwa były ludy i narody nieposiadające własnego państwa. Autor wskazuje też na rozpasanie pijaństwa wśród sprawców zbiorowych zabójstw.

Nijakowski nie skonstruował wprawdzie uniwersalnego modelu mobilizacji ludobójstwa, ale potrafił odkryć zasady i wskazania powszechnie stosowane w realizacji tych szatańskich przedstawieli.

Część druga książki nosi tytuł: *Zemsta na Niemcach po II wojnie światowej w perspektywie studiów nad ludobójstwem*. Wszystkie problemy natury teoriopoznawczej i metodologicznej autor omówił już w części pierwszej, teraz w uzupełnieniu warstwy narracyjnej zajął się problemem, który w miarę zbliżania się chwili kompletnej klęski III Rzeszy coraz natarczywiej musiał narzucać się narodom okupowanym: jak

ukarać Niemców za popełnione zbrodnie, jak zemścić się na potworach za krzywdy wyrządzone milionom niewinnych ludzi? Autor poradził sobie z tymi pytaniami ekscelemtnie. W sposób kompetentny potrafił wyjaśnić dlaczego wbrew oczekiwaniom nie doszło w Niemczech, gdzie oprócz zwycięskich wojsk alianckich znajdowały się miliony sfrustrowanych jeńców wojennych oraz robotników przymusowych, do ludobójstwa o rozmiarach zupełnie niewyobrażalnych. Oczywiście rozbrojenie Niemców i pierwsze miesiące szukania sobie przez nich elementarnych warunków egzystencji były niebywale trudne, nie dadzą się jednak porównać z tym, co przyniosłaby im zemsta ludobójcza.

W zakończeniu Nijakowski ustosunkowuje się do problemu możliwości wybuchu masowych masakr i ludobójstwa w erze późnej nowoczesności. Jego wnioski odnośnie do możliwości mobilizacji lub trwałej demobilizacji ludobójczej różnią się od propozycji Goldhagena przede wszystkim stopniem realizmu.

Nie ulega dla mnie wątpliwości, iż książka Lecha Nijakowskiego jest dziełem wybitnym.

WŁADYSŁAW MARKIEWICZ

Warszawa, w grudniu 2012 r.

Lech M. Nijakowski, *Rozkosz zemsty. Socjologia historyczna mobilizacji ludobójczej*, Warszawa 2013, s. 453

MARCIN KULA

CO ZOSTAŁO Z TYCH BOJÓW?

Książka Mikołaja Mirowskiego *Rewolucja permanentna Lwa Trockiego. Między teorią a praktyką*, na marginesie której spisuję niniejsze refleksje, jest jedną z zaskakująco nielicznych w Polsce poważnych analiz myśli komunistycznej, komunizmu oraz najnowszej historii Rosji. Oparta jest na gigantycznym materiale. Obejmuje nie tylko Rosję, ale także kraje odległe, jak choćby Chiny. Trochę zaskakuje, że w tym studium praktycznie nie pojawia się Meksyk (przy okazji: jeśli mowa o mieście, to nie „Mexico City”, lecz „Ciudad México” lub „miasto Meksyk!”). Jeśli nawet Trocki nie napisał nic istotnego o kraju swojego wygnania, to sam ten fakt jest też ciekawy. W końcu kraje kolonialne, postkolonialne i zależne interesowały go (Chiny!). Nadto Meksyk przeżył wielką, bardzo ważną dla regionu i ciekawą dla Trzeciego Świata rewolucję (1910-1917). Jeszcze ani trochę nie pozwalała ona zapomnieć o sobie w czasie, gdy Trocki tam przybył. Podejrzewam zresztą, że możliwość przyjęcia go nie pozostawała bez związku z zaszłyymi zmianami i porewolucyjnym klimatem.

Książka jest trudna, gdyż rzeczywistość była trudna. Najłatwiej jest badać historię myśli, gdy śledzimy ją w dziełach autora, który sam zachowuje pewien dystans wobec otoczenia. Myśl Trockiego była natomiast uwikłana w szybko bieżące wydarzenia, sama stanowiła część realizującej się rzeczywistości. Swoje teksty Trocki często pisał utylitarnie. Jego tezy bywały uwikłane w ustępstwa wymagane przez realizm, często jednak zarazem zaciemniane jednoczesnym naciskiem na rzekomą stałość poglądów. Nieraz Trocki był taktikiem – jak zresztą Lenin i zwłaszcza Stalin. Np. Trocki liczył na wybuch rewolucji w Polsce, ale wbrew Leninowi i Tuchaczewskiemu realistycznie przeciwstawiał się sowieckiemu pochodowi w głąb kraju; bał się konsolidacji przeciwnika w imię narodowej walki z armią rosyjską. Wręcz liczył, że wstrzymując atak wywoła rewolucję, zaś *ex post* twierdził, że błąd bolszewików wzmocnił „Polskę Piłsudskiego” (s. 278).

Trocki chciał rozprzestrzeniania się rewolucji, wręcz „eksportu rewolucji”, ale pod warunkiem każdorazowego

jej rozpalania się od wewnątrz, bez podbojów (s. 281). Bardzo trudno jest odróżnić w tym wszystkim zasadnicze poglądy od taktyki. Trudno też śledzić myśl w sytuacji, gdy główni polemisi, ciągle walcząc między sobą, nieraz faktycznie przechodzą na pozycje przeciwnika i realizują jego idee – nie przynajmniej do tego. Inna sprawa, że powiązanie analizy myśli ideologów z biegiem wydarzeń historycznych czyni tę książkę ciekawą i jest jedną z jej mocnych stron.

Książka jest bardzo interesująca także dla kogoś, kto jak ja ani nie ma pogłębionej wiedzy o bolszewikach i samym Trockim, ani nie pracował nad rewolucją 1917 r. w Rosji, interesował się zaś niedawnymi ruchami społecznymi oraz rewolucjami w Trzecim Świecie i w Polsce. Gdy taki czytelnik zapoznaje się z wszystkimi opisanymi przez Mikołaja Mirowskiego polemikami, gdy wczuwa się w ich napięcie, gdy pamięta o morderstwie Trockiego, nasuwa mu się pytanie, czy coś z tych myśli i problemów pozostało aktualne. Czy jakieś poruszane wówczas sprawy są nadal żywe, czy choć część wymienionych wówczas myśli pozostaje użyteczna? Czy też wszystko to jest już jedynie fragmentem historii myśli społecznej, z punktu widzenia współczesności ważnym jedynie jako czynnik zapładniający późniejszych myślicieli?

Takie pytanie nie jest popularne w zakresie badań nad historią myśli. Ocenianie czy Platon lub Arystoteles mieli rację z dzisiejszego punktu widzenia, byłoby śmieszne. Nie tak czytamy dawnych myślicieli. Dyskusje, w których Trocki był *pars magna*, oraz proces rewolucyjny, którego były częścią, wciąż są jednak elementem współczesności. Możemy więc rozpatrywać je z dzisiejszego punktu widzenia bez ryzyka popełnienia jaskrawego ahistoryzmu. Świat Trockiego i jego polemistów jest ciągle naszym światem, choć prawda, że od 1989 r. już w trochę mniejszym stopniu.

Kamieniem węgielnym zarówno myśli Trockiego, jak jego polemistów jest teoria formacji. Dyskutują w kwe-

stii tego, czy Rosja bądź Chiny, bądź inne kraje osiągnęły już stadium kapitalizmu i czy muszą je osiągnąć, aby przejść (rewolucyjnie) do socjalizmu. Tymczasem historia nie potwierdza uniwersalności tej teorii. Już nie mówiąc o tym, że mało kto do socjalizmu doszedł (a jeszcze niektórzy, doszedłszy, później z niego wyszli), to okazało się, że mogą być różne socjalizmy – od szwedzkiego poczynając, a na afrykańskim i odmianach biurokratycznego z radzieckiej rodziny kończąc. Teoria formacji przedstawia się też dosyć marnie z punktu widzenia wspólnoty pierwotnej. Niewolnictwo produkcyjnego również nie udało się odnaleźć w Polsce i w licznych innych krajach. Sama definicja niewolnictwa nie jest zresztą taka oczywista, jak by się to mogło zdawać. Feudalizm zdaje się rzeczywiście być ustrojem stosunkowo uniwersalnym, ale bynajmniej nie wszędzie brzemieniem kapitalizmem. Feudalizm i kapitalizm mogły i mogą się na siebie nakładać. Łatwo wskazać dowolną liczbę przykładów, gdy w ramach kapitalizmu istniały stosunki niekapitalistyczne, gdy wręcz istniały przedsiębiorstwa, które w stosunkach zewnętrznych oraz myśleniu o inwestycjach i przychodzie były kapitalistyczne, zaś w funkcjonowaniu siły roboczej feudalne, nawet niewolnicze. Pojawienie się kapitalizmu w części świata zmieniło ewolucję pozostałych części, nic zaś nie wskazuje, żeby one samoistnie miały iść tą samą drogą. Marks dostrzegał wypadki innej drogi, ale traktował je jako wyjątki (azjatycki sposób produkcji). Tymczasem to raczej narodziny kapitalizmu okazały się wyjątkiem, a większość świata znalazła się poza teorią.

Z punktu widzenia Trockiego rewolucja to przemiana ku socjalizmowi. Niekoniecznie od kapitalizmu, bowiem ten etap można było według niego przeskoczyć. Nastąpiło to w Rosji (kapitalizm istniał, ale nad wyraz ograniczony). W 1949 r. w Chinach, o czym Trocki siłą rzeczy już nie dowiedział się, także nastąpiło. Niemniej jednak koncepcja, że rewolucja prowadzi do socjalizmu, jest równie dogmatyczna jak teoria formacji. Po pierwsze, kierunek i cel działania nie jest kryterium definicyjnym zjawiska rewolucyjnego, niezależnie od tego jak długo socjologia będzie dyskutować nad definicją rewolucji. Po drugie, rewolucje, które ostatnio przeżyliśmy (choć na ogół pokojowe, ale rewolucje!) prowadziły i doprowadziły akurat w przeciwnym kierunku. Swego czasu pół Polski śmiało się, gdy przez błąd dziennikarski (chyba jednak błąd, a nie działanie celowe) w jednej z gazet w czasach PRL ukazało się zdanie: „Zjazd KPZR udowodnił, że możliwe jest pokojowe przejście od socjalizmu do kapitalizmu” (miało być oczywiście „...od kapitalizmu do socjalizmu”). Śmieliśmy się, że: a) czegoś takiego nawet zjazd by nie udowodnił, b) akurat to wydawało się niemożliwe. Wbrew naszemu śmiechowi okazało się jednak możliwe.

Wiele rewolucji w najnowszej historii, nawet tych podnoszących hasła socjalizmu, było motywowanych nadrobieniem zacofania w imię pozycji narodu. Sama rewolucja bolszewicka miała zresztą tę komponentę, także mongolska (w stopniu, w jakim można ją rozpatrywać jako ruch samodzielny) czy chińska. Wcale nie jestem pewien, czy późniejsze działanie Rosji porewolucyjnej jako Rosji mocarstwowej zrodziło się z trudności budowy socjalizmu w jednym kraju, czy nie miało podłoża znacznie wcześniejszego i głębszego dążenia

najpierw kontrelity, a później nowej elity do wyjścia z zacofania. Prawda, że marnie to wyszło, ale czołgi zostały zbudowane i Gagarin poleciał w kosmos – choć robity to już inne grupy niż te, które frustrowały się zacofaniem Rosji przedrewolucyjnej.

Komponentę wątku wyjścia z zacofania miały też najbardziej zdeklarowane socjalistycznie z najnowszych rewolucji – chińska i kubańska, także najpewniej jugosłowiańska. Podobnie jak rosyjska, również te rewolucje nie wynikły z „dojrzenia” kapitalizmu i paroksyzmów porodowych socjalizmu wyłaniającego się z jego łona. To, że „dojrzenie” kapitalizmu nie było warunkiem koniecznym przemiany, Trocki akurat widział i czynił jednym z podstawowych elementów swojej koncepcji „permanentnej rewolucji”. Widział pewne podobieństwo Rosji i Chin z rozpatrywanego punktu widzenia i sądził, że rewolucja może zwyciężyć w „słabym ogniwie” kapitalizmu nawet szybciej niż w kraju o rozwiniętym kapitalizmie (s. 99, 341). Trocki m.in. dlatego chciał rozszerzenia rewolucji, by kraje biedne mogły przetrwać jako kraje nowego ustroju oraz by w stosunkach wewnętrznych nie została „uspołeczniona tylko nędza”, by nie odrodził się „cały ten stary kram”, czego obawiał się Marks (s. 421). Nie widział natomiast, że program socjalizmu może być w krajach zacofanych traktowany instrumentalnie, a przynajmniej także instrumentalnie, bądź *de facto* instrumentalnie. Tymczasem okoliczność, że – wbrew koncepcji Marksa – rewolucje socjalistyczne zwyciężyły w krajach zacofanych, wynikała z ich innego celu niż przewidziane w marksizmie dążenie do wyzwolenia klasy robotniczej (mowa o przemianach w krajach, w których dokonały się w znaczącym stopniu samoistnie, a nie zostały wprowadzone z zewnątrz). W ich wypadku nawet naśladownictwo komunistycznej Rosji wynikało nie tylko z podziwu dla ustroju, ale z domniemanej efektywności działania w kierunku rozwoju; także w prostego przeciwstawienia, jakie ZSRR stanowił dla zachodnich krajów kolonialnych lub/i dominujących. Ważny jest zreferowany w książce wątek Sun Jat-sena, najpierw oczarowanego Zachodem, a potem, rozczarowanego i orientującego się ku marksizmowi i marksistowskiej Rosji (s. 352-353).

Ciekawe, że Trocki widział wątek narodowy chyba tylko instrumentalnie. Chciał, by Chiny emancypowały się narodowo po to, by nieść światło rewolucji dalej w świat (s. 374-375). Celem był socjalizm. Trocki chciał niezależnego działania Komunistycznej Partii Chin w rewolucyjnym ruchu w Chinach w latach 1925-1927 (s. 376). Od siebie dodajmy, że w latach trzydziestych, choć już bez Trockiego i w ramach realizowania stalinowskiej koncepcji socjalizmu w jednym kraju, przeciwnej Trockiego koncepcji „rewolucji permanentnej”, Moskwa doprowadziła do komunistycznego powstania w Brazylii (1935) i do ruchu komunistycznego na Kubie, który przeciwstawił się tam wszelkim socjuszom z ugrupowaniami działającymi w kierunku demokracji i emancypacji spod dominacji USA (rewolucja 1933 r.). Stalinowski nacisk na trwanie komunistów w odrębności i przy drodze do własnej rewolucji, które ułatwiło Hitlerowi dojście do władzy, nie było dalekie od myśli Trockiego.

W myśli Trockiego i jego polemistów nie pojawia się niezwykle ważna z punktu widzenia najnowszej historii sprawa rewolucji „uwikłanych”, w których przemiana spo-

teczna, mniejsza już dokąd prowadząca, jest elementem innych przemian. Taki charakter miały rewolucje, które Trocki już znał, np. rewolucja 1905 r. na nierosyjskich obszarach Cesarstwa. Później taki charakter miały np. działania antykolonialne, partyzantka komunistyczna w b. Jugosławii czy liczne inne działania na rzecz emancypacji narodowej. Działania w kierunku przemiany społecznej oraz emancypacji narodu często bywały ściśle zazębiane już w intencjach, a jedno bywało uznawane za warunek drugiego. Nieraz były też splecione choćby tylko *de facto*. Ciekawe, że niektóre ruchy wyzwolenia narodowego głosiły nawet hasła socjalistyczne, które zresztą ciekawie jest analizować (np. „socjalizm afrykański”, wątki socjalistyczne w syjonizmie). W ruchu „Solidarności” wątek przemiany społeczno-ustrojowej i wątek emancypacji narodowej były silnie splecione, choć ta akurat z pewnością nie prowadziła w kierunku socjalizmu, choćby nawet zakorzenionego narodowo.

Co też istotne, myśl Trockiego i jego polemistów nie jest adekwatna do czasów dzisiejszych z uwagi na zmianę postulowanego zasięgu protestów. Dziś mało kto już liczy na to, że „raz, a dobrze” wyrzuci wszystko ku definitywnemu szczęściu. Doświadczenie historyczne przekonano, choć wciąż pewno nie wszystkich, że działania w takim kierunku raczej owocują nieszczęściem.

Zmieniły się też tematy protestów. Myślenie o historii w kategoriach klas społecznych nie było bezsensowne, jak wielu współczesnych teraz sądzi. Zdarzały się przecież walki, które uczestnicy definiowali jako bunt pracowników najemnych skierowany we właścicieli środków produkcji. Dziś jednak tak zdefiniowane walki zdarzają się rzadko. W szczególności robotnicy wielkoprzemysłowi częściej walczą w konkretnych sprawach, niżby walczyli o wywłaszczenie właścicieli kapitału. Jeżeli już, to raczej chcą stać się współdziaławcami przedsiębiorstw czy czegośkolwiek. W krajach gospodarczo zacofanych robotnicy przemysłowi od dawna są grupą raczej uprzywilejowaną. Wielkie współczesne konflikty społeczne dotyczą raczej spraw bezrobocia, skutków globalizacji, dominacji świata finansów. W kategoriach marksistowskich należałoby je określić jako wieloklasowe, jak zresztą ogromną liczbę ruchów w czasach Trockiego (choćby wspomnianą rewolucję meksykańską). Częściej wynikają z zachowań i działań ruchów społecznych niż z akcji ściśle zorganizowanych partii politycznych, zwłaszcza partii leninowskiego typu. Mało kto myśli o nich w kategoriach klasowych, rozpatruje się je bardziej w kategoriach wartości, jakich są nosicielami, lub w kategoriach ruchów narodów upośledzonych i grup odrzuconych.

Zarówno dla Trockiego, jak dla jego polemistów siłą rewolucyjną był proletariatus. Nawet jeśli był on nieliczny, to i tak jego działanie miało zasadnicze znaczenie i tylko on mógł doprowadzić do przemiany. Wynikało to z całej historiozofii marksizmu, ale przypominało akurat niemarksistowską koncepcję „narodu wybranego” (tu jak gdyby „klasy wybranej”).

Z perspektywy wiedzy historycznej rzeczona koncepcja nie jest adekwatna do rzeczywistości. Rewolucja rosyjska nie była proletariacka. Zrobiła ją zdecydowana na wszystko grupa sfrustrowanej na skutek zacofania

inteligencji, w warunkach – co bardzo ważne – rozsypania się dotychczasowego układu. W mało zmodernizowanym kraju, o strukturze zawsze słabej na szczeblach poniżej głównych władz można było zrobić bardzo dużo, kiedy owa struktura została uderzona. Nawet w przegranych Niemczech to już nie było takie łatwe. Uruchomiony w ramach rewolucji rosyjskiej relatywnie nieliczny proletariatus był ważny, ale nic by z jego ruchu nie wyniknęło bez mas chłopskich (prawda, że nieraz już wykorzenionych przez wojnę i służbę wojskową) oraz bez buntu uciśnionych narodów cesarstwa.

Proletariatus nie odegrał fundamentalnej roli ani w rewolucjach azjatyckich, ani w kubańskiej (choć w tej ostatniej zagadnienie jest bardziej skomplikowane na skutek istnienia proletariatusu rolnego). Proletariatus odegrał natomiast fundamentalną rolę w niektórych ruchach antysocjalistycznych (Pilzno 1953, Berlin 1953, Poznań 1956, Radom 1976). Wśród skazanych po rewolucji węgierskiej 1956 r. najwięcej było młodych robotników, czyli tych, którzy powinni być „solą ziemi” w tamtejszym ustroju. O roli robotników w „Solidarności” nie warto już wspominać jako o fakcie oczywistym – choć akurat ten ruch jest wart przypomnienia jako typowy dla czasów współczesnych ruch wielogrupowy (według terminologii marksistowskiej „wieloklasowy”).

Paradoksalnie ruch „Solidarności” nieżle wpisuje się w marksowski schemat rewolucji proletariackiej. W końcu to klasa robotnicza wielkich zakładów, zjednoczona przez przemysł, wystąpiła przeciw dysponentom – by nie powiedzieć „właścicielom” – środków produkcji. Na dodatek to klasa rządząca zgodnie ze schematem marksowskim stworzyła siły, które ją zakwestionowały. Prawda, że Trocki najpewniej nie uznałby systemu PRL za socjalizm, skoro źle mówił o stalinizmie.

Chłoptwo mogło według Trockiego stanowić co najwyżej „mięso armatnie” rewolucji; potrzebowało przywództwa, wymagało kierowania przez proletariatus. Tymczasem nie mało wielkich ruchów chłopskich zaprzeczyło tezie o słabości rewolucyjnego potencjału chłoptwa – poczynając od komunistycznej rewolucji w Chinach. Tezy Marksa o wzajemnej izolacji chłoptów względem siebie dziś nie muszą być adekwatne do rzeczywistości.

Zbyteczne dodawać, że dziś w krajach rozwiniętych nie ma ani proletariatusu z modelu marksowskiego, ani chłoptwa. W krajach mniej rozwiniętych proletariatus przemysłowy też nie jest grupą, która nie miałaby nic do stracenia, wręcz przeciwnie.

Trocki i jego polemici nie potraktowali z uwagą roli inteligencji. Tymczasem okazała się ona bardzo duża w przemianach najnowszej historii, w tym w rewolucjach – zwłaszcza w krajach, gdzie inne grupy były słabe, bądź słabo ustrukturyzowane. To inteligencja, także w Rosji najbardziej odczuwała „relatywną deprivację” na tle pozostawania swojego kraju w tyle i szukała sposobów pchnięcia go naprzód. Trocki sam był przedstawicielem tej grupy. Co też ważne, był przedstawicielem inteligencji rekrutującej się z grupy mniejszościowej. Tacy jak on, czując pozostawanie swego kraju w tyle bardziej niż inne grupy społeczne, a na dodatek napotykając znaczące trudności jako przedstawiciele narodów innych niż dominujący często przyłączali się do ruchów rewolucyjnych. Niezłym przykładem tego zjawiska był polski szlachcic Dzierżyński.

Przegrana Trockiego była elementem zastąpienia peryferyjnych grup społeczeństwa Cesarstwa, ważnych w procesie rewolucyjnym, przez grupy z jego centrum awansowane przez uruchomione przemiany. Oczywiście, trudno zaprzeczyć, że Stalin był Gruzinem, ale za nim stanął aparat partyjno-państwowy, nie rekrutujący się już z inteligencji i – zwłaszcza – nie z podporządkowanych narodów lub/i mniejszości narodowych.

Zbyteczne też dodawać, że Marks i jego następcy nie przewidzieli rozbudowy klasy średniej, także rozwoju sektora usług. Myśleli, że będzie wręcz odwrotnie – że społeczeństwo rozszczepli się na burżuazję i proletariąt.

Przyszłość istotnie zdezawuowała także myślenie uczestników omawianych sporów o mechanice procesów rewolucyjnych. Dzisiejsze środki łączności, częste naśladownictwo wydarzeń nawet rozgrywających się daleko, zaistnienie światowego audytorium dla wydarzeń teoretycznie krajowych, technologia skłaniająca do szukania porozumienia przez strony konfliktu o tyle, że dziś obie mogą długo trwać nie wygrywając... zmieniły nawet te elementy obrazu procesów rewolucyjnych, które można by uznać za modelowe i powtarzalne (pomijając specyfikę po prostu każdej rewolucji). Częste są dziś rewolucje i w ogóle ruchy społeczne rozwijające się łańcuchowo w kolejnych krajach, choć oczywiście zdarzały się takie również dawniej.

Jeśli najnowsza historia potwierdziła coś z koncepcji Trockiego, to niektóre elementy jego teorii „rewolucji permanentnej”, choć nie jest powiedziane, że dokładnie zgodnie z jego myśleniem. Z natury procesu rewolucyjnego płynie jego rozpędzanie się. Zdobycie pierwszych celów czyni realnym sięgnięcie po dalsze. Trocki mógł chcieć realizacji rewolucji permanentnej, czyli nie zatrzymującej się w osiągniętych punktach w rzeczywistości rosyjskiej lub międzynarodowej.

Niezależnie od jego myślenia, mechanizm rozkręcania się rewolucji jest jednak w jakimś stopniu zakodowany w samym zjawisku rewolucyjnym, co najnowsza historia potwierdziła. Rewolucje na ogół zmieniały znacznie więcej elementów rzeczywistości niż przewidywały cele podnoszone na początku, jeśli oczywiście owe rewolucje nie zostały zduszone. Pytanie oczywiście, kiedy można mówić o końcu zjawiska rewolucyjnego oraz o instytucjonalizacji rewolucji w wypadku rewolucji zwycięskiej, a w związku z tym do jakiego momentu można mówić o przemianach rewolucyjnych.

Czy Napoleon rozwijał Rewolucję Francuską, czy ją zakończył? Niewątpliwie ją zinstytucjonalizował, ale przecież mnóstwo przemian zostało wprowadzonych, także utrwalonych dopiero przez niego. Podboje napoleońskie w jakimś sensie były kontynuacją rewolucji. Czy Stalin zakończył rewolucję bolszewicką i zinstytucjonalizował, czy ją rozwinął? Trocki mówił o stalinizmie jako o bonapartyzmie (s. 429). No i na pytanie o rolę Stalina u władzy względem procesu rewolucyjnego trzeba odpowiedzieć dwoiście, jak w wypadku Napoleona. Stalin zinstytucjonalizował rewolucję, ale głębokie przemiany Rosji nastąpiły pod jego rządami.

Od kiedy można mówić o fazie instytucjonalizacji rewolucji przez Fidela Castro? Wielkie przemiany wprowadzane tam stopniowo. Przy całej i oczywistej różnicy zjawisk warto przypomnieć, że zwycięstwo rewolucji „so-

lidarnościowej” w Polsce zaczyna, a nie kończy współczesne przemiany, zaś wśród przedstawicieli dzisiejszej opinii są nawet osoby, które głoszą, że przemian wciąż nie przeprowadzono, dopiero należy się za nie zabrać.

Prawda, że współczesna historia zna zjawisko rewolucji samoograniczających się, wynikające m.in. ze wspomnianych zmian w mechanice procesu rewolucyjnego. Na skutek zmiany cywilizacyjnej wróg nieraz nie może pokonać fali rewolucyjnej, ale może ją zatrzymać. Czynniki geopolityczne mogą temu sprzyjać.

Z samej logiki procesów rewolucyjnych płynie także ich tendencja do rozprzestrzeniania się na coraz szerszy teren. Dążenie Trockiego do rozszerzenia rewolucji poza Rosję było elementem jego koncepcji rewolucji permanentnej, ale wynikało też z przekonania, że zrealizuje się opisana w marksizmie logika dziejów. W praktycznych kategoriach chciał wzmocnienia rewolucji rosyjskiej przez inne ruchy; gdy nie udało się w Europie Zachodniej, to liczył na Chiny (s. 340). Analogiczne zjawiska wystąpiły w niejednej rewolucji. Kubańscy uważali, że w różnych krajach latynoamerykańskich „po prostu” powinny wybuchnąć rewolucje. Radio Hawana zaczynało swoje audycje od słów „Tu Radio Hawana, Kuba, pierwsze wolne terytorium w Ameryce”. Zarazem chcieli, by wybuchły dla polepszenia sytuacji własnej. Gdy im nie wyszło, podobnie jak Rosja przeszli do budowania nowego ustroju w jednym kraju.

W mechanizmie rewolucyjnym tkwi jednak coś więcej: przekonanie, że trzeba podzielić się własnym sukcesem, trzeba wskazać drogę, trzeba obdarzyć innych osiągniętym szczęściem. W końcu gdy uchwalano postanienie do narodów innych krajów komunistycznych na Zjeździe „Solidarności” w hali Olivii, to chyba nikt spośród zgromadzonych tam delegatów nie oczekiwał wybuchu rewolucji antykomunistycznych w okolicach Polski, co na dodatek miaoby polepszyć sytuację kraju w obozie. Z tego postanienia można było raczej oczekiwać kłopotów. Trzeba było się jednak pochwalić i podzielić szczęściem zarazem.

Prawda, że z czasem eksport rewolucji może zmienić się w politykę w interesie nie tyle idei rewolucyjnych, co ustabilizowanego rewolucyjnego państwa. Rzecz jest zresztą prawie niemożliwa do rozróżnienia. ZSRR nigdy nie zrezygnował z podtrzymywania wizji, że świat zmierza do komunizmu, a *Międzynarodówka* była śpiewana! Tenże ZSRR popierał jednak lewicowy na swój czas Izrael lub później lewicowe rządy afrykańskie pewno raczej po to, by wbić szpilkę Zachodowi niż w przekonaniu o rozszerzaniu się wspólnoty nowego ustroju na świecie. Zwycięstwo rewolucji Fidela Castro i pójście Kuby nieco później drogą komunistyczną było traktowane jako kolejny krok potwierdzający ideologię, ale w praktycznym działaniu próbowano wykorzystać wyspę jako niezatapialny lotniskowiec już chyba bardziej w interesie ZSRR niż światowej rewolucji.

Wracając do książki, która stała się pretekstem do sformułowania tych myśli, warto też zwrócić uwagę na sprawę w niej nie poruszoną, mianowicie na siłę pośmiertnego kultu Trockiego. Jest to chyba zjawisko związane bardziej z jego osobą i formą głoszonych przezeń myśli niż z ewentualną stosowalnością (powiedzmy!) tychże. Jest to kult człowieka zapamiętanego przez niektórych ludzi jako bojownik walczący altruistycznie,

bezkompromisowo, niechcący wchodzić w różne układy, zaszczyty i ostatecznie zabity. Postać jest zresztą modelowana niekoniecznie adekwatnie do rzeczywistości. Zapamiętany jako bezkompromisowy i idący do celu bez oglądania się na koszty Trocki nieraz – jak była mowa – potrafił „politykować”.

Jego kult jest podobny do kultu Guevary, a w ostatecznym rachunku ma podłoże w religii. Prawda, że ma to podłoże paradoksalnie, ale chyba ma. Przykładów takiego kultu, odnoszącego się zresztą do polityków bardzo odmiennych, można znaleźć więcej. Tak rodził się i nadal formuje również kult zmarłego prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Pokazuje się go jako szlachetnego bojownika o sprawę (inną!), nie docenianego, nie rozumianego; jako szacowanego za życia i nawet nie „tylko”

tragicznie zmarłego, ale zamordowanego. O ofiarach katastrofy smoleńskiej mówi się wręcz „polegli”, *ergo* polegli w walce. Można oczywiście dyskutować, w jakim stopniu ten obraz rodził się spontanicznie, a w jakim narodził się świadomie wspomagano, ale ta dyskusja nie ma większego sensu. Jakkolwiek by było, część opinii była (jest) receptywna wobec takiego obrazu. Jego podstawą jest za każdym razem przeciwstawienie prawdziwej lub domniemanej szlachetności postaci oraz jej dążeń niedostatkom naszego państwa.

MARCIN KULA

Mikołaj Mirowski, *Rewolucja permanentna Lwa Trockiego. Między teorią a praktyką*, Wydawnictwo DiG, Warszawa 2013, s. 480, ilustracje.

ANDRZEJ KURZ

KSIĘGA NA DZIEWIĘĆDZIESIĘCIOLECIE GENERAŁA

W naszym obyczaju świętowania rocznica dziewięćdziesięciolecia urodzin WOJCIECHA JARUZELSKIEGO stała się naturalnym bodźcem do rozważań nad narodowym losem i drogami żywymi Polaków. Wszak postać tego długowiecznego i imponującego swoją wolą i umiejętnością rozmowy z Polakami polityka wciąż animuje zmieniające się pokolenia rodaków i opinię publiczną, a zresztą także międzynarodową.

Z kręgu Aleksandra Kwaśniewskiego – najdłużej działającego na stanowisku demokratycznie wybranej głowy państwa następcy Wojciecha Jaruzelskiego, polityka, który był ostatnim prezydentem Polskim Ludowej, wyszła więc inicjatywa, aby ofiarować Jubilatowi dzieło myśli grona ludzi nieposzlakowanej godności i władających piórem, zbiór prac naukowych i refleksyjno-wspomnieniowych, poświęconych sprawom ważnym dla Polski XX wieku i związanych z ideami i losami żywymi Generała.

Pozyskanie autorów, dobór prac do publikacji i znalezienie wydawcy powierzył Aleksander Kwaśniewski komitetowi redakcyjnemu pod przewodnictwem prof. Jerzego J. Wiatra.

Poprzedzona obszernym, opisującym drogę życiową Wojciecha Jaruzelskiego i utrzymanym w przyjacielsko-partnerskim tonie przesłaniem Aleksandra Kwaśniewskiego księga zawiera 26 rozpraw podzielonych na dwa działy. Pierwszy obejmuje studia o charakterze naukowym, dotyczące problemów epoki i społeczeństwa, w których kształtowała się osobowość Wojciecha Jaruzelskiego i na które wpływał jako żołnierz i polityczny przywódca. Drugi zawiera refleksje i wspomnie-

nia o nim i jego osobowości, w większości pióra jego bliskich współpracowników i podwładnych, ale także tych, którzy byli jego politycznymi przeciwnikami. Przeciwnikami w okresie stanu wojennego, rozumiejącymi jednak złożoność i tragedię epoki, i wielkość wyzwań, którym bohater ich rozważań musiał stawiać czoło. Rozważań bez jubileuszowych słodkich słów, ale z wolą zrozumienia pobudek i działań, z szacunkiem dla godności, życiowej postawy i trudnych wyborów tego Polaka, wznoszącego się ponad środowiskowe uwarunkowania i ludzką przeciętność.

Wśród *Studiów* znajdujemy kilka rozpraw o niezwyklej wartości poznawczej i naukowo-teoretycznej głębi, wartych wielokrotnej lektury, poczynając od otwierającego ten dział dużego artykułu nestora polskiej socjologii, o trzy lata starszego od Jubilata, profesora Władysława Markiewicza o kulturze politycznej społecznego społeczeństwa polskiego, profesora Jerzego J. Wiatra o polskim interesie narodowym na przykładzie epok i profesora Hieronima Kubiaka o metamorfozach polskiej inteligencji.

Obok prac tych wybitnych socjologów przykuwa uwagę obszerna rozprawa prawnika i historyka, profesora Jacka Majchrowskiego o koncepcjach i konstytucyjnych determinantach urzędu prezydenta RP od roku 1918 do roku 1997 oraz rozważania światowej sławy psychologa społecznego, profesora Janusza Reykowskiego o decyzjach, które wpłynęły na bieg historii. (Rzeczywiście, tylko w połączeniu z analizą używającą narzędzi socjo-psychologicznych można w sposób tak głęboki i zobiektywizowany mówić o stanie wojennym, jego nieuchronności, ale i o klęsce i kompromitacji syste-

mu, prowadzących do jego ostatecznej likwidacji.) Prawdziwą perłą analizy historycznej okazuje się najkrótszy w tej części książki artykuł profesora Andrzeja Wreblana pod skromnym tytułem *Berlingowcy – wpływ na los narody*, który przedstawia polityczno-demograficzne przesłanki powstania armii Berlinga na tle gry politycznej wielkich mocarstw w czasie II wojny światowej i z niezwykłą przenikliwością rekonstruuje ewolucję poglądów Stalina na kształt i charakter ustrojowy powojennej Polski, jej rzeczywiste losy w ciągu następnego półwiecza.

Dział *Refleksje i wspomnienia* otwierają dwa utwory szczególnej głębi i piękności. Andrzej Celiński w historyzoficznych rozważaniach, którym nadał tytuł *Epizod czy zmiana*, zastanawia się, czym staje się naród we współczesnej Europie dla określających się w nim jednostek i jak wyjątkowo dobry okres nastąpił dla Polski. A potem rozważa, czy z tego może wynikać dobra przyszłość wobec rozlicznych polskich deficytów – od demokracji i solidarności poczynając, na kapitale ludzkim i zaufaniu kończąc. I wieńczy swe rozważania takimi myślami: „Dobra historia to taka, która dobrze się kończy. Nasza, przynajmniej jej epizod związany z Generałem Jaruzelskim, jest dobrą historią. Nie rozumiem niczego z tej biografii”. I następnie: „On, Generał, potrafił doprowadzić do dobrego końca to, co źle zaczęło... Nasze dzisiejsze ułomności Jego nie obciążają”.

A Jan Widacki, opowiadając o dramatycznych losach butnego szlachcica – margrabiego Aleksandra Wielopolskiego i o już ponadwiekowym sporze jego dotyczącym, nawiązując do wybitnego historyka z grupy Stańczyków Józefa Szujskiego, autora znakomitej polemiki pod wymownym tytułem *O fałszywej historii jako mistrzyni fałszywej polityki*, przez postać bohatera swego utworu czyni jednoznaczna, choć niewypowiedzianą, aluzję do Wojciecha Jaruzelskiego, naszej współczesności i jej paskudnych mitów.

Bardzo ciekawie współbrzmi z tymi głosami zadziwiająco głęboki i poważny, przy zwykłej u tego autora błyskotliwej przewrotności, esej Jerzego Urbana *Za co Kocham PRL?*

Znaczącą, choć niezbyt obszerną część książki stanowią artykuły ludzi w mundurach, podkomendnych i współpracowników generała Jaruzelskiego jako ministra Obrony Narodowej – dwóch generałów: Franciszka Puchały i Tytusa Krawczyca oraz dwóch pułkowników z tytułami naukowymi: Andrzeja Gąszczałowskiego i Gabriela Zmarzlińskiego. Ten ostatni pozostaje od lat wiernym współpracownikiem Wojciecha Jaruzelskiego, obrońcą jego decyzji i działań politycznych, a ostatnio także niestrudżonym organizatorem jego jubileuszowych wydarzeń.

W obszernym studium gen. Franciszka Puchały, jednego z najwyższych oficerów Sztabu Generalnego WP, obok szczegółowych i nieco nużących opisów strategicznych koncepcji i technicznego rozwoju polskiego wojska w czasie, kiedy dowodził nim gen. Jaruzelski, znajdujemy również bardzo ciekawe informacje o wojskowych przygotowaniach do stanu wojennego i takich, wówczas przedsięwziętych, działań strategiczno-taktycznych, które świadczą o samodzielności poczynąń wojska polskiego i patriotycznej woli niezależnienia od zamysłów armii sojuszniczych i ich interwencyjnych przygotowań.

Trzeba podkreślić bardzo staranne i estetyczne, zgodne z prawdziwą sztuką edytorską opracowanie książki. Szczególnie jeśli zważyć 4-miesięczny załedwie termin, którym na wykonanie wszystkich prac dysponował wydawca: Studio-EMKA, kierowane przez Jacka Marciniaka. Rezultat okazał się imponujący i pozwala rozgrzeszyć redakcję z braku indeksu. Zdradzając tajemnice kuchni edytorskiej mogę, jako odpowiedzialny w komitecie redakcyjnym za redakcję naukową oraz wybór i współpracę z edytorem, powiedzieć, że było to spowodowane oczekiwaniem na zamknięcie prac wydawniczych do ostatniej sekundy na ewentualne listy dwóch, już mocno wiekowych i walczących o zdrowie światowych postaci, prezydentów Georga Busha (starszego) i Michaiła Gorbaczowa. Ten pierwszy zdążył dopiero na samą jubileuszową uroczystość, jego przyjazne przesłanie znajdzie się w następnym nakładzie tej książki, obok dostępnego już w tym wydaniu obszernego słowa Michaiła Gorbaczowa o swym przyjacielu, generale Wojciechu Jaruzelskim...

W dniu urodzin Wojciecha Jaruzelskiego, 6 lipca br. ukazały się też niesłychanie cenne publikacje autorów, którzy zapraszani, do księgi jubileuszowej odpowiedzieli, że przygotowują wystąpienia oddzielne. Profesor Andrzej Romanowski zamieścił w „Gazecie Wyborczej” niezwykle przenikliwy i wielkiej wagi artykuł *Kim jest generał*, opatrzony komentarzem Adama Michnika *Generał i polskie losy*, a profesor Bronisław Łagowski na łamach „Przeglądu” opublikował wielki esej *Jaruzelski – Wielopolski, który osiągnął cel*.

Na początku zaś lipca br. ukazała się w „Bibliotece Kuźnicy” bardzo ważna książka profesora Andrzeja Walickiego *Od projektu komunistycznego do neoliberalnej utopii*, w której jedną z postaci najobszerniej analizowanych pod kątem wpływu na wydarzenia i idee swojej epoki jest właśnie Wojciech Jaruzelski.

Polski inteligent i obywatel zyskał najwyższej jakości lekturę. Medialne hieny przez moment przypuszczające, że dopadną dostępnego ich poziomowi żeru, zawiedzione ucichły.

ANDRZEJ KURZ

Wojciechowi Jaruzelskiemu, żołnierzowi i mężowi stanu, komitet redakcyjny: Jerzy J. Wiatr (przewodniczący), Andrzej Gąszczałowski, Andrzej Kurz, Gabriel Zmarzliński, Warszawa 2013.

ZBIGNIEW BAUER

POŻEGNANIE Z „PRZEKROJEM” I KOTAMI

W poniedziałek 30 września ukazał się ostatni numer „Przekroju”, tygodnika ukazującego się od 15 kwietnia 1945 roku, co dało 3555 wydań. Zapewne należałoby z tej okazji napisać stosowne epitafium, wyłać trochę łez – co uczyniła większość polskich mediów i większość publicystów – po trosze szczerych, po trosze krokodylich. Należałoby – co również uczyniono zauważyć nie bez złośliwości, że początek zjazdu w dół dla zasłużonego pisma, stanowiącego symbol pewnego typu inteligentkiej postawy wobec świata, ba, nawet owej postawy „ikonę” (jak się to zwykło mawiać w takich razach), to moment przenosin pisma do Warszawy. W Warszawie wydawać „krakowskiego” tygodnika po prostu się nie da, bo to tak, jakby z Wisły próbować zrobić Legię, a wiślackim szaliku wybierać się na Łazienkowską z nadzieją na powrót pod Wawel w jednym kawałku. Zatem w przedśmiertnym skurczu „Przekrój” postanowił do Krakowa wrócić, co było jedynie próbą wstrzykiwania w umierające ciało jakiejś baśniowej wody życia. Tego po prostu uratować się nie dało, choć byłbym jednak ostrożniejszy w przypisywaniu „duchowi miejsca” szczególnych zasług w istnieniu (lub nieistnieniu) jakiegos medium.

„Przekrój” stracił tożsamość nie dlatego, że przestał być „krakowski”. Dobre pismo można – zważywszy potencjał, jaki stwarzają dziś współczesne środki łączności – robić wszędzie. Oczywiście – trudno sobie wyobrazić „Politykę” poza Warszawą, niemniej „Polityka” ocalała dla siebie to co najważniejsze: jest tygodnikiem adresowanym do bardzo wyraźnie określonej czytelniczej grupy. Nie próbowała drogi w stronę tabloidu, nie eksperymentowała z tematami, nie chciała uprawiać dwuznacznych gier mizdrząc się to do jednej, to do drugiej strony ideologicznej czy politycznej sceny. Wbrew temu, co sądzimy o współczesności, to jednak okazuje się ona wcale nie tak bardzo „płynna”, a wyrazistość postawy wobec świata wcale nie jest ostatnią w hierarchii cech pożądanym najbardziej. Więcej – cech wręcz wymaganych: tak od konkretnych ludzi, od społecznych grup, jak i od mediów, które są dziś czymś, czego nie sposób zwyczajnie lekceważyć, niezależnie od głoszonych dumnie hasłek typu „nie czytam”, „nie oglądam”.

Na „nowy” wizerunek „Przekroju” nie było pomysłu. Jego zmieniający się ustawicznie redaktorzy naczelni i jego wciąż nowi właściciele nie potrafili zrozumieć, że to „coś”, co dawno temu zapewniało krakowskiemu tygodnikowi fantastyczne wręcz nakłady, będące znakiem czytelniczej akceptacji ówczesnej jego formuły, po prostu znikło. Inteligencji „przekrojowej”, stanowiącej powód irytacji ideologów z lat 50. i 60., po prostu nie ma. To co kiedyś było magnesem przyciągającym co światlejszych Polaków do „Przekroju” – swoisty powiew zachodniej wolności (choć, nie czarujmy się: „Przekrój” z socrealizmem także romansował – choć jedynie „romansował”, a nie oddawał się mu jak za-

kochana dzierlatka), w dzisiejszych czasach magnesem być przestało: jest na wyciągnięcie ręki, znajduje się pod komputerową myszką. Dziś mało kto pamięta już miesięcznik „Ty i Ja” – wysmakowany graficznie, przynoszący doskonałe tłumaczenia światowej prozy, lansujący zachodnie trendy w modzie czy designie. W naszych czasach po prostu – o ile jego redakcja nie umiałaby się wsłuchać we współczesność – podzieliłby losy pisma Mariana Eilego znacznie wcześniej.

Kiedyś czytanie „Przekroju” było rodzajem delikatnej, nie pozbawionej konformizmu, ale jednak kontestacji oficjalnych trendów w polityce czy kulturze. Dziś nikt nikomu nie broni być „przeciw”, „za”, także „za, a nawet przeciw”. „»Przekrojowa« inteligencja” rozplynęła się: być może zastąpiła ją formacja pożerająca telewizyjne opery mydlane lub śmiało surfująca przez internetowe plotkarskie portale. Swoją drogą zmusza do namysłu to, iż województwo małopolskie, kojarzone – głównie dzięki akademickiemu, klerykalnemu i snobistycznie prowincjonalnemu Krakowowi – z „inteligencją”, najchętniej w Polsce czytuje „Fakt” i „Super Express”, zaś dzienniki uznawane za „jakościowe” wloką się tu dość daleko w czytelniczych rankingach.

Jeśli nie wiadomo, do kogo jest adresowany przekaz jakiegos medium to znaczy, że jest on adresowany do nikogo. Samo to medium zaś zawisa w swoistej próżni, istnieje dzięki inercji – w przypadku „Przekroju” była to inercja tradycji. Trwałość tej tradycji zapewniała nostalgia za dawnym i dobrym „Przekrojem”, o którym mówiono, że pisał tu ten i ów, ta i owa – wielcy i nieśmiertelni. Dzięki tej nostalgii za umarłym już typem dowcipu, ironicznego dystansu do świata, umiejętności korzystania z możliwości, jakie stwarza polszczyzna z jej dwuznacznościami, podatnością na gry słowne może utrzymywać się w telewizji *Kabaret Starszych Panów*, moda na poezję Agnieszki Osieckiej czy miłość do humoru Wojciecha Młynarskiego. Gdyby jednak TVP dziś zechciała produkować nowe programy w stylu dziełek Wasowskiego i Przybory – poległaby niechybnie.

Coś trwa – paradoksalnie – dlatego, że jest przeszłe, definitywnie minione. To jest jak stary mebel, stary radiodbiornik wstawiony do nowoczesnego salonu, w którym pełni rolę zabawnego „wtrętu” – ale jedynie „wtrętu”, nie zaś znaku ciągłości, łączności z dawnymi modelami świata. Styl *vintage* wcale nie oznacza restytucji – to raczej zabawa w cytowanie czegoś (kogoś?), czego rozumieć wcale nie trzeba. To po prostu jest, by tak rzec, samo w sobie: zmaterializowane i zakrzeple w swojej zabawnej „osobności”. Osobności, którą można wystawić na pokaz, jak babę z wąsami.

Wraz ze śmiercią „Przekroju” przychodzi obecność ulubionego – jak powiedziano to w ostatnim wydaniu tygodnika – „przekrojowego” rysownika, Marka Raczkowskiego, w sieci. Będzie trzy razy w tygodniu publikować swoje graficzne felietony w portalu Gazeta.

pl. Sam Raczkowski, komentując symboliczną śmierć swojego komiksowego bohatera, pana Stanisława z Łodzi powiedział: „Dwa tygodnie temu lekarz dał Stanisławowi jeszcze miesiąc życia. Dziennikarka pyta go: »Czy będzie pan się ukazywał po śmierci?«. »Być może w internecie«. Stanisław w internecie jest takim trochę duchem. Na papierze to, wiadomo, konkret, a internet jest taki mniej poważny”.

Gdyby coś, co przydarzyło się teraz „Przekrojowi”, przydarzyło się w latach, gdy graficzny kształt tygodnikowi nadawał Daniel Mróz, to czy ten znakomity grafik z taką łatwością przeniósłby się do sieci? Czy te wszystkie jego koto-baby, te wędrujące przez cały numer pisma łapki, te rozrastające się w monstrualne konstrukcje stwory ludzko-maszynowe miałyby w internecie ten sam sens, co na papierze? Mróz – grafik-artysta w internecie nie mógłby zaistnieć: jego sztuka to była sztuka papieru, subtelna gra z poligrafia – a jaka ona była w Polsce nawet w latach 70., wiadomo. Grafik-felietonista, jakim jest Raczkowski, w sieci doskonale się odnajdzie, nawet jeśli twórca pana Stanisława uznaje sieć za przestrzeń „mniej poważnej” komunikacji z odbiorcą. Różnica pozycji dawnego „przekrojowego” grafika i grafika współczesnego wobec sieci to swoista metafora, którą można by przenosić także na inne obszary dziennikarstwa i medialnej twórczości. Są w tej twórczości takie style, takie sposoby myślenia, których nie da się po prostu do internetu „przeszuflować” bez strat. Coś, co doskonale sprawdzi się w sferze „papierowej” – w sieci zginie. Nie dlatego, że sieć to inne tworzywo: nie – w sieci również się pisze, rysuje, filmuje, nagrywa dźwięki. Ale sieć to inny odbiorca, inna wrażliwość, inne predyspozycje i inne oczekiwania.

Nie chcę być źle zrozumiany: jestem daleki od twierdzenia, że internet to gigantyczny śmietnik, pozbawiona wyrazistości sterta, olbrzymie składowisko wszystkiego, w którym bezrozumnie, jak elektroniczne żuki błądzimy tylko, by w końcu wywrócić się na grzbiet i bezradnie machać kończynami. Nie – są jednak takie wytwory ludzkiego intelektu i wrażliwości, które zrosły się z papierem i nikt ni nie wzmówi, że czytanie książki na tablecie czy czytniku Kindle’a niczym nie różni się od czytania tej samej książki w wersji tradycyjnej. I wcale nie wiadomo, który model lektury jest „lepszy”. Można w końcu powiedzieć: nie jest ważne jakiego nośnika pisma ktoś używa – ważne, że pismo nie jest dla niego czymś abominacyjnie archaicznym.

Wśród wielu diagnoz regresu prasy światowej – a przypadek „Przekroju” jest jednym z nich, bolesnym, bo dotyka ważnego pisma w naszej, polskiej tradycji medialnej – wymienia się konkurencję ze strony nowych mediów. Na styku mediów tradycyjnych i nowych trwa intensywna gra, która – gdy spojrzymy na to, co działo się tu w dawnych, a nawet bardzo dawnych czasach – nie powinna zaskakiwać. Antyczna kultura grecka musiała zmierzyć się z wyzwaniem, jakie dla niej – opartej na przekazie ustnym – stanowiło pismo. Kultura pisma ręcznego, tego, do którego ciągle wielu z nas jest przywiązanych („ciepła ręka” z wiecznym piórem i ołówkiem nie zastąpi ponoć chłód maszynopisu, a tym bardziej komputerowego wydruku czy ulotnego pisma elektronicznego) musiała przyjąć twarde reguły stawiane przez gutenbergowską typografię. Pędzel malarza zastąpić musiał obiektyw aparatu fotograficznego

i filmowej czy telewizyjnej kamery (ale dzięki temu malarstwo, uwolnione od okazjonalnych przymusów portretowania władców lub scen bitewnej chwały, mogło zająć się sobą – tak rozkwitła plastyczna awangarda: impresjonizm, kubizm czy fowizm)

Jesteśmy na granicy i zapewne długo jeszcze na niej pozostaniemy, choć kres papierowej prasy ma nastąpić już niedługo, bo w 2020 roku (przynajmniej u nas, w Europie Środkowej). To jednak nie jest tylko zmiana technologii: taka transformacja ma istotne konsekwencje społeczne, psychologiczne, estetyczne. Zmiana tworzywa oznacza także zmianę sposobu tworzenia, zmianę sposobu myślenia o ostatecznym wytworze. Zmiany w świecie medialnym są – wbrew potocznemu pogładowi – znacznie wolniejsze niż przeobrażenia dokonujące się w świecie sztuki. Media to wolno przeobrażające się, potężne instytucje, niechętnie z reguły nowościom, tym bardziej nowościom rewolucyjnym. Wytwory sztuki są jednorazowe, „momentalne”, adresowane do wąskich, wyspecjalizowanych publiczności i audytoriów (widowni). Media wytwarzają przekazy adresowane do publiczności milionowych, o których wciąż wiemy, mimo wciąż doskonałych metod badawczych, mało.

Zmiana materii, w której operują dziś media posługujące się słowem lub słowem i obrazem musi skutkować zmianą technik tworzenia. Przekaz medialny dedykowany sieci wymaga czegoś innego – znów powtarzam: niczego „gorszego” i niczego „lepszego” – niż to, czego oczekiwaliśmy od medialnych treści w dobie „papierowej”. Tradycyjny reportaż, taki, do którego przywykliśmy w czasach papierowych gazet i czasopism, w internecie musi przybrać inną postać. Reportaż w stylu Ryszarda Kapuścińskiego, taki, do którego chętnie odwołują się jego młodszy pokolenie uczniowie i naśladowcy, to reportaż głównie książkowy – zresztą to co wychodziło z warsztatu samego autora *Cesarza* w najważniejszym okresie jego twórczości zmierzało w stronę książki, nie było zaś nerwowym, szybkim, *newsowym* dziennikarstwem lat wczesnych, podporządkowanym rygorom agencyjnym lub prasowym.

Odchodzenie w przeszłość prasy „papierowej” nie jest dla mnie niczym tragicznym: jest po prostu wynikiem zmian cywilizacyjnych, których nigdy nie zatrzymamy. Problem „Przekroju”, a także – patrząc szeroko – problem wielu tytułów prasowych o znacznie dłuższej historii, które przestają się ukazywać w tradycyjnej postaci, to pytanie o to: w jakim stopniu dziennikarstwo, przywykłe do roli *gatekeepera*, drogowskazu i przewodnika po świecie, potrafi przystosować się do nowych reguł komunikacyjnych, w których to odbiorca, nie nadawca, wytycza komunikacyjne relacje.

Tego zabrakło nowym właścicielom, nowym szefom, „Przekroju”. Jak ktoś słusznie zauważył: czasopismo to zadrażano na długo przed ostatecznym zejściem. Skupiły się w smutnym losie „Przekroju” grzechy przemian, jakim podlegał polski system medialny po 1989 roku. Z jednej strony do polskiego rynku mediów garnął się, jak muchy do miodu, kapitał zagraniczny, doświadczony we własnych krajach, doskonale znający relacje, jakie regulują tamtejsze media, z łatwością w pustkę – jaka powstała po likwidacji monopolu RSW i Radiokomitetu – wszczepiający zachodnie modele. Z drugiej strony istniał łasy na możliwość szybkich sukcesów kapitał lokalny, stanowiący jedynie śmieszny cień

tego, co reprezentują wielkie korporacje medialne na świecie.

Mediami polskimi zapragnęli władać ludzie, którzy jedynie otarli się o ten świat: niestety, Grzegorz Hajdarowicz, który zapragnął władzy nad „Rzeczpospolitą” i „Przekrojem”, mimo epizodów pracy w mediach niezależnych w PRL, doświadczenia w tej materii nie miał. I stało się z tymi mediami tak, jak dzieje się w polskim futbolu ligowym: właścicielami klubów stają się ludzie zamożni, ale z futbolem mający kontakt co najmniej luźny i „kibicowski”. Stąd tak łatwe wywalanie trenerów klubowych, stąd tak łatwe sprzedawanie – niekiedy za marne grosze – czołowych zawodników.

Porównanie sytuacji w polskich mediach z sytuacją w polskim futbolu wcale nie jest tak głupie. Sfera medialna i sfera sportowa są ze sobą dziś splecione w uścisku, niekiedy śmiertelnym. I jedna, i druga to oddziaływanie na potężne grupy społeczne. Tego, niestety, władcy polskich mediów i polskiego sportu, szczególnie piłki nożnej, nie chcą brać na poważnie, albo biorą to czysto rynkowo, jak choćby ten mogoł polskiej piłki, dla którego odpalanie rac i walenie petardami na meczu to miły element widowiska, wpływający na jego atrakcyjność – niezależnie od skutków, jakie takie występy powodują dla jego ukochanego klubu. Efekt: nie ma odpowiednich wskaźników czytelnictwa? Zmienimy redaktora naczelnego, kopniemy trenera. W końcu to najmniej ważny element układanki – najemny pracownik to tylko człowiek, któremu, ewentualnie, wypłaci się odszkodowanie i da klauzulę, zabraniającą pracy w konkurencji na ileś lat.

Zespoły redakcyjne to żywe organizmy, podobnie jak drużyny piłkarskie. Buduje się je latami: tak działał przez długie lata „Przekrój”. Takim organizmem jest „Polityka”, a nawet „Gazeta Wyborcza”, która ma nieporównanie krótszą historię, poza tym odznacza się znacznie większą zdolnością pozbywania się ludzi, którzy w tę historię wnieśli znaczny wkład. Hajdarowiczowi praktycznie nie udało się nic: zniszczył najpoważniejszy obok „GW” dziennik opiniotwórczy, „Rzeczpospolitą”, podobnie zniszczył „Przekrój”. Stała rotacja na stanowiskach kluczowych dla redakcji, nieumiejętność dyskutowania o sprawach dla takiego medium najważniejszych – dla kogo piszemy, jak, o czym – sprawiły, że musieliśmy z tygodnikiem się pożegnać.

Deklaracje, iż dostosowujemy się do rynku nowych mediów – czyli wchodzimy na tablety i smartfony – to tylko deklaracje. Hajdarowicz nie rozumie rynku nowych mediów, nie chce wiedzieć, że powodzenie ekspansji w tej branży polega nie na prostej zmianie nośnika: za tą zmianą musi kryć się zmiana modelu dziennikarstwa, modelu, w którym bardziej chodzi o słuchanie odbiorcy niż o proste nadawanie. Nośnik ma tu znaczenie wtórne, choć – oczywiście – z perspektywy kultury odbioru (czyli słuchania innych) mamy do czynienia z nowymi jakościami. Kryzys lokalnych stacji radiowych i telewizyjnych bierze się m.in. stąd – choć nie jest to przyczyną główną – że oferują one w warstwie informacyjnej treści, do których odbiorca jest w stanie w jednej chwili dotrzeć za pośrednictwem sieci: portali społecznościowych, platform blogowych i mikroblogowych. A muzyki możemy posłuchać gdzie indziej – takiej, jaką chcemy słyszeć, wtedy, gdy chcemy.

To prawda: „Przekrój” musiał stawiać czoła bardzo trudnym warunkom na rynku tygodników opinii. Ten ry-

nek niestychanie się zagęścił, także w wyniku deregulacji zasad, według których media mogą funkcjonować na rynku. Nikt przy zdrowych zmysłach nie ryzykowałby tworzenia tradycyjnego (papierowego) dziennika – a przecież takich inicjatyw na początku lat 90. było mnóstwo, ich właścicielami mogli być nawet cukiernicy i piekarze. Można – dzięki internetowi – stworzyć dziś tygodniki, dzienniki (dziennik „Krytyki Politycznej”), własne telewizje i stacje radiowe, doskonale prosperujące internetowe agencje informacyjne (Newseria). Dinozaur, jakim był „Przekrój” na tym rynku, po prostu okazał się kwiatkiem do kożucha, zwłaszcza że opinie, jakie przynosił, były już wcześniej – nawet przez jego własnych dziennikarzy – rozsiewane w sieci.

Środowisko dziennikarskie w USA zbulwersowało zakupienie przez twórcę Amazona, Jeffa Bezosa, kultowego dla prasowego modelu, dziennika „Washington Post”. Dla Bezosa ten zakup był swoistą fanaberią: ćwierć miliarda dolarów wydanych na legendę dziennikarstwa amerykańskiego i światowego to tylko wydatek „na waciki”. Po co to zrobił? Jaki skutek będzie to miało dla amerykańskiego modelu prasy? Ale stosunkowo niedawno inna legenda dziennikarstwa, „The Times”, stała się własnością Ruperta Murdocha i jego Foxa. Czy należy się spodziewać, że tak samo stanie się z „Guardianem” i „New York Times’em”? Google chętnie sponsoruje przedsięwzięcia związane np. z kształceniem dziennikarzy w zakresie etyki zawodowej, choć – dzięki swoim *bootom* – kolekcjonuje najbardziej „klikalne” wiadomości w sieci i tym samym powiększa publiczność tego, co tabloidalne, marginesowe i bezwartościowe dla miłośników prasy „jakościowej”. Z kolei proste „przeszufłowania” zawartości prasy tradycyjnej do iieci nie zawsze są skazane na sukces, przekonali się o tym wydawcy (News Corp. Murdocha) pisma „The Daily”, dedykowanego do czytników iPod i Kindle.

Nie w technologiach, nie w nośnikach tkwi problem. On jest w naszych głowach – naszych: dziennikarzy i odbiorców. Wydawało się, że wielkie ekrany telewizorów HDTV zawojują świat. Okazało się to złudzeniem – trwającym tyle, ile wielkie widowiska sportowe (olimpiada, mistrzostwa piłkarskie). Miło się oglądało – ale co więcej? Po co nam format 3D, czy rzeczywiście wzbogaca on kino światowe, czy tylko pozostaje zabawnym gadżetem? Po co mi ten format w przypadku kina psychologicznego? Czy muszę mieć Bergmana w 3D, by zrozumieć ludzkie dramaty?

Regres światowych mediów tradycyjnych tkwi w „niekompatybilności” modelu dziennikarskiego, a także modelu zarządzania mediami wobec nowych technologii. Jeśli chodzi o nieszczęsny „Przekrój” to problem tkwi głębiej: w niezrozumieniu przemian, jakie zaszły w samej publiczności, wśród potencjalnych odbiorców tego typu czasopisma. Stało się po prostu zbędne. Ironiczny dystans, uśmieszek, grymas pogardy zostały zastąpione prostymi tekstami: „co mi tu k... gadasz?” „Ty mi tu ch... skoczysz?” Na tym jest zbudowane dzisiejsze poczucie humoru. Z tego ludzie zrywają boki, a nie z subtelnych gier słownych Starszych Panów, Osieckiej czy Młynarskiego. Trzeba walić w dziób, prosto, bez obcyndalanki. A „Przekrój”, mimo zmianionej, *entourage’u*, uważał, że koty Mroza, to wystarczający powód, by istnieć dłużej, niż przez wszystkie marce świata.

ZBIGNIEW BAUER

STANISŁAW GĘBALA

GWIAZDOZBIÓR TVN

Nie wiem czy Zbigniew Bauer poczuje się szczególnie uszczęśliwiony moim zamiarem „podczepienia się” pod zakończenie jego artykułu z poprzedniego (1-2/2013) numeru „Zdania” *O stanie polskich mediów*, w którym wspomina, iż „dominuje [w nich] kult gwiazdorstwa”. Jeśli spróbuje się opędzić od natręta, to mu i tak nic nie pomoże, gdyż (zapewne nieświadomie) stworzył mi okazję, żebym wreszcie mógł wyartykułować przyczyny mojej rosnącej już od paru lat milczącej irytacji, która towarzyszy głównie recepcji programów TVN24. Niestety, nie jestem w stanie rozładować tej irytacji w sposób najprostsz, bo nie jestem w domu tą osobą, która dysponuje pilotem.

Przedmiot swojej irytacji wskazałem już w tytule – jest nim gwiazdozbiór TVN, a szczególnie jego najjaśniejsze punkty, które zamierzam wskazać posługując się imionami i nazwiskami. Po co? Żeby oszczędzić czytelnikowi czasu na dociekanie, „kogo autor ma na myśli”, bo przecież nie po to, żeby „piętnować” (ale by się gwiazdorzy uśmiali!).

Mimo dalekiego od pretensji do naukowości charakteru tego tekstu, powinienem (choćby z szacunku dla własnego stopnia naukowego) spróbować zdefiniować pojęcie gwiazdorstwa. Otóż najprościej powiedziałbym, że gwiazdorstwo polega na permanentnej autoprezentacji. Przykład: Jarosław Kuźniar, który dostał niedawno prestiżową nagrodę telewizyjną w kategorii „Prezenter”. Dla niego stworzyłbym raczej specjalną kategorię: „Prezenter siebie samego”. Jako prowadzący w TVN24 poranny blok *Wstajesz i wiesz* prowadzi liczne rozmowy z zaproszonymi do studia gośćmi, którym rzadko pozwala dokończyć choćby jedno zdanie. Kiedyś wypomniał mu to dowcipnie „na antenie” sympatyczny prezenter pogody (którego nie umieszczam w gwiazdozbiórze, więc nie wymieniam z nazwiska), przedstawiając go następująco: Jarosław – Zaraz Ci Przerwę – Kuźniar. (Dla przypomnienia: było to nawiązanie do popularnej wówczas zabawy, polegającej na dopełnianiu nazwisk polityków ich charakterystycznymi powiedzeniami czy skandowanymi w tłumie hasłami. Na pewno wielu czytelników pamięta choćby dwa takie „dopełnienia”: Jarosław – Polskę Zbaw – Kaczyński oraz Donald – Nic Nie Mogę – Tusk.)

Ponieważ taki sposób prowadzenia rozmów jest powszechny w gwiazdozbiórze TVN, głowiłem się często, jakie studia ukończyły owe gwiazdy telewizyjnego dziennikarstwa – i doszedłem do wniosku, że musiały to być... uczelnie muzyczne, a konkretnie klasa śpiewu operowego, w której uczą wykonywania duetów, terce-

tów itd. – polegających, jak wiadomo, na tym, że głosy harmonijnie nakładają się na siebie, co przysparza melomanom niemałych rozkoszy estetycznych. Niestety, mimo że chyba nie mam tzw. drewnianego ucha i uwielbiam muzykę operową, słuchając rozmów prowadzonych przez Jarosława Kuźniara, Bogdanę Rymanowskiego, Andrzeja Morozowskiego, Piotra Marciniaka i paru innych gwiazd TVN doświadczam wyłącznie rosnącej z każdą minutą irytacji.

Ale prawdziwe apogeum tej irytacji osiąga, gdy rozmowę w studio TVN24 prowadzi supergwiazda Justyna Pochanke. To cały spektakl teatralny, który się przede wszystkim ogląda. Słowo w tym spektaklu zostało wprawdzie absolutnie zdominowane przez obraz, ale mistrzostwo (bezdyskusyjne!) wykonawczyń każe nam myśleć, że jest dokładnie odwrotnie; opanowała ona bowiem do perfekcji sztukę udawanego trudnego mówienia. Wiem, że nie jest to określenie precyzyjne, muszę więc je objaśnić uciekając się do komentarza poniekąd historycznego. Telewizja była niegdyś (wcale nie tak dawno temu) domeną mówienia gładkiego i potoczystego, które nasuwało podejrzenia, iż mówiący jest właściwie mechanicznym urządzeniem odtwarzającym. Pani Pochanke mówi mniej więcej tak: Ja się zastanawiam... aaaa... (*zastanawia się*) czy aby... aaaa... (*znów się zastanawia*) – i ten sposób mówienia uwiarytelnia każde słowo jako jej własne, wydobywające się z kłębowiska myśli niepowtarzalnych, które rodują się na oczach telewidza hipnotyzowanego spojrzeniem zdradzającym niezwykle przenikliwą inteligencję.

Słowo rodzące się w takim twórczym napięciu może rozbłysnąć niespodziewanie – jak perła czy diament – w każdym momencie, w pół zdania czy nawet w pół słowa rozmówcy, który czasem zgłasza nawet śmiesznie małostkowe pretensje prosząc, aby mu nie przerywać (czy „aby” nie jest dowodem, że nie dorasta do poziomu znakomitej rozmówczyni?).

Takie samogłoskowe lub spółgłoskowe „wypełniacze” pauz są swoistą manierą gwiazd TVN. Mój ulubiony autoprezenter Jarosław Kuźniar np. stosuje wypełniacz spółgłoskowy „mmmmm”. Najbardziej oszczędnie posługuje się wypełniaczem samogłoskowym Andrzej Morozowski, wydając z siebie jakby dwa krótkie stęknienia „e-e”. Wszystko to razem wzięte potwierdza mój domysł o wysokich muzycznych kwalifikacjach znakomitości dziennikarskich TVN24.

Jednak najdziwniejszego duetu mieliśmy okazję posłuchać 22 maja br. w wykonaniu Jarosława Kuźniara i prof. (! – nie mogę się powstrzymać przed sygnalizo-

waniem za pomocą wykrzyknika mojego niezmiennego zdziwienia tym tytułem w zestawieniu z następującym po nim nazwiskiem) Krystyny Pawłowicz. Duet to wyjątkowo zgrany, bo tworzyli go (jak się dowiedzieliśmy) profesor i (były) student. Nie będę tu roztrząsał treści tej osobliwej „rozmowy”, dotyczącej sławnego *Marszu Szmata* („Szmata zachowały się jak szmata” – stwierdziła lakonicznie prof. P.), pragnę tylko ocalić od zapomnienia te jej fragmenty, w których oboje mówili równocześnie. Niestety, były student, który znany jest z tego, że potrafi mówić dwa razy szybciej niż myśli, miał znikome szanse w starciu z panią profesorem, która mówi trzy razy szybciej. W efekcie wysłuchaliśmy duetu dającego się porównać tylko z kompozycjami mistrza opery komicznej Gioacchina Rossiniego, narzucającego śpiewakom zawrotne tempa.

Pora jednak przenieść uwagę z muzyki na libretta, żeby się przekonać, iż gwiazdy TVN24 mają o wiele bardziej wszechstronne wykształcenie. Nie mam wątpliwości np., że Bogdan Rymanowski, któremu również jestem skłonny przyznać status supergwiazdy, musiał terminować u prokuratora. Dowodem może być choćby często powtarzane przez niego żądanie: „Proszę odpowiedzieć tylko: tak czy nie”. A 23 maja br. w rozmowie z cyklu *Jeden na jeden* zwrócił się do Grzegorza Schetyny jak rasowy prokurator: „Ale proszę mi patrzeć prosto w oczy”. W studio zabrakło jednak niezbędnego rekwizytu – silnej lampy, której światło powinno być skierowane prosto w oczy przesłuchiwanego.

Kolejny cytat dowodzi gruntownego wykształcenia... hm, może pedagogicznego (?) tegoż dziennikarza. Prawie dwa tygodnie wcześniej, 7 maja rozmawiał z Markiem Biernackim już nazajutrz po jego mianowaniu na ministra sprawiedliwości – i tak go „przyspilił”: „Był pan dotąd znany ze swojej uczciwości. Czy to się teraz zmieni?”. Nie pamiętam, co odpowiedział nowo mianowany minister, bo osłupiałem. W każdym razie powinien odpowiedzieć cytatem z *Króla Ryszarda III* Szekspira: „Postanowiłem na łotra się zmienić” (przekład Leona Ulricha).

Muszę wyznać, że nagle straciłem ochotę do dowiekiwania. Do reszty odebrał mi ją artykuł Stefana Bratkowskiego *Tak dobrze będzie, że nie do wytrzymań* („Gazeta Wyborcza”, 25-26 maja 2013), będący głosem w dyskusji rozpoczętej gorzkimi uwagami Pawła Smoleńskiego na marginesie książki Ryszarda Kapuścińskiego *To nie jest zawód dla cyników* (*Cycki Dżoany. Ryszarda Kapuścińskiego przewodnik po umierającym świecie dziennikarstwa*, „GW” 18-19 maja 2013).

Spośród wszystkich arcytrafnych spostrzeżeń Bratkowskiego, które przybierają często postać fundamentalnych zarzutów wobec współczesnego dziennikarstwa, jedno wydaje mi się szczególnie ważne: to, które dotyczy „podminowywania powagi” rządu. Dodałbym (oglądając od dłuższego czasu przymusowo TVN24), że w wypowiedziach o władzy wręcz obowiązuje tonacja ironiczna, a nawet sarkastyczna. Za jej mistrzów uznałbym obu prowadzących program *Tak jest*, Andrzeja Morozowskiego i Macieja Knapikę. Pierwszy z nich wprost manifestuje znudzenie materiału naszych wiecznych politycznych sporów, a drugi usiłuje go rozbawić swoimi felietonami na temat wydarzeń

dnia, które opatruje takim np. komentarzem do filmiku przedstawiającego idącą grupę roześmianych znanych polityków PO (oczywiście, ton komentarza jest zgoła szyderczy): „Zadowoleni z siebie, uśmiechnięci, opowiadają sobie tylko znane anegdoty ze szczytów władzy”. Ośmieszanie władzy ma u nas długą – i niekiedy heroiczną – tradycję, ale ośmieszanie akurat tej władzy, którą teraz mamy, nie wymaga wielkiej ani w ogóle jakiegokolwiek odwagi. Bratkowski przestrzega: „Domyślam się, że to się ma źle skończyć. Ależ to będzie dopiero pełna atrakcja medialna! Więc im gorzej, tym lepiej. Potem zaś następcy zamkną pysk mediom”.

Wiele znaków na niebie i ziemi wskazuje, że następną władzą będzie ta sama, która poprzedzała obecną i jeśli nawet po prostu nie „zamknie pyska mediom”, to znów podzieli je na prawdziwie polskie i niemieckie, dodając może jeszcze nową kategorię: media reprezentujące opcję rosyjską. Warto też przypomnieć, że prezes już powiedział, iż PiS musi uzyskać taką większość, by móc rządzić samodzielnie i zmienić Polskę według swych zamierzeń.

Bawcie się więc nadal. Wam się wydaje, panowie, że *Tak jest*. Nie... e-e... nie jest tak.

*

Na tej samej stronie „Gazety Wyborczej” pod alarmującym głosem Bratkowskiego zamieszczono (ku pokrzepieniu serc?) zapewnienie *Jeszcze żyjemy* Katarzyny Kolendy-Zaleskiej, dziennikarki *Faktów TVN*. Rzeczywiście, pokrzepiająca lektura. Ten krótki tekst wart jest poważnej egzegezy naukowej, do której przeprowadzenia nie czuję się w pełni kompetentny – spróbuję jednak, starając się nie tyle o utrzymanie wysokiego poziomu naukowego, ile należytą tematu powagi.

Już w pierwszym zdaniu pada słowo, które – jak mi się wydaje – stanowi klucz do mentalności dziennikarskiej: „Dziennikarstwo nie umiera, ono się tylko zmienia”. Dziennikarz żyje oczekiwaniem zmian, nadzieją na zmiany, wreszcie krytyką tych, którzy zmianom się przeciwstawiają, a przynajmniej je opóźniają. Katarzyna Kolenda-Zaleska (dalej będę posługiwał się – dla oszczędności miejsca – inicjałami KK-Z) jest entuzjastką zmian, choć ten entuzjazm początkowo ukrywa, odwołując się do konieczności: „My, dziennikarze, musimy się dostosować do zmieniających się warunków [...]”. Wszyscy rozumiemy tę konieczność – wszak uczyliśmy się w szkole na pamięć: *tempora mutantur et nos mutamur in illis* – ale entuzjazmu autorki nie musimy podzielać, a ujawnia się on już w następnym akapicie, w którym porównuje dawnego czytelnika z dzisiejszym. Dawny „O tym, co się dzieje, dowiadywał się z dużym opóźnieniem. Dziś wie o wszystkim w ciągu minuty. Ma mniej czasu i więcej informacji do przetrawienia. Dlatego dziennikarz musi konstruować swoje teksty tak, by zabiegany czytelnik bombardowany wielością informacji odnalazł się w gąszczu spraw, które go otaczają. Musi pisać krócej”.

Z tej konieczności „pisania krócej” wynikają przede wszystkim niejasności oraz powtarzanie banalnych stereotypów. Wróćmy do stwierdzenia, że dzisiejszy czytelnik „wie o wszystkim w ciągu minuty”. Poprawmy najpierw niezręczność stylistyczną, zamieniając czasownik „wie” na „dowiaduje się”. No tak, ale tu ujawnia

się jawny nonsens: ile można dowiedzieć się „w ciągu minuty”? „O wszystkim”?

Zapomniałem na moment, że KK-Z jest dziennikarką TVN, która to stacja nadaje poranny blok *Wstajesz i wiesz*. Rozwińmy ten skrót: wstajesz, włączasz naszą stację i już o wszystkim wiesz. Ale wróćmy do cytatu. Takiego nagromadzenia stereotypów językowych dawno nie zdarzyło mi się znaleźć w tekście renomowanego dziennikarza; ten „zabiegany czytelnik bombardowany wielością informacji”, zagubiony „w gąszczu spraw, które go otaczają”, to już postać raczej z dowcipu rysunkowego lub animowanego filmiku, niż z poważnej publicystyki.

Biedny „zabiegany” czytelnik współczesny, który „ma mniej czasu i więcej informacji do przetrawienia”! Dokąd się tak śpieszy? Do ulubionych gier komputerowych czy do pubu na piwo?

KK-Z nie zamierza jednak rezygnować z wysokich ambicji zawodowych. Pociesza Pawła Smoleńskiego: „Trochę u Pawła żalu z powodu utraconej przez dziennikarza rangi objaśniacza świata. Dziś są setki anonimowych dostarczycieli informacji – a klikacz wybiera: komu chce zaufać, kogo przeczytać. Ale to dla nas sygnał, że w gąszczu zbędnych informacji musimy się wyróżniać. Pasją, rzetelnością, zaangażowaniem. Wtedy nadal nasz zawód ma sens: my tam byliśmy, jesteśmy świadkami i mamy dawać świadectwo. Może to mało – ale wciąż bardzo dużo”.

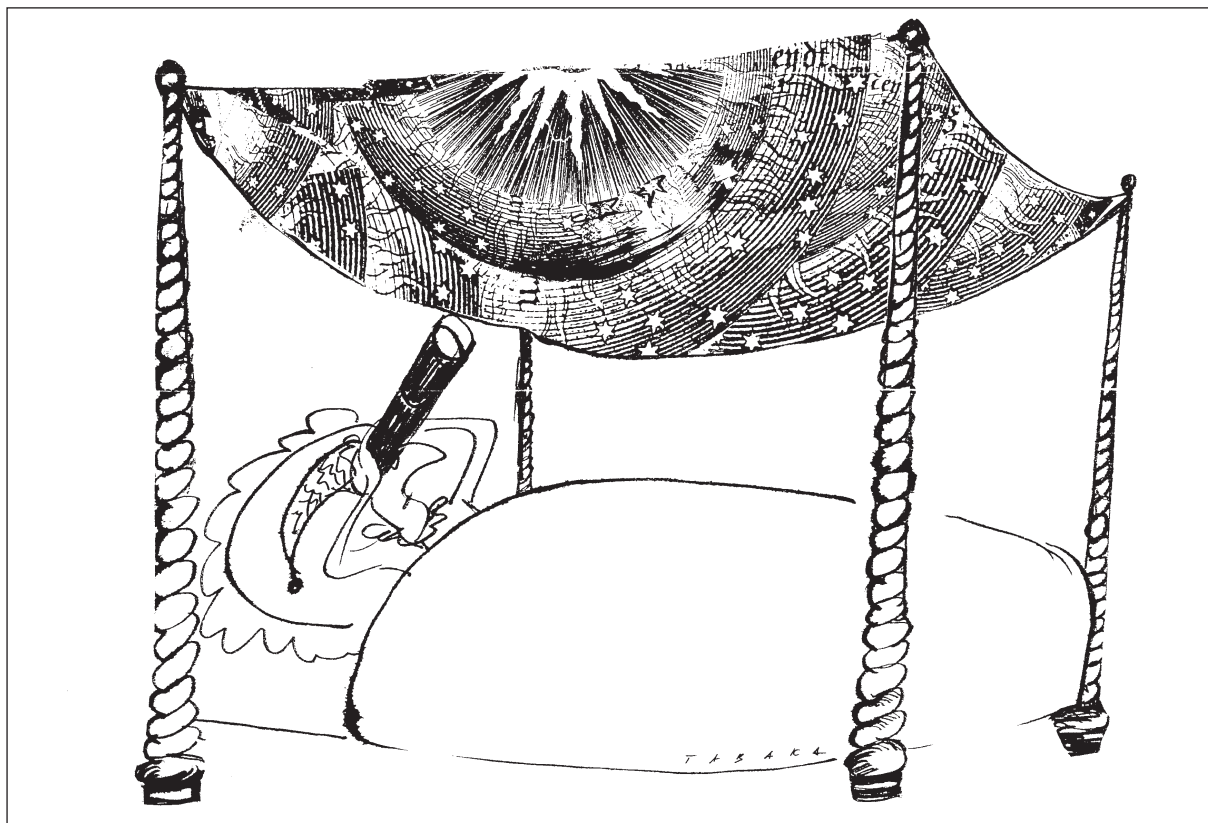
Zgadzam się: to prawie *Przesłanie Pana Cogito*. Ale dalej znów banalne stereotypy: „świat radykalnie

przyspieszył”; „dociera do nas taka liczba informacji, że nie jesteśmy w stanie jej przyswoić” itp. Aż wreszcie ze słownej sieczki wypada ziarno prawdy: „A oglądalność, klikalność ma znaczenie. W końcu media też zarabiają i muszą utrzymywać nas, rzesze dziennikarzy”.

Pochyliam głowę z szacunkiem przed prawdą, choć nie mogę opędzić się od pytania, czy przypadkiem utrzymywane przez oglądalność i klikalność rzesze nie są zbyt liczne? Za często widzę bowiem (głównie w TVN24 właśnie) tabuny dziennikarzy obojga płci (ze znaczną przewagą pięknej), biegających po sejmowych korytarzach za prominentnymi politykami i zadających niezmiennie to samo pytanie, które sumarycznie tak ujął Stefan Bratkowski: „czy ma Pan, Pani, zamiar odejść, czy Pana, Panią, premier zwolni”. I nie dziwię się niedawnemu wybuchowi Janusza Piechocińskiego, który został natychmiast uznany (przez dziennikarzy, ma się rozumieć) za niesłychany i skandaliczny.

Przyznam się jeszcze do złośliwej satysfakcji, z jaką czekam na ten moment rozmowy w studio, w którym błyszcząca inteligencją i dowcipem gwiazda TVN nagle zaczyna zdradzać objawy niepokoju i rzucać w różne strony spłoszone spojrzenia, a na swojego gościa zgoła błagalne. Są to nieomyślne oznaki, że nadchodzi czas na jedną jedyną rzecz, której powagi nikt w żadnej telewizji nie waży się zakwestionować – czas na reklamę.

STANISŁAW GĘBALA



Rys. Małgorzata Tabaka

MARTA ZABŁOCKA

SEKRETY DIANE ARBUS

Aparat daje pozwolenie, by wejść w życie innych

W salonie, w widocznym miejscu leżał album fotograficzny. Zanim zostało się zaproszonym do stołu na mieszczkański obiad czy podwieczorkową kawę, pokazywany był on gościom. Systematycznie uzupełniany o sztywne portrety członków rodziny i znanych osób z życia publicznego zawierał również wizerunki ludzkich osobliwości. Ot, telewizja wiktoriańskich domostw.

Nowoorleańskich portretów Belloq'a w tym albumie na pewno nie było. Nagie i w futrach, w karnawałowych maskach, jedwabnych pończochach i kwiecistych szlafrokach damy i panny prostytuujące się w Storyville, ukryte w niewywołanych negatywach czekały latami na swe odkrycie. Młody Belloq dokumentował maszyny, statki na nabrzeżu, wnętrza fabryk. Aż w końcu skręcił w portowe zaułki, zaczął palić opium i spotykać się dziewczynami z dzielnicy czerwonych latarni. Trafić tu było nietrudno – prostytucja na przełomie XIX i XX wieku w Luizjanie była legalna, a po przybytkach oprowadzała „niebieska książeczka”, czyli informator z opisem domów schadzek, cen, usług oferowanych u madame, ale również i w domu klienta.

Od 50 centów aż do 10 dolarów – takie były ówczesne stawki za noc z dziewczyną. Czy Belloq płacił im, tego nie wiemy. Wiemy zaś, że zachowywały się wobec fotografa w sposób dosyć nieskrępowany. W buduarach, na szezlongach, w łózkach przysuniętych do samych drzwi, by nikt niepowołany nie wszedł, prezentowały swoje wdzięki. Na jednej z fotografii widać, jak do zamka poprowadzony jest delikatny drucik od włącznika światła, co wskazuje na obsesyjne wręcz pragnienie prywatności. Mimo to portretowane nie są sztywne, pozwalają sobie na spontaniczność, to spotkanie cieszyło zarówno je, jak i fotografującego. Nie czuć napięcia między modelkami a omiatającym je wzrokiem Belloq'a. Choć w trakcie wywoływania szklanych negatywów musiał poczuć wstyd i nim jeszcze wyschła emulsja zamazywał twarze, by nikt nie rozpoznał dziewczyn ze zdjęć (nie robił tego jego brat Leon, jezuicki kapłan, jak początkowo sugerowano). By ujrzeć światło dzienne, musiały czekać na zakup młodego fotografa Lee Friedlandera przeszło 60 lat i zainteresowanie Johna Szarkowskiego dyrektora z nowojorskiego MoMA.

Paris de nuit to Montparnasse oświetlony ulicznymi latarniami we mgle, w deszczowej pogodzie. W latach 30. to tu przemieszkował paryski półświatek – prostytutki w wysokich skórzanych szpilkach szukające czułości, upijający się absyntem artyści szukający szczęścia i natchnienia oraz kloszardzi szukający pieniędzy w nie swoich portfelach. W Hotelu de Passe na Rue

Quincampoix czekała na Brassai'a młoda dziewczyna z krótką fryzurką. Odwraca głowę od fotografa, podciąga koszulkę wysoko pod brodę, gdzie lśnią na szyi duże paciorki koralu. Trzyma niedbale rękę na łonie, rozchylając nogi odkryte pończochami i wysoko sznurowanymi butami.

Dla mieszkającego wówczas w Europie Henry'ego Millera Brassai jest „okiem Paryża”. Pochodzący z siedmiogrodzkiego miasteczka Brasso węgierski emigrant zastąpił jako fotograf zapleczy kabaretów i varietes, zgiełku kawiarni i potajemnych schadzek kochanek. Wykorzystywanie nocą lamp błyskowych sprawiało, że portretowani raczej statystują artyście, są świadomi swoich ról granych przed obiektywem aparatu fotograficznego. Całująca się para oparta o drzewo, piękna nieznajoma wychylająca się przez ramię siedzącego obok niej na ławce mężczyzny w rękawiczkach, pozująca na mokrym bruku dandystka w męskim garniturze i mocno przylizanych krótkich włosach – oni wszyscy wiedzą, że wzrok Brassai'a utkwiony jest właśnie w nich. Nawet w prostytutce o mlecznym, pełnym ciele, która właśnie podmywa się po spotkaniu z klientem. Nie ma tu miejsca na zaskoczenie, modele współpracują z artystą, mimo to jak chciał fotograf, zdjęcia sugerują zdarzenie, a nie natarczywie wyjaśniają je.

I Nowy Jork miał swojego Brassai'a. Niewielu pamięta jego prawdziwe imię – Arthur Felling. Częściej przywoływany jest pseudonim – Weegee, wyjaśniający jego profetyczne zdolności (od oujia, czyli planszy z alfabetem używanej w trakcie spotkań spirytystycznych) albo przypominający jego wczesne doświadczenie asystenta w ciemni (zwanego *squeegie boy*). Na łowy po Manhattanie wybierał się nocą, wsłuchując się w trzaski doniesień radiowych Komendy Głównej. Często przybywał równocześnie z policją na miejsce zbrodni. Pijane, zakłócające porządek, perwersyjne, bezlitosne miasto; w jego obiektywie Nowy Jork jest nagi, pozbawiony złudzeń, sfotografowany z okrutnym humorem, bez litości. Swoim aparatem wdzierał się w ludzkie życia, obezwładniał ostrym światłem lampy.

Wywoływał filmy prawie natychmiast, dzięki ciemni w tylnej części samochodu mógł dostarczyć zdjęcia do „Daily News” nim jeszcze krew zdążyła wystygnąć na popękany bruk. Ciało mężczyzny w za dużych płaszczach i sfatygowanych kapeluszach leżą jak ciężkie kłody na drodze, dziewczyny o lekkich obyczajach dają się obściskować w kinie, karzeł w zabawnej czapeczce świętuje nowy 1943 rok, złodzieje i brutale ukrywające swe twarze za dłońmi czy zmiętolonymi chustkami – świat Weegee'ego jest przerażający, pełen bólu, demoniczny. Jego tropami kroczyła dwadzieścia lat później

przez Nowy Jork niechlujna dziewczyna z przewieszonym aparatem na szyi i dużą papierową torbą w ręce.

Tylko miejscom można zaufać

Central Park. Bar Automat przy 42 Ulicy. Plac Waszyngtona. Zanim Diane Arbus zaczęła krążyć po swoich ulubionych rewirach łowieckich, przyjdzie jej spędzić czas błędnego dzieciństwa wśród złotych żyrandoli, marmurowych schodów i służby w wyprasowanych sztywno uniformach w apartamencie na 73 Ulicy Nowego Jorku. Rodzice – Gertruda i David Nemerov – bogaci Żydzi z polskimi korzeniami zapewnili Diane i jej rodzeństwu (starszy brat Howard i młodsza siostra Renée) dostatnie życie. Odziedziczone po teściach sklepy futrzarskie Russeks przynosiły spore dochody. Diane miała guwernantkę, swojego szofera i dzieciństwo, jak mówiła, w białych rękawiczkach. Gdy dorosła, uważała fakt urodzenia się w zamożnej żydowskiej rodzinie za irracjonalny. A niepokorny charakter dziewczynki sprawia, że od początku swego świadomego życia była przekonana, że prawdziwy świat jest gdzieś poza nią.

Po latach powie, że byli rodziną zbudowaną z ciszy. Matka odpalająca papierosa od papierosa, przytłoczona depresją i zmiennym szczęściem rodzinnych finansów. Ojciec, niespełniony artysta malarz, hazardzista i kobienciarz, bankrut i multimilioner. Ich życie toczyło się gdzieś za szybą, tuż obok niej. Diane uczyła się, bawiła, czytała, chodziła na lekcje rysunku, ale brakowało w jej nudnym, poukładanym życiu doświadczeń, ekscesów, ekstremalnych przeżyć. Dostarczała ich wobec tego sama. Wywoływała w sobie dreszcze emocji przyglądając się nabrzmiałym różowo-brązowym ciałom ekshibicjonistów w metrze. Obserwowała, zmuszała się do patrzenia, walczyła z sobą, by nie odwrócić wzroku. Później opowie, że w czasach szkolnych zaliczyła widok chyba ze trzynastu ekshibicjonistów. Podniecał ją lęk. Skoro małej dziewczynce zabroniono patrzeć, tym bardziej ciekawiło ją to co zakazane.

„Zjedz mnie! Wypij mnie!” – krzyczał świat z krainy czarów do Diane Arbus. A ona nie myśląc długo łapczywie go połykała. Widok albinosa o czerwonych oczach, szalonej krewnej z rozmazaną szminką na ustach, opływającej tłuszczem kobiety – budziło ciekawość i sympatię. Młoda Diane stawiała się łowczynią. Ryzyko i niebezpieczeństwo wprawiało ją w uniesienie, rozszerzało źrenice, przyspieszało bicie serca, zapierało dech. Obsesja poszukiwania przygód, niezwykłości, przekraczania granic moralności zostanie z nią do końca.

Lecz zanim sięgnie po aparat, na drodze stanie Allan Arbus. Pracownik w sklepie Russeks, który zawróci w głowie nastoletniej pannie Nemerov. On do niej: dziewczynko. Ona do niego: *swami*, czyli w języku hindi nauczycielu. Podobni niczym rodzeństwo, zgodni, oddani sobie. Tuż po ślubie tworzą własne studio fotograficzne. Robią zdjęcia reklamowe do największych ilustrowanych pism: „Glamour”, „Seventeen”, „Vogue”, „Life”. Wszędzie razem: w domu, pracy, przy córkach i przy obiektywie. To on nauczył ją warsztatu, wyrazistego spojrzenia, techniki. Ramię przy ramieniu, nierozłączni przez wiele lat. Aż w końcu... On – niespełniony aktor, ona – dusząca się w roli matki i żony. Na łamach „Newsweeka” tłumaczyła, dlaczego tak późno zajęła się własnymi, autorskimi projektami fotograficz-

nymi dopiero w wieku 38 lat: „Ponieważ pierwsza część życia kobiety upływa na szukaniu męża, uczeniu się ról żony i matki, ich opanowaniu. Nie ma czasu by odgrywać inne”. Podarowany przez Allana pierwszy aparat fotograficzny dwuobiektywowy Rolleiflex na filmy średnioformatowe z lampą błyskową¹ zaczyna być nierozłącznym atrybutem Diane, który finalnie odseparuje od siebie małżonków.

Pstryka intuicyjnie. Aparat ma zawsze przy sobie. Na razie nie skupia się na temacie. Mgliście opowiada o tym, co chce fotografować. Chce ująć w obrazie to co najczęściej ludzie ukrywają przed widokiem publicznym pod grubym zakurzonym dywanem. Ją interesuje to co intymne, prywatne. Zaczyna celować obiektywem w najbliższych w trakcie piątkowych uroczystych kolacji u rodziców w domu Nemerovs na 888 Park Avenue. Obowiązują wyjściowe stroje. Diane zamiast sznura pereł, ma zarzucony na szyi skórzany pas z aparatem. Zjada szybko odrobinę ziemniaków z talerza, by jak najszybciej zbliżyć do oka swoją prywatną broń. Trochę się za nią skryć, a jednocześnie użyć przeciwko siedzącej za stołem rodzinie. Między szczękiem srebrnych widelców i tyłek słychać było co jakiś czas: klik, klik. Naciśnięcie spustu migawki chroni ją przed najbliższymi. Dzięki niemu czuje się zasłonięta, wręcz transparentna, w kolorze otaczającej ją jedwabnej tapety.

Nigdzie nie zobaczymy zdjęć robionych przy tych cotygodniowych kolacjach. W aparacie nie było bowiem filmu. W ten sposób uczyła się patrzenia, oswajała się ze spojrzeniem fotografowanych na sucho. Wśród nielicznych prywatnych zdjęć rodzinnych przejmujące są zdjęcia wykonane przez Diane babci Rose. Leżąca w trumnie pomarszczona kobieta śpi ciężkim snem na wysokich poduszkach. Jej wnuczka odniesie wówczas wrażenie, że pociągają ją zakazane przeżycia, takie, które jednocześnie wywołują i ekstazę, i strach. Blisko dwadzieścia lat później weźmie ze sobą aparat do szpitala, by zrobić zdjęcie ojcu umierającemu na raka płuc. Na tydzień przed odejściem to kości obleczone w wiotką skórę, bez świadomości umysłu; córka pokonuje po raz kolejny swój lęk tym razem przed ojcem i śmiercią jednocześnie.

W takich momentach Diane czuła skurcz w brzuchu, zwany przez jej mistrzynię Lisette Model „trzewiowym” kontaktem. To on miał przesądzać o wiarygodności zdjęcia. O Lisette mawiano, że to Greta Garbo fotografii. Aparat fotograficzny stanowił naturalne przedłużenie jej ciała. Austriacka artystka o zdolnościach jasnowidzenia miała swoje studio w Nowym Jorku, ze ścianami pomalowanymi na czarno. Na noc zamykała swoje zdjęcia w przepastnej starej szafie obawiając się, że dusze ludzi przez nią sportretowanych dopadną ją we śnie. Z odbitek mogli wyjść zamroczeni pijacy, brudni żebracy, hazardziści i próżni burżuje. Mówiła o nich – bohaterowie ekstremalni, przerysowani. To ona nauczyła Arbus jak wykorzystywać technikę, by między fotografowanym a artystą przepłynął prąd. Zapamiętała radę swojej mistrzyni: „Jeśli widzisz coś, co widziałas już wcześniej, nie naciskaj na spust”. Dzięki niej Diane rozumiała, co ją pociąga w robieniu zdjęć,

¹ Później sięgnie po 35 mm Nikona, by w 1962 wrócić ostatecznie do Rolleiflexa z kwadratowym, charakterystycznym formatem, większą przejrzystością i, jak sama mówiła, większą możliwością bezpośredniej relacji z ludźmi.

że fascynuje ją zło, chciałyby łamać społeczne tabu, nie odwracać głowy od szpetoty ludzkiego ciała, analizować perwersje.

To wymagało czasu na rozmowy z ludźmi, by otworzyli się przed nią, by zaczęli się zwierzać, opowiadać swoje sekrety i tajemnice skrywane przed światem. Nie tylko zdjęli maskę codzienności, ale odrzucili wylinkę społecznej roli, jaką odgrywali i stanęli przed nią nago. Potrafiła oczarować, uwieść swoich bohaterów, otworzyć ich na ekshibicjonistyczne wyznania i pozy. Długie godziny włożyła się po Greenwich Village, artystycznej dzielnicy Nowego Jorku, która wrzała na przełomie lat 50. i 60. za sprawą Beat Generation. Tłumy krążyły wówczas wokół Ginsberga, Kerouaca i Burroughsa. Przeczesywała ścieżki i ławki tak dobrze znane w Central Parku, bary, spelunki, kina. Nie była ciekawa dalszego świata. Wystarczyły jej bliskie nowojorskie kwartały. Najczęściej zabiera aparat i córki, Doon oraz May Eliot, na Coney Island.

Freaks z urodzenia to arystokracja

Mówiono o tym miejscu, że to mekka outsiderów. To tu miał swoją siedzibę Hubert's Freak Muzeum. Profesor Leroy Heckler na swoich owłosionych ramionach hodował cały zespół wytresowanych przez siebie pcheł. 80-letni Wujek Sam z wystawionym palcem nieustannie wspominał o swoim plakacie dla rekrutów wojskowych. Storme o męskich rysach tuszujących mocnym makijażem i wyuzdaną pozą, był jednym z pierwszych drag queen. Znała ich przez lata, przyjaźniła się z nimi, rozmawiali ze sobą szeptem, intymnie. Maralesa, meksykańskiego karta w wysokim kapeluszu i wąskim wąsikiem, fotografowała wielokrotnie. W najsłynniejszym obrazie leży nagi w pościeli, prowokując erotycznie wzrokiem tuż przed obiektywem. W za ciasnej ciemnej halce i pończochach rozdartych na udzie siedzi na łóżku prostytutująca się Vicky, transwestyta. Jego samotność i rozpacz widać na kolejnym kadrze, gdy z rozmierzwionymi włosami siedzi sam obok śmietankowego tortu urodzinowego zagryzanego gorzkimi łzami. Żydowski olbrzym, Eddie Carmel pozujący ze swoimi rodzicami na słynnym zdjęciu Diane, był na co dzień pracownikiem firmy ubezpieczeniowej, który skrycie marzył o prawdziwej karierze filmowej. Do historii wszedł jednak nie jako kinowy amant, ale największy koszmar ciężarnych kobiet.

Cały korowód osobliwości krąży wokół niej, przypominając weselny taniec bohaterów *Freaks* w filmowej scenie z 1932 roku. Portrety Arbus to jakby żywcem wycięte ujęcia z obrazu Toda Browninga, który opowiada historię grozy o nieszczęśliwej miłości karta Hansa do pięknej akrobatki Cleopatry. Mikrocefalitycy Schitzie, Elwira i Jenny Lee, Koo Koo z syndromem Virchowa-Secklela, Johnny Eck z agenezją kości krzyżowej czy siostry syjamskie Daisy i Violet stanowią kompanię filmowej trupy cyrkowej. *Freaks* zakazany w wielu krajach przez 30 lat od produkcji (a w Irlandii, Szwecji i Australii do dziś) inspirował Diane.

Stawiane w kulturze obok syjamskich bliźniaków, egzotycznych żyraf, hermafrodytów, fantastycznych jednorożców, egipskich syren i komet – ludzkie osobliwości od zawsze budziły lęk przed patrzaniem i pokusę patrzenia. Cieleśna niedoskonałość, nieforemność i domniemana niemoralność społeczna stawiała ich na

peryferiach poznania osobistego. Maszkary, potwory, dziwadła częściej odwiedzają nas w naszej wyobraźni niż w bezpośrednim doświadczeniu. Są raczej figurą zbiorowej wyobraźni.

„Monstrum to różnica obleczona w ciało z krwi i kości” – pisze Anna Wiczorkiewicz w swoim *Monstruariu*. Tę rozbieżność zwa woalu moralności uchyla przed nami Arbus. Pozwala na nieskrępowane wystawienie na widok publiczny tego co zdawać by się mogło nieokiełznanym, stwarzającym zagrożenie, nienaturalnym. Amerykański pisarz Norman Mailer sportretowana przez nią mówił: „Dać Arbus aparat do ręki, to jak dać dziecku granat”. Czyżby ukrywała się za chłopcem w spodenkach na szelkach, którego sfotografowała w Central Parku. Z grymasem na ustach ściskający granat zabawkę (sic!) jest przypadkowym przechodniem zaczepionym przez Diane. Na stykówce widać ich wspólny spacer tuż obok małej kamiennej fontanny i matrony z płaczącą dziewczynką. To był piękny dzień, słońce rzucało blaski przenikając listowie i układając cieniście fakturę na ścieżce. Fotografująca rozśmieszona chłopca rozmową, on szczyrzył zęby, pozował wystawiając jedną nogę do przodu niczym w greckich posągach. Ludzie siedzący na ławkach, spacerujący wokół sadzawek, odpoczywający i przyglądający się innym na spacerze sami zostaną zauważeni, zaczepieni, wciągnięci rozmowę i uwiecznieni na kliszy.

Lilipuci i grubaski, żywe ludzkie szkielety i brodate kobiety, albinoski i bliźniaki syjamskie zatopione w słoju z formaliną – to dla niej arystokracja świata pokazów cyrkowych, muzealnych wystaw i wesolych miasteczek. Połykaczki noży w szerokich sukienkach i połykacze ognia w ciemnych pelerynach, prężący swoje ciała przed publicznością wytatuowani mężczyźni to druga grupa odmieńców, tym razem z wyboru. Obok nich przed swoim aparatem fotograficznym Arbus ustawiała prawdziwą arystokrację i bogaczy – ociężałe od kąpiących złotem kolczyków damy w futrach (zapewne kupione w sklepach Russeks) oraz stojących obok nich mężczyzn skrupowanych frakami. Była wobec nich bezwzględna, jakby chciała zranić własnych starych rodziców – fotografowała w ostrych zbliżeniach zmarszczki na szyjach, skroniach, dłoniach układające się niczym poziomce na mapach. Odzierała ich z pozycji społecznej i finansowej, obnażając zmęczone, mało atrakcyjne ciała milionerów. Portretowani zdają się trzymać formę, maskują się obrysowując zacisnięte wąskie usta wyrazistą szminką, w wystudiowanych figurach pozują na pozbawionych emocji, zimnych. Czasem tylko wymykają się, zadrzy głos lub dłoń z długim papierosem, na co tylko czekało oko uruchamiające palec na spuście migawki.

Fotografia jest jak uwodzenie

Seks nie wygląda dobrze w jej obiektywie. Łóżka tandetne, pościel zabrudzona, pokoje z odpychającymi zakurzonymi kotarami, niedopałki na podłodze i śmieci. Ciała zmęczone, stare, śliskie i błyszczące od potu i spermy. Czuć zaduch ciężkich perfum, lakieru do włosów, wypitych puszek piwa, które turlają się po dywanie. Czuć też ciężar zdradzonej własnie tajemnicy kochanków. Obciążona tym sekretem Arbus podchodzi blisko z aparatem, błyska lampą, utrwała na kliszy miłośny uścisk.

Na grubych udach układa się symetryczny wzór pończoch, z przyciasnego gorsetu wylewają się obfite piersi kobiety z cienkim biczem. Trzyma go na nagim ciele mężczyzny w średnim wieku, który czołga się tuż pod jej stopami. Nie zdjął okularów i ciemnych skarpet prawie do kolan. W tej figurze uległości pozują przed fotografującą. Na kolejnym zdjęciu Domina obejmuje czule mężczyznę, może razem tańczą. Są razem tak blisko, że Diane stała się transparentna, zlała się z kolorem otaczających ich ścian. Tak samo jak w utrwalonej przez nią scenie w sypialni, gdzie para młodych ludzi spłótła się ciałami w namiętym pocałunku. To obraz zimny i surowy. Czuć odrobinę niezręczności, kiedy ogląda się czyjąś intymność odartą z romantycznego anturazu.

Ciało i seks fascynowały Arbus. Sama nawoływała do odrzucenia staników i bielizny. Przestała się malować, nosić biżuterię i golić nogi. Potrafiła otwarcie przy obcych ludziach zachwalać masturbację, opowiadać o mistycznych przeżyciach narodzin córek czy wyznać, że właśnie dostała okres. Mówiła szczerze i rzeczowo. Wyznała kiedyś, że nigdy nie odmówiła żadnemu mężczyźnie, który zaproponował jej pójście do łóżka. Mówiła to tak naturalnie, jakby podawała przepis na biskopt.

Allan był jej pierwszym mężczyzną. Po rozstaniu z mężem zaczęła uprawiać ryzykowne i kompulsywne przygody seksualne. Diane łowczyń. Niebezpieczeństwo miało wprawić ją w ekstazę. W łóżku chciała jak najszybciej przebić się przez męską fasadę i dotrzeć tą drogą do głębi, istoty, bytu. Najczęściej jednak była rozczarowana tym, co znajdowała pod spodem. Być może właśnie to obsesyjne poszukiwanie ekstremalnych wrażeń było jej ucieczką przed nudą i wciąż powracającą depresją.

Niebezpiecznie jest otwierać tak ludzi, wybebeszać z ich trzewi lęki, traumy i koszmary. Dzieliąc się tymi doświadczeniami obarczyli Arbus ciężarem ekshibicjonistycznych póz i wyznań. Być może rozpoznawała w tych historiach siebie. Richard i Marilyn Dauria, młoda para z Brooklynu musi znaleźć siły, by zbudować razem dom i rodzinę wraz z dwójką małych dzieci. Cathleen i Colleen Wade, bliźniaczki w sukienkach z białymi kołnierzykami, muszą znaleźć własne indywidualnie wytyczone ścieżki życia. Albinoska potykająca nóż przed namiotem cyrkowym musi utrzymać równowagę na wietrze, by wyjść cało z tego numeru. Mężczyzna w papilotach trzymający w dłoni z długimi paznokciami zapalonego papierosa patrzy ze zdjęcia smutnymi sówimi oczami. Ktoś splunął na tą fotografię, kiedy zawisła w 1967 roku na autorskiej pierwszej poważnej wystawie Diane Arbus w nowojorskim MoMA.

Ostatnia wieczerza

Nie zostawiła listu, żadnego pożegnania. Na stole znaleziono jedynie otwarty notatnik z odręcznym wpisem *Ostatnia wieczerza*. Czerwona koszulka, niebieskie džinsy, bez skarpetek. Z podciętymi żyłami w wannie. Legenda mówi, że ustawiła aparat fotograficzny z automatycznym spustem migawki, by udokumentować swoją śmierć. W ciemni pozostawiła 7 tysięcy rolek filmów i kilkaset pudeł ze zdjęciami. Ostatnich z ośrodka dla umysłowo chorych w Viveland w stanie New Jersey nie zdążyła wywołać. Miała 48 lat. Sekcja zwłok

wykonana przez doktora Yong-Myon Rho wykazała zawartość 3,45 proc. mg barbituranów w ciele. „Nic nigdy nie jest takie jak mówią” – brzmiało pierwsze zdanie w wydanym pośmiertnie w 1972 roku albumie ze zdjęciami Diane Arbus.

MARTA ZABŁOCKA

Źródło:

Diane Arbus, *Revelations*. Jonathan Cape, London 2003.

Poniżej reprodukcje z ww. albumu:



1. Untitled (7) 1970-1971 2. Transvestite with a torn stocking, N.Y.C. 1966



A husband and wife in the woods at the nudist camp. N.J. 1963



1. Couple under a paper lantern. N.Y.C. 1966 2. Woman in rose hat. N.Y.C. 1966

JANUSZ TAZBIR

POŻYTECZNI IDIOCI

Zarówno tryumfalny pochód reformacji, jak wybuch rewolucji francuskiej (1789) poprzedziła masowa, jak na owe czasy, propaganda. Pisałem już o tym przed laty w eseju *Broszury zmieniają świat*, wzywając aby nie wierzyć dziejopisom protestanckim twierdzącym, jakoby w pierwszej połowie XVI stulecia czytano „opaste tomy Lutra”, a nieco później Kalwina czy Melanchtona. Sięgało do nich jedynie wąskie grono teologów po obu stronach wyznaniowej barykady. Starszy ogół poprzestawał na czytaniu (a jeszcze częściej słuchaniu) utrzymanych w pamflet–dziennikarskim stylu broszur popularyzujących nauki koryfeuszy reformacji.¹ Badacze francuscy, w ślad za Danielem Mornet, ustalili, iż podobne zjawisko wystąpiło w latach poprzedzających zburzenie Bastylii. Liczba czytelników wielotomowej i drogiej *Wielkiej Encyklopedii* była w istocie znikoma w porównaniu z odbiorcami różnego rodzaju antyfeudalnych pamfletów. Zauważył to już Adam Mickiewicz, o czym świadczy złośliwy portret „wyżółkłych młokosów” zaczytanych „w broszury i różne gazety. Głoszących nowe wiary, prawa, toalety”. (*Pan Tadeusz*).

W pół wieku później sympatyzujący z socjalizmem subiekct Katz z *Lalki* zaleca panu Rzeckiemu, aby przeczytał choć z parę broszurek, n awet niedużych. Bo też nie z *Kapitału* Karola Marksa, a z masowych wydań wszystkich dzieł Lenina czerpano natchnienie do walki o budowę nowego ustroju. W okresie poprzedzającym szturm na Pałac Zimowy czytano i – znów jak w XVI stuleciu – słuchano odczytywania wydawanych przeważnie pod pseudonimami broszur w rodzaju utworu *Kto z czego żyje* Karola Młota (Szymona Diksztajna) i wielu, wielu innych lepiej od klasyków marksizmu władających piórem autorów. Do inteligencji rosyjskiej docierały natomiast powieści i dramaty Czechowa, Gorkiego oraz oczywiście dzieła Lwa Tołstoja. Wiele racji miał zmarły niedawno Paweł Wieczorkiewicz pisząc, iż odpowiedzialnych za Październik 1917 roku należy szukać również wśród rosyjskich intelektualistów i inteligentów. Wszyscy oni, z nielicznymi tylko wyjątkami, do których należał Dostojewski, krzewili w społeczeństwie antypaństwowy nihilizm.² Już w początkach ubiegłego stulecia zwracano uwagę, iż literatura rosyjska stawiąc kryminalistów i prostytutki wyraża aprobatę dla marginesu społecznego, który – dodajmy – odegrał tak istotną rolę w wydarzeniach rewolucji październikowej. Sam Lew Tołstoj miał powiedzieć, iż z przyjemnością czyta obyczajowe powieści Sienkiewicza, w których występują „porządni ludzie” w przeciwieństwie do utworów dekadencjonalnych z Arcybaszewem na czele, opiewających prostytutki, kryminalistów i syfilityków.³

Najgorsze miało dopiero nadejść, ale już Dostojewski pisał z pasją o reakcji na wystąpienia maniaka ostro krytykującego współczesną mu Rosję: „Podniósł pięść groźnie i zapamiętałe machnął nią nad głową i wreszcie opuścił gwałtownie, jak gdyby miazdżył przeciwnika. Do koła rozbrzmiewały dzikie okrzyki, rozległy się ogłuszają-

ce oklaski. Klaskała już prawie połowa sali: ulegli nawet najniewinniejsi: wszak oto publicznie beczeszczono Rosję – czyż można było nie wyć z zachwyty?”⁴

Notabene autorowi *Biesów* zawdzięczamy pokazany w *Zbrodni i karze* portret idealnego policjanta (sędzia śledczy Porfiry Pietrowicz). Jest on opisany z wyraźną sympatią, gdy tymczasem inni koryfeusze literatury XIX stulecia z odrazą i abominacją ukazują postacie strażników porządku. Wystarczy tu przypomnieć choćby Javerta z *Nędzników*. Już Stanisław Mackiewicz (1931) zarzucił takim autorom jak Puszkina, Lermontow, Szczedrow, Turgeniew, Aleksy Tołstoj, Lew Tołstoj skłonność do anarchiczności myśli i brak zmysłu państwowego.⁵

Pogląd taki Mackiewicz mógł zaczerpnąć od wybitnego filozofa rosyjskiego Nikołaja Aleksandrowicza Bierdiajewa (1874–1918), który w roku 1918 jako trzy złe duchy rewolucji rosyjskiej wskazywał Gogola, Dostojewskiego, i Tołstoja. Ten ostatni „jest równie odpowiedzialny za rewolucję rosyjską jak Rousseau był odpowiedzialny za francuską”. Bierdiajew nazwał autora *Wojny i pokoju* wręcz „protoplastą całej filozofii rewolucji rosyjskiej” i „jednym z winowajców pogromu kultury rosyjskiej”.⁶

Wartam Tichonowicz Szałamow (1907–1982) twierdził wręcz, iż rosyjscy pisarze humaniści drugiej połowy ubiegłego stulecia „dźwigają na sobie wielki grzech ludzkiej krwi, przelanej pod ich sztandarami w wieku dwudziestym. Wszyscy terroryści byli tołstojowcami i wegetarianami, wszyscy fanatycy – uczniami humanistów rosyjskich”. Twierdzenie to wolno uznać za dyskusyjne, co nie zmienia jednak zasadniczego faktu. Zwłaszcza dramaturgia rosyjska rozmiękczała duchowo inteligencję, osłabiając jej opór wobec nadchodzącej epoki terroru. W iluż to sztukach ich bohaterowie wygłaszają ze sceny namiętne tryady mówiące o beznadziejności jakichkolwiek poczynań i bezsensie życia. Każące natomiast biernie oczekiwać na „świetlaną przyszłość”, która musi niechybnie nastąpić. Traktowanym z wyraźną ironią między innymi przez Czechowa inteligentom przeciwstawiano pozytywne postacie rewolucjonistów jako ludzi czynu, dążących do obalenia caratu (ze szczególnym upodobaniem czynił to Gorki).

A taką właśnie przyszłość obiecywali komuniści. Nie darmo sam Lenin był zdumiony faktem, iż burżuazja oraz związane z nią warstwy społeczne (w tym inteligencja) stawiają tak słaby opór bolszewikom. Oddziaływanie takiej literatury było o tyle niebezpieczniejsze, iż cieszyła się znacznym autorytetem moralnym w przeciwieństwie do literatury karłowaczącej pod rządami komunistów. Co więcej, bardzo wczesnie zaczęto przewidywać nadchodzącą rewolucję. Już w roku 1830 Michał Lermontow pisał:

Nadejdzie rok, rok czarny krwi, pożarów
Gdy padnie w proch korona z głowy carów
Zapomni tłum o dawnej czci dla pana

I karmą wielu będzie krew przelana.⁷

Dostojewski taki właśnie bieg wydarzeń uznał za nieuchronny. W roku 1877 pisał, że nadciąga straszliwa rewolucja, która zmieni oblicze świata i pochłonie sto milionów istnień ludzkich. Krew zaleje wszystko, a burza zacznie się od obalenia prawostawia i zapanowania ateizmu, grabieży świątyń, które będą zamieniane w stajnie. Siedem lat wcześniej tenże autor przewidział w *Biesach* kierunek, w którym pójdzie część państw europejskich w nadchodzącym stuleciu. „Wychodzę od nieograniczonej wolności, dochodzę zaś do nieograniczonego despotyzmu” – mówi jeden z bohaterów tej powieści (Szygalew). I dalej: „Ludzkość musi być podzielona na dwie nierówne części. Dziesiąta część otrzymuje wolność osobistą i nieograniczoną władzę nad pozostałymi dziewięcioma dziesiątymi”. Funkcjonowanie ustroju totalitarnego zostało przedstawione z wręcz wstrząsającym wizjonerstwem, żeby tylko przypomnieć taką oto uwagę Dostojewskiego o rewolucjonistach: „Oni wszyscy, ponieważ nie umieją kierować biegiem spraw, okropnie lubią oskarżać o szpiegostwo”.⁸

Nadejście rewolucji zapowiadał także Dymitr Mereżkowski, który w utworze *Griaduszczij cham* (*Nadchodzący cham*, 1906) ostrzegał współczesnych przed dyktaturą „ciemniaków” (jakby powiedział Stefan Kisielewski). W dwa lata później Aleksander Bogdanow, ekonomista, powieściopisarz i działacz polityczny zbliżony do socjaldemokratów, w powieści *Krasnaja zwiezda* (*Czerwona gwiazda*) nie tylko dokładnie przedstawił zbliżające się państwo sowieckiego totalitaryzmu, ale i określił jego herb: miała nim być właśnie gwiazda.⁹

Bogdanow (1873–1928) jest uważany za pisarza rosyjskiego. Pewne wątpliwości budzi wszakże jego prawdziwe nazwisko (Malinowski) oraz fakt, że urodził się w Sokółce koło Białegostoku. Jego powieść miała liczne wydania (pierwsze w roku 1908, po siedmiu edycjach została wznowiona w roku 1979 w zbiorze *Wiecznoje słońce*, Moskwa 1979). Badacze rosyjscy zwracają uwagę na powieść znanego pisarza i satyryka Michaiła Sałtykowa-Szczedrina (1826–1889) zatytułowaną *Dzieje pewnego miasta*, w której została bezlitośnie skrytykowana Rosja. Despotyczny władca Głupkowa (bo tak się owo miasto nazywa) zniósł wszystkie dotychczasowe święta, a nazwę miasta zamienił na Niezłomów. Ustanowił dwa nowe święta. Pierwsze miało być obchodzone na wiosnę, natychmiast po stajaniu śniegów, i nosić miano święta nieugiętości. Miało ono przygotowywać mieszkańców do nadchodzących kłesk. Drugie, obchodzone na jesieni, miało nazywać się „Świętem Dzierżącego Władzę Zwierzchnictwa”. Jest ono poświęcone wspominaniu poniesionych już kłesk. „Od dni powszednich święta te różnią się jedynie wzmocnionymi pochodami i pokazowymi ćwiczeniami”. Aleksander Gorbowski upatruje w pierwszym z tych świąt odpowiednik 1 maja – obchodzone uroczyste w byłym ZSRR miało służyć „przeglądowi bojowych sił międzynarodowego proletariatu”. Drugie ze świąt znalazło realizację pod postacią także uroczyste obchodzonego 7 listopada i służyło wspominaniu rewolucji październikowej, nad którą, po ciężkich bojach, ustanowiła dyktaturę partia zwycięskiego proletariatu.¹⁰

Powszechnie wiadomo, iż u źródeł sukcesu rewolucji bolszewickiej leżała masowa, nader umiejętnie prowadzona propaganda. Groźnym, bo uzbrojonym w broń masową, obiecywano pokój, ziemię i wręcz nieograniczoną

wolność. W praktyce wojna trwała w Rosji nie cztery lata jak na zachodzie Europy, ale co najmniej sześć, licząc krwawe zmagania, które towarzyszyły wojnie domowej. Ziemie odebrano najpierw obszarnikom, następnie zaś po 12 – 14 latach chłopom, tworząc kołchozy. Wolność zastąpiono brutalną dyktaturą partii, której kierownictwo ulegało zmianie na skutek coraz okrutniejszych czystek. Największą, przygotowywaną przez Stalina co najmniej od początku lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia, przeżyła śmierć dyktatora.

O tej propagandzie wiedzieli i wiedzą niemal wszyscy. Natomiast jedynie garstka intelektualistów zdała sobie, i to ze znacznym opóźnieniem, sprawę, iż od drugiej połowy XIX stulecia towarzyszyła jej, adresowana głównie do inteligencji, wspomniana wyżej propaganda dekadentki i nihilistycznej literatury; starała się ona przekonać czytelnika, iż zbrojna i zdecydowana obrona pewnych wartości nie ma najmniejszego sensu. Takie same nastroje panowały przed wybuchem reformacji wśród części wyższej hierarchii kościelnej, u schyłku XVIII wieku w elicie francuskiego oświecenia, a w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia w kierownictwie PZPR.

Wracając do Rosji należy przypomnieć, iż winą za nihilistyczną propagandę obciążano inne narodowości, Polaków czy Żydów. W powieści rosyjskiej różnego lotu przedstawiano naszych rodaków w dwojakiej roli: bezlitosnych pomocników w wyzysku rosyjskiego ludu lub spiskowców wciągających prostodusznych Rosjan do aktów antycarskiego terroru. Jeszcze Solżenicyn będzie twierdził, że rewolucja bolszewicka była czymś tak potwornym, iż przewodzić jej mogli tylko „inorodcy”: Żydzi, Polacy, Łotysze czy nawet Chińczycy. Rosjan nie potrafiliby swemu rodakowi wyrządzić podobnego „święństwa”. Polacy przedstawiani jako podejrzani awanturnicy o mocno podejrzaną przeszłość oraz pozbawieni wszelkich skrupułów dorobkiewiczcy zaludniają nie tylko powieści Dostojewskiego, ale i utwory Turgieniewa (vide choćby nowela *Pierwsza miłość*) lub Czechowa. Można tu wymienić choćby taką jego powieść jak *Step* czy nowelę *Ksieźna pani*, w której czytamy: „Pani rządcy, Polacy, od rana do wieczora... starają się zderzyć z jednego wołu trzy skóry, by pani dogodzić”.¹¹ Towarzyszyła temu literatura niskiego lotu, ukazująca Polaków w roli cynicznych agitatorów, deprawujących rosyjską młodzież. Wystarczy tu wymienić popularne powieści Wsiewołoda Kiestowskiego *Stada Panurga* (1869), *Dwie siły* (1876).¹²

Wracając do głównego tematu naszych rozważań, warto przypomnieć, iż „burżuazyjnych” zachodnich rozmówców i pisarzy sławiących ZSRR „pożytecznymi idiotami” nazwał pogardliwie Lenin. Należał do nich bez wątplenia Lion Feuchtwanger, który poświęcił stalinowski procesom książkę *Moskwa* (1937) przełożoną niezwłocznie na rosyjski i wydaną w 200 tysiącach egzemplarzy. Feuchtwanger był obecny na procesach Radka i Piatakowa. Podziwiał obiektywizm sędziów i sprawiedliwość wyroków, którym patronuje geniusz Stalina. Wystarczy „wysłuchać jednego przemówienia Stalina, spojrzeć na jakiegokolwiek jego zdjęcie, aby zrozumieć, że ten mądry, rozważny człowiek nigdy nie popełniłby czegoś równie absurdalnego, nie zaaranżował tak prymitywnej farsy”. Jeśli proces Radka i Piatakowa „sfinansowano lub zainscenizowano, to nie wiem, czym jest prawda” – stwierdził Feuchtwanger. Autor tej haniebnej książki został nagrodzony przekładami jego dalszych powieści, m.in. *Falszy-*

wy *Neron, Wojna judejska i Wygnanie*, za które otrzymał wysokie honoraria. Było to wbrew przyjętemu w ZSRR zwyczajowi niepłacenia autorom przekładanych prac. „Feuchtwanger stał się w ZSRR bardzo znanym i cenionym pisarzem, zbierał entuzjastyczne recenzje. Krytycy określali go mianem »wielkiego humanisty«”.¹³

Przyczyny zafascynowania niektórych intelektualistów zachodnich przywódcami takich państw jak północna Korea, Wietnam, a przede wszystkim Chiny wnikliwie przeanalizował już w 1975 roku Paul Hollander w artykule zamieszczonym na łamach kwartalnika politycznego „Encounter”. Hollander zestawiał w nim pochwały, jakie przed wybuchem II wojny światowej L. Feuchtwanger, Julian Huxley i G.B. Shaw wygłaszali pod adresem Stalina oraz stosunków panujących w ZSRR z wrażeniami intelektualistów odwiedzających trzydzieści lat później Kubę, północny Wietnam, a przede wszystkim Chiny Mao Tse-Tunga. Zmieniły się tylko kierunki podróży, pochwały pozostały te same. Były nimi prostota oraz dobra wola dyktatorów (Cho Szi Min przypominał nawet ks. Danielowi Barriganowi Jezusa i jego cierpienia), jak również rezultaty ich rządów. Urzeczywistnioną utopię ujrano tym razem w niektórych krajach Azji i Ameryki, którymi władają cudowni ludzie, obywający się niemalże bez snu i wypoczynku. Sartre pisał z dziecinnym podziwem o Fidelu Castro: „Ze wszystkich niejedzących Castro potrafi zjeść najwięcej i najdłużej nie jeść”. On jego najbliżsi współpracownicy są „prawdziwymi panami własnych potrzeb i potrafią rozszerzyć granice tego co możliwe”.

Hollander tłumaczy tak daleko idące zafascynowanie nieprzystosowaniem intelektualistów do współczesnego świata, który – ma to miejsce zwłaszcza w USA – odmawia im „uznania, nagród i wpływów”. Znajdują je natomiast w krajach poddanych totalitarnej dyktaturze, która stwarza im szczególne warunki pobytu. Są oni „ideologicznymi pielgrzymami”, wędrującymi po świecie w poszukiwaniu urzeczywistnionej utopii. Poszukują stabilizacji w „świeckich religiach”, miotając się pomiędzy rozpaczą a nadzieją. W konsekwencji dochodzi „do transformacji twardych krytyków rzeczywistości w przekonanych entuzjastów, opornych indywidualistów w pełnych podziwu zwolenników kolektywizmu, pozbawionych nadziei pesymistów w pewnych i prawdziwych wyznawców”.¹⁴

Do grona „pożytecznych idiotów” wypada zaliczyć nie tylko już wspomnianych pisarzy rosyjskich doby przedrewolucyjnej, ale i niektórych bogatych kapitalistów, finansujących rewolucję październikową, a przedtem wydarzenia roku 1905. Na partię bolszewików łożyli dwaj bogaci fabrykanci moskiewscy, Sawa Morozow oraz jego bliski krewny Nikołaj P. Szmit vel Schmidt. Morozow był zaciętym przeciwnikiem panującego ustroju, gotowym do wspomagania każdego, kto pragnął go obalić. Przyjaźnił się z Maksymem Gorkim, któremu ok. roku 1905 przekazał kwotę aż sto tysięcy rubli, na owe czasy horrendalnie wysoką. Gorki oddał ją bolszewikom ...¹⁵ Również inni wielcy kapitaliści, właściciele fabryk, liberalni bankierzy, którym znajomość z Gorkim ogromnie schlebiała, nie byli w stanie odmówić mu subwencji, choć wiedzieli, że wielki pisarz znaczną część tych pieniędzy przekazywał Leninowi.¹⁵

Po latach rosyjski grafik, malarz i scenograf Jurij Pawłowicz Annienkow (1889–1974) będzie na emigracji pisał, że kiedy wybuchła rewolucja „ci naiwni dobroczyńcy stali się jej pierwszymi ofiarami. Lekcja, którą należy zapamię-

tać – co robić! Na tym polega »bieg historii«, powiedział mi Gorki nie ukrywając rozczarowania” – wspomina Annienkow.¹⁶ Zdecydowanym zwolennikiem bolszewików był Szmit, którego fabryka znalazła się w 1905 roku w ogniu walk rewolucyjnych. Wielu robotników zabito, innych zesłano, zaś sam Szmit dostał się do więzienia, w którym popełnił samobójstwo (1907). Przed śmiercią zdążył jednak zapisać swój olbrzymi majątek bolszewikom, czyniąc to oczywiście przez podstawione osoby. Poważnego wsparcia udzielał bolszewikom także Leonid Krasin, jeden z wielkich udziałowców koncernu Simensa, który posiadał w Petersburgu duże zakłady przemysłowe.

Jeżeli wspomniano czasem o zasługach Szmita czy Krasina, to Morozow całkowicie „wyparował” z oficjalnych wydawnictw radzieckich. Dopiero w roku 1996 zorganizowano w Moskwie konferencję poświęconą zasługom tego przedsiębiorcy (używanie określenia fabrykant, a tym bardziej kapitalista uchodzi w dzisiejszej Rosji za gruby nietakt). Wygłoszone na niej referaty ukazały się w postaci oddzielnego tomu jako tak zwane *Morozowskie czytania*.¹⁷ Jeszcze większą pieczęć milczenia położono na zasługach wojskowych specjalistów z carskiej armii. Dopiero w 1988 roku R. Miedwiediew odważył się na przypomnienie, że Trocki potrafił wykorzystać w Armii Czerwonej dziesiątki tych ludzi, od młodszych oficerów do generałów włącznie. „Jeśli Armia Czerwona nie potrafiłaby wygrać wojny bez komisarzy wojskowych, to nie mogłaby jej wygrać i bez carskich specjalistów wojskowych”.¹⁸

JANUSZ TAZBIR

Przypisy:

1. J. Tazbir, *Polska na zakrętach dziejów*, Warszawa 1997, s. 290 i nast.
2. Por. „Magazyn Gazety Wyborczej”, nr 45 z 7-8 XI 1997 r.
3. J. Lechoń, *Dziennik*, t. 2, Warszawa 1992, s. 31.
4. F. Dostojewski, *Biesy*, Wrocław 2002, s. 721-722.
5. St. Maciejewicz (Cat), *Mysł w obcęgach. Studia nad psychologią społeczeństwa rosyjskiego*, Warszawa 1998, s. 94 i 127.
6. Cyt. za: F. Apanowicz, *W poszukiwaniu prawdy artystycznej. Wzja literatury Wartama Szartamowa [w:] Pejzaż od nowa malowany. Szkice o literaturze rosyjskiej XX wieku*, pod red. J. Sałajczykowskiej, Gdańsk 1994, s. 96-97.
7. J. Tazbir, op. cit., s. 364.
8. F. Dostojewski, op. cit., s. 562-563.
9. Cyt. za A. Gorbowskij, *Proroki i prozolicy w Otiestwie swoim*, [w:] „Dietiekiv i polityka”, wyp. 3(7) 1990, s. 318.
10. Ibidem oraz M. Sałtykow-Szczedrin, *Dzieje pewnego miasta*, Warszawa 1953, s. 200.
11. A. Czechow, *Wybór opowiadań*, Warszawa 1969, s. 265.
12. K. Cieślak, *Rosyjska opowieść antynihilistyczna, a kwestia polska*, „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Szczecińskiego”, Slavica Stetinensia, nr 1, 1999, passim.
13. Później, kiedy Feuchtwanger zdobył się na krytyczne spojrzenie, ta sama prasa radziecka nazwała go „literackim kupczykiem”. Por. R. Miedwiediew, *Pod osąd historii. Geneza i następstwa stalinizmu*, t. 1, Warszawa 1990, s. 458-460 oraz t. 2, s. 358. O książce *Moskau 1937* nie wspomina wydany w r. 2002 (!) tom *Wielkiej Encyklopedii PWN*, wymieniający inne utwory Feuchtwangera.
14. Jego przekład ukazał się w wychodzącym w Uppsali kwartalniku „Aneks” nr 9, 1975, P. Hollander, *Ideologiczny pielgrzym*, s. 87 i nast.
15. J. Annienkow, *Maksym Gorki*, „Literatura na świecie”, nr 10, 1998, s. 219.
16. J. Tazbir, op. cit., s. 343-344.
17. Informację o tej konferencji i wydaniu tomu referatów zawdzięczał prof. Janowi Kancewiczowi, który w niej uczestniczył.
18. R. Miedwiediew, *Pod osąd historii*, t. 1, s. 81.

JÓZEF ŁOZIŃSKI

ZAPISKI CZŁOWIEKA APOLITYCZNEGO

Co za osobliwy początek dwudziestego pierwszego wieku! Przypadkowo wdepnąłem do księgarni i pośród komercyjnego śmiecia wyłowilem stos dzienników i autobiografii sławnych aktorów, literatów, piosenkarzy, lekarzy, opozycjonistów. Szczególnie mówione wywiady tych ostatnich interesują mnie nadzwyczaj, bo walcząc z wilkami, czyli z komuną przeszli do historii, w przeciwieństwie do mnie, Klemensa Kondrata, który do historii nie przeszedł, choć samotnie z czerwonym walczył do upadłego! Nie mam o to pretensji do nikogo, co najwyżej do siebie, że naiwnie wierząc w dobroć natury ludzkiej dałem się omamić ludziom pozbawionym czci i honoru. Co ja mówię czci i honoru, pozbawionych elementarnych odruchów człowieczeństwa, poza własną wygodą i karierą. Jeszcze kilka lat temu ludziłem się, że kraj ten wygrzebie się z piekielnego kręgu swoich zapiektych problemów, których nikt na świecie nie rozumie, jednak nieuleczalna choroba pozbawiła mnie resztki tych złudzeń, uzmysłowiła dobitnie, że oto śmierć puka do drzwi i czas odjeżdżać, jakkolwiek będzie to nazwane, czas odjeżdżać w nieubłaganą stronę wieczności. Mówię „wieczność”, choć nie mam pojęcia, co to przepastne słowo znaczy, podejrzewam, że nikt tego nie wie (łącznie ze spasionymi biskupami) stojąc na progu dwudziestego pierwszego wieku w jego niesamowitych przeciągach! Wszystko wiruje, kłębi się, wpada w intelektualny korkociąg, wystrzela w internecie ideami i ideologiami (co nie nowe), mami bogactwem wrażeń i banalnymi prawdami. A gdzież podział się ból istnienia wrażliwej jednostki, zapytam bezczelnie? Gdzież podziąła się jej nieugięta przenikliwość widzenia rzeczy nawet niewidzialnych? Rozpłynęła się w grzmiącym potoku nic nie znaczących słów, w rzece po prostu internetowego gówna! To mnie martwi najmniej, to mnie nawet cieszy, że chamstwo języka uniwersyteckiego profesora przewyższa chamstwo języka fabrycznego robotnika. Taka jest cena tej naszej upragnionej słodkiej wolności, do pioruna jasnego!

Moja konkubina pani Poniewierka jest bardzo wrażliwa na słowa, co może dziwić, bo jako lekarz wetu obcuje na co dzień w rzeźni z zimnym okrucieństwem rzeźników, nie ma to jednak wpływu na jej duszyczkę kobiety po przejściach, jej duszyczka zachowała śnieżnobiałą niewinność orleańskiej dziewicy i nieograniczone zaufanie do ludzi. Po każdej chemii, którą szprycują mnie w szpitalu jest pełna optymizmu co do mojego zdrowia, denerwuje mnie to cholernie, bo z siedmiu lat od wykrycia białaczki pozostał mi jeszcze rok życia, który chciałbym zakończyć według własnej woli, tak jest, według własnej absolutnie nieprzymuszonej woli, a nie woli konowatów mających mnie i moją chorobę w głębokim poważaniu. Pani Poniewierka nie zgadza się z moim poglądem, jej prawo jako konkubiny, bo jako żona musiałaby się z poglądem męża zgodzić, na szczęście nie jest żoną i powinna to docenić jako feministka, antyglobalistka, idealistka i tak dalej. Mówię „i tak dalej”, a myślę o współczesnych kobietach

zupełnie bezmyślnie, jak każdy pokiereszowany facet, któremu się wydaje że wie o nich wszystko, choć wie tylko tyle ile mu podpowie wiedza poobijanego wojownika. Trudno, a jak trudno to z konkubiną nie jest nudno - nućę sobie przy goleniu - dlatego miałem ich kilka szkoląc je nie tylko w sztuce miłości, to też robiłem z przyjemnością, lecz jeszcze większą przyjemność mieliśmy w bezpardonowej walce z wilkami, czyli z czerwonym. Zamknąłem ten rozdział życia na cztery spusty, zwinąłem sztandary, żeby nie wyglądać na pieprzonego kombatanta, któremu za wolność esbecy wybili zęby, owszem, nieraz oberwałem pałą w stanie wojennym na ulicznych demonstracjach, ale to był honor dostać pałą, honor i satysfakcja. Jak dzisiaj widzę w telewizji mrowie kombatantów wypinających pierś po ordery, domagających się od tego biednego państwa odszkodowań za zniszczone zdrowie, wyzywających od agentów SB kolegów i przyjaciół, to chce mi się rzygać, wyć, drzeć pasy ze skurwysynów. Uspokajam się pod wpływem perswazji praktycznego rozumu człowieka apolitycznego, któremu polityka obmierzła do cna!

Było to wieczorem. Pani Poniewierki akurat nie było w domu, oglądałem sobie dziennik telewizyjny gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Sądząc, że to przyjaciółka mojej konkubiny nie śpieszyłem się z otwarciem, niech sobie baba poczeka, może się wnerwi i odejdzie, ale po długich pięciu minutach dzwonek ciągle dzwonił, wstałem więc z fotela i udałem się do przedpokoju. Zdziwiony ujrzałem w progu dwóch panów w średnim wieku ubranych po sportowemu, z ujmującym uśmiechem na gładko ogolonych gębach. Szczególnie jeden z nich, z długim nosem i świdrującymi mglistymi oczkami zza drucianych okularów, wydał mi się bardzo zabawny z teczuszką samorządowego urzędnika w rękę na urlopie.

– Pan pozwoli – zagaił właśnie on – że się przedstawię: Marian Szpyra, a to kolega Brunetko. Jesteśmy z ugrupowania Równość i Demokracja i przyszliśmy złożyć panu, panie Kondrat, najwyższe wyrazy uznania.

– Nie znam takiego ugrupowania, panowie.

– To oczywista oczywistość, że pan nie zna. Ale w pana życiorysie wybitnego opozycjonisty powinno się znaleźć również miejsce na Równość i Demokrację. Bez dwóch zdań i kropki na dokładkę.

– Zabawne. Serio, panowie, nie mam czasu na pierdółki.

– Też tak uważamy, panie Kondrat, że nie ma już czasu na pierdółki. Wybiła bowiem czarna godzina dla tego kraju...

I nim zdążyłem zamknąć im drzwi przed nosem, zdecydowanie wparowali do mieszkania z tym swoim ujmującym uśmiechem na gładko wygolonych gębach. Na widok fotografii Adama Michnika z okresu burzy i naporu bezczelnie stojącej pomiędzy książkami twarze ich stężyły w kamień, lecz bez słowa rozsiedli się na kanapie, czekając aż i ja usiądę. We własnym mieszkaniu! Niedoczekana-

nie ich! Powiedziałem więc ostro stojąc przed nimi prosto jak oficer na paradzie.

– Panowie, nieładnie gospodarza traktować, jakby nie był gospodarzem we własnym komunalnym mieszkaniu. Nie znam was i życzeniem moim jest, żebyście stąd natychmiast spłynęli.

– Czy ja dobrze słyszę? – powiedział ten co się nazywał Szpyra. – Opozycjonista tak zasłużony w walce z czerwonym, wybitny obywatel wolnej Polski nie może nie widzieć zła, które ją toczy. Po prostu n i e m o ż e.

– Niech mnie pan nie rozśmiesza – roześmiałem się wesoło. – Dawno nie słyszałem staropolskiego słówka „toczy”, mam ochotę na więcej, panie Szpyra.

– Oczywiście, panie Kondrat – powiedział on ze ścigniętą ponuro twarzą – czerw zła toczy naszą umiłowaną ojczyznę i tylko ślepy tego nie widzi. Ja myślę, a kolega Brunetko jest tego świadkiem, że i pan też tak myśli, że godzina rewolucji moralnej nadeszła już prawie, nie wspominając o socjalnej. Czas chwycić za siekiere i wyrąbać zło u korzeni, a to dlatego, że prawdziwy patriota nie może patrzeć bez lęku w przyszłość.

– To jakieś totalne bzdury, drogi panie. Mnie osobiście interesuje już tylko metafizyczna siekiera.

– Ale namolnie gładzisz, gościu – odezwał się nagle ten drugi – Czy nie słyszysz co się tu mówi bez pardonu: nasza umiłowana ojczyzna jest w potrzebie. Zbawiciel na ratunek jej jedzie. Koniec. Fine. Finale.

– Otóż to, panie Kondrat! Finale. Powiem jeszcze jak aktor Marek Kondrat w reklamie: „Z mężczyzną jest jak z bankiem. Musi zarabiać”. A pan, panie Kondrat (nieprzypadkowa to zbieżność nazwisk, takie nazwisko cholernie zobowiązuje) od lat zarabiał na miano człowieka nieprzekupnego, nieugiętego, wręcz wielkiego. Bez dwóch zdań i kropki na dokładkę, dodam z zazdrośnym uznaniem.

Po tych słowach Marian Szpyra wstał z kanapy i spacerując po pokoju roztoczył przede mną pióropusz słów słodkich jak balsam. Usiadłem jak automat słuchając z osłupieniem tej zdumiewającej mowy pozornie od nikogo niezależnej.

Mówię panu z ręką na sercu, że walka pana z czerwonym nie poszła na marne, proszę sobie przypomnieć jak dawno temu w Peerelu młody człowiek z nienawiści do czerwonego wysiadł z pociągu pod nazwą „socjalizm” i odmienił swój los w sposób zasadniczy. Niewielu tak uczyniło, miliony latami jechało sobie w tym pociągu rozglądając się tylko za schabowym, dopiero w sierpniu 1980 roku te miliony wysiadły z tego pociągu i perpedes ruszyło do progów apostołskich. Prowadził ich elektryk z wąsami, którym zachwyił się cały wolny świat, nie mówiąc o papieżu naszym kochanym. Bo bez progów apostołskich czerwony mógłby zwyciężyć, więc ciągły marsz w ich stronę absolutnie perpedes był polityczną racją stanu, był wołaniem na puszczy o ratunek dla kraju okrutnie gnębionego przez czerwonego. I gdy wydawało się, że wystarczy jeszcze jeden, ostatni wysiłek, żeby solidarnie pogonić czerwonego, nagle siada się z nim do okrągłego stołu i sprzedaje się zwycięstwo zdrowych sił narodu za zgniły kompromis z pachółkami Moskwy, którzy powinni zawisnąć na latarni. I kto sprzedaje? Elektryk z wąsami, którym zachwyił się cały wolny świat! Wyobrażam sobie jak to pana zabolalo, panie Kondrat, jakim przejęto wstrętem kupczenie ideałami wolności i solidarności, nie ma na to słów w polskim języku, chyba że w angielskim, lecz jest to język szerzej nieznanym masie naszego katolickiego

społeczeństwa. I bardzo dobrze, niech sobie wykształcuchy gadają po angielsku, pies im mordę lizał, my i tak wiemy co w trawie piszczy.

Tu przerwał i popatrzył na mnie swymi świdrującymi zamglonymi oczkami zza drucianych okularów tak jakoś pokrętnie, z nietajoną wzdargą faceta niewykształconego, że przeszył mnie zimny dreszcz. On jakby wyczuł go swoim długim nosem, bo kontynuował dalej swoją mowę pozornie od nikogo niezależną, tylko bardziej już chaotycznie, z nieskrywaną nienawiścią do fotografii Adama Michnika z okresu burzy i naporu beczelnie stojącą pomiędzy książkami. Skierował na nią brudny wskazujący paluch i wykrzyknął.

Taką demokrację nam oni zafundowali przy okrągłym stole, że na okrągło tańczymy polkę, a w garnku ciągle pusto, panie Kondrat, a jak w garnku pusto to odechciewa się po prostu żyć. Za to trzeba by ich kułakami pomać, ale pies im mordę lizał, niech sobie toczą ten kamień nieszczęścia, nam idzie o rzeczy ważniejsze. Nam idzie, kochany panie Kondrat, o entuzjazm Historii przez duże H, o szczęście szarego człowieka w pionie i w poziomie na całej długości jego znojnego życia, o to się pan przecież od lat bije z narowistymi kapitalistami i sprzedajnymi politykami, dlatego w nowym ugrupowaniu Równość i Demokracja ma pan zagwarantowane miejsce po prawej ręce szefa...

– A kto jest szefem tego ugrupowania – przerwałem mu ostro – może jakiś niezrównoważony nacjonalista?

– Proszę nas nie obrażać, panie Kondrat. Przewodzą nami bracia Strach ze wsi Warszawa, jak mówią o nich pogardliwie wykształcuchy. A co te bydlaki wiedzą, nawet nie wiedzą tego, że bracia niespotykanie są silni miłością ojczyzny, niespotykanie silni duchem i charakterem swoim. Każdy przecież to wie kto nie głupi, kochany panie Kondrat. Serdecznie pana pozdrawiają i do wspólnej walki zapraszają.

– Dziękuję. Żyjemy w wolnym kraju i walczyć nie ma już o co.

– O, to się pan myli. Dopiero teraz zacznie się wojna o p r a w d z i w ą wolność, kochany panie Kondrat.

Roześmiałem się wesoło słysząc takie horrende dictum, nie wiedzieć czemu wpadłem w nastrój zabawowy, bawili mnie ci dwaj z wygolonymi gębami, a jeszcze bardziej bawił mnie ich bełkot, co tam, pomyślałem, pozostał mi jeszcze rok życia, zabawię się z braćmi Strach nie w politykę, ale w antypolitykę. Czemu nie? Czemu nie?

I tak zaczęła się moja przygoda z braćmi Strach, co ja mówię przygoda, coś niesamowicie właśnie nie przystawalnego do żadnej przygody, raczej do ducha osobliwej dzikiej opowieści, która się sama opowiada. A duch takiej dzikiej opowieści nigdy nie ma ani początku, ani końca, po prostu wchodzisz w nią, szary człowieku, jak w swoje stare zdezelowane buty i dobrze się w nich czujesz. Tak samo i ja dobrze się poczułem pośród zdezelowanych politycznych hasel, które na człowieku apolitycznym nie robią żadnego wrażenia, pośród pospolitych typów zmieniających partie jak rękawiczki, nawet pośród nawiedzonych bab agitujących na zebraniach za bezpardonową walką z tymi co u władzy. Bo zebrania zwane edukacyjnymi s p o t k a n i a m i odbywały się często w lokalu partii (w odrapanym byłym Klubie Nauczycielskim), na nich członkowie ugrupowania Równość i Demokracja byli rozliczani z pozyskiwania nowych członków, jednak naj-

bardziej z intelektualnej pracy nad sobą. Brzmi to głupio, choć wcale nie tak głupio zważywszy jakie dumoty wygadują publicznie działacze różnych partii, dlatego bracia Strach szczególnie nacisk położyli na choćby skromną intelektualną edukację szarego członka, żeby w starciu z politycznym przeciwnikiem był niespotykany silny duchem i charakterem swoim, a już co najmniej silny katolicką wiarą swoją, że zamknie mu mordę argumentem nie do pobicia. A jak argument nie pomoże, to i przyłożyć kulałkiem nie zaszkodzi. Tych członków przybywało bardzo opornie, ludziami polityka obmierzała do cna i przekonać kogoś do kolejnej kanapowej partii było ciężko, choć nie beznadziejnie – jak śmiał się sardonicznie kolega Szpyra – trzeba mieć tylko nadzieję w biskupach i w kasie, w dodatku bracia Strach od początku transformacji ostro działali w kilku ugrupowaniach, które zawsze doprowadzali do spektakularnego upadku. Właśnie, to mnie też rajcowało, że biorę udział w jakimś nietypowym spektaklu, w jakiejś komputerowej grze, w której nieistotna jest treść gry, a umiejętność szachowania graczami. Bliźniacy byli w niej mistrzami, nauczyli się tego w podziemiu roznosząc w teckach ulotki w czasie stanu wojennego, jak na warszawskich inteligentów opozycyjny życiorys mieli skromny, za to aspiracje ogromne, co przy ich niskim wroście budziło uśmieszek politowania zaprawionych w bojach z czerwonym takich, na przykład, korowców. Ten właśnie uśmieszek politowania – myślę – był dla nich zadrą nie do zniesienia, widzieli go na twarzach wszystkich, którym było nie po drodze z braćmi Strach w marszu po władzę. A jeśli tak, to byli w Układzie z tymi co mieli władzę, Układ przecież został zawarty z czerwonym po to, żeby białego czyli prawdziwych patriotów pognać, wyizolować, strącić w polityczny niebyt, to się wie, to się widzi, to się po prostu czuje trzymając rękę na pulsie wydarzeń – jak się ciągle mówiło o tym na edukacyjnych spotkaniach.

Takim pulsem wydarzeń miał być ogólnopolski zjazd delegatów partii Równość i Demokracja. Delegatami zostali wszyscy członkowie, to była oczywista oczywistość, zaś miejscem zjazdu wybrano miejscowość Międzyzdroje. Ja również zostałem delegatem i z własnej kieszeni musiałem opłacić sobie dwudniowy pobyt w nadmorskim kurorcie. Fizycznie i psychicznie czułem się dobrze, co tam, mówiłem sobie, przyda się zmiana powietrza, przyjemnie będzie pospacerować nad morzem, porozmawiać z kimś niegłupim, obejrzeć tę całą menażerię, która ma jedno tylko pragnienie: kasa i masa, a ściślej władza nad masą, której można wmówić wszystko! Tym bardziej, że pani Poniewierka zaczęła mnie męczyć, abym udał się do Chińczyka i rozpoczął leczenie raka medycyną niekonwencjonalną, dostała na tym punkcie zupełnego fioła, męczyła mnie opowieściami o cudownych właściwościach akupunktury, o uzdrawiających ziołach, choć jako lekarz wetu dobrze wiedziała, że na tę odmianę białaczki szpikowej nie ma ratunku. Szarlatanom dać zarobić, nigdy. Dlatego taki wyjazd nad morze to było więcej niż ucieczka przed gładzeniem konkubiny, to był nieomal wojaż turystyczny. W dodatku kolega Szpyra i kolega Brunetko zaproponowali, że zabiorą mnie autem kolegi Omegina, który na spotkaniach tubalnym głosem gardłował przeciwko Układowi z niespotykaną zajadłością. Z tego Omegina to było kawał oryginała, facet o posturze wielkoluda z główką dziecka o ziemistej cerze szczerze nienawidził wszystkich, którym się powiodło, wszystkich ładował do pudła z napisem „ZŁODZIEJ I KURWA”,

szczególnie nie znosił bab mających polityczne aspiracje, w tym temacie – jak mawiał kolega Szpyra ze swoim sardonicznym uśmiejchem – kolega Omegina jest nieugiętym inkwizytorem. Takich nam potrzeba, bracia Polacy. Twarz kolegi Omegina wykrzywił zły uśmiejch, zaś w oczach pojawiał się błysk wdzięczności dla kolegi Szpyry, który był dla niego bezspornym autorytetem, nie mogłem w to uwierzyć, że facet z wyższym wykształceniem (Omegina skończył biologię na Uniwersytecie Wrocławskim, dawnym im. Bolesława Bieruta) może serio traktować gościa z zawodowym robociarskim wykształceniem, może słuchać jego zawitych wyjaśnień dotyczących zawitości życia społecznego. Bo kolega Szpyra znał się na wszystkim i wszystko mu się nie podobało, cuchnęło demokratycznym bajzłem, gospodarczym sabotażem i brakiem porywających idei. Tu był pies pogrzebany, w biednym kulawym państwie brak porywających idei uczyniło z tego państwa hałaśliwy jarmark, dychawiczną chłopską kobyłę ujeżdżaną przez chłopskie partie z kawalerskim impetem. To całe przejście z komunizmu do kapitalizmu nazwane Wielką Transformacją Ustrojową to był jeden wielki szwindel i jedna wielka granda, to była ucieczka od prawdziwej wolności w szkaradną niewolę złudzeń, serio, bracia Polacy, czerwony powinien być co najwyżej księgowym, a nie bogatym sybarytą i biznesmenem, który zgarnął majątek narodowy, to się przecież wie kto nie głupi, to przecież każdy widzi trzymając rękę na pulsie wydarzeń. Kolega Omegina kłął tubalnie, bardziej z nawyku niż z rzeczywistej potrzeby zniszczenia dynamicznej rzeczywistości, byłem małym przedsiębiorcą, panowie – mówił prowadząc swoje zdezelowane auto – a zostałem bankrutem przez własną żonę, którą dopuściłem do biznesu na własną zgubę, o, jak człowiek głupiej ufać jednostce, choć wie nie od dziś, że jednostka niczym, jednostka zerem, jak człowiek zamienia się w nędznego karalucha, choć wie nie od dziś, że jest doskonałą istotą stworzoną przez Najwyższą Doskonałą Istotę, mówię to jako biolog kreacionista, który teraz pracuje w ubezpieczeniach, choć dusza moja była i pozostała duszą biologa ewolucjonisty i nie zna lęku przed tym co nieuchronne. Tak, panowie, ewolucja nie zna słowa „miłosierdzie”, nawet jej najdoskonalszy twór rekin nieuchronnie musi umrzeć, choć od kilkunastu milionów lat jest najdoskonalszym zabójcą na planecie, dlatego mówię, więcej pokory, panowie, więcej niezbitości jasności w dowodzeniu, że koza nie zwierze, sołtys nie władza.

I tak jadąc zakorkowanymi drogami szybkiego ruchu i gwarząc o rekinach, kozach, sołtysach i innych dziwach przyrody dojechaliśmy po dziesięć godzinach do kurortu Międzyzdroje. Ach, cóż to była za przyjemność ujrzeć to nadmorskie kąpielisko wymiecione z wczasowiczów i turystów! Jakaż błogość ogarnia człowieka na widok opuszczonych apartamentów, willi, markotnych tubylców snujących się po uliczkach w poszukiwaniu wczorajszego pieniądze dnia! Ileż radości może sprawić widok zamkniętego na cztery spusty mola, ponieważ jest to bezsporny znak ponurej jesieni! A człowiek nieuleczalnie chory najbardziej lubi jesień, szczególnie polską jesień ze snującym się babim latem, z pejzażem grzybobrania, z wędrownkami po górach. I te góry nad morzem Bałtyckim przyplwają do każdego z nas nieubłagane na skrawkach wspomnień, przyplwają w nieocenionej nostalgii za latami młodości, które odeszły razem ze światem zła, nędzy, zniewolenia. Ale czy na pewno zniewolenia,

nie wiem, nie wiem, dawno temu przypląły do mnie nad Czarnym morzem i w śnie na jawie pokłoniły mi się n i z k o tatrzańskimi szczytami, rozjaśniły umysł studenta historii kategorycznym imperatywem walki o prawdę, której poznanie odłożono na czas nieograniczony. Lecz cóż jest tą cholerną prawdą? Taki mam z tym ciągle kłopot, że nie wiadomo śmiać się, czy płakać, czy jak procurator Judei Poncjusz Piłat umyć ręce, zaiste, piekło z wątpliwej jest straszne i ciągle musimy się trzymać kategorycznego imperatywu jak pijany płot.

Delegatów zakwaterowano w domach wczasowych FWP sp. z o.o. Miałem przyjemność zamieszkać z delegatem ziemi mazowieckiej, kolegą Markiem, prymitywnym kamieniarzem od cmentarnych nagrobków, który z miejsca umówił się ze mną, że szczamy do umywalki, choć w pokoju była elegancka łazienka z kibelkiem. Z miejsca też chciał rozlać po kielonku, zdecydowanie odmówiłem, co nie przeszkodziło mu wypić samemu dla oczyszczenia naczyń krwionośnych ze złogów złego cholesterolu, jak rzekł wlewając w gardło wódkę Ludowa. Mrugnął do mnie porozumiewawczo okiem, na jego kwadratowej gębie zagościł wyraz braterstwa, którym wyraźnie był uradowany, braterstwo w sprawie, tak to wyglądało i inaczej nie chciało wyglądać. Wyszliśmy do domu wczasowego „Posejdon” na wspólną kolację, koleżanki i koledzy przybywali ławą obdarowując się wzajemnie serdecznymi uśmiechami, ukłonami, stołecznymi nowinkami, o, dziwo, nie małomiasteczkowymi plotkami, którymi żyli na co dzień, jadalnia „Posejdonu” wręcz brzęczała od metalicznych głosów delegatów, od przyjemnego jazgotu kilkuset osobników odzianych w różnokolorową odzież. I to mnie zaskoczyło, że byli odziani nie pod strychulec wyznawanej partyjnej frazeologii, nie pod gust liderów, nawet nie pod krawat prezesa, ale zgodnie z własnym indywidualnym szpanem, o, to mnie zaskoczyło niemiło, ponieważ te ugrupowania, które poznałem lubiły się stroić we własne piórka, w wymyślne gadżety, w całe to szwinistyczne bagno, które każda kanapowa partyjka wytwarza wokół siebie nim stanie się partią wodzowską. Uczzone łby zajmujące się zawodowo demokracją narzekając, że demokracja u progu dwudziestego pierwszego wieku robi bokami, nie jest już tak klarowna i ujmująca jak w latach zimnej wojny gdy komunizm zagrażał wolnemu światu, a na Kremlu siedział żywy trup i sączył jady imperium zła w głowy zachodnich intelektualistów nazywanych przez nomenklaturę „pożytecznymi idiotami”. A nawet są takie uczzone łby co uważają, „że dzisiejszy wróg nie nazywa się imperium lub kapitał, ale demokracja” i „potrzebujemy na nawo odkryć rewolucyjny terror”. I ja poświęciłem życie na walkę z komunistycznym terrorem, poświęciłem życie dla filozoficznego frazesu, że znów wolno myśleć, to po prostu śmieszne, w jadalni „Posejdonu” nikt nie zaprzętał sobie głowy intelektualnym śmietnikiem, pomyślałem ze złością, nikt nie chciał nawet o nim pamiętać, a to dlatego, że po prostu imperium zła rozpadło się bez jednego wystrzału i bez ich udziału. A gdyby się nie rozpadło? Wtedy czerwony dałby popalić, może nawet spaliłby atomem planetę! Trywialne rozwiązanie, trywialne i banalne jak reklamowe gadżety, ale tak już jest, gdy zbiera się rozgorączkowane myśli przy nawiedzanej panience, miała na imię Oliwia i siedziała naprzeciwko mnie wydymając pełne usteczka w dziób synogarliczki, z miejsca nabrałem do niej sympatii starszego partyjnego zgreda,

który z niejednym partyjnym kolegą w niejednej partii part śmiało na ciało, niejedno widział i niejedno rozgrzeszył z grzechu rozwiązłości. Praca za seks, mandat za seks, wojaże za seks, samcze przyjemności za seks, kobieta w partyjnych konfiguracjach musiała okazać biegłą znajomość miłosnych figur, dlatego nie miałem złudzeń, że w ugrupowaniu Równość i Demokracja będzie inaczej, dyskryminacja kobiet była niepisany prawem i żelazną zasadą, którą każdy samiec z lubością wpisywał w swój etos politycznego supermana. Jedząc smaczną fasolkę po bretońsku patrzyłem na Oliwię ze smutkiem faceta o pokolenie starszego i o dwa pokolenia bardziej doświadczonego nieznośną udręką straconych złudzeń.

Braci Strach na kolacji nie było.

Punkt dziewiąta rano w sali Międzynarodowego Domu Kultury delegaci owacyjnie przywitali braci Strach. Ujrzałem po raz pierwszy na oczy niskich, nieco pękatych bliźniaków, z posrebrzonymi czuprynymi czupurnie maszerującymi pomiędzy wrzeszczącymi ludźmi „Gromostaw! Radosław!” Z twarzy ich biła jakaś dialektyczna pewność, że dialektykę pani historii poznali dogłębnie. Ja również podniosłem się z krzesła i z ciekawością patrzyłem na rozwrzeszczaną gromadę delegatów z fanatycznym ogniem w oczach, nieciekawe to było, bo ta cała kłaka wyglądała na wyreżyserowaną, kolega Szpyra uwijał się pomiędzy delegatami jak w ukropie z jeszcze innym kolegą wysokim jak topola, który wywijał transparentem z napisem: G R O M O S Ł A W N A P R E M I E R A ! R A D O S Ł A W N A P R E Z Y D E N T A ! , ale wywijał nie z mocą ducha dzięki opowieści, nawet nie z mocą przedstawiciela rasy dzięki i młodej, lecz z jakąś starczą niemocą wyłysiałego faceta, któremu wszystko jedno. Był to Teolog – jak dowiedziałem się później – były zakonnik i doradca braci Strach, który stracił wiarę w to, że Jezus Chrystus był synem Boga Nie pierwszy i nie ostatni, tylko że Teolog należał do najwybitniejszych polskich teologów, jego teologiczne rozprawy nie ustępowały teologicznym rozprawom kardynała Ratzingera w jasności wyводу, że nie ma zbawienia poza Jezusem Chrystusem, nie ma mieszkania dla człowieka poza mieszkaniem w Domu Ojca, dlatego wystąpienie z zakonu odbiło się głośnym echem, a już heretyckie przekonanie Teologa, że Chrystus nie był synem Boga, a jedynie wielkim reformatorem religijnym, w przasnym katolickim kraju przyjęto ze zdumieniem, trwogą, szyderstwem, wręcz z wściekłością kleru, który jest jedynym depozytariuszem prawdziwej wiary w jej sprawczą moc i twardą ręką rządzi swoją owczarnią. Zupełnie mnie to nie interesowało jako ateistę, rozbrat z Kościołem wziętem już tak dawno, że nawet polski papież zasiadający na Watykanie przez ponad ćwierć wieku ani mnie palił, ani ziębił, lecz *casus* Teologa zainteresował mnie jako niezwykła osobliwość, coś niepojętego, coś, co nie mogło się zdarzyć w t y m kraju, a zdarzyło się w sposób absolutnie pewny, bo stał przed nami on, wyłysiały Teolog, stał z transparentem przy braciach Strach z lekkim uśmieszkiem na wąskich ustach i wzrokiem mrocznego mnicha-odszczepienca patrzył na rozentuzjzmowanych delegatów. Zafascynował mnie ten człowiek, co tu dużo mówić, był z innej bajki i postanowiłem poznać go bliżej, żeby ten mój nieuchronny koniec rozjaśnił choćby mrugającym biblijnym światłem, choćby lekkim mądrym słówkiem, które pozwoli mi umrzeć bez lęku. Bo ostatnio męczyła mnie nie tylko bezsenność, męczył coraz bardziej kategoryczny imperatyw ateisty, że to co za

grobem, to tylko pustka, wielkie Nic, ostawiony Niebyt, a zza grobu wyziera jedynie przeraźliwy ogrom milczenia nieuchronnej Golgoty.

Mowa Gromosława do delegatów – nie przemówienie, bo to była mowa żywo improwizowana – to był werbalny majstersztyk bicia piany, jakiego moje uszy dawno nie doświadczyły. Zaczął od tego, że wypił spory łyk wody ze szklanki stojącej na mównicy, wody oczywiście niezawanej, wypił jednym haustem, jakby szykował się do dalekiej podróży. I rzeczywiście poleciał tekstem nietypowo, bo zaczął od tego, że retorycznie zapytał podnosząc się na palcach (zauważyłem to mimowiednie jak podrzuć do góry zdecydowanie lewe ramię): czy wiedzą państwo jaka jest amplituda uczuć tych co nami rządzą od 1989 roku? czy wiedzą państwo jaka to amplituda i co z niej wynika dla przyszłości tego kraju? Tu wymownie spojrzął na brata-bliźniaka, który skinął głową, żeby leciał dalej. I Gromosław poleciał co rusz podrzucając zdecydowanie do góry lewym ramieniem! Jest naukowo dowiedzione, proszę państwa – grzmiał tenorowym głosem – że niska jakość polskiej polityki bierze się z kompletnej ignorancji jej politycznych elit, które uzurpują sobie prawo do znajomości wszystkiego. Niewątpliwie najlepiej znają się między sobą i od szesnastu lat są jedną wielką ferajną koleśki bezsprzecznie żerujących na naiwnej naiwności wyborców. Ta oczywista oczywistość dla przeciętnego wyborcy jest nie byle jakim dylematem, a to za przyczyną języka, którym ferajna mówi do narodu. Język to dziwaczny, kompletnie wyjątkowy z istotnych treści, taka telewizyjna siekanina ubliżająca inteligencji normalnego człowieka. I nigdy nie wychodzą ze studia telewizyjnego, bo wystawili sobie jako oczywistą oczywistość, że im częściej pokażą gębę na małym ekranie, tym pewniejsze mają zwycięstwo w wyborach. Tak, proszę państwa, to właśnie ta szemrana elita zafundowała nam demokrację telewizyjną, która ma tyle wspólnego z prawdziwą demokracją, co wąsy sławnego elektryka z ostawioną mądrością polskiego robotnika. Zresztą największej ofiary tychże wąsów! Ale nie mówmy o tym co minęło, mówmy o tym co jest, a jest źle, proszę państwa, jest wręcz tragicznie z potoczną świadomością obywateli, którzy nie czują się obywatelami demokratycznego państwa. Dlaczego nie czują się jego obywatelami? Już mówiłem i chętnie powtórzę: dlatego że odebrano nam rewolucyjną szansę moralnej rewolucji zadając cios w plecy tak zwaną wielką transformacją ustrojową, której totrostwa każdy poznał dobitnie, poza tymi, to przecież dla każdego kto nie głupi jest oczywista oczywistość, którzy rządzą tym krajem niesamowicie bogacąc się na krzywdzie prostego człowieka. A rządzą oni fatalnie, rządzą nieudolnie, rządzą wręcz głupio, czyli po prostu wcale nie rządzą! Tu jest ten pies, czyli kot pogrzebany, proszę państwa, nie rządzą, a jedynie zarządzają masą spadkową jaką jest dla tych „europejczyków”, psia ich szyszka, narodowe państwo polskie. Zgroza! Zgroza i poruta, proszę państwa. Trzeba to wreszcie zdecydowanie przeciąć!

Tu przerwał, bo sala zatrzęsa się od huku braw. A jak przerwał, to i nie kontynuował dalszego bicia piany, bo delegaci bili w prawice swoje małomieszczańskie dobre dziesięć minut wykrzykując z niespotykanym fanatyzmem: „Gromosław na premiera! Radosław na prezydenta!” Skandowali to z takim żarem, że miałem wrażenie jakby buchało z martenowskiego pieca rozpalonego do czerwoności, choć wojna z czerwonym była przecież de-

finitywnie skończona. Ale nie na tej sali, nie przez ugrupowanie Równość i Demokracja, w którym odgrzewano stare spleśniałe kotlety z żarliwością ślepych na rzeczywistość neofitów. I to mnie po prostu wkurzyło, ta kurza ślepotą kurzych mózdzków, ten zafajdany kurzym głównem patriotyzm drobnomieszczań z małych miasteczek pozbawionych elementarnej wiedzy o społeczeństwie i państwie, ze złością walnąłem stojącego przede mną delegata kułakiem w plecy, odebrał to z entuzjazmem i oddał z entuzjazmem następnemu kułakiem w plecy, ten następnemu i nie minęła chwila, a układano się kułakami po plecach z groteskową werwą, która wcale nie była taka groteskowa, wręcz przeciwnie, pieruńsko zajadła i obrzydliwie poważna. Tak mnie to zbrzydziło, że wyszedłem z sali. Na korytarzu nie było nikogo, tylko pod oknem stał tęgawy facet w nieokreślonym wieku i palił papierosa. Jedno oko miał dziwnie nieruchome, ze świdrującą zieloną źrenicą, którą wbił we mnie z tępą uwagą, drugie mętne miał skierowane na Maroko.

– Prezes jedzie z tym koksem jak talala – powiedział skrzekliwie. – Mam wrażenie, że kolega jest innego zdania?

– Jasne. Tania demagogia.

– Z tym byłbym ostrożny. Tak w ogóle, kolego. Kolega Brunetko czuwa.

– Nie rozumiem?

– A co tu rozumieć! Wszystko proste jak prosty sierpowy. Idziemy po władzę, to kolego Brunetko czuwa, żebyśmy szli równo.

– Po jaką władzę, drogi szanowny kolego?

– Dobrą władzę. Bo ta co dzisiaj tym krajem rządzi jest zła. To oczywista oczywistość dla każdego kto nie głupi.

– Już to słyszałem.

– To za mało. Trzeba rozpaść stos, który pochłonie wszystkie nieprawości złej władzy, jak mówi bez przerwy szanowny kolega prezes. Proszę wierzyć staremu wyścierzowi; nic tak nie rajcuje przasnego katolickiego ludu jak populizm i nacjonalizm. Dobrze jest też go podlać kropką antysemityzmu, efekt wyborczy murowany.

– Widzę, że drogi szanowny kolega jest antysemitą?

– Wręcz przeciwnie, kolego, jestem pozytywnie nastawiony do światowego żydostwa, bo w Polsce praktycznie Żydów już nie ma. Ta garstka co tutaj żyje, bo nie została jeszcze wypędzona cieszy się ogromną sympatią braci Polaków, stąd tyle tych festiwali kultury żydowskiej i kuchni koszernej, rzecz w tym jednak, kolego, że bracia Polacy od wieków lubią sobie wycierać gębę Żydem i każdy inteligentny polityk dobrze o tym wie. A szanowny prezes Gromosław Strach (nie mylić z mniej szanownym bliźniakiem Radosławem) jest piekielnie inteligentny, kolego.

– Raczej piekielnie zarozumiały...

– Z taką opinią byłbym ostrożny. Kolega Brunetko czuwa.

– Mam gdzieś tego pieprzonego Brunetkę. Co to, wraca partyjny zamordyzm?

– Gorzej, panie kolego, wraca wiara w tęgiego zbawiciela, który wyrwie ten kraj z mocy czarta. Bo szatani dziś stoją tam gdzie wczoraj stało ZOMO, jak głosi nieustraszony szanowny kolega prezes. Cieszy to niezmiernie grubych biskupów, którym niesmak cała ta złaicyzowana unia europejska ze swoją wolnością do wszystkiego, panie kolego. Na razie mówię cześć, czotem, róbmy wszystko razem. He, he, he!

I nim zdążyłem zająrzeć mu w mętne oko skierowane na Maroko, odpłynął w głąb korytarza. Dziwny delegat, pomyślałem, raczej wygląda na cudzoziemca, który przypadkowo zabłądził w Międzynarodowym Domu Kultury w Międzyzdrojach poszukując straconego czasu. Czyjego czasu? Oto telewizyjne pytanie na śniadanie, do pioruna!

Wróciłem na salę obrad. Przemawiał jakiś tysy delegat, którego nikt kompletnie nie słuchał. Obrazek bardzo znajomy, po prostu norma na wszystkich konwencjach partyjnych, na których załatwia się własne sprawy, wykuwa się przyszłe intratne posady, których nie brakuje w państwowym kapitalizmie, wręcz przeciwnie, z każdymi parlamentarnymi wyborami przybywa ich coraz więcej w spółkach skarbu państwa i w samorządach, żłób poszerza się i wydłuża, i klientela walczy pomiędzy sobą bezpardonowo, żeby nie zostać wdeptanym w podłoże nędzy. Dobrze to poznałem śledząc losy farbowanych opozycjonistów, którzy przeistoczyli się w tępych biurokratów w sposób zgoła fantastyczny. A gdzie się podziała solidarnościowa rewolucja? Jaka rewolucja, koteczku, nie było żadnej rewolucji, pozostała po niej tylko tania mitologia głodnej gawiedzi. A niech to wszyscy diabli! Na sali brzęczało jak w ulu, tysy delegat przemawiał szczęśliwy, że może przemawiać, bracia Strach sztywno siedzieli obok siebie, zupełnie przypominali kukły z teatru Kantora i to mnie wręcz poraziło, ten ich swoisty stan nieważkości, ten ich stan zawieszenia w publicznej przestrzeni, zupełnie nietypowy dla reszty tak zwanych polityków i niepozabawionych przez to krztyny charyzmy. Ale ta krztyna nie mogła wytłumaczyć fascynacji delegatów bliźniakami, musiało to gdzieś siedzieć głębiej w psychice tłumy, musiało – tak jak w teatrze Kantora – balansować na krawędzi sztuki i kiczu tworząc jakąś pokrętną metafizykę życia i śmierci, nikt na tej sali nie słyszał o teatrze Kantora, to pewne, lecz to co się tutaj działo, było zdumiewającym zmartwychwstaniem jego teatru, jego rękodziełem, do którego rękę swoją genialną przyłożył i niepisany pamiętnikiem zza grobu. Tak sobie kombinowałem w myślach próbując znaleźć busolę, która wskaże mi drogę ku prawdzie, dla człowieka apolitycznego prawda polityki to żadna prawda, nie istnieje w pionie poznania, tak jak nie istnieje dla niego historycznie zakłamaną prawdą np. o Napoleonie Bonaparte. Rzecz idzie o zasady, którymi kieruje się człowiek apolityczny, a są ich trzy: wierność sobie, niezłomność sprawie, obrona skrzywdzonych i poniżonych. Wiem, na milę angielską śmierdzą donkiszoterią lecz nic na to nie poradzę, że błędny rycerz z La Manczy był mi w młodości wzorem, co zawsze bawiło esbeków po polonistyce, gdy maglowali mnie na przesłuchaniach w latach siedemdziesiątych tego ubiegłego parszywego wieku chcąc wyrwać mi przyznanie się, że moja prywatna walka z Systemem jest walką polityczną. A taki chuj! Tak im mówiłem. A taki chuj, towarzysze esbecy, nie wrobiecie mnie w waszą parszywą politykę, bo jako facet apolityczny olewam długim strumieniem waszą obronę komunistycznego państwa. To państwo nie jest moje ani tej reszty, która milczy. Moim państwem jest europejska literatura i kultura, do której podróżuję na obłoku optymistycznej tragedii nie przekraczając granic waszego totalitarnego państwa. Podróżuję samotnie w dzień i w nocy, i możecie mi tylko pozazdrości, towarzysze esbecy, albo mnie zabić w swoim stylu pod znanym parszywym szyldem „nieznani sprawcy”.

Na mównicy pojawił się kolega Omegin, którego mała główka osadzona na potężnym korpusie przykuła, nie wiedzieć czemu, na kilka minut uwagę rozdyskutowanej sali. Panowie delegaci – zagrzmiał – nie ma co owijać w bawełnę czegoś co jest oczywistą oczywistością; czas już przepędzić popaprańców co rządzą jakby nie rządzili. I my to zrobimy, bo jesteśmy lepszą częścią narodu. Bo to naród jest solą tej ziemi, panowie delegaci, polski naród najciężej pracujący w Europie, psiakrew. Dawno by go wdeptali w podłoże popaprańcy ale nie daje się, kombinuje, ma swoją własną życiową filozofię. A jaka to filozofia? W dziób! Tylko tak się można obronić waląc liberała w dziób. Co ja mówię liberała! Każdego neoliberalę, postkomucha, antyklerykała i podobną im kurewską menażerię. Walmy w dziób na oczach ludu, koledzy, a wybory wygramy spacerkiem! Na sali huknęło śmiechem aż zatrzęsły się szyby. Delegatom zrobiło się wesoło, wręcz lubieżnie wesoło. Była to wesołość gawiedzi, która lubi się zdrowo pośmiać z dobrego kawału, podśmiechujki z tych co rządzą, to były przednie jaja, kolosalna zgrywa z debilowatych kolesi u żłobu, którzy dla kolesi niebędących jeszcze u żłobu byli pozbawieni jakiegokolwiek indywidualnej twarzy, nawet cienia odrażających rysów, jakichkolwiek cech człowieczeństwa, śmierdziele śmierdzący zgnitymi jajami, których trzeba zniszczyć. Wzajemne obrzucanie się błotem to była normalka w radiu, telewizji, w gazetach, schamienie języka sięgnęło nawet do alkowy i o najintymniejszych uczuciach mówiono słowami na „p”, z lubością mieszając wulgaryzmy polskie z angielskimi. Daremnie stare baby modliły się w kościołach, żeby młode baby trochę hamowały w słownym wyzdaniu, daremnie w szkołach poloniści wierszami Szymborskiej próbowali młodzież utemperować, bez szans, ulica tętniła językowym skurwieniem niespotykanym w innych państwach unii europejskiej. Dzięki temu kraj nad Wisłą chlubił się swoim bezpruderyjnym postępem, zaś społeczna hipokryzja zwycięstwem katolickiej moralności we wszystkich dziedzinach życia. I to mnie najbardziej mierziło w tym całym politycznym bajzlu, mnie, człowieka apolitycznego codziennie dręczonego czężą rytualną gadaniną, człowieka skazanego na śmierć nieodwołalnym wyrokiem, steranego końcem tego dwudziestego parszywego wieku i pozbawionego złudzeń, że i moja końcówka też skończy w rynsztoku.

Po przerwie obiadowej obrady przerwano do godziny siedemnastej dziesiąt. Siedemnasta dziesiąt do Yumy – obwieścił wesoło na stołowce „Posejdonu” kolega Szpyra i dał mi ręką znak, żebym zaczekał na niego w holu. Pojawił się dość szybko i schodami weszliśmy na drugie piętro domu wczasowego „Posejdon”.

– A dokąd pan mnie prowadzi?

– Do Mahometa – zaśmiał się wesoło Szpyra. – Proszę być spokojnym, panie Kondrat, trzymam rękę na pulsie wydarzeń.

I rzeczywiście. Weszliśmy do apartamentu niedużego ale przytulnego i ujrzałem bliźniaków w towarzystwie swojego doradcy tysego Teologa. Siedzieli w głębokich fotelach i rozmawiali o czymś ważnym, żeby nie powiedzieć najważniejszym w świecie popijając kawusie. To mnie właśnie uderzyło, ten kolokwialny zwrot „najważniejsze w świecie”, który wbił mi się w mózg jak gwóźdź, po prostu gwóźdź w mózgu w całej bolesnej rozciągłości tego wyrazu, w dodatku Marian Szpyra z kamerdynerskim uszanowaniem pochylał swój tułów i czekał aż panowie

skończą swoją rozmowę najważniejszą w świecie. Wcale się nie śpieszyli, przeciwnie, z polotem gadali sobie o starych Polakach ignorując nas zupełnie. To mnie bardzo ubodło, bardzo, zakląłem szpetnie w duchu, a głośno znienacka powiedziałem.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Poproszę miasto, panowie.

Zapała gwałtowna cisza. Obydwaj bliźniacy przejechali po mnie wzrokiem myśliwych, którym zwierzyna weszła pod łufę nie z tej strony, lecz już kolega Szpyra anonsował z kamerdynerską czolobitnością zezując na boki oczami zalany mi maślanką.

– Panie prezesie, pozwolę sobie przedstawić pana Klemensa Kondrata, którego długa walka z czerwonym nie wymaga rekomendacji.

– A, a, to pan, bardzo nam miło, niezwykajnie miło, przyjacielu.

Gromosław Strach podał mi rękę nie wstając z fotela. Reszta uczyniła to samo. Chamstwo, pomyślałem, normalne chamstwo warszawskich pokreconych inteligentów. Rękę jednak podałem, psiakrew, zaraz też kolega Szpyra usadził mnie na wolnym krześle mówiąc ciągle z kamerdynerskim uszanowaniem.

– Rozchodzi się o to, panie prezesie, że pan Kondrat z całą powagą odniósł się do naszego zaproszenia w kwestii bezpardonowej walki z oczywistym wrogiem.

– To bardzo dobrze – powiedział bliźniak Radosław. – Witamy na okręcie.

– To wręcz znakomicie – powiedział bliźniak Gromosław. – Pana nieugięta postawa w ostatnich latach upoważnia, żeby nazwać pana Nieprzekupnym. Piękna historia pięknego nazwiska, które zobowiązuje.

– Dlaczego piękna? Po prostu ludzka.

– O, nie byłbym tego pewien, panie Kondrat, ci co najwięcej mówią o ludzkości są jej największymi draniami.

– Za pozwoleniem, panie Strach, kogo ma pan na myśli?

– Proszę nie udawać idioty. Przecież to oczywista oczywistość.

Zatkało mnie. Bracia Strach roześmieli się ze smagłą pewnością ludzi, którzy nie są draniami. Spojrzałem na tysego Teologa. Wąskie usta mnicha-odszczepieńca były mocno zaciśnięte. Znienacka znów przyplątało się do mnie to chrześcijańskie pozdrowienie i nie wiedzieć czemu po raz drugi głośno powiedziałem.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Poproszę miasto, panowie.

Wbiłem wzrok w Teologa, który dwoma palcami lewej ręki kręcił sobie młynka, jakby tego nie słyszał. Bracia Strach spochmurnieli i ta chmura na ich obliczu musiała mocno zaniepokoić Mariana Szpyrę, bo szybko powiedział rozciągając niegramatycznie zdania.

– Każdy katolik ma prawo do chrześcijańskiego pozdrowienia w każdym katolickim kraju. Nasz gość to rozumie, panie prezesie, w ogóle i w szczególności, i pod każdym innym względem. Dlatego pozdrowił jeszcze raz, żeby była jasność i oczywista oczywistość dla każdego.

– Cieszę się. W przeciwnym razie byłaby to niepotrzebna zgrywa z naszych najświętszych uczuć.

– O jakich uczuciach pan mówi, panie Strach? Bo ja jako ateista i humanista znam tylko ludzkie przepastne uczucia.

– Jest pan ateistą? Nie wiedziałem.

– A cóż to jest być ateistą przy tych, co w ogóle stracili wiarę w Jezusa Chrystusa jako Synu Boga? To wręcz kpina taki ateista.

Tym razem Teolog drgnął jak smagnięty biczem i spojrzał na mnie z iskrą ciekawości. Dobra nasza, pomyślałem, niech wie, że ja wiem to, czego on nie wie. Nagle bliźniak Gromosław pochylał się w moją stronę i konfidenicznym tonem powiedział, jakbym był jego trzecim bratem.

– To zresztą bez znaczenia, kochany panie Kondrat, kto ma jaką orientację religijną. W ugrupowaniu Równość i Demokracja liczy się wola walki o lepsze jutro. Nie przeczę, w większości jesteśmy katolikami, lecz nie jest to warunek a priori, rzecz w tym, żeby dobrze widzieć na horyzoncie stojących w ordynku szatanów.

– Przepraszam, panie Strach – roześmiałem się. – Kogo ma pan na myśli, do pioruna?

– Ależ to oczywista oczywistość. Mam na myśli tych, których serdecznie nienawidzi naród. Niech pan tylko rozsądnie pomyśli; po szesnastu latach społecznych przeobrażeń społeczeństwo solidarne zostało wyeliminowane, zaś na jego miejsce zafundowano nam jakiegoś wirtualnego masowego konsumenta. A kto go nam zafundował? Porąbani naukowcy, którzy zaprzędali swoją duszę mamonie wspierając swoim sprzedajnym autorytetem jeszcze bardziej porąbanych demagogów.

– Jasne. Nieprzywoicie wszyscy są teraz porąbani.

– Zresztą nie to jest najważniejsze. Oto przed każdym mądrym człowiekiem stoi dzisiaj ogromne wyzwanie do czynu, rzekłbym, rewolucyjnego czynu, panie Kondrat, który potocznie nazywa się rewolucyjnym terrorem. Dlaczego tak twierdzą? Dlatego, że ten kraj zasłużył sobie na prawdziwe socjalne wyzwolenie, niestety, nie nastąpiło ono po upadku komuny, a to dzięki przymierzem z czerwonym, który potocznie nazwano okrągłym stołem. Przymierze to – tak uważamy nie zważając na głązy rzucane nam pod nogi – to były himalaje politycznej obłudy i zdrada naszych najświętszych uczuć. Sam pan dobrze wie, że nie o tym śniły masy solidarnych obywateli doszczętnie ograbione z marzeń o solidarnym społeczeństwie obywatelskim, nie, nie o tym.

– A o czym, do pioruna?

– O zemście na czerwonym. Przymierze z nim wystawiło naród polski do wiatru, potocznie nazywa się to ironią historii, która w wydaniu rządzących tym krajem nie jest już nawet farsą, o tragedii nie wspominając. A czym w takim razie, pozwolę sobie zapytać? Cyniczną socjotechniką jeszcze bardziej cynicznego neoliberalizmu.

– Przepraszam, panie Strach, ale co to jest takiego ten cholerny neoliberalizm, do pioruna jasnego?

Gromosław Strach popatrzył na mnie lekko zdumionym wzrokiem, zaznaczam: „lekko zdumionym”, ponieważ z całej jego niewysokiej postaci emanowała wysoka pewność, że neoliberalizm to taki koń, jaki – każdy widzi i tylko ślepy tego nie widzi. To nieco utrudnia zrozumienie takiego faceta jak on przez faceta stojącego z boku takiego jak ja, a to dlatego, że taki facet jak on jest podatny na pseudonaukową frazeologię, tym bardziej iż jako warszawski inteligent był nieźle wyszkolony w posługiwaniu się każdą, nawet najgłupszą, frazeologią. To co mówił do mnie siedząc w głębokim fotelu, było historiozoficznym bełkotem, który nie powinien w ogóle zaistnieć w jego wyobraźni przegranego polityka, tak jest, przegranego polityka w klasycznym rozumieniu tego słowa np.

przez takiego legendarnego politycznego gracza jak Lech Wałęsa. Rzecz jasna bliźniacy Strach nie uważali się za przegranych, skądże znowu, cały ich życiorys polityczny obfitujący w polityczne skandaliki i w partyjne gierki utwierdzał ich w twardym przekonaniu, że mają do wypełnienia, poza spektakularnym kiedyś spalaniem kukły prezydenta Lecha Wałęsy, specjalną misję. Przy odrobinie społecznego sprytu (a sprytu im nie brakowało) wzmówienie rozchybotanemu społeczeństwu, że ściana biała jest czarna i na odwrót mogło przynieść sukces. Ja jednak z dziwnym przekonaniem człowieka apolitycznego nie wróżyłem im sukcesu, po prostu zwyczajnego bicia piany nikt normalny nie mógł traktować serio i uznałem, że trzeba to im wygarnąć teraz, natychmiast, bez oglądania się na towarzyski ostracyzm.

– Przepraszam, panowie, ale nie będąc członkiem waszego ugrupowania oświadczam, że nie podoba mi się wasze idiotyczne młotkowanie.

– Słucham?

– A co tu słuchać, panie Strach. Ze mnie za stary wróbel, żebym się dał nabrać na zgniłe plewy. Bo wszystko co pan mówi, bierze się z nienawiści do demokratycznego państwa.

– Oczywiście. Bardzo trafna uwaga, panie Kondrat. Powiem więcej. Kapitalna uwaga. Nienawiść jest dobra, nienawiść jest szlachetna, nienawiść jest błogosławieństwem dla tego kraju, nienawiść wyzwala go z chocholego tańca, nienawiść zagrzewa do walki o lepsze jutro, nienawiść to miłość do wroga, bez nienawiści cóż wart byłby jego trup, nienawiść to kapitał ludzi pozbawionych jakiegokolwiek kapitału. A pan, drogi panie Kondrat, zastępuje na specjalną nienawiść.

– Możliwe. Zechcą, panowie, wybaczyć. Pora na mnie.

Wstałem wzburzony z krzesła w nieznośnej ciszy. Tak, bardzo dobrze pamiętam, że cisza w apartamencie domu wczasowego „Posejdon” zrobiła się nieznośna, zaś twarze bliźniaków jednojąjowych stały się całkowicie jednorodnie, szarzyły niby popiół strząśnięty z nóg, przypominały ponurą maskę manekina wdeptaną w trotuar, uderzyło mnie to szczególnie, ten stężyły niesamowicie wyraz pogardy do dobra p l u s piękna, który zastężył w ich rysach w ubliżającym grymasie. Nie, w niczym nie przypominali choćby bliźniaków Kosmy i Damiana, którzy oddali życie za wiarę, ludziłem się przez chwilę niepotrzebnie, że wiara uczyniła ich lepszymi, nie, nie uczyniła i afiszując się nią publicznie robili to zwyczajnie pod publikę. A cały ich kulturowy sztafaż inteligentów ze wsi Warszawa nagle znikł, rozplynął się w nieposkromionej ambicji wybicia się ponad masę, żeby tą masą kierować i rządzić. Owszem, ambicja wybicia się w polityce to być albo nie być ambitnego polityka, bez niej byłby jednym z wielu szachistów, który jest szachowany i ogrywany, nauki starego Talleyranda powinien mieć w jednym palcu, w wypadku jednak tych dwóch dochodziła jakaś psychologiczna skaza, której nazwać nie umiałem. Siedzieli obok siebie w fotelach niscy ale nie mali, grubawi ale nie otyli, pewni iż niepewność (stan naturalny każdego inteligenta) nigdy ich nie dopadnie, co na pewno przysparzało im zwolenników wśród prostego ludu z rechem słuchających grubych dowcipów z demokratów i ze słabego demokratycznego państwa. I to było dla mnie nad wyraz ciekawe, że pokręcenie warszawscy inteligenci na prowincji czuli się jak ryba w wodzie, czuli – można tak powiedzieć – pismo nosem u ludzi,

którzy pisma i pismaków nie znosili, wielkomijskimi „panami” po prostu gardzili. Paradoks? Bynajmniej, po prostu instynktowne wycucie historycznej sytuacji, społecznych nastrojów, zmęczenia ogłupiającą codziennością, która dla wykluczonych i przegranych była nędzną vegetacją. A kto był temu winien? Układ zawarty z czerwonym diabłem przed laty. W stężytych rysach bliźniaków diabelski Układ był wyryty nieubłagane jak egipskie hieroglify na ścianach grobowca.

Wychodząc z apartamentu kątem oka zauważyłem jak Teolog unosi brwi do góry i mruga gwałtownie wyblakłymi oczami, jakby zbudził się z jakiegoś letargicznego snu, wrażenie, pomyślałem, nienormalne normalnie wrażenie, któremu nie możemy się poddawać. Za żadną cenę.

Poszedłem w stronę zamkniętego mola mijając nielicznych delegatów spacerujących sobie Promenadą Gwiazd. Jesienny wiatr od morza wiał sztormowo, zszedłem więc na plażę i oddychając głęboko ruszyłem brzegiem przed siebie. Ociupinę byłem zdenerwowany całym tym partyjnym spędem, całym tym demagogicznym młotkowaniem o wszystkim i niczym, które niczego dobrego przynieść nie mogło. Spienione fale rozbijały się o biały piasek, który deptałem z uczuciem błogości. Tak, nie wiedzieć czemu to uczucie napłynęło do mnie na fali wspomnień, gdy jako młody człowiek jeździłem z namiotem nad Bałtyk wewnętrznie wyciszony, umysłowo skupiony nad myślami, którym chciałem nadać kształt żywych idei. W ustroju sprawiedliwości społecznej wszystko śmierdziało trupem, nawet naukowy marksizm, którym marksисти żywili się jak sępy padliną. Gdzież podziąło się to towarzystwo przypominające stowarzyszenie umarłych poetów? Zniknęło, rozplynęło się w ogłuszającym ryku bezmyślnej historii, niedobitki dobijają własną pamięć w profesorskich gabinetach rozpaczliwym stwierdzeniem, że Karol Marks nie był jednak wielkim uczonym i bardzo marnym teoretykiem teorii, która miała wyzwolić proletariuszy z jarzma kapitału, choć ich profesorskie tytuły temu diametralnie przeczą. Cóż mnie to obchodzi, cóż to obchodzi te masy, którym socjalistyczne zbydlęcenie uczyniło życie łagodnym koszmarem, to pieśń skończona, z mojej pamięci wyrzucona, ponieważ nie ma w niej miejsca na banał egzystencji i urzeczowienie. Niestety, urzeczowienie jednostki przybrało monstrualne rozmiary, jeszcze trzydzieści lat temu urzeczowienie to był problem jedynie poetów spod znaku Mirona Białoszewskiego, bawiło językowo i obyczajowo lekko znerwicowanych inteligentów zajętych wybawianiem ojczyzny spod buta wraźego czerwonego, dzisiaj to zmasowany atak elektronicznych i prasowych mediów na wszystko co można unurzać w internetowej rzece gówna. Nie chciałem już o tym myśleć, nie mogłem już słuchać tego jazgotu, chciałem się wreszcie wewnętrznie wyciszyć, bo w wieku 50+ to był niezbędny warunek do uzyskania duchowej harmonii. Często zadajemy sobie pytanie, czy w zsekularyzowanym świecie Zachodu jest to możliwe? Czy nie jest to tylko złudzenie estetyczną stroną ludzkiej egzystencji, która na przekór wszystkiemu zawsze podąża za etycznym duchem własnej opowieści? Kiedy odwracam się za siebie i próbuję zobaczyć swoje życie w Czasie bezpowrotnie utraconym, doznaję bólu serca, że mogłem od losu uzyskać znacznie więcej niż uzyskałem, mogłem zbudować przestronne mieszkanie w bycie z widokiem na szczęście człowieka wolnego od wszelkich ograniczeń,

mogłem – do pioruna – prowadząc własną politykę uczynić ją strawną dla innych, a dobro plus piękno wynieść ponad poziomy. Inny to przecież nasz bliźni, nasz brat łąta w szczęściu i w nieszczęściu, nasza słodka dolina Hebronu i wyzwolenie z absurdałnej rozpacz Syzyfa. Tak, mogłem, a jednak nie mogłem, nie mogłem będąc uwikłany w polskie kompleksy, w gry i zabawy społecznymi maskami, w litanie śmiesznych pretensji byłych opozycjonistów, tych moich przetrąconych materialnie braci, że, o, o, zęby za wolność wybili, grosza nie zapłacili, a cholerny świat tego nie widzi. Trudno, wybili to wybili, taka była uroda na czasie tych lat górnych i chmurnych, nie ma co się nad sobą rozkładać, karawana jedzie dalej, a że bez floty? cóż, smutne to, lecz to jeszcze nie tragedia, można znaleźć sobie inne zajęcie, na przykład zostać wolontariuszem w hospicjum, sam jestem nieuleczalnie chory i wiem, co mówię, przychodzisz do kogoś, dla kogo śmierć już nie jest abstrakcją, nie jest literaturą ani zagadnieniem filozoficznym, jest czymś nieobjętym ani wolą, ani rozumem, wszechwładną niedolą tego parszywego padołu, któremu obojętne gdzie zostaniesz zakopany, skremowany, utрупiony, dlatego zachody słońca i wschody księżycy trzeba zobaczyć u wezglowia brata i siostry, pocieszyć bardziej siebie pocieszając tych co odchodzą do nieznanego (a może tylko zaginionego) królestwa, zresztą dokądkolwiek, nie ma to przecież znaczenia na tym utraconym kontynencie znaczeń zwanym chrześcijańską Europą.

Tak rozmyślałem idąc plażą w sztormowym jesiennym wietrze wzburzony ciągle rozmową z braćmi Strach, rozmową przeciw głupia, choć na swój sposób mądrą. Nie, wróć, nie mądrą lecz oklepaną narodowymi banaliami, moralną degrengoladą całej tej klasy politycznej, której byli upiornymi przedstawicielami. Ja, apolityczny obywatel mógłbym poprzeć tylko takiego polityka – jeśli w ogóle mógłbym – którego programem byłaby stanowcza antypolityka. Na horyzoncie nie było takiego, za to na linii mojego wzroku zobaczyłem wysoką sylwetkę Teologa, który szedł plażą w moją stronę z pochyloną do przodu głową nakrytą żółtym kapturem przeciwdeszczowej kurtki. Proszę, on także lubi samotne spacer, no, no. Zatrzymałem się i zwróciwszy twarz w stronę morza z przyjemnością wdychałem morskie powietrze, z przyjemnością łagodziłem spięte nerwy. O, moja ty anabazo osiadłego wędrowca – pomyślałem nagle z rozczuleniem – moja ty nieśmiertelna pieśni walczącego z wilkami, niech knąbrny duch twój nigdy mnie nie opuszcza, a w godzinie próby ostatniej niech opasze mnie pasem swej złotej wiekistej ciszy i zaprowadzi tam, dokąd nikt nie chce iść sam. O to tylko proszę, moja ty anabazo osiadłego wędrowca!

– Fatalną mamy dziś pogodę – usłyszałem banalną uwagę wypowiedzianą stłumionym przez wiatr głosem Teologa.

Stał przy mnie i patrzył na morze z dziwnym nieokreślonym uśmiechem.

– Pan również lubi samotne spacer – powiedziałem.

– Piękna historia.

– Nie lubię.

– To co pan robi na plaży?

– Co za pytanie! Kiedyś, bardzo dawno temu widziałem film *Ostatni dzień lata*. Akcja działa się na plaży. Poruszył mnie.

– Nie widziałem. Nigdy nie byłem kinomanem.

– A ja namiętym. Wie pan, wielkie kino dwudziestego wieku było dla mnie nie tylko intelektualną przygodą, ale i metafizycznym doświadczeniem.

– Nie zakon? Nie literatura?

Roześmiał się głośno, jakby usłyszał dobry kawał.

– To już pan wie?

– Wszyscy o tym wiedzą.

– Tak, byłem zakonikiem dwadzieścia lat.

– I pewnego dnia doszedł pan do wniosku, że przestaje nim być?

– W bibliotece, pochylony nad kolejną teologiczną kwestią wybitnego teologa, która wydała mi się absolutnie nieważna.

– Bardzo ciekawe. Marcin Luter też w bibliotece doznał olśnienia.

– Bez porównań, proszę. Ojciec reformacji to postać z innego wymiaru.

Gwałtownie odwrócił twarz w moją stronę. Miał ostro ściągnięte rysy. Uzurpator, pomyślałem nie wiem czemu. Cholerny uzurpator.

– Teologowie to barany, proszę pana – powiedział z nietajoną nienawiścią. – Tłumaczyć zamysły Boga w świecie bez Boga to robota bez sensu. Religia musiała wreszcie ugiąć się przed myślą, wiara przed spaczoną filozofią.

– To dobrze czy źle?

– To bardzo źle, wręcz niewiarygodnie źle.

– Ale jednak żyjemy w tym złym świecie całkiem dobrze.

– Złudzenia, złudzenia, drogi panie. Cały ten intelektualny szwindel wyjdzie nam bokiem w najmniej spodziewanym momencie. Jest taki niezwykle obraz włoskiego malarza Signorellego *Kazanie Antychrysta*. Na tym obrazie Antychryst wygląda tak samo jak Chrystus, tylko że słucha tego, co do ucha szepcze mu demon. Ten obraz wisi w katedrze w Orvieto. Był pan we Włoszech w Orvieto?

– Nie. Byłem za to w Licheniu naszym kochanym.

– No to jak pan sobie wytłumaczy buchającą ogniem miłość Chrystusa do ludzi? W Licheniu pan jej nie zobaczy. Mały polski kościółek ustami swoich kardynałów mówi, że ma twarz Chrystusa i twardo stąpa po ziemi. O, tak, twardo i bezwzględnie gromadzi ziemskie dobra, nagromadził ich już tyle, że przygniotył jego wyznawców jak jakaś niebotyczna góra. Niestety, nie jest to czarodziejska góra... O buchającej ogniem miłości Chrystusa do biednych ludzi nie mówi, bo nie potrafi. Czyż nie miał racji mnich Sołowjow głosząc, że zło w człowieku jest nierozzerwalnie związane z jego *ego*? A *ego* polskiego kościółka jest rozdęte do nieprzyzwoitości, wybijające politycznie na skalę niespotykaną w cywilizowanych krajach, triumfujące straszliwym prowincjonalizmem, którego nędma duchowa nie ma sobie równej pomiędzy maluczkimi.

– To dobrze czy źle?

– Bardzo dobrze. Nie minie dekada, a prowincjonalny kościółek wypadnie z boskiej trajektorii i przestanie wreszcie nas męczyć.

Teolog zaczął się śmiać z nieskrywaną, wręcz wściekłą satysfakcją. Nie bardzo rozumiałem w czym rzecz, nie bardzo mi się podobał ten jego prostacki śmiech i odwróciwszy się na pięcie zacząłem iść w stronę mola nie oglądając się więcej na mnicha-odszczepieńca.

JÓZEF ŁOZIŃSKI

Fragment powieści pt. *Ekspertyza*

ANDRZEJ MENCWEL

KULTURA I REWOLUCJA*

„Czy kapelusik już gotów?”

Esej *Kultura i życie* napisał Stanisław Brzozowski w Zakopanem, z początkiem czerwca 1905 roku i posłał do „Głosu”, który utwór opublikował w dwóch numerach z tego miesiąca. Poczta między zaborami, jak widać, krążyła sprawnie, a cenzura rosyjska zelżała, skoro Marksa i marksistów nazywano po imieniu. Warszawskie koła dziennikarskie, teatralne i prawnicze już od lutego stały do Petersburga protesty przeciw cenzurze, strajk pierwszomajowy był właściwie powszechny, a masowe manifestacje robotnicze krwawo tłumiło wojsko. Stan wojenny w Królestwie Polskim formalnie jeszcze nie obowiązywał (zaprowadzono go w listopadzie), ale realnie trwał, ze zmiennym naciskiem, od pamiętnych lat powstańczych, czyli prawie pół wieku. W samej stolicy stacjonowała trzydziestotysięczna armia okupacyjna, której liczebność w latach rewolucji jeszcze podniesiono. 24 maja wybuchły w mieście osobliwe zamieszki, robotnicy mianowicie starli się z sutenerami, a następnie zaatakowali burdele, które liczono na setki, od żołnierskich do kupieckich. Rozruchy trwały trzy dni i dopiero w nocy z 26 na 27 maja uśmierzyło je wojsko. Prostytucja była plagą prawie biblijną, Antoni Słonimski wspominał, że „na wszystkich rogach stały całe dywizje chustkowych prostytutek”, zaś Izaak Bashevis Singer przedstawiał Warszawę jako światowy zasobnik handlu żywym towarem.¹ „Rozprawa proletariatu warszawskiego z prostytutką” została przez autora *Kultury i życia* uznana za „olbrzymią, praktyczną lekcję historiozofii”. Do tej zaskakującej opinii powrócimy, gdyż jest ona kluczowa dla rozumienia rewolucji przez Brzozowskiego, przeto dla całej jego postawy krytycznej. Opinia ta opierała się na tym, co pisał „Głos”, a pisał inaczej niż pozostałe gazety, różnił się też od „Ogniwa”. Brzozowski ufał szczególnie ocenom Janusza Korczaka, jego twórczość czytał tak: „Tu zabiera już głos we własnym imieniu on, upośledzony, kaleczony przez nowoczesne życie – proletariusz i bierze sam własną swą sprawę w ręce”. (*Janusz Korczak*, kwiecień 1906). Słyszę w tym parafrazę słynnego zdania z *Manifestu komunistycznego*.

* Publikujemy dwa fragmenty książki Andrzeja Mencwela pt. *Stanisław Brzozowski. Postawa krytyczna. Wiek XX*, która ukaże wkrótce nakładem Wydawnictwa Krytyki Politycznej.

Kultura i życie jest najważniejszym utworem, napisanym przez Brzozowskiego w tym szczytowym roku rewolucji. Wyjazd z zaboru rosyjskiego oddalał go od uczestnictwa w wydarzeniach oraz ich bezpośredniej obserwacji, a choć krytyk nie stronił on od publicystycznych reakcji, to zyskał lepszą sposobność do refleksji teoretycznej. Esejowi towarzyszą szkice krytyczne o Leopoldzie Staffie, Stanisławie Wyspiańskim i Cyprianie Norwidzie, które wydają się przenosić autora *Gloss* z estrady politycznych potyczek w sferę refleksyjnej kulturologii, która była jego macierzą. *Kultura i życie* dała następnie tytuł i wstęp pierwszemu tomowi pism krytycznych Stanisława Brzozowskiego, wydane mu w kwietniu roku 1907 we Lwowie, nakładem Bernarda Połonieckiego, z rekomendacji Ostapa Ortwina. Gdybym przygotował wspomniany już tutaj, a pozostający ciągle płonnym życzeniem, reprezentatywny, „światowy” wybór Brzozowskiego, eseje *Kultura i życie* znalazłby się zapewne na jego czele. I to jest racja wystarczająca, aby się nim tutaj zająć, racji koniecznej też nie pomijam. Wskazuje ją pytanie o zasadność wcześniejszych ataków na Świętochowskiego, Krzywickiego i Mahrburga, „postępowców”, „społeczników” oraz „inteligencję polską”. W krytyce Brzozowskiego kwestie uniwersalne spletają się z lokalnymi i personalnymi, co nie znaczy, że autor zawsze potrafi je uzgodnić. Dlatego będziemy go sprawdzać.

Kulturę i życie już przywoływałem na samym wstępie tej książki, czyli w *Introdukcji*, jako tekst ważny nie tylko dla autora, ale także dla idei postępu w jej wersji socjalistycznej. Przypominam zatem, że wszyscy nowocześni postępowcy i to niezależnie od zachodzących między nimi różnic, byli bowiem pośród nich rewolucjoniści i ewolucjoniści, materialści i idealści, naturaliści i spirytualiści mieli problem z oceną przeszłości i wartością jej dorobku dla teraźniejszości, a zwłaszcza dla świetlanej przyszłości. Postęp najprościej miał polegać na tym, aby od złej teraźniejszości przejść lub przeskoczyć do lepszej przyszłości, a teraźniejsze zło w wyobrażeniach progresistów, było najczęściej dziedzictwem przeszłości, jej „tyranią”, „upiorami”, „kajdanami”. „Choć stare łotry, nocy dzieci, / Nawiązać chcą starganą nić, / Co zło to w gruzy się rozleci, / Co dobre wiecznie będzie żyć!” – śpiewano w *Czerwonym sztandarze* Bolesława Czerwieńskiego napisanym już w roku 1881, który podczas rewolucji stał się hymnem

robotniczym. Socjaliści tę moralistykę historiozoficzną, w której dobro przeciwstawiano złu, wypełnili konkretną treścią ludzką, określając klasy społeczne oraz ich opartą na wyzysku relację nazwaną walką klas. Pierwotnie, w porządku koncepcji, walka ta odnosiła się do nowoczesnego społeczeństwa przemysłowego i wyzysku robotników przez kapitalistów, następnie jednak została rozszerzona na całe właściwie dzieje ludzkości – z wyjątkiem legendowej „wspólnoty pierwotnej”, która jednak należała do „prehistorii”. Pisano więc, a rozpoczęli to już Karol Marks i Fryderyk Engels, o walce klasowej niewolników z posiadaczami niewolników, plebejuszy z patrycjuszami, chłopów z feudałami, a nawet czeladników z majstrami cechowymi. Możemy ominąć tutaj tę wątpliwą ekstrapolację oraz wynikające z niej spory o społeczną istotę buntu Spartakusa w republice rzymskiej albo powstań kozackich w Rzeczypospolitej szlacheckiej, gdyż zajmuje nas tytułowa problematyka eseju Stanisława Brzozowskiego. Choć warto przypomnieć, co w *Płomieniach* mówił Michałowi Kaniowskiemu były polski powstaniec:

„– Kto was tam wie, kto was tam wie! Fantazja w was pańska. Ale jeżeli ty o śmierzącym, czarnym człowieku zapomnisz, o tym, co jak bydle mrze, to niech ci będzie wstyd, żeś ty mnie starego na próżno ucieszył. Nie wierzyłem ja wam nigdy – polska szlachta. Duszę wyście mi całkiem wyjedli i zżarli. W 63 właśnie roku”.

Otóż taka społeczna problematyzacja historii rodziła nieuchronnie pytania o to, czy wartości kultury są tylko sytuacyjne, przeto instrumentalne, „ideologicznie ograniczone”, jak lubili pisywać marksiści różnych obediencji, czy też ponad sytuację historyczne się wznoszą i osiągają uniwersalność. „Jeżeli upadły i rozwiąły się kultura Odrodzenia, kultura katolicyzmu i rycerstwa hiszpańskiego, kultura dworów francuska XVII wieku, kultura szlachecka polska, to dlatego, że wszystkie opierały się na złudzeniu, że reprezentują one całkowitą, wyzwoloną ludzkość; wszystkie opierały się na wyzwoleniu cząstkowym, wyzwoleniu jednych opartym na niewolnictwie i wyzysku innych”. Tak pisał autor *Kultury i życia*, dokonując w tym fragmencie swego wywodu społecznej redukcji wielkich kultur przeszłości, choć zdawał sobie sprawę, że jest ona jednostronna i nie wyczerpuje zagadnienia ich uniwersalnej wartości. Podkreślał, że jako społecznie ograniczonych nie wskazywał krytyk arcydzieł Rafaela, Cervantesa, Racine’a czy Kochanowskiego, lecz wzory kultury, jej typy ideogenetyczne, jakie stanowiła kultura dworów francuska lub kultura szlachecka polska. Chodziło więc w tym wywodzie o kulturę w pojęciu antropologicznym, a nie artystycznym. W innym ponadto fragmencie, w którym dokonywał Brzozowski rozróżnienia *apologetyzmu ekonomicznych interesów i reprezentatywności ekonomicznej struktury*, wprowadzał znamienne zastrzeżenie: „...wreszcie niewątpliwą jest rzeczą, że i tak pojęte nawet uwarunkowanie ekonomiczne nie da się rozciągnąć na całego człowieka, pozostaje wreszcie pewne irreductible quid, często (Szekspir, Mickiewicz, Słowacki itp.) bardzo znaczne i właśnie rozstrzygające o trwałym znaczeniu danych tworców kultury”. Rozumiał nihilistyczny radykalizm Nieczajewa, którego sugestywnie przedstawił miął w *Płomieniach* („Purpurową krwią spisane są książki waszych uczonych, wasze prawa pisane są łzami głodnych dzieci”), ale się

z nim bynajmniej nie identyfikował. Przez *apologetyzm ekonomicznych interesów* należy rozumieć ideologiczność zjawisk kultury, na przykład, jawną reakcyjność *Wieczorów petersburskich* Josepha de Maistre’a, zaś przez *reprezentatywność ekonomicznej struktury* ich oczywisty społeczny korelat, jakim była arystokracja feudalna. Gdyby przyszło do jeszcze bliższych konkretyzacji tych kategorii, można by ich dokonać nawet wewnątrz jednej twórczości: *reprezentatywna dla kultury szlacheckiej polskiej* byłaby *Trylogia* Henryka Sienkiewicza, *apologetyczna* natomiast *Rodzina Połanieckich*. Antyrewolucyjne i zdeklarowanie endeckiej *Wiry* (1910) tegoż autora, których Brzozowski nie zdążył już przeczytać, należałyby zapewne, w jego klasyfikacji, do publicystyki politycznej, gatunkowo sytuacyjnej, przeto okazjonalnej.² Co właściwie było prawdziwe.

Tworząc swoją postawę krytyczną Stanisław Brzozowski intensywnie pracował na trzech polach naraz, równoległe i przemiennie. Jako publicysta polityczny, którym zaczynał być latem 1904, a kończył wiosną 1908 roku, z największym natężeniem w szczytowych latach rewolucji, odsłaniał bezwzględnie interesowny *apologetyzm* swoich adwersarzy, których namnożył zbyt wielu. Jako społeczny krytyk kultury badał strukturalną *reprezentatywność* zjawisk dawnych i nowych, zwłaszcza *typów ideogenetycznych*, rozmyślnie przygotowując kategorie ich ujmowania. W dziedzinie artystycznej pasjonował

go autentycznie owo „*irreductible quid...* rozstrzygające o trwałym znaczeniu danych tworców kultury”. W wydanym niedawno tomie jego *Pism politycznych*, który właściwie powinien nosić tytuł *Pisma krytyczno-polityczne*,³ to przemienne współdziałanie krytyki politycznej i krytyki kultury widać naocznie, gdyż bezpośrednia polemika z antyrewolucyjnym wystąpieniem Świętochowskiego (*Ma i winien*) pobudza refleksję teoretyczną *Kultury i życia*, a starcia z deterministycznym marksizmem esdeków (*Opętane zegary*, *Doktrynerzy bezwładu*) owocują oryginalnym w całym ówczesnym kontekście intelektualnym programem *Materializm dziejowy jako filozofia kultury* (luty 1907). Dodać można jeszcze, gdy myśli się o literaturze, kolejne, wstępne zapowiedzi *Legendy Młodej Polski*, zanim została ona jako *opus magnum* pomyślana: *Odbywa się osobliwy sąd* (marzec 1905), *Same płaskie koncepty* (czerwiec 1905), *Koniec legendy* (styczeń 1906), *Poszukiwaczom idei narodowej* (lipiec 1906). „Toteż powiadam, przyjacielu Avanti, że Młoda Polska w jedną noc ołysiała” – sarkauł Brzozowski, przeinaczając złośliwy koncept Grzegorza Glassa: „Młoda Polska w jedną noc osiwiła”.⁴

Narastająca rewolucja kulminuje jesienią 1905 roku dziejowym orkanem. Jak na tę zapóźnioną, półfeudalną stronę Europy przybiera formy niebywale nowoczesne. W Łodzi zapowiada się proletariacki bunt zbrojny, petersburska rada robotnicza ogłasza ośmiogodzinny dzień pracy, moskiewscy robotnicy budują barykady i chcą obalić carat. Wcześniej powszechny strajk kolejarzy ogarnia całe państwo i obezwładnia imperialną władzę, car ogłasza wymuszony manifest konstytucyjny, co ożywia wszystkie siły społeczne i środowiska polityczne, podczas listopadowej „dekady wolności” pisma zrzucają cenzurę, a „Głos” z cytowaną już dewizą, publikuje na czołówkach przekład *Manifestu komuni-*

stycznego Marksa i Engelsa.⁵ Brzozowski pisze wtedy jeden ze swoich najostrzejszych pamfletów politycznych (*Bezwiadna demagogia i rozliryzowana reakcja*, listopad 1905). W tych samych jednak jesiennych (październik-grudzień) miesiącach, pracuje nad niezwykłym esejem *Cyprian Norwid. Próba*. Znajduje w nim nareszcie dobre słowo dla zastugi Miriama, gdyż bez jego edycji w tak ważnym dla siebie czasie zapewne z Norwidem by się nie poznał. A spotyka w nim wreszcie pisarza polskiego, nieomal sobie współczesnego, w którego dziele poraża go właściwie owo *irreductible quid rozstrzygające o trwałym znaczeniu*. Porażenie to jest tak dojmujące, że przenikliwy zwykłe i nierzadko wielosłowny krytyk, z nagłą jakby zaniemówił i trwożnie dobywa z siebie każde słowo:

„... by dla wieków budować, trzeba dla dnia nie robić ustępstw, o ile jest dniem, a nie wiecznością. Kto chce w wiekach być, musi czuć się i żyć wieków synem. Komu wśród dnia dobrze, temu jednodzienne życie”.

Wobec takiej *wieczności* pisze się istotnie program *Kultury i życia*. Jest on zrazu jaśniejszy negatywnie, gdyż stanowi konsekwentną, choć skrótową (rozwiniecia nastąpią później) kontynuację krytyki *monistycznego pojmowania dziejów*. Najpierw odrzuca więc Brzozowski ekonomistyczny determinizm zastanego marksizmu wraz z jego „nauką o bazie i nadbudowie”, i przeciwstawia mu swoje rozumienie idei *dumnego autarkoumen*, które nazywa teraz *wyzwalającą reintegracją kulturalną*. „Święty Proletariusz”, żeby użyć wzniosłego epitetu, który w tym samym czasie i w podobnym uniesieniu, wymyśla Stefan Żeromski (*Sen o szpadzie*, 1905) jawi się krytykowi nie jako ten, który walczy o swoje interesy w porządku historii ekonomicznie zdeteterminowanej, lecz jako ten, który zapowiada przemianę całej tej historii, wyzwolenie jej od panującego dotąd „ekonomizmu:...właściwe dzieje rozpoczną się wtedy, gdy po zawładnięciu ekonomizmem i reintegracji rozpocznie się właściwa, swobodna, samowładna twórczość ludzka”. W tej wizji nie chodzi o sprawiedliwy podział „nadwartości grabionej przez burżuazję”, jak pisali ówczesni socjaldemokraci, ani o przyszłość przedstawianą przez progresistów „jako produkcja i używanie” (czyli konsumpcja), lecz o spełnione *autarkoumen* potężnej i powszechnej twórczości, nowe, prawdziwe Odrodzenie, w którym doprawdy „będziemy jako Bogowie”: „Człowiek zacznie dopiero naprawdę tworzyć i rozwijać swe siły: namiętności spotężnią. Powstanie szczerłość niedostępna dla nas. Zniknie niwelująca moc troski o byt. Siła bezinteresownych entuzjasmów przekroczy miarę nam znaną. Ludzie będą przeżywali przekraczające wszelkie wyobrażenia nasze swą głębią tragedie czysto metafizyczne. Wstrząsać nimi będą groźne konflikty i antagonizmy ideowe. Wszystko to będzie wspaniałe, potężne i tragiczne. Te tajemnice o których dziś marzy się tylko mistykom, staną się treścią ludzkiego życia”.

Mimo bezpośrednich zastrzeżeń („nie kreślę tu utopii ani obrazu przyszłości”) była to wizja niewątpliwie utopijna i to, w obu przyjętych współcześnie znaczeniach: przekraczała skokowo zastaną rzeczywistość i dlatego nie dawała się urzeczywistnić. Ale nie zrozumie się tytułowego eseju wraz z całym tomem towarzyszącym mu krytyk artystycznych (np. *Leopold Staff*, marzec-kwiecień 1905) i filozoficznych (np.

Drogi i zadania nowoczesnej filozofii, kwiecień 1906), jeśli nie przyjmie się, że do takiej wizji przyszłości, Brzozowski odnosił wszystkie swoje spostrzeżenia, analizy, interpretacje i oceny. Każde zjawisko *jednodziennego życia*, którym mogło być zdarzenie, utwór, pogląd lub myśl, prześwieślał *wiecznością*, gdyż sam czuł się *wieków synem*. Była to utopia kultury, ponieważ chodziło w niej o całą rzeczywistość kulturową przez ludzi stwarzana. Była to utopia antropologiczna, ponieważ istotą tej rzeczywistości kulturowej był człowiek w swej psychicznej i fizycznej (albo duchowej i cielesnej) całości, a nie jego poszczególne interesy czy wytwory. Była to wreszcie utopia artystyczna, ponieważ wyróżnione miejsce zajmowała w niej twórczość artystyczna, szczególnie sztuka słowa, zwłaszcza poezja, uznana później, w „Pamiętniku”, za „twórczą autodefinicję człowieka”. Nowoczesna rewolucja, dowodzi w swoim filozoficznym studium Hanna Arendt, nie jest myślana i przeprowadzana jako historyczna zmiana po prostu, lecz jako Wielkie Przebudzenie, początek nowej opowieści, prawdziwych dziejów ludzkich, a przy okazji zauważa, „że wszystkie rewolucje nowożytne są u swych źródeł rdzennie chrześcijańskie i to nawet wówczas gdy nie uznają istnienia Boga”.⁶ Rewolucyjny Stanisław Brzozowski wypowiada się głównie w języku krytyki społecznej, którego od nikogo nie przejmuje, lecz nieustannie urabia dla swoich celów. Jego utopijne wizje dźwięczą jednak tonacją apokaliptyczną, jakby przepowiadał wypełnienie się czasu, nadejście Tysiącletniego Królestwa, ustanowienie Ładu Wiecznego. Istnienia Boga nie potwierdzał, ale mu też nie przeczył.

Najważniejsza dla niego była samorealizacja człowieka, osiągnięcie całkowitej wolności, a wraz z nią pełnej mocy twórczej. Przechodząc z przeddziejów w dzieje, co znaczy – z historii żywiołowej i przypadkowej w historię świadomą i tworzoną, z kultur częściowych, więc ograniczonych, do kultury całościowej, zatem pełnej, możemy dopiero odpowiednio i sprawiedliwie wartościować dorobek i oceniać zjawiska współczesności. Ten krytyczny historyk kultury, jakim był przyszły autor *Głosew wśród nocy*, przejęty wielkością dzieł przeszłości, czcił arcydzieła oraz ich twórców dociekliwymi czytaniem i celnymi formułami. „Homerycki świat jest to świat którego ewangelia złała się z plastycznym istnieniem”. (...) „Niezręczne, zawikłane okresy Vico nagle zdradzają w sobie dziwny majestat; spoza tego lub owego słowa wyrzy ku nam cień liktorów”. (...) „Dostojewski przyjmuje tu moralną odpowiedzialność za całe straszliwe dzieje Rosji, przyjmuje rzeczywistość Rosję jako konkretny dziejowy kształt własnej duszy. To jestem ja i to jest moje – ten cały świat krwi i zbrodni; z tego my wydobędziem przyszłość”. Podobnymi sentencjami można wypełniać całe strony, a najlepiej byłoby przepisać eseje o klasycyzmie i romantyzmie, a także o Norwidzie, Wyspiańskim, Hercenie, Lambie, Conradzie. W *Kulturze i życiu* wyklada jednak Brzozowski przekonywająco pogląd, że wszystkie kultury przeszłości były społecznie ograniczone i dlatego musiały przeminąć. Były takie, ponieważ wyzwolenie mniejszości opierało się w nich na zniewoleniu większości, bezinteresowność twórczych elit na interesownym wyzysku mas. Zachwycająca autoteliczność dawnych kultur jest tylko łudzącą przestoną poniżającą instrumentalizacji

ich wytwórców. „Wyptywa stąd dorywczność, efemeryczność i powierzchnowość tego rodzaju kultur”.

Orzeczenie ciekawe, wyrażenia przesadne. Niewątpliwie *kultura dworska francuska* czy *kultura szlachecka polska* były społecznie ograniczone i przestały być z czasem kulturami panującymi. Mając na myśli tę utratę dominacji można napisać, że *upadły*, czy jednak naprawdę się *rozwiąły*? I co by to realnie miało znaczyć: że poszły z dymem i wypaliły się doszczętnie, czy też frunęły w powietrze, którym ciągle oddychamy? W społecznym sensie były to kultury *powierzchnowe*, ale na pewno nie były ani *dorywcze*, ani *efemeryczne*. Czego żywo doświadczał autor *dorywczego* apelu publicystycznego *Likwidacja szlachetczyzny*, przyszły twórca *Legendy Młodej Polski*, w której zmagał się z ciągle żywym jego własnym zdaniem typem ideogenetycznym, który nazwał *Polską dziedzinniałą*. Nobert Elias, w swoim wielkim dziele *O procesie cywilizacji* dowodził, że „przemiana wojowników w dworzan” oraz związane z nią „upowszechnienie się przymusu wewnętrznego”, jakie dokonało się w dworskiej kulturze absolutyzmu francuskiego, legło u podstaw cywilizacji nowoczesnej, rozumianej przede wszystkim jako przemiana stosunków międzyludzkich.⁷ Brzozowski w lot pojąłby myśl Eliasza, gdyby dożył jej krystalizacji, skoro dwie dekady przed publikacją tego dzieła napisał *Z powodu pamiętników Saint-Simona*: „Prawo pięści zostało stłumione, ale w pierwotnej tylko swojej postaci - istota jego została. Rozstrzyga ono i decyduje wszystko jako prawo świętoci i dowcipu”. Przejęty naczynym pojawieniem się pracującego podmiotu kultury Brzozowski odsłaniał zakrytą dotąd ciemną stronę ludzkiej historii i solidaryzował się z jej ofiarami, podobnie jak Tadeusz Borowski w *U nas w Auschwitzu* („to myśmy budowali piramidy, rwali marmur na świątynie i kamienie na drogi imperialne”), czy w myślnych z „dna oświęcimskiego zagłębia” *Próbach świadectwa* Jan Strzelecki („przeżycie braterstwa uciśnionych, uczestnictwo w losie historycznego proletariatu”). Brzozowski w wieszczym uniesieniu i apokaliptycznej tonacji nie chciał ważyć słów i nie mógł ich dobierać. Czas naglił – nie tylko czas historycznej burzy, także czas jego osobistego losu.

Kultura i życie zaczyna się od diagnozy współczesnej, która w swej ogólnej formule ma uzasadniać jego konkretne werdykty krytyczne. „Dwa rysy uderzają mnie szczególnie we współczesnej umysłowości polskiej” – pisze autor i nazywa je „lekceważeniem ideowości z jednej strony i rezygnacją z rzeczywistości z drugiej”. I dialektycznie uznaje te rysy za wzajemnie dopełniające się, a tylko pozornie przeciwstawne. Wydaje się to proste i jasne – *rezygnacja z rzeczywistości*, to odwrócenie się od niej, tradycjonalistyczna ucieczka do idealizowanej przeszłości lub modernistyczna izolacja estetyczna; *lekceważenie ideowości* to jej pozytywistyczna redukcja poznawcza, brak twórczego przeświecenia: *przyszłości się nie poznaje, lecz się ją tworzy*. Przetwarzam tę gnomę, bo choć myśl krytyczną Brzozowskiego porusza ciągle opozycja poznania i twórczości, konstytutywna w początkowej *Filozofii czynu* i w ostatecznym *Pamiętniku*, to przecież muszą powiedzieć tak: twórczość wyzbyta poznania zamienia rzeczywistość w fantazmaty. Gdyby chodziło o same sztuki piękne można by się nie spierać – fantazmaty cieszą się współcześnie takim powodzeniem, jakiego

żaden wizjoner sprzed stulecia nie byłby w stanie przewidzieć. Chodziło jednak o rzeczywistość kulturową, a więc o całą rzeczywistość ludzką, o jej modele, wzory czy typy. Dlatego aby nie ulecieć w dialektyczną żonglerkę pojęciami, nie rezygnować też z rzeczywistości i nie lekceważyć ideowości, trzeba nam wrócić na ulice Warszawy tych majowych dni 1905 roku, które nam dały „olbrzymią, praktyczną lekcję historiozofii”.

Janusz Korczak już przed stuleciem zdawał się wiedzieć to wszystko, co dopiero teraz przebija się do naszej świadomości kulturalnej i znajduje wyraz w psychologii, prawie i kryminologii. Że mianowicie pedofilia stanowi zboczenie przestępcze, zarazem przebiegle skrywane i względnie rozpowszechnione. Nie należy sądzić, że w naszych dopiero czasach nastąpił jej przyptyk, najpewniej jest równie stara jak prostytutka, tylko presja na jej ujawnianie znacznie się wzmogła, choć opór trwa. Korczak w szkicu *Bezpieczeństwo dziecka* (1933) obrazowo i refleksyjnie przedstawił konwencjonalnie obyczajowe (obłuda rodziców) i delikatnie psychiczne (wrażliwość dziecka) trudności związane z ujawnianiem takich przestępstw, które dopiero co w naszych procedurach śledczych zostały uwzględnione.⁸ Powoływał się w tym szkicu na swoje doświadczenia biegłego sądowego w państwie polskim, ale jego wiedza była starsza i z całą pewnością sięgała najwcześniejszych lat literackich wędrówek, które zaprowadziły go do „podziemia” warszawskich dzielnic nędzy, z których wyrosły jego pierwsze powieści, zarówno *Dzieci ulicy* (1901), jak i *Dziecko salonu* (1904). Zanim jeszcze doszło do majowych warszawskich rozruchów robotniczych *Przeciw rozpuście* (taki był tytuł jego artykułu), w jednym z wyraźnie emocjonalnych felietonów napisał tak:

„A może nie wiesz, że można tanio – tanio kupić niewolnicę?

A może nie wiesz, że można za psi grosz złopać młodość, siły i myśl, i cześć, i wstyd?

A może nie wiesz, że zbrodnia jest i nie jest zbrodnią, bo wszystko nią być może i może nią nie być?

A może nie wiesz, że myśl zaplątała się w pajęczynę jak owad bezbronny, w którego wpił się pajęczyny pan?”⁹ (*Nocą czarną...*, „Głos”, 1905, 11 luty).

Te moralizujące pytania mogły się wydawać efektownym chwytem retorycznym, gdyby nie ich dopowiedzenie w artykule o rozruchach majowych:

„Przed czterema laty, w domu nr 46 przy ulicy Kruczej na parterze od frontu, na prawo od bramy, znajdował się magazyn kapeluszy damskich. Sztyld był tylko osłoną. W owym magazynie dziesięcio-, dwunastoletnie dziewczęta używane były do zbrodniczych praktyk. (...)

Był moment w którym chciałem raz jeszcze tam się udać, zastrzelić handlarkę dzieci. Był to czas, kiedy wierzyłem gorąco w wartość „protestów moralnych”.¹⁰ (*Przeciw rozpuście*, „Głos”, 1905, 3 czerwiec).

O tym przybytku przestępczego wyuzdania Korczak dowiedział się pośrednio, interweniował zaś bezpośrednio o tyle skutecznie, że dziewczynki ukryto gdzie indziej, a w salonie modystki na Kruczej nie działało już zakłęcie otwierające skarboczek ohydy. Można ułożyć na jednej szali całą piramidę arcydzieł dziewiętnastowiecznej literatury europejskiej demaskujących obłudę moralności mieszczańskiej, od Dickensa do Ibsena, od

Balzaka do Maupassanta, od Flauberta do Zapolskiej, a na drugiej położyć to jedno zdanko, a jego wymowa nie osłabnie ani na jotę: „Czy kapelusik już gotów?”

Pośród wszystkich ówczesnych pisarzy polskich oraz europejskich nikt, tak jak Korczak, nie był uwrażliwiony emocjonalnie i przygotowany intelektualnie do refleksyjnego przyjęcia owych „rozruchów warszawskich przeciw nierządowi”. Brzozowski z kolei, który był wówczas w szczególnej synergii, czyli współdziałaniu woli i umysłu, z Korczakiem, jego refleksję przyjmował i filozoficznie uogólniał, nie tylko w *Kulturze i życiu*, ale także kilka lat później, specjalną notą kończącą rozdział poświęcony *Polsce dziedziczącej* w swoim dziele głównym: „Sądzę, że rodzina robotnicza, nie zaś rodzina przypadkowa osieroconej i bezsilnej jednostki, nade wszystko zaś nie histeria płciowa, uniezależniająca życie erotyczne od rodziny, stać się może podstawą przyszłości. Uważam rodzinę monogamiczną za jedną z najważniejszych zdobyczy kulturalnych (...) Widziałem w ruchu proletariatu warszawskiego i łódzkiego przeciw prostytucji jeden z najtrafniejszych i najszcześliwszych wyrazów instynktu klasowego”. Znane mi opracowania nie wspominają o takich zdarzeniach w Łodzi, więc autor może je sobie domyślał.

Kwestia nie była krystalicznie jasna – robotnicy uciekli się do przemocy, użyto pałek, noży i pistoletów, a trzeciego dnia miejskie męty dokonywały zwykłych rabunków. Rozbito sto pięćdziesiąt burdeli, obito kilkudziesięciu sutenerów, ofiary obliczano na ponad pięćdziesiąt osób, w tym także kilka śmiertelnych.¹¹ „Ogniwo”, które prostytucją zajmowało się jako „palącą kwestią społeczną” przestrzegało – samosąd nie jest lepszy niż nierząd, a sprawiedliwości nie osiąga się bezprawiem. „Głos” natomiast rozprawiał się z opiniami tych, którzy straszili „gwałtami” i „rabunkami”, a Korczak i Brzozowski uważali, że w robotniczym odruchu działa prawo moralne. Nie użyli też słowa „pogrom” rozpowszechnianego przez prasę pravicową, utrwalonego w piśmiennictwie żydowskim przez zbitkę *Alphonsenpogrom*.¹² Kwestia ponadto była nadzwyczaj delikatna – kontekst polityczny, społeczny, etniczny i religijny oznaczał pogromy niewątpliwe, z których niedawny w Kiszyniowie (19–20 kwietnia 1903 roku) pochłonął liczne ofiary w ludziach i dobytku, a dzięki fotografiom prasowym wstrząsnął opinią światową. W pierwszej połowie roku 1905 wydawało się, że będzie lepiej, chociaż pogrom w Żytomierzu (11 maja) był rozległy, według niektórych relacji wystąpiły w nim otwarcie protofaszystowskie bojówki Czarnej Sotni. „Czarny tydzień” tego roku miał nadejść dopiero w październiku, kiedy to po ogłoszeniu manifestu konstytucyjnego, w miastach całej tak zwanej „strefy osiedlenia” Żydów, zbliżonej do granic I Rzeczypospolitej doszło do krwawej fali pogromowej, a w Odessie do prawdziwej masakry, której liczby ofiar, przekraczającej tysiąc, nigdy ostatecznie nie ustalono. Żeby więc uznać w „rozprawie proletariatu warszawskiego z prostytucją” nie pogrom, lecz „olbrzymią praktyczną lekcję historiozofii” trzeba przywołać pryncypia postawy krytycznej.

Idea autarkoumen czyli suwerennego, samowładnego człowieczeństwa, wolnego od wszelkich pozaludzkich, przyrodzonych i nadprzyrodzonych uzależnień pociągała za sobą pewien warunek ludzki, bez spełnienia którego pozostawała tylko podniosłym filo-

zoficznym dezyderatem. Nie wystarczyło, jak czynił to Brzozowski w dyskusji z Kelles–Krauzem epistemologicznie *ustanawiać historię*, trzeba było wskazać konkretny podmiot tego ustanowienia – ludzkiego sprawcę historii. Jeśli żywiołowe i ślepe dotąd dzieje, oparte na wyzysku poniżonych, miały się stać, przez zniesienie wyzysku i wywyższenie poniżonych historią świadomie tworzoną, trzeba było tych poniżonych ująć społecznie, a nie tylko pojęciowo. Twórcy marksizmu zrobili ważny krok pierwszy – nazwali robotników-proletariuszy, organizowali ich w klasę społeczną, wyzwolenie tej klasy utożsamili z wyzwoleniem całej ludzkości. Niezależnie od sposobu, w jaki rzeczywisty wówczas proletariat przemysłowy został w ich myśli przerobiony na historiozoficzny automat, a przez ich następców w ideologiczny dogmat maskujący polityczne manipulacje i państwowy terror, ten pierwszy krok pozostawał niecofnięty. Nie można już było doświadczać świata bez ludzi społecznie konkretnych, a jeśli było się pisarzem etycznie wyczulonym, jak Żeromski, Brzozowski, Korczak czy Strug – bez osób o losach i obliczach szczególnych.

Nie sądzę, żeby najważniejsza dla nich była znajomość litery marksizmu, choć Brzozowski akurat poświęcił jej wiele uwagi. Natomiast lata 1904–1905 takie szczególne oblicza i losy ludzkie wyprowadziły masowo na ulice i postawiły w pełnym świetle historycznego dnia. Żeromski swojego proletariusza odnalazł w *Słowie o bandosie*, którym był każdy „obdarty parias”; Strug w „człowieku spod ziemi, człowieku bez imienia”, Korczak w „rudziaku” – bezimiennym sierocie ulicznej nędzy. Brzozowskiemu proletariat cisnął się wtedy pod pióro, ale przed wyjazdem z Warszawy prawie go nie widział, a w Zakopanem, Krakowie i Lwowie przemawiał głównie do inteligencji, nie do robotników. Jedyńm konkretem ludzkim, jaki wtedy mógł go dotknąć do żywego, był ten, który przedstawił, czytany przezeń gorliwie Janusz Korczak: „Czy kapelusik już gotów?” To dlatego nie strajk powszechny kolejarzy, który zatrzymał całe imperium, od Władywostoku do Kalisza, lecz rozprawę garbarzy, rzeźników i metalowców z sutenerami w zachodnich dzielnicach Warszawy, uznał za *olbrzymią praktyczną lekcję historiozofii*. W jego wyobraźni Marks spotykał się z Dostojewskim, a *Manifest komunistyczny ze Spowiedzią Stawrogina*.

Jaka rewolucja, czyja rewolucja?

„Fakt każdy, gdy zbliżamy się do niego, rozrasta się, komplikuje, rozkłada na niezliczone mnóstwo innych faktów; z każdym z tych niezliczonych dzieje się następnie to samo i tak bez końca. Wszystko zaczyna wibrować i drgać” – urywam przytoczenie na tej obrazowej frazie, ponieważ cytować mógłbym właściwie bez końca. *Epigenetyczną teorię historii*, napisał Brzozowski w kwietniu 1907 roku, pisał cztery dni, co wydaje się niewyobrażalne, a zapewne było realne w bezpośrednim sąsiedztwie takich podstawowych dla jego *filozofii dojrzałości dziejowej* rozpraw jak *Materializm dziejowy jako filozofia kultury* (luty 1907), *Powstawanie prawa* (marzec 1907), *Przyroda i poznanie* (czerwiec 1907).¹³ Tytułowy przymiotnik przywołanego eseju zaczerpnął Brzozowski z nauk przyrodniczych, epigenetyka bowiem była popularną wówczas teorią biologiczną, konkurencyjną wobec preformizmu. Preformiści zakładali, że

w zarodkach istnieje już cały organizm, który wraz ze wszystkimi swymi członkami rozwija się podczas wzrostu; epigenetycy z kolei przyjmowali, że rozwój zarodka polega na postępującym różnicowaniu się jego komórek, dających początek wyspecjalizowanym organom.¹⁴ Preformizm był niewątpliwie deterministyczny i można widzieć w nim wzór takiego materialistycznego determinizmu, jaki Brzozowski zawsze odrzucał. Epigenetyzm zapewne uznał on za pożyteczny porównawczo, ponieważ główny problem tej fundamentalnej dla teorii poznania historycznego rozprawy można zapisać tak: jak można obronić i uzasadnić nie tyle „obiektywność”, co uniwersalność poznania historycznego, mając jasną świadomość nieuniknionego, osobistego, kulturowego, społecznego, narodowego różnicowania się wszelkiego poznania historycznego? Jeśli wszystko przy bliższym poznaniu „wibruje i drga”, zaś „historia (...) jaka może jedynie stanowić treść świadomości i myśli, jest wytworem sztucznym i celowym”, to czy możliwy jest w ogóle taki „typ stosunku poznawczego do człowieka i jego działalności”, jaki mógłby zostać „uznany za ogólnie wartościowy i stanowiący prawdziwą podstawę jedności poznawczej historii”?

Pytania, które Brzozowski zadaje w tej i sąsiednich rozprawach oraz odpowiedzi jakich udziela, powinny uprzytomnić czytelnikowi, że tak zwany narratywizm został naprawdę krytycznie przemyślany na przełomie tamtych wieków, czyli XIX i XX. Uwiódł on ostatnio rozczarowanych zbyt późno naukowym pozytywizmem i doktrynalnym marksizmem teoretyków piarstwa historycznego, ale żaden z nich przy całym „postmodernistycznym” relatywizmie nie odważyłby się napisać tego, co Brzozowski w roku 1910: „Być może z biegiem czasu uznana zostanie »filozofia«, »synteza naukowa« za rodzaj twórczości literackiej, w którym nasz czas stworzył rzeczy najciekawsze i najcharakterystyczniejsze”. Tym bardziej, że orzeczenie to dotyczyło nie tylko Hegla, Fouriera czy Taine’a, więc przedstawiciele nauk humanistycznych, ale także Darwina, który był kodyfikatorem nauk przyrodniczych, zatem „ścisłych” albo „twardych”, jak się dziś mówi. Autor *Ideji* utrzymywał, że „dzieła Darwina, a przynajmniej najogólniejsze z nich należą do literatury”, czym zapowiadał najśmielsze rewelacje współczesnej filozofii nauki. Świadomość taka, że uczeni kierują się odpowiednimi teoriami, nie czystym rozumem, że na podstawie tych teorii opracowuje się metody i szlifuje narzędzia, których wytworem są odkrycia naukowe, jest dzisiaj dość rozpowszechniona przynajmniej pośród tych, którzy zaznali socjologii wiedzy i filozofii nauki, ale na początku dwudziestego wieku była ona tak wyjątkowa, jak wyjątkowy był sam Brzozowski. Nie wszczynam jednak żadnego sporu o pierwszeństwo w teorii poznania historycznego czy przyrodniczego, ponieważ naprawdę chodzi mi tutaj o problem lokalny, a nie generalny. Notuję tylko ubocznie, że spory o pierwszeństwo w odkryciach naukowych czy eksperymentach artystycznych są specjalnością intelektualistów pochodzących z krajów peryferyjnych i natrętnym ich podejmowaniem potwierdzają oni swoje kompleksy. Nawet Gombrowicz się ich nie ustrzegł, Miłosz chyba był ponad to.

Problem lokalny natomiast, który ze względu na Stanisława Brzozowskiego i nowoczesną kulturę polską mnie okupuje, daje się wysłowić następująco:

czy realnie dokonana się taka rewolucja, jaką się tutaj zajmujemy, czy też była ona tylko literackim, więc poniekąd fikcyjnym fantazmatem? Jeśli dokonana się rzeczywiście, to czy naprawdę była głębokim wstrząsem narodowym i społecznym, czy też tylko powierzchownym i ulotnym epizodem? Jakie były ponadto jej ramy czasowe i wyznaczniki przestrzenne i czy dają się one nakreślić „obiektywnie”, bez angażowania celowych, ideowych przesłanek badania historycznego? Pytania te nie wynikają z wywodów zawartych w tej książce, ponieważ bezpośrednio ich nie stawiając odpowiadałem już na nie dorzecznie, powodowane są natomiast przez współczesną historiografię i świadomość kulturalną.

Jest dla mnie jasne, że dla twórczości i osobowości Stanisława Brzozowskiego rewolucja ta jest formacyjnym wydarzeniem dziejowym. Podobnie zresztą, choć ze zmienną, rzecz jasna intensywnością, dla Stefana Żeromskiego i Andrzeja Struga, a także dla Tadeusza Micińskiego, Karola Irzykowskiego, Wacława Berenta i innych ważnych pisarzy Młodej Polski i całej zeszłowiecznej literatury polskiej. Ale już o Młodej Polsce jako epoce czy też konstelacji literackiej pisze się współcześnie tak, jakby ta rewolucja wpływała głównie na polityczne otoczenie literatury, a ubocznie tylko na nią samą. W każdym razie ostatni podręcznik akademicki, w którym *Doświadczeniu rewolucji 1904-1907* poświęcono osobny rozdział ukazał się ponad dwadzieścia lat temu.¹⁵ Następne takich rozdziałów już nie zawierają, co oznacza, że doświadczenie to uznano za marginalne. Stulecie tych wydarzeń, które jakkolwiek je nazwiemy, wstrząsnęły tektonicznie Warszawą i Łodzią, zostało przemilczane przez środowiska naukowe obu tych ośrodków akademickich, a jedyna na szczęście ogólnopolska konferencja naukowa poświęcona *Rewolucji lat 1905-1907* odbyła się w Radomiu (3-5 czerwca 2004 roku). Wydana po niej księga ratuje, by tak rzec, honor współczesnej humanistyki, a co ważniejsze, przynosi prace zróżnicowane, ważne i ciekawe, do których zresztą się odwołuję.¹⁶ Humanistyki, a nie tylko literaturoznawstwa, gdyż historycy polscy nie zdobyli się nawet na taką konferencję, a jedyna dyskusja z tej rocznicowej okazji odbyła się w kilkunastoosobowym klubie imienia socjalisty Adama Próchnika. Jestem dumny, że powierzono mi jej zagajenie.

Poniższy obrazek jest zgodny z realiami, choć wyimaginowany: ostatni car Wszech Rosji Mikołaj II Romanow wyznający i praktykujący samodzierzawie, nerwowo wyczekuje w swoich pałacowych komnatach wieści. Powszechny strajk kolejarzy wstrzymał wszelką komunikację, ponieważ wyłączono również telegrafy i zamilkły telefony. Między Władystokiem a Kaliszem, na całym obszarze olbrzymiego imperium zaległa kosmiczna cisza i samodzierzawca został odcięty od swojej dzierżawy. Nigdzie na świecie nie przeprowadzono dotąd takiego strajku generalnego, a w latach 1904-1907 powtarzał się on w zrewolucjonizowanym imperium kilkakrotnie, stając się nierzadko w wielkich miastach i ośrodkach przemysłowych powszechnym strajkiem wszystkich pracujących. Szacunki uczestnictwa w różnych strajkach przekraczają często 90 proc. robotników, a na terenach Polski strajkowała blisko połowa wszystkich strajkujących w całym imperium. Ta lekcja historycznej siły była tak porywająca, czego mamy wiele świadectw pisanych,

także dlatego, że robotnicy stanowili niewielki jeszcze procent mieszkańców, ale występowali masowo i solidarnie. Była ona również bacznie obserwowana przez wysoko zorganizowane socjaldemokracje zachodnie oraz liczne związki zawodowe – mit strajku generalnego został następnie uświęcony przez ideologów, a jego siła była tak wielka, że wierzone naprawdę, iż europejska klasa robotnicza nie dopuści do wybuchu wojny. Ta wiara, jak wiemy, okazała się zawodna, ale strajk fabryczny, branżowy, lokalny, regionalny czy powszechny pozostał głównym orężem pracujących w walce o swoje prawa, również w Polsce Ludowej, w której władzę dzierzono rzekomo w ich imieniu. Widmo strajku, który wstrzyma wszelką pracę w całym kraju, co właściwie było tożsame z zamarciem państwa, działało mitygująco na obie strony konfliktu społecznego w Polsce lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku. Dziesięcimiilionowa „Solidarność”, która władała wszechmocnie bronią strajkową, przed strajkiem generalnym się powstrzymała. Ta powracająca i narastająca moc społeczna pracujących byłaby racją konieczną i wystarczającą, aby uznać, że „tam nasz początek”, jak orzekł autor *Traktatu poetyckiego*, uznany za autorytet, chociaż zapewne nie przez historyków politycznych. Bo to oni najwyraźniej unikają problemowych wydarzeń i złożonych rodowodów.

Podobnych racji koniecznych jest oczywiście cała wiązka i niektóre już wskazałem, a najważniejszą z nich, bezpośrednio ze strajkami związaną jest masowa samoorganizacja zarówno w partiach politycznych, jak związkach zawodowych i stowarzyszeniach społecznych. Wszystko to idzie wówczas w setki tysięcy, nawet w miliony uczestników, jeśli dopiszemy do tej listy również chłopów domagających się swoich praw, dóbr i języka polskiego w przytłaczającej większości gmin. Podkreślany dotąd wątek społeczny wydarzeń rewolucyjnych splata się z ich ośnową narodową i to już w roku 1904, wraz z protestami przeciw przymusowemu poborowi, zwieńczonymi listopadową manifestacją grzybowską.

Powszechnemu strajkowi styczniowo-lutowemu 1905 towarzyszy z kolei powszechny również bojkot szkoły rosyjskiej, który ze zmiennym natężeniem trwać będzie latami. Splot idei sprawiedliwości społecznej z wyzwoleniem narodowym staje się coraz mocniejszy nie tylko w politycznych i kulturalnych elitach przywódczych, ale także w poszerzających się kręgach całego społeczeństwa. Jest jasne, że *obrona czynna*, dla której *skarby narodowy* składał przed laty Teodor Tomasz Jeż teraz naprawdę została podjęta, a Koła Bojowe Samoobrony Robotniczej tworzyły załazek organizacji zbrojnej walki o niepodległość, której następnymi ogniwami były Organizacja Bojowa PPS, Związek Walki Czynnej, Polska Organizacja Wojskowa i Legiony Polskie. Niepodległa Rzeczpospolita już od pierwszego obwieszczenia Tymczasowego Rządu Ludowego (Lublin, 7. XI.1918) zapewniała wszystkim obywatelom i obywatelkom równouprawnienie, prawo do swobodnego zrzeszania się i ośmiogodzinny dzień pracy, co było świadomie podjętym dziedzictwem ruchu rewolucyjnego i reformistycznego. Nigdy już nie odrzuconym, nawet jeśli tylko deklarowanym.

Rzecz jasna był to proces dziejowy, a nie sielankowy, pełen przeto starć ideowych, konfliktów politycz-

nych, a nawet, jak już pisałem, jeśli nie wojen, to walk domowych. W toku wydarzeń rewolucyjnych i różnych na nie reakcji, krystalizowały się i wyostrzały różnice między dwoma głównymi polskimi ugrupowaniami ludzkimi, które okazały się czymś znacznie więcej niż partiami politycznymi, gdyż odłamami społecznymi o własnych postawach kulturowych. Jerzy Giedroyc, który w swej redaktorskiej misji był mężem stanu, zniecierpliwiony ciągłym odnawianiem się konfliktu tych postaw w drugiej połowie dwudziestego wieku celnie orzekł, że musimy wreszcie wyjść z tego „cienia dwóch trumien, Piłsudskiego i Dmowskiego”. Ponieważ nawet w obecnym stuleciu udaje się to tylko częściowo, a cień ten ciągle powraca, niekiedy w upiornej postaci, więc należałoby rozpoznać należycie jego pierwszą zjawę, aby się wreszcie od niego uwolnić. Wracajmy więc nie tylko do owej nocnej rodaków rozmowy w tokijskim hotelu, ale także do konkurencyjnych koncepcji politycznych, bratobójczych strzałów bojówek i mordów w Czemiernikach, o którym żółcią pisał Stanisław Brzozowski: „Zrozumiećcie cały wdzięk, cały urok słowa: pierwszy socjaliści ręką polską zabici...”. Może wtedy lepiej zrozumiemy cały nasz wiek XX, ze wszystkimi jego dramatycznymi aktami i epizodami, a także z tymi grubymi złogami mentalnymi, które współczesnym uniemożliwiają używania słów klasa robotnicza, rewolucja, socjalizm.

Wracajmy do źródeł nowoczesności w Polsce, powtarzam, ale nie mogę przecież uniknąć pytania: gdzie i kiedy one tryskają? W podręcznikach historii, którymi się posługuję i które cenię, zapisy chronologiczne są różne: „Rewolucja 1905 roku” (Henryk Wereszycki), „Rewolucja 1905-1907 roku” (Stefan Kieniewicz), a także oba przemienne: „Rewolucja 1905”, i „Lata rewolucyjne 1905-1907” (Andrzej Chwalba). Stanisław Brzozowski pisał o *latach 1904-1906*, podobnie przywołana już Irena Maciejewska o „rewolucji 1904-1907”. Zaznaczam jednak, że wszyscy trzej znakomici historycy odpowiednie rozdziały zaczynają od wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej i jej następstw, a więc od roku 1904.¹⁷ Posługuję się wybranymi przykładami, ponieważ zadaniem moim nie jest omawianie naukowej literatury przedmiotu, a tylko ukazanie jej konstrukcyjnej celowości, jak uczył Brzozowski w *Epigenetycznej teorii historii*. Otóż jeśli zajmujące nas tutaj wypadki rewolucyjne zamykamy datami 1905-1907, wtedy, niezależnie od intencji, uznajemy je za część tej „organicznej całości”, jaką była rewolucja rosyjska, której niewątpliwą datą początkową jest petersburska krwawa niedziela 9/22 stycznia 1905 roku. Czas polskiej rewolucji zostaje włączony w czas rewolucji rosyjskiej i zmieniona też zostaje jej przestrzeń, staje się ona lokalnym fragmentem imperialnej przestrzeni Wszech Rosji, wraz z dwoma jej centrami, w *abieich stalicach*, Petersburgu i Moskwie. Między styczniową masakrą petersburską a grudniowym powstaniem moskiewskim zamyka się jej kulminacja, dlatego historycy Rosji piszą przeważnie o „rewolucji 1905 roku”. Trochę tak, jak Włodzimierz Lenin – i to niezależnie od poglądów ideowych, a my widzimy, że kategoryzacje czasu i przestrzeni są od tych poglądów ważniejsze.¹⁸

W ówczesnym Królestwie Polskim jednak, nazywanym przez okupantów Krajem Przywiślańskim, rewolu-

cyjne manifestacje rozpoczęły się wcześniej, a na jego niewielkim obszarze były też najbardziej intensywne, co powinno zobowiązywać historyków do ich wyodrębnienia. Tu powstały pierwsze robotnicze komitety strajkowe (sierpniowo-wrześniowy strajk murarzy w Warszawie), liczny opór stawiono poborowi wojskowemu, odbyło się pierwsze wystąpienie zbrojne (13 listopada 1904 w Warszawie) i pierwsze powstanie robotnicze (Łódź, 18-25 czerwca 1905). Kwestia odrębności ruchu polskiego i jego łączności z ruchem rosyjskim była kluczem podziałów, jakie zachodziły wśród polskich socjalistów, a utrwalone zostały później w rozłamie socjalistów i komunistów. Józef Piłsudski nie tylko strzegł tej odrębności, ale odróżniał też od Rosji Finlandię, Ukrainę, Białoruś, Litwę, Łotwę, Gruzję i inne kraje. Imperialna Wszecchosja okazywała się historycznym fantomem, a historyczną podmiotowość uzyskiwały narody i ludy. Pół wieku później i podczas sowieckiej dominacji Jerzy Giedroyc i Juliusz Mieroszewski mogli stworzyć ideę ULB, kierunkową dla naszego myślenia o świecie bliższym i dalszym. Nowoczesna wyobraźnia geopolityczna z jej ramami czasu i przestrzeni, język wyobrażeń nacjonalnych i socjalnych, emancypacji pracujących, równouprawnienia kobiet i dzieci oraz mniejszości etnicznych i społecznych, demokratycznej organizacji państwa prawa i tworzenia społeczeństwa obywatelskiego – tam właśnie, w tamtych latach i miejscach, mają swoje źródła.

Nie dlatego, że wtedy je intelektualnie wymyślono, gdyż składała się na nie cała nowoczesność, ale dlatego, że po raz pierwszy zostały społecznie wcielone: „Po powstaniu sześćdziesiątego trzeciego roku byliśmy jedynie skatowaną szlachtą, społeczeństwem bez ludu (...) Teraz w tej rewolucji, którą pan uważasz za skończoną i zdławioną, myśmy wam lud nasz ze szponów wyrwali. (...) Wasza szubienica pracuje dla niepodległej Polski. (...) Zrozumieją wszyscy polscy ludzie, jak niezgłębioną krynica regeneracji narodu była ta rewolucja, jak żywa siła bić zaczęła z tej wody, w boleściach wydanej przez ziemię naszą”.¹⁹

Tak mówił, ustami jednego z bohaterów *Róży* Stefan Żeromski, a poprzez inteligencki paternalizm i neoromantyczny patos przebiła się tu historyczna prawda: rewolucja lat 1904-1906 pod wszystkimi względami była większa i ważniejsza dla „regeneracji narodu” od powstania 1863 roku. Zmieniłbym dysjunkcję ustanowioną ongiś przez Tomasza Burka: „1905, nie 1918”²⁰, na taką oto koniunkcję: 1905 i 1918. W III Rzeczypospolitej przemilczano nie tylko stuletnią rocznicę tej rewolucji, milczy się także każdego następnego roku. Chociaż obchodząc rocznicę Sierpnia 1980 należałoby wspominać sierpień 1904, albo czerwiec 1905 roku. Jak uczynił to zaraz po Sierpniu Konstanty Pużyna, który był nie tylko świetnym krytykiem teatralnym, ale i bystrym krytykiem społecznym.²¹ Ktoś tu musi mieć historyczne złe sumienie, nie jest to na pewno osoba poszczególna, gdyż żadna nie miała by takiej mocy, aby cenzurować narodową pamięć. Jest to niewątpliwie podmiot zbiorowy, ale nie jest nim już ta inteligencja, z którą wówczas mierzył się, na swój sposób, Stanisław Brzozowski.

Przypisy

1. A. Słonimski, *Wspomnienia warszawskie*, Warszawa 1987, s. 36. Najwyraźniej w powieści I. B. Singera, *Szumowiny*, przeł. Ł. Nicpan, Gdańsk 1992.
2. Por. M. Gloger, *Henryk Sienkiewicz i Stanisław Brzozowski – dwie drogi polskiej nowoczesności*, w: *Konstelacje Stanisława Brzozowskiego*, wyd. cyt. 138-154. Zob. też Zofia Wójcicka, *Konteksty „Wirów” Henryka Sienkiewicza*, „Ruch Literacki” 2007, z. II.
3. Jako konsultant edycji, proponowałem wydawcy taką zmianę tytułu, ale okazała się ona niemożliwa, gdyż dotowano projekt wydawniczy pod tytułem: *Pisma polityczne. Z czego wynika*, że w trakcie realizacji projektu nie należy zdobywać lepszej wiedzy, niż przed przystąpieniem do niego.
4. Avanti (G. Glass), *Dziennik hr. Idalii*, „Głos” 1905, nr 15. *Same płaskie koncepty* Brzozowskiego nawiązujące do felietonu Glassa ukazały się w nr 24 (zapewne pisane w Zakopanem).
5. Pod tytułem *O komunizmie*, w przekładzie J. W. Dawida, ukazywał się w numerach 34, 35, 36, 49, 50.
6. H. Arendt, *O rewolucji*. Przełożył M. Godyrń, postawem opatrzył P. Nowak. Warszawa 2003, s. 27.
7. N. Elias, *O procesie cywilizacji. Analizy socjo-i-psychogenetyczne*. Przełożyli T. Zabłudowski i K. Markiewicz. Warszawa 2011. Zwłaszcza część druga: *Cywilizacja jako specyficzne przeobrażenie zachowań ludzkich*, s. 121-286.
8. J. Korczak, *O bezpieczeństwo dziecka*, w: tegoż autora *Pisma wybrane*, Warszawa 1984, t. II, s. 165-172.
9. J. Korczak, *Nocą czarną* w: tegoż autora *Dzieła*, wyd. cyt. t. III. cz. 2 s. 96.
10. J. Korczak, tamże, s. 122.
11. Zob. H. Kiepuska, *Warszawa w rewolucji 1905-1907*, Warszawa 1974, s. 173-175. Także A. Mencwel, *Etos lewicy...*, wyd. cyt. s. 178-180.
12. E. J. Bristow, *Prostitution and Prejudice. The Jewish Fight against White Slavery 1870-1939*, Oxford 1983, s. 60-63.
13. Zob. odpowiednie noty wydawcy w wydaniu *Ideji*, s. 570-571, 596-597, 598-599, 600-601.
14. Por. też A. Walicki, *Filozofia dojrzałości dziejowej* (w:) S. Brzozowski, *Idee*, s. 17-23.
15. Janina Kulczycka-Saloni, Irena Maciejewska, Andrzej Z. Makowiecki, Roman Taborski, *Młoda Polska*, Warszawa 1991. Odpowiedni rozdział autorstwa I. Maciejewskiej s. 73-94.
16. *Rewolucja lat 1905-1907. Literatura – Publicystyka – Ikonografia*. Redaktorzy Krzysztof Stępnik, Monika Gabryś. Lublin 2005.
17. H. Wereszycki, *Historia polityczna Polski, 1864-1918*, Paryż 1979, s. 225-252; S. Kieniewicz, *Historia Polski, 1795-1918*, Warszawa 1970, s. 433-459; A. Chwalba, *Historia Polski, 1795-1918*, Kraków 2012, s. 371-384.
18. Por. np. L. Bazylow, *Dzieje Rosji, 1801-1917*, Warszawa 1970, s. 457-487 oraz R. Pipes, *Rewolucja rosyjska*, Warszawa 2006, s. 3-54.
19. S. Żeromski, *Róża. Dramat niesceniczny*, cyt. za I. Maciejewską, dz. cyt. s. 91.
20. Zob. Tomasz Burek, *1905 nie 1918* w: tegoż autora *Dalej aktualne*, Warszawa 1973, s. 96-115.
21. K. Pużyna, *Zdumieni*, w: tegoż autora *Półmrok*, Warszawa 1982, s. 162-172. Pierwodruk: „Polityka”, 27 września-5 października 1980.

JACEK HAJDUK

POCHODNIE SIENKIEWICZA

1

To nieprawda, że Nagrodę Nobla otrzymał Sienkiewicz za *Quo vadis*. Członkowie Akademii Szwedzkiej najwięcej rozczytywali się w *Potopie* i *Krzyżakach*, a oficjalnie wyróżnili pisarza „za wybitne osiągnięcia na polu literatury epickiej”. Trzeba też jasno powiedzieć, że nie był laureatem pierwszego wyboru. Zaszczytne wyróżnienie otrzymać miał Lew Nikołajewicz Tołstoj, ale ostatecznie jego rozbrat z Cerkwią Prawosławną i widmo spodziewanego a nieuniknionego w razie przyznania mu nagrody gniewu Rosji odwiodły Akademię od takiej decyzji. Literacki Nobel trafił zatem do innego Słowianina, do innego epika – rzecz w tym, że nie do tego, do którego winien był trafić.

26 marca 1895 roku w „Gazecie Polskiej” ukazał się pierwszy rozdział *Quo vadis*, powieści określonej przez autora dumnym mianem „epopei chrześcijańskiej”. Niewiele później, bo w październiku tegoż roku, „Tygodnik Ilustrowany” publikować zaczął *Faraona*, jedyną powieść historyczną autorstwa Bolesława Prusa. Jest to moment szczególnie – powiedziałbym wręcz, że kapitalny – jeśli idzie o dzieje polskiej powieści historycznej. To wówczas bowiem „arcydzieło lekkomyślności i beztroskliwego fałszu” – tak o *Quo vadis* pisał Stanisław Brzozowski – będące nie tworem nowym, lecz uwieńczeniem dziewiętnastowiecznego, okrzepłego już romansopisarstwa, stało się sztafcą dla kolejnych pokoleń powieściopisarzy historycznych i oczywistym dla nich punktem odniesienia. Gatunek pchnięty został w zwiędłe ramiona anachronizmu. Tymczasem doskonale w swej formie, przejmująco piękny i niepomierne mądry *Faraon* zmuszony został rozpocząć swą samotną wędrówkę przez wieki... I tak jak *Lalka* nie doczekała się godnego następcy na polu powieści współczesnej, tak do dziś nie powstała u nas powieść historyczna, którą można by postawić w jednym rzędzie z *Faraonem*.

2

„Nie przeszkadza mi zupełnie – wyznawał Jan Tomkowski w odniesieniu do Sienkiewiczowej powieści z czasów Nerona – tendencyjny obraz starożytnego Rzymu ani odbiegająca od rzeczywistości wizja chrześcijaństwa. Niech historycy i archeologowie rekonstruują sumiennie obraz przeszłości – literatura jest sprawą wyobraźni”. Owszem, jest; ale jest także sprawą odpowiedzialności za wyobrażone światy. Teodor Parnicki mawiał: – Nie mamy prawa oszukiwać czytelnika, ale jeśli już dojdzie do tego, zobligowani jesteśmy, aby mu wskazać palcem te wszystkie skażone miejsca. Nikt nam w ten sposób *Quo vadis* nie objaśnia. Tendencyjność Sienkiewicza w odmalowaniu Rzymu i cesarza Nerona, jak także osobiwa wizja wczesnego chrześcijaństwa nie mieszczą się w ramach *licentia poetica*, lecz są – skrywanym umiejętnie za hasłem „ku pokrzepieniu serc!” – fałszerstwem, które czerpie swe siły z alegorii i prezentyzmu.

Kiedy mówię „prezentyzm”, nie rozumiem tego słowa tak, jak zwykło się go używać w odniesieniu do np. *Ciemności kryją ziemię* Jerzego Andrzejewskiego. Termin ten nauczeni jesteśmy utożsamiać z pisaniem pod tzw. „płaszczkiem historii”, przy czym ów płaszczek jest okryciem cienkim i tylko pozornym. Autor mówi o przeszłości nie dlatego, że chce, ale dlatego, że o teraźniejszości mówić mu z jakichś względów nie wolno. Powieść taka jest *de facto* powieścią współczesną. Mnie interesuje znacznie inne. Myślę o prozie historycznej XIX i XX wieku, nad którą unosiło i unosi się wciąż widmo Sienkiewicza.

Tradycyjna powieść historyczna zawsze pisana była w Polsce po coś, w jakimś jeszcze celu, nigdy sama dla siebie. Jej ambicją było uchwycić dwie czasowości jednocześnie: wtedy i teraz, i ukazać zbieżność pomiędzy nimi. O ile tylko zachowamy to w naszej pamięci, nie zdziwi nas fakt zupełnej dzisiaj nieobecności powieści historycznej w literaturze rodzimej.

To zaskakujące, że gatunek, który nigdy bądź długo nie powinien był się zestarzeć, jako że już z definicji swojej jest przeciwieństwem „stary”, budzi obecnie niechęć w czytelnikach i krytykach.

Kto uwierzyłby dzisiaj, że za Nerona czy za jakiegokolwiek innego cesarza tematem rozmów spieszących ulicami czy zażywających wywczasu w termach Rzymian był nie wzrost cen za oliwę czy nowy, modny krój tuniki, ale „upadek pogańskiej kultury”? Kultury, która zresztą miała przed sobą jeszcze kilka opromienionych sławą i chwałą wieków... Takie sprawy widzimy przecież dopiero w dłuższej perspektywie czasowej! Ów „upadek” to proces podskórny, toczący państwo jak przewlekła choroba, której rozwoju ludzkie oko nie jest w stanie rejestrować... Kogo wzruszą dziś melodramatyczne, nie dość uzasadnione psychologicznie akty męczeńskie, skoro nawet mądry i wrażliwy Marek Aureliusz, który ich doświadczał jako obserwator, nie potrafił przyjmować tych scen bez grymasu zniesmaczenia? Kogo wreszcie przekonać ma tłumaczona korzyścią doraźną bądź chwilowym zauroczeniem konwersja religijna bohaterów powieści Kraszewskiego, Sienkiewicza czy Jeske-Choińskiego? To temat nie dla nich. Rozdzierające dylematy moralne, dotyczące zresztą w tym samym stopniu chrześcijan co pogan, stanowią materiał nie dla malarza, lecz dla detektywa, który nie cofnie się przed prawdą czającą się w odmętach duszy...

Tak, Henryk Sienkiewicz to fałszerz, arcy mistrz wśród fałszerzy! Jego fałszerstwo zaś – o tyle groźne, że ubrane w wysmienity styl – to piękna i podziwu godna robota! Dlatego też paradoksalnie najczęściej pisarstwu historycznemu zawinił właśnie on – nie Kraszewski, nie Orzeszkowa, nie Jeske-Choiński, nie autorzy dwudziestowieczni, choć wszyscy oni w swoich powieściach dopuszczali się podobnych wykroczeń.

3

Najwięcej ucierpiła reputacja Nerona.

Na czele Cesarstwa Rzymskiego stanął w roku 54 po Chrystusie, mając lat zaledwie siedemnaście. Wrażliwy, uduchowiony, uzdolniony artystycznie i sportowo, wzrok swój kierował tęsknie ku wschodniej części imperium, gdzie inaczej niż na sierniężnym zachodzie prym wiódł nieprzerwanie wysublimowany hellenizm. Pragnął tego hellenizmu tu, w stolicy, czego w rzymskich kręgach arystokratycznych nie rozumiano i nie akceptowano. Rywalizacja z senatem nabierała rozpędu. Szemrano, układano spiski. A Neron ogłaszał się bogiem. Kiedy popełnił samobójstwo, senat zdecydował o skazaniu go na zapomnienie (*damnatio memoriae*). Jak widzimy z perspektywy dzisiejszej, nie był to pusty i nic nie znaczący gest. Przez arystokratów Tacyta i Swetoniusza Neron, mimo iż rządził całkiem sprawnie, przedstawiony został jako tyran i szaleniec, i na zawsze już pozostał jednym z tzw. złych cesarzy. Przypisywano mu odtąd wszystko co najgorsze: od kazirodztwa poczynając, a na umyślnym podpaleniu Rzymu kończąc. Autorzy przeganiali się w co wymyślniejszych scenariuszach mordu, jakiego miał dokonać na matce, Agrypinie Młodszej, a chrześcijanie zaraz zobaczyli w nim samego Antychrysta.

Gdyby Chateaubriand, Renan i Sienkiewicz czytali nie Tacyta, Swetoniusza i Kasjusza Diona, lecz

Lukana, Senekę i Diona Chryzostoma, portret Nerona utrwalony w kulturze i świadomości europejskiej byłby zgoła odmienny. Gdyby przetrwały kroniki i historie spisane w czasach jego panowania, byłby – można przypuszczać – jeszcze inny. Czy któryś z owych portretów, wykonany *sine ira*, byłby rzetelniejszy od tego, jaki znamy z *Quo vadis?* Z pewnością tak. Ale czy uzyskalibyśmy portret prawdziwy? A co z innymi postaciami, które miały swe odpowiedniki w świecie realnym tamtych dni? Jacy w istocie powinni być Petroniusz i Tygellinus, a jacy apostołowie Piotr i Paweł?

Nauczeni doświadczeniem postmodernizmu wiemy już, że przeciwstawiając naiwny dyskurs dziewiętnastowieczny dyskursowi dekonstruującemu bądź rehabilitującemu, wciąż pozostajemy tylko w świecie tekstów i ich odczytań. Interpretacja kontra interpretacja. Który z autorów starożytnych kłamał, a który się tylko mylił? Który przekaz uznać należy za najbliższy prawdy? Wreszcie: czyjej prawdy?

Jedno wiemy na pewno: najwięcej ucierpiła reputacja Nerona.

4

Epifaniusz z Salaminy, żyjący w czwartym wieku po Chrystusie pisarz i biskup na Cyprze, święty Kościoła katolickiego i prawosławnego, wylicza w swym najważniejszym dziele (*Panarion*) aż osiemdziesiąt herezji, z którymi walczyć musiał młody Kościół! Czy o któreś z tych walk czytamy w naszych powieściach antycznych? A sprawa jest niebłaha, bo to nie tak, że *ex nihilo* zrodziła się religia katolicka, od której z czasem odpryskiwać zaczęły kolejne herezje, ale właśnie odwrotnie: „naprzód były herezje i dopiero po nich i w walce z nimi ukształtował się katolicyzm” (Tadeusz Zieliński). O ile najważniejsze spory chrystologiczne przypadają na wieki IV i V, o tyle już w pierwszym stuleciu nowej ery Jezus miał wciąż jeszcze liczących się konkurentów: Szymon Mag, Apollonios z Tiany, a nawet sam Jan Chrzciciel. Kwitła gnoza o rodowodzie wyraźnie chrześcijańskim, trwał judaizm, umacniał się kult cesarów, a przy tym ciągle liczni byli wyznawcy bogów tradycyjnych, helleńskich i latyńskich. W II i III wieku i to nieomal na prawach religii państwowej rozprzestrzeniał się w Rzymie przeszczepiony ze wschodu kult boga Mitry.

Wspominam o tym dlatego, że padając na podatny grunt (kiedy – jak mówił Flaubert – bogów nie było już, a Chrystusa jeszcze) prądy te reagowały ze sobą, scalały się i dzieliły, uzupełniały bądź wobec siebie stawiały w ostrej opozycji. Wszystkie one odegrały jakąś rolę w ukształtowaniu się jednego, świętego, powszechnego i apostołowskiego Kościoła – jedne mniejszą, inne większą, jeszcze inne fundamentalną. A my, Polacy wychowani w tradycji „pokrępowania serc”, naszą niewiedzę w tej materii, nasze niezrozumienie dla złożoności chrześcijaństwa zawdzięczamy niestety po części i *Quo vadis*, i tradycji literackiej, którą ta powieść firmuje.

I jeszcze – tym razem na dłużej – oddajmy głos Tadeuszowi Zielińskiemu, najwybitniejszemu w dziejach polskiej humanistyki znawcy kultury antycznej (cytat, podobnie jak wcześniejszy, pochodzi z książki *Chrześcijaństwo antyczne*): „Kościół chrześcijański

natomiast przy samym swym założeniu nawet w Jerozolimie, występuje przed nami w szacie greckiej. Jest to fakt nader znamienny i wcale nie izolowany. Wzorując się na gminie jerozolimskiej, powstawały, jak to widzieliśmy i jeszcze zobaczymy, takie same i w innych miastach państwa rzymskiego. Ich członkowie nazywali się prosto *hagioi*, tj. świętymi, dopóki nie zgodzono się na termin *christianoï*, co się zdarzyło, jak było powiedziane wyżej, po raz pierwszy w Antiochii. Tak, ale to znowu – *hagioi* – termin grecki, którego używa np. apostoł Paweł w swych listach. A jak brzmiał odpowiednik hebrajski lub aramejski? Takiego znowu nie było i być nie mogło, gdyż odpowiednik hebrajski przysługiwał jedynie Bogu. Widzimy stąd, że Kościół chrześcijański już w swym stanie zarodkowym miał wygląd grecki”.

Co prócz konstatacji, że chrześcijaństwo żywo łączy się z hellenizmem i z niego wyrasta (jest to teza główna sześciotomowego dzieła *Religie świata antycznego*) wynika z powyższego przytoczenia? Ano to chociażby, że wątpliwym jest w ogóle, czy w czasach Nerona wyznawcy Chrystusa zwali siebie już tak, jak mianuje ich w swoim dziele Henryk Sienkiewicz!

5

W teorii historiografii zjawisko właściwe Sienkiewiczowi, więc i całej owej tradycyjnej prozie z dziejów minionych, zwie się imputacją kulturową i jest jak natręt, od którego nie sposób się odgonić. Jeśli którykolwiek z polskich powieściopisarzy historycznych był od niej wolny, bądź próbował przynajmniej od niej się uwolnić, to jedynie Teodor Parnicki.

„Mój stosunek do Sienkiewicza – mówił podczas jednego z wykładów, jakie wygłosił w roku akademickim 1971/72 na Uniwersytecie Warszawskim – wyraża się jednocześnie w wielkim kulcie i dużej wrogości...”.

Już w latach trzydziestych ubiegłego stulecia, kiedy w przestrzeni publicznej funkcjonował jeszcze głównie jako krytyk, Parnicki głosił potrzebę odwrócenia od tego, co ja nazywam tutaj prezentyzmem. Żądał mianowicie od autorów powieści historycznych, aby nie traktowali epok i ludzi epok minionych protekcjonalnie, aby pisząc o przeszłości – to przeszłość mieli na uwadze. W kraju, w którym beletryści tworzyli od zawsze z przekonaniem, że przeszłość istnieje właściwie tylko po to, by w niej szukać analogii ze współczesnością i by z niej wyciągać naukę na przyszłość, był to niewątpliwie głos nowy.

Spory chrystologiczne czy szerzej – religijne, do tego stopnia uczynił Parnicki tematem naczelnym swoich powieści, że poza nimi niewiele doprawdy pozostało tam miejsca na cokolwiek, co by o zagadnienia teologii nie zahaczało. Nic tak nie potrafiło zatrzymać myśli Parnickiego jak drogi i bezdroża chrześcijaństwa. W efekcie góra urodziła mysz. Uciekając przez prezentyzmem, walcząc dzielnie o perspektywę ówczesną wpadł pisarz w czeluści przepastnej studni historyzmu, z której się już do końca życia nie wy dostał. O ile więc Sienkiewicz był czytelny aż za nado, o tyle anty-Sienkiewicz Parnicki znalazł się na przeciwnym biegunie i stał się zupełnie niejasny, boleśnie nieznośny w odbiorze.

Jego eksperyment pisarski okazał się eksperymentem nieudanym. Mimo wielkiego podziwu dla jego

intelektu i talentu, wiedzieli o tym i krytycy, i czytelnicy. U kresu drogi pisarskiej wiedział to już także sam Parnicki. Ale była to ważna próba: ktoś odważył się wreszcie rzucić rękawicę autorowi *Quo vadis* i pisać o historii inaczej. Przypuszczam, że gdyby akcję jednej z tych swoich dziwacznych powieści umieścił Parnicki w Rzymie Nerona, na sześciuset bądź siedmiuset stronach bohaterowie usiłowałiby zrekonstruować przebieg wydarzeń towarzyszących Wielkiemu Pożarowi, przerzucaliby się wzajemnie dowodami w sprawie nieudanego zamachu na cesarza i dochodzili prawdy o tym, jakiej grupie chrześcijan i dlaczego był on tak naprawdę wrogi. Oczywiście: dochodziliby daremnie.

Jakie byłyby losy takiej powieści? Czy to, że Parnicki pochyliłby się nad okresem heroicznym chrześcijaństwa, że zmierzyłby się już nie z Sienkiewiczem jako takim, ale z legendą *Quo vadis* zmieniliby cokolwiek w odbiorze tej hipotetycznej książki? Nie sądzę. Przypuszczalnie jako kolejna powieść „parnickoidalna” podzieliłaby losy sobie podobnych.

Czy zatem możliwości powieści wczesnochrześcijańskiej albo historycznej w ogóle, wyczerpały się? Czy skazani jesteśmy na wybór: wieczny powrót do Sienkiewicza albo antypowieściowe w gruncie rzeczy eksperymenty? Twierdzę, że nie. I dlatego właśnie na początku tego szkicu przywołałem Prusowego *Faraona*. Polska powieść historyczna nie tylko nie skończyła się, ale wręcz nie spróbowała jeszcze innej, trzeciej obok prezentyzmu i historyzmu strategii pisania o czasach minionych – ta trzecia droga to uniwersalizm.

Wiek XX na świecie obrodził w tym względzie bardzo pięknie: *Ja, Klaudiusz* Roberta Gravesa, *Egipcjankin Sinuhe* Mikiego Waltari, *Idy Marcowe* Thorntona Wildera, czy wreszcie – by wspomnieć kwiat najwspanialszy – *Pamiętniki Hadriana* Marguerite Yourcenar.

W tym miejscu aż ciśnie się na usta parafraza słynnego zakończenia *Przemija postać świata*, gockiej epopei Hanny Malewskiej: dziś weźcie nowe zwoje – zaczynamy inaczej!

6

W 1879 roku Józef Ignacy Kraszewski obchodził jubileusz pięćdziesięciolecia pracy twórczej. Z tej okazji jego przyjaciel, Henryk Siemiradzki, przekazał miastu Kraków swój „wielki temat” zatytułowany *Pochodnie Nerona*. Być może w nawiązaniu do powieści Kraszewskiego pt. *Rzym za Nerona?* Obraz powstał w 1876 r. i przedstawiał scenę, w której cesarz, a z nim jego rozpasana świta oczekuje, aż buchną ogniem pochodnie, tj. pojmani i uwięzieni męczennicy, których obarczyć miał odpowiedzialnością za rozpętany przez siebie pożar w Rzymie.

Dzieło inspirowane było przez tych samych autorów, którzy kilka lat później zawładnęli wyobraźnią Sienkiewicza i stało się zaczątkiem muzeum w krakowskich Sukiennicach.

A Rzym jak to Rzym: w dużej części drewniany, o gęstej zabudowie, w płomieniach stawał w owych czasach ciągle – przy ingerencji jedynie może wiatru...

JACEK WOJCIECHOWSKI

NAD WOŁGĄ, MOSKWA I NEWA

Z rosyjskiej literatury pięknej wydaje się u nas 60-70 tytułów rocznie, a jeżeli pominąć klasykę, dawną i samizdatową, oraz pisywane przez kalkę „kryminały” Aleksandy Marininy – to jest tego tyle, co kot napłakał. Na świecie budzi znaczne zainteresowanie zarówno dla literackich wartości, jak też ze względu na fascynację samą Rosją, u nas natomiast przeważa antyfascynacja. Mało kto chce czytać przekłady zza wschodniej granicy, a wobec tego wydawcy wolą nie ryzykować deficytu. Tłumaczeń jest zatem mało i tworzą niewielki wziernik, przez który słabo widać, co tam się teraz pisuje.

Ilościowa produkcja książek literackich w Rosji, skomasowana głównie w dwóch miastach, spadła wprawdzie dramatycznie, za to jakość jest bardzo różna, a topika niezwykle bogata. Oczywiście: warto zwracać uwagę na to, co najlepsze oraz – co jest (u nas) dostępne.

Ciekawe, że przy całej tej różnorodności, po starciu dają się na ogół zauważyć jakieś odniesienia do rzeczywistości. O wiele bardziej niż kiedyś złożone, pokomplikowane, ale zarazem oczywiste, bez ściemniania i nierzadko szokujące – jakkolwiek wmontowane w najrozmaitsze konfiguracje czasowe.

Wiele lat temu furorę robiła powieść Jurija Trifonowa *Dom nad rzeką Moskwą*. Sensację budziły wtedy niedomówienia, zakamuflowane aluzje oraz cienkie (mówiło się: odważne) metafory, bo tylko tak można było wyjść poza slogany i drętwą mowę. Dzisiaj w ten sposób nikt już tam nie pisze.

TERAZ

Ludmiła Pietruszewska, *Jest noc*, przeł. Jerzy Czech, Wyd. „Czarne”, Wołowiec 2012.

Moskwa Noir, przeł. Ewa Skórska, Wydawnictwo Claroscuro, Warszawa 2011.

Michał Jelizarow, *Bibliotekarz*, przeł. Izabela Korybut-Daszkiewicz, Wydawnictwo Literackie MUZA, Warszawa 2012.

Siergiej Minajew, *Duchless. Opowieść o nieprawdziwym człowieku*, przeł. Paweł Podmiotko, Wydawnictwo Claroscuro, Warszawa 2012.

Bajan Szyrianow, *Niższa szkoła jazdy*, przeł. Agnieszka Lubomira Piotrowska, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2011.

Relacje z rzeczywistością, w zasadzie wprawdzie rosyjską, ale także mniej lub bardziej uniwersalną, nie zmiernają do jej opisania. Nie są to bowiem fotografie ani dokumenty, lecz kontekstowe dekoracje, z których wykluwają się refleksje i rozważania uogólnione. To, o czym mowa, musi gdzieś zdarzać się, dziać, lokalizować, ale opis tego „gdzieś” nie jest celem sam w sobie. Już bardziej znaczące wydaje się umiejscowienie czasu zdarzeń i momentów sytuacyjnych. Ma mianowicie znaczenie, że coś dzieje się – w ogólnych zarysach – teraz.

Do takiej ogólnej, lekko zmetaforyzowanej rzeczywistości nawiązuje **Ludmiła Pietruszewska** (ur. 1938) w pięknej choć niebywale frustrującej powieści **JEST NOC**. Napisanej znakomicie, bez cienia egzaltacji, na

pozór „zimnej”, beznamiętnej, ale może właśnie dlatego robiącej wrażenie piorunującej. Nie da się jej czytać spokojnie; trzeba robić przerwy, bo atmosfera staje się zbyt gęsta. Sprzyja temu przemieszany układ czasu poszczególnych segmentów, zestawionych w jedno długie pasmo dramatycznych faktów.

Oto niewydarzona poetka – obarczona historycznym wnukiem oraz (na utrzymaniu) synem-kryminalistą i jeszcze bezrobotną córką, która rodzi dzieci przypadkowym facetom – usiłuje przeżyć kolejne dni, tygodnie, miesiące. I robi to w każdy dostępny sposób. Egzystencja jest zaś tym bardziej mroczna, że nie ma w sobie żadnego sensu i niczego nie rokuje. Tak było, jest oraz będzie.

Życie jako beznadziejne trwanie, które jest udziałem wielu albo bardzo wielu – oto przesłanie tej niezwykłej opowieści. Najbardziej ponure z ponurych, mimo że opakowane w referencję pozornie nijaką, bezbarwną, stereotypową. Tak można opowiadać o czymkolwiek. Ale tym razem chodzi dokładnie o to, żeby zaatakować zniechacę i wywołać wstrząs.

Pietruszewska jest również obecna jedną nowelą w wieloautorskim tomie opowiadań **MOSKWA NOIR**, jednoznacznie posępnym i przygnębiającym, chociaż literacko (z małym wyjątkiem) bardzo dobrym. Egzystencja jest tu (podobnie) postrzegana jako nieuchronna podróż do upadku, a często i zbrodni, nie tylko w świecie zawodowych przestępców – tych niemal we wszystkich opowiadaniach jest pełno – lecz również zwyczajnych obywateli, dla których rzeczywistość zatraciła wszelki sens. Po prostu nie da się w niej żyć.

Nie żeby przeżyć, bo w końcu ich też ktoś odstrzeli, lecz żeby nieco dłużej trwać, zabijają szeregowi killerzy – bez wyjątku weterani afgańskiej wojny – oraz mafijni bossowie, bo to jest jedyne co napędza ich świat. Zabójstwa są jednak również udziałem przeciętnych nauczycieli bądź urzędników, więc w istocie wszystkich w nieokreślonym momencie codzienności. Takim jak inne, a to znaczy że zarzewie zbrodni czai się gdzieś pod jej powierzchnią: jest jak mroczna podświadomość przyrodzona każdemu, jakkolwiek nie zawsze następuje eksplozja.

W końcu również w kręgu służb bezpieczeństwa funkcjonariusze zabijają się nawzajem: dla szpanu. A w jednym z opowiadań pojawia się cień (płaszcz) Ławrentija Berii, superoprawcy, który też został zamordowany – jak wynika z tekstowej sugestii – przez takich samych zbirów jak on. Jasne więc, że pojęcie optymizmu zostało z tego tomu starannie odcedzone.

Od mrocznego spojrzenia na świat nie całkiem ucieka, ale skłania się raczej ku ironicznej, albo może sarkastycznej wizji rzeczywistości **Michaił Jelizarow** (ur. 1973), w zręcznie napisanej, zaskakującej powieści pod nonszalanckim (według mnie) tytułem **BI-BLIOTEKARZ**. Autor, z urodzenia Ukrainiec, pisze po rosyjsku i mieszka w Moskwie, zresztą publikuje dużo i jest chętnie przekładany za granicą, a w 2008 roku otrzymał prestiżową nagrodę Rosyjskiego Brokera. Jego wizerunek świata jest mocno zdeformowany, karykaturalny, jednak zamiast drastyczności, częścię narzędziem kreacji bywa kpina lub absurdalny dowcip.

Tym razem akcję „okręcił” wokół rzekomych powieści rzekomego prozaika – tak miernych, że większość

trafiła na przemiał – które nieoczekiwanie ogłosił ktoś Księgami (jedynej) Mądrości i wobec tego zdobyły liczne zastępy zwolenników, a właściwie wyznawców. Ponieważ jednak zachowały się w śladowym wymiarze, apologetci zrzeszeni w szajki zaczęli walczyć o nie na wszelkie sposoby z tym, że kodeks ogólnomafijny wykluczył użycie broni palnej. Dzięki temu Jelizarow ma szansę błysnąć mięsistymi opisami bijatyk, gdzie bojownicy oraz bojowniczkę są wprawdzie często w podeszłym wieku, ale wigoru (to swoisty ekstrakt z owych Ksiąg) im nie brakuje. Tak więc naokoło fruwać powyrywane kończyny, turlają się odcięte głowy, a trupy i flaki gęsto ubarwiają miejskie zieleńce i błonia. Stąd rada: przy jedzeniu lepiej tej powieści nie czytać.

Wszyscy wojownicy razem tworzą mafię podzieloną na rodziny i wewnętrznie zwaśnioną, rzadko zdolną do ugody, bo wojna o Księgi jest oczywiście walką o władzę. Toczoną perfidnie – fragmenty powieści odpowiadają kanonom thrillerów – bo tak właśnie zdobywa się każdą władzę, zwłaszcza polityczną. Taka jest powieściowa metafora główna, wprawdzie pośrednia, ale mam wrażenia, że dostatecznie czytelna. Natomiast wolna od umoralniającego komentarza i wtłoczona w całkiem zręcznie skonstruowaną opowieść.

Bez wzmoczonej metaforyzacji natomiast obywa się **Siergiej Minajew** (ur. 1975) w dosyć pretensjonalnej powieści **DUCHLESS. OPOWIEŚĆ O NIEPRAWDZIWYM CZŁOWIEKU**. Aluzyjność, jakkolwiek tam jest, trudno nazwać cienką. Przesłanie intrygujące, ponieważ łączy się z Rosją, jest jednak mocno topatologiczne i jednowymiarowe, a odniesienie w tytule (czytelne dla starszych pokoleń), bardzo naciągane.

Oto w Moskwie i w Sankt Petersburgu, a także w kilku innych metropoliach zainstalowały się filie zachodnich firm, z rosyjskimi szefami (ale pod obcym nadzorem) i z rosyjskim personelem, dobrze wykształconym w Rosji oraz przeszkolonym za granicą. No i właśnie: wszystko co ewentualnie dobre (nie ma tego wiele) wywodzi się z kraju, z Zachodu natomiast przywędrowało zepsucie. A to przecież wielowiekowa rosyjska fobia uzasadniająca izolację i niechęć do całego świata.

Tutejsi *yuppies* świetnie w tych firmach zarabiając, zbijają bąki i fałszują dokumenty, zwłaszcza sprawozdawcze, a czas spędzają głównie w nowych modnych klubach, na pijaństwie, obrocie i zażywaniu narkotyków, oraz na intensywnym a przypadkowym seksie. W ten sposób marnuje się młoda i zdolna rosyjska młodzież? No bo tak jest dzień po dniu, w każdym z tych „skażonych” miast podobnie, na pozór wśród innych konfratrów lecz tak naprawdę w samotności, bez uczuć i trwałych relacji, bez sensu i bez myślenia co dalej. Przywleczone z Zachodu fascynacje materialne żenią się z miejscowym zamięłowaniem do oszustw, do korupcji oraz do nieróbstwa i bylejakości. Każdy jest tak dalece oszołomiony mirażem robienia fortuny, że wszyscy są rywalami przeciw wszystkim, oszukują i niszczą się też wzajemnie: nikt nie ma szacunku ani dla siebie, ani dla nikogo.

Byłaby to może opowieść co najmniej szokująca, a może nawet dająca do myślenia, gdyby nie bezbarwna, drewniana opisowość oraz liczne powtórzenia, zalatujące nudą. Bo sama sygnalizowana codzienność może sobie być monotonna i zawsze oraz

wszędzie identyczna, ale monotonia nie przystaje do opowieści. Zabrakło rozsądnej ekspresji, a z drugiej strony – zakamuflowane moralizowania i (jednak) postsowieckie resentymenty nie inspirują kreatywnego czytania.

Nie wystarczy bowiem, że pusta codzienność poraża; w powieści powinna porażać „relacja” na temat tej pustki, a tak jednak nie jest. Zetknięcie się praktyk oraz mentalności zachodnich i wschodnich, szczególnie rosyjskiej i to właśnie postradzieckiej, to na pewno materiał na frapujący tekst. Ale sam jałowy opis i wyrzekanie (nawet jeśli to przyniosło powieści powodzenie w Rosji) – zwłaszcza w zestawieniu: nasze wartości i cudze zepsucie – to jednak trochę za mało jak na wybredniejsze gusty.

Pustkę codzienności zupełnie inaczej, bo w sposób skrajnie przygnębiający sygnalizuje **Bajan Szyrianow** (właśc. Kirił Worobiov, ur. 1964) w ułożonej z cyklu nowel, prowokacyjnie obscenicznej powieści **NIŻSZA SZKOŁA JAZDY**. Nie od wczoraj pomawiany (jakaś racja jest) o zachlustywanie się pornografią i nawet oskarżany o to w sądach, nie tylko w tym tekście eksponuje wątki i opisy erotyczne, a właściwie anatomiczno-fizjologiczne, nieraz na granicy obrzydliwości. Przede wszystkim jednak fabuła kręci się wokół świata narkomanów na okrągło szprycujących się efedryną, na początku do utraty świadomości, a z czasem do utraty życia. Epatowanie wulgaryzmami oraz skrajnym naturalizmem w opisach, to specjalność Szyrianowa – co w publicznych wypowiedziach próbuje niekiedy tłumaczyć intencją ironiczną, ale to tylko takie gadanie. Opowieści w tym tomie są z gatunku „ekstramocnych” i nie każdemu czytanie będzie w smak.

Owszem, można przyjąć, że w założeniu tak naszkicowany pejzaż świata bezsensownego, zmierzającego wyłącznie ku samounicestwieniu, miał być symbolem rzeczywistości nieakceptowalnej, w której nie ma czegoś takiego jak normalne życie. Nie da się też autorowi odmówić umiejętności pisarskich, a całej tej opowieści – wartości literackich. Dla przykładu scena, kiedy wieczorną porą na ulicy zasiedlonej uprzednio przez licznych narkomanów, nagle w wielu oknach nie palą się światła, jest świetnie skonstruowana i ma swoją wymowę.

Jednak nad całością zaciążyła (tu z kolei – nadmiernie) szokująca ekspresja oraz przeładowanie wulgarnością, co być może napędziło czytelników, ale nie sprzyja refleksji. Za bardzo to wszystko odbiega od potocznych wyobrażeń o rzeczywistości, nawet zdegenerowanej, żeby z tego czytania wykluła się jakakolwiek kreatywna myśl. Następuje brutalny wstrząs, ale dla samego wstrząsu. Jak w okrutnej bajce, która w pierwszej chwili przeraża, ale później zaciera się w pamięci, jak prawie wszystko, co kojarzy się źle.

WCZORAJ I POJUTRZE

Ilija Mitrofanow, *Świadek*, przeł. Aleksander Horodecki, Wydawnictwo Claroscuro, Warszawa 2011.

Izrail Metter, *Piąty kąt*, przeł. Henryk Chłystowski, PIW, Warszawa 2011.

Władimir Sorokin, *Cukrowy Kreml*, przeł. Agnieszka Lubomira Piotrowska. Wydawnictwo WAB, Warszawa 2011.

Dmitry Glukhovskiy, *Metro 2033*, przeł. Paweł Podmiotko. Insignis Media, Kraków 2010.

Sygnat czasu współczesnego bywa w powieściach dopowiedzeniem, że skoro to o czym mowa „dzieje się” teraz i tutaj, to również refleksje oraz metaforyka odnoszą się do rzeczywistości bieżącej. Kiedy natomiast sceniczne tła i fabuły wybiegają w przyszłość, to nieuchronnie kryje się za tym prognoza: do czego dzisiaj i jutro zmierzamy. Z kolei grzebiąc w przeszłości szuka się źródeł i przyczyn teraźniejszości, rozlicza je z tego, co jest obecnie i tych rosyjsko-postsowieckich rozliczeń rejestruje się mnóstwo – mądrych, banalnych, bądź absurdalnych. Coraz trudniej zatem dodać do nich coś nowego i rzeczywiście produktywnego, ale czasami to się udaje, jak w powieści **Ilija Mitrofanowa** (1948-1994) **ŚWIADEK**, słusznie przywołanej z przeszłości, bo pod każdym względem oryginalnej i poruszającej.

Zapamiętałem autorski debiut sprzed wielu lat, w sposób zdumiewający Mitrofanow posługiwał się językiem, wprawdzie też rosyjskim, ale jak nikt – i tak już zostało. Umarł w niejasnych okolicznościach. Zaginął na rowerowej wycieczce i chociaż nieprzytomnego odnalazła żona, w kilka dni później już nie żył.

Do Moskwy przywędrował Mitrofanow z Besarabii, więc z dawnego rumuńsko-rosyjskiego pogranicza i tam też ulokował akcję swojej powieści, sytuując ją w czasie aneksji tych obszarów przez ZSRR. W efekcie skonstruował kronikę zagłady, czyli implementacji realnego socjalizmu, od niezborynych początków po całkowitą rujnację regionu i eksterminację mieszkańców. W literaturze i w faktografii nie brakuje wprawdzie apokaliptycznych portretów zarania sowieckiej rzeczywistości, jednak propozycja Mitrofanowa jest odmienna – przeniesiona w inny czas i wyciszona, wolna od strzelaniny i bitewnych zgiełków, ale na swój sposób wstrząsająca.

Oto bowiem w dotychczasową rumuńską, zgrzebaną wprawdzie lecz jednak spokojną normalność, wdzierają się nagle sowiecki chaos, z absurdalnym porządkiem, buńczuczными sloganami i całym nareczem korupcyjno-ideologicznych praktyk. Kto spóźnił się z ucieczką przez graniczną (odtąd) rzekę, temu został przypisany kasacyjny los: o czym opowiada się z perspektywy miejscowego fryzjera, którego pozycja obserwatora zamieniła się rychło w rolę ofiary. Nowy (nie)porządek całkowicie zniszczył wszystko, co istniało lub istnieć mogło i to było jedyne następstwo „socjalistycznego” ruszania z posad bryły świata. Co – oglądane przez okno pipidówkowej razury – robi wrażenie niesamowite.

Podobnie powieść **PIĄTY KĄT**, którą autor **Izrail Metter** (1909-1996) napisał wprawdzie w 1967, ale zdołał opublikować dopiero w 1990 roku, wprowadzając trochę zmian, które pierwotną ekspresję nieco osłabiły. Na co zapracowały również zbyt natrętne próby wydawców oraz krytyków utożsamienia jej z autobiografią. Bo wprawdzie taka relacja istnieje, ale sam autor, mimo że okresowo prześladowany, odniósł wiele literackich sukcesów w kraju oraz za granicą. Tymczasem powieść żadnych sukcesów nie sugeruje. Przeciwnie, to jest opowieść o egzystencji outsidera, któremu „szczęśliwie” udało się przetrwać, lecz jego

wizja kończącego się życia jest metaforą absolutnej porażki.

Centralną postacią powieści jest żydowski samouk, który mimo fatalnego jak na sowieckie czasy pochodzenia – nie dość, że Żyd, to jeszcze syn prywaciarza – i braku dyplomu, osiągnął status uniwersyteckiego wykładowcy. Ale jego prywatne życie było bez wyjątku tymczasowe, doraźne, uwikłane w nieodwzajemnione uczucia i niebezpieczne przyjaźnie, od których musiał uciekać, żeby nie złowiły go organy represji. A w tej nieustannej rejteradzie przyszło mu obserwować jak giną inni, jak zwyczajni ludzie stają się oprawcami oraz jak oprawcy zmieniają się w ofiary. Ów tytułowy piąty kąt to zwrot przejęty z praktyk w czekistowskich katowniach.

Cała jego egzystencja, niewolna zresztą od postępów niecných, była skażona trwałym strachem i niewolniczo podporządkowana potrzebie przetrwania. Tak bowiem został skonstruowany system, a według tego systemu – świat, w którym przyszło egzystować. Jemu akurat udało się przeżyć, ale innym – nie.

Kiedy kończąc życie stary człowiek spogląda wstecz, najchętniej próbuje wyłuskać zdarzenia miłe, przyjazne, spowinowacone z radością. Trochę takich było, ale niewiele i dawno, więc po wielu latach trudno je odtworzyć i w żaden sposób nie można ponownie zachłysnąć się tamtą radością. Nieludzki system zniszczył ją do cna.

Z kolei powody przenoszenia czasu akcji powieści (i filmów) w **przyszłość** są tak rozmaite i liczne, że byłoby trudno je tutaj spisać. Konkretnie Władimir Sorokin (ur. 1955) wpisał swój tom opowiadań **CUKROWY KREML** w iluzoryczny rok 2028, z zamiarem zasygnalizowania, że przez tyle lat zmieniają się tylko akcesoria oraz dekoracje, ale istota rzeczywistości rosyjskiej pozostanie taka sama. Być może dlatego włączył w ten zbiór przerobione opowiadanie **Kolejka** złożone z samych dialogów, które w innej wersji opublikował pod koniec ery Breżniewa. Bo jego zdaniem przyszłość to przeszłość i teraźniejszość razem, tyle że ze zmienioną datą.

Brzmi mało promiennie i o to chodzi. Bo ma to być (pośrednio) traktat o ciągłości rosyjskiej władzy, niezmiennej w formie od praktyki Iwana Groźnego, być może w pierwotnych intencjach postępowej, ale opartej na powszechnej inwigilacji oraz na przemocy i zbrodni. Otóż to się nie zmieni – sugeruje autor.

Tak jak i sama rzeczywistość przeniesiona żywcem z czasów stalinowskich, tyle że wyposażona w niebywałą maszynierię automatyczną i pełna Chińczyków, którzy rozleżą się po Rosji jak karaluchy. Ludzie jak dawniej będą mieszkać w komunałkach oraz wystawać w kolejkach po cokolwiek, ogólne dziadostwo utrzyma się dookoła i jeszcze więcej będzie idiotów. Na wsi przetrwają kołchozowe obyczaje oraz drewniane wychodki, zaś w automatyczno-manufakturalnych fabrykach silniejszy od ruchu stachanowskiego okaże się tylko zwyczaj spontanicznego ciupciana.

Nie można zatem powiedzieć, żeby autor postrzegał przyszłość w optymistycznym świetle. Lecz nie pozostawia czytelników w rozpacz – ma pomysł na każdą frustrację. Wystarczy mianowicie polizać cukrową figurkę Kremla i natychmiast wróci wigor oraz radość życia.

Sorokin to bardzo zręczny prozaik, jego teksty zaskakują formą i pomysłami narracyjnymi, na czym

niekiedy cierpi czytelność, ale prawdziwe mistrzostwo osiągnął w sztuce prowokacji. Nie przyjął nagrody Bookera, chętnie podgryza Putina, co spowodowało nagonkę proputinowskiej młodzieżówki, oraz z zasady nie przejmuje się prawami autorskimi. Stąd w tym tomie mnóstwo powtórek i zapożyczeń – żeby nie użyć ostrzejszego sformułowania. Samo lizanie cukrowej figurki to wszak prymitywny plagiat Lemowej szpulki.

Jednak efekt jest. Za granicą uważa się Sorokina za prozaika co najmniej wybitnego, z czym można dyskutować – jest bardzo nierówny. Zaś w samej Rosji kostium prowokatora też pracuje na popularność, którą jednak akurat ten tom niekoniecznie uzasadnia.

Narracyjnie oraz promocyjnie sprawny jest też **Dmitry Glukhovsky** (ur. 1979) – nie wiem kto i po co wymyślił u nas tak bezsensowną pisownię imienia i nazwiska – autor dobrej powieści rozrywkowej **METRO 2033** oraz kilku podobnych, ułożonych w cykl ze słowem „metro” w tytule. Akcja wmontowana w iluzoryczny 2033 rok, po atomowej zagładzie świata naziemnego toczy się pod ziemią, w tunelu moskiewskiego metra, gdzie nieliczni ocaleni zagospodarowali obszary, w których dało się jakoś żyć, a podzieleni na frakcje, zaczęli ze sobą wzajemnie walczyć. Żeby zaś było jeszcze groźniej – na wszystkich, którzy przeżyli, czyhają też niebezpieczeństwa nowe.

Przytłaczającą atmosferę osaczenia oraz mroczny, ponury nastrój, udało się Głuchowskiemu zarysować perfekcyjnie. Wątki fabularne natomiast, jakkolwiek liczne i serwujące kolejne zagadki, nie są (moim zdaniem) w pełni zaskakujące, a to w tego rodzaju powieści można uznać za słabostkę. Z kolei, właśnie ze względu na gatunek, nie warto doszukiwać się głębszych refleksji, ewentualnie poza ogólną, ale dość banalną: że oto świat rzeczywiście oszalał i nawet apokalipsa nikogo nie nauczyła niczego.

Jednak przypadek Głuchowskiego zasługuje na uwagę także z zupełnie innego powodu. Otóż swoje opowieści „metroidalne” konstruował pierwotnie w segmentach, na publicznie dostępnym interaktywnym blogu internetowym, skrzętnie rejestrując opinie, sugestie i propozycje internautów, a potem wykorzystywał je (w rozsądny sposób) już w całościowo wydawanych powieściach. Zapewne stąd właśnie mało w nich zaskoczeń fabularnych i akcesoryjnych, bo przecież współblogerzy podpowiadali to, co już znali z innych produkcji. Natomiast sukces komercyjny (to nic złego!) oraz czytelniczy został bez trudu osiągnięty – nie tylko w Rosji.

Co ciekawe, autor posłużył się praktyką znaną wcześniej w USA jako *streetlit*, *gangsterlit*, *ghettolit* albo *urban fiction* i przeżywającą tam obecnie renesans. To są na poły autobiograficzne opowieści latynoskich i czarnych gangsterów oraz dealerów z tamtejszych metropolii, skazanych na wieloletnie odsiadki. Podczas pobytu w więzieniach niektórzy wprowadzali (wprowadzają) do internetu fragmenty swoich relacji właśnie jako blogów, gromadząc nadsyłane opinie i uzupełnienia. Po wyjściu na wolność większość z nich wydaje te teksty we własnym zakresie jako książki i sprzedaje na ulicach, a za najlepsze wzięli się nawet profesjonalni wydawcy. Raperce o pseudonimie Sister Soulayah wydano w ten sposób opowieść w kilkusettyśmiej nakładzie.

Pod tym względem Głuchowski jest niewiele gorszy. *Metro 2033* (i pozostałe opowieści) jest w obiegu – także poza Rosją – nie tylko w wersji drukowanej, lecz również jako *ebook*, oraz w postaci elektronicznej gry fabularnej.

KIEDYS

Wiktor Pielewin, *T*, przeł. Ewa Rojewska-Olejarczuk, Wydawnictwo WAB, Warszawa 2012.

Dina Rubina, *Biały gołąbek z Kordoby*, przeł. Margarita Bartosik, Wydawnictwo Literackie MUZA S.A., Warszawa 2012.

Usytuowanie zdarzeń w określonym czasie rzeczywistym bywa w powieściach główną przesłanką refleksji, czasami filozoficzną metaforą albo estetycznym zabiegiem konstrukcyjnym. Ale zdarza się również, że na czytelniczą refleksję nie ma specjalnego wpływu – jeżeli sens ma charakter uniwersalny i fabularne wydarzenia można wtedy usytuować kiedykolwiek. Tak bywa w powieściach najlepszych i o takich właśnie chciałbym teraz wspomnieć.

Przodujący obecnie rosyjski prozaik **Wiktor Pielewin** (ur. 1962) chętnie u nas wydawany i co ciekawe – czytany, zaprezentował się niedawno powieścią pod tytułem: *T*. Już sam ten tytuł sygnalizuje, że to jest groteskopisarz, intelektualny prześmiewca rzeczywistości oraz nadrzeczywistości, który ze wszystkiego robi sobie jaja, ale ma w tym cel i dużo mądrego do powiedzenia. A że jest przy tym z urodzenia narratorskim tygrysem, potrafi opowiadać jak mało kto, wszystko co opublikuje, ma od razu markę wysokiej jakości.

Tym razem jest to opowieść o nieograniczonych możliwościach powieściowej kreacji i o literackiej swobodzie – lecz skonstruowana rewelacyjnie, jako swoista sałatka z dowcipów – odmiennej niż rzeczywistość prawdziwa i diametralnie różnej od kanonów prozy realistycznej, którymi literatura (zwłaszcza rosyjska, ale nie tylko) karmiła świat przez stulecia. A po co to i czemu właśnie tak? Otóż to jest ukłon ku idei ludzkiej wolności oraz swobody przekonań, czemu poza literaturą służy mało co.

Dlatego w powieści trochę na podobieństwo *Boskiej komedii* (kojarzy się też *Czewengur* Andrieja Płatonowa) dominuje motyw wędrówki w czasie i przestrzeni po różnych kręgach Rosji, świata, kosmosu i oczywiście – literatury. Wędrowcem jest zaś główna ikona rosyjskiej kultury i świadomości narodowej, Lew Tołstoj, tyle że tutaj daleki od wizerunku pomnikowego i od własnej filozofii, bo rzutki, jurny (w każdym wieku; jego metryka jest w powieści płynna) i agresywny. Nazywany jest przez dziennikarzy i przez paparazzich hrabią Te, dla uniknięcia pozwów procesowych oraz mordobicia, bowiem sprawnością w sztukach walki, krewki mistrz literatury i filozofii przewyższa swoje umiejętności pisarskie, a nawet skłonności erotyczne.

Czas kalendarzowy i chronometryczny jest w tej powieści pokawakowany oraz przemieszany. Dzięki temu powieściowy Tołstoj spotyka się z Dostojewskim i z filozofem Sołowjowem (faktograficznie możliwe) oraz z carem Pawłem I (niemożliwe) – to ten, któ-

ry ułaskawił Kościuszkę, ale słyszał też o Gorkim i Czapaiewie, a czekistów ortodoksyjnych odróżnia od czekistów liberalnych. Ta zdumiewająca mieszanka układa się jednak precyzyjnie w jednolity, scalony wizerunek Rosji ostatnich lat i stuleci, bez podziałów na epoki oraz śródepoki. To jest **jedna** Rosja (nie mylić z nazwą partii), o której właściwie nikt w ten sposób nie myśli.

Z tych wszystkich powikłań, anegdot, prześmiewców, ale także przedrzeźniających odniesień bezpośrednich (jakkolwiek czytelnych głównie dla Rosjan), generuje się zaś idea niczym nieskrępowanej swobody literatury, która zapewnia niezależnym umysłom to, co dla nich najważniejsze: wolność i prawo kreatywnego myślenia. To ważne sugestie w czasach, kiedy co drugi przepowiada literaturze zagładę.

Dorównuje Pielewinowi narracyjną sprawnością **Dina Rubina** (ur. 1953), a w powieści najnowszej **BIAŁY GOŁĄBEK Z KORDOBY** przebiła pod tym względem wszystko, co opublikowała dotychczas. Napisała zaś samych powieści niemało i każda była w Rosji literackim wydarzeniem, mimo że autorka od lat mieszka w Izraelu, a do kraju jedynie zagląda oraz wzbudziła zainteresowanie za granicą. Również w Polsce, stąd kolejny przekład.

Czas w powieściach Rubiny nie rzuca się w oczy, sygnalizowany ogólnie jako symboliczne „teraz”, ale ma swoje znaczenie. Ta ostatnia powieść jeszcze bardziej niż poprzednie jest dramatyczną opowieścią o wiecznej (nieustannej ale i współczesnej) tułaczce wygnanińców z własnej ojczyzny i o rozpaczliwym poszukiwaniu miejsca do życia. Tymczasem takiego miejsca w rzeczywistości nie ma. Można tylko przystanąć na chwilę, przykleić się tu lub ówdzie, ale to nie jest stabilność trwała.

Dla Żydów-tułaczy, więc dla każdego kto rusza w wędrówkę przez życie, nie ma Ziemi Obiecanej. Przez moment może nią być dowolny skrawek świata, kilka chwilowo wydzierzawionych arów, lecz w dłuższym wymiarze czasu tak jednak nie jest. Nie stał się żadną oazą Izrael – to miraż, który po pierwszym zetknięciu przyska. I nie jest nią również kraj urodzenia, który tych wszystkich tułaczy nie potrzebuje i nie chce. Nigdy nie chciał i nie potrzebował. Trudno więc nie zadać w tym miejscu pytania: a nas? Kimkolwiek oraz gdziekolwiek jesteśmy.

I takie pytanie w powieści pada. Nieoczekiwanie, jakby mimochodem, ukryte pod warstwą wspaniałej narracji, w opakowaniu świetnej lektury.

To taki klasyczny, modelowy mariaż. Powieści mianowicie powstają też po to, żeby samo czytanie sprawiało przyjemność. Ale jednocześnie trzeba, aby wykuła się z tego produktywna refleksja. No i taka tam jest: wmieszana w losy genialnego fałszerza malarzkich dzieł sztuki, a zarazem uznanego w świecie eksperta.

Fałszerstwo zostało zespolone ze znanstwem – przez pasję, obsesję, oraz przez fascynację sztuką najwyższego poziomu. I ta pasja właśnie stała się formułą egzystencjalną, drogowskazem w całozyciowej wędrówce donikąd. Na czym warto – zdaniem Rubiny – choćby przez chwilę skupić myśli.

JACEK WOJCIECHOWSKI

LIDIA GERINGER DE OEDENBERG

DZIEŁA SIEROCE WYCHODZĄ Z WIĘZIENIA PRAW AUTORSKICH

XXI wiek przyczynił się do komputeryzacji niemalże każdej dziedziny naszego życia. Za pośrednictwem internetu ludzie szybko pozyskują potrzebne informacje, kupują, sprzedają, pracują, rozmawiają ze znajomymi, oglądają filmy, słuchają muzyki, czytają książki...

Digitalizacja dzieł kulturalnych sprawia, że dostęp do nich może być powszechny, wraz z realizacją tego pomysłu wypłynęła kwestia tzw. dzieł osieroconych, czyli utworów chronionych prawem autorskim (np. książki, czasopisma, gazety, zdjęcia, rysunki w nich publikowane, filmy, utwory muzyczne), których autor jest nieznany, bądź też nie ma żadnej możliwości kontaktu z nim. Zgodnie z prawem, aby móc wykorzystać dzieło, należy uzyskać zgodę właściciela praw do utworu. Jak to zrobić, gdy nie można go odnaleźć?

Niemalże każda europejska biblioteka, archiwum czy muzeum ma w swoich zbiorach dzieła, których właśnie z tego względu nie może udostępnić w formie online. W niektórych wypadkach dzieła osierocone stanowią 70 proc. wspomnianych zbiorów!

Przed rozpoczęciem unijnych prac nad nową regulacją pierwsze próby udostępniania dzieł osieroconych podjęto w Stanach Zjednoczonych, gdzie koncern Google rozpoczął na masową skalę digitalizację książek – w tym dzieł sierocych – by zamieszczać je na ogólnodostępnej własnej stronie internetowej. Projekt ten został szybko zablokowany przez amerykański wymiar sprawiedliwości, który uznał działania Google za sprzeczne z prawem, bowiem przed digitalizacją nie uzyskano na nią zgody autorów. Potrzeba uregulowania kwestii „artystycznych sierot” ujawniła się wtedy z dużą siłą. Nowe zasady, które wprowadzamy obecnie unijną dyrektywą, mają nie tylko pozwolić na udostępnianie dzieł sierocych, ale jednocześnie skutecznie chronić instytucje przed procesami sądowymi o naruszenie praw autorskich.

Ponieważ w wielu krajach członkowskich UE nie było odpowiednich regulacji prawnych w kwestii dzieł osieroconych¹ – Komisja Europejska w 2010 r. opubli-

kowała raport opisujący dotychczasowe różne praktyki związane z digitalizacją takich dzieł, a następnie propozycję dyrektywy regulującej ich udostępnianie. W odpowiedzi na projekt Komisji w 2011 r. Parlament Europejski powierzył mi przygotowanie legislacyjnego sprawozdania w tej kwestii. Poniżej kilka istotnych informacji na temat nowoutworzonego unijnego prawa:

Dyrektywa swoim zakresem obejmuje instytucje publiczne: biblioteki, archiwa, stacje telewizyjne, które zgodnie z nową regulacją będą mogły udostępniać swoje sieroce, zdigitalizowane zbiory, pod pewnymi warunkami...

Najpierw dzieło musi uzyskać status „sierocy”.

Utwór, którego posiadacza praw autorskich, po „skrupulatnych” poszukiwaniach (*diligent search*) przeprowadzonych przez jedną publiczną instytucję w jednym z krajów członkowskich, nie udało się ani zlokalizować ani zidentyfikować – uznaje się za dzieło sieroce w całej Unii.

Dyrektywa precyzuje ściśle kryteria przebiegu takich poszukiwań wraz ze spisem dostępnych online rejestrów, które należy sprawdzić. Poszukiwania muszą być przeprowadzone w dobrej wierze, a sam ich proces nie może być zbyt trudny, by pracownik np. biblioteki mógł go skutecznie przeprowadzić.

Utwory, które uzyskają status dzieł osieroconych, będą mogły zostać bezpłatnie udostępniane w całej UE online przez instytucje ujęte w zakresie dyrektywy. Ewentualne korzyści majątkowe uzyskane z tytułu ich wykorzystania będzie można użyć tylko na dalszą digitalizację – zgodnie z celami statutowymi danej instytucji.

Dyrektywa dotyczy wszelkich dzieł drukowanych i audiowizualnych, które zostały wcześniej udostępnione: opublikowane lub wyemitowane na obecnym terenie Unii Europejskiej. Co ciekawe, dyrektywa ujmuje też dzieła wystawione publicznie przez wspomniane instytucje, np. na wystawie fotografii, a także dzieła niepublikowane ze względów politycznych (zakwestionowane przez cenzurę) przy domniemaniu, iż posiadacz praw miał zamiar ich publikacji, ale nie było to w danym czasie możliwe.

¹ Nowa regulacja nie narusza istniejących systemów tzw. rozszerzonych licencji, dobrze funkcjonujących szczególnie w krajach skandynawskich.

Osobnym problemem były tzw. „pół-sieroty”, czyli dzieła zbiorowe, zablokowane np. przed digitalizacją przez brak możliwości uzyskania zgody tylko od jednego z autorów. Tu dyrektywa proponuje uznanie dzieła za sieroce w tej części, w której autor jest nieosiągalny, zaś pozostali znani właściciele praw autorskich otrzymają w takim przypadku należne im wynagrodzenie od „reszty” utworu.

W przypadku odnalezienia się autora w każdej chwili będzie miał on prawo do zniesienia statusu dzieła osieroconego oraz prawo do roszczeń związanych z użytkowaniem dzieła. Ustaliliśmy jednak, że nie będzie to wynagrodzenie, ale kompensata, na ewentualność której trzeba utworzyć specjalny fundusz. Zasady przyznawania odszkodowań mają być regulowane przez prawo danego kraju.

Po wdrożeniu dyrektywy powstanie specjalny wspólnotowy katalog dzieł osieroconych przeznaczony na użytek wszystkich bibliotek, archiwów czy muzeów, który umożliwi upublicznianie tych utworów na szeroką skalę, niezależnie od kraju, w którym powstały czy zostały uznane za sieroce.

Dyrektywa, o dozwolonym użytku dzieł osieroconych, to śmiały projekt mający aspirację do miana rewolucji prawnej w sposobie myślenia o prawie autorskim. Pierwszy i przełomowy krok do ujednoczenia prawa autorskiego na terenie całej Unii Europejskiej.

Obecnie prawa autorskie regulowane są przez każdy kraj członkowski, co powoduje, że dostęp do pewnych utworów muzycznych, filmów czy programów telewizyjnych emitowanych np. na terenie Polski jest niemożliwy w Niemczech, Belgii, Francji i innych państwach UE. „Dopuszczalny użytek” sierociego utworu na terenie wszystkich krajów członkowskich – to absolutna nowość w myśleniu o prawach autorskich w UE.

Głównym celem dyrektywy było poszerzenie dostępności europejskiego dziedzictwa kultury, wzbogacenie ciągle powiększającej się wirtualnej unijnej biblioteki Europeana i wszystkich innych bibliotek, które chciałyby w określony sposób dysponować konkretnym dziełem sierocym.

W pracach nad projektem było wiele kwestii spornych. Przede wszystkim niektóre kraje nie widziały potrzeby ustanawiania nowej regulacji, gdyż miały pomysły na własne rozwiązania (Francja), inne z powodzeniem stosowały system licencyjny z opłatami pobieranymi automatycznie przez organizację zarządzającą prawami autorskimi, nawet jeśli w praktyce nie ma komu przesłać wynagrodzenia, gdyż jest to dzieło sieroce (kraje skandynawskie). Duża grupa państw uważała, że praw autorskich nie potrzeba harmonizować i nie chciała uczynić też wyjątku dla dzieł sierocych, skazując tym samym część naszego wspólnego dziedzictwa na zapomnienie.

Dodatковым problemem już na późniejszym etapie negocjacji było tzw. „komercyjne użycie dzieła” przez instytucję publiczną, która z definicji nie jest przecież nastawiona na zysk. Takim wykorzystaniem może być przykładowo użycie cytatu z książki „sierociej” w wydawnictwie sprzedawanym w sklepiku muzealnym, czy „sierociego” zdjęcia na kubku. Ponieważ większość bibliotek nie posiada wystarczających

środków na digitalizację, a na większe publiczne dofinansowanie liczyć nie może, uznałam, że uzyskany dochód z użycia dzieła osieroconego może wspomóc ich skromne budżety.

Zakresem dyrektywy objęte są także telewizje publiczne mające w swoich zbiorach bogate zbiory archiwalnych nagrań, których nie wykorzystywały dotąd, gdyż nie były w stanie dotrzeć do ich autorów, by uzyskać zgodę na udostępnienie. Ponieważ publiczni nadawcy działają też częściowo komercyjnie, zatem gdyby cała „komercja” była wykluczona, nie mogliby praktycznie skorzystać z dyrektywy i wykorzystywać dzieła sieroce. Nowa legislacja miałaby tym samym ograniczone stosowanie i małą skuteczność w poszerzaniu dostępu do naszego dziedzictwa kulturalnego.

Prace nad dyrektywą rozpoczęłam jeszcze z Radą UE pod polskim przewodnictwem w drugiej połowie 2011 r. i myślę, że naszym wspólnym sukcesem było wtedy wypracowanie płaszczyzny i wstępnego stanowiska w sprawie dozwolonego użytku dzieł osieroconych oraz zapoczątkowanie – powtórzę po raz wtóry – rewolucji w myśleniu o prawie autorskim. Dalsze debaty toczono już z duńskimi negocjatorami (pierwsza połowa 2012 r.), a po ponadrocznych negocjacjach udało się uzyskać bardzo dobry kompromis już za cypryjskiej prezydencji w drugiej połowie 2012 r. Z silnym mandatem politycznym wyrażonym najpierw przez jednomyślne przyjęcie w głosowaniu przez Komisję Prawną (co zdarza się niezwykle rzadko), a potem przez zdecydowaną większość w głosowaniu plenarnym w Parlamencie Europejskim, ze zgodą Rady Europejskiej i poparciem Komisji Europejskiej dyrektywa o dozwolonym użytku dzieł sierocych w końcu ujrzała światło dzienne pod koniec 2012 roku. Kraje członkowskie mają do końca 2014 roku termin jej wdrożenia.

Teraz trwa proces dostosowywania porządku prawnego każdego z państw UE do jej zapisów. Gdy nowa legislacja wejdzie w życie, po roku jej działania przewidziana jest już ewentualna rewizja dotycząca poszerzenia zakresu stosowania dyrektywy o wydawców i inne podmioty niepubliczne oraz utwory niewłączone obecnie do zakresu jej stosowania (np. o samodzielne fotografie niepublikowane jako utwory zawarte w innym dziele).

Tuż przed wakacjami pojawiła się ponownie ważna kwestia związana z dziełami osieroconymi przy okazji nowej dyrektywy dotyczącej zbiorowego zarządzania prawami autorskimi i pokrewnymi, w kontekście licencji paneuropejskich. Przy okazji nowej regulacji udało się wnieść poprawkę, która określa, że fundusze zebrane przez organizacje zbiorowego zarządzania prawami, mające trudności z trafieniem do autorów (gdyż nie można do nich dotrzeć), mają być przekazywane właśnie na digitalizację dzieł osieroconych, a nie zatrzymywane jak dotąd na kontaktach organizacji zbierających opłaty.

Obecnie w Polsce zajmujące się „dyrektywą sierocą” Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego jest na etapie prowadzenia konsultacji społecznych. Odbývają się różne seminaria i konferencje, pojawiają się też pytania.

Przykładowo uczestnicy Forum Prawa Autorskiego zwrócili uwagę, że przyszłe regulacje wprowadzane za pomocą systemowej licencji powinny w pełni zezwalać na komercyjne wykorzystywanie dzieł osieroconych, co poszerzyłoby znacznie zakres podmiotów mających do nich dostęp.

Najwięcej kontrowersji dla „Koalicji Otwartej Edukacji” wzbudzają zapisy dotyczące „starannego poszukiwania”, gdyż nikomu do tej pory jeszcze nie udało się wdrożyć skutecznego systemu odnajdywania „zaginionych autorów”.

Kolejną kwestią do rozwiązania na poziomie krajowym jest wypłata rekompensaty za korzystanie z utworów osieroconych. Zaproponowano, aby była ona ograniczona wyłącznie do wykorzystania komercyjnego, dodatkowo powinno się brać pod uwagę to, czy i jakie korzyści uzyskał użytkownik z wykorzystania dzieła.

W ramach prowadzonych konsultacji pojawia się wiele pytań i wątpliwości, co moim zdaniem jest dobrym zjawiskiem, gdyż pokazuje, jak szerokie pole do wnoszenia własnych szczegółowych propozycji zostawia Parlament Europejski krajowym prawodawcom. Mają oni możliwość dostosowania dyrektywy do własnych krajowych rozwiązań, a na przeprowadzenie całego procesu legislacyjnego jest jeszcze sporo czasu, gdyż termin na implementowanie dyrektywy o dziełach osieroconych mija dopiero 29 października 2014 r.

Podsumowując teraz całość prac, przypomniałam sobie zabawne *qui pro quo* związane z tłumaczeniami. Od początku pracowałam na projekcie dyrektywy Komisji Europejskiej przygotowanym po angielsku, w tym języku toczyły się też wielomiesięczne rozmowy i negocjacje. Poprawki i wszystkie ostateczne kompromisy były uzgadniane tylko angielsku. „Orphan work” – dzieło sieroce, to termin prawny, niestety jak się okazało nieznanym wszystkim tłumaczom. Podczas debaty przed ostatecznym głosowaniem nad kompromisowym tekstem na sesji plenarnej ze zdziwieniem wysłuchałam głosu oburzonego węgierskiego posła (niebiorącego wcześniej udziału w pracach Komisji Prawnej), którego zdaniem przygotowywanie dyrektywy specjalnie dla sierot i zmuszanie ich do pracy w bibliotekach i archiwach to prawdziwe nadużycie...

Podczas głosowania w Komisji Prawnej przyznającego mnie mandat negocjacyjny z Radą i Komisją także doszło do dziwnego incydentu. Jako główny sprawozdawca bardzo dokładnie obserwowałam głosujących nad moim raportem, prawie wszystkie zaproponowane przeze mnie i długo negocjowane kompromisy zostały przyjęte. Jednak szczególnie ważna dla mnie poprawka dotycząca tzw. pełnego dopuszczalnego komercyjnego użycia dzieła, wg moich obliczeń mająca uzyskać poparcie większości, w głosowaniu ku mojemu zdziwieniu odpadła. Jak ogłosił prowadzący głosowanie przewodniczący Komisji Prawnej Klaus-Heiner Lehne, 12 posłów było za, a 14 przeciw. Sęk w tym, że uprawnionych do głosowania było tylko 23 posłów. W Komisji Prawnej zasiada ogółem 24 członków uprawnionych do głosowania, z czego jeden był w tym dniu nieobecny i przez nikogo nie został

zastąpiony, z tego wniosek, że w głosowaniu wzięło 113 proc. obecnych...

Wystosowałam list do przewodniczącego JURI w tej sprawie, który przesałam też do wiadomości wszystkich członków Komisji Prawnej. Byłam przekonana, że gdyby nie „błąd” w głosowaniu, mogłabym mieć większość za moją propozycją. Zasugerowałam zatem, by powtórzyć głosowanie przy użyciu kart do głosowania (wtedy system rozpoznaje nieuprawnionych np. zbyt wielu posłów – zastępców). Otrzymałam jednak odpowiedź odmowną, z której się dowiedziałam, iż ponowne głosowanie nie jest możliwe, a pomyłka w ogłoszeniu wyniku nie miała większego znaczenia, ponieważ liczone jedynie „proporcje” uprawnionych członków w poszczególnych grupach, zatem wynik głosowania był... właściwy. Przez 9 lat mojej pracy w PE nie spotkałam się z taką sytuacją. Co więcej, odpowiedź przewodniczącego Komisji Prawnej zbulwersowała niestety tylko nielicznych. Służby prawne jednoznacznie stwierdziły, że ponowne głosowanie ze względu proceduralnych jest niemożliwe. Ogłoszenie wyniku głosowania przez przewodniczącego jest niepodważalne.

W dalszych negocjacjach udało mi się jednak częściowo przywrócić moją pierwotną propozycję „użycia komercyjnego”... tylnymi drzwiami.

Dla bardzo wielu druków digitalizacja to jedyna i ostatnia szansa na „przeżycie”. Nic nie trwa wiecznie, a materiałem najbardziej zagrożonym na nieodwracalne zniszczenie jest papier. Digitalizacja dzieł osieroconych wzbogaci zatem naszą europejską kulturę i – jak mówi projekt dyrektywy – umożliwi naukowcom i badaczom dotarcie do nowych źródeł wiedzy. A wielbiciele literatury i miłośnicy sztuki będą mogli otworzyć magiczny sezam z nieznanymi skarbami kultury. Kto wie, jakie jeszcze perełki skrywają biblioteki i archiwa? Może pewne historie będzie trzeba napisać na nowo?

LIDIA GERINGER DE OEDENBERG

[Autorka jest posłem do Parlamentu Europejskiego, członkiem Komisji Prawnej, była głównym sprawozdawcą do raportu dotyczącego projektu Dyrektywy o dopuszczalnym wykorzystaniu dzieł osieroconych. Ponadto pracuje w Komisji Budżetowej i Komisji Petycji, od dwóch kadencji jest kwestorem w Prezydium Parlamentu Europejskiego. Od lat związana z Dolnym Śląskiem, mieszka we wsi Stary Gierałtów (gmina Stronie Śląskie), ok. 30 km w linii prostej od Wójtowic].

Więcej szczegółów:

<http://www.europarl.europa.eu/oeil/popups/ficheprocedure.do?lang=en&procnum=COD/2011/0136>

<http://www.europarl.europa.eu/news/pl/pressroom/content/20120227IPR39358/html/Orphan-works-soon-to-be-online>

http://ec.europa.eu/information_society/activities/digital_libraries/doc/recommendation/reports_2010/2010%20Digitisation%20report%20overall.pdf

<http://fbc.pionier.net.pl/owoc/lib-stats>

ROMAN WYSOGLĄD

WIERSZE

Pociąg osobowy nigdy nie kończy podróży na tej samej stacji

taką właśnie gram rolę

wieczne udawanie
kogoś
kto nie istnieje

nawet wyimaginowane ja

Habemus papam

w odróżnieniu od strachu
miłość nie jest niczym
przyjemnym

szczególnie kiedy strach
kojarzy się tylko z miłością

na każdych płaszczyznach
– nawet metaforycznych

Powrót do przeszłości

w drodze do niczego
– czyli jakby siebie
nie ma miejsca na
subtelności
popijawy
kobiety
a nawet mecze piłki nożnej

ale za to jest reszta z rachunku
której w 1972 roku nie wydał
zachłanny kelner w zaplutej od niezrozumiałych
metafor
knajpie

Napis nad wejściem do nigdzie

od pierwszego zadławienia się życiem
chwilę po opuszczenia łona matki
człowiek czeka już tylko
na
śmierć

a chyba powinno być
odwrotnie

Aniol z przestrzelonymi skrzydłami

by pisać wiersze
nie musi się nic rozumieć

z prozą jest już pewien problem
– Coś należałoby wiedzieć

krytykiem może być każdy
– najlepiej analfabeta

O czytelnikach nie rozmawiamy
ponieważ przeszli do zupełnie innych
ideologii używających języka migowego

pozostaje niezamknięta na noc furтка
prowadząca donikąd
oraz – niestety – garstka nas
którym wydaje się że jeszcze coś
rozumieją
ale jest to kompletna nieprawda

w 2013 roku (i później) nie pozostało już
kompletnie nic do zrozumienia
a tym bardziej do pomyślenia nad tym

Rozpacz nad własną niemożliwością

patrzac na własne dłonie nie zdajesz sobie sprawy
że tak naprawdę widzisz część zupełnie innego
człowieka

podobnie z umysłem
myślisz – laury zbiera kto inny
płodzisz – dziecko nosi nie twoje nazwisko
umierasz – płaczą akurat nie ci co powinni

więc po co to wszystko?
wyłącznie by zaspokoić próżność
tylko do dzisiaj nie wiadomo kogo

Ledwie wyczuwalna subtelność pomiędzy słowami

różnica pomiędzy nienawiścią
a strachem
bywa mniej więcej podobna
jak dajmy na to pomiędzy
miłością a zdradą

nierozstrzygnięte nigdy pozostanie pytanie
co my z tym wszystkim mamy wspólnego

Stan pozornej próżni (umysłowej)

po otrzymaniu Literackiej Nagrody Nobla
obdarowanemu (nej) pozostaje tylko
jak najszybciej umrzeć.

nienawiść nierozumiejących co czytają
lub zwyczajna (?) zawiść zamieniają zwyczajne
proste życie piszącego
w piekło

i to wcale nie literackie

W stronę niedopowiedzenia

kiedy umiera samotność
nie masz nic do powiedzenia

ale nigdy odwrotnie

Bez tytułu

podobno każda droga gdzieś się kończy
– lub zaczyna
zależy z której strony się na nią patrzy

podobnie z życiem
koniec bywa o wiele smutniejszy niż
początek
jeżeli – naturalnie – coś takiego miało
miejsce
w co osobiście bardzo wątpię

Na rozstaju czasu, nicości i niczego

wystarczy podać numer peselu
a wszystko jest jasne

kim jesteś
co myślisz
– czy przypadkiem albo nieświadomie coś dobrego
zrobiłeś dla kogokolwiek

nie ma najmniejszego znaczenia

najważniejsze jest 3 euro 67 centów które winien
jesteś fikusowi
– i tylko to się liczy

cholernie dużo jak na ileś tam lat cywilizacji

Każda bitwa jest przegrana

obojętnie z kim się walczy
nie ma zwycięzców ani pokonanych

są tylko ci którzy na tym zarobili

resztę proszę dopisać samemu
ale bez podawania nazwisk

sądy już tutaj są zajęte do końca następnego wieku
Gowinem, In Vitro, różnego rodzaju organizacjami
mafijnymi
mającymi za cel uszczuplić dochody państwa

którego nie ma. Czyli ani państwa, a tym bardziej
dochodów.

ADAM KOMOROWSKI

RATIO OBSCURATUR

O NAJNOWSZEJ POWIEŚCI WIESŁAWA MYŚLIWSKIEGO

Wiesław Myśliwski obdarowuje nas kolejnymi powieściami oszczędnie, jakby chciał nam pozwolić na przemyślenia i zgromadzenie doświadczeń, które przyciągają nas do lektury nowego dzieła. Rzecz nie tylko w tym, że Myśliwski latami czyteluje swoje powieści, w jego przywiązaniu do perfekcji pisarskiego rzemiosła ale w tym, że my musimy do niego dojrzywać. Od czasu wydania *Traktatu o łuskaniu fasoli* minęło 7 lat, a mam wrażenie, że czytałem tę powieść zaledwie wczoraj. Lektura jego powieści pozostawia w nas trwałe ślady. Takie lektury nie mogą ulec przedawkowaniu. Myśliwski o tym wie. Nie oszczędza siebie ale nas. Pozwala czytelnikowi odetchnąć codziennością. Wie, że nasza zdolność obcowania z prawdziwą sztuką jest ograniczona. Zapewne istnieją esteci, którzy przekonują nas o tym, że opanowali zdolność obcowania z arcydziełami nieustannie, którym nie zdarza się przysnąć słuchając *VIII Symfonii* Brucknera czy czytając *Jądro ciemności* Josepha Conrada.

Można przyjąć, że istnieją ludzie, którym bagaż codziennych trosk i kłopotów nie przeszkadza w obcowaniu ze sztuką zawsze i wszędzie. Nawet jeśli Myśliwski nie podejrzewa ich o symulację, to nie do nich adresuje swoje powieści. Jego adresatem są czytelnicy, którym z trudem przychodzi wygoszpodarowanie sobie czasu na lekturę, których wrażliwość należy uszanować. To ci, którzy równie intensywnie przeżywają codzienne kłopoty, jak spotkania z dziełami sztuki. Lektura dla zaspokojenia snobistycznych estetycznych potrzeb (często symulowanych) czy rozrywki („zabicie czasu”) Myśliwskiego nie interesuje. Idealny czytelnik Myśliwskiego to człowiek, dla którego lektura jest jeszcze jednym uwikłaniem, który nie lęka się korekt w oglądzie świata, hierarchii doświadczeń, który może spowodować. Wie, że jego powieści bezkarnie i bezrefleksyjnie czytać się nie da. Krytyk, który pochwalił się (Dariusz Nowacki w „GW”), że podczas lektury *Ostatniego roz-*

dania kilka razy przysnął, nieświadomie skomplementował autora. Myśliwski to nie Stephen King czy Donna Leon. Jego nie da się czytać bez złapania oddechu, odsunięcia na moment lektury czy nawet ucieczki w kryjówkę snu.

Lektura jednym tchem jest podejrzana. Tak nie da się czytać Bruno Schulza, J.S. Agnona czy Juana Rulfo (choć ta trójka nie pisała dzieł tak obszernych). Jeśli książka, którą czytam, nie zmusza mnie choć na chwilę do przzerwania lektury, wytchnienia, które pozwoli mi do niej wrócić, wiem, że autor nie ma mi do zaoferowania nic, co by mogło naruszyć mój dobrostan, komfort zleżałych myśli i emocji.

Ukryta pod wciągającą narracją i fabułą warstwa metafizyczna (wartości ponadartystyczne, o których pisał Władysław Stróżewski) jest zbyt perswazyjna, niekiedy dużo bardziej aniżeli w dyskursywnych dziełach wielkich myślicieli, by móc pozwolić sobie na niewinną, powierzchowną lekturę. Nasycony konkretem codzienności świat przedstawiony powieści Myśliwskiego zmienia, chcemy tego czy nie, nasz jej ogląd. Modyfikuje automatycznie przejmowane z medialnych narracji uproszczone widzenie świata, w którym żyjemy.

Innym aspektem, wyczuwanym przez tych, którym wiek umożliwił towarzyszenie jego twórczości od półwiecza, jest osobliwa aura, rytm naszego czasu przemian i transformacji, który ewokują kolejne tytuły. *Nagisad, Pałac, Kamień na kamieniu, Widnokraż, Traktat o łuskaniu fasoli* i teraz *Ostatnie rozdanie* układają się w konstelację, której emblematyczność naszego „Lebenswelt”, „świata życia” jest alternatywna wobec sformatowanych dyskursów historyków mających legitymizować politykę i władzę. Alternatywność konstelacji, którą wyznaczyły jego powieści, nie ma w sobie nic z ostentacji. Myśliwski nie pisze przeciw politykom pamięci historycznej. Przypuszczam, że nie za bardzo

wierzy w edukację historyczną, oderwaną od przekazu osobistego doświadczenia, często przygodnych opowieści ludzi nam bliskich (dziadków, rodziców) i znajomych. U Myśliwskiego przeszłość to ludzie i ich opowieści, zwłaszcza te, które nas jakoś poruszyły. Niezależnie jak jest sformatowana pamięć historyczna, tylko zamazuje sens i znaczenie indywidualnego losu. Jest tylko protezą tragiczności.

Przekonanie, że sformatowana pamięć historyczna pozwoli nam dotrzeć do zrozumienia i domknięcia indywidualnego przeznaczenia w los, jest dla Myśliwskiego niebezpiecznym nieporozumieniem, pokusą zwalenia winy na historię. Tymczasem tam gdzie jest los, o czym doskonale wiedzieli starożytni Grecy, tam jest i wina. Dla starożytnych Greków była to *hybris*. W dzisiejszym świecie, w którym nieustannie przekonuje się nas, że winą jest brak przebojowości, konkurencyjności, przedsiębiorczości, sukcesu, sprawa się nieco komplikuje. Istotne jest, że tam gdzie jest los, tam nie ma niewinności. Wystarczy porównać *Ślady krwi* Jana Polkowskiego i *Ostatnie rozdanie*. Polkowski opowiada o delegowaniu winy w historię, Myśliwski o interioryzacji winy. Dlatego bohaterowie Polkowskiego są marionetkami. Julian Klaczko używał tego typu zabieg literacki określenia „ogawędzić historię”.

„Ogawędzacy historii” nam nie brak. Powołano do tego potężne instytucje, na całym świecie powstają muzea, które mają prezentować „ogawędzenie” jedynie słuszne. Można mówić o pospolitym ruszeniu przeciw osobistej, zindywidualizowanej pamięci. Oczywiście dziś jej nosiciele nie zsyła się do gułagu (gdzie w tragicznych warunkach można sobie było jej folgować). Ale władza oficjalnych historycznych dyskursów pamięci doskwiera i onieśmiela. Prowadzi do zakłócenia więzi pamięci i wyobraźni. Bohaterowie powieści Myśliwskiego przypominają nam, że jeśli mamy coś na własność, to jest to pamięć. Indywidualna, jednostkowa pamięć jest ostatnią redutą naszej tożsamości, której nie możemy dać się pozbawić, pomimo obietnicy (w gruncie rzeczy diabelskiej), że sformatowana pamięć historyczna może wyzolić nas z horyzontu winy indywidualnej.

Pamięć indywidualna jest skarbem dość kłopotliwym, migotania własnych win nie da się z niej usunąć, nie pozwala na stygmatyzowanie winą jedynie innych i tego co zewnętrzne. Postawy, którą polszczyzna dobrze oddaje w powiedzeniu „wieczne pretensje”. Niestety owe wieczne pretensje to zmora literatury polskiej, o którą jak głową o mur bili się Witkacy i Witold Gombrowicz. To nie „bezdziejowość”, wytykana przez Stanisława Brzozowskiego, ale właśnie rozdarcie pomiędzy pokusą dowodzenia własnej niewinności i stygmatyzowania innych (i historii) zabarwiło jej bohaterów nieznośną aurą niedojrzałości. Nie radził sobie z nią pisarz tak wybitny jak Stefan Żeromski. Nie ulega wątpliwości, że na tego typu bohaterów istniało w Polsce duże zapotrzebowanie. Łagodziło bowiem nasze kompleksy, traumatyczne doświadczenia (których nikt nie kwestionuje) i depresje, jak „Prozac”. Ta psychoterapeutyczna funkcja literatury polskiej nie może być całkowicie lekceważona i wzgardzona. Ale zaważyła na peryferyjnym jej charakterze. Można zaryzykować twierdzenie, że odbierała czytelnikom najbardziej ludzkie z praw, prawo do nieszczęścia. Nieszczęście indywidualne rozpuszczało się w nie-

szczęściu społeczności, klasy, narodu. Co się w nie nie wpisywało, prawdziwym nieszczęściem być nie mogło. Tragizm indywidualnego losu pozbawionego winy oznacza zniknięcie losu w ogóle, to dziecięca choroba niewinności.

Powieści Myśliwskiego przywracają podmiotowość bohaterom zepchniętym przez sformatowane narracje historyczne do roli marionetek, poza margines tego, co dla nich było ważne, jest ważne lub takim się wydaje. To dlatego w jego powieściach nawet takie wydarzenia historyczne jak wojna jest tłem, liczy się jedynie, o ile została zinterioryzowana w indywidualnej pamięci. Niekiedy można, jak bohater *Ostatniego rozdania*, jej samemu nie doświadczyć, by ważyła na stosunku do świata, budowała ramy pamięci doświadczonego. Pamięć indywidualna wymyka się każdej zewnętrznej periodyzacji. Jest tak ponieważ, jak pisze Myśliwski: „Pamięć nie służy do pamiętania, ale do wspomniania”. A wspomnienie jest zawsze uwikłane w wyobraźnię. Wspomnienia i wyobraźnia tworzą spłyty, które modyfikują poczucie teraźniejszości. To nie przeszłość, ale nasze teraz oglądamy przez owe spłyty i próbujemy odczytać jego sens i znaczenie.

Dotyczy to także lektury powieści Myśliwskiego. Ci, którzy mają przywilej czytania ich od wielu lat, obcuja z nimi w aurze wspomnień lektur poprzednich. W tym wspomnieniu wyobraźnia poruszona najnowszą lekturą nadaje pamięci poprzednich nowe aspekty. Po *Widnokregu* dostrzegliśmy, jak uproszczona była nasza lektura *Kamienia na kamieniu*, po lekturze *Traktatu o łuskaniu fasoli* złapaliśmy się na ułomności odczytania *Widnokregu*. Tak jest też w wypadku *Ostatniego rozdania*. Konstelacja, którą wytyczyły jego powieści, upodabnia się do złotego łańcucha (*Catena Aurea, Di Goldene Kejt*) ze wszystkimi tego teologicznymi konsekwencjami. Jose Lezama Lima kiedyś odważył się napisać, że tym, o co w literaturze ostatecznie chodzi, jest zbawienie i zmartwychwstanie.

Bereszit

„Zacząłem naturalnie od literary A.” – tak brzmi incypit *Ostatniego rozdania*. Pierwsze zdanie *Biblii* to „Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię.” Teologowie (a kabaliści szczególnie) od wieków zastanawiają się, co owo podkreślenie „na początku” na samym początku ma oznaczać, tym bardziej że po hebrajsku *bereszit* jest w formie rządzącej. Poprawnie powinno być *beriszona* i tak wszyscy tłumaczymy, ponieważ „Początkował (a więc zaczął) od stworzył...” nie brzmi zbyt sensownie i poprawnie. Ten drobny aspekt biblijnej analogii incypitu *Ostatniego rozdania* wskazuje na pozbawioną ostentacji głębię teologicznego uwikłania powieści. Tym bardziej znaczącą, że narrator nie próbuje niczego stwarzać. Wręcz odwrotnie, będzie próbował skreślić, zepchnąć w niebyt zalegające od lat w starym notatniku nazwiska (z adresami, telefonami) ludzi, którzy są w nim zbędnym balastem. Niekiedy zmarli, niekiedy zapomniani, kim byli i jakie relacje go z nimi łączyły.

Biblijna opowieść o stworzeniu zakłada istnienie początku. A jeśli początek (i koniec) to tylko cechy opowieści (każda narracja zakłada początek i koniec), które transponujemy na rzeczywistość, byt, w którym początek i koniec może być tylko domniemaniem. Na dodatek domniemaniem przynoszącym ukojenie, bo-

wiem nie chcielibyśmy przebywać w świecie, w którym nic nie ma końca ani początku. Tego bardzo obawiał się Jorge Luis Borges.

Biblia zakłada *creatio ex nihilo*. Narrator *Ostatniego rozdania* zakłada, że może zepchnąć coś do niebytu, uporządkować pamięć poprzez eliminację, selekcję tego, co mu niepotrzebne do nicości. Tak powstaje opowieść o daremności naszych wysiłków porządkowania pamięci poprzez jej ograniczenie, stworzenie sobie nowej pamięci, która byłaby nowym początkiem. Świadome ograniczenie pamięci okazuje się dla narratora (człowieka) niemożliwe. Niepamiętać świadomie można tylko próbować. Notatnik, z którego narrator usiłuje wykreślić niepotrzebne nazwiska, uświadamia mu, że wykreślanie z pamięci jest jej przywołaniem.

Tak to już jest z nami. Oto pozbywamy się jakiegoś przedmiotu, ponieważ wierzymy, że utraci swoją moc przywoływania jakiegoś nieprzyjemnego zdarzenia. Niszczymy zdjęcie dawnej ukochanej. Zdjęcia nie ma, ale pamięć o tym, jak darliśmy, pozostaje. Bóg, absolut, jak ucza kabałiści, może dokonać samoograniczenia (*cimcum*) swojej domeny, by powstało miejsce dla czegoś całkowicie nowego, tj. świata. Człowiek samoograniczyć swojej domeny/pamięci nie może. Oczywiście nie pamiętamy wszystkiego i wiele zapominamy. Jednak kontrola zapominania jest niemożliwa. Jak podkreślał Borges, zapomnienie (*olvido*) jest niezwykłym darem. Zapomnieniem możemy być tylko obdarowani, nie możemy sobie go wybrać. Zapomnienie można symulować. Nie zdajemy sobie sprawy, jak często to czynimy. Pozostając przy koncepcji zapomnienia, którą nazywam borgesowską, w odróżnieniu od freudowskiej koncepcji zepchnięcia do podświadomości, można uznać, że zdolność do zapominania jest dowodem na istnienie Boga. Dlatego tożsamości, którą krystalizuje pamięć, nie można dowolnie zmieniać. Wyobraźnia pozwala nam tylko we wspomnieniu odkrywać jej nowe aspekty i domknąć jako los. Tak powinniśmy rozumieć sens *bereszit* incypitu Myśliwskiego. W świecie podksiężycowym, czyli ludzkim, „zacząć”, „na początku” oznacza „wrócić”.

Pisarz nie jest „małym Bogiem”, kreacja z niczego jest mu niedostępna. Jeśli jednak Bóg posłużył się piśmem (w końcu podarował Mojżeszowi zapisane tablice) to, jak utrzymują kabałiści, pisanie, zapisywanie czy nawet przepisywanie zakłada jakiś udział piszącego w boskich prerogatywach. Alfabetem posługuje się nie tylko człowiek, ale także Bóg. Piśmo, w odróżnieniu od oralności, jest pomostem do transcendencji. Piśmo sprawia, że na radykalnej granicy tego co transcendentne i rzeczywiste pojawia się szczelina. Dzięki tej szczelinie, jak napisał Francisco de Quevedo w znanym sonecie, „czytając ze zmarłymi rozmawiam”. Ta tajemnica pisma/księgi to nie tylko urojenia kabałistów, ale doświadczenie dostępne każdemu czytelnikowi. Notatnik z adresami nie jest Biblią. Nie jest literaturą ale rudymenarnym zapisem i mimo tego odsyła narradora do tego co transcendentne. Czy piśmo/literatura jest obietnicą zmarłychwstania (jak sądził Lezama Lima) nie wiemy. Wiemy, że dzięki piśmu/literaturze możemy usłyszeć zmarłych. A jeśli uznamy, że autorem *Tory* jest Bóg, to – czego świadectwem Talmud – można spierać się nawet z nim.

Piszę o tym, ponieważ wyłaniająca się z dzieł Myśliwskiego (a *Ostatniego rozdania* szczególnie) koncepcja literatury wymyka się ujęciom, które oferuje teoria. Literatura dla niego to właśnie owa szczelina, w której prześwituje coś więcej niż świat zamknięty w kantowskich kategoriach czasu i przestrzeni. Jeśli jest piśmo, to otrzymanie listu z zaświatów (co przydarza się narratorowi) nie może być jedynie aberracją egzaltowanego umysłu.

Otwartość na transcendencję nie zaskakuje u wielkich mistyków. Dziś niewiele ich czytamy. Świat się globalizuje, ale jednocześnie kurczy. Latamy w kosmos, ale miesiącami w rozświetlonych miastach nie widzimy gwiazd. Światła reklam obiecują szybki dostęp, przebywanie pod gwiazdzistym niebem przypominało nam, że naszym losem na Ziemi jest bezmiar niedostępnego. Pojawia się przeświadczenie, że w zasobach internetowych jest wszystko, a czego tam nie ma, po prostu nie istnieje. Tego nie przewidział nawet Martin Heidegger.

Osobność bohaterów powieści, a narratora *Ostatniego rozdania* w szczególności polega na ich antykwaryczności. Ale anachroniczni jesteśmy wszyscy, choć możemy udawać i nie chcemy/boimy się do tego przyznać. Wszyscy jesteśmy w sytuacji narratora, którą doskonale nakreślił Karl Kraus: „Czym zajmowaliśmy się tak gorączkowo przez cały ten czas? Gnaliśmy przed siebie wraz z postępem i zostaliśmy w tyle za samymi sobą” (przeł. Jan Gościński). I o tym jest ta powieść, monolog człowieka, który „został w tyle za samym sobą”. Jak my wszyscy.

Myśliwski, zapewne ku zaskoczeniu wielu swoich czytelników, bohaterem i narratorem uczynił tzw. człowieka sukcesu, przedsiębiorcę. Jedną z tych postaci, którą bezustannie stawiają nam media za przykład udanej transformacji i wyrzut wobec naszej nieumiejętności radzenia sobie w nowej rzeczywistości, która otworzyła tak wiele szans. Kiepska literatura pełna jest osobników, którzy odnieśli spektakularny sukces, są podziwiani i ponieśli klęskę w życiu uczuciowym. To wydzielony sektor literatury psychoterapeutycznej. Fakt, że w miłości można ponieść klęskę niezależnie od zasobności portfela, ma nas pocieszyć. Niekiedy mamy do czynienia z wersją heroiczną; CEO korporacji odrzuca miłość, ponieważ jako odpowiedzialny za firmę (czy tzw. projekt) nie ma na nią czasu z wyboru. W innej, nieheroicznej, traci miłość przez brak uwagi. Wybranka, obsypywana brylantami, (*diamonds are for ever*) porzuca darczyńcę, który trzymał ją jak największy skarb, w zakupionej dla niej luksusowej willi, wybierając skromniejsze życie z czyszcieniem basenu, który znalazł czas, by z nią pogawędzić.

W wersji feministycznej zamiast biznesmena mamy bizneswomen. To, że Myśliwskiemu, wybrawszy na bohatera sztandarowego opiewanego przez media, bohatera naszych czasów, udaje się zręcznie lawirować wśród kiczowatych schematów, zakrawa na cud. Przypuszczam, że gdyby Myśliwski pisał już w latach stalinowskiego socrealizmu, byłby tym, któremu udałoby się napisać nieschematyczną powieść o przodowniku/przodownicze pracy. Zapewne cenzura by powieść zatrzymała.

Powieści *Wykop* czy *Czewengur* Andrieja Płatonowa mogły się ukazać dopiero w czasach pierestrojki. Ale są. W literaturze polskiej podobnych nie ma. Bo

Myśliwski wtedy studiował polonistykę na KUL i powieści jeszcze nie pisał. Ale znać cherlawość komunistów jako bohaterów literatury polskiej, (pomimo ambitnych prób Kornela Filipowicza i Tadeusza Hołuja, bo innych żał wspominać) była jego troską. Postać szewca Matei w *Ostatnim rozdaniu* jest najpiękniejszym portretem komunisty (komunisty, a nie polityka podającego się za komunistę), jaki znajdziemy w literaturze polskiej. To z nim, zamiłowaną pokerzystą, rozgrywa (na cmentarzu, bo Mateja leży już w grobie) partię pokera w otwarte karty, do której nawiązuje tytuł. O dziwo to właśnie Mateja wtedy wygrywa, choć za żywota zazwyczaj z narratorem przegrywał. Tego czy Mateja wygrywa kolejne pule dlatego, że jest w zaświatach czy dlatego, że pozostał komunistą, nie wiemy.

Ekskurs o grze w karty

Wybitnym pokerzystą w literaturze polskiej był Edward Stachura. W jego pisarstwie trudno znaleźć tego ślady. Ale legenda Steda pokerzysty towarzyszyła jego sławie. Pokerowe pasje narratora, który, podobnie jak Sted, zazwyczaj wygrywa, być może są ukłonem w jego stronę. Ale to byłoby za proste. Jest w naszej literaturze wielki pisarz, dla którego gra karty była prawdziwą obsesją. Zmuszany przez ojca, zarządcę dworu w Niemirowie do gry w karty w owym dworze, serdecznie ją zniechęcił. Pamiętamy jak Michał Kaniowski, bohater *Płomieni*, nie może uciec przed prześladowającym go wzrokiem ojca, który patrzy nań z wyrzutem, że poświęca czas książkom, nie chcąc podarować ojcu wolnej chwili „na partyjkę”. W niezliczonych filipikach Brzozowskiego przeciw szlachetczyźnie gra w karty staje się oznaką kompletnej degrengolady tej klasy. Gra w karty jak dzuma zmumifikowała całą klasę społeczną w próżniactwie i bezdziejowości. Brzozowski zdaje się być przekonany, że ziemianie, gdyby zamiast gry w karty poświęcili ten czas studiom i pracy, to klasa ta miałaby jeszcze szanse przetrwania. Nikt z rosyjskich towarzyszy Kaniowskiego w karty nie gra, dlatego są ludźmi przyszłości. Zawsze mnie dziwiło, że Brzozowski nie zauważył, że w gloryfikowanej przez niego literaturze angielskiej tej alergii na karty nie ma. Bohaterowie ukochanego przez niego Georga Mereditha grają w karty i imperium się nie wali. Obecna w literaturze rosyjskiej demonizacja karcianych pasji jest literaturze angielskiej zupełnie obca.

Krótki wykład Matei o grze w karty warto przytoczyć: „Tylko że gra nie zależy od kart, panie Antoni, co komu w tych kartach przyjdzie. Prawdziwy gracz nie zgodziłby się, żeby to, co mu w kartach przyszło, pozbawiło go poczucia, że gra za samego siebie, a nie jest jedynie narzędziem z woli kart, jakie mu przyszły. Nikt przecież nie gra, żeby przegrać. Gra zawsze toczy się o wygraną, mimo kart, jakie przyszły”. Można powiedzieć, że gra w karty jest u Myśliwskiego reliktem świata, w którym nie grało się znaczącymi kartami, ale umiano sobie radzić tymi, które nam przypadły. To świat, w którym narracja o zranionej jaźni nie przesłaniała losu. Świat pokera i świat gier komputerowych to dwa odmienne światy. Możemy tylko zastanawiać się, co byłoby, gdyby komuniści jak Mateja nie byli fanami kart, ale gier komputerowych. W grze w karty przegrany pozostaje w związku z wygranym. Wygrany naocznie doświadcza faktu, że przegrany

jest kimś takim jak on. Wygrywamy, ponieważ ktoś do nas przegrał. Tymczasem dziś usiłuje się nas przekonać, że sukces może obyć się bez przegranych. Ziemiański krąg, w którym tyle czasu poświęcano na grę w karty, nie był najgorszy ze światów. Uczył wygrywać i przegrywać, tego, że nie ma jednego bez drugiego. Brzozowski prawdopodobnie wierzył, że możliwy jest świat, w którym przegranych nie będzie. Choć nie polecałby wzięcia kredytu.

Przeciw nostalgii

Dawniej narratora *Ostatniego rozdania* powiązano by z „pokoleniem rówieśników Polski Ludowej”. Dziś brzmi to nieco niezręcznie, mówimy o „pokoleniu marca” czy „pokoleniu 68”. Mógłby być jednym z bohaterów niegłupiej książki Lidii Burskiej *Awangarda i inne złudzenia. O pokoleniu 68 w Polsce czy Stręczyciela idei* Juliana Kornhausera. Przypuszczam, że gdyby nie porzucił malarstwa, malowałby jak Zbylut Grzywacz. Akty Grzywacza zdają się odpowiadać tej aurze, którą Myśliwski przypisał portretom kobiet malowanych przez narratora. Malarstwo w *Ostatnim rozdaniu* to temat na osobną rozprawę, która bez wątplenia powstanie. Mnie w tym miejscu zajmuje uskok pokoleniowy, wybór na bohatera powieści reprezentanta pokolenia młodszego od autora. Przedstawiciele tego pokolenia nie zaludniali zbyt licznie świata przedstawionego jego powieści, w odróżnieniu od powieści Janusza Andermana, Krzysztofa Karaska, Kornhausera, Józefa Łozińskiego, Adama Zagajewskiego, Romana Wysogłada czy opowiadań Wita Jaworskiego, dla których pokoleniowy autoportret był wręcz estetyczną normą. Czyżby było tak, że przenikliwy portret tego pokolenia mógł stworzyć tylko jego starszy brat?

Myśliwski dostrzegł pewien rys, który literackim reprezentantom tego pokolenia często umykał. To fakt wzrastania wśród heroicznych narracji i niezauważania milczenia. Narrator zostaje ukształtowany przez dwa rodzaje narracji. Narracje rodziców są opowieściami o zerwanej ciągłości. To opowieści mistrza krawieckiego Radzikowskiego o jego przedwojennej firmie i jej klientach. To nostalgiczne opowieści o przedwojennych czasach, które młodzi traktują z pobłażaniem i sceptycyzmem. Problem, kim moglibyśmy być gdyby nie wojna, ich nie interesuje. Fascynują ich natomiast heroiczne narracje o starszych braciach, w rodzaju *Kamieni na szaniec*. Widzą wojnę jako próbę (choćby) charakteru, która im została odmówiona. Narrator w dzieciństwie sam zadaje sobie ranę, by pochwalić się, że i on był na wojnie ranny. Z czasem przekonuje się, że jego tęsknota za ranami symbolicznymi i heroiczną narracją była jedynie mimetycznym snobizmem. Jacques Lacan określiłby to jako przeciągające się „stadium zwierciadła”. Wyjście z tego stadium przychodzi wraz ze zrozumieniem, że heroiczne narracje o wojnie są jedynie pozorem, że prawdą o wojnie jest milczenie, zatajenie, przemilczanie. Wśród niezliczonych opowieści kobiet, które przeżyły Auschwitz, nie znajdziemy wzmianki o tym, jak sobie radziły z menstruacją, gdy krew spływała po nogach. „To było gorsze niż selekcja do gazu”. – powiedziała bliska mi osoba z rodziny. Ale to zdarzyło się mi tylko raz, kiedy zdenerwowała się, ponieważ chwalałem wspomnienia Seweryny Szmaglewskiej. Odstąpienie od mimetycznej zazdrości za heroiczny-

mi narracjami było, dla pokolenia narratora, wejściem w dojrzałość, rozbiciem zwierciadła Lacana.

W powieści jest to okres terminowania narratora w krawieckiej pracowni Radzikowskiego, ze starszymi czeladnikami Stanisławem i Romeo. Warto przyjrzeć się tej sytuacji: „Łatwo się wzruszał Stanisław, gdy słyszał, że komuś coś się w życiu nie udało. O swoim nigdy nie mówił. O swoim nigdy nie mówił, a miał jedną nogę krótszą... Co najdziwniejsze, w partyzantce podobno wykonywał wyroki... widocznie taki utykający na jednej krótszej nodze i grubej podeszwie nie budził podejrzeń, jak budziłby z normalnymi nogami. Mógł bliżej podejść, mógł nawet poprosić o ogień do papierosa czy spytać o drogę, a zapukał do drzwi, to kto mógłby się spodziewać, że przychodzi zabić. Nikt jednak nie śmiał o nic pytać Stanisława, skoro sam nie mówił. Jedynie Romeo, który nie mógł mu tej partyzantki darować i czasami mu docinał, niech partyzant to robi, niech partyzant przyszyje, uprasuje, wyczyści, raz zagadnął Stanisława:

– To niech Stanisław powie, jak tam było?

– Jak było, to było. Nie ma wojny, nie ma o czym mówić – uciał Stanisław.

Romeo jednak nie dał się tak łatwo zbyć i najwyraźniej drażniąc się ze Stanisławem, znów zapytał:

– A dużo Stanisław zastrzelił?

– Musiałbyś się zastrzelonych spytać.”

Wojenna narracja zawsze marginalizuje zabitych. Heroiczna opowieść (wszak czytelnik nie wątpi, że egzekutor/ kat Stanisław był człowiekiem odważnym) niebezpiecznie zbliża się do podręcznika przetrwania w warunkach ekstremalnych. To był problem, z którym nie mogli sobie poradzić Tadeusz Borowski i Primo Levi wybierając w końcu samobójstwo. Okazji znalezienia się w ekstremalnej sytuacji zazdrościć nie można. Wojna to nie wojenka z legionowych narracji, a egzekutorzy AK, AL czy NSZ to nie „chłopcy malowani”.

Narrator zrzucił z siebie potrzebę przypisania się do heroicznej narracji. Było to udziałem dużej części jego pokolenia, choć watachy przebierańców, udających powstańców na ulicach Warszawy w Godzinie W, świadczą o tym, że wnukowie mają to przed sobą. Może, jak przeczytają *Ostatnie rozdanie*, zrozumieją wagę niezwykłego daru, którym jest blisko 70 lat pokoju w tej części świata.

W tej perspektywie *Ostatnie rozdanie* jest najbardziej optymistyczną z powieści autora *Kamienia na kamieniu*. To opowieść o darze pokoju, który nisko sobie cenimy.

To nie wszystko, fakt że Myśliwski nie jest zbyt entuzjastyczny wobec nowego świata „płynnej rzeczywistości”, tego, co stało się z uczuciami w dobie globalnego rynku, gdzie biografia może być kapitałem, nie prowadzi do rozczulania się nad przeszłością czy jej idealizowania. Żyjemy w świecie innym niż ten, w którym, jak jego bohater, wzrastaliśmy. Ale ta inność naszego dzisiejszego naszego świata (lepszego, czy gorszego, to osobny problem) pozwala nam spojrzeć wstecz, we wspomnieniu, na naszą przeszłość z odmiennej perspektywy. To nie sukces, choć bohater jest dla otoczenia człowiekiem sukcesu, i jako takiego prezentuje go TV, jest tu najistotniejszy ale właśnie szansa wzbogaconego widzenia dzisiaj własnej przeszłości, także jej porażek.

G.W.F. Hegel w *Nauce logiki* powiązał „Wesen” z „gewesen”. Nawet uważni czytelnicy niemieckiego filozofa często zapominają, że dla niego „Bytem” jest to, co „było”. To co jest, jest przede wszystkim (czy w większej masie) tym, co było. Astronomowie uczą nas, że widzimy gwiazdy, które już przestały istnieć. Ich światło dopiero teraz dotarło do nas z przeszłości. Tak też i z życiem, wiele rzeczy dociera do nas dopiero we wspomnieniu, są choć ich nie ma. Nie dajmy sobie wmówić, że jest inaczej. Nie dajmy się zmylić, nikogo wspomnienia nie są ważniejsze niż nasze własne.

Profil

Narrator *Ostatniego rozdania* nie ma profilu na portalu społecznościowym. Autor profilu konstruuje swoją osobowość, by przymilić się innym. Uległ powszechnemu dziś złudzeniu, że to osobowość (a nie to, jak sobie radzimy z kartami, które przyniosło rozdanie) jest źródłem sukcesu. Tymczasem to, kim jesteśmy, możemy próbować zrozumieć opowiadając o sobie nie innym, ale samemu sobie. Taka opowieść jest zazwyczaj opowieścią o zaniechaniach, rozstaniach, odejściach czy utracie. Nie chodzi tutaj o rozwodzenie się o kłóskach czy porażkach. Narrator *Ostatniego rozdania* jest mizantropem, czy – jak mawiała moja Babcia – „miałkotem”. Bierze za swoje zaniechania i ich konsekwencje pełną odpowiedzialność. Jakkolwiek wydać się to może dziwne, to właśnie świadomość i akceptacja tych zaniechań (studiów malarskich, rzemiosła czy młodzieńczej miłości) czyni go o wiele bliższym niż autorów profili na portalach. Oto ktoś przypomni nam, że tożsamość i osobowość nie są instrumentalnym konstruktem. Nasze zaniechania są bowiem tak samo ważną częścią naszego przebywania na ziemi, jak nasze wybory. To właśnie pamięć i wspomnianie zaniechań otwiera wyobraźnię. Bowiem jak napisał św. Bonawentura: *imaginatio est fortis in nobis et ratio obscuratur*.

ADAM KOMOROWSKI



MARIAN STĘPIEŃ

INNE ŻYCIE JAROSŁAWA IWASZKIEWICZA

W ostatnich kilku latach ukazało się parę książek o czołowych polskich współczesnych pisarzach. Nie ma w nich hermetycznych analiz dzieł literackich, nie ma skomplikowanych, dostępnych profesjonalnym odbiorcom konstrukcji interpretacyjnych. Ich autorów interesuje osoba pisarza, jego życie i twórczość z nim związana. Utwory literackie służą wniknięciu w wewnętrzne przeżycia twórcy, są pomocne w wielostronnym ukazaniu jego osobowości, motywów jego postępowania, dokonywania wyborów w życiu osobistym i publicznym. I *vice versa*: Jego biografia, przypadki życia, doświadczenia osobiste będące u źródeł utworów literackich pozwalają wniknąć w ich ważne warstwy znaczeniowe.

Biografia i twórczość nie są w tych książkach traktowane oddzielnie. Zostają ujęte w jeden strumień narracji, w której życie objaśnia utwory, a utwory objaśniają życie autora. Jego życiem jest pisanie, a pisanie jest jego życiem. Jak w tytule jednej z tych książek, Hanny Kirchner o Zofii Nałkowskiej: *Nałkowska albo życie pisane*.

Wśród publikacji, do których odnoszą się te uwagi, ukazały się ostatnio: Andrzeja Franaszka *Miłosz. Biografia.*, Mariusza Urbanka *Broniewski, wódka, polityka*, wspomniana książka Hanny Kirchner oraz – co stanie się przedmiotem bliższej uwagi – książka Radosława Romaniuka o Jarosławie Iwaszkiewiczu.¹

Zwraca uwagę zestaw autorów, wywołujących – jak widać – szczególne zainteresowanie. Nie tyle dla rangi ich pisarstwa, ile o jej przywrócenie. Bo po 1989 roku pisarze ci zostali zepchnięci na margines, a nawet usunięci w niebyt. A także stali się ofiarami niesprawiedliwych pomówień. Zostali bowiem poddani krytycznoliterackiej ilustracji realizowanej w warunkach braku obiektywizmu, uproszczonej ocen, uprzedzeń politycznych nie mających nic wspólnego z właściwym, rzetelnym traktowaniem utworu literackiego i jego twórcy.

Z zadowoleniem trzeba przyjąć ukazywanie się takich książek. To wskazuje, że nadeszła pora upomnienia się o niewątpliwe, a tendencyjnie pomijane wartości, usuwania uproszczeń i zamierzonych nieporozumień, dania wartościowego opisu życia i twórczości pisarza; z wydobyciem blasków i cieni, półtonów i półcieni, nie unikając spraw trudnych, ale uwalniając się spod presji doraźnych politycznych nastawień. Może już naprawdę minął czas, w którym Marcin Król, by skompromitować Iwaszkiewicza, mógł mówić w audycji telewizyjnej o jego opowiadaniu *Wzlot* jako o utworze idealnie spełniającym wymagania realizmu socjalistycznego. Król, jak widać, utworu nie przeczytał; przy jego nastawieniu

wystarczała mu znajomość tytułu, w którym dopatrywał się charakterystycznego dla realizmu socjalistycznego optymizmu. I tak, w miejsce zamierzonej kompromitacji pisarza, nastąpiła wielka kompromitacja jego utytułowanego komentatora, nie zdającego sobie sprawy, że dotyczy jednego z najwybitniejszych powojennych opowiadań nie tylko Iwaszkiewicza; i wcale nie optymistycznego.²

Uwagi tu kreślone mogą się odnosić do Broniewskiego, Nałkowskiej, Iwaszkiewicza, ale co tu robi Miłosz przywołany głównie ze względu na podobną metodę pisania o twórcy zastosowaną przez Andrzeja Franaszka w przedstawieniu jego biografii? Sytuacja Miłosza jest niewątpliwie odmienna od sytuacji pozostałej trójki, ale o tyle podobna, że wokół jego życia i twórczości również narosło sporo fałszywych komentarzy; i do niego także można odnieść uwagę o przywracaniu właściwej rangi twórczości, usuwaniu nieporozumień biograficznych, wprowadzaniu nowych faktów, nadawaniu odpowiedniego wymiaru i sensu zarówno biografii jak i twórczości; o czym więcej w mojej recenzji książki Franaszka opublikowanej w „Zdaniu” (1-2/2012).

* * *

Radosław Romaniuk, zgodnie z tytułem swej książki rzeczywiście pokazuje inne życie Jarosława Iwaszkiewicza. Niby ogólnie było ono znane, wiedziało się o jego pracy w charakterze domowego nauczyciela, o jego homoerotyzmie, o który potrącano w sposób aluzyjny, z niedomówieniami, nierządkiem ze złą intencją, o małżeństwie z kobietą z bogatej rodziny Lilpopów. Ale dopiero Romaniuk postugując się obficie przywołanymi dokumentami, nieznanymi lub mało znanymi faktami z życia pisarza (np. o jego epizodzie żołnierskim) daje obraz jego biografii przedstawiony inaczej niż dotychczas; prawdziwiej, dramatycznie, ciekawiej. Pod powierzchnią estetyzującego stosunku do świata i twórczości (o czym wiedziało się najwięcej) odświeżają się inna twarz pisarza, a także odpowiednio korygowana ogólna wizja jego twórczości. Ogólna – bo zgodnie z poetyką przyjętą przez Romaniuka, w jego książce nie chodzi o analizę utworów i ich wyczerpującą interpretację.

Książka Romaniuka oparta jest na bogatym materiale źródłowym: korespondencji rodzinnej i wielu innych osób, na archiwaliach znajdujących się w Muzeum Jarosława Iwaszkiewicza i archiwach publicznych, na rozsypanych po czasopiśmie informacjach. Ponadto tam, gdzie to jest uzasadnione i uprawnione – ważnym dokumentem okazuje się wiersz lub proza

¹ Radosław Romaniuk, *Inne życie. Biografia Jarosława Iwaszkiewicza*. Tom I, Warszawa 2012, s. 619.

² Zob. Henryk Markiewicz, *Bzdury o „Wzlocie”*. „Polityka” 1994, nr 13.

pisarza; ze świadomością całej pośredniości relacji między utworem a biografią autora.

Zaczyna się to już w opisie trudnego dzieciństwa i wczesnej młodości poety, syna buchaltera cukrowni w Kalniku na Ukrainie. Jarosław Iwaszkiewicz wczesnie zaznał niedostatku. Miał 8 lat, gdy zmarł jego ojciec, rodzina musiała opuścić służbowe mieszkanie i borykać się z dużymi trudnościami materialnymi. Iwaszkiewicz musiał zarobić na siebie, na wsparcie budżetu rodzinnego. Pracował jako nauczyciel domowy kształcąc dzieci w ziemiańskich domach, gdzie osobę o takiej jak on kondycji traktowało się jak służbę. Nawet w Tymoszwówe, w spokrewnionej rodzinie Szymanowskich czuł się i był traktowany jak ubogi krewny.

Warunki, w jakich mu przyszło żyć w dzieciństwie i wczesnej młodości, musiały wpłynąć na jego osobowość, postawę, cechy charakteru i sposób bycia w późniejszych okresach swej biografii. Stąd brało się poczucie odrębności, inności w spotkaniu ze skamandrytami, chociaż był jednym z nich, ale pozostał do końca bardzo odmienny. Z tym łączyło się jego poczucie samodzielności, niezależności, a także większa niż u innych z jego późniejszego warszawskiego otoczenia wrażliwość na warunki ludzkiego życia.

Niewiele wiedzieliśmy o epizodzie żołnierskim Jarosława Iwaszkiewicza. A był on żołnierzem III Korpusu podległego Polskiej Radzie Regencyjnej, w oddziale artylerii konnej. Oddział ten był użyty – czego Iwaszkiewicz wstępujący na ochotnika do wojska nigdy by się nie spodziewał, nie po to chciał zostać żołnierzem – do pacyfikowania podburzonej przez bolszewików ukraińskiej ludności wiejskiej, zbuntowanej przeciw posiadaczom ziemskim w dobie rosyjskiej rewolucji. Nawiasem mówiąc, pacyfikacja ta skończyła się sromotną ucieczką uzbrojonego oddziału przed gniewnymi chłopami, którzy skutecznie przegnali paniczyków w mundurach. Poecie, który po paru tygodniach takiego „wojowania” wycofał się ze służby wojskowej, pozostało rozczarowanie, poczucie poniżenia i utrwalone poglądy pacyfistyczne.

Przeżycia te pozostawiły mało śladów w twórczości literackiej. W tym niespokojnym czasie, wśród wojennej i rewolucyjnej zawieruchy powstawały „nizane oktostychy”. Tylko jeden z nich, zatytułowany *Artyleria* miał bezpośredni związek z militarnymi przeżyciami poety, ale tak odbiegał od pozostałych *Oktostychów*, że autor pomijał go przy wydawaniu wyboru swoich wierszy.

Iwaszkiewicz brał udział w wydarzeniach wojennych w 1916 roku, przebywał wówczas blisko frontu, ale w walkach nie brał udziału. Spotykał się w Saratowie z wojennymi uciekinierami, odbierał od nich wieści o okrucieństwach wojny, ale – w tym czasie – pisał... *Ucieczkę do Bagdadu*.

Tu Romaniuk formułuje paradoksalną, oryginalną tezę, która może okazać się kluczem do właściwego odbioru twórczości pisarza, niedostępnym dla wielu jego interpretatorów, którzy – nierzadko zachęceni do tego przez dysponentów politycznych – chętnie przedstawiali na stwierdzeniu postawy estetyzującej Jarosława Iwaszkiewicza.

Właśnie w komentarzu do pisanej podczas pierwszej wojny światowej *Ucieczki do Bagdadu*, Romaniuk dochodzi do wniosku: „W taki sposób, przy okazji pierwszego z młodzieńczych utworów, który później

będzie otwierał edycje jego dzieł, ustalił się rodzaj obecności w twórczości Iwaszkiewicza rzeczywistości historycznej. Obecnej przez to, że jej nie ma. Dopiero przywołanie zewnętrznych zdarzeń biografii autora i wydarzeń otaczającego świata potrafi powiedzieć, co ukrywa utwór, co jest w powieści rzeczywistością wypartą, od czego ucieka się w nim do imaginacyjnego *Bagdadu*” (174-176)³.

Zgodnie z tą oryginalną, a wydaje się – wbrew początkowym wątpliwościom – że uzasadnioną tezą, do której w trakcie lektury książki Romaniuka nabiera się przekonania, bardzo skrupulatnie, rzetelnie i z dużą umiejętnością ich wykorzystania, wprowadza on do książki bogaty zasób różnego rodzaju dokumentów, które ukazują konteksty ludzkie, towarzyskie, życiowe, historyczne; w ich świetle utwory Iwaszkiewicza nabierają głębi, zyskują na wartości, są trafniej odczytywane, wywołują większe zainteresowanie. Sądzić można, że to spostrzeżenie Romaniuka, które dobrze owocuje w tej jego książce może ukazać dodatkowo i jeszcze większe walory, gdy – w drugim tomie biografii – autor da opis życia i twórczości pisarza w latach po drugiej wojnie światowej.

Iwaszkiewiczowi często zarzucano obojętny stosunek do wydarzeń historycznych, politycznych czasów, w których żył i tworzył. Ostatnio takie zarzuty powtórzyły się w omówieniach kolejnych tomów jego *Dzienników*.

Romaniuk poświęca dużo uwagi tym fragmentom biografii pisarza, w których był on świadkiem rewolucyjnych wydarzeń w Kijowie, niszczenia dworów polskich na Ukrainie. Bezpośrednio uczestniczył, podejmując duże ryzyko, w ratowaniu i przewożeniu dzieł sztuki jednego z polskich dworów. A w powstających wówczas i później utworach literackich nie ma śladu tych doświadczeń i dramatycznych niekiedy przeżyć.

Ciekawy przyczyn tego stanu rzeczy Romaniuk sięga po słowa Iwaszkiewicza znacznie później pisane, w jego *Spotkaniach z Szymanowskim*. Kompozytor również był świadkiem pożogi na Ukrainie, dramatycznych przeżyć polskich ziemian tam mieszkających. Objęły one także jego Tymoszwówkę – odwiedzany przez wielu, nie tylko polskich, wybitnych twórców ośrodek kultury polskiej na Ukrainie. Karol Szymanowski musiał wszystko zostawić i na zawsze stamtąd uchodzić, a jego utwory muzyczne, w tamtym czasie i później tworzone nie łączą się z tymi przeżyciami. Iwaszkiewicz, objaśniając ten fenomen, w zachowaniu się, postawie i twórczości Karola Szymanowskiego znajdował „nieomylny instykt wielkich artystów, którzy, jak Goethe i Schiller w epoce francuskiej rewolucji i Napoleona, jak Proust w epoce wielkiej wojny, w ciszy swoich pokojów przechowują te ziarna kultury, jakie mają kiełkować, gdy szcęk szabel zniknie.”⁴

Czy Iwaszkiewicz, pisząc słowa o swym wielkim kuzynie myślał również o sobie? Romaniuk przytacza je, gdy pisze o „aspofecznej” postawie Iwaszkiewicza. Ujmuje to słowo w cudzysłów na znak niezgody z dotychczasowymi komentarzami. Przychyla się do rozumowania Iwaszkiewicza o Szymanowskim, że ta „aspofeczność” w przypadku wielkich twórców okazywała się

³ Cyfry w nawiasie po cytatach oznaczają stronę omawianej tu książki Romaniuka.

⁴ J. Iwaszkiewicz, *Pisma muzyczne*, Warszawa 1983, s. 52.

inna formą służby społeczeństwu, realizowaną poprzez wierność twórczemu powołaniu, nawet jeśli odbywa się to kosztem praktycznego wymiaru patriotycznej solidarności.

Romaniuk, szukając na takiej drodze objaśnienia i usprawiedliwienia „aspoteczności”, „ahistoryczność” utworów Iwaszkiewicza dodaje, że tego rodzaju rozumowanie można stosować do twórców tak wielkich, jak Goethe, Schiller, Proust. Czy Iwaszkiewiczowi również przysługują takie prawa, takie „przywileje”? Innymi słowy i wprost: Czy Iwaszkiewicz jest tak wielki jak tamci wymienieni? Takie pytania nasuwają się w tym miejscu czytelnikowi książki Romaniuka. On na razie pozostawia je bez odpowiedzi. Wstrzymuje się od postawienia kropki nad „i”, niezależnie od tego, co by ona znaczyła. „Na razie” – bo jeszcze nie ma drugiego tomu, który musi dużo wnieść do tej kwestii.

Są wszakże i bezpośrednie dowody angażowania się Iwaszkiewicza w problematykę społeczną, polityczną, o czym – w odniesieniu do lat międzywojennych – nie pisano. Romaniuk wydobywa z twórczości i postawy Iwaszkiewicza to, co dotychczas było mniej znane, zupełnie pomijane, lekceważone. To prawda, że żywiołem sztuki pisarskiej Iwaszkiewicza nie była pasja społecznikowska ani polityczne zaangażowanie. Jego twórczość jednak dowodzi, że nie był on obojętny na komplikacje realnej rzeczywistości, że nie pozostawał nieporuszony wobec zdarzeń w Europie międzywojennej, które dla jej losów miały duże znaczenie.

Początki tych zainteresowań Iwaszkiewicza Romaniuk łączy z jego podróżą do Niemiec, z pobytem w Heidelbergu. Znalazł się tam jako członek polskiej delegacji na zjazd Unii Intelktualnej w październiku 1927 roku (literackim śladem zdarzenia jest opowiadanie *Kongres we Florencji*) i zetknął się z ideami faszystowskimi, z przywracaniem mitologii germańskiej, z programem wielkich Niemiec. Odczuł atmosferę wrogości wobec Polski wśród organizatorów – nie tylko niemieckich – zjazdu. W jego artykułach z tego czasu są nawet ślady fascynacji faszyzmem, która wkrótce ustąpiła krytycznemu do niego stosunkowi. Jego zaniepokojenie wywoływały zjawiska na europejskiej scenie politycznej w początkach lat trzydziestych.

Bliskie mu było marzenie o pomyślności polskiego państwa, które odzyskało niepodległość w 1918 roku. Pobudzały go wzruszenia patriotyczne, poszukiwał wielkiej idei dla narodowego odrodzenia. Marzył o wielkości Polski, obmyślał prozatorski cykl poświęcony królewskim dynastiom. Z tego zamysłu powstały *Czerwone tarcze*. Przedstawiał tam samotność wodza przeżywającego gorzyc działania i patos rezygnacji.

Wierszem zaczynającym się od słów „Gdybym był wodą...” Iwaszkiewicz zareagował na wojnę domową w Hiszpanii. Jego sympatia była po stronie republikanów. W tym wierszu im właśnie sprzyja Opatrzność. Utwór ma charakter antywojenny, humanistyczny; opowiada się po stronie Hiszpanii republikańskiej walczącej przeciwko frankistowskiemu ruchowi faszystowskiemu.

Na wiersz Iwaszkiewicza zareagował Antoni Słonimski wierszem *Rozmowa*. Sparafrazował słowa Iwaszkiewicza traktując je jako głos komunisty. Nie podzielał jego postawy. Uchylił się od opowiedzenia się po jednej ze stron walczących w Hiszpanii. Dystan-

sował się od postawy Iwaszkiewicza. Odpowiadał mu jako „artysta”, konsekwentny pacyfista, któremu jest wszystko jedno kto z kim walczy. Jest w ogóle przeciwko wojnie w imię ogólnego humanitaryzmu:

Spod znaku krzyża czy znaku młota
Ciało młodzięcze, kulą rozdarte,
Od pysznych domów, świątyń ze złota
Więcej jest warte.⁵

Także Lucjan Szenwald podchwycił styl Iwaszkiewicza. Zaczął wiersz *Życzenia* od słów „Gdybym ja był obłokiem lotnym”, i w zgodzie z nim wyrażał pragnienie znalezienia się w walczącej Hiszpanii i zagrozenia oddziałem generała Franco drogi do Madrytu.

Poetycki trójgłos wywołany przez Iwaszkiewicza, zaczynający się w trzech przypadkach *incipitem* nawiązującym do *Hellady* Percy Shelleya, Romaniuk skomentował: „Sugestywny motyw Iwaszkiewiczowskiego wiersza-manifestu stał się więc niespodzianie językiem wyrażania komunistycznych poglądów i przedmiotem polemik” (507).

Dziwnie brzmi nazwanie Iwaszkiewicza komunistą, co czyni Antoni Słonimski. A i przytoczony komentarz Romaniuka w tym przypadku nie grzeszy precyzją. Po stronie republikańskiej Hiszpanii opowiadali się nie tylko komuniści. Był to protest przeciwko faszyzmowi podnoszony przez ludzi różnych demokratycznych orientacji, którzy – jak się to miało wkrótce okazać – trafnie przewidywali jego konsekwencje i słusznie ich się obawiali.

Romaniuk przypomniał, że w pierwotnej wersji *Pasji błędmierskich*, pozytywna bohaterka powieści, Róża, była komunistką; aresztowaną i zagrożoną więzieniem za kolportaż politycznej bibuły. „Wesoła i pogodna, może nawet pogodniejsza niż dotychczas, spokojniejsza, mniej bojowa i z pewnym rysem niezłomność ust, wyglądała na dobrego ducha w błędmierskim pałacu.”⁶

W tekście opublikowanym w 1938 roku została ona – na żądanie wydawcy – zamieniona w ludową nauczycielkę. „Żaden z moich utworów – pisał Iwaszkiewicz – nie uległ takim zniekształceniom pomiędzy pierwotnym pomysłem a ostateczną realizacją książkową, jak powieść nosząca obecnie nazwę *Pasje błędmierskie*. Był to nacisk zewnętrzny owoczesnej sytuacji politycznej”.⁷ A wydawcą był Aleksander Wat, który swój punkt widzenia na tę sprawę przedstawił w rozmowie z Czesławem Miłoszem: „Ta jego [Iwaszkiewicza] komunistka była nieprawdopodobnie naiwna. Iwaszkiewicz pojęcia nie miał, co to są komuniści [...] Wyperswadowałem mu tę jedną przynajmniej rzecz [...] Tłumaczyłem mu, że to naiwne. Niech będzie raczej sympatyczka TUR-a, ale bez przynależności partyjnej”⁸.

Trzeba tu raczej uwierzyć Watowi, który niewątpliwie miał lepsze wyobrażenie komunistycznej działaczki niż Iwaszkiewicz mianowany na komunistę przez Antoniego Słonimskiego. Ale prawdą jest, że *Pasje błędmierskie* były wyrazem zaniepokojenia pisarza chmurami zbierającymi się nad Europą. Po latach dopisywał do tego dzieła komentarz: „Daje ono jednak obraz owych lat groźnych i ludzi lekkomyślnych lub ślepych,

⁵ A. Słonimski, *Poezje zebrane*. Warszawa 1970, s. 372.

⁶ J. Iwaszkiewicz, *Pasje błędmierskie*, Warszawa 1956, s. 192.

⁷ Tamże, s. 6.

⁸ *Mój wiek*, t. I, s. 264-265.

którzy przeczuwając katastrofę nie umieli odnaleźć drogi ocalenia.⁹

Na krótko przed wybuchem drugiej wojny światowej, gdy Hitler żądał od Polski korytarza łączącego z Prusami Wschodnimi i Gdańską, który pod wpływem niemieckich bojówek faszystowskich stawał się coraz bardziej nieprzyjazny dla mieszkających w nim Polaków i dla państwa polskiego, Iwaszkiewicz napisał *Ode na Gdańsk* opublikowaną w 1939 roku na łamach „Wiadomości Literackich”. Zbudowana jest na opozycji między tradycją łączącą Gdańsk z Rzeczypospolitą a obecną sytuacją w Gdańsku, wrogością jego murów. Gdańsk „obcy – a nasz”.

Tego rodzaju utwory jak *Oda na Gdańsk*, wcześniejszy wiersz będący reakcją na wojnę domową w Hiszpanii prowadzą Romaniuka do wniosku polemicznego w stosunku do sądów dotychczasowych o pisarzu: „Opinia o Iwaszkiewicz jako estecie, obojętnym na atmosferę czasu, jest jednak dzięki nim nieprawdziwa. Jeśli nie zauważa się obecnego w widnokręgu Iwaszkiewiczowskich spraw od pobytu w Heidelbergu jesienią 1937 roku, problemu kształtowania rzeczywistości narzędziami literatury i społecznego zaangażowania wszystkie późniejsze utwory pisarza mogą być rozpatrywane jako sprzeniewierzenie się artystycznemu posłannictwu i koniunkturalizm. Widziane w tym świetle w oczywisty sposób nie były inspirowane niskimi uczuciami, które chętnie przypisywali pisarzowi jego przyszli oponenty” (548).

Takie jak wyżej częściowe podsumowywania szczegółowych wywodów, charakterystyczne dla książki Romaniuka, ujawniają jego stałe myślenie o całości dzieła i życia Jarosława Iwaszkiewicza. Tak jak w tym przypadku często wybiegają myślą w przód i dowodzą gromadzenia przesłanek do właściwego odczytania także powojennej twórczości pisarza. Z tym większym zainteresowaniem czekamy na ukazanie się drugiego tomu dzieła Radosława Romaniuka.

Iwaszkiewicz w Warszawie był przybyszem. Przybyszem z Ukrainy. Domowy nauczyciel – musiał na siebie zarabiać, pomagać rodzinie, podczas gdy pozostali skamandryci właśnie dzięki zamożnym rodzinom mogli swobodnie oddawać się twórczości. Iwaszkiewicz czuł się obco, miał kompleksy w towarzystwie warszawskich literatów, w kręgu „ProArte et Studio”, Pikadora, w kawiarni na Mazowieckiej. Czuł się wśród nich inny, mniejszy. Dyskusje towarzyskie, dowcipy, aluzje wywołujące wybuchy śmiechu były dla niego niezrozumiałe. Był towarzysko nieśmiały. Wiedział więcej od innych, więcej doświadczył, więcej widział, ale w gronie, w którym przebywał, czuł się „brzydkim kaczątkiem”. Przez kolegów-skamandrytów, w których widziano zwykle utalentowaną zaprzyjaźnioną piątkę, był traktowany pobłażliwie, protekcjonalnie, lekceważąco. Wbrew dotychczasowym mniemaniom to nie dopiero wojna i – zwłaszcza – powojenne wybory, zachwiały skamandrycką przyjaźnią. Naprawdę to jej nigdy nie było – przynajmniej w sytuacji Iwaszkiewicza.

Stonimski uważał – i dawał to do zrozumienia – że Iwaszkiewicza nie należy traktować poważnie. Już ta poetycka polemika między Iwaszkiewiczem i Stonimskim w sprawie stosunku do wojny domowej w Hisz-

panii wskazuje na duże różnice zachodzące między skamandrytami. Stonimski z wyniosłością pacyfisty, z intencją skompromitowania go powiedział o Iwaszkiewicz: „rzekł komunista”. To o Iwaszkiewicz w latach trzydziestych.

Lechoń wprost uważał go za człowieka mało inteligentnego. Wyśmiewał się z jego podróży. A Iwaszkiewicz w liście do żony o swoich „przyjaciółach – skamandrytach” pisał jako o „warszawskich kretynach, którzy nie pojmują obowiązku człowieka-pisarza tak, jak on to pojmował. Był rozczarowany „warszawką”. Od „drobnostkowych warszawiaków” wyżej cenil charaktery znanych mu ludzi z Ukrainy. Oddał się od środowiska literackiego, zwracał się ku muzycznemu, gdzie czuł się lepiej.

Różnice dzielące Iwaszkiewicza od pozostałych skamandrytów pogłębiły się jeszcze w wyniku drugiej wojny światowej, którą on spędził w kraju, a oni na emigracji. „Cieszyliśmy się sobą, ale byliśmy sobie obcy” – wspomni pierwsze spotkanie z Julianem Tuwimem po jego powrocie do Polski.¹⁰

Spotkanie z Antonim Stonimskim, gdy po raz pierwszy po wojnie przyjechał w 1945 roku z Londynu do Warszawy (na stałe powrócił w 1951 r.) przebiegało w przyjaznej atmosferze, pozostawiło jednak wspomnienie pewnych zgrzytów wprowadzonych przez pytania Stonimskiego „na które nie było odpowiedzi, a które świadczyły o zasadniczym niezrozumieniu”.¹¹

Spotkania takie Iwaszkiewicz komentował: „Mam wrażenie, że to, co przeszliśmy przez okupację, powstanie warszawskie, miesiące popowstaniowe, miesiące pustej Warszawy, to się położyło na naszych usposobieniach, charakterach, na tym, co się nazywa duszą, ciężarem nie do obalenia.[...] I zawsze ten moment różnicy pozostanie pomiędzy nami a nimi.”¹²

Homoerotyzm Jarosława Iwaszkiewicza. Wielu piszących o jego życiu i twórczości wybierało milczenie na ten temat. Inni dawali znać o preferencjach seksualnych pisarza aluzyjnie, enigmatycznie, dyskretnie – jeśli byli mu życzliwi. Niektórzy wykorzystywali to w złej intencji chcąc go pomniejszyć, uprzedzić do niego czytelnika, skompromitować w jego oczach. Radosław Romaniuk o tej stronie życia pisarza pisze spokojnie, rzeczowo, bez samoograniczeń i niedomówień, po prostu normalnie. Jest w tym niewątpliwie jego zasługa, ale ułatwiły mu zadanie zmiany w myśleniu o homoseksualizmie, jakie zaszły w naszych czasach. Drogę do naturalnego traktowania jego zainteresowań erotycznych utorował też sam autor. Myślę tu o opublikowanych w ostatnich paru latach trzech tomach jego *Dzienników*. Romaniuk wydobyla dramatyzm pisarza ujęty przez niego w słowach: „Albo seksualność pozbawiona uczuć, albo miłość, która wyklucza »nienormalną« realizację w sferze erotycznej”(161). Iwaszkiewicz był biseksualistą. Miał żonę i córki.

Książka Romaniuka rzuca nowe światło na małżeństwo Iwaszkiewicza z córką Stanisława Wilhelma Lilpopa. Było ono skutkiem miłości od pierwszego wejrzenia, gdy spotkali się w Kijowie, gdzie Iwaszkiewicz był związany z teatrem Stanisławy Wysockiej. Piękna i majątna Anna Lilpopówna dla poety zerwała zaręczy-

⁹ Jarosław Iwaszkiewicz, *Pasje błędmierskie*. Wydanie drugie. Warszawa 1956, s. 6

¹⁰ J. Iwaszkiewicz, *Aleja Przyjaciół*. Warszawa 1984, s. 26.

¹¹ Tamże, s. 91.

¹² Tamże, s. 92.

ny z księciem Krzysztofem Mikołajem Radziwiłłem. Literackie echa tego zdarzenia znajdujemy w powieści *Hilary syn Buchaltera*. Ojciec Anny nie akceptował wyboru swej córki; z miłości ojcowskiej jej uległ, ale daleki był od pogodzenia się z tym związkiem. W stosunku do zięcia pozostawał oschły i wymagający. Odmówił młodym pieniędzy na mieszkanie, od zięcia wymagał podjęcia stałej i solidnej pracy. Przed ślubem doprowadził do podpisania intercyzy, na mocy której cały majątek rodziny był wyłączną własnością jego córki.

W rodzinie Lilpopów był lwaskiewicz traktowany jako ktoś gorszy, ze względu na Annę tolerowany. Odczuwający upokorzenia trzymał się z dala od pieniędzy teścia. Żonie nie pozwalał ich brać od ojca. Zamierzał być samodzielny, zarobić na utrzymanie siebie i żony. Podjął pracę w sejmie jako sekretarz marszałka sejmiku Macieja Rataja, związał się z „Wiadomościami Literackimi”. Zarobki – jak pisał – wystarczały „na życie i przyodziewek”.

Wartości obowiązujące w rodzinie żony miały się z tymi, które były bliskie lwaskiewiczowi. Było to zdenerowanie świata mieszczańskiego z postawą artysty, który chciał swą żonę wyrwać spod kurateli rodziny. To mu się nie udało, także z powodu choroby Anny lwaskiewiczowej, która ze względu na stan psychiczny wymagała szczególnej opieki.

Nadzieję na osobny, samodzielny, dom własny z dala od rodziny żony wiązał z pracą w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, wyjazdem na placówkę dyplomatyczną do Kopenhagi, co otwierało duże, nowe możliwości światowego życia, uczestniczenia w koncertach muzycznych, kontaktach z ciekawymi ludźmi – ale ceną, jaką za to życie płacił, była rozłąka z żoną, która po krótkim pobycie w stolicy Danii stwierdziła, że takie życie z dala od rodziny, jej nie odpowiada.

Przeprowadzka do Stawiska, tak nierozłącznie w świadomości czytelników związanej z postacią pisarza, przebiegała w atmosferze konfliktów i kłótni z teściem. Artysta buntował się przeciw pograżaniu go w mieszczański świat. Stawisko, ten drogi prezent otrzymywany od ojca i teścia podkreślało tylko faktyczne ubóstwo poety i rodziło w nim uczucie upokorzenia. Pisał wówczas do żony: „Mam w dupie przeprowadzkę na Stawisko i strasznie ważne sprawy »mebli«, a chodzi mi o jak najbardziej istotne ocalenie tych wszystkich antyfilisterskich poglądów, jakie się jeszcze we mnie dochowały” (376).

Poczuł się szczęśliwy, gdy w 1936 roku osiedlił się w Sandomierzu. Został cenionym i szanowanym obywatelem miasta, które weszło do jego poezji i prozy, zostało podniesione do rangi mitu. W nim spotkał zwykłych ludzi, poznał rzeczywiste problemy życia. Obserwował kształtowanie się nowej warstwy społecznej związanej ze wsią, migrującej do miasta i wnoszącej do niego silne charaktery oraz nowe wartości oparte na pracy, honorze, naturalnym poczuciu moralności.

Spotkaniom z „nowymi ludźmi” nadaje Romaniuk duże znaczenie ze względu na rolę, jaką one odegrały w rozwoju postawy pisarza, jego poglądów na sprawy zwykłego człowieka, na jego zbliżenie się do niego i lepsze zrozumienie jego problemów. Dostrzegął w nich większe wartości niż w warszawskim towarzystwie, które go w stolicy otaczało. Widział, jak z tego

kręgu społecznego wyrastają nowi wartościowi pisarze. Pisał o nich w artykule *List z Sandomierza*: „Utworzyli sobie już swoją warstwę pisarzy, poetów i publicystów. Jeszcze krok, a my wszyscy, intelektualiści warszawscy, opadniemy jak niepotrzebne liście” (500).

Komentując zbliżanie się poety do zwykłych ludzi w jego sandomierskim sezonie, Romaniuk rozwija refleksję wyprzedzającą następny tom biografii pisarza: „Nie sposób podważyć wagi tego problemu w światopoglądzie lwaskiewiczza i nie widzieć w nim jednego z elementów kształtujących jego późniejsze wybory” (501).

Mógł sobie Lechoń pokpiwać z podróży Jarosława lwaskiewiczza, ale to właśnie dzięki podrójom tylko u niego – spośród skamandrytów – jest wielka przestrzeń, szeroka perspektywa, horyzonty, które nadają jego poezji i prozie wymiar i walory, jakich daremnie szukać u innych autorów z jego kręgu. Wyobraźnia lwaskiewiczza obejmuje rozległe przestrzenie. Od Ukrainy (zakole Dniepru pod Kijowem z wysokim brzegiem, na którym złocą się kopuły Pezerskiej Ławry, zaliczał do najpiękniejszych widoków na świecie), gdzie spędził dzieciństwo i młodość wczesną, gdzie pozostawił rodzinne groby, do których wracał, gdy to okazało się możliwe – do Sycylii, „kraj tajemniczej i barwnej”, wiążącej się we wspomnieniach z Karolem Szymanowskim i przedstawieniem *Króla Rogera*. A między tymi odległymi punktami rozciąga się sieć przystanków i miejsc dłuższego postoju, z których każdy dostarczał wzruszeń estetycznych i znajdował miejsce dla siebie w utworach poetyckich i opowiadaniach. Kijów, Odessa, Elizawetgrad, Petersburg, Berlin, Paryż, Rzym, Florencja, Davos, Kopenhaga... można by jeszcze długo wylizać. I Patagonia w Ameryce Południowej.

Wystarczy objąć ruchem wyobraźni światy wywołane utworami skamandrytów, by zauważyć odrębność Jarosława lwaskiewiczza zasadzającą się między innymi właśnie na zawartej w jego utworach wizji wielkich, otwartych przestrzeni – geograficznych i kulturowych. Bo podróże już same w sobie wywoływały wzruszenia estetyczne, a ponadto wiązały się ze spotkaniami z dziełami sztuki, które stawały się często tematem utworów poetyckich i opowiadań.

Podróże pełniły jeszcze inną ważną funkcję związaną z jego życiem i twórczością. Pozwalały oddalić się od dusznej atmosfery w kraju, towarzystwa literatów o obcej mu mentalności, od domu, w którym panowała rodzina żony o mieszczańskich horyzontach myślenia. Przebywanie myślami i wyobraźnią w rozległych przestrzeniach od Ukrainy po Sycylię pozwalało unosić się ponad małostkami, chronić jego tożsamość, oznaczało obcowanie z wielką sztuką, architekturą, różnorodnym pejzażem, którego widok wywoływał głębokie przeżycia estetyczne.

To było „inne życie”. Słowa, których Romaniuk użył w tytule swej książki, są nazwaniem lwaskiewiczowskiego cyklu poetyckiego, w którym pojawiają się stępy „żyznej Ukrainy”, „wieczór późnej jesieni na polach pod Siena”, wzgórze florenckie, obrazy Breughla, katedra w Orvieto, wiersz *Obłoki* z melancholijnym wspomnieniem Sandomierza i *Sonetu sycylijskie* ze wspomnieniem Karola Szymanowskiego, *Króla Rogera*, metopów, Taorminy, Etny, źródła Aretuzy, pejzażu z Agrygentu.

Zachwyty krajobrazami napotkanymi i zapamiętanymi z podróży po wielu krajach Europy nie oznaczały obojętności na urodę pejzażu rodzimego. Jak w wierszu oznaczonym numerem VIII z tomu *Lato 1932*:

Jeżeli znowu znajdę przyjemność w podróży,
Nie znaczy to, bym ciebie zapomniał zwolna:
Stokrotne przypomnienie nigdy mnie nie znuży.
Jak zawsze mnie zachwyci nasza droga polna.

W utworach będących artystycznym owocem podróży dochodziły do głosu przeciwstawne elementy: europejskie i polskie. Był między nimi konflikt. Walczyły ze sobą o prymat, wpływały na osobowość i postawę poety, w której owa sprzeczność się ujawniała. Europa i Polska – główne składniki, które składały się na artystyczną, ideową i biograficzną harmonię, co staje się szczególnie widoczne z późniejszej perspektywy, w świetle prozy wspomnieniowej pisarza.

Jarosław Iwaszkiewicz – esteta i Europejczyk wrażliwy był na sprawy swego kraju, choć nie zapewniał on szczęścia, spokoju, harmonii. W wierszu bez tytułu z cyklu *Księga nocy* (tytuł cyklu jest wymowny, w opozycji do *Księgi dnia*, pełnej światła i kolorowych impresji z podróży) poeta przeciwstawia kraje północy, do których i Polska należy, a które wymagają powinności i cierpienia – krajom południa, gdzie jest piękno, a wartością jest już samo życie. Z myślą o losie mieszkańców kraju północy, do których sam należy pisał z goryczą:

Nie dla nas winnic modry stok
I winnic wdzięk, i winnic sok.
A dla nas pylny owsa łan
I karczmarz Żyd, i wódki dzban.

[...]

Nie dla nas mądrych rozmów gwar.
I słowa cios, i dysput żar,
A dla nas zawiść, kłótnie, srom,
Rozgrzany szynk i zimny dom.¹³

W wierszach będących owocem podróży do Europy zawiera się i wyniosła postawa estety i ślad trudnej młodości; chęć ucieczki od tego co go w kraju otacza, udania się w „Podróż do Europy”, ucieczki niemożliwej, kończącej się nieuchronnym „powrotem do Polski”, jak w *Pożegnaniu Sycylii*:

Nie wolno ci nie pamiętać. Od cierpień się nie wykręcisz

I musisz zimny ssać wiew, na który skazał cię Bóg.

Na północ więc kieruj się teraz, na północ, na północ

Do kraju mogił i chmur, do kraju krzyżów i chmur.

W komentarzu do tego wiersza Iwaszkiewicz napisał: „Nie, ani zapachy róż i pomarańcz, ani blask mżących świetnych malowideł, ani włókna agawy i aloesu nie owiną ci serca mgłą zapomnienia, poeto. Wszystko, co tam na północy jest prawdą i cierpieniem, jest twoim domem, twoją nieprzemijającą rzeczywistością”.¹⁴

O podróżach Iwaszkiewicza do krajów zachodniej Europy, o jego fascynacji jej zabytkami, kulturą, galeriami sztuki, świątyniami pisał wielu. Ale Romaniuk wydobył jeszcze jedną ich funkcję: „Jednoczenie z kształtowaniem się mapy Iwaszkiewiczowskiej Europy pisarz formułował swój stosunek do Polski, w czym wydatnie pomogła mu uzyskiwana poza krajem perspektywa” (392-393).

Po bardzo dobrym przedstawieniu przez Radostawa Romaniuka „innego życia” Jarosława Iwaszkiewicza do września 1939 roku, z tym większym zainteresowaniem przyjmować będziemy tom następny obejmujący lata po drugiej wojnie światowej.

MARIAN STĘPIEŃ

Radostaw Romaniuk, *Inne życie. Biografia Jarosława Iwaszkiewicza*. Tom I, Warszawa 2012

S U P L E M E N T

Jako aneks do recenzji z książki Radostawa Romaniuka podaję jeden z listów Jarosława Iwaszkiewicza do piszącego te słowa. O wyborze listu zdecydowały zawarte w nim aluzje korespondujące zarówno z wymową książki, jak i z opinią o niej (zachowuje się piśmienną Autora).

* * *

[Adres na kopercie: „Obywatel Marian Stępień, Kraków, Aleja 3 Maja 5 m.421 (to adres II Domu Akademickiego, nazwanego później „Żaczkiem”)].

Stawisko p. Brwinów 24 II. 54

Jarosław Iwaszkiewicz

Drogi chłopcze! Chyba mogę tak jeszcze do Pana pisać, choć już Pan jest studentem 4-go roku polonistyki i mężem uroczej Krystyny. Daje mi do tego vocativu prawo wieku i prawo serdeczności, którą wzbudził Pan swoim czarującym w prostocie i tak świeżym w wyrazie liście. To właśnie jest największe szczęście – starzejąc się wiedzieć, dowiadywać się, że głos mój może być akompaniamentem nowej młodości, że potrzebny jest nawet Panu, członkowi Partii, pracownikowi nowych czasów. Ja oczywiście o tem wiedziałem – teoretycznie; ale takie listy jak pański, a miałem ich dotychczas bardzo nie wiele, utwierdzają mnie w tem, że droga moja była właściwa. Pisarza ogarnia czasem lęk, że wszystko to, co zrobił, jest czemś zbędnym, niepotrzebnym, że jest to szpargałem – i pomagają mu w takim odczucaniu skończonego dzieła ci ludzie, którzy „wiedzą jak trzeba oceniać”... Ale echa, które wywołują u młodych najstarsze moje wiersze (panienki muślinowe i abiturienti) – dowodzą, że nawet te najbardziej odrzucone przez współczesnych krytyków wiersze mają jakiś ton „który ja jeden tutaj znam”, a który jednak przemawia do nieuprzedzonych i świeżo reagujących czytelników. Radością napęnia serce, że zawarte w nich ongi życie prawdziwe, pomimo wszelkie starzenie się, bije ożywczo źródłem prawdziwego życia! Trochę na siłę – to znaczy gwałcąc siebie – piszę te słowa, bo również należę do ludzi, którzy wstydzą się swoich najpiękniejszych wzruszeń – jak Pan to pisze – a list pański dał mi właśnie to piękne a wstydlive wzruszenie. Niechże więc Pan nie pokazuje tego mojego pisania nikomu, oprócz Krystyny, szanując moją wstydlivość.

Serdecznie ściskam dłoń Pana, a żonę pańską pozdrawiam

Szczerze oddany

Jarosław Iwaszkiewicz

¹³ J. Iwaszkiewicz, *Wiersze*, Warszawa 1958, s. 200.

¹⁴ J. Iwaszkiewicz, *Podróże*, t.1, Warszawa 1981, s. 359-360.

ALEKSANDER KRAWCZUK

**Krakowianin, Profesor, Mędrzec, Historyk, Mąż Stanu, Mąż, Ojciec i Dziadek
otrzymuje dzisiaj Kowadło w „Kuźnicy” i od „Kuźnicy”.**

Zapewne przy wielu już okazjach obie nazwy: „Kuźnica” i Kowadło były dogłębnie analizowane i interpretowane. Nie zamierzam konkurować z oratorami znacznie ode mnie lepszymi, zasygnalizuję jedynie to, co moim zdaniem podkreślić czy też przypomnieć, należy.

Po pierwsze – „**Kuźnica**”

Kuźnica to dawny typ manufaktury, w którym wytopione z rudy metale uzdatniano lub przerabiano za pomocą młota i kowadła. Wydobywanie rud – co warto przypomnieć – było przez wiele lat przywilejem królewskim. W Kuźnicy nadawano odpowiedni kształt wyrobom metalowym, najczęściej żelaznym, ale także z metali szlachetniejszych, z miedzi czy mosiądzu. Przekuwanie przekształcało miękkie żelazo w szlachetną stal.

„Kuźnica” była tak mocnym i jednoznacznym symbolem postępu, iż nazwę taką otrzymała w końcu XVIII wieku grupa polityków i publicystów wspierająca reformatorskie i postępowe skrzydło Sejmu Czteroletniego.

Po drugie – **Kowadło**, to **Kowadło**.

Jest to nagroda za wybitne działania i osiągnięcia na polu społecznym, naukowym, kulturalnym dla osób o nieprzeciętnym kręgosłupie moralnym, będących prawdziwymi autorytetami. Honorowa Nagroda Kowadła ustanowiona w 1976 roku, przyznawana jest za dzieła, czyny i postawy szczególnie poruszające środowisko „Kuźnicy”, a tym samym ważne dla polskiego życia społecznego i kulturalnego.

Po trzecie – **Kowal**

Niejednokrotnie zawód ten przestawał być rzemiosłem i zajęciem gminu, stawał się pasją, jakże często przeradzającą się w artyzm najwyższej próby. Już Jan Długosz w *Kronice* opisał postać księcia mazowieckiego, Kazimierza, jako zamiłowanego kowala, który „do rzemiosła kowalskiego taką miał z przyrodzenia chęć i skłonność, iż często niem się zabawiając, strzały, siekiery, miecze i inne narzędzia ręką własną wyrabiał”.

Po czwarte – **Kowal**; ten **Kowal**

Biografia, dokonania życiowe dzisiejszego Laureata są, powinny być w tym gronie doskonale znane.

Towarzyszmy, jedni krócej inni dłużej, Aleksandrowi Krawczukowi w Jego sukcesach, dokonaniach naukowych, społecznych. Chłoniemy Jego sposób postrzegania świata, reguł i prawideł nim rządzących, ucząc się od Niego jasnych zasad, jakimi należy się kierować w życiu tak wobec bliźnich, wobec przyjaciół jak i wobec wyznających inne wartości.

Dla statystyków ufnych w daty i liczby, z metryki tylko Aleksander Krawczuk jest sędziwym mędrcom, dla znających Go z ducha jest wciąż Apollinem, najmłodszym, najpiękniejszym bogiem o niezwykłych walorach umysłu. Apollinem, któremu dedykowano wawrzyn szlachetny. Kowadło dziś wręczane jest swą, współczesną odmianą owego wawrzynu – wieńca laurowego.

Zgodnie z Fredrowską zasadą – znanie to postępujcie – zechcą Państwo wysłuchać zarysu zaledwie tego, co światły obywatel naszego kraju winien o Aleksandrze Krawczuku wiedzieć.

Od urodzenia krakowianin. Podczas II wojny światowej był żołnierzem Armii Krajowej. Po zakończeniu wojny, w 1949 roku ukończył studia na Wydziale Filozoficzno-Historycznym Uniwersytetu Jagiellońskiego i podjął pracę naukową w Zakładzie Historii Starożytnej, uzyskując tytuł profesora.

Opublikował liczne, tłumaczone na wiele języków prace naukowe i książki popularnonaukowe.

Wciąż pamiętany jest jako znakomity popularyzator historii i filozofii antyku w Telewizji Polskiej, przybliżający milionom Polaków rzymskich i greckich bohaterów tych rzeczywistych i tych mitycznych. Swymi wykładami, będącymi swoistą rozmową z telewizorem o historii, o kulturze stworzył niedościgniony wzór, stworzył szkołę Krawczuka, do której jakże często tęsknimy posługując się pilotem.

Antyczny świat profesora Krawczuka przywoływany bywa obecnie jedynie w wywiadach prasowych. Profesor mówi w nich na przykład, o najbliższej sobie postaci, o Julianie Apostacie. Wspaniałej, jak twierdzi, postaci w historii Rzymu i jednej z najwspanialszych postaci w dziejach Europy. „Imponuje mi – mówię o nim – nie tylko ze względu na swój stosunek do religii, ale przede wszystkim ze względu na wspaniałe cechy charakteru. Proszę sobie wyobrazić młodego chłopca-

ka, który kocha książki, spokojne życie uniwersyteckie i starą kulturę. Tak jak Krawczuk właśnie. I w pewnym momencie staje on przed zupełnie dla niego niepojętym zadaniem. Musi jechać (Apostata) z Aten do Galii i walczyć z Germanami”. A Aleksander Krawczuk też musiał pojechać z Aten do Galii, z Krakowa do Warszawy, by walczyć o kulturę polską.

W roku 1986 zostaje wiceprzewodniczącym Narodowej Rady Kultury, a po kilku zaledwie miesiącach zostaje powołany na funkcję ministra kultury i sztuki, którą do września 1989 roku pełni w rządach Zbigniewa Messnera i Mieczysława Rakowskiego.

Wówczas taki awans był wypadkową zgody wielu gremiów, a bywało, że dopiero na końcu premier dowiadywał się, kogo ma powołać do swego rządu.

Bohater tej laudacji zasiadł więc za biurkiem, przy którym wcześniej pracowali między innymi: Stanisław Wroński, Janusz Wilhelmi, Zygmunt Najdowski i Kazimierz Żygulski, przez twórców, przez działaczy i pracowników kultury osoby niezbyt mile kojarzone.

I oto na Krakowskim Przedmieściu zapanował krakowski styl i maniery, niezwykła elegancja i kultura osobista, szacunek i życzliwość dla twórców.

Jak lata tego ministrowania zostały zapamiętane? Srogo pomylili się ci, którzy sądzą, że ministrem został „pan od przeszłości”, nie potrafiący zarządzać, podejmować decyzji, nie zorientowany w zawiłościach stosunków wśród tak zwanej „Warszawki” – wszystko odwrotnie.

Był to czas niezwykle stabilnej finansowo sytuacji w kulturze, w instytucjach kultury, ale i wśród twórców – głównie za sprawą Funduszu Rozwoju Kultury, którym historyk starożytności gospodarzył jak światły ekonomista.

To był czas, kiedy nie odkładano filmów na półki, nie było zatrzymań w cenzurze, a Aleksander Krawczuk był pierwszym reprezentantem władzy, który ku zdumieniu wielu publicznie powiedział, iż jest jedna literatura polska, niezależnie od tego gdzie jest drukowana, w kraju czy za granicą, w oficjalnych wydawnictwach czy w podziemnych. Jedyna różnica to czy literatura ta jest dobra czy zła.

Pamiętam konsternację, jaką wywołały te słowa. Następnego dnia byłem indagowany przez radców kultury zaprzyjaźnionych ambasad, pytających, czemu zmieniamy zasady polityki kulturalnej nie powiadamiąjąc ich o tym, by nie powiedzieć – nie konsultując się z nimi.

Podobną konsternację wywołała decyzja ministra Krawczuka o utrzymaniu festiwalu młodzieżowej awangardy w Jarocinie, mimo braku, zapewne, osobistej fascynacji tym rodzajem muzyki i sztuki.

Fundacja Kultury Polskiej, jej powstanie, działalność i znaczący dorobek to także wielka zasługa ministra Krawczuka. 25 lat Fundacji, tu w Krakowie, przyczyniło się poprzez różnorodne formy działalności do umacniania poczucia wartości kulturalnej Krakowa, uświadamiania w tej materii prawd oczywistych, lecz nie zawsze funkcjonujących. Niezależnie ilu i jakich ma i miał współpracujących jest to Jego osobista zasługa.

Od 1991 do 1997 Aleksander Krawczuk sprawował mandat posła na Sejm I i II kadencji z ramienia Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej (SdRP). Ale prze-

cież nie kandydował dla zaspokojenia swych ambicji, ani dla innych splendorów. W tamtym czasie, w tamtej atmosferze podjęcie się reprezentowania lewicowych poglądów, nie mając z lewicą związków formalnych – był i jest bezpartyjny – świadczyło o przywiązaniu do tradycji postępowych nurtów rodem z XIX-wiecznej, krakowskiej, myśli Edwarda Dembowskiego czy początków krakowskiego PPS-u, przedwojennego i tuż powojennego. To spowodowało potrzebę wsparcia lewicy i zmanifestowania tego poprzez sprawowanie mandatu posła.

Dziś służy nam radą i pomocą już nieoficjalnie, prywatnie, po przyjacielsku.

Spotkać Go można codziennie w księgarni na Rynku i przy profesorskim stoliku w Grandzie, to taka kawiarniana akademia nauk, taka Kana galicyjska.

Padło tu wiele dat i faktów.

Powiem o kilku jeszcze, bardziej prywatnych, ale jakże w życiu Aleksandra Krawczuka ważnych, jeśli nie najważniejszych. To, iż mówię o nich w zakończeniu nie oznacza, iż są marginalne, wręcz odwrotnie, zgodnie z angielskim powiedzeniem *at last but not least*.

Lata 60. minionego stulecia w życiu Aleksandra Krawczuka, to ślub z obecną tu Panią Barbarą, i narodziny synów Wojciecha i Marcina, wiek XXI to narodziny wnucząt Marysi, Dymitra i Benedykta.

W jednym z wywiadów Aleksander Krawczuk przytoczył rozmowę Konfucjusza z uczniami. Zapytał Konfucjusz uczniów, czego by pragnęli. Pierwszy chciał zostać ministrem, drugi mistrzem ceremonii, trzeci kapłanem. Tylko jeden milczał. Zapytany przez mistrza powiedział: „Ja pragnąłbym późną wiosną, kiedy już zrobi się ciepło, pójść z kolegami nad rzekę, wykapać się i wracać do domu śpiewając”. Konfucjusz westchnął: „I ja też tego pragnąłbym”. Nasz bohater tak tę przypowieść skomentował:

– Nauczmy się doceniać tak ulotne piękno codziennych chwil. W gruncie rzeczy tylko ono się liczy. Reszta to walka o byt, kłopoty, manipulacje polityków, dziennikarzy i historyków.

Niech słowa te będą dla nas wszystkich wskazaniem otrzymanym od dobrego, mądrego, doświadczonego przyjaciela. To Krawczuk nam, a co my możemy zadedykować Wielkiemu Aleksandrowi?

Sięgnąłem po Sokratesa, ale przecież nie będę przywoływał jego słów: „bogaty jest tylko człowiek mądry”, bo tego bogactwa Profesorowi nie brakuje. Może więc powtórzmy, w imieniu Aleksandra Krawczuka, za Janem Kochanowskim zanoszącym prośbę do Boga:

„Ja, Panie, niechaj mieszkam w tym gnieździe ojczystym,

A ty mnie zdrowiem opatrz i sumieniem czystym.

Pożywieniem uczciwym, ludzką życzliwością,

Obyczajami znośnymi, nieprzykrą starością”.

Zasłużyłeś na to Dostojny Aleksandrze, zasłużyłeś w pełni.

Rada Stowarzyszenia
„Kuznica”

przyznaje

Profesorowi
ALEKSANDROWI KRAWCZUKOWI

Honorową Nagrodę Kowadła

w uznaniu Jego

- ▶ *dorobku w badaniach przeszłości, kształceniu studentów i formowaniu naukowców oraz w przybliżaniu dziejów starożytnych, a także nauk z nich płynących, człowiekowi współczesnemu;*
- ▶ *umiejętności mądrej rozmowy z milionami czytelników i widzów, i zdobywania ich zaufania;*
- ▶ *obywatelskiej postawy i poczucia państwowego obowiązku, przejawianych przez całe życie;*
- ▶ *przetomowych inicjatyw, odwagi i odpowiedzialności we współkierowaniu polityką kulturalną i w działalności parlamentarnej, długoletniego zaangażowania w pracach stowarzyszeń i fundacji kultury.*

Kraków, 21 marca 2013 r.

ALEKSANDER KRAWCZUK

SZCZEGÓLNIE DZIĘKUJĘ TYCHE – BOGINI LOSU!

Mam lat 91 więc mógłbym tu, do wszystkich Państwa mówić: – Droga młodzieży.

A zatem: Droga młodzieży!

Jestem rodowitym krakowianinem. Do wieku lat dziesięciu mieszkałem przy Rynku Głównym, w kamienicy numer 15 na trzecim piętrze, a więc w budynku, który dziś zajmuje restauracja Wircyng. Inna sprawa, że w tym domu nigdy Wierzynek nie mieszkał, a ponadto nie nazywał się Wierzynek tylko Wiertzing. Natomiast ja rzeczywiście tam się urodziłem, mieszkali tam moi rodzice i dziadkowie, którzy przejęli to mieszkanie po swojej krewnej, pani Pawwi, która była ciotką Wyspiańskiego. I w tym właśnie mieszkaniu, jako że było obszerne i przestronne, Wyspiański często bywał i tam pracował. Tak więc w pewnej mierze jestem spowinowacony z Wyspiańskim i *summa summarum*, bardziej krakowskiego pochodzenia nie można sobie wymarzyć.

W jakimś sensie, ciągle w tym mieszkaniu przebywam, bo pierwszych dziesięć lat życia wywiera na człowieku rodzaj piętna. Były to ogromne, królewskie pokoje, ale bez toalety i bez łazienki – słowem standard był XIV-wieczny...

Od osiemdziesięciu lat mieszkam jednak w domu na Podgórzu, który wybudowała moja bohaterska matka. Ojciec zmarł, kiedy miałem 6 lat. Matka została sama z trojgiem dzieci w tym ogromnym mieszkaniu. Dokończyła budowę domku na Krzemionkach...

Podgórze, jak Państwo przecież wiecie, założył cesarz rzymski Józef II w roku 1784, więc jestem z tego tytułu rzymianinem i patrząc wstecz na moje życie mogę tylko dziękować bogom olimpijskim za łaskawość, w tym szczególnie dziękować Tyche – bogini losu!

Mógłbym gruby tom poświęcić tematowi „przypadki w moim życiu”. Wielokrotnie, szczególnie w czasie wojny byłem o krok od śmierci, albo zesłania do obozu. Jako żołnierz Armii Krajowej miałem też pewne przejścia po wojnie, bo gdy profesor Ludwik Piotrowicz zechciał powołać mnie na swego asystenta, to od razu dowiedział się, że jest to niemożliwe, bo ciąży na mnie akowska przeszłość. Był to ponury okres stalinowski, a przecież profesor Piotrowicz nie ugiął się pod naciskami, i muszę wspomnieć o nim z wielką estymą. – Krawczuk jest mi niezbędny – twierdził profesor – bo zna łacinę! I tak łacina określiła dalsze moje losy...

KOWADŁO

Wiele zawdzięczam profesorowi Sewerynowi Hammerowi u którego pisałem pracę magisterską po facinie. Potem profesor Józef Wolski, który zastąpił profesora Piotrowicza, był promotorem mojej pracy doktorskiej. Wiele zawdzięczam profesorowi Henrykowi Wereszycy, który zachęcił mnie do pisania prac popularnonaukowych. Należałem do jego kawiarnianego stolika, gdzie był Mietek Pszon, Marek Skwarnicki... Wszyscy odeszli, a ja zostałem, bo ktoś zawsze musi być ostatni, ale głoszę ich chwałę!

Nigdy do żadnej partii nie należałem, ale mam poglądy lewicowe od chwili, kiedy przeczytałem *Kazanie na Górze!* Państwu też tę lekturę rekomenduję, bo jest to manifest lewicowości – być zawsze po stronie ubogich, pokrzywdzonych, cierpiących, potrzebujących pomocy!

I zwróćcie Państwo uwagę na trzy przykazania ewangeliczne, którymi trzeba się kierować: Chceć dobrych uczynków, a nie ceremonii ofiar, drugie to: *Wybaczaj a będzie Ci wybaczone* i trzecie: *Kiedy się modlisz, zamknij się w izdebce swojej!* Ci którzy modlą się na pokaz, publicznie otrzymają zapłatę swoją!

Kościół katolicki interpretuje te przykazania inaczej. Kiedy Bóg chce miłosierdzia, a nie ceremonii ofiar, to Kościół buduje Bazylikę Miłosierdzia! Gdy mowa: wybaczaj a będzie ci wybaczone, Kościół powiada: „o wybaczenie prosimy, ale sprawiedliwości musi stać się zadość! Oko za oko, ząb za ząb”. A gdy pada propozycja by w modlitwie „zamknąć się w izdebce swojej” to od razu stają przed oczyma te wszystkie pompacyjne ceremonie! Wszystko to sprzeczne jest z nauczaniem Chrystusa i w tym świetle ja wypadam na prawowierne chrześcijanina, bo tych przykazań pilnie przestrzegam....

Nie potraktujcie Państwo tego jako płaski dowcip, ale jako historyk starożytności wiem też dobrze, ile zawdzięczam olimpijskim bogom nieśmiertelnym!

Więc przede wszystkim Hermesowi, bo urodziłem się pod jego znakiem i w jego dzień w środę – *mercuri dies* i jemu zawdzięczam, że mając lat 91 jeszcze mogę się wypowiedzieć względnie sensownie (przynajmniej tak sobie pochlebiam). Bogini Atenie zawdzięczam, że urodziłem się w Polskich Atenach – w Krakowie, bogini Afrodycie zawdzięczam żonę, bogini Herze, że stoi na straży naszego małżeństwa już ponad pół wieku. Wreszcie, choć nad wszystkim i tak panuje Zeus gromowładny, to przecież wiele zawdzięczam bogini losu – bogini Tyche, bo jak wspominałem, nie wiem jakim cudem się uchowałem i zawdzięczam to wielu niewiarygodnym szczęsnym przypadkom. Dość wspomnieć zawał serca, który spotkał mnie akurat na sali sejmowej. Czuję się nie najlepiej i chciałem tego dnia zostać w swoim pokoju, a gdyby tak się stało, to na drugi dzień moje ciało znalazłoby sprzątaczkę! A tak gdy zawał mnie dopadł, natychmiast znalazła się i pomoc. Kolejnego dnia żona odwiedzała mnie w szpitalu i przez pielęgniarki zaproszona została na kawę... Zechciała jednak najpierw zajrzeć do mnie, a ja w tym samym momencie, kiedy otwierały się drzwi, doznałem kolejnego ataku i tylko dzięki temu przypadkowi żyję... Innymi słowy, dotrwanie do tak późnego wieku, to ciągnący niewiarygodnie szczęsnym przypadków i należy być za to wdzięcznym bogom, a gdy pytają, jaka jest moja recepta na długowieczność, odpowiadam (choć żona się oburza), że sposobem tym jest seks i alkohol! ■

14. lipca br., w 224. rocznicę wybuchu Wielkiej Rewolucji Francuskiej i w 86. rocznicę urodzin Józefa Tejchmy, w upalne niedzielne popołudnie zebrała się w murach Klubu Księgarza w samym środku Warszawy, na Rynku Starego Miasta, ponadstuosobowa gromada członków i sympatyków „Kuźnicy” (niezmiennych wyznawców idei wolności, równości i braterstwa), a zarazem przyjaciół Józefa Tejchmy właśnie.

Józef Tejchma – jedna z wybitnych postaci swego pokolenia, w latach pięćdziesiątych minionego stulecia lider młodzieży wiejskiej i budowniczy Nowej Huty, od połowy lat sześćdziesiątych członek najwyższych władz partyjnych i państwowych odpowiedzialny za awans pokolenia młodych rolników i robotników, a potem za politykę kulturalną i edukacyjną (jeszcze wcześniej także za rolnictwo), a więc dziedziny, z których Polska Ludowa może być dumna, człowiek od wiejskiego dzieciństwa zagłębiany w kulturze i poznawaniu świata, przyjaciel twórców i ich wolności – otrzymał Kowadło „Kuźnicy”.

Pochwałę Laureata wygłosił Józef Klasa, Kowadło wręczył przewodniczący uroczystości, prezes „Kuźnicy”, Andrzej Kurz.

Po podziękowaniach Józefa Tejchmy i wystąpieniach okolicznościowych sale Klubu Księgarza długo rozbrzmiewały przyjacielsko-rodzinnymi rozmowami i śpiewami, animowanymi jak zawsze przez gospodarza Klubu, Jana Rodzenia. (A.K.)

Zyskał szacunek twórców

Szanowne Panie, Panowie, Drodzy Przyjaciele!

Miałem szczęście, gdyż zostałem dopuszczony do wygłoszenia laudacji z okazji przyznania przez Stowarzyszenie „Kuźnica” Honorowej Nagrody Kowadła (jedynego odznaczenia Stowarzyszenia) Panu Józefowi Tejchmie. Czynię to z dużą przyjemnością i satysfakcją ze względu na szacunek i przyjaźń w stosunku do Jubilata. Nie będzie to „profesorska” laudacja, jak to zwykle w „Kuźnicy” bywa, piękna i filozoficzna.

Chciałbym się podzielić swoimi opiniami na temat Józefa Tejchmy, który dzisiaj obchodzi również 86 urodziny. Sądzę, że dziesiątki lat naszej znajomości i przyjaźni dają mi taki przywilej.

Przyznając Kowadło Józefowi Tejchmie Rada Stowarzyszenia chciała docenić i jako lewicowa organizacja podziękować Mu za wielostronną, zawsze lewicową działalność społeczną, polityczną i kulturalną oraz publicystyczną.

W swoim wyjątkowo aktywnym życiu z wielkim pożytkiem dla Polski i dla lewicy Tejchma sprawował licz-

DLA JÓZEFA TEJCHMY

ne ważne funkcje – był m.in. przewodniczącym Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici”, wicepremierem, dwukrotnie ministrem kultury, ministrem oświaty, ambasadorem w Szwajcarii i Grecji, a nade wszystko przez 12 lat był członkiem Biura Politycznego KC PZPR. Uważa siebie, i słusznie, za polityka „Października”.

We wszystkich swoich działaniach okazał się być człowiekiem liberalnym, a także wrażliwym na problemy ludzkie. Z dużym powodzeniem udawało Mu się unikać intryg, frakcyjności politycznej, skrajnych ocen. W moim przekonaniu zawsze był bliski poglądom prezentowanym przez „Kuźnicę”, co często w „Białym Domu” było uważane za „rewizjonizm”, eurokomunizm, „brak pryncypialności”. Charakterystyczne, iż mimo bliskiej przyjaźni i współpracy z Władysławem Gomułką w 1970 roku odbył z Nim „męską rozmowę”, aby po tragicznych wydarzeniach na Wybrzeżu podał się do dymisji dla dobra Polski, aby oszczędzić dalszej kompromitacji partii.

Kiedy Andrzej Kurz uznał, że to właśnie ja powinienem wygłosić laudację w czasie uroczystości związanych z wręczeniem Józefowi Tejchmie „Kowadła”, zadzwoniłem do jednego z najbliższych przyjaciół Tejchmy od czasów Markowej i Łańcuta – Edwarda Szpytmy – z zapytaniem, na co powinienem zwrócić szczególną uwagę w moim wystąpieniu. Edward bez wahania powiedział: „Zwróć uwagę na najwspanialszą cechę Józka – wierność korzeniom, nie tylko w sensie pochodzenia ze wsi Markowa, ale w sensie wartości, w których się tam wychował – przestrzeganie zasad, które wyniósł z domu, m.in. z gimnazjum i liceum w Łańcutie: szacunek dla rodziny, matki i ojca, wrażliwość na ludzkie problemy, niesprawiedliwość i krzywdę ludzką, najwyższy szacunek do pracy, lojalność w stosunku do współpracowników i przyjaciół”.

W książce *Pożegnanie z władzą* o swojej wsi – Markowej, gdzie się Tejchma urodził jako najstarszy z pięciorga rodzeństwa pisze: „Ludzie w Markowej byli nosicielami postępu w całym okresie międzywojennym. Była tam pierwsza w Polsce spółdzielnia zdrowia, kółko rolnicze, kasa Stefczyka, spółdzielnia „Społem”, spółdzielnia mleczarska; w dziedzinie kultury niemal od samych początków naszego wieku działał teatr ludowy, orkiestra, chór, ognisko muzyczne, biblioteka publiczna, ZMW „Wici”, który wychowywał w duchu urządzania sobie życia wspólnie i samodzielnie, bez czyjegokolwiek patronatu. Po wojnie w Markowej – pisze Tejchma – wybuchła cywilizacja, toczyła się jak lawina. Zapanowała gorączka zmian: elektryfikacja, wodociąg, gazociąg, nowa droga. W ciągu kilku lat powstała w Markowej cała struktura cywilizacyjna: ośrodek zdrowia, lecznica dla zwierząt, szkoła, pawilon handlowy. Wokół tych właśnie spraw rozwijała się nasza aktywność”.

W takiej atmosferze kształtował się nasz dzisiejszy Jubilat. Z takimi ideami wyruszył w Polskę, aby przekształcać ją w ludową, w PRL.

Działalność społeczna w Markowej, ciężka praca fizyczna – przez kilka lat był parobkiem u kmiecia, wspinał się do gimnazjum i liceum w Łańcutie, gdzie zaangażowanie w działalność publiczną było cenione prawie na równi z wynikami w nauce, odcisnęły trwałe piętno na charakterze i postawie Tejchmy. Tak szkoła życia doprowadziła Go na szczyty władzy. Należy podkreślić, że nigdy nie rozpychał się łokciami, aby zdobyć nowe stanowisko. Kompetencje, wiedza, pracowitość i skromność, wiara w to co robi, doprowadziły Go tak wysoko. Nigdy nie szukał protekcji koleśków i nie korzystał z układów.

Za czasów Gomułki – pisze Tejchma – „słowo komunizm było prawie nieobecne w języku politycznym, nie ze względów taktycznych, lecz z przekonania, że nie przylegało do polskiej rzeczywistości. Dopiero za Gierka zaczęło się licytowanie wierności komunizmowi. W żadnym z moich tekstów, które opublikowałem, nie mówiłem o sobie »komunista«. Dopiero teraz, kiedy rozmnożył się antykomunistyczny warcholizm, kiedy wszystko co złe jest komunistyczne, kiedy umysłowe leniwość i ignorancja umieszczone są w antykomunistycznym zakłębieniu, miałbym ochotę powiedzieć – tak było we mnie coś z komunizmu, ale na poziomie literatury naukowej, a nie brukowej”.

Tejchma w swojej publicystyce wielokrotnie powtarza zasadę, że „wierność nie może być słusniejsza od sprawiedliwości”, a także przestrzega polityków, że „ci co usuwają, będą usunięci”, a najbardziej uniwersalną prawdą jest to, że „są przyjaźnie, które łączą i są prawdy, które dzielą”.

Jako minister kultury zyskał wśród twórców szacunek, chociaż często wykonując uchwały Biura Politycznego bywał w konflikcie z nimi, ale dzięki unikaniu skrajności, agresji znajdował z nimi wspólny język.

Kiedy Andrzej Wajda zaprosił Tejchmę na film *Człowiek z marmuru*, wbrew opinii Olszowskiego, Grabskiego i innych członków Biura Politycznego, podjął decyzję o wprowadzeniu filmu na ekrany kin polskich. Później napisał o tym: „Straciłem dużo, zyskałem więcej, bo jaki byłby świat i tak dziś okrutny, bez ustawicznego zaangażowania kultury, aby go polepszać”.

Pozwólcie, że kończąc zacytuję jeszcze jedną maksymę naszego Jubilata: „Trwam w nostalgii za czasem bezpowrotnym, ale nie utraconym”.

Józku! Otrzymujesz dzisiaj najwyższe odznaczenie Stowarzyszenia „Kuźnica”. Jesteś czterdziestą siódmą osobą w historii „Kuźnicy” w ten sposób wyróżnioną. Dołączyłeś do grona tych ludzi wybitnych – uczonych, twórców, polityków, wśród nich Twoich przyjaciół: Władysława Markiewicza, Andrzeja Wajdy, Jerzego Treli, Kazimierza Dejmka, Lucjana Motyki, Hieronima Kubiaka, Mieczysława Rakowskiego i Aleksandra Krawczuka. Jesteś czwartym ministrem kultury, który otrzymuje to wyróżnienie przyznawane od 1976 roku.

Gratuluje!
JÓZEF KLASA

Rada Stowarzyszenia
„Kuźnica”

przyznaje

Panu
Józefowi Tejchmie

Honorową Nagrodę Kowadła

w uznaniu Jego

- *dziesięcioleci działalności na rzecz awansu kulturowego młodzieży wiejskiej i robotniczej;*
- *światłego kierowania polską polityką kulturalną i skutecznego angażowania w sprawę wolności twórców;*
- *wierności ideom i wartościom postępu, demokracji i socjalizmu.*

Kraków, 14 lipca 2013 r.

JÓZEF TEJCHMA

POZOSTAŁEM

Tradycja wymaga, abym do dzisiejszego wydarzenia dołączył trochę słów.

Przede wszystkim dziękuję Stowarzyszeniu „Kuźnica” za najwyższe wyróżnienie mnie Kowadłem. W morzu różnych ocen Polski Ludowej „Kuźnica” stanowi jej jasny fragment. Już sam założyciel Tadeusz Hołuj budzi satysfakcję, że można się znaleźć w kręgu jego tradycji ideowej i personalnej. W *Ostatnim poemacie* z roku 1949 oświadczył: „Życ bez wolności nie umiem”. Tym samym Hołuj jako intelektualista i polityk umieścił się w centrum problemu i kłopotu, jaki miała doktryna i praktyka socjalistyczna – z kwestią wolności.

Dziękuję obecnemu przewodniczącemu Stowarzyszenia Andrzejowi Kurzowi za wręczone mi Kowadło. Andrzej stał mi się kimś bliskim, gdy w czasie mojego ministerium kultury był dyrektorem Wydawnictwa Literackiego w Krakowie i w tej roli stał się wybitną postacią kultury narodowej o programie wybitniejszym i szerszym niż by to wynikało z oficjalnej polityki, kojarzonej najczęściej z cenzurą.

Józef Klasa, który tu powiedział o mnie dużo dobrych słów, za co dziękuję, był osadzony na stanowisku I sekretarza PZPR w Krakowie przeze mnie – w imieniu Warszawy. Po późniejszych doświadczeniach napisałem w swoich dziennikach, że Klasa wygłosił na konferencji partyjnej przemówienie wychodzące ponad ówczesne standardy, czyli bez pochwał Gierka, przy ostrzeżeniach partii, że będzie miała ciężkie chwile. Józek był sekretarzem krócej niż to było w tradycji kadrowej.

Muszę wyznać, że „kowadło” jako przedmiot i jako symbol ma dla mnie pewien urok szczególny. Obok chatupy rodzinnej w Markowej była kuźnia. Dużo czasu spędzałem w tamtym magicznym miejscu, patrząc jak na kowadło tworzy się na wsi ówczesna cywilizacja.

Teraz wracam do początku. Na początku była właśnie Markowa. W Markowej całe życie była moja matka. Dla nas pięciorga synów miała bardzo mało chleba i bardzo dużo ciepłych uczuć. Markowa była w pewnym sensie miejscem kresowym, nie geograficznie, lecz społecznie. Obok tysięcy drobniutkich gospodarstw i biednych domów były wielkie posiadłości ziemskie i ogromny pałac hr. Potockiego. Pracowałem u niego jesienią przy zbiorze buraków i siana od wschodu do zachodu słońca za cenę dniówki w wysokości równej kilogramowi cukru. Nie pamiętam, aby matka miała jakieś buntownicze myśli, jedyne co chciała zmienić, to wyjechać do Francji za ojcem, żeby urządzić nam inne życie. Ale wszystko przerwała i zmieniła wojna. Po wyzwoleniu nie zgłosili się już do szkoły uczniowie z sąsiednich żydowskich domów.

Mnie osobiście nie interesowały wtedy „manifesty lipcowe”, bo sam stałem się manifestem, kiedy znalazłem się w liceum i bursie urządzonej w budynkach pałacu hr. Potockiego. To był odwet historii.

LEWICĄ ORGANICZNĄ

Przed wojną udręką matki był niepewny los synów bez nauki i pracy. Po wojnie miała nowe zmartwienia – co się z nami dzieje gdzieś w Polsce. Czy przyjedziemy na święta lub wakacje? Widząc nasze ustawiczne zajęcie nie zawsze swoimi sprawami, miała radę wręcz filozoficzną: nie naprawiaj tylko świata, także popatrz na niebo, jak skowronek lata. Miała przenikliwe widzenie – jak szukać życia szczęśliwego. Gdy byłem u władzy, pisała w liście: budujcie sobie ten socjalizm, tylko dajcie spokój Bogu, on wam w niczym nie przeszkadza.

Liceum w Łańcucie było pierwszym moim uniwersytetem. Pamiętam dobrze, że świadectwo maturalne przyjąłem z prawdziwym wstrząsem psychicznym, jako wielki znak wstąpienia do nowego świata. Znalazłem się jakby na drodze, jaką od początku przebył Stanisław Pi-goń, którego książka *Z Korborni w świat* była dla mnie i kolegów biblią wyzwolenia i nobilitacji.

Na początku, na mojej drodze nie było manifestu komunistycznego. Po wielu latach dziennikarze pytali mnie o komunistyczne początki i nie mogli pojąć, że nie wszystko było wyjęte z plakatu Manifestu lipcowego. Były doktryny i było życie. Podobnie rzecz się miała z moim rodowodem lewicowym. Nie to, co słyszałem z maszyny propagandowej, ale to, co słyszałem na polach hr. Potockiego formowało stan mego umysłu i stan mego ducha. Może właśnie dlatego nie było we mnie fanatycznej zawziętości – najpierw za, a potem przeciw. Pozostałem lewicą organiczną. Później szczęśliwie, po krótkiej pracy na błotnistych polach budowy. Dodam, że bardziej od brygady przodowników pracy zapamiętałem na zawsze wywózkę aktywu do Starego Teatru w Krakowie. W tym dokonywała się głębsza transformacja młodzieży wiejskiej w zmodernizowane społeczeństwo. Dlatego nie czułem się biograficznie unicestwiony ani *Poematem dla dorosłych* Adama Ważyka, ani tym bardziej *Człowiekiem z marmuru* Andrzeja Wajdy. [...]

Nie jest potrzebne ani możliwe zatrzymanie się na okresie mojej działalności w kierownictwie PZPR, co od początku 1971 roku traktowałem raczej jako tymczasowe. Nie mogę jednak pominąć epizodu o znaczeniu wykraczającym poza wszystko, co było ważne. Mam na myśli odegranie pewnej roli w odejściu Gomułki z funkcji I sekretarza i objęciu tej funkcji przez Gierka. Znalazłem się w grudniu 1970 roku po wydarzeniach na Wybrzeżu w centrum dramatu władzy najwyższej. Byłem, jak to się mówiło, człowiekiem Gomułki. Z Gierkiem nie łączyły mnie żadne szczególne sympatie. Po wszystkim co nastąpiło, żyłem w moralnym niepokoju, czy było rzeczą uczciwą podjęcie inicjatywy zmiany personalnej w osobistej rozmowie z Gomułką. Potem napisał: „I Tejchma przeciwko mnie?”. [...]

W mojej biografii rozmowa z Gomułką była dramatycznie ważna. Z niej to potem wyłoniło się zwątpienie w istotną wartość oddania się działalności politycznej,

bez której jednak nie ma systemu demokratycznego, dlatego trzeba działać i wątpić, wątpić i działać.

Moje znalezienie się na szczycie władzy polityczno-państwowej było szokującym znakiem awansu chłopskiego. Drugim, trochę podobnym przykładem, był Rakowski. Od razu powiem, że nie Biuro Polityczne stało się dla mnie wyróżnieniem przez historię, ale dwukrotne ministerium kultury. Nie był to jednak skok z pustyni duchowej do świątyni kultury. W Markowej działał teatr amatorski od 1903 roku, czyli od ponad 75 lat. Jego poziom artystyczny był na tyle wysoki, że przed wojną gościł premierę *Kordiana i chama* Leona Kruczkowskiego, bo Warszawa nie chciała adaptacji tej powieści wystawić. O teatrze pisała m.in. Maria Dąbrowska. Przed wojną byłem aktorem tego teatru.

W 2008 roku na zaproszenie Polskiego Instytutu Kultury uczestniczyłem w Londynie w polsko-węgiersko-czeskiej konferencji uniwersyteckiej na temat losów kultury w socjalistycznej przeszłości. Pierwsze pytanie dotyczyło cenzury; koronny problem takich dyskusji. Jak to się stało, że w warunkach cenzury rozwijała się w Polsce wybitna kultura i powstawały dzieła stanowiące europejski dialog artystyczny. Pytano o pozycję i niezależny autentyzm twórców. Na pytanie odpowiedziałem pytaniem. Czy było możliwe działanie w posłuszeństwie bez autonomii w warunkach, gdy prezesami związków twórczych były takie osoby jak Jarosław Iwaszkiewicz, Andrzej Wajda, Witold Lutosławski, Gustaw Holoubek, Kazimierz Dejmek, Karol Małcużyński, Stanisław Lorenz? Oni stanowili samorząd odporny na odgórne dyrektywy. Pozostali więc współodpowiedzialni za losy i stan kultury tamtego czasu.

Jaki jest mój bilans biograficzny?

Po śmierci żony Alicji i skróconej kadencji ambasadora w Grecji znalazłem się w kraju u progu przetomu ustrojowego, jakim stał się Okrągły Stół. Jako emeryt nie uczestniczyłem już w realnych wydarzeniach, nie byłem wolny jednak od uczestnictwa politycznego w sensie myśli i emocji. Po wyborach miałem uczucie ogromnego dramatu, ale nie tragedii, bo rozwiązanie stało się historycznie korzystne. Owszem, doniosłe w moim życiu sprawy odchodziły w przeszłość, ale rodziły się sprawy doniosłe dla przyszłości. Nie utraciłem zdolności, aby sposób przejścia do nowego systemu ocenić jako najważniejsze wydarzenie końca XX wieku. Nie wiem, jaką alternatywę mają w umysłach prawnicowi politycy, którzy obarczają Okrągły Stół grzechem pierworodnym najnowszej historii Polski. Była w tej transformacji bezprecedensowa kumulacja narodowej energii.

Na razie jesteśmy pozbawieni niepokoju, jakie będzie bezpieczeństwo materialne, kulturalne i wolnościowe naszych dzieci. Miejmy nadzieję, że nie zabraknie im pracy, wolności i przyjaciół. ■

Na artykuł Andrzeja Lama *W one lata. Jak rósł w siłę IBL* opublikowany w poprzednim (1-2/2013) „Zdaniu” zareagował Michał Głowiński. Andrzej Lam postanowił udzielić *Dodatkowych wyjaśnień* (red.).

„Jeśli ma się masło na głowie...”

Szanowny Panie Redaktorze

Pozwalam sobie przesłać kilka uwag o artykule pana Andrzeja Lama *W one lata. Jak rósł w siłę IBL* („Zdanie” 2013, nr 1-2), konkretnie zaś tego, co ma on do powiedzenia na temat okresu marcowego na polonistyce na Uniwersytecie Warszawskim. Pan Lam, choć sam marcowy docent, znaczącej i symbolicznej w tym kontekście nazwy miesiąca nie przywołuje, ktoś zorientowany w rzeczy nie może jednak nie wiedzieć, o co chodzi.

Przyjrzyjmy się bliżej jego wywodom. Pisze on subtelnie i elegancko, że Stefan Żółkiewski i Maria Renata Mayenowa „utracili veniam legendi”, a chodzi o marcowe rugie, o to, że w roku 1968 (od nowego roku akademickiego) zostali z Uniwersytetu Warszawskiego usunięci pod pretekstem walki z dwuetałowością. Rugie te były uderzeniem w Katedrę Teorii Literatury, założoną przez Kazimierza Budzyka (1911–1964) w roku 1955.

Wytwność pana Lama w pisaniu o okresie marcowym e zna zaiste granic, skoro dalej czytamy, że w „1971 roku zdecydowały się odejść do Instytutu Aleksandra Okopień-Sławińska i Teresa Kostkiewiczowa...”, a musi przecież wiedzieć, że nie uczyniły tego z własnej woli, decyzja ta wynikała stąd, że obie uczone zostały do rezygnacji z pracy zmuszone; inny wybitny pracownik tego zespołu, Zdzisław Łapiński, został po prostu z pracy wyrzucony. Z pierwszej ekipy Budzykowskiej została tylko jedna osoba (Ryszard Handke).

Budzyk zabiegał o to, by jego uczniowie i współpracownicy pracujący w Katedrze Teorii Literatury UW i w Instytucie Badań Literackich tworzyli jeden spójny zespół naukowy. Konsekwencją było to, że osoby związane z IBL-em prowadziły ćwiczenia z poetyki, nie pobierając zresztą za tę pracę wynagrodzenia. Po marcu zostało to uniemożliwione.

Katedra teorii Literatury w swej dotychczasowej postaci przestała istnieć (została zresztą zdegradowana do poziomu zakładu) i nagle w tym kręgu pojawił się jako nowy szef świeżo nominowany docent, pan Lam, choć nie słyszało się o jego dorobku z tej dziedziny nauki o literaturze (nie jest on zresztą znany do dzisiaj). Będąc jednym z najbliższych współpracowników J.Z. Jakubowskiego, którego ukierunkowanie moczarskie nie stanowiło tajemnicy, a także wieloletnim działaczem PZPR, pan Lam po prostu realizował ówczesną partyjną politykę i to w wersji radykalnej. Nie było też tajemnicą, iż z tych kręgów wychodziły przez lata wioski, domagające się likwidacji Instytutu Badań Literackich, adresowane do władz Polskiej Akademii Nauk oraz do odpowiednich czynników partyjnych. Wnioskom tym

towarzyszyły systematycznie odejmowane kampanie publicystyczne.

Przy okazji napomnę o jeszcze jednej sprawie. Pan Lam wspomina o tym, że w piśmie „Przegląd Humanistyczny” w roku 1978 „dyskutowano” o wydanym dwa lata wcześniej w Ossolineum pod redakcją Janusza Sławińskiego *Słowniku terminów literackich*. Powtórzę to, co o tej „dyskusji” napisałem w swojej książce *Kręgi obcości* (Kraków 2010, s. 392-393): była to nagonka polityczna, która przyniosła zamierzone skutki. *Słownik* nie mógł być wznowiony przez dziesięć lat, mimo że pierwsze wydanie rozeszło się bardzo szybko. Dodam, że główny zarzut wobec autora *Słownika* dotyczył tego, że lekceważył realizm socjalistyczny, będący wielkim osiągnięciem kultury radzieckiej.

Wszystkie wywody pana Lama, odnoszące się do spraw, o których w tym liście piszę, brzmią fałszywie. Pan Lam nie zdał sobie chyba sprawy, że żyje w systemie demokratycznym, a w nim wszelkie fałszywe i mijania się z prawdą mają krótkie nogi, można bowiem je publicznie skomentować i ukazać ich właściwy charakter. Stara ludowa mądrość głosi, że jeśli ma się masło na głowie, nie należy wychodzić na słońce.

MICHAŁ GŁOWIŃSKI

Warszawa, 28 kwietnia 2013



Rys. Małgorzata Tabaka

„Dodatkowe wyjaśnienia”

Szanowny Panie Redaktorze, wobec próby wprowadzenia w błąd Redakcji i Czytelników „Zdania” przesyłam dodatkowe wyjaśnienia.

1. Z realizmem socjalistycznym było inaczej. Jeszcze w 1957 roku Żółkiewski, wówczas członek Komitetu Centralnego, pisał w artykule *Materiały do bilansu literackiego XX wieku*: „Literatura realizmu socjalistycznego w porównaniu do innych kierunków współczesnych jedyna buduje artystyczną wizję struktury świata i złożoną perspektywę społeczną i historyczną z wewnętrzną logiką koncepcji artystycznej, uzasadnioną tendencją do pełnego wyzyskania dorobku myśli najbardziej współczesnej, myśli racjonalnej”. Zajmowałem się historią awangardy poetyckiej i wszystko przemawiało za tym, że ta definicja bardziej gmatwa niż porządkuje obraz literatury XX wieku. Artykuł polemiczny zamieściłem w żywo wówczas redagowanym „Ekranie” (*A jednak literatura pytań...* 1957, nr 27) i w „Przeglądzie Humanistycznym” (*Ideologia i realizm*, 1957, nr 3) z konkluzją, że realizm socjalistyczny należy odesłać do historii w znaczeniu „propagowanym ongiś przez oficjalnych estetyków” i że nie jest rzeczą bezpieczną czynić zeń nadal narzędzie polityki kulturalnej.

2. Uplłynęło dwadzieścia lat, i od wydanego w 1976 roku *Słownika terminów literackich* można było oczekiwać rzetelnej informacji historycznej (w kolejnych wydaniach autorzy hasło przeredagowali). Nikt już wtedy realizmu socjalistycznego nie bronił i trudno sobie wyobrazić, żeby wymagano peanów na jego cześć.

Był to zresztą margines uwag krytycznych.

4. Nie pamiętam, aby przed wydarzeniami marcowymi cokolwiek w warszawskim środowisku polonistycznym wykraczało poza akademickie obyczaje. Skupiało ono pracowników o różnych orientacjach i nie doświadczało żadnych ingerencji w proces dydaktyczny. Trwała, jak wszędzie, pamięć krzywd, jakich doznała polonistyka w latach bierutowskich. Katedra teorii literatury kontynuowała dorobek przedwojennego koła polonistów i była ważnym filarem studiów. Do współzałożycieli „Przeglądu Humanistycznego” należałem obok Budzyka, który ogłaszał tu swoje teoretyczne rozprawy. Z jego też inicjatywy prowadziłem ćwiczenia z poetyki.

Jakubowski nie był zdolny do czynów niegodziwych. Odpowiedzialność za strajk ponosił Żółkiewski wobec swoich władz partyjnych. Profesorowie rozumieli, że za kolejnymi protestami sżyby poważniejsze straty, i byli świadomi, że *res nostra agitur*. Echa inwektyw, z jakimi spotykała się polonistyka uniwersytecka, brzmiały jeszcze dziś w liście Głowińskiego. Brakowało konkretów, fakty przeinaczano, pozostawała werbalna dyfamacja.

Jako przykład ówczesnych „odwetów” przypomnę, że rozprawy teoretyczne Kaysera, które w moim przekładzie zainspirowały nowoczesną polską narratologię, krytyk cytował bez nazwiska tłumacza. Podobnie postępował nieraz jako historyk literatury i, jak widać, tę dziecinną metodę anihilacyjną stosuje nadal.

5. Dobrym obyczajem wśród ludzi piszących jest odnoszenie się do tekstów. O tym, że byłem „działaczem partyjnym” i „realizowałem” jakąś politykę, dowiedziałem się od Głowińskiego. Jest to aluzja nawet nie do cienia faktów, lecz *ad personam opinatam*.

Poza komandosami i moczarowcami coś jeszcze w Polsce istniało.

6. Nominacja na stanowisko docenta nie miała wpływu na awans naukowy. Uprawniała adiunktów ze stopniem doktora do prowadzenia seminariów magisterskich, jeżeli uznała taką potrzebę Rada Wydziału.

7. Katedra była pozbawiona kierownictwa od dwóch lat. Aleksandra Okopień-Sławińska i Teresa Kostkiewiczowa, których zajęcia cieszyły się dobrą opinią, zrezygnowały z ich prowadzenia w 1971 roku. Powiadomiły mnie o tym na zebraniu Zakładu i odczułem to przykro. Głowiński, utrzymując, że zostały do tego zmuszone, mija się z prawdą, nie po raz pierwszy. Wystarczy sięgnąć do *Słownika pisarzy i badaczy literatury*. W 1971 roku Kostkiewiczowa została *summa cum laude* habilitowana na Uniwersytecie Warszawskim. Zakład odbudował się z rozszerzonym profilem, w jego składzie znaleźli się Eugeniusz Czaplejewicz, Ryszard Handke, Edward Kasperski, Zofia Mitosek, Zbigniew Osiński i Bogdan Owczarek.

8. Miło jest pielęgnować heroizującą legendę, ale nieuczciwość w tym nie pomoże. Nawet jeżeli obraz wroga jest koniecznym dopełnieniem układanki.

W niedawnej polemice prof. Henryk Markiewicz napisał o swoim adwersarzu: „... mieniąc się rzecznikiem wolności [słowa] – jednocześnie jako samozwańczy lustrator mnie chciałby ją odebrać”. Zdanie to pasuje również do Głowińskiego.

Kiedy pisałem na zakończenie artykułu *W one lata* (bez podtytułu, pochodzącego od Redakcji): „Cały wiek XX dowodzi, że ilekroć humaniści ulegali *in dubiis* pokusie posłużenia się przezwą, zaczerpniętą najczęściej z arsenału politycznego, tylekroć prędzej czy później się tego wstydzili” – nie przypuszczałem, że tak szybko się to potwierdzi.

Nikt nie mógłby wystawić Głowińskiemu lepszego świadectwa, niż wystawił on sobie sam tym równie napastliwym, jak niemądrym listem.

ANDRZEJ LAM

PAWEŁ KOZŁOWSKI

DZIENNIK

PROFESORA NADZWYCZAJNEGO

(III)

Wspólnota

Wróciłem z ważnego spotkania. Grupowego. Uczestniczyłem w życiu wspólnoty. Kilka dni wcześniej zobaczyłem zawiadomienie. Było przybite gwoździami do drzwi budynku. Akurat w nim mieszkam. Do niedawna wszelkie takie pisma pomijałem. Zmieniłem zwyczaj, gdy pewnego razu obudziłem się i z niechęcią wstałem. W tej kolejności. Wiedziony instynktem poszedłem do łazienki. Narzuciłem sobie zwyczaj mycia. Między innymi. Tym razem w kranie nie było wody. W innym kranie też nie. Ciepłej również nie. Wydobywało się bulgotanie. W różnej tonacji. Czasami przypominało dźwięk otwieranej butelki. Nie było jednak efektu końcowego. Odkręciłem zawór od kaloryfera. Wiem, że tam jest woda. Chciałem trochę spuścić. Jednak nic z tego. Nie zawsze jest tak, jak być powinno. Postanowiłem odmrozić lodówkę. Przeczytałem instrukcję. Nic nie rozumiałem. Zrezygnowałem. Uruchomiłem telefon. Udało się po kilku minutach. Dowiedziałem się, że wody nie ma, bo jest wyłączona. Nie może płynąć. Będzie mogła za trzy dni. Jak się uda, to za cztery. Ogarnęła mnie ciekawość i zapytałem dlaczego.

Usłyszałem, że koszą trawniki. Od strony wschodniej. Podziękowałem za wyjaśnienie. O wszystkim informowało zawiadomienie powieszzone na drzwiach. Mnie nie poinformowało. Próbowalem sobie przypomnieć, czy ostatnio wchodziłem do domu przez drzwi. Do mieszkania mam bliżej od strony dachu. W każdym razie teraz było inaczej. Przeczytałem. Wspólnota jest ważniejsza od wody. Daje wsparcie, nie odpycha.

Zebranie miało odbyć się w szkole. O dziesiątej rano. W drugim terminie o dziesiątej trzydzieści. Wybrałem termin trzeci. Przyszedłem o dziewiątej trzydzieści. Nie lubię się spóźniać. Zresztą i tak nie spałem. Z przejęcia. Lub z niestranności, wieczorem byłem w knajpie azjatyckiej. Oni tam podają podobno szczury. Zalali je ciężkim sosem. Na zebraniu chciałem zająć dobre miejsce. Sala była w szkole podstawowej. Szkoda, że nie w pomaturalnej. Usiadłem na dwóch krzesłach łącznie. Miały metalowe nóżki, krótkie. Kolana wsunąłem pod brodę. Ławkę odsunąłem.

Przypomniały mi się udręki dzieciństwa. To najgorszy okres w moim życiu. Im bardziej się od niego odda-

lam, tym czuję się lepiej. Poznałem kiedyś taki termin: ekstrapolacja. Zapamiętałem, bo lubię słowa na „ekstra”. Zastosuję go teraz. Jak tak dalej pójdzie, to żywotności i samodzielności będę nabierał do 98 roku życia. Zakładam odchylenie o 4 miesiące. To się nazywa błąd statystyczny. Powinienem go ująć w procentach, ale nie mogę. Później nastąpi rozwój powolniejszy. Bardziej harmonijny. Powinien być zarówno ważony, jak i ekologiczny.

Koło godziny jedenastej ktoś zauważył, że wspólnota już przyszła. Zaczęło się spotkanie. Składało się ono ze stołu przykrytego zielonym obrusem, kwiatków i krzesel. Obrus był zrobiony z zasłony. Za stołem i na krzesłach siedziała zbiorowość ludzka tworząca wspólnotę. Część z niej miała butelki. Plastikowe. Bezpieczeństwo się liczy. Co chwilę grały komórki. Przeważnie muzyka marszowa. Na ścianie wisiały gazetki. One oświecały i zdobiły. Rzuciła mi się w oczy jedna. Obrazowała nasz patriotyzm podczas bitwy na Psim Polu. To był patriotyzm heroiczny. Niedawno usłyszałem pouczenie, że ta bitwa się nie odbyła. Ktoś widać dotychczas rozpowszechniał plotki.

Zebranie wspólnoty rozpoczęło się od sprawdzenia listy obecności. Później zaczęto ustalać porządek. Zapytałem, czy będziemy głosować jawnie, czy tajnie. Ustalono, że albo jawnie, albo tajnie. Rozpoczęliśmy dyskusję na temat głosowania nad porządkiem głosowania. Ma być tajne czy jawne. Zaproponowałem, żeby tajne. Później będziemy dawkować przecieki do szerszej opinii okołosiedlowej. To podkreśli powagę wspólnoty.

Odbyło się głosowanie. Najpierw tajne, a później jawne. Wyniki były odrębne. Ktoś zgłosił wniosek. Nazwał go formalnym. Chciał, żeby policzyć wszystkich obecnych członków. Dodał, że łącznie z kobietami. Ja też zgłosiłem wniosek. Stwierdziłem, że konieczny jest parytet. Kobiet jednak w naszej wspólnocie prawie nie ma. Na sali siedziały tylko trzy. Jedna miała wąsy, więc nie byłem pewien. Zaproponowałem, żeby trochę dokooptować. Obok mieszkają zakonnice, które obsługują seminarium. Księżki obecnych i przyszłych. Byłych już nie obsługują. Z racji trybu życia i zainteresowań są przyzwyczajone do wspólnoty i do paryte-

tu. Mieliśmy głosować. Ustalono, że tajnie, bo chodzi o ludzi. Po przeliczeniu wszystkich obecnych wyszło na jaw, że brakuje *quorum*. Wykazałem przytomność umysłu. Zasugerowałem, żeby wszystkie głosowania przenieść do punktu „różne”. On jest ostatni. Ktoś jednak zauważył, że tego nie można zrobić bez głosowania.

Moja propozycja miała prywatny podtekst. Właściwie interes. Chciałem, żeby wspólnota najpierw wyraziła wolę ścięcia jednej gałęzi z drzewa przed moim oknem. Nie uszła i ma na końcu trzy orzechy włoskie. Próbowałem je złapać, zerwać i zjeść. Bezskutecznie. Są za daleko. Denerwują mnie. Powiedziałem o tym problemie głośno. W ramach wymiany myśli wspólnoty. Wyczułem troskę w głosie członków. Zareagowali. Zwrócili uwagę, że pomoc może tylko prezes za zgodą prezydium. Najpierw trzeba go wybrać. A to można zrobić tylko w głosowaniu. Ja dodałem, że tajnym. W tym zdaniu ujawniła się moja praworzędność. Krył się niepokój. Okazało się, że uzasadniony.

W desperacji postużyłem się odwagą cywilną. Właśną. Zapytałem, dlaczego głosuje więcej osób niż jest. Oraz dlaczego głosów jest więcej podczas procedury tajnej, a mniej przy zastosowaniu procedury jawnej. Dowiedziałem się, że tak jest zawsze. To jest normalne. Ktoś przedstawił się jako uczonek i stwierdził, że o tym mówi żelazne prawo wspólnoty. Pomyślałem, że to wykształcony odlewnik. Zapytałem go o to, by nabrać respektu. Okazało się, że mam przyjemność z socjologiem. Później wyszło na jaw, że z socjologiem i psychologiem w jednym. Chyba się speszyłem. Straciłem pewność siebie. Postanowiłem udawać, że śpię. Po godzinie lub trzech się ocknąłem. Nie zauważyłem większych zmian. Drobne biegły w dotychczasowym kierunku. Kiedyś czytałem u nieżyjącego już pisarza na T., że więź we wspólnocie musi być emocjonalna. W naszej więzi też miała w coraz większym stopniu takie spoivo. Stawaliśmy się pełniejszą wspólnotą. Dynamiczną. Uczuciową i szczerą.

Właśnie ktoś z prezydium podawał do sądu kogoś z drugiej ławki. Uzasadnił to utratą dóbr osobistych. Może powiedział, że tamten je naruszył i tym samym jego. Wyglądał na prawnika. Zainteresowałem się tą tragedią. Na oko miał wszystkie dobra. Ale wzrokiem nie docierałem wszędzie. Cenię subtelność. W tym wypadku bardziej niż docieklivość. Po chwili pani w ostatniej ławce podała do sądu prezesa. Za działalność na jej szkodę. Dodała, że to oznacza szkodę wszystkich.

Zaciekawiłem się, jaką ja poniosłem szkodę, a jaką ona. Powiedziałem głośno, że moglibyśmy szkody sobie zrekomensować. Apelowałem o twórczy kompromis. Odebrano mi głos. Oddałem go. Zrobiło się puste miejsce w przestrzeni dźwiękowej. Natychmiast ktoś je zajął. Oświadczył, że zmuszony jest złożyć doniesienie do prokuratury. Dotyczyć będzie zaniedbanego chodnika. Zrobił się nierówny, część wystaje. Usiadł. Wstał. Dodał, że również niedokładne jest łącze dwóch rynien w jego budynku. Po chwili sprostował. Trzech rynien. A budynek prezesa ma równe. Rozgorzała dyskusja czy to są istotnie trzy rynny, czy dwie, z jedną przeciętą. Prezes zauważył, że wspólnota jest wprowadzona w błąd. Naprawdę są dwie rynny. Rzeczoznawca to potwierdził.

Pani, która siedziała obok mnie, też wstała. Wyglądała metafizycznie. Ożywiona grafika Linkego. Po wysiłku mózgowym uznałem, że nawet Grottgera. Zacząłem już zmierzać do *Apokalipsy* Dürera. Otóż ona powiedziała, że ją boli. Natychmiast zacząłem jej współczuć. Żeby rozwinąć swoją empatię, zapytałem, gdzie ją boli. Powiedziała, że pokaże mi na korytarzu. Teraz musi skończyć. I skończyła. Po chwili przypomniała sobie, co miało być przed końcem. Wystosuje wniosek do Trybunału Konstytucyjnego, bo to jest nierówność wobec prawa.

Ktoś wstał i zapytał, czy może podnieść rękę. Poinformowano go, że rękę musi podnieść najpierw. Wtedy ewentualnie prowadzący udzieli mu głosu. Wówczas on może wstać i zapytać, czy może podnieść rękę. Usiadł i podniósł. Prowadzący go nie zauważył. Zwracał się do mężczyzny w średnim wieku emerytalnym. Mówił mu głośno, że należy rozmawiać cicho. Słuchałem i patrzyłem z zainteresowaniem. Pozbyłem się myśli o smaku czegokolwiek. Rozkoszowałem się życiem wspólnoty. Piłem wodę. Lekko gazowaną. Rosła u mnie siła i solidarność. Chciałem wodę bardziej gazowaną.

Nasze spotkanie odbywało się w sali na pierwszym piętrze. Pod nami były jeszcze niższe poziomy. Dyskretnie wychodziłem. Na korytarzu spotkałem dyrektora albo dozorcę i zapytałem go o wejście do piwnicy. Zaprowadził mnie. Rzuciłem okiem. Dostrzegłem rezerwę. Wróciłem do domu o zmierzchu. Życie wspólnotowe minęło migiem. Nic już nie jadłem. Organizm powinien być lekki. Mam wtedy pogodny sen. Tym razem śnił mi się nietoperz. Stał na tylnych łapach. Skrzydła miał opuszczone. Chciał, żebym go drapał po brzuchu.

31.VIII.2012 r., godz. 12:37

Słońce

Konferencja

Dostałem zaproszenie na konferencję naukową. Znalazłem je we własnej skrzynce pocztowej. Przeczytałem treść kartki. Właściwie kartoniku. Dowiedziałem się, że dotyczyć będzie zarządzania. Dziwne połączenie. Oczytani znajomi powiedzieli mi więcej o zarządzaniu. Rozwijają się ono ostatnio bardzo. A zwłaszcza przedostatnio. Rośnie na całym globie. Gdy gdzieś wycinają lasy, to robi się miejsce i wyrasta zarządzanie. Coś spłonie i na pogorzeliśkach pojawia się zarządzanie. Topnieją lodowce w Alpach, a spod nich ukazują się zarządzanie. Północny szlak morski ma również wiele z tym wspólnego. Zanikające gatunki ptaków nie mniej. O rybach nie ma co wspominać. Dodałem jeszcze sobie w głowie ocieplenie klimatu. Pewny jestem, że się nie pomyliłem. Cieszy mnie ubogacające się bogactwo intelektualne ludzkości.

Konferencja miała interesujący program. Właściwie ożywczy i porywający. Otwierało ją *otwarcie* oraz *rejestracja*. Następnie występował *panel*. Składał się z dwóch części. *Pierwsza* była pierwsza, a następna *druga*. Jedną od drugiej oddzielała *przerwa*. Wypełniała ją kawa. Symetrycznie do otwarcia, tyle że na końcu było *zakończenie*. Po nim *lunch*, czyli jedzenie. Konferencja odbywała się w modnym ostatnio ośrodku naukowym. W hotelu. Wysokiej jakości. Miał kilkadziesiąt gwiazdek ułożonych w koło. Zupełnie zamknięte.

Zaproszenie nadal badałem wzrokiem. Angażowałem umysł. U góry kartki wydrukowano nazwę sponsora. Na dole też. Była nim znana firma farmaceutyczna. Napisała o sobie, że jest numerem jeden. Do kartki dołączono drugą kartkę. Większą. Dotyczyła ona sponsora i jego osiągnięć. Miał je wyłącznie. Podkreślał szczególną wagę ostatniego. To nowatorska kompozycja następnej generacji. Precyzyjnie napisali, że jeśli chcesz, żeby twoje jelito grube czuło się lepiej od jelita cienkiego, to musisz stosować ten środek. Właśnie wprowadzono go na rynek i jest pozycjonowany. Jest równie ewaluowany, a dla wybranego *targetu* życia miłego dnia. Może nie jestem precyzyjny, ale staram się oddać sens przekazu. Zadaniem środka jest osiągnięcie celu. Gdy trawienie jest szybkie, to środek je przyspiesza. Gdy jest wolne, to je hamuje. W ten sposób zwiększa komfort życia całego organizmu. Zwłaszcza jego części.

Firma dodaje, że jej lekarstwo nie jest lekarstwem, tylko paralekarstwem. Można je kupić bez recepty i bez wizyty u lekarza. Zaznacza, że każdy środek medyczny należy stosować po konsultacji z lekarzem lub farmaceutą. Przypomina też, że palenie szkodzi. Firma nadal prowadzi badania. Czasami u niektórych pacjentów lek działa inaczej niż u innych. Przeprowadzono testy na populacji składającej się z siedmiu elementów. Tworzyło je pięć szczurów i dwóch studentów. Przedział wieku: 2-68 lat. W zdecydowanej większości, liczącej cztery osoby, rezultaty były zgodne z oczekiwaniami. U pozostałych wyniki były inne. Kontynuacja badań jest wyrazem związku przemysłu z nauką. Aplikacji oraz implementacji. Niedawno pochwalili za to firmę minister. On jest kobietą. Na tej konferencji naukowej będą mogli zacieśniać związek. Oraz go umacniać. Szczególnie w ramach swojego *targetu*. Uczestnictwo jest dobrowolne. Jeśli zdecydują się to zrobić, powinni przy rejestracji wyrazić zgodę. Udział jest anonimowy. Zgłoszenie musi być potwierdzone podpisem, zawierać adres, numer dowodu osobistego i numer telefonu. Także zgodę na przetwarzanie tego wszystkiego. Tu organizatorzy nie napisali, czy przetwarzanie będzie odbywało z użyciem wynalezionej środka. Miałem o to zapytać, ale zapomniałem. Niepewność mnie jednak dręczy. W środku.

Przy wejściu wszystko napisałem i podpisałem. Lubię więc nauki z gospodarką. Dostałem też długopis i wazelinę. Długopis był srebrzysty, a wazelina nie. Zagadnąłem, dlaczego dają długopis. Usłyszałem, że wszystkich to interesuje. To mi wyjaśniło. Były też foldery. Zachęcali do spędzenia wakacji w Mali. Pochwaliłem tę inicjatywę. W wyniku wyzwolenia Libii oraz ogólnej intensyfikacji praktyk religijnych można zobaczyć na miejscu, jak powstaje państwo Al Kaidy. O tym nie mówiłem, bo wiem. Przy okazji wzruszyłem się wielką troską o człowieka. Miałem wrażenie, że środek już we mnie zaczął działać. Mimo że go nie wziąłem. Wzruszenie było silne. Musiałem wyjść. Niedaleko, do innej sali, trzy korytarze dalej.

Zdażyłem. Za drzwiami siedziała starsza pani o wyglądzie profesorki. Odpocząłem. Wyszedłem. Chciałem pokwitować wizytę. Nie było to potrzebne. Poczuję się wolny. Wróciłem na salę. Pierwszy panelista kończył. Przekazywał głos drugiemu. Pierwszy miał krawat wiśniowy. Drugi granatowy. Przekazywa-

nie odbywało się za pośrednictwem prowadzącego. Nazywali go moderatorem. Zdziwiłem się i zaniepokoiłem. Pot mnie gdzieś oblał. Mój przykry nastrój miał swoje przyczyny. Bez trudu je znalazłem. Okoliczności intelektualne oraz hotelowe nakazują nazywanie go przecież profesorem. Profesorem moderatorem. Tytuł uwniosła. Powiedziałem później o tym starszej pani o wyglądzie intelektualistki, którą wcześniej spotkałem w mniejszej sali. Kularowej. Odparła, że nie ma wpływu. Pomyślałem, że szkoda.

Drugi panelista poruszał zagadnienie zarządzania hałasem. Na wstępie dodał, że jest apolityczny. Miał w rękę pałeczkę. Za sobą ekran. Przed sobą głębię tworzoną przez publiczność. Była to publiczność wyrobiona. Nad sobą znak sponsora. Nad znakiem gwiazdy. Hotelu, jego wnętrza i zewnątrz. Nie wiem, co miał w sobie. Zakomunikował, że będzie mówił krótko i na pewno nie przekroczy danych mu 15 minut. Profesor moderator potwierdził, że tyle dostał, bo tyle mu dał. Mówił 53 minuty, a więc w zasadzie utrzymał się w limicie. Pomogłem mu dojść do puenty, gdy zapytałem, dlaczego w jego samochodzie nie ma jednego koła. Nic nie zapamiętałem z tego, co mówił. Zbyttno syntetyzował. Zastanawiałem się przez ten liczący godzinę kwadrans, czy chaos to samo znaczy co haos. Bo jeden i drugi napis występował na ekranie. Z tyłu i z boku. Tablica stanowiła świetne tło dla promieniującej twarzy badacza zarządzania. Wpadłem w zadumę. Rozmyślałem, czym ona promieniowała. Szybko nabrałem pewności czym, ale później wypadła mi ona z głowy.

Zaczęła się przerwa na kawę. Tę zapamiętałem dobrze. Filiżanki były białe. Proste. Nie porcelana, ale fajans. Raczej grube, choć niskie. Przypominały projekt Bauhausu. Może to był wręcz jeden z klasycznych projektów tej grupy. Do filiżanki dobrano talerzyk. Tworzył z nią komplet. Dostałem zgrabną łyżeczkę. Też prostą. Nie jest łatwo zaprojektować łyżeczkę, bo wszystkie już zaprojektowano. Nie słodzę, łyżeczki do kawy nie używam. Tym bardziej doceniłem funkcjonalność oraz estetykę tej. Kawa miała ładny aromat. Arabica. Roznosiła kelnerka. Wysoka klasa.

Spóźniłem się na następną część panelu. Ktoś mówił o zarządzaniu życiem. Ucieszyłem się i podniosłem na duchu. Przy okazji rozprostowałem kości. Skupiłem się. Ta dyscyplina charakteryzuje się dokładnością sformułowań. Trafnością. Głębią myśli. Wstrzemięźliwością twierdzeń. To jest dyscyplina teoretyczno-praktyczna. Dotyczy życia, byłego i nienaukowego. Panelista o tym właśnie mówił. Szukałem wzrokiem księdza. Nie znalazłem. Zastanawiałem się, jak wygląda ostatnie namaszczenie. Nigdy nie widziałem. Doświadczenie uczy, że powinno być ono równie przyjemne jak namaszczenie przedostatnie. I jeszcze wcześniejsze.

Mieliśmy lunch. Sponsor nie zawiódł. Konferencja naukowa okazała się na poziomie. Wino niezłe. Co prawda piłem lepsze, ale w innym miejscu. Pochwaliłem w myślach rozwój naszej motoryzacji oraz policji. Kierowcy piją mniej. Ja nie mam samochodu. Alkohol rozluźnia. Pod koniec zauważałem, że on rozluźnia bardziej.

6.IX.2012 r., godz. 23:51

Słońce nie świeci, bo przestało.

PAWEŁ KOZŁOWSKI

ODSZEDŁ OD NAS SIR CHARLES

I jeśli nie Jego myśl w nas, to w każdym razie Jego dzieło wokół nas jest wiecznie żywe...

Sir Charles był rozplodowym kozłem rasy Saanem sprowadzonym przez nasze Stowarzyszenie Wybrani w Górach do Kotliny Kłodzkiej z niemieckiej prowincji Szlezwik Holsztyn. Jego harem wziął się z Doliny Aosty, było to 20 niezwykle urody panienek, które udostępnił nam sam Piero Ballauri, tamtejszy prezes Związku Hodowców Kóz i Producentów Sera Capri. Kozę te są białe i dają średnio ok. 950 kg mleka rocznie. Gdy osiągnęły wiek rozplodowy, Sir Charles nie mógł już dłużej wytrzymać. Kopulował jak wariat, trzeba było go dwa razy reanimować. Hodowca kóz, mgr inż. Kaliński Ryszard, w którego godne ręce przekazaliśmy stado mówi, że „nigdy czegoś takiego nie widział”.

Nie wdając się w szczegóły tej „uczty Sardanapala” powiedzmy tylko, że po dwóch takich szalonych sezonach na pastwiskach Kotliny Kłodzkiej pojawiły się córki i wnuczki Sira Charles’a, które dzięki genom rodziców w niczym nie ustępowały swym ciotkom z Doliny Aosty. I gdy padł jak rażony piorunem w czasie kolejnego uniesienia, stadko Jego wiernych połowic zrezagowało przy pomocy Akademii Aktu Wieczornego Profesora de Laszlo następujące ogłoszenie dla lokalnej prasy:

„20 kozich pań w średnim wieku, średnio po dwóch porodach, wyłącznie po jednoosobowym doświadczeniu z Sirem Charles’em (w Almanachu Gotajskim zapisany jako Koburg-Gotha), wszystkie z linii valdo-kańsko-sabaudzkiej, w kolorach komunijnych ze złotą komzą i takimi różkami, z certyfikatem Szkoły Kobiecych Subtelności, wprawne w kunszcie, choć wierne tylko Jednemu, o czarodziejskim spojrzeniu i zalotnej figurze, o zabójczym uśmiechu i podobnym poczuciu humoru, anegdotą zdolne rozbawić każdego przy wieczornym dojeniu, czytane (głównie dzieła o produkcji: Capri, Palet de Chevre, Picot du Lait Cru, La Cabrette, Saint Marcellin czy wreszcie świeży twarożek Marianne Orańskiej), SZUKA przyszłego ojca swych dzieci równie czytanego, towarzysko otwartego, entuzjastę poezji i opery, ale mimo to – męskiego z ogniem w oku zdolnym unieruchomić każdą z osobna i wszystkie naraz; konieczne bokobrody, mogą być a la Agenor Gotuchowski”.

Ku naszemu zdziwieniu na ogłoszenie Valdostanek zbyt wielkiego odzewu nie było, mimo że stanowiło ono przecież tykającą bombę jakże atrakcyjnych obietnic. Z drugiej strony przyznać trzeba, że Sir Charles postawił tu w czasie swego panowania niezwykle wysoko

swą – jeśli można ją tak nazwać – poprzeczkę. O czym ewentualni kandydaci musieli wiedzieć i chyba zwyczajnie obawiali się blamażu.

Wreszcie pojawił się Hugo, którego zaczęliśmy przysposabiać do stanowiska Wielkiego Kopulanta. Jest z daleka, więc nie grozi nam „krewniacze krycie”. Osobno zadeklarował wszem i wobec, w tym Ministerstwu Rozwoju Regionalnego, wierność wobec Sira Charles’a i Jego testamentu, że własnych córek i sióstr pierdolić nie będzie...”. Gdy w gabinecie wiceministra RR, gdzie bezskutecznie usiłowaliśmy uzyskać zgodę na Jego zakup, te grube słowa padły po raz pierwszy tynek z oburzenia odpadł ze ściany.

KRZYSZTOF KOMORNICKI



fol. Autor

TOMASZ GOBAN-KLAS

KRA, KRA, KRA ... HA, HA, HA

Krakanie w mediach jest od dawna w modzie. Jakby odreagowywano urzędowy optymizm mediów w PRL. Każdy kracze jak może, dziennikarze szukają dziury nawet w całym, politycy opozycji wieszczą upadek wszystkiego rządzącego, eksperci epatują przerażającymi danymi o chorobach, biedzie, przekrętach, i kto tam wymyśli inne kataklizmy. Co chwila dowiadujemy się o zagrożeniach nowymi pandemiemi, globalnym kryzysem i bezrobociem.

Na początku tego roku szkolnego telewizjów epatowano wynikami jakiegoś badania uczniów, z którego ma wynikać, iż spośród blisko 5 mln uczniów co piąty ma lub miał poważne problemy emocjonalne związane z nauką. Krajowy konsultant w dziedzinie psychiatrii dzieci i młodzieży, prof. Tomasz Wolańczyk uważa, że około miliona dzieci ma za sobą tzw. epizod depresyjny (lęki, obniżony nastrój, utrudniony kontakt z rówieśnikami). A w „Rzeczpospolitej” amerykański psycholog, profesor Philip Zimbardo dramatyzuje: „To jest sytuacja wyjątkowa w skali świata i wymaga podjęcia kompleksowego przeglądu, a następnie reformy systemu edukacji na każdym poziomie od szkół podstawowych po uczelnie wyższe”.

Zdaniem profesora Uniwersytetu Stanforda, autora słynnego eksperymentu więziennego o skłonności do posłuszeństwa, objawy depresji wśród dzieci i młodzieży to efekt odrzucenia przez rodzinę, kolegów, ale przede wszystkim szkołę. „Wrogiem są przede wszystkim ci nauczyciele, którzy powodują, że uczniowie czują się gorsi i zamykają się w sobie. Uczeń czuje się upokorzony, gdy nauczyciel się z niego śmieje, wytyka mu słabe punkty. W wielu szkołach amerykańskich logika pracy z uczniami jest dokładnie odwrotna – nauczyciel szuka mocnych stron ucznia i stara się je rozwijać”.

No i oczywiście telewizyjne „Fakty”, „Wiadomości”, „Panorama” *et consortes* z telewizjami informacyjnymi miały *njusa*.

Ha, ha, he, he. Na szczęście są w Rzeczypospolitej, nie dzienniku, ale kraju, trzeźwe głowy eksperckie. W Tok FM psychiatra, dr Sławomir Murawiec zwrócił uwagę na konieczność rozróżnienia depresji klinicznej od depresji wahającej się, związanej z okresem dojrzewania. Prowadzący zastanawiał się, czy można wyznaczyć granicę, za którą te naturalne dolegliwości związane z dorastaniem zaczynają przybierać patologiczną formę. „U młodzieży to jest trudniejsze niż u dorosłych, którzy epizod depresyjny przeżywają bardziej książkowo, doznając długo trwającego smutku,

tracąc zdolność przeżywania przyjemności itd. Wśród młodzieży może to mieć bardziej formę zachowań – buntowania się, picia alkoholu, agresji niż przeżyć i emocji”.

I chociaż nikt nie neguje większej ilości psychicznych problemów współczesnej młodzieży (przyczyna, ale i skutek m.in. narkotyków, dawniej mało używanych), to bicie larum, a przy okazji Ministerstwa Edukacji Narodowej, jest objawem nie tyle depresji, co ... hysterii. Tak samego wielkiego Zimbardo (na starość miewa się demencję, choć to tylko przypuszczenie), jak i mediów – tu już działa emocjonalizacja, tabloidyżacja i pogoń za widzom.

Jeśli zza Oceanu, znad brzegu Pacyfiku tak dobrze widać nasz nadwiślański kraj, to ja – były *visiting profesor* Uniwersytetu Stanforda, ojciec córki uczącej się przez rok w szkole podstawowej w Beverly Hills z doskonałymi wynikami, stwierdzę, że amerykańscy edukatorzy (taki jest modny termin), tak praktycy, a więc nauczyciele, jak profesorowie pedagogiki, urzędnicy stanowych i federalnych departamentów edukacji zgodnie biją na alarm co do poziomu amerykańskich podstawówek, a jeszcze bardziej szkół średnich. A to, że niektórzy ich absolwenci na ogół elitarnych i bardzo drogich szkół prywatnych stają się potem absolwentami równie elitarnych i jeszcze droższych uczelni prywatnych jak Harvard czy Stanford, nie zmienia diagnozy danej przez Nicolasa Carra w jego nowej książce *Płytki umysł*, przetłumaczonej właśnie na nasz język. Mogę więc powiedzieć profesorowi Zimbardo: „Swoje chwalcie, cudzego nie znacie”, choć przyznaję, że Stanford jest niestety lepszym uniwersytetem niż moja Alma Mater.

Jednak już dzień po rozpoczęciu roku szkolnego profesor Wolańczyk w TOK FM tonował te diagnozy. Mówił: „Depresja chorobą cywilizacyjną? Jesteśmy w tej komfortowej sytuacji, że mamy znakomite badania prowadzone w Krakowie. od lat 70. To ewenement na skalę światową. W jednym miejscu na dużej grupie uczniów bada się zaburzenia depresyjne. I to wcale nie są alarmujące dane. O epizodach depresyjnych można mówić u 4 proc. dzieci i młodzieży, i to o wiele częściej u tych drugich”.

A więc Koko, jest spoko. Z młodzieńczego wieku, jego rozterek i niezdrowych emocji się wyrasta, a więc ów milion stopniowo stopnieje, choć zastąpią go nowe rzesze młodych neurasteników. Ale przecież oni bywają bardziej twórczy, może więc odrodzi się nam poezja? ■

więcej
wątpię
jestem

NIECH SIĘ ŚWIĘCI...

W PRL-u o święta państwowe i ich należyte uczczenie troszczyła się wszechmocna i wszechwładna władza, skądinąd ludowa, co nie znaczy, że w tej sprawie panowała powszechna zgoda. Front Jedności Narodu sobie istniał, a mimo to spora część tegoż narodu pamiętała o 3 maja i 11 listopada maszerując, jak co dzień, do pracy. W sprawie świąt kościelnych też zarysowały się rozbieżności, zwłaszcza między władzą a episkopatem (vide Trzech Króli), ale z biegiem lat, z biegiem dni traciły one na ostrości i znaczeniu, choć Jan Tadeusz Stanisławski do końca był przekonany o wyższości świąt Bożego Narodzenia nad świętami Wielkiej Nocy.

Wydawało się, że tego rodzaju spory odeszły wraz z PRL-em do historii. Najpierw, zaraz po zmianie ustroju, przywrócono – bez sprzeciwu kogokolwiek – dwa skasowane przez prezydenta Bieruta święta państwowe: wymienione już 3 maja i 11 listopada, i – co oczywiste – przestano czcić dzień 22 lipca. W ten sposób historycznej sprawiedliwości stało się zadość, co nie zmienia faktu, że do dziś kilka milionów rolników gospodaruje na hektarach otrzymanych od komuchów za friko w prezencje, a nędzne resztki po klasie robotniczej, której przewodzi teraz Przewodniczący Duda, czują się w niesprywatyzowanych jeszcze kopalniach i zakładach jak u siebie, choć przed Manifestem Lipcowym miały one, podobnie jak rozparcelowana ziemia, swoich właścicieli. Kto by jednak dzisiaj pamiętał o takich drobiazgach.

Swoje także odzyskał Kościół, choć nieco później. I dlatego zamiast do pracy, z Trzema Królami udajemy się do stajenki. Ze świąt, które za państwowe uznała komuna, ostał się jeno 1 maja. Jak się okazuje, dla niektórych, w tym dla urzędującego ministra kultury, o to jedno święto mamy za dużo.

* * *

Sprawa nabrała rozgłosu w 33 rocznicę podpisania Porozumień Sierpniowych. Pod bramę gdańską stoczni przyjechał Wałęsa w towarzystwie dwóch ministrów, marszałka województwa i prezydenta Gdańska, by złożyć kwiaty. W tym czasie kwiat obecnej „Solidarności” z Dudą na czele zebrał się w kościele św. Brygidy, by uczestniczyć we mszy celebrowanej przez arcybiskupa Głódzia, niezwykle wyczulonego na los ludzi pracy, bezrobotnych i wykluczonych. Już kilka dni wcześniej „człowiek z nadziei” złożył oświadczenie, że „świętem polskiego robotnika jest 31 sierpnia, a nie 1 maja” i dlatego ten właśnie dzień powinien być obchodzony jako święto państwowe wolne od

pracy. Dopóki tak się nie stanie, więcej w obchodach tej rocznicy nie będzie uczestniczył. Jak widać, Wałęsie ciągle mało. Nobla już dostał, film o nim powstał, siedemdziesiątkę obchodził w Pałacu Biskupim, więc zamarzyło mu się być ikoną państwowego święta. I pewno nią zostanie, jak został Piłsudski. Tylko musi jeszcze trochę poczekać...

* * *

Wałęsie więcej wolno, w przeciwieństwie do postkomuchów, którym – jak dowodziła przed laty „Gazeta Wyborcza” – w III RP wolno mniej. Jeśli tak ma być w państwie demokratycznym, to wolno mniej także ministrom Tuszkowym, a nie tylko Millerowym. Tymczasem uczestniczący w obchodach sierpniowej rocznicy min. Bogdan Zdrojewski w pełni poparł apel, a właściwie ultimatum Wałęsy, dowodząc przy okazji, że trzeba szukać większości dla „redukcji jednego święta na rzecz drugiego”, czyli innymi słowy przeniesienia święta państwowego z 1 maja na 31 sierpnia, bo ta ostatnia data jest „świętem polskiego robotnika i tego związku zawodowego, który wywalczył nam wolność”.

Historia lubi się powtarzać, jednak za drugim razem – co trafnie zauważył klasyk – jako farsa. Tow. Bolesław Bierut jako prezydent Rzeczypospolitej Polskiej (nazwa PRL pojawiła się dopiero w konstytucji z 1952 r.) obchodził zaraz po wojnie dzień 3 maja jako święto państwowe, a formalnie je zlikwidował w 1951 roku, zaś wcześniej dokonał „redukcji jednego święta na rzecz drugiego”, ustanawiając w 1950 roku dzień 1 maja dniem wolnym od pracy i świętem klasy robotniczej. Nie był przy tym oryginalny. Już w 1889 roku II Międzynarodówka Socjalistyczna 1 maja ogłosiła Międzynarodowym Dniem Solidarności Ludzi Pracy dla uczczenia ofiar krwawo stłumionych strajków w USA (sic!) w 1886 roku i od tego czasu jest on obchodzony na całym świecie, a na ziemiach polskich od 1890 roku. Co w PRL-u z tym świętem wyprawiano, to oddzielna sprawa, ale to jeszcze nie powód, żeby je – w majestacie nowej nowomowy – likwidować. Tylko dlatego, że tak chce Wałęsa, lub żeby wykazać wyższość 3 maja nad 1 majem, bo o to tutaj też chodzi (w Krakowie już się zawiązał komitet poparcia dla inicjatywy Zdrojewskiego).

Od kogo jak od kogo, ale od ministra kultury możemy chyba wymagać więcej niż od Wałęsy i dlatego jego ostatnie wypowiedzi w sprawie zamiany świąt należy uznać za żenujące.

PRZYPOMINAMY, ŻE OD 2009 ROKU „ZDANIE” JEST DOSTĘPNE W SIECI EMPIK W 80. POLSKICH MIASTACH. SZUKAJCIE NAS W MEGASTORACH ORAZ SALONACH I i II KATEGORII. INFORMUJCIE O TYM WSZYSTKICH, KTÓRZY SĄ ZAINTERESOWANI KUPNEM ORAZ LEKTURĄ NASZEGO PISMA. EGZEMPLARZE ARCHIWALNE MOŻNA OTRZYMAĆ W SEKRETARIACIE STOWARZYSZENIA „KUŹNICA”, KRAKÓW, UL. MIODOWA 41.

REDAKCJA

CZYTELNIKOM I SYMPATYKOM, KTÓRZY PRZEKAZALI 1 PROC.
OD PODATKU NA WYDAWANIE „ZDANIA” , SERDECZNIE DZIĘKUJEMY.

REDAKCJA

ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

Redaguje zespół:

Edward Chudziński (redaktor naczelny), Tomasz Goban-Klas, Krzysztof Komornicki, Adam Komorowski, Beata Kowalska, Paweł Kozłowski, Lech M. Nijakowski, Andrzej Ruchałowski (sekretarz redakcji).

Makieta wg projektu Mściwoja Olewicza

Adres Redakcji: 31-052 Kraków, ul. Miodowa 41

www.kuznica.org.pl; e-mail: kuznica41@interia.pl

Wydawca (na zlecenie Stowarzyszenia „Kuźnica”):

Marian Szulc, 30-441 Kraków, ul. Fałęcka 60

Skład komputerowy i łamanie: Joanna Byczyńska

Druk: Toruńskie Zakłady Graficzne „Zapolex” sp. z o.o.

Nakład: 1000 egz.

Największe hotelowe Centrum Konferencyjne w Krakowie

HOTEL ★★★★★
GALAXY
JORDAN GROUP



Konferencja zimą?

**Wigilia firmowa, uroczysta kolacja,
spotkanie opłatkowe...?**

01/11/2013-31/03/2014
min. 1 nocleg, min. 25 osób

Cena pakietu konferencyjnego:
199PLN/brutto/os.

KONFERENCJA

- 2 dni sala konferencyjna z pełnym wyposażeniem
- 1 przerwa kawowa dziennie
- 1 lunch bufetowy dziennie

NOCLEG W POKOJACH 2-OSOBOWYCH

- śniadanie
- korzystanie z basenu, jacuzzi, saun i fitness roomu
- 3 bezpłatne miejsca parkingowe



Hotel Galaxy ****
Ul. Gęsia 22a, 31-535 Kraków, Poland

T: +48 12 342 81 00
F: +48 12 342 81 10

conferences@galaxyhotel.pl
www.galaxyhotel.pl

JORDAN
GROUP

